

CHRISTOPHER WHITCOMB

ZIMNY STRZAŁ

HRT, elitarna jednostka antyterrorystyczna widziana od wewnątrz

CHRISTOPHER WHITCOMB

przełożyła Joanna Przyjemska

Poruszająca, wyważona, lecz aż do bólu realistyczna relacja o życiu na potnych obrotach.

Fascynująca, autentyczna i absolutnie porywająca.

Andy McNab.

Tytuł oryginału Cold Zero Pierwsze wydanie 2001 Bantam Press

Copyright Christopher Whitcomb 2001

Copyright for the Polish edition

by "Wołoszański" Sp.

z o.o.

Warszawa 2006

by arrangement with Little, Brown and Company (Inc.

), Nowy Jork, USA

Przekład Joanna Przyjemska Opracowanie redakcyjne Irma Iwaszko Korekta Bożenna

Lalik

Projekt okładki i stron tytułowych: Michał Wołoszański, Robert Gretzyngier

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żaden fragment tej książki nie może być wykorzystywany do powielania, reprodukcji czy to w formie elektronicznej, czy też mechanicznej lub zarejestrowany w inny sposób, jak tylko w formie wydania całości.

ISBN 83-89344-18-1

Wydawnictwo "Wołoszański" Sp.

z o.

o.

01-217 Warszawa, ul.

Kolejowa 15/17

tel.(0-22)8625371,6325443

e-mail: sensacjexxwiekusensacjexxwieku.

com.pl

Sklep internetowy: sensacjexxwieku.

com.pl

Łamanie: Oficyna Wydawnicza "MH"Druk: Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Dla Rosę.

Od autora

Christopher Whitcomb ma już za sobą piętnastoletni staż jako agent FBI.

Nadal pracuje w tej instytucji jest obecnie dyrektorem do spraw wywiadu w Grupie Reagowania Kryzysowego.

Za nadzwyczajne męstwo, jakim się wykazał, pełniąc swoje obowiązki, otrzymał medal "La.

odwagę".

W ostatnich latach brał udział praktycznie w każdym śledztwie o zasięgu ogólnokrajowym.

Naproszę FBI wszystkie imiona i nazwiska zostały zmienione, z wyjątkiem powszechnie znanych osobistości.

O niektórych zdarzeniach także piszę, zmieniając nieco szczegóły, w celu ochrony specjalnych technik inwigilacji.

Zawarte w tej książce opinie oraz spostrzeżenia zawsze są zgodne z tymi, które głosi FBI.

Spis treści

Od autora .

9

Prolog .

11

KsiĘqAPIERWSZA

1 Podjęcie służby.

27

2 Akademia.

42

3 Pieprzony żółtodziób .

63

4 Dobre wibracje .

;?...

75

5 Słodka herbatka i dobermany .

.s..

87

6 Zasadanr 3 .

.^..

104

KsiĘqA dRuqA

7 Selekcja .

125

8 Szkota dla NowychOperatorów.

139

9 Dyscyplina.

159

10 Wielki nikt .

179

11 Północ.

199.

10 Zimny strzał

Księga TRZECIA

12 Wymarsz .

13 Zazywanie sportu

14 Strzał .

15 Rozstrzygnięcie .

217230244257

Księga CZWARTA

16 Waco .

279

17 Nadciągają Babilończycy .

294

18 W doryckiej tonacji .

310

19 Wiatr .

322

20 Staniena piętach .

337

Księga piĄTA

21 Wyczuć puls .

361

22 Powrót do źródeł .

382

23 Nowa misja .

400

24 Znowu w akcji.

416

25 Przyszłość.

435

Podziękowania .

## Prolog

Przez celownik świat wygląda zupełnie inaczej.

Nawet tutaj, w ciemnej dżungli, dokąd księżyc zagląda przez podwójny baldachim zieleni wąskimi wiązkami światła, czuję moc, jaką daje bycie panem życia i śmierci, gdy wystarczy tylko nacisnąć spust.

Przyciskam doramienia łożyskokarabinu, a w nozdrza wciskami się zapach wilgotnej stali oraz skóry.

Moje oko błądzi po siatce celownika, oceniając rozmiary w odniesieniu do jego skali, odległość od celu oraz prędkość wiatru.

Palec wskazujący spoczywa lekko na spuście, wiedząc, że niemoże posunąć się poza granicę bezpieczeństwa, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila, by zabić.

- Sierra Jeden do Taktycznego Centrum Operacyjnego.

Dostrzegam ruch w biało-niebieskim narożniku.

Odbiór.

Światło przesuwasię po zielonej lufie karabinu, a ja tymczasem obserwuję wszystko przez celownik unieruchomionym dziesięciokrotnym powiększeniem.

Co pewien czas udaje mi się coś zauważyć.

- Odbiór, Sierra Jeden.

Jest ruch w eterze.

Ludzie mówią, każdy inaczej, trzymając mikrofony przy ustach.

Sierra Jeden w naszym najperskim języku oznacza pozycję snajperską numer jeden - czyli najwyższy położony punkt obserwacyjny nad tym potwornie wilgotnym stoku górskim.

Stąd mogę anonimowo spoglądać na nasze "obiekty" i poznać wszystkie aspekty ich codziennego życia.

Widzę ich kolor włosów, czy golili się dziś rano i co jedli na śniadanie.

Czasem przybliżam się do nich tak bardzo, iż nieomal czuję zapach wody kolońskiej na ich szyi oraz czosnku w ich oddechu.

Bycie snajperem to samotne, wścibskie zajęcie, polegające na wielu godzinach nudy oraz rzadkich momentach radości i podniecenia.

W ciągu każdej warty spędzonej w nudzie trafia się tylko jedna chwila przyływu

adrenaliny -może uda ci się rzucićokiem na zbiega, którego.

12Zimny strzał

ścigaszod tygodni, albo też oddać strzał do terrorysty, który wziął zakładników, a którego negocjatorzy spisali na straty.

Te chwile nadchodzą szybko i stanowią niemal margines całej akcji; czasem w oknie mignie twarz albo dostrzeżesz, jak ktoś przedziera się przez tłum.

A studiujesz tego człowieka, którego obserwujesz przez celownik, chcesz znać jego zwyczaje, środowisko, w jakim się obraca, interesujące ułamki informacji, których nie zdołali zdobyć agenci śledzący gona ulicy.

Patrz uważnie, a on podaruje ci jakiś mały gest- taki, który wykonujemy, myśląc, że nikt nas nie widzi.

Czasem zatańczy w takt płynącej z radia samochodowego muzyki, to znów zobaczy własne odbicie w oknie wystawowym albo w lustrze i zrobi jakąś minę, wyobrażając sobie, jak poderwałby ładną kobietę lub zareagował na kpiny rywala.

Ludzie przestają się pilnować, gdy sądzą, że nikt ich nie obserwuje.

Wtedy otwierają swoje wnętrza i ukazują to, co towarzyszy ich myślom.

Dziś w nocy leżę, czując pierwszociężkie krople tropikalnej ulewnej, i czekam, aż coś się wydarzy.

W powietrzu czuć wilgoć.

- Czy próbowałaś kiedyś przeciąć sosnę błotną na kraje?

Bobby Metz, mój pochodzący z Chicago partner, próbuje umościć się wygodnie swoim poncho w prowizorycznym namiocie z moimi plecami.

Powinien teraz odpoczywać, ale tu sen trudno przychodzi, a Bobby'emu zebrało się na rozmowę.

Zmieniamy się przy obserwacji naszego obiektu co dwie godziny, gdyż staramy się być skoncentrowani.

Jest upał.

Nawet o 2.

47 w nocy powietrze wydaje się przenikać skórę.

Przez gąszcz drzew dobiegają dźwięki tańczących kobiet, dodając dżungli kolorytu i kusząc.

Są też inne rozrywki, jak na przykład pełznająca z prawej strony poposzcyciu iguana wielkości dużego psa.

Usłyszałem ją już kilkanaście minut temu i skierowałem na nią noktowizor, aby upewnić się co do jej zamiarów.

Nie mam nic przeciwko jaszczurkom, ale na myśl o szczurach, które ona potrafi wytropić, skóra mi cierpnie.

- Zapłacę dolara dziewięćdziesiąt pięćcentów za bieżącą stopę, jeśli tylko uda mi się ją dostać - mówi Bobby.

- Jak tylko pomyślę cięciu, to aż przechodzą mnie ciarki.

Nic nie wiem o sośnie błotnej i nigdy nawet nie słyszałem o krajcedze.

1 stopa = ok.

30 centymetrów (przyp.

thun.

).

Prolog 13

- Co robisz?

- pytam.

To są uprzejmości, które wymieniamy w czasie prowadzenia obserwacji, podczas długich chwil ciszy rozdzielającej momenty, w których coś się dzieje.

Słucham, co mówi kolega, a potem on słucha mnie - to taki rodzaj wzajemnego tolerowania się.

Nic mnie nie obchodzi obróbka drewna.

Jedyna rzecz, jaką wiem o sośnie, to jak by się teraz czuła, gdyby zrobiono z niej krzesło.

- Sierra Dwa do TCO.

Właśnie jakiś samochód minął punkt kontrolny.

Biały sedan z trzema lub czterema pasażerami.

Kieruję karabin dziesięć stopni w prawo, próbując namierzyć cień poruszającą się wąską, biegnącą pod nami ulicą.

Samochody mijając punkty kontrolne, zawsze gaszą światła, aby utrudnić rozpoznanie

twary pasażerów oraz numerów na tablicach rejestracyjnych.

- Skrzynka- stwierdza Bobby.

- Jaka znowu skrzynka?

- Zwyczajna.

No wiesz, żeby trzymać cały ten kram w górnej szufladzie, to trzeba go włożyć do skrzynki.

Bobby kocha narzędzia: wielkie piły mechaniczne z obracającymi się ostrzami i automatycznym systemem filtru powietrza, komplety śrub w pudełkach z nakrętkami o średnicy trzech czwartych cala.

Nie może przejść obok sklepu z narzędziami bez wciągnięcia nas wszystkich do środka w celu obejrzenia tego czy tamtego.

- Sierra Dwa do TCO.

Zgubiliśmy ich za rogiem.

Wygląda, że śledzony obiekt, Carlos, wraca.

Głos Bobby'ego rozplywa się w dzungli, a tymczasem ja skupiam uwagę na tym, co rozgrywa się tam w dole.

- Trzymaj go, chłopie, moje radio trzeszczy - mówię.

Bobby wyłączył swoje, wobec tego nie może usłyszeć relacji o jedynym znaczącym wydarzeniu, jakie widzimy w ciągu dwóch minionych godzin.

- Jak przedstawia się sytuacja?

- pyta.

Aby opisać wszystko precyzyjnie, trzeba stwierdzić, że w sytuacji zaangażowanych jest sześć snajperów specjalnej jednostki antyterrorystycznej Hostage Rescue Team

- HRT, oraz niezwykle brutalny portorykański ganguliczny, odpowiedzialny za dostarczanie połowie wschodniej części wyspy wszystkiego, od marihuany z Jamajki po zanieczyszczoną heroinę.

Rozpracowujący tę sprawę agencja biur San Juan rozpoznała pół tuzina głównych obiektów, powiązanych z całym łańcuchem kradzie.



ży samochodów, morderstw dokonanych przez gangi i napadów, które ruch Tupacamaru przyprawiłby o atak zazdrości.

Podczas gdy agenci pracowali przy pomocy władz sądowych nakazy rewizji i akty oskarżenia, my siedzieliśmy tu wysoko, zbierając dowody, które ułatwiłyby atak.

Reszta naszej jednostki miała przybyć o świcie.

Ze swojego miejsca widzę we wschodnim kierunku leżące 257 jardów niżej, nędzne przedmieście Villa Pilar.

Wioskę otaczają góry, zmuszając wszystkie pojazdy do korzystania z jednej, wąskiej, jednopasmowej drogi.

Kupujący muszą przejść przez posterunki uzbrojonych strażników, umieszczone przy bramie.

To sprawia, że system bezpieczeństwa ułatwia życie dealerom narkotykowym, ale nam utrudnia. Poprzednie próby rewizji nic nie dały.

Zanim policja dotarła do bramy, wszystkie narkotyki zniknęły w dżungli.

- Sierra Jedendo TCO.

Mam tu białego mercedesa, sedan, czterodrzwiowy, z trzema mężczyznami w środku. Zatrzymał się przed budynkiem numer jeden.

Szeptę wywiadowcze informacje do mikrofonu, który mam tuż przy ustach.

Od wzgórza odbijają się hałasy trwającego na dole przyjęcia.

Gdzieś w ciemnościach czeka pies.

Nie mamowy, aby ktoś w wiosce na dole usłyszał mój głos, ale trudno odzwyczaić się od szeptu.

Coś, co kryje się w skradaniu się chyłkiem i w szpiegowaniu ludzi, sprawia, że nie chcesz mówić normalnie.

Przekręcam się na bok, obok mojego karabinu - grzmiącego kijaka kalibru .

308 zbudowanego na zamówienie przez zbrojmistrzów FBI na komorze zamkowej remingtona model 700.

W jego magazynku, napodpartej sprężyną płytce podajnika, leży pięć nabojów ze 168-granowym wyczynowym pociskiem z wybraniem wierzchołkowymi stożkiem spływu.

Polerowany język spustu jest dostrojony tak, by opór mechanizmu spustowego wynosił równe dwa i pół funta.

Skórzany policzekna kolbie ściemniał od potu.

257 jardów - ok.

233 metrów; 1 jard - ok.

0,91 metra (przyp.

tłum.

).

Kaliber .

308 - tonajmniejsza średnica przewodu lufy broni palnej równa 0,308 cala, czyli

7,82 mm.

1 cal - 2,54 cm (przyp.

tłum.

).

168 granów - ok.

10,90 grama; 1 grań - ok.

0,065 grama (przyp.

tłum.

).

2,5 funta - ok.

1,135 kilograma; 1 funt - ok.

0,454 kilograma (przyp.

tłum.

).

Prolog 15

Tuż po mojej prawej stronie, mniej niż stopę od mojej strzelby,

na zamaskowanym trójnogu, stoi luneta obserwacyjna Burrisa.

Jej oprawy w gumę układ optyczny daje powiększenie cztery razy większe niż mój

celownik, pozwalając przyjrzeć się małym detalom, które mogą zdecydować

o powodzeniu, gdy moi koledzy dokonują aresztowań.

Przytaszczyliśmy tu ze sobą noktowizory, ale światła uliczne i lampy oświetlające

werandy sprawiają, że ten sprzęt jest bezużyteczny.

Przez lunetę Burrisa wszystko widać o wiele wyraźniej.

Natychmiast rozpoznaję dwóch mężczyzn.

Kierowcę już ochrzciliśmy imieniem Gene, z powodu niesamowitego podobieństwa do Gene Gene the Dancing Machine z starego Gong Show.

Właściwie spodziewałem się, że gdy wydobędzie swój obwisły brzuch zza kierownicy i wysiądzie z samochodu, tożacznie zaraz idiotycznie powłóczyć nogami.

Naprawdę nazywał się Julio Aquirre, ale nadanie mu przydomka ułatwiało sprawę, bo nieustannie mieliśmy do czynienia z trzema lub czterema Johnami lub Frankami, albo Juliami.

Przydomki pozwalały uniknąć pomyłek.

Dwaj pasażerowie wysiedli z auta i stanęli w świetle latarni: nazwaliśmy ich Schludny i Carlos.

Schludnego niktnie rozpoznał, ale Carlostooprawca.

Jego prawdziwe nazwisko to Juan Miguel Salinas.

Jeśli wszystko pójdzie gładko, to rano, gdy się obudzi, powinien mieć postawione zarzuty udziału w czterech morderstwach i powiązań z gangami.

Naszemu agentowi, któremu powierzono to zadanie, szczególnie zależy na odnalezieniu pistoletu Glock kalibru 9 milimetrów, który mu posłużyło, popełniając trzy z tych morderstw.

Carlos ma go chyba za pasem.

- Sierra Jeden do TCO.

Carlos i Schludny właśnie wysiedli z samochodu i zdaje się, że są uzbrojeni.

Pomimo tylu zebranych przeciwko nim dowodów, stąd, z góry, mężczyźni ci nie sprawiają wrażenia niebezpiecznych.

Pistolety pod ich bawełnianymi T-shirtami nie wytrzymują porównania z naszymi karabinami - wydają się małe, niemal trywialne.

Metz wierci się za moimi plecami.

- Czy ci ludzie nigdy nie śpią?

- pyta.

Materiał namiotu marszczy się, gdy próbuje usiąść wygodniej.

4,5 mili- ok.

7,24 kilometra; 1 mila - 1,609 kilometra (przyp.

tłum.

)..

## 16 Zimny strzał

Akcja rozpoczęła się cztery dni temu utknięciem w tej rozciągniętej na długości czterech i pół mili naszej górskiej snajperskiej kryjówce.

Przybyliśmy wcześniej, w szarzącym świetle tuż przed świtem, i poruszaliśmy się wolno w naszym złowrogo wyglądających ghille.

To ubranie kamuflażowe z juty i sztruksu sprawia, że tak bardzo wtapiamy się w otoczenie, iż tutejsze insekty, szukając schronienia przed słońcem, czasem wślizgują się w załamania naszej odzieży.

Moje liczące sobie cztery lata specjalne ubranie mające chronić przed insektami wyglądało zniszczone i złachane, jak poszycie dżungli.

Większość ludzi sama myślała, że włożenie go przyprawiłoby otorsję, ale mnie jego przydatność daje poczucie wygody.

Jeśli chcesz złać się w jedną całość z otoczeniem, musisz gnić wraz z nim.

Wszystko, co jest nam potrzebne do pracy, przybyło w plecakach wraz z nami.

Zabraliśmy tygodniowe zapasy wody i żywności, a także wyposażenie kempingowe (np. maty do spania), broń, amunicję i przyrządy optyczne.

Standardowy bagaż waży około siedemdziesięciu pięciu funtów, ale wówczas nie można zabrać nic oprócz podstawowego ekwipunku.

Poncho rozpięte pomiędzy dwoma drzewami spełnia rolę namiotu.

Dwie kwarty wody i jednodobna racja wojskowego jedzenia muszą starczyć na cały dzień.

Ta praca nie polega na rozkoszowaniu się wygodą, ale na wypełnianiu zadań: my koncentrujemy się na poznawaniu metod, zachowań i słabych punktów członków gangów.

Dowódcy FBI chcą wiedzieć, gdzie gangsterzy ukrywają narkotyki, kto je kupuje, jakiej używają broni, jak wymyślny może być ich system wywiadowczy.

Uzbrojeni w tego typu informacje członkowie grupy mającej za zadanie dokonać aresztowań mogą w ciągu kilku godzin przeczesać wioskę i otoczyć ją.

Zarzuty padają jeden za drugim: morderstwo, handel narkotykami, napad z bronią w ręku.

Natomiast nam, snajperom, zależy tylko na nabraniu pewności, że nasi koledzy agenci mogą bezprzeszkód wkroczyć i uderzyć.

- Masz coś?

Metz wygląda z namiotu, bowreszcie coś siedzieje.

Prowadzenie obserwacji przypomina łowienie ryb.

Jak tylko ktoś zauważy, że ryba połknęła przynętę, natychmiast wszyscy w łodzi chcą łowić.

Popatrz, jak chłopcy sobiewracają- mówię do niego.

2 kwarty- 1,892 litra; 1 kwarta - 0,946 litra (przyp. tłum.

).

Prolog17

Przywódca gangu dopieroniedawno, przed dziesiątą wieczorem, wyjechał z trzema z tych mężczyzn.

Biuro w San Juan próbowało śledzić ich na własną rękę, ale zgubiło w tłumie.

- Sierra Jeden do TCO.

Carlos, Schludny i Gene właśnie wysiedli z samochodu.

Teraz podchodzą do bagażnika.

Metz leży obok mnie i gapi się wdół przez lunetę.

- Myślisz, że to nowa dostawa?

- pyta.

To bardzo uradowałoby agenta przydzielonego do tej sprawy.

Cifaceci z gangu sprzedawali narkotyki z tej samej dostawy już przez trzy dni i zapotrzebowanie było ogromne.

Naliczyliśmy przeciętnie czterdzieści trzy transakcje na godzinę i to na okrągło przez całą dobę.

Sieć sklepów Wal-Mart byłaby szczęśliwa, mając takie obroty.

Niestety gangsterzy wyprzedają cały swój zapas i jeśli w ciągu kilku najbliższych godzin nie nadejdzie nowy towar, to agenci będą mogli zostawić swoje nakazy rewizji w samochodach.

Obaj z Metzem kierujemy lunetą na mercedesa o złotych nakładkach na felgi i przymocowanej łańcuchem tablicy rejestracyjnej.

Trzej Portorykańczycy gramolą się z samochodu, obrzucają wzrokiem okoliczne wzgórza i podchodzą do bagażnika.

Wciąż ich obserwujemy, mając nadzieję, że wydarzy się coś, co pozwoli stwierdzić, jaki towar przywieźli.

Wielkie kwadratowe paki będą oznaczały, że to niesą narkotyki.

Małe paczki kryją crack, heroinę, kokainę, metaamfetaminę.

Jeśli tak, to czekanie by się opłaciło.

Ci faceci tak dostaną wiele lat za morderstwa, ale dorzucenie jeszcze dziesięciu za dobrej jakości narkotyków by nas nie zasmuciło.

- O, cholera - mówię głośno.

Nie może być pomyłki co do rozpoznania pakunku, jaki wyciągają z bagażnika.

To ciało.

Gene i Schludny oddalają się od samochodu, usiłując trzymać ciało.

Gene podtrzymuje nogę, Schludny ramiona.

Carlos krzyczy coś w kierunku domu, z którego natychmiast wybiega kilka podekscytowanych osób.

- Pilnuj frontowych drzwi, Bobby - mówię.

Nagle wydaje się, że cały plac opustoszał, bo wszyscy wyszli im na spotkanie.

Niski, krępy chłopak, może dziesiętnastoletni, trzymając karabinek.

To ruger mini 14; chłopak rozgląda się, kontrolując stan bezpieczeństwa.

Pomimo dźwięków muzyki słyszę jego głos, ale ginie on w tym przytłumionym, dobiegającym z oddali hałasie.

Chłopak mówi szybko i piskliwie, w jego głosie wyczuwam adrenalinę.

18 Zimny strzał

- Wiesz kto to jest, ten martwy?

- pyta Metz.

Niestety głowa tego człowieka opadła na pierś i nie mogę zobaczyć twarzy.

- Zapytaj Sierra Trzy.

Może on potrafią go rozpoznać.

Trzymam nadajnik radiowy w lewej ręce, prawą wciąż usiłując poprawić ostrość lunety.

- Sierra Jeden do TCO, Sierra Trzy.

Obiekt niesienieżnanego mężczyznę, którego wyjęto z bagażnika samochodowego. ten człowiek wydaje się martwy lub ciężko ranny.

- Jego koszula jest przesiąknięta krwią i nie można stwierdzić, czy rana pochodzi od kuli, czy też odczegoś innego.

Czekam dłuższą chwilę.

O tej porze w nocy nikt nie oczekuje odinnych przejawów błyskotliwej inteligencji i zastanawiam się, czy Sierra Trzy nie zdrzemnął się w tym gęstym powietrzu.

- Sierra Trzy do TCO.

Z naszego miejsca nie możemy tego dostrzec.

- Spodziewam się, że nie.

Gene i Schludny wchodzą po schodach do domu na czele wciąż rosnącego tłumu gapiów.

Nawet rzucenie ręcznego granatu nie byłoby w stanie ich zainteresować.

Ludzie wychodzą z dzungli, ze stojących w sąsiedztwie budynków oraz z tego głównego.

Dwóch albo trzech mężczyzn pędzi ulicą, krzycząc.

Każdy dołącza do tego wybuchu aktywności - czegoś takiego jeszcze nie widzieliśmy.

- To musi być ktoś z nich - stwierdza Metz.

Wszyscy znikają.

Cały tłum wcisnął się do domu, pozostawiając naczatach na zewnątrz tego chłopaka z rugerem.

Wygląda na skoncentrowanego, poważnego, zbyt poważnego, jak na swój wiek.

Przez boczne drzwi widzę wnętrze domu.

Ciało ułożono na podłodze.

Brakuje mu jednego buta, z prawej stopy zwisa tylko skręcona skarpetka.

Inni skaczą dookoła, usiłując coś zrobić, a ten mężczyzna wciąż leży na kafelkach, plamiąc ich białe kwadraty na ciemno.

Wszystko oświetla jarzeniówka umieszczona pod sufitem.

Chłopak z rugerem zamyka drzwi i noc znów pogrąża się w pustym rytmie, do którego przywykłem.

Znów jestcicho.

- Coza cholera?

- mamrocze Metz.

On rzadko klnie.

- Taaak - odpowiadam.

- Co za cholera.

Prolog19

Tuż przed świtem Bobby kopie wmój but, aby obudzić mnie nawartę.

Teraz moja zmiana.

Na głowę skapujami delikatne krople deszczu, przesączające się przez poncho.

Muzyka ucichła.

- Obudziłeś się?

- pyta.

- Czy się obudziłem?

- dziwięsię.

Wciążu czterech dni nie spałem więcej niż dwie godziny.

Tak dokładnie to nawet nie wiem, co toznaczy "obudzić się".

- Mamy pół godziny, zanim zaatakują bramę.

Lepiej przygotujsprzęt.

Znam zasady i chociaż ostatnio omawialiśmy tęoperację prawietydzień temu, to plan wydaje się prosty.

Brygady Charlie, Echo, Golfi Hotel wraz ze specjalnie wyekwipowanymi miejscowymizaatakująodstrony bramy i podczas gdy będą biec do czterech najważniejszych,wymagających przeszukania miejsc, snajperzy z brygad Zulu iYankee będą czekać w głębi dżungli, aby "zdjąć" wszelkich uciekinierów.

Z kolei zadaniem snajperów z brygady Whiskey oraz mojej, to znaczyz Promieni Roentgena, jest krycie ich z odległości, na wypadek, gdybyczłonkowie gangu rozpętali walkę.

Oficerowie z Narodowych Oddziałów Policji Portoryko zabezpiecząbramę i uformują luźny krąg, lecz nikt znas nie sądzi,że ten atak będziezaskoczeniem.

Historia przestrzegania przez miejscową żandarmerię zasad bezpieczeństwa podczas przeprowadzania operacjipozostawia wiele do życzenia.



Jednak, tak jak to bywaw większości operacji, ogromną rolę odgrywają w nich politycy.

To jest ich teren i pomimo znacznego wpływu naszej jurysdykcji, nie możemy trzymać ich z dala od tych spraw.

- Jak leci?

- pytam Bobby'ego, wyciągając karabin z podróżnego pokrowca, uszytego zesztruksu. Z tyłu za nami pierwsze promienie słońca zaczynają rozświetlać dżunglę, stwarzając niebezpieczeństwo, że możemy być widoczni.

- Pomału.

Właściwie o czwartej wszystko zamarło.

Zaczynają pisać koguty.

W dolinie tu i tam pojawiają się plamy światła - oznaka, że ludzie wstają do pracy i do szkoły.

Nie każdy żyje z biznesu narkotykowego.

Są tacy, którzy chcą, tak jak i my, pozbyć się wreszcie tych rzemieślników.

Wyczołguję się z namiotem z karabinem na ramieniu.

Metz już zajął punkt obserwacyjny, czyli swoje wysunięte stanowisko strzeleckie.

Moje znajduje się dziesięć jardów na lewo, na pochyłej krawędzi, do.

T'

20 Zimny strzał

której dostępu strzegą kłujące paprocie.

Chociaż nie jest to najlepiej ukryte miejsce na tym wzgórzu, rozpościera się z niego doskonały widok na całą Villa Filar.

Przy wietrze takim jak ten, który mamy dziś, mój karabin będzie się nieco chwiać.

Jest 5.

37 rano, ale nie zaprzęgam już sobie tym głowy - albo śpię, albo czuwam.

Ityle.

- Jeszcze nie wrócili?

- pytam.

Grzebię w plecaku, szukając nowych baterii doradca i manierki z wodą.

Brak snurzymiwa pamięć, ale jednak pamiętam wystarczająco dużo.

Tuż po trzeciej nad ranem, gdy skończyłem swój udział, Schludny wraz z innymi wybiegli pędem, taszcząc bezwładne ciało, którego głowa opadła na bok, bez śladów życia, i kołysała się w przód i w tył rytm ich kroków, tak jak głowy pluszowych psów, które ludzie stawiają za tylną szybą samochodów.

Widziałem dostatecznie dużo trupów, by stwierdzić, że ten facet nie stanowi już problemu, bo nie żyje.

Metz poinformował przez radio o tym, co się dzieje, Taktyczne Centrum Operacyjne i specjalna grupa okryta imieniem San Juan pojechała za tym samochodem.

Potem zadania obserwacyjne przejął odemnie Metz, a ja położyłem się, aby nieco się przespać.

Aczkolwiek całkiem wydawało się interesujące, to nie miało związku z naszym zadaniem.

Naszym celem były narkotyki.

- Upłynęło dwadzieścia minut.

Albo wyrzucił gdzieś w dżungli, albo wciąż trzymają je w bagażniku - stwierdził Metz.

- Czy masz jeszcze ciastka czekoladowe?

Mnie ciekawi, kim był ten mężczyzna i dlaczego ktoś go zabił.

To jedyna zagadka, która pozostała do rozwiązania w całej wiosce.

Początek siedzenia tu na górze wiemy, kto i kim sypia, jak chowają narkotyki w dziurach w płocie, pod blaszanymi pojemnikami na śmieci, w rynnach.

Nie stosują żadnych wyszukanych metod i gdyby nie ich skłonność do dostosowania przemocy, to ta grupa przypominałaby gromadkę bawiących się w podchody dzieciaków.

- Czy wszystko przebiega zgodnie z planem?

Rzucam Metzowi dwa zawinięte w srebrną folię ciastka z jagodami.

- Brygada szturmowa właśnie opuściła stanowisko.

Będzie tu za dziesięć minut.

Podciągam słuchawki radiowe do prawego ucha i reguluję mikrofon.

- HR-28 do TCO.

Kontrola odbioru.

- Tu HR-28.

Zrozumiałem.

Słyszę cię pięć napięć.

Prolog21

Zatrzymuję się tuż przed moim wysuniętym stanowiskiem strzeleckim i spoglądam w dół, na dolinę.

Po lewej stronie szybko schodzi słońce.

Koguty szaleją.

Kuchnie, łazienki i sypialnie rozświetla przyćmione żółte i pomarańczowe światło

- znak, że normalni ludzie rozpoczynają kolejny dzień.

W uszach dźwięczą miewierwsze odgłosy godziny H.

To inny oddział snajperów daje znać o swoim stanowisku strzeleckim.

Cisza radiowa między grupami szturmowymi oznacza, że zbliżają się do nas.

Nie przerwą ciszy, dopóki nieosiągną kolejnego wyznaczonego punktu- żółtego.

Moje rutynowe czynności rzadko ulegają zmianom.

Przed wszystkim zawsze muszę się upewnić, że mam czystą widoczność i że nic niezasłania mi celu.

Najmniejsza gałązka pomiędzy celownikiem a celem może spowodować załamanie światła i sprawić, że nie trafię w cel, ale, co gorsza, w kogoś innego.

Upewniwszy się co dowidoczności, gdy zajmuję pozycję, przekładam karabin tak, aby mieć go przed sobą, i niepewnie wysuwam się z gąszczu eukaliptusów.

Czołgam się nisko, podążając zakarabinem przez kawałek odsłoniętej skały, oddychając płytko i miarowo, tak jak nas uczono wszkole snajperów.

Brązowy gekon nagle wyskakuje przede mną jak strzała, przyzwyczajony do mojego zapachu i zachowania.

Teraz Metz i ja stanowimy część dżungli i nawet szczury nas akceptują.

Małeńka jaszczurka prowadzi mnie na stanowisko za kępą trawy, której liście tną niczym brzytwa.

Po mojej prawej stronie słońce błyska zza pokrytego rosą liścia.

Przykładam prawy policzek do chłodnej skały, zmuszając się do powolnych ruchów i do ćwiczenia dyscypliny.

- Sierra Trzy do TCO.

HR-44 i HR-76 są już na swoich pozycjach.

To Junior i Task.

Leżą w cieniu poniżej nas, dokładnie wzdłuż jednego lub dwóch szlaków, które handlarze narkotyków mogą wykorzystywać jako drogi ucieczki.

Inni meldują TCO swoją gotowość.

Każdy realizuje własną część planu.

Dyscyplina - mówię sobie.

To najbardziej widoczne stanowiska w górach.

Nie ma się co spieszyć.

Powoli unoszę głowę, dla pewniejszego strzału.

Widzę jego twarz nawet bez optycznego celownika: dwieście pięćdziesiąt dwa jardy od mojej lufy.

Strażnik z rugerem czeka z zewnątrz.

Sprzedają narkotyków.

22 Zimny strzał

nagle zakończyła się piętnaście minut temu, a nowej dostawy nie ma.

Wiedzą o naszej obecności.

Wyciągam rękę, chwytam dwójnog i ustawiam w odpowiedniej pozycji, opierając na nim karabin.

Ciężka broń, taka jak ta, jest właściwie bezużyteczna, gdy odległość wynosi dwieście pięćdziesiąt jardów.

Dwójnog unieruchamia mi cel, dając taką stabilność jak ławka i szerokie pole widzenia, konieczne do śledzenia wszelkich ruchów.

Zajmowanie pozycji torytuał.

Najpierw kładę pod kolbę mały worek strzelecki wypełniony piaskiem, żeby podpierał mój tors, gdy układam się za karabinem.

Lewą rękę podwijam pod siebie, łokciem naprzód.

Jej palce ścisną worek, delikatnie regulując ustawienie broni przy celowaniu.

Prawą ręką pięścią chwytam kolbę, kciuk spoczywa po przeciwnej stronie kolby od palca

wskazującego i ściska ją akurat natyle, żeby poczuć chropowatą powierzchnię.

Teraz przykładam policzek do rękojęści i ustawiam celownik, takaby krzyż znalazł się dokładniepośrodku soczewki.

Przyciskam biodrado ziemi, dla większejstabilności rozwieram nogi- stopy powinny znaleźć się na tej samej szerokości, co ramiona, apięty staram się przycisnąćdo ziemi.

Dla patrzących z dołu wyglądamjak cienki, czarny cień.

- Hotel Jeden do TCO.

Jesteśmy w żółtym.

Atakującydotarli.

Nie ma czasu, aby szukać na horyzoncie pojazdu miejscowych.

A ja wciąż nie jestem gotówdo strzału.

- Zrozumiałem, Hotel Jeden.

Mam was w żółtym.

Uwaga.

Pomału -powtarzam sobie.

- Nieprzyspieszaj.

Dobra pozycja nicnie znaczy bez należytego wyważenia.

Karabin tylkowykonuje poleceniastrzelca.

Bez odpowiedniego ustawienia go w danych warunkachsnajper nie możewymagać od swojego wartegodwai pół tysiąca dolarów sprzętu więcej niż od katapulty domowej roboty.

Ustawiam bęben podniesienia na dwieście jardów, a dodaję jeszcze dwa kliki po półminuty kątovej - trzeba skompensować ostry kąt i wysoką wilgotnośćpowietrza.

W tak nieruchomym powietrzu niechcę, abywiatr miałjakikolwiek wpływ na tor pocisku.

Wydaje się, że będzie to prosty strzał.

Jeśli ten facetw momencie, gdy zaatakuje grupa szturmowa, użyjeswojegorugera, to jestem absolutnieprzekonany, że z mojego karabinukalibru.

308 wystrzelę pocisk dokładniew punkt, wktórymlinia jęgonosa przecina tę poziomą, na której znajdują się ciemne,łatynoskieoczy.

Prolog23

- Sierra Jeden do TCO.

Zajęliśmy pozycję.

A więc są.

Nadszedł czas.

Wszystkie te niezliczone godziny śledzenia, zaaranżowane kupno narkotyków, dowody zpodśluchu, wywiady, praca papierkowa doprowadziły do tego właśnie momentu.

Znam tych agentów i ich rodziny.

Moim zadaniem jest ich chronić.

Opieram karabin o ramię i robię długi, powolny wdech.

- HR-1 do wszystkich jednostek.

Macie zgodę i pozwolenie, aby przejść do etapu zielonego.

Krzyż w moim celowniku lekko drga, wmiarę jak resztką adrenaliny odpływa z mięśni.

Ustawiam cienkie, czarne kreseczki, naprowadzające wzrok strzelca na cel, czyli na twarz chłopaka stojącego na straży.

Uczono nas, aby mierzyć w miejsce, w którym kręgosłup łączy się z czaszką.

Wyobrażam sobie, jak brygada szturmowa siedzi na obrzeżach wioski, z łomami na kolanach, powtarzając w myślach wszystko, co trzeba zrobić, podobnie jak kierowcy, którzy trzymają rękę na hamulcu, czekając na komendę start.

Ja też już tam wcześniej byłem, ćwicząc, jak otwierają się drzwi, kto ma wejść pierwszy, jak powiedzieć po hiszpańsku z właściwym akcentem "Rzuć broń".

- HR-1 do wszystkich jednostek.

Uwaga.

Mam kontrolę.

I oto nadchodzi.

Ta nieokreślona cisza, zanim rozpęta się całe piekło.

Mam trzydzieści sześć lat i już dziewięć lat jestem w FBI, a cztery w jednostce antyterrorystycznej HRT.

Jednak wydaję się, jakbym trenował całe życie i właściwie wiedział, co do cholery mam zrobić po oddaniu strzału.

To dylemat, z którym borykasz się w chwili strzelania: bez względu na to, co ci mówią, pociągnięcie za spust to twoja własna decyzja.

Jak to zrobisz, obojętne, dobrze, czy źle, nigdy nie uwolnisz się od konsekwencji

tego czynu.

- Pięć.

Głos dowódcy jednostki HR Todliczającego w dół, dochwili ataku, dźwięczy mi w uszach.

Myślę o strzałach, które już oddałem.

Pierwszy nabój wsuwasz do komory palcem wskazującym, żeby wyczuć, jak siedzi.

- Cztery.

Myślisz o tych dziesiątkach tysięcy razy, które ładowałeś karabin, ucząc się go, poznając, jak reagujecie na upał, wiatr i warunki atmosferyczne.

Pierwszy strzał zwie się cold bore - jeszcze jest niecelny, to takie odzwierciedlenie pobożnych chęci.

Jeśli twój cel ustawienie.

24 Zimny strzał

karabinu są należyte, wówczas punkt, w który celujesz, i punkt uderzenia pokrywają się.

To jest twoje zero.

- Trzy.

Jeśli masz dobry dzień i wszystko świetnie się układa, wówczas cold bore i zero pokrywają się.

Masz cold zero.

Wszystko, co cię otacza błędnie, wyczuwasz tylko podświadomością.

Reszta świata gdzieś się obraca wraz z tobą, niepomna zawilóści, które rządzą trajektorią pocisku.

Cały wszechświat sprowadza się do karabinu i do istoty ludzkiej, zgodnie współpracujących, aby bezbłędnie wyrzucić małą kulkę na odległość dwustu pięćdziesięciu jardów.

- Dwa.

Cold zero to ten jeden strzał, który masz oddać, aby zakończyć sprawę.

Oznacza prawdę.

Kres.

Możesz ćwiczyć, aż lufa karabinu rozgrzeje się do czerwoności, ale cold zero - to pierwsze i nieodwracalne pociągnięcie za spust - będzie jedyną rzeczą, którą każdy zapamięta.

- Jeden.

I właśnie nadszedł ten moment.

Księża PIERWSZA

To, co jest za nami i przed nami, ma bardzo małe znaczenie w porównaniu z tym, co tkwi w nas.

OLIVER WENDELL HOLMES

W polskiej terminologii wojskowej cold zero odpowiada terminowi zimny strzał (przyp. tłum.

)..

1

Podjęcie służby

Federalne Biuro Śledcze obiecało mi, że będę miał możliwość się "sprawdzić".

Pracowałem w Waszyngtonie D.

C. jako sekretarz i osoba piszcząca przemówienia dla Silvia O.

Contego, kongresmana z Massachusetts, gdy w marcu 1987 roku zadzwonił do mnie pewien aplikant koordynator z FBI nazwiskiem Wayne, proponując mi pracę.

- Chris - powiedział z pewnością człowieka, który zna niemal każdy szczegół mojego dwudziestosiedmioletniego życia - za dwa tygodnie rozpocznie się kurs dla nowych agentów.

Zdążysz?

Serce zamarło mi w piersi.

Upłynął już ponad rok od chwili, gdy zebrawszy się na odwagę, wypełniłem wstępny ankietę rekrutacyjną w FBI.

I chociaż spełniałem podstawowe wymagania, myślałem, że mógłbym otrzymać pozwolenie na wstąpienie do tej najbardziej prestiżowej w świecie agencji stojącej na straży



przestrzegania prawa, wydawała się zbyt zrozumiałym.

Głos Wayne'a jeszcze dźwięczał mi w uszach, ale myśli pobiegły wstecz, do długich miesięcy oczekiwania na ten jeden moment.

Przypomniałem sobie pewien cichy wieczór 1986 roku, kiedy to siedziałem przy stole w moim mieszkaniu i zacząłem wypełniać formularz.

Składał się z dwóch stron, na których miałem podać podstawowe informacje, takie jak pełne imię i nazwisko, datę i miejsce urodzenia, numer ubezpieczenia społecznego - rzeczy, o których według większości ludzi FBI już wie.

W zasadzie spełniałem wymogi, jakie stawiano przed ubiegającymi się o wstąpienie do FBI: wszyscy przyszli agenci muszą mieć obywatelstwo amerykańskie, być w przedziale wieku dwadzieścia siedem-trzydzieści pięć lat, mieć przynajmniej ukończone studia zakończone licencjatem i trzy lata pracy, albo też tytuł magistra.

Wtedy to wszystko wydawało się łatwe, ale porok z górą prób, nadziei, chodzenia na rozmowy, czekania i czytania bezosobowych,

28 Zimny strzał

urzędowych listów dziwiłem się, jak ktokolwiek mógł się tam kiedykolwiek dostać.

- Jestem upoważniony, aby zaoferować panu pracę, jeśli uważa pan, że znajdzie pan czas - powiedział Wayne.

- Jeśli nie.

no, to niemożę niczego zagwarantować.

Walnął mnie jakobuchem.

Ostatni raz widziałem go trzy tygodnie temu w biurze terenowym w Waszyngtonie, gdzie wręczył mi rewolwer, starego Smitha and Wessona kaliber .

10, z czerwoną rękojeścią.

- To test na pociąganie za spust - powiedział.

- Wciągnij go do siebie w ciągu dziesięciu sekund, nacisnąć tyle razy, ile zdołasz.

To pozwoli nam się zorientować, jak poradzisz sobie z prawdziwą bronią.

Pokazał mi, jak należy trzymać broń na odległość w wyciągniętej ręce, i wskazał

papierową sylwetkę przypiętą do ściany.

Nie zrozumiałem tegoco mówiło spuście, ale ćwiczenie wydawało siędość proste.

Trzymałem przed sobą mały czarny przedmiot i czekałem, aż Wayne naciśnie stoper.

- Start!

- krzyknął.

A ja zacząłem naciskać spust takszybko, jaktylko mogłem.

Nikt nigdy niewyjaśnił zbieżności pomiędzy wytrzymałością palca a dokładnością, z jaką strzela prawdziwa broń, ale ja nie zadawałem pytań.

Chciałem dostać tę pracę i jeśli oznaczała ona zabawę w strzelanie do ściany fałszywą bronią, to proszę bardzo.

- Czy mógłbyś wyjechać za dwa tygodnie?

- spytał Wayne, wracając do tematu.

Wydawało się, że mu się spieszy i chce załatwić to jaknajszybciej, jak gdyby to zadanie przeszkadzało mu w jakichś ważniejszych sprawach.

Wyobrażałem go sobie siedzącego za szarym urzędowym biurkiem z ołówkiem nr 2 w ręku.

Byłem po prostu jeszcze jednym nazwiskiem na niekończącej się liście kandydatów, a jemu zostało pełno stanowisk do obsadzenia.

Jeśli znalazłby odpowiednie osoby, to miałby sprawę z głowy.

- Dwa tygodnie?

- pomyślałem, a pokój wokół mnie zaczął wirować.

Czułem się przygotowany w wielu dziedzinach.

Fanatycznie wręcz chciałem, aby mi się powiodło, i przez cały ubiegły rok ćwiczyłem dwa razy dziennie, przygotowując się na najgorsze, co mogło mnie spotkać w trakcie szkolenia nowych agentów.

Każdy dzień zaczynałem od sześciokilometrowego biegu ulicami południowo-wschodniej części Waszyngtonu.

Wieczorem szedłem poboksować

Podjęcie służby<sup>29</sup>

w ośrodku Finleya, znajdującym się jeszcze dalej od centrum niż sklep z odzieżą sportową na Dziesiątej ulicy.

Panujący tam zapach rozpuszczalnika i lakieru firmy Krylon rozjaśniał mi umysł między kolejnymi ciosami.

Każda partiapompek kończyła się trzema dodatkowymi "dla FBI", a każdaseria przysiadów zawierała jeszcze wyczerpujący maraton "kuczci J. Edgara Hoovera".

I choć podobała się tego dyrektora FBI do jedwabnych luźnych wdzianek na ramiączkach i zamszowych kłapek nie były jeszcze znane opinii publicznej, to nie miałyby to znaczenia.

Ćwiczyłem codziennie kierowany krystalicznie czystą ambicją.

Chciałem być przyjęty.

- Czy mogę cię zapisać?

- spytał Wayne ponownie, nienawidzę do wahania.

Odchyliłem się w tył w swoim krześle i próbowałem skoncentrować.

Wszegarniające mnie podniecenie groziło wrzeniem w krtanii wybuchem nieokiełznanego płaczu.

Serce zaczęło znów bić, a potem walić, i totak mocno, iż bałem się, że usłyszą to ludziw sąsiednim pokoju.

Zacząłem mówić, a słowa ugrzęzły mi w gardle.

Sama myśl o wyjawieniu tej wiadomości mojemu szefowi, długoletniemu członkowi Kongresu Stanów Zjednoczonych, i porzucenie pracy na Kapitelu wydawały się obrazoburcze.

Tylko jedna osoba w biurze wiedziała o moich poszukiwaniach pracy i przysięgła dochować tajemnicy, której, jej zdaniem, będzie wymagało ode mnie moje nowe życie w FBI.

Przyjęciej propozycji oznaczało poniechanie obiecującej kariery dziennikarskiej w pewnym kalifornijskim kolorowym piśmie oraz w dwóch bliżejnieznanych gazetach kanadyjskich.

Mogłem pożegnać się ze swoimi nadziejami pięcia się po szczeblach kariery jako autor przemówień dla polityków - a pewnego dnia być może nawet dla Białego Domu.

Na dodatek moja żona, Rose, była zadowolona ze swojej pracy zasiadającym w Izbie Reprezentantów posłem z Kalifornii Dayidem Dreierem, poza tym dopiero co kupiliśmy pochodzący z lat osiemdziesiątych XIX wieku dom w szeregowej zabudowie o elewacji z piaskowca, a nasz czteromiesięczny synek, Jake, nie był jeszcze gotów do podróży.

FBI potrzebowało śledczych, a nie pisarzy i ten rodzaj kariery wydawał się pomyłką.

- Chris - spytał Wayne - czy tym nie słyszysz?

Co ja, do cholery, robię?

30

Zimny strzał

Drogą do odznaki specjalnego agenta jest mniej więcej taka sama dla wszystkich.

Miesiąc po złożeniu aplikacji o przyjęcie otrzymujesz skserowany formularz od koordynatora rekrutacji.

Do mnie wysłał go Wayne.

Widniała na nim data i godzina egzaminu wstępnego oraz stwierdzenie, że jeśli nadal trwam w swoim postanowieniu, to powinienem zgłosić się do oddziału terenowego w Waszyngtonie.

Jeśli moje wyniki wypadły dość dobrze w porównaniu z innymi kandydatami z całego kraju, wówczas mogłem "skorzystać z okazji" i kontynuować starania.

A więc 10 kwietnia 1986 roku wziąłem dzień urlopu i poszedłem do znajdującego się jakąś milę od mojego mieszkania na Kapitoluszarego, przysadzistego biurowca w południowo-wschodniej części Waszyngtonu, bardzo trafnie nazwanego Punktem Myszolowów.

Wewnątrz recepcjonistka powitała mnie zza ścian z kuloodpornego szkła i wskazała poczekalnię, w której nie było ani jednego okna, ale za to pełno podobnych mi chętnych do pracy w FBI.

Naliczyłem, że było ich dwudziestu sześciu, i żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

Rozejrzałem się po pokoju, starając się ocenić swoje szanse.

Byli tam zarówno mężczyźni, jak i kobiety, najrozmaitszej postury, wieku i koloru skóry.

Niektórzy z nich trzymali formularze zgłoszeniowe na wypadek, gdyby sprawdzano ten dokument dla potwierdzenia jego autentyczności.

Jeden mężczyzna tak bardzo się denerwował, że i ja zacząłem niemal odchodzić od zmysłów.

Cały czas gapiłem się w sufit, jakby szukał kamer, które, jak sądziłem, umieszczono tam, aby sfilmowały nasze zachowanie, dziesiątki razy krzyżował i rozprostowywał nogi, aż wreszcie głęboko odetchnął, wstał i wyszedł bez słowa.

Siedzący obok mnie facet trącił mnie w ramię.

- On niewróci.

Wiedziałem go tu już wcześniej - powiedział.

Był ubrany w cytrynowożółty garnitur i białe buty, zapinane na zamek błyskawiczny.

Jego spodnie musiały tak długo wisieć na wieszaku, że na kolanach widać było biegnące w poprzek zagniecenia.

Sądzę, że wyuczanie mody prawdopodobnie jest brane pod uwagę na egzaminie, ale podstawowe zasady estetyki muszą iść w parze z tymi ogólnie przyjętymi.

Tylko kiwnąłem głową i próbowałem się rozluźnić, gdy weszła urzędniczka, niosąc naręczkę egzaminacyjnych książek.

- Iluz was już wcześniej dostało?

- spytała.

Trzy osoby podniosły ręce.

Podjęcie służby 31

- Mamy zanotowane wasze nazwiska i sprawdzimy - stwierdziła zjadliwie bez jakiegokolwiek wyrazu twarzy.

- No, więc ilu z was już zdawało ten test?

Jeszcze dwanaście osób podniosło ręce, w tym także mój nowy znajomy w garniturze.

Wiedziałem bardzo mało o FBI i o jego procedurach przyjmowania nowych ludzi, ale stwierdziłem, że posługiwanie się kłamstwem, to już na samym początku, jest nieco ryzykowne.

Mój instynkt miał rację.

Kilka miesięcy po egzaminie wstępnym otrzymałem kolejny list zawiadamiający, że moje wyniki są na tyle dobre, iż plasuję się o wiele wyżej aniżeli ci faceci w garniturkach, i że zapraszają mnie na interview.

Wszystko to było napisane kompletnie bezosobowo, niczym na tablicach drogowych, ale znaczyło, że cały pomysł ubiegania się o pracę w agencji stojącej na straży

przestrzegania prawa nie był mimo wszystko tak niedorzeczny.

3 czerwca 1986 roku wzięłem drugi z pięciu dni urlopu i udałem się do Punktu Myszolowów na małą rozmowę.

Dwaj mężczyźni i kobieta, wyglądający bardzo profesjonalnie, weszli do małego konferencyjnego pokoju, którego okna wychodziły na rzekę Potomac, i okrążyli mnie.

- Zdaję sobie sprawę, że trochę się denerwujesz - powiedział wyższy mężczyzna.

Usiadłem u szczytu trzymetrowego stołu konferencyjnego otoczony ludźmi, którzy wiedzieli o mnie więcej niż moja matka.

"Trochę się denerwujesz" wydawało się nieco zbyt łagodnym określeniem tego, co czułem.

Poruszyłem się, starając usadowić wygodniej na śliskim skórzanym obiciu i oddychać normalnie.

- Pozwól, że rozpocznę od pytania, czy pamiętasz pewien listopadowy dzień w połowie lat siedemdziesiątych - zaczął jeden z mężczyzn - kiedy to przyszli trzej agenci, aby spytać twego ojca o strzelaninę.

- Lata siedemdziesiąte?

Wtedy byłem dzieckiem.

- Twój ojciec był zamieszany w nieokreśloną w czasie śmierć jednego z głównych doradców Edgara Hoovera.

Może mógłbyś powiedzieć zebranych tu osobom, w jaki sposób zdarzenie to będzie miało wpływ na przyjęcie ciebie w poczet agentów FBI.

Pokój zaczął wirować.

To była jedna z tych chwil w życiu, w której czujesz, że bieg przeznaczenia zmienia kierunek.

Moje myśli powędrowały w przeszłość ponad dwadzieścia lat temu, do słonecznego listopadowego ranka w stanie New Hampshire, kiedy to trzech ubranych

32 Zimny strzał

w garniturze facetów o pociągłych twarzach zjawili się u nas, aby zamienić kilka słów z moim starym.

-Dzień dobry, jestem specjalnym agentem FBI, nazywam się MichaelDonnelly -  
powiedział jeden z nich.

Miał teczkę z kurdybanu i małą złotą odznakę pociemniałą ze starościbrzegach.  
Urzędowy ton, jakim się przedstawił, nie pasował do naszego otoczenia na Profile  
Road.

Agenci FBI nie pojawiają się zbyt często w Nowej Anglii.

Tak naprawdę to broń całkiem inna niż karabin maszynowy, który kryje skórzana  
teczka agenta FBI, dostałem na ósmourodziny.

Niewiedziałem prawem o twardych facetach EdgaraHoovera.

Franconia w stanie New Hampshire to mała, górzysta wioska położona w połowie  
drogi między Bostonem i Montrealem.

Strome skalne ściany pnące się tysiąc stóp w górę po obu stronach drogi  
utrudniają podróż na południe, dając miejscowym dzieciakom takim jak ja  
bezpieczeństwo granitu, ale zawężając horyzonty.

"Wielka kamienna twarz", naturalny skalny profil, na tyle wyrazisty, aby  
zainspirować DanielaWebstera do napisania wiersza, bacznie strzeże doliny.

Jego wzrok żalem kieruje się ku południowi, jak gdyby tylko zatrzymał się tu,  
by odpocząć, i zabłądził.

Robert Frost, najslawniejszy obywatel tego miasteczka, mieszkał przy Eastem Road,  
na małej łące, z której rozciągał się widok na Kinsman.

Spędził kilka lat, przechadzając się po białych brzoźowych lasach iklonowych  
zagajnikach, odpoczywając na kamiennych ścianach i napawając się widokiem śniegu.

Jeśli opisuje to miejsce jako nieskromnie piękne, nie wierzcie mi.

Przeczytajcie The Road Not Taken lub Mending Wall Roberta Frosta.

Franconia pęczniała z dumy z powodu jego wierszy.

Wszystko, czego potrzebował poeta, to pióro i odwaga, by nazwać słowa po swojemu.  
Jedynie, co raczej umownie wiązało się ze sprawami państwowymi w tym małym,  
liczącym dwustu pięćdziesięciu mieszkańców miasteczku, to pasmo górskie noszące  
nazwę Prezydenckie, którego widok wypełniał okno naszego domu nad rzeką Gale,  
oraz okazjonalne wizyty inspektora z biura farmerskiego.

Naszym jedynym strażnikiem prawa był komisarz policji Dunne, skromny, zmęczony  
człowiek, spędzający większość czasu przy butelce Old Granddad i wraz z

Eddiem Splude'em strzelający do szczerówna miejscowym wysypisku śmieci.

1

Podjęcie służby 33

Zbrodnia, a przynajmniej taka, która wymagałaby interwencji FBI, zbyt często u nas nie gościła.

- Miło mi pana poznać - powiedział mój ojciec, wyciągając rękę do agenta Donelly'ego.

Na twarzy miał taki sam grymas, jaki pojawiał się, gdy miał powiedzieć, jakie ma karty w ręku.

- Przykro mi słyszeć, coś się przydarzyło panu szefowi.

Agent Donelly sięgnął do kieszeni po notes.

Mój ojciec stał u stóp wejściowych schodów z obiema rękami w kieszeni.

Jeśli był choć trochę zakłopotany faktem, że któryś z miejscowych tak po prostu zabił bronią palną wice szefa FBI, to nie okazywał tego.

Zabójstwo miało oznakę premedytacji.

Marty Corliss, cicho mówiący syn wojskowy ze stanu New Hampshire, po prostu wziął wice dyrektora za jelenia pasącego się na stoku wzgórza.

I choć to był tylko tragiczny wypadek, Corliss zastrzelił go tak precyzyjnie, jakby to zrobił jakiś gangster.

Historia gościła na pierwszej stronie "Kuriera Littleton" i wywołała szok w pomocnych stanach.

Marty nie był pierwszym nadgorliwym myśliwym, który zastrzelił kogoś z sąsiedztwa, ale nikt nigdy nie porwał się na jednego z głównych stróżów praw w kraju.

Najwidoczniej w Waszyngtonie potraktowano tę informację bardzo poważnie i podejrzewano każdego, od rodziny Luchese poczynając, a na Rosjanach stojących na straży zimnej wojny kończąc.

Kursowała plotka, że agenci wysłani do zbadania zabójstwa jechali aż z St Johnsbury w stanie Vermont, a więc przebyli znaczną, jak na lokalne standardy, odległość.

Ich samochód miał jednak rejestrację stanu Massachusetts, nadwyrężając ich reputację, zanim jeszcze zdążyli powiedzieć słowo.

Nawet bez rozważania ewentualności, że mój ojciec miałby zostać przepytany przez



tych pochodzących z nizin facetów o marmurowych twarzach, było mi za niego dostatecznie przykro.

Skądkolwiek pochodzili, zjawili się ubranijak na pogrzeb.

Mielicimne wełniane garnitury i białe koszule.

Ten jeden, który zabrał mojego ojca z zasięgu naszego wzroku i zaprowadził do garażu, wyglądał jak Efrem Zimbalist junior, tak że nawet zacząłem sobie nucić jego piosenkę.

Jego kumple stali przed domem, a ja szalałem na swoim nowym rowerze firmy Schwinn Stingray, jeżdżąc tam i z powrotem po drodze.

Zastanawiałem się, czy chcieliby zobaczyć moją nową wędkę do łowienia na muchy, którą wuj Gary niedawno mi kupił.

### 34 Zimny strzał

Jeden z tych mężczyzn wpełchnął ręce do kieszeni i oparł się o samochód, odwołując mnie od tych poufanych myśli, aż do chwili, gdy ojciec cały i zdrowy wyszedł z garażu.

Ci faceci badali sprawy międzynarodowej intrygi w miejscach, w których nigdy nie byłem.

Mogą też znać się na torturowaniu.

Postanowiłem być w pobliżu, jako ochrona.

- Hej, proszę pana, czy pan kiedyś kogoś zabił?

- spytałem tego najniższego, sprawiającego najmniej nieśmielające wrażenie z całej ich trójki.

Sądzę, że takie pytanie w naturalny sposób przychodzi namysł ludziom, gdy spotykają kogoś, kogo widzieli w telewizji z lekkim karabinem maszynowym w ręku. Mężczyzna spojrzał na mnie nad swoich okularów w drucianej oprawie i przymrużył oczy.

Wydawał się trochę zakłopotany tym pytaniem, co mnie bardzo zdziwiło, biorąc pod uwagę jego zawód.

Przecież często widywałem w telewizji bitwy, w których było pełno broni, toczono

przeżyły dobra i zła.

Audycje o FBI pokazywały co wtorek wieczorem na Kanale 3.

Ale ten facet nie wydawał mi się osobą z telewizji.

Spojrzał dotyłu, jak gdyby chciał zdradzić jakiś sekret, lecz nie potrafił dobrać słów.

- Ładny rower - powiedział.

- Umiesz jeździć?

Czy umiem jeździć?

Uśmiech rozjaśnił moją twarz, gdy wrzuciłem przerzutkę na pierwszy bieg, wskakując na prawy pedał i stosując ten swój patentowany startz maksymalnym przełożeniem.

Jeśli droga była piaszczysta, groziło to nawet złapaniem gumy.

Pojechałem szybko drogą, podciągając kierownicę i podnosząc przednie koło do góry, niczym doświadczony cyklista.

Agent w okularach obserwował mnie bacznie jak ktoś, kto docenia niebezpieczeństwo.

Skręciłem koło w prawą stronę, tak jak robią to wszyscy wielcy rajdowcy motocyklowi, i tak bardzo skoncentrowałem się na moich kaskaderskich popisach, że ledwie zauważyłem, jak mój ojciec i agent Donnelly wyszli z garażu.

Wyglądało niby, że wszystko jest w porządku, ale przez dłuższą chwilę w panice szukałem wzrokiem rąk ojca, mając nadzieję, że Efram Zimbalistnie zakuł go w kajdanki.

W takim małym miasteczku dorastanie oznaczało posiadanie mnóstwa czasu na rozmyślanie nad tym, jak też wszystko wygląda na świecie, ale scena taka jak ta nigdy nie przyszła mi do głowy.

Na myśl, że mógłbym ujrzeć, jak cimeżczyźninakładają kajdanki mojemu bohaterowi i zabierają go w otocze hańby, niemal zakręciło mi się w głowie.

Podjęcie służby<sup>35</sup>

Jednak panika minęła, gdy ojciec klepnął agenta Donnelly'ego w plecy i roześmiał się jakiejś uwagi, której nie mogłem usłyszeć.

Zablokowałem hamulce i poprostu usiadłem sobie z boku drogi, patrząc, jak trzej agenci zgodnie wsiadają do swego niebieskiego plymoutha fury, a potem przejeżdżają

obok mnie w wielkim samochodzie, wracając do St Johnsbury albo do Bostonu, albo też tam, skąd pochodzili.

Mój kolega-agent, pasjonat jazdy na rowerze, gdy mijali mnie, popatrzył z góry, mrugnął i uśmiechnął się w uznaniu moich kolarskich umiejętności.

Podniósł prawą rękę, wycelował we mnie wskazujący palec tym uniwersalnym geście oznaczającym odciągnięty cyngiel rewolweru i opuścił kciuk. Nieomal słyszałem padający strzał, a on odjechał gdzieś, gdzie jest o wiele bardziej interesująco niż we Franconii, aby tam śledzić szpiegów, zbiegów z więzień lub tych którzy rabują banki.

Od tej chwili za każdym razem, gdy wypróbowywałem swoją zdolność przewidywania, byłem ciekaw, czy wyraz twarzy tego agenta miał oznaczać chęć ochrony mojej młodzieńczej niewinności, czy też sprawienie, by przeminęła.

Boże, jacy oni są dobrzy - pomyślałem sobie, patrząc przez stół namoich rozmówców.

Ów dzień we Franconii znowu we mnie odżył, jak gdybym wciąż stał okrakiem nad ramą mojego stingraya i widział ojca wychodzącego z garażu.

Skąd oni o tym wiedzą?

- dziwiłem się.

Wypełniłem szczegółowy kwestionariusz osobowy, w którym znajdowały się drobne pytania dotyczące mojego życia aż do czasu ukończenia szkoły.

Wymieniłem każdą osobę, z którą kiedykolwiek mieszkałem, każdy adres, każdą szkołę, do której uczęszczałem, podałem kontakty - także towarzyskie, podróże zagraniczne do dwunastu krajów, w których byłem.

Przyznałem się do "eksperymentalnego zażycia narkotyków" w college'u, popełnienia wykroczenia w czasie jazdy samochodem, szczegółowo opisałem najskrytsze sekrety mojego dwudziestoletniego życia.

Ale w jaki sposób do cholery dowiedzieli się o tym?

Patrzyłem na pytającego mnie mężczyznę, zmrożony przez trapiące mnie niepewności.

Postaw się - polemizowałem sam ze sobą.

Nie zabiłem żadnego agenta FBI, ani też nie zrobił tego mój ojciec.

Kurwa, przecież nigdy nawet nie spotkałem Marty'ego Corlissa.

Trzech ubranych w niebieskie garnitury członków inkwizycji spoglądało na mnie z

kamiennymi twarzami i czekało na odpowiedź.

36

Zimny strzał

- To było dawno temu - oznajmiłem.

- Mój ojciec nie miał nic wspólnego z tą strzelaniną i nie mam pojęcia, w jaki sposób ta sprawa mogłaby pokrzyżować moje obecne ambicje.

- Dobrze - powiedział.

- Ale jeśli głębiej pogrzebiez, to będziesz czwartym agentem FBI pochodzącym z Franconii w stanie New Hampshire.

I nagle na jego twarzy ukazał się szeroki uśmiech.

Wstał, przechylił się przez stół i uścisnął mi rękę.

- Odpręż się, chłopie.

Jestem Bemie Pierce.

Wychowałem się na Sugar Hill, jakieś pięć mil od twojego domu.

Sprawa tego strzału totalnie, żeby ci przywalić po jajach.

Mówiąc to, zachichotał, przedstawił mnie dwóm pozostałym agentom i wyciągnął notes.

Próbowałem dojść do równowagi.

Wspomnienia dawnych lat łatwo powracają, zwłaszcza gdy padają odpowiednie sugestie.

- Czterech agentów z miasteczka liczącego dwustu pięćdziesięciu mieszkańców - stwierdził.

- Chyba coś jest w tamtejszej wodzie.

Uprzejmie skinąłem głową.

- A teraz, Chris - oświadczył Bemie - powiedz nam, dlaczego chcesz zostać agentem FBI.

Usiadłem, dryfując myślami, podczas gdy w moim umyśle przesuwały się wspomnienia z ostatniego roku, chwile dobre i złe, tak jak gdy jesienią uświadamiasz sobie, że wszystko przemija.

W tej jednej chwili próbowałem oszacować największy zwrot w karierze w

ciągumegokrótkiego życia.

Praca na Kapitele daje poczucie pewnego podniecenia, o które trudno gdziekolwiek indziej.

Całeto miejsce przepelnione jest narodową dumą, a tobie zaczyna smakować ta niewiarygodna złożoność i zaangażowanie, które sprawiają, że ten kraj jest tak wspaniały.

Waszyngton prezentował bogactwo doświadczeń dominujące nad kwestiami materialnymi.

To była tatrwiająca na okrągło całą dobę wibrująca lawapolityki: władza, olbrzymia władza i ten piżmowy, odurzający zapach pieniędzy oraz gnijącej ideologii.

Wraz z moją żoną.

Rosę, przyjechaliśmy do Waszyngtonu dwa lata temu, na zaproszenie członka Izby Reprezentantów Silvia O.

Contego, jankesa starego pokroju, najbardziej znanego ze swych barwnych przemówień.

Miał on sekretarkę imieniem Rosę i to ona znalazła mnie w miasteczku Hanover, w stanie New Hampshire, w bibliotece, gdzie

Podjąłem służbę<sup>37</sup>

pracowałem i jako wolny strzelec pisałem jakiś artykuł o czymś na tyle ważnym, że miała się ukazać na łamach "Valley News".

Rosę powiedziała mi konfidencyjnym tonem, że to, co napisałem rok wcześniej dla Silvia Contego z okazji jego podróży do Moskwy, podobało mi się i że akurat jest w jego biurze wolne stanowisko sekretarza prasowego i autora przemówień.

Czy to mnie interesuje?

Przycisnąłem słuchawkę telefonu do ucha i przez moment zastanawiałem się, czy dobrze słyszę.

Od chwili ukończenia college'u włączyłem się po kraju, pracując jako barman, pisząc jako wolny strzelec dla magazynu "Orange Coast" w południowej Kalifornii, jako nauczyciel angielskiego w szkole z internatem oraz jako reporter w "North Adams Transcripts" w Berkshire Hills w stanie Massachusetts.

Rok 1985 charakteryzował się tym, że byłem ciągle głodny i mobilny.

- Oczywiście - odparłem.

- Myślę, że to dobry czas, aby poczynić zmiany w karierze zawodowej.

,

To wszystko działo się w piątek.

W poniedziałek rano zapukałem do podwójnych drzwi pokoju numer 2300 w biurcu Rayburn House i przedstawiłem się.

Ciepła i miła babcia Franny McGuire zaprowadziła mnie do recepcji i powitała na pokładzie.

- Pat!

- krzyknęła przez ramię.

- Przyszedł Chris!

Pachniała perfumami Youth Dew i piwem zaprawionym korzeniami.

Czułeś się jak w domu.

Silvio Conte był członkiem Komisji Przydziału Funduszy Celowych Izby Reprezentantów i po trzydziestu niemal latach zasiadania na ławienijszej izby Kongresu należał do grona najpotężniejszych w nim osób.

Lekko powłóczył nogą, a gdy ścisnął Twoją rękę, to ten uścisk wydawał się dokładnie pasować do Twojej postaci i charakterem do Twojej osoby.

Z okien jego gabinetu wychodzący na frontową stronę Kapitolu rozciągał się jeden z najpiękniejszych widoków na Independence Avenue.

Miał też biuro na Kapitolu tuż obok galerii dla publiczności, a jego lokalizacja i urządzenie były tak doskonałe, że żony prezydentów, od mamy Eisenhowera poczynając, a na Nancy Reagan kończąc, korzystały z niego jak z poczekalni, tuż przed wygłaszaniem przez ich mężów orędzia o stanie państwa.

I to właśnie tam zawiodły mnie ścieżki losu, zanim potem zaprowadziły do FBI.

Pewnego styczniowego popołudnia Silvio Conte wziął mnie na bok i dał wielki jak pocztówka bilet.

Był na nim napisane "Orędzie o Stanie Państwa" i zapewniało miejsce w pierwszym rzędzie podczas jednej z największych uroczystości w Stanach Zjednoczonych.

38 Zimny strzał

- Nie dostaniesz już biletów w kasie - powiedział kongresman, wymachując mi przed nosem zielonym rarytasem.

- Chcę, abyś poszedł zobaczyć, jak to wygląda.

Może zbierzesz tam jakieś ciekawe materiały.

- Wręczył mi zaproszenie z tym jednym ze swoich familiarnych mrugnięć.

- I nie próbuj tego odsprzedać, mój drogi.

Toprzestępstwo federalne.

Czwartego lutego 1986 roku zamknąłem drzwi swojego szeregowego domu na Kapitolu i pomaszerowałem dziesięć przecznic.

Był przenikliwie zimno.

Para unosząca się z ust przypominała mgiełkę i wyglądała jak zasłony ztafty na pokrytym mrozem oknie.

Minąłem budynek Biblioteki Kongresu i Sądu Najwyższego oraz sznury motocykli i czarnych limuzyn, które sunęły w stronę pulsującego energii gmachu Kapitolu.

Minąłem kamery fotoreporterów, psy policyjne, jednostkę SWAT oraz snajperów na dachu wyposażonych w celowniki optyczne karabinami.

Zagapiłem się na stojące na parkingu karetki i na helikoptery ustawione na wschodnim trawniku, a także wielkie wozy telewizyjne wyposażone w okrągłe, umieszczone na dachu anteny - wszystko to stało wzdłuż zamkniętej z obu stron Independence Avenue.

Włos zjeżył mi się na karku, a bileciami w kieszeni płaszcz niczym kawałek skały z rzeki Gale.

Rozciągając się nad salą galeria dla publiczności jest wąska i stroma.

Moje miejsce znajdowało się nad tą częścią sali, w której siedzieli republikanie, zaraz nalewo od miejsca, gdzie zazwyczaj siadała Nancy Reagan.

Tam znajdowały się miejsca tradycyjnie już zarezerwowane dla pierwszych dam i ich sztabu.

Gdy przyszedłem, Nancy wciąż jeszcze piła herbatę w biurze kongresmana Contego, ale już wkrótce miała wejść na salę, machając do swych przyjaciół z grona republikanów i delektując się zaszczytami męża.

Nie było tam żadnych rozmów "ekonomicznych hokus-pokus" ani o "teflonowym

prezydencie", a nież o jakimś zamroczonym alkoholem aktorze, który miał tego wieczoru rolę do odegrania.

Panowałowszechogarniające poczucie dumy i namacalny zachwytytym całym widowiskiem. Obserwowałem ze ściśniętymgardłem, jak szef gwardii powitałczłonków Senatu, Połączonego ZespołuSzeów Sztabów, dwunastuz trzynastu sekretarzystanuoraz członków Sądu Najwyższego.

A oni szlicicho, schylając głowy i ściskając ręce.

Wtym wszystkim wyczuwało sięolbrzymi szacunek i poszanowanie tradycji, o czym nigdy nie czytałem.

Podjęcie służby<sup>39</sup>

Transmisje Kanału 5 i Aramis mieszały się ze sobą tysiąckrotnieodbijałyodmahoniowego fotela spikera, marmurowych kolumn inamalowanych na freskach liści.

Światło padało zwystępów nasuficie, nieopodał starannie ukrytych kamer.

Reporterzy spoglądali w dół z galerii dla prasy, ostrząc pióra na mądre artykuły, które popłyną dowydawców, wpychając się w wytyczony na dwudziestą czwartą nieprzekraczalny termin wysłania gazety do drukami.

- Panie przewodniczący!

- Cisza zapadła wśród mężczyzn i kobiet, którzy zarabiają na życie gadaniem.

- Prezydent Stanów Zjednoczonych!

I oto go ujrzałem: Wielkiego Komunikatora, z prawą ręką uniesioną nad burzą włosów i z uśmiechem małego chłopca.

Przeszedł w kierunku podium, znowu w domu po triumfalnym powrocie ze Związku Radzieckiego, dokąd pojechał z gałązką oliwną w jednej, a ze stalowym młotkiem w drugiej ręce.

Wiceprezydent George Bush i rzecznik Białego Domu Tip O'Neill wstali i klaskali, a za ich przykładem poszli szefowie Połączonego Zespołu Szeów Sztabów oraz cały Senat i członkowie gabinetu, a także czterystu trzydziestu pięciu pracowników Białego Domu.

To był zdumiewający moment w historii Stanów Zjednoczonych i w moim życiu. Stać tam, w tej sali, z rękoma drżącymi w przerwach między oklaskami, gdy wszyscy członkowie rządowych instytucji, którym podlegał aparat wykonawczy,



sądowniczy i ustawodawczy Stanów Zjednoczonych, zgromadzili się tu, poniżej mojego miejsca, wydawało się absolutnie zdumiewające.

Wiedziałem, jakby z przepowiedni, że to, co chcę robić w życiu, jest związane ze staniem na straży tego wszystkiego.

Nagle przestało wystarczać tworzenie fasadowych przemówień lub odgrywanie roli giermka człowieka, który rozgrywał bitwy.

Nie interesowało mnie już dłużej bycie Holdenem Caulfieldem, ciche stanie i czekanie na moment, aby z retoryki wyłowić jakąś symbolikę.

Chciałem dokonać jakichś zmian w społeczeństwie, obudzić się rano z jakimś celem.

A byłam sprawiedliwość.

Tak nazywano prezydenta Ronalda Reagana, ze względu na jego wyjątkowe umiejętności nawiązywania kontaktu z rozmówcami (przyp.

tłum.

).

Bohater książki Jerome'a Salinger'a Buszujący w zbożu (przy.

tłum.

).

y.

40

Zimny strzał

Chciałem posiadać kompetencje władzy sądowniczej.

I w ten sposób skończyło się na FBI.

Miałem przyjaciela, który pracował w tajnych służbach, ale wściekł się na samą myśl narażania się dla kogoś zupełnie nieobeznanego z problemem.

Mało kto wiedział wtedy o DEA (Agencja ds.

Zwalczania Przystępczości Narkotykowej), a o ATF (Biuro ds.

Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej) też mało kto.

Wobec tego pozostawało FBI.

Według opinii wszystkich, z którymi rozmawiałem, FBI było największą i najlepszą z

agencji rządowych.

A na dodatek przeprowadzało rekrutację, więc może miałem szansę.

Pobezsennej nocy, podczas której rozmyślałem, jak najlepiej mógłbym służyć ojczyźnie, postanowiłem powędrować drogą mniej uczęszczaną.

Następnego dnia wziąłem książkę telefoniczną miasta Waszyngton i zadzwoniłem do waszyngtońskiego biura terenowego FBI, prosząc o kwestionariusz do wypełnienia.

Co za cholera?

-myślałem.

Czy ktoś kiedykolwiek uwierzyłby, że ja, pochodzący z tej znajdującej się za górami i lasami ziemi o zalesionych zboczach stanu New Hampshire, odnalazłem się w życiu?

Coś mojej odpowiedzi musiało wydać się Bemiemu Pierce'owi i jego kolegom autentyczne, gdyż w krótkim czasie po tej rozmowie znalazłem w skrzynce pocztowej kolejny list.

"Łączna punktacja uzyskana przez pana w czasie egzaminu testowego oraz rozmowy plasuje pana na pozycji kandydata na specjalnego agenta - oznajmiał list.

- Wnikliwie rozpatrzmy pańską kandydaturę w zależności od potrzeb Biura pańska osoba będzie brana pod uwagę przy dalszym postępowaniu".

Jeśli język tego pisma był suchy, to nie zauważyłem tego.

Wstąpienie do FBI stało się moją obsesją to do tego stopnia, że zwrot

"dalsze postępowanie" brzmiał jak zaproszenie od samego dyrektora.

W ciągu kilku tygodni zakończyłem wszystkie procedury związane z fazą wstępną rekrutacji.

Wayne zawiózł mnie służbowym samochodem z Punktu Myszolów do Kwatery Głównej FBI na test kondycyjny, który odbył się w garażu podziemnego parkingu.

Wraz z pięcioma innymi kandydatami biegliśmy na czas półtorej mili.

Była 16.

30 i parking opuszczały samochody.

Mój czas wyniósł nieco poniżej dziewięciu minut, pomimo trasy, która wymagała omijania kawalkady rządowych chevroletów, wdychania spalin i odnajdywania drogi w labiryncie betonowych słupów.

Podjęcie służby 41

Po teście sprawnościowym przysłała pora na kompleksowe badanie lekarskie w wojskowym Szpitalu im.

Waltera Reeda.

Zbadano wszystko: od słuchu i wzroku poczynając, a pojemności płuc itętnie kończąc.

Wypadłem dobrze.

- Jasne, Wayne - powiedziałem, znajdując słowa, które miały zmienić moje życie na zawsze.

- Dwa tygodnie akurat mi wystarczą.

Odłożyłem słuchawkę i zapatrzyłem się na budynek Kapitału pogrążający się we wschodzącym, purpurowym zachodzie słońca, który ludzie starej daty określają mianem "czerwonej pogody".

Przyszłość zarzyła się, gdy myślałem o trzech miesiącach treningu w Quantico trzydziestu latach pracy na złotą odznakę FBI.

Tak długo wydawało się niemożliwe zostanie wywiadowcą, a teraz ta perspektywa śmiała tańczyła przede mną niczym debiutantka wiosennego kadryla.

2

Akademia

Dwa tygodnie później, 27 marca 1987 roku, po wręczeniu kongresmanowi rezygnacji, pożegnałem się, spakowałem resztę moich biurowych manatków do skórzanej teczki i opuściłem system legislacyjny Stanów Zjednoczonych.

W kieszeni na piersi spoczywała cienka kartka, na której ktoś z Kwatery Głównej FBI napisał na maszynie plan mojej przyszłości.

"Zostaje pan przyjęty na okres próbny do podlegającego Departamentowi Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych Federalnego Biura Śledczego jako specjalny agent, w stopniu GS-10, z pensją wynoszącą 24 732 dolary rocznie, minus konieczne potrącenia na cele emerytalnej opieki medycznej", brzmiała treść tej notatki.

Te lapidarne zdania zawierały zastrzeżenie, że przyjęcie do Akademii na okres trzynastu tygodni na trening dla nowych agentów nie miało prawie żadnego

znaczenia.

Jeśli z dwóch egzaminów w Akademii otrzymam osiemdziesiąt pięć punktów lub mniej, to zostanę wylany.

Jeżeli nie potrafię uzyskać w strzelaniu pozwalających na zakwalifikowanie się osiemdziesięciu punktów, towskażą mi drzwi.

Gdy nie dostanę co najmniej osiemdziesięciu punktów w programie ćwiczeń fizycznych, to dowidzenia.

Innymi przyczynami wylania mogły być zachowanie niegodne agenta, niewłaściwa postawa, "nieumiejętność dostosowania się" (cokolwiek miałyby to znaczyć), brak otwartości i ogólny brak uzdolnień.

W liście było też napisane: "Niniejszy okres próbny może ulec odwołaniu lub przełożeniu na inny termin w dowolnym czasie poprzedzającym rozpoczęcie przez pana pełnienia obowiązków.

Zważywszy, że niniejszy okres próbny ma trwać rok, konieczne będzie, aby w tym czasie wykazał pan gotowość kontynuowania pracy w Federalnym Biurze Śledczym, wraz z pozytywnym zakończeniem treningu dla nowego agenta, który odbędzie się w Quantico w stanie Wirginia".

W bazie morskiej w Quantico mieści się Akademia FBI (przyp. tłum.

).

Akademia 43

Jeśli to beznamienne powitanie zawierało choć odrobinę podniecającego pierwiastka, to i tak nie mogłem się tym z nikim podzielić.

"Listten - jak napisał urzędnik z działu personalnego - jest ściśle poufny i jego treść nie może być podana do publicznej wiadomości".

Zaraz, chwileczkę, pomyślałem sobie, usiłując doszukać się jakichś dowodów gratulacji w tym biurokratycznym żużlu.

Dopiero co wraz z żoną sprzedaliśmy nasz odnowiony dom na wzgórzu obok Kapitulu, obydwójmy zrezygnowaliśmy z pracy i z opieki medycznej, którą zapewniało nam nasze zatrudnienie, z koncertów w Smithsonian, z naszych przyjaciół.

Mieliśmy małe dziecko i następnego w drodze.

Wszystko, w co zainwestowaliśmy nasze życie, zawisło na cienkiej nitce

stanowiącej część sznurka, z który pociągał urzędnik państwowy, a gdyby mi się nie powiodło, to bylibyśmy zrujnowani.

Powrót do jakiegokolwiek odzyskania poczucia własnej wartości z pewnością wymagałby drugich nocnych przemyśleń nieustannego wystawiania się na żer kruców. W pierwszą niedzielę kwietnia opuściłem mój dom na Kapitolu, niosąc czarny płaszcz z ubraniami, czując wielką, niemal uniemożliwiającą mi oddychanie gulę w gardle i nie zważając na przeszkody, jakimi usiana jest droga do sukcesu.

Pojechałem na południe autostradą 1-95 aż do punktu, w którym mały znak nieopodal zjazdu numer 132 nakazywał skręcić na zachód.

Pięć mil od autostrady, w samym środku bazy piechoty morskiej w Quantico, odnalazłem gmach Akademii FBI.

Najzwyczajniej wyłonił się z lasu, gdy skręciłem na wąską dwupasmówkę.

Moje wyobrażenia o uzbrojonych strażnikach, budkach wartowniczych koło bram i ukrytych, nadzorujących wszystko kamerach zostały zastąpione widokiem sosnowej taśdy. Niewidać było floty nieoznakowanych samochodów policyjnych, drzwi z tabliczkami "Ścisłe tajne" lub otoczonych ogrodzeniem budynków, z których wyrastałyby złowrogie anteny.

Z wyjątkiem dość wymyślnego kompleksu Jednostki Szkoleniowej Broni Państwowej, całorzucony na czterystu osiemdziesięciu akrach kampus zbudowany z brązowej cegły i szkła bardziej przypominał wyglądem zadbanej państwowej szkoły średniej aniżeli siedzibę oddziałów specjalnych.

480 akrów - 192 hektary; 1 akr - 0,4 hektara (przyp. tłum.

)..

44

Zimny strzał

Tabliczka wisząca już w środku, niedaleko głównego wejścia, informowała o ascetycznych urokach Akademii.

Kompleksten kazałbudować na początku lat siedemdziesiątych sam Edgar Hoover jakosiedzibę państwowej akademii dla wyższej rangi urzędników strzegących poszanowania prawa.

Przestrzeganie prawa to biznes oparty nadyscyplinie, a w Akademii nie traconoczasu na bzdury.

Kiedy dojechałem, było już późne popołudnie.

Odnalazłem swojenazwisko na wyłożonej na biurku liście rekrutów i zgodnie z wytycznymi poszedłem do mojego nowego lokum, znajdującego się naszóstym piętrze budynku noszącym nazwę Madison.

Tam znajdowały się nasze sypialnie.

Warunki mieszkaniowe przedstawiały się spartańsko, jaki reszta urzędów.

Trzydziestu ośmiu kandydatów na agentów87-10 mieszkało na tym samym piętrze w dwuosobowych pokojach,połączonych wspólną łazienką.

Każdy nowy agent miał do swojejdyspozycji biurko, szafkę na ubrania i pojedyncze łóżko.

Ręcznikami mieliśmy własne.

Gdy tam dotarłem, większość uczestników mojej grupy była już namiejscu.

Przedstawiliśmy się sobie nawzajem dość pobieżnie: uścisk dłoni, imię, miejsce pochodzenia, stan cywilny, liczba dzieci, ostatnie zajęcie.

Każdy z nas miał przy tym ten sam surowy wyraz twarzy, starając się w ten sposób wyrazić pewność siebie.

Zrobiłem to samo, aczkolwiek żadne poczucie przynależności nie opuściło mnie gdzieś na południe od Aleksandrii.

Dreszczyk chęci przeżycia przygody, który sprowokował mnie do podjęcia tej decyzji, zmalął w porównaniu z poczuciem winy, które odczuwałem z powodu pozostawienia rodziny samej sobie.

Zanim dotarłem do mojego nowego domu w pokoju 620, uściśnąłem kilkadziesiąt dłoni.

Kiedy już wszedłem do środka, rozpakowałem się, poczytałem chwilkę, a potem wlałem na łóżko i gapiłem się w biało-niebieski sufit, czekając.

Czekałem, kiedy znowu zobaczę swoją rodzinę, kiedy rozpoczną nową pracę, na ocenę dokonanego wyboru.

A właściwie tonie wiem, na co czekałem.

Po tych woltach, jakie wykonałem w zeszłym roku, wydawało się, że postępuję właściwie.

Minęła północ i w budynku zapadła cisza, a ja wciąż leżałem nałóżku.

Nie zmrzyłem oka.

W poniedziałek szkolenie nowych agentów rozpoczęło się w sali 211 od oficjalnego powitania ze strony zastępcy dyrektora Akademii.

Do sali

Akademia<sup>45</sup>

wkroczył wysoki mężczyzna imponującej postury w towarzystwie kilkunastu kolegów i wykonał gest, który zawsze odradzałem swojemu poprzedniemu szefowi - założył ręce do tyłu, co miało oznaczać jego wyższość.

Wicedyrektor zapewniał nas, dokładnie waząc słowa, że jeśli nie będziemy spisywać się zgodnie z oczekiwaniami FBI, to w następnym weekendowym wydaniu "The Washington Post" zaczniemy wertować ogłoszenia w rubryce "Praca".

Przez następne trzydzieści tygodni byliśmy jego własnością.

W ciągu półtora miesiąca nie mieliśmy wolnego ani jednego weekendu.

W nocy wciąż tygodnia pobudki, w soboty zajęcia dopołudnia.

Żadnych wizyt nocnych w naszych pokojach.

Aha, i jeszcze żelazny rygor dotyczący stroju: oficerowie w Akademii mają być ubrani w zielone koszulki polo oraz w spodnie koloru khaki.

Z kolei rekruciz Agencji ds.

Zwalczania Przystępczości Narkotykowej mają nosić szare T-shirty i luźne czarne spodnie wpuśczone w pięknie wypucowane, ciężkie, wojskowe buty.

My chodziliśmy w garniturach.

Pokolacji można było zmienić strój na bardziej sportowy, ale dżinsy były absolutnie zabronione, a szorty dopuszczalne tylko w sali gimnastycznej.

Usiadłem w tylnym rzędzie na swoim miejscu oznaczonym literą alfabetu i zapatrzyłem się na wzorzec doskonałego agenta FBI.

Na twarzy tego faceta przez cały czas, gdy mówił, nie pojawił się uśmiech.

Czerwono-niebieski krawat utrzymywał jego głowę pod kątem czterdziestu pięciu stopni w stosunku do cienkiego jak brzytwa kołnierzyka marynarki od Brooks Brothers, a za każdym razem, gdy wymawiał litery F-B-I, czoło marszczyło mu się jak flaga

podczas salutowania.

Nawet powietrze wydawało się flaczećw przerwachpomiędzy wypowiedzianymi przez niego zdaniem, jakby oczekiwało na wezbranie przedjego następną,opatrznościową myślą.

Ten człowiek numer dwa w Akademii stanął sobie przy bocznychdrzwiach i nawet nie próbował nas zainteresować.

Doradcy klasowiustawili się pod tylną ścianą przy stojakach na flagi, pomiędzy naszymi instruktorami, którzy przedstawił się, wymieniając nazwisko oraz tytuł - agent specjalny na stanowisku kierownika.

- A to skurwysyny, są super- wymamrotałem.

Wicedyrektor skończył zniknął, a wówczas z tylnego rzędu wyszedł równie wysoki, białymężczyzna, przeszedł na przód klasy i obrzucił nas niemal jadowitym wzrokiem.

Zamarliśmy.

Było jasne, że tokoniec wszystkich przyjemności.

Na twarzy tego faceta było wypisanepiętno śmierci, takiej, o jakiej czytałem w Piekło Dantego.

46Zimny strzał

- Nazywam się Ronald C.

Dirkson i jestem specjalnym agentemna stanowisku kierownika - powiedział.

- Przenajbliższe trzynaścietygodni będę waszym doradcą.

Ci z was, którzy wytrwają tu dostatecznie długo, mogą zwracać się do mnie "sir".

Twarz pana Śmierć zastygła na chwilę w bezruchu, niczymobliczeMefistofelesa na skraju ogromnej przepaści.

Nikt z nas nie oddychał, z obawy przed zmarnowaniem rozrzedzonego powietrza.

Całasała zamarła ze strachu przed tymczłowiekiem.

- FBI wyznaje trzy zasady: Wierność, Męstwo i Prawość - tu zrobił pauzę, aby ta myśl zapadła nam w pamięć - i tak brzmi waszepierwsze i drugie imię oraz nazwisko.

Teraz jesteście częścią składowąprywatnej armii panaHoovera.



Jeśli przynieśliście tu ze sobą jakieś prywatne sprawy, to one już nie istnieją.

Wszelkie wasze aspiracje są własnością FBI.

Od tego momentu należycie do mnie, aja.

W jego oczach zaszła zmiana, tak jak po nocy wyłania się brzask.

-...ja.

Jego szerokie ramiona ukryte w granatowym gamiturze zaczęły podnosić się i opadać.

- ...

przysięgam na Boga, ten gość wziął to sobie zbyt do serca.

Po czym wybuchnął tak donośnym śmiechem, że musiał odwrócić się od nas, abyśmy nie zauważyli, że pociekły mu z oczu łzy.

- Przepraszam - powiedział - ale widzę, że niektórzy z tu obecnych podeszli do tego całego gówna, które mówię, nieco zbyt serio.

Od tego momentu z pełnym przekonaniem rozpoczęliśmy nasze szkolenie w zakresie nieco subtelniej szych stron życia za pomocą broni i kamuflażu.

Roń i dwaj pozostali doradcy klasowi przebywali z nami dzień i noc, aby upewnić się, że mamy wszystko, co trzeba, byśmy poznali zasady wtajemniczenia.

Większość z nich uczyliśmy się w czasie długich godzin na wykładach i na zajęciach praktycznych z bronią, ale mnóstwo poznawaliśmy przy piwie i w miejscowej świetlicy.

Wykładowcy Akademii troszczyli się o jedno: przekształcenie cywilów w agentów, a Roń służył nam przewodnikiem.

Pod koniec drugiego tygodnia większość tajemnic, jaką owiany był wizerunek FBI, rozwiła się, zmieniając się w obowiązujący od siódmej rano do siedemnastej regulamin akademickich wykładów, taktyki obrony i zapoznawania się ze wszystkimi tajnikami broni.

Każdy dzień rozpoczynał się o siódmej rano śniadaniem, po czym następowały cztery godziny szkolenia w terenie, następnie przerwa na lunch i znów za

r

Akademia 47

jęcia co najmniej aż do kolacji, czyli do siedemnastej.

Przez wiele dni pracowaliśmy dopóki w nocy, ćwicząc strzelanie przy nikłym świetle, dokonywanie aresztowań w obliczu dużego ryzyka i zwiad nocne.

W przerwach znajdowaliśmy czas na uczenie się do egzaminów, które następowały nieustannie jeden po drugim.

Co najmniej raz w tygodniu cała nasza klasa zbierała się w celu przejrzenia notatek i upewnienia się, że ci spośród nas, którzy są najsłabiej przygotowani, następnego dnia dadzą sobie radę.

Jak to było napisane w listach, które otrzymaliśmy wcześniej z Akademii, uzyskanie z jakiegoś kursu 84 punktów lub mniej oznaczało poprawkę i karę.

Natomiast jeśli nie udało się uzyskać 85 punktów na egzaminie i podobny wynik miał się następnego egzaminu - wylatywał.

Chociaż większość z nas spodziewała się, że szkolenie nowych agentów rozpocznie się od ćwiczeń z bronią palną, to zaczęło się od zapoznawania się ze sprawą fundamentalną dla przestrzegania prawa - od Konstytucji.

Nasz instruktor prawa zainaugurował swoje wystąpienie mocnym przypomnieniem:

- Wszystko, cokolwiek robicie od chwili ukończenia szkoły do momentu przejścia na emeryturę, będzie dotyczyło tego dokumentu - powiedział.

- I na tym właśnie polega przestrzeganie prawa.

Następnie zrobił nam drobiazgowy wykład o przysługującej każdemu ochronie prawnej i swobodach, jakie gwarantuje nam ten wspaniały dokument, a w końcu poparł swoje słowa przykładami.

I chociaż mówił powoli i jasno, z erudycją człowieka dobrze obeznanego z prawem, dowcip gościł na każdym z jego wykładów.

Wszystkie kule świata i cała jego zuchwałość nie odniosą zwycięstwa w sądzie, w którym rządzi prawo.

Praca agenta FBI polega na badaniu potencjalnego naruszenia prawa federalnego, dokonywaniu (gdy trzeba) aresztowań, a następnie na towarzyszeniu następującemu po tym postępowaniu sądowemu.

Wszystko to, co w naszej pracy jest związane z bronią, kajdankami i pościgami w szybkich samochodach, to tylko show.

Codziennie poznawałem nowe słowa, jak "zaniedbanie obowiązku doniesienia o przestępstwie", "działka przyzagrodowa", "przysięga świadka", "delikt", a co noc wkuwałem prawo zwyczajowe, próbując zrozumieć, dlaczego wolno nam szukać kogoś, kto obrabował bank, w domu jego siostry, ale nie wolno nam przeszukać tego domu

bez nakazu rewizji.

Na zajęciach dyskutowaliśmy w grupach o korzyściach,  
JL.

'w

48Zimny strzał

jakie dają prawa Mirandy, i jak, w przeciwieństwie do tego, co głośno w telewizji, nie musimy z nich korzystać, o ile dana osoba nie znajduje się w chwili przesłuchania w areszcie.

Nie jestem pewien, czy zgłaszając się do FBI, spodziewałem się, że będzie tu panować taki rygor, ale zaczęło mi się to podobać.

Zanim pierwszy kurs prawa dobiegł końca, trzy osoby z naszej klasy zrezygnowały albo nie zdały, ale wszyscy pozostali brnęli dalej.

Gdy nasz instruktor stał przed nami w sali wykładowej i wyjaśniał, jaka to ciężka praca, wówczas to wyzwanie nabierało sensu.

- Podstawowa różnica pomiędzy waszą pracą a pracą policjanta polega na odpowiedzialności - powiedział.

Już wcześniej poinformował nas, że agenci FBI nie rozpracowują tradycyjnych przestępstw takich na przykład jak morderstwo czy gwałt.

Zaangażowanie służb federalnych wymaga zazwyczaj, aby przestępstwo dotyczyło kilku stanów lub też straty poniesionej przez państwo.

- Sądy federalne rezerwują nam do spraw większej wagi, od przyspieszonego, mającego się odbyć w ciągu czterdziestu pięciu dni procesu aż do sposobu, w jaki podchodzimy do uwięzienia podejrzanego i przedstawienia dowodów.

Popelnicie jeden, jedyny błąd w śledztwie i ława przysięgłych wypuści z powrotem na ulice nawet samego diabła.

Wręczył nam niewielkie książeczki o wymiarach trzy na pięć cali, które miały zilustrować to, co mówił.

Każdy z tych jasnopomarańczowych podręczników zawierał 257 przykładów pogwałcenia zasad prawa federalnego, które podlegały kompetencji FBI.

- Wiele z rozpracowywanych przez nas przestępstw ma bardzo złożony charakter - dodał.

Przebiegłem palcem wzdłuż tej listy, zatrzymując się przy takich przypadkach jak na przykład udawanie urzędnika, do którego zadań należy zajmowanie się młodzieżą, naruszenie ustawy o migracjach ptaków lub przewożenie przez granice stanów lodówki niespełniającej norm bezpieczeństwa.

W prawodawstwie Stanów Zjednoczonych jest to prawo do bycia poinformowanym o skutkach prawnych współpracy z policją podczas aresztowania.

Jeśli policjant nie udzieli zatrzymanemu tej informacji, wówczas jego zeznania mogą nie stanowić dowodu w sprawie (przypr.

tłum.

).

r

""W""^fffiWSB""""W

Akademia 49

- Musicie znać części składowe danego przestępstwa, dowieść ich poza wszelką wątpliwość i stanąć przed ławą przysięgłych.

Jeśli na moim kursie uzyskacie 85 punktów, to zdaliście, ale naniec się wam tonie przydaw obliczu ławy przysięgłych.

Tam musicie być pewni swego na sto procent.

Zrozumiałem.

Te małe pomarańczowe książeczki omawiały też przestępstwa takie jak szpiegostwo na rzecz innych państw, napad na bank, przewóz przez granice stanów skradzionej cudzej własności oraz handel narkotykami.

Od tej chwili zacząłem zwracać baczniejszą uwagę na wszystko, co mówił nam próbujący zanudzić nas na śmierć instruktor do spraw prawa bankowego.

Mężniej walczyłem z sennością na wykładach, na których menedżerowie z kwatery głównej wyjaśniali, w jaki sposób możemy schwytać dealera narkotyków, nie przedstawiając mu zarzutów.

A nawet z nowym przyływem wigoru przetrwałem kurs identyfikacji linii papilarnych, zdając sobie sprawę, że różnice pomiędzy ich układem na wzgórku dłoni na poduszczykach mogą pomóc mi złapać kogoś z listy dziesięciu

najbardziej poszukiwanych przestępców.

FBI było odpowiedzialne i przestrzegało zasad.

I to miało sens.

W tym zamkniętym świecie FBI nasza rola stawała się z każdym dniem coraz jaśniejsza.

Na zajęciach z łączności dowiedzieliśmy się, że oddziały FBI są rozrzucone po całych Stanach Zjednoczonych: jest 56 biur terenowych i 126 satelickich agencji rezydenckich (RA).

Naczelnikiem każdego biura terenowego stoi naczelnik (SAC) oraz jeden lub kilku jego zastępców (ASAC).

Jednostkami dowodzą szefowie, którzy nadzorują codzienne zajęcia.

Chociaż każdy SAC podejmuje decyzje odnośnie do spraw na swoim terenie, to jednak większość tych najważniejszych zapada w Kwaterze Głównej FBI w Waszyngtonie, gdzie ponad tysiąc agentów kierowniczego szczebla nadzoruje praktycznie wszystkie poczynania biura.

Linia dowodzenia jest dokładnie nakreślona.

Dyrektor Agencji nadzoruje swojego zastępcę, któremu z kolei podlega kilku wicedyrektorów (ADIC), a im - szefowie wydziałów, którzy mają pod sobą kierowników.

Od tego punktu ta piramida władzy rozpełza się w biurokratycznym łożu biblijnych rozmiarów.

Głęboko pod tymi warstwami kierowniczymi znajdują się działający na ulicy agenci, którzy odwalają większość roboty.

Funkcjonują oni.

50 Zimny strzał

na zasadzie szeregowych współpracowników, dbając o interes przez pielęgnowanie kontaktów z informatorami, reagując na doniesienia o przestępstwach i węsząc przypadki przekroczenia władzy.

Godziny pracy to siódma-osiemnasta, ale o tym rozkładzie decydują wydarzenia, które nie baczą, czy jest to noc, święto czy też weekend.

Gdy jest coś do zrobienia, to trzeba pracować.

W praktyce dzień roboczy agenta koncentruje się na podstawowym śledztwie.

Każdy agent jest przypisany do jednostki i otrzymuje kilka spraw, w zależności od dziedziny i wagi przestępstwa.

I tak na przykład jeden agent może pracować nad jakąś ważną sprawą przez kilka lat, podczas gdy inny rozpracowuje równocześnie trzydzieści lub czterdzieści drobnych. Sama praca nad jakąś sprawą bywa już nieco bardziej skomplikowana.

Każda kryminalna sprawa wymaga założenia dla niej osobnej teczki (mają one białobrązowe okładki) i skatalogowania według biura, które nią się zajmuje, oraz rodzaju przestępstwa.

Jeśli na przykład w Cleveland wydarzy się wypadek na bank, wówczas "rotor" (tak w slangu FBI określa się urzędnika pracującego w oddziale zarządzania zbiorami) zajrzy do swojej małej pomarańczowej książeczki i przylepi na teczkę sprawy etykietkę z numerem klasyfikacyjnym 91 A.

Po czym dopisze jeszcze inicjały swojego oddziału, a następnie numer, jaki jest przypisany danemu wykroczeniu.

W tym konkretnym przypadku na teczce będzie napisane: 91A-CD-21338, a rezultaty wszystkich późniejszych śledztw związanych z tą sprawą zostaną w niej umieszczone.

Akta każdej sprawy to stos papierów, wśród których znajduje się łańcuch formularzy z aresztu, dzienników prowadzonych obserwacji, zapisów z nadzoru elektronicznego (ELSUR), nakazów rewizji, oświadczeń złożonych pod przysięgą i setki innych druków FBI, o których nigdy nie usłyszysz, dopóki nie znajdziesz się w sądzie.

Akta FBI zawierają niektóre z najsłynniejszych spraw historii Stanów Zjednoczonych, w tym między innymi dotyczące porwania dziecka Lindbergha, zabójstwa Kennedy'ego i zniknięcia Jimmy'ego Hoffy.

Raporty na temat hollywoodzkich sław, spelunek oraz wynajętych przez mafię morderców spoczywają sobie anonimowo w pokrytych kurzem szafach.

W rzeczywistości wszystkie sprawy, jakimi kiedykolwiek zajmowało się FBI, trafiają do jednej lub więcej teczek i powieki wieczne mogą być narażone na badanie przez historię i pytania o Ustawę o Swobodzie Informacji lub ze strony Sądu Najwyższego.

Akademia51

Zdaniem naszych instruktorów to nieustanne badanie jest powodem, dla którego tak ważne we wszystkim, co robimy, są precyzja, sumienność i prawda.

Począwszy od pierwszej rozmowy aż do ostatniego słowa wypowiedzianego z miejsca dla świadków, każdy gest znajduje odzwierciedlenie w aktach w postaci takiego albo innego dokumentu FBI.

Rozmowy w celu ustalenia dowodów są dokumentowane na FD-302, a niezewidencjonowane informacje zapisywane są w notatkach dowodowych.

Wszelkie dowody materialne oznakowuje się jako FD-427 i przesyła do laboratorium.

Vouchery podrózne opatrzone są symbolami FD-540.

Tę listę można by ciągnąć w nieskończoność.

Nawet spis z numerami katalogowymi wszystkich dokumentów opatrzonych symbolem FD ma swój numer - także pod symbolem FD.

Jednak pracą papierkową to tylko przerzucanie papierków, tymczasem tajemnice zbrodni można rozwiązać wyłącznie na ulicy, i w tym zakresie szkoliła nas Jednostka Szkoleniowa Kryminalistyki i Nauk Sądowych (PAU).

Na początku trzeciego tygodnia zabrano nas do Hogan's Alley, miasta zbudowanego w naturalnej skali z realizmem obowiązującym na podwórku Universal Studios.

Wjeżdżając tam, nigdy byś się nie spodziewał, że ta senna społeczność ma najwyższy w kraju współczynnik przestępczości.

Przejeżdżasz obok motelu Dogwood Inn, teatru "Biograph" i Banku Hogana oraz wszechobecnego parkingudla ciężarówek i wyobrażasz sobie, że jesteś bezpieczny, ale po kilkunastu minutach dostrzegasz, że wszędzie tam rządzi przestępczość.

FBI zbudowało Hogan's Alley jako swego rodzaju park rozrywki, w którym obcuje się z przestępczością i zbrodnią, i spędziliśmy tam mnóstwo czasu na zajęciach, podobnych do tych, które oferuje magazyn "The E-Ticket".

Przeważająca część treningu, jaki nam zafundowano, bazowała na opracowanych przez instruktorów scenariuszach, opartych na ich własnych doświadczeniach.

Profesjonalni odtwórcy ról odgrywali przestępstwa bazujące na szczegółowych scenariuszach, a agenci-nowicjusze wypróbowywali umiejętności, których nauczyli się podczas szkoleń.

Swojego pierwszego aresztowania dokonałem na Main Street.

Strzeliłem z broni kalibru .

32 kulą z farbą w nogę podczas nieudanego zatrzymania na tyłach magazynów samochodu użytego w trakcie przestępstwa.

Brałem udział w sprawiającej realistyczne wrażenie scenie przestępstwa.

Wszystko działo się w pokoju w motelu Dogwood Inn wtedy, podczas fikcyjnego napadu na bank, nauczyłem się, jak niezwykle ryzykowne.

52 Zimny strzał

jest przeszukiwanie zatrzymanego, kiedy nagle sięgnął on do kieszeni i strzelił mi w tył głowy z atrapy broni kalibru .

22.

Kolosalną różnicą między Hogan's Alley i prawdziwym miastem było to, że moje błędnie kosztowały mnie życia.

Poznałem wagę techniki przeprowadzania akcji i znaczenie ostrożności.

W ciągu następnego dziewięciu tygodni instruktorzy z PAU zapoznali nas ze wszystkim: od kontrolowania informacji przekazywanych za pośrednictwem telefonów komórkowych po wielkie ryzyko, jakie wiąże się z pokonaniem wejść do budynków.

Nauczyliśmy się śledzić (w cztery lub pięć samochodów na przemian) dany pojazd ten sposób, by osoba śledzona nigdy nie mogła zobaczyć naszych twarzy.

Zdarzało się, że nasi instruktorzy długie godziny wlekli nas za sobą po drogach północnej Wirginii, a my staraliśmy się za nimi nadążyć, a równocześnie się nie zdekonspirować.

Kiedyś, śledząc jakiś "obiekt", za którym wszedłem do miejscowego baru i obserwowałem, jak gra w poola, otrzymałem cenną lekcję.

I chociaż on prawdopodobnie nie dostrzegłby, jak usiadłem przy barze, to barman mnie zauważył.

- Uwaga, wszyscy!

- krzyknął, gdy zamówiłem colę.

- Mam tu jednego z tych agentów - żółtodziobów.

Pij sobie colę.



Biorąc pod uwagę, że w tym roku przez Akademię pobliskie miasta przeminęło ponad sześćset nowych agentów, sądzę, że nie tylko agenci pobierali tu naukę. Czasem wliczyliśmy, jak wchodzić do pomieszczeń, oraz technikę oczyszczania pola. Używaliśmy do tego celu broni na pociski z farbą.

- Jeśli masz zaatakować kąt jakiegoś pomieszczenia, to przeprowadzaj atak po trochu, tak jakbyś odskubywał ciasto pokawałeczku!

- wrzeszczał nasz instruktor, zbliżając się do narożnika powoli, starając się pokazać nam, jak dostać się do nieznanego miejsca i nie wpaść w zasadzkę.

- Lufę kieruj w dół, a nie w sufit.

To niesą żadni pieprzeni policjanci z Miami!

Obserwowano nas też badawczo, gdy zakuwaliśmy podejrzanych w kajdanki.

- Ręce muszą mieć puste.

I żeby nie stał stabilnie.

Zanim zbliżysz się do obiektu, zawsze przedtem odepnij kaburę rewolweru - mówili.

Większość technik poznawaliśmy na osobnych zajęciach z taktyki obronnej, ale instruktorzy PAU podpowiedzieli nam jeszcze kilka bardzo pomocnych trików.

Na przykład taki, że kajdanki mogą stać się

Akademia 53

śmiercionośną bronią, gdy zakujesz w niego podejrzanego, a on się z niego wolni.

- Widziałem kiedyś, jak facet dzielił glinę kajdanki prosto przez szczękę - powiedział instruktor.

- Dlatego nadzieję go na haczyk jak rybę i nie spuszcza z oka, dopóki nie nałożysz mu kajdanek na obie ręce i nie przekręcisz kluczyka w obu zamkach.

Na porarciętych słów zatrzasnął kajdanki firmy Peerless na przegubie jednej ręki, a na drugiej, luźno zwisającym końcem wałności się.

Przebiły gipsową ścianę i zatrzymały się natkwiącym w niej gwoździu.

Wątpię, czy ten pokaz ucieszył administrację budynku, ale nam wbił do głowy ważną zasadę: nigdy nie spuszczać oka niezapiętej jeszcze połowy kajdanek.

I przestrzegałem jej, ilekroć kogoś aresztowałem.

Instruktorzy udzielali nam odpowiedzi na takie pytania, które nawet nie

przyszłyby nam do głowy, na przykład co zrobić z bronią, gdy musisz skorzystać z

toalety?

- Przecież nie możesz powiesić jej nahaczyku, na którym wieszasz ubranie.

Rozepniesz klamrę pasa, to broń upadnie na podłogę, strasząc faceta, znajdującego się w kabinie obok.

A co gorsze, jeszcze może wystrzelić, zamieniając sedes w stertę potrzaskanej porcelany.

Wierzcie mi, że zdarzały się takie przypadki.

Doprawdy tym nie pomyślałem.

I znowu innasprawa, podstawowa, nad którą większość ludzi się nie zastanawia-jak tak na co dzieńnosić broń?

- Pistolet ma znajdować się w waszych spodniach i to dokładnie w kroku - informował nas instruktor.

- Panie w związku z tym powinny przemyśleć kupno odpowiedniej bielizny.

Inne dziedziny zainteresowań dotyczyły takich spraw, jak na przykład, czy krawiec ma wszyć ci do marynarki dodatkową warstwę podszewki, aby rękojeść rewolweru nie przetarła dziury w materiale, czy też jak nosić dokumenty osobiste w prawej kieszeni na piersi, tak aby można było łatwo po nie sięgnąć lewą ręką, równocześnie witając się kimś i ściskając mu dłoń prawą.

Gdy podjeżdżasz do jakiegoś samochodu, patrz w tylne lusterko.

Z czyichś oczu można wiele wyczytać.

Zanim włożysz rękę do czyjejś kieszeni, najpierw ostrożnie ją obmacaj z zewnątrz.

To nic zabawnego nadziać się na igłę albo na otwarty nóż.

Nigdy nie stawaj w otwartych drzwiach, gdyż padające z tyłu światło czyni z ciebie doskonały cel.

54 Zimny strzał

I tak dalej, i tak dalej.

Te lekcje dotyczyły każdego aspektu życia agenta federalnego.

- Nie zapominajcie, że wszystko, czego się tu uczyacie, to tylko mała przekąska - powiedział jeden z instruktorów, przestrzegając nas przed obdarzaniem kogoś

nadmiernym zaufaniem.

- Nie będziecie wiedzieli, o co tak naprawdę chodzi w tej pracy, dopóki nie spędzicie sześciu miesięcy, harując po czternaście godzin dziennie, aby złapać jakiegoś pieprzonego dupka, który napadł na bank, a wasz szef wieszawał za jaja z powodu zaginięcia głupiego formularza.

Wreszcie podczas przyjęcia urodzinowego waszego dzieciaka nagledzwonił telefon i dowiadujecie się, że tego poszukiwanego przez was faceta właśnie widziano w domu jego dziewczyny - tej samej, która klęsa się na wszystkie świętości, że nie ma pojęcia, gdzie on jest - no i idziesz go złapać.

A dwie godziny później, zanim jeszcze zdążyłeś odwalić całą papierkową robotę w sądzie, on wpłaca kaucję i wychodzi na wolność.

A potem następuje zgadywanka, czy adwokat tego zasranego ptaszka wnieśli cywilne oskarżenie przeciwko tobie o pogwałcenie praw jego klienta, czy też nie, albo też twój szef wręczył naganaę na piśmie za to, że dokonując aresztowania, zaparkowałeś swój samochód obok innego samochodu, a nie za nim.

Ta praca to ciężki zapieprz, a równocześnie jest to najlepszy okres w twoim życiu - nie schrańcie jej, pozostawiając nam naprawianie tego gówna.

Gadki takie jak ta sprawiały, że zaczynałem się wahać, czy niezrezygnować z tego zawodu.

Nic, cokolwiek dotychczas robiłem w Waszyngtonie, nie mogło się równać z trzygodzinnym atakiem na narkotykową melinę, z wyciągniętą bronią, ramieniem przyciśniętym do sądownego nakazurutowania świata w kieszeni.

Żadne przemówienie ogłoszone na lunchu w Rotary Club ani też informacja dla prasy o suplemencie do projektu ustawy o przeznaczeniu funduszy celowych nie przynosiły takiej satysfakcji, jaką dawało mi jedno, pojedyncze aresztowanie przestępcy.

I to wystarczyło.

Żadnych więcej wahań ani żalu.

Pod koniec pierwszego miesiąca pobytu w Akademii wszystkiemu sprawie się wyprostowały.

Rosie zamknęła nasz dom w Waszyngtonie i pojechała do New Hampshire do moich rodziców, aby zostać z nimi, aż ukończy Akademię.

Akademia55

Egzaminy były co tydzień, a moje oceny nie dawały powodu do obaw.

Codzienne ćwiczenia sprawiły, że moja sylwetka prezentowała się tak jak w czasach, gdy jeszcze byłem w college'u.

W miejscowej kawiarence mogłem kupić wszystko, co lubię, i nigdy nie musiałem zmywać naczyń.

Pokojówki nawet raz w tygodniu sprzątały nasze łazienki i zmieniały bieliznę pościelową.

Wszystkie złe przeczucia, jakie miałem pierwszego wieczoru, w dniu przyjazdu do Akademii, stwardniały, tworząc szczelny pancerz do przebycia.

Także nasza klasa umocniła się jako całość, dumna z osiągnięć jednostek i zespołu.

I wtedy nastąpiło realne zagrożenie.

Pewnego jasnego, słonecznego dnia kazano nam pomaszerować do magazynu broni i każdy z nas otrzymał prawdziwą broń wraz z amunicją.

Wychowanie na prowincji i w rodzinie, w której było wielu myśliwych, wyrobiło we mnie szacunek dla broni, ale nigdy nikt nie udzielał mi żadnych wskazówek, jak się z nią obchodzić.

I to wszystko uległo zmianie w ciągu kilku minut, kiedy to Roń kazał wszystkim nam usiąść i mieliśmy pierwszą lekcję na temat rewolwerów.

Czuło się napięcie, gdy do sali wszedł nasz pierwszy instruktor od broni palnej, Danny, stary weteran akcji pościgu za rabusiami, którzy napadli na bank w Filadelfii.

- Dzień dobry - powiedział.

Od tego dnia każdy z nas dostał rewolwer Smith and Wesson model 13 z trzycalową łufą kalibrze .

357. Broń automatyczna wciąż była uważana za niepewną i zbyt skomplikowaną, aby używać jej codziennie.

Danny sięgnął do kabury i wyciągnął lśniący egzemplarz.

I nagle cała sala wypełniła woń Hoppes nr 10 - rozpuszczalnika do czyszczenia broni i drewna orzechowego, z którego była wykonana rękojeść pistoletu.

- Przez najbliższe dwadzieścia albo trzydzieści lat będziecie nosić taki rewolwer przy sobie zawsze, gdziekolwiek będziecie.

Będzie z wami w czasie podróży samolotem.

Weźmiecie go, idąc z rodziną do miasta do dobrej restauracji, jak również na rozgrywki szkolne po ukończeniu przez waszego dzieciaka trzeciej klasy. Mówiąc to, przez cały czas trzymał pistolet w górze, jak gdyby było eksponat w szklanej gablocie.

- To straszna odpowiedzialność.

Cała klasa była pod wrażeniem, począwszy od podniecenia, które na przykład ogarnęło mnie - uważałem, że wszystko to jest.

## 56 Zimny strzał

wspaniałe - a na takich, którzy z przerażenia niemal srali w gacie, skończywszy.

- Coś wampowiem: możemy nauczyć was, jak się z tego strzela, jak należy go czyścić i jak trzeba go nosić - tu przez chwilę zrobił pauzę - ale jest jedna rzecz, której nikt was nie potrafi nauczyć, a mianowicie jak należy się nim posłużyć, aby odebrać innemu człowiekowi życie.

W tym momencie zapadła cisza.

- Nieważne, czego się tu nauczycie - powiedział Danny.

- Za kilkamiesiący wróćcie do społeczeństwa z umiejętnością zabicia człowieka przez naciśnięcie na spust.

Ataki czyn może sprawić, że będziecie wleczli sobą ciężki bagaż.

Trzydzieścioro oczu skupiło wzrok na rewolwerze, który trzymał pewnie w ręce.

- Tak.

W przyszłym miesiącu miną cztery lata, jak zastrzeliłem człowieka.

Poczułem kulę w przełyku.

Patrząc mu w oczy, widziałem swoje własne odbicie, jeszcze jako małego chłopca, który będąc w szkole podstawowej, zastrzelił swojego pierwszego jelenia.

Pamiętam, jakie to uczucie, sprawić, że coś większego od ciebie leży bez ruchu, i widzisz, jak życie gaśnie w jego oczach.

Ale to było zwierzę, a nie mówiło człowieku.

- Wiecie, co teraz zrobię?

- Danny patrzył badawczo na klasę, nagle ożywiony dawką altruizmu.

-Pójdę sobie korytarzem na kawę, a kiedy wrócę, to chcę, żebyście już wiedzieli, czy chcecie znaleźć się w sytuacji, gdy będziecie musieli wyciągnąć broń, spojrzeć innej istocie ludzkiej w oczy.

i zabić ją.

Bo o totu chodzi.

Nie chcemy, żebyście ukończyli Akademię i nosili broń po to, aby chwalić się nią przed kolegami.

Chcemy, abyście wyszli stąd świadomi, że broniąc życia własnego lub kolegialboteż kogoś, kogo nigdy nie spotkaliście, będziecie musieli użyć śmiercionośnej siły.

- Zabicia człowieka niemożna porównać do strzelania do tarczy.

To nie jest czysta i szybka robota, tak jak to sobie myślicie.

Taki człowiek krwawi, czasem krzyczy, albo, co gorsza - płacze.

Ten facet, którego zastrzeliłem, nie umarł od razu, a dopiero gdy przyjechała karetka pogotowia.

Oddychając, charczał, nie mógł złapać tchu.

Nie chciałem go dotknąć.

Widać było, że cała ta scena wciąż rozgrywa się mu przed oczami.

Te wspomnienia zżerały go, nawet pomimo upływu czterech lat.

Akademia 57

- Gdy wyjdę, musicie podjąć decyzję.

Musicie zapytać sami siebie, czy jesteście gotowi odebrać komuś życie.

Może się to nigdy nie zdarzyć, lecz prawdopodobnie tak nie będzie.

Mnie to spotkało.

Pozbierał się.

- Jeśli macie jakiegokolwiek obiekcje, to musicie zrezygnować.

O wiele lepiej przysporzyć sobie teraz trochę kłopotu, niż za kilka lat odebrać życie jakiejś niewinnej osobie.

Odwrócił się i wyszedł.

Nikt się nie odezwał nawet słowem.

Nikt nie wstał, aby wyjść.

Każdy z nas znał na pamięć wagę, jaką posiada śmiercionośna broń, oraz zasady, zgodnie z którymi wolno ją stosować.

- Agent FBI nie użyje śmiertelności z wyjątkiem sytuacji zagrożenia własnego życia albo śmiertelnego niebezpieczeństwa lub ciężkiego uszkodzenia ciała grożącego innej osobie - uczono nas tego na pierwszym kursie prawa. Uczono nas także, że nie wolno oddawać strzałów ostrzegawczych. Nie wolno też strzelać dla żartu (pakując kule w kąty pokoju, strzelając bronią trzymaną przez kogoś, tak aby wypadła). Podobnie jak umyślnie ranić cel. Według mnie te zasady miały sens. Postrzelić kogoś w nogę albo ramię w sytuacji, gdy on grozi, że cię zabije, jest dla większości niedoprzjęciem. Adrenalina wzbiera ci w żyłach, przyspiesza bicie serca i sprawia, że obraz ci się nieco zamazuje. Mięśnie ramion uciskają tętno szyjną, blokując dopływ krwi do mózgu, i starasz się skupić wzrok na broni, którą trzyma ten drugi człowiek. Przez myśl przebiegają najbardziej nielogiczne myśli, próbujesz znaleźć jakiś sens w sytuacji, w której tylko nieliczni chcieliby się znaleźć. Sprawność motoryczną zanika, pole widzenia zawężasz, a do uszu nie dociera żaden dźwięk. Osiem na dziesięć strzałów padających z broni agentównie trafi człowieka, tak więc największe prawdopodobieństwo odniesienia sukcesu ma się, celując w największą część ciała przestępcy i pociągając za spust, zanim ten człowiek schyli się, upadnie albo zanim zabraknie ci naboju. To tyle na temat dokładności. A teraz spróbuj podjąć decyzję o życiu lub śmierci w czasie, w którym trwa wypowiedzenie tego zdania. Oj, za późno, jesteś martwy. Albo, co gorsza, zabijesz niewłaściwą osobę. I ten błąd będzie cię prześladować do końca życia.

Zimny strzał

Czekając proces, a kary administracyjne mogą cię kosztować miesięczną pensję, albo i więcej.

To jeśli popełnisz tylko niewielki błąd, na przykład przypadkowo wpakujesz zawartość magazynka w oponę zaparkowanego samochodu.

Jeśli zaś przytrafi ci się "niewłaściwy strzał", to grozi ci więzienie, publiczne oczernienie i taka emocjonalna trauma, że nawet sobie nie wyobrażasz.

Możliwe, że przez cały okres służby w FBI nie będziesz musiał wyciągnąć broni, a może też być tak, że podczas jednej gigantycznej jatki postrzelisz pół tuzina osób.

Po prostu będziesz miał fart albo nie.

Jeśli użyjesz broni, to potem biera się rada, bada wszystkie okoliczności (łącznie z faktami, które powinieneś, ale których akurat mogłeś nie znać) i wydaje opinię.

Jeśli uzna, że zawiniłeś, nikt niestanie w twojej obronie.

Gdy Danny wrócił, rozejrzał się i spostrzegł, że nikt nie zważał na jego ostrzeżenie, skinął głową.

- Okay - powiedział.

- Zostaliście ostrzeżeni, więc wiecie, czego możecie się spodziewać.

I od tych słów rozpoczęliśmy niewiarygodnie szczegółowy kurs nauki o najdrobniejszych detalach posługiwania się bronią.

Danny wraz ze swoją kadrą instruktorów uczyli nas struktury.

Zaczęli od tego, co nazywa się pozycją "prządki": jedna noga wysunięta do przodu, jakbyś sztykował się do boksowania, ręka (jeśli jesteś praworęczny, to prawa, a jeśli leworęczny - to lewa) wysunięta do przodu, ramię wyprostowane, natomiast dłońią drugiej ręki obejmujesz dłoń ręki wysuniętej, uważając, by nie dotknąć palca spoczywającego na spuście.

Następnie koncentrujesz wzrok na muszce i powoli naciskasz na spust.

W FBI zakazane jest oddawanie strzałów ostrzegawczych, ponieważ panuje opinia, że stanowi to bardzo dużą pokusę użycia broni.

Adrenalina ma skłonności do obrócenia wniwecz najlepszych intencji, a lata doświadczenia wykazały, że uderzenie dziewięciopuntową kolbą rewolweru Smitha



Wesson czyni cuda i zapobiega oddawaniu strzałów ostrzegawczych.  
Każda lekcja z bronią trwała cztery godziny, bez względu na pogodę oraz porę dnia czy nocy.  
Strzelaliśmy, jadąc samochodami, spoza barykad, nad ogrodzeniami i podniami.  
Strzelaliśmy ze strzelb: remingtonów.  
870, pompek kalibru .  
12 ze skróconymi lufami.  
Danny otwierał jedną skrzynkę z nabojami za drugą, ładując pięcioprzętostrzałowe magazynki tak długo, że aż nam drżały ramiona.  
Kilku w naszej klasie zapomniało, że  
Akademia  
59  
kolbę karabinu trzeba mocno przyciskać do ramienia, i w obcym miejscu mieć podbite oczy.  
Takie strzeleckie triki.  
W dwunastym tygodniu zaprowadzono nas na końcowy egzamin ustawiono w szeregu pięćdziesiąt jardów od celu.  
Ze wszystkich testów, jakie przeszedłem do których się uczyłem, tym martwiłem się najbardziej.  
Ale nie dlatego, że nie zdam, ale że mogę nie wygrać.  
Każdy, kto w dwóch kolejnych rundach strzelania uzyskał przeciętną pięćdziesiąt osiem punktów albo wyższą, zostawał zakwalifikowany do "Klubu Osiągnięć", czyli elitarnego grona nazwisk figurujących na ścianie strzelnicy.  
Spośród dziesiątków tysięcy agentów, którzy od 1908 roku przewinęli się przez FBI, tylko kilkuset dostało tego zaszczytu.  
A ja chciałem, aby i moje nazwisko znalazło się na tej ścianie.  
W dniu egzaminu Danny wręczył każdemu z nas sześćdziesiąt naboży domagnum .  
357 i zasady oddawania strzałów.  
Słyszając brzęczyk, mieliśmy złożyć się do strzału i strzelić sześć razy z wyciągniętej ręki do celu oddalonego o pięćdziesiąt jardów.  
Po ponownym załadunku mieliśmy oddać trzy strzały, ale tym razem z pozycji klęczącej, a wreszcie trzy stojąc.  
Poczym należało podejść na odległość dwudziestu pięciu jardów, a nawet bliżej.

Trzebabyło strzelać szybko, bomieliśmy wyznaczony czas.  
Gdy zabrzmiał gwizdek, wybuchła strzelanina.  
Naciskałem na spustdokładnie tak, jak mnie uczono, koncentrując się nacałym obrazie, jakimiałem przedoczyma, a nie na celu.  
Lufa mojejbroni podnosiła się odbijała wskutek strzału regularniejak metronom.  
Gdy było już po wszystkim,Dannypokazał nam naszewyniki natarczach strzelniczych.  
- Whitcomb: dziewięćdziesiąt dziewięć na sto.  
Ze stu dwudziestu strzałów, jakie oddałem, jeden strzał spartaczyłem.  
Wynik, jaki uzyskałem, choć nieperfekcyjny, to wciąż uprawniał mnie do figurowania na tablicy osiągnięć.  
W ostatnichzmaganiachwymogimiały być surowsze,ale jasię nie bałem.  
Wystarczyło, żebym trafił.  
Trzech z nas miało szansę spróbować itylko jednymusię udało.  
Niestety, tonie byłem ja.  
Pomimo utraconej szansy na uzyskanie nieśmiertelności, wkroczyłem w końcowy etap szkolenia ostry i przygotowany jak każdy agentFBI.  
L.,.

60

Zimny strzał

Gdzieś głęboko w myślach trapił mnie tylko jeden szczegół - gdziebędę pracować?  
Moje podanie oprzyjęcie do FBI poruszało kwestięprzeprowadzkiw inne miejsce z wymowną obojętnością.  
"Rozumie się, że uda się pan zgodnie z otrzymanymi rozkazami dokażdej części Stanów Zjednoczonych lub do Portoryko, w zależnościod potrzeb Biura, i należy jasno rozumieć, że będzie pan pozostawać dodyspozycji, bez względu na to kiedy i gdzie FBI pana wyśle.  
Nie możesz teżpan starać oprzydział zgodnie z własnymi preferencjami".  
To brzmiało wystarczająco prosto: pomimo spraw rodzinnych, jakna przykład kariera zawodowa współmałżonka, niemożność sprzedaniadomu czy też cokolwiek

innego takegoistycznego, jak osobiste preferencje, agenci mogli spać spokojnie, pewni, że jedyne miejsce w Ameryce, do którego nie mogą pojechać, to to, gdzie właśnie chcieliby być.

Moja kariera wyglądała mniej więcej tak samo, jak para gładkich, czerwonych kości do gry tuż przed rzutem.

FBI, podobnie jak Pan Bóg, często działa w tajemniczy sposób.

Wiele z jego dziwnych zwyczajów i nawyków to pozostałości jeszcze z czasów Hoovera, kiedy to dyrektor robił wszystko, co chciał, a 1987 rok to nie były jeszcze tak odległe czasy od jego śmierci, by większość ludzi uwierzyła w potrzebę zmian.

Pod tą kategorię podlegała też polityka przerzucania agentów w różne miejsca.

Hoover uważał, że pozostawianie agentów zbyt długo w tym samym biurze naraża go na pokusy korupcji.

I dlatego co kilka lat mieszał co nieco w tym garnku, przenosząc agentów z Nowego Jorku do Los Angeles i na odwrót.

Sprawy osobiste, takie jak więzi środowiskowe, potrzeby rodzinne czy satysfakcja z pracy, nic nie znaczyły, jeśli FBI czuło, że odniesie korzyść, wyrwijąc cię z korzeniami z miejsca, w które już wrosłeś, i przenosząc w inną część kraju.

Jeden z oczywistych wniosków z przemyśleń Hoovera brzmiał, że agent podatny na korupcję prawdopodobnie okaże tę samą słabość bezwzględnie na to, czy będzie pracował na Wybrzeżu Zachodnim, czy też Wschodnim.

Polityka transferu sprawiała, że bardzo wielu agentów było niezadowolonych, i tylko nielicznych malkontentów ustrzegła przed zejściem na złą drogę.

Pomimo tego w karierze agenta FBI tylko niewiele momentów zapada mu mocniej w pamięć aniżeli ten, w którym otrzymuje pierwszą rozkaz.

To jest rytualny obrzęd, w którym nowy rekrut poddaje się

Akademia

61

fanaberiiom jakiegoś bezimiennego urzędnika w Kwaterze Głównej FBI i akceptuje, z najgłębszym oddaniem, praktyki postępowania Biura.

Wyobrażałem sobie, że wyrażenie chęci przeżywania przygód wymagałoby pewnej wiary w przeznaczenie, i nie chciałem, by intencje wzięły górę nad drogą wytyczoną przez

los.

Połowę kursu w Akademiimielismy już za sobą, gdy pewnego piątkowego popołudnia ADIC zatrzymał nas po zajęciach.

Rzucił na stół trzydzieści sześć kopert, wyciągnął zza pazuchy nóż do papieru i wyjaśnił reguły.

Będzie wywoływać nas na chybił-trafił, a każdy wywołany ma podejść, wziąć kopertę i publicznie oznajmić, dokąd chciałby zostać skierowany.

I w czasie, gdy reszta klasy czeka z zapartym oddechem, delikwent otwiera kopertę, zagląda do środka i dowiaduję się, gdzie ma pracować.

Gdzieś po drodze między ostatnim rzędem, w którym siedziałem, a ADIC zdecydowałem, że chciałbym znaleźć się w Nowym Orleanie.

Nie wiem, dlaczego właśnie to miasto uznałem za najlepsze miejsce do osiedlenia się moją niedawno założoną rodziną, ale nie miałem wiele czasu, aby martwić się tą decyzją.

Otworzyłem kopertę, rozłożyłem kartkę z rozkazem i od razu przeczytałem:

- Kansas City.

Ta informacja tak mnie zdumiała, że za nic nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie to, do cholery, jest.

Mieszkałem już na Wybrzeżu zarówno Wschodnim, jak i Zachodnim oraz w Anglii, w Londynie, ale środkowy zachód nigdy nie kojarzył mi się z niczym więcej, jak tylko z zdarzającym się tam czasem tornado i z doniesieniami w wieczornym wydaniu dziennika.

- Co za czort - myślałem.

- Muszą mieć wysoki wskaźnik przestępczości, bo inaczej by mnie tam nie posyłali.

Poza tym FBI miało listę dziesięciu najważniejszych biur, zwanych

Główną Dziesiątką, a czas spędzony w Kansas City oznaczał trzy do pięciu lat z dala od Nowego Jorku czy Los Angeles.

Mnie to nie przeszkadzało.

Wydawanie 24 000 dolarów, które zarabiałem rocznie, gdzieś wśród pól sorga i wiejskich jarmarków przemawiało do mnieo wiele bardziej niż Pięta Aleja.

I tak dobrnęliśmy do ostatniego tygodnia w czerwcu, kiedy to przypadł termin naszej promocji.

W tym wielkim dniu towarzyszyła mi cała rodzina, a my, członkowie Klasy Nowych Agentów 87-10 maszerowaliśmy przez proscenium, odbieraliśmy nasze dokumenty uwierzytelniające, nasze złote plakietki oraz nieuchwytnie poczucie.

62

Zimny strzał

bonom, które rodzi się, gdy składasz przysięgę bronić Konstytucji przed wszelkimi zagrożeniami, płynącymi zarówno z zagranicy, jak i z wewnątrz kraju.

Ojciec, matka, żona i syn patrzyli, jak unoszę prawą rękę, wiedząc, że nic, cokolwiek zrobię w swoim życiu zawodowym, nie będzie się mogło równać z wagą tej przysięgi.

I nic, co kiedykolwiek będę robić, już nie wywoła u mnie takiego poczucia zobowiązania.

Przez jeden krótki, niesłychanie obiecujący moment czułem, że jestem częścią wszystkiego, co jest w tym kraju dobre.

Czułem dumę.

T

3

Pieprzony żółtodziób

Pojechałem do Kansas City zaraz po trzymiesięcznym treningu w Akademii.

W jednej ręce miałem teczkę, w drugiej rewolwer Smith and Wesson, a z tyłka buchał mi trzystopowy płomień ambicji.

W większości biur FBI status świeżo upieczonego agenta jest gorszy niż guma do zucia przyklepiona do podeszwy, ale FBI uznało moją pracę w Waszyngtonie za "służbę dla rządu" i zaoferowało przywileje przysługujące zazwyczaj agentom z długim stażem.

Zakwaterowano nas w Kansas City w pięknym, ogromnym hotelu Hyatt, z którego rozciągał się widok na całe miasto, i przydzielono mnie do grupy reagowania zajmującej się napadami na banki i uciekinierami z więzień.

Podczas gdy wielu z moich kolegów z rocznika 87-10 zdobywało doświadczenie w Queens,

jaspędziłem weekend 4 lipca, wyczekując na "pracę", o jakiej marzy każdy świeżo upieczony agent: wyważając drzwi, ścigając desperadosi zbrodniarzy. Naczelnik biura terenowego w Kansas City znalazł mnie w Quantico tuż przed zakończeniem kursu i zaprosił do miasta.

Przyrzekł, że otzymam samochód oraz dwadzieściedo trzydziestu spraw, które wypełnią mi czas, dopóki nie znajdę sobie czegoś sam.

Okres próbnymiał trwać rok.

Zadanie agenta, który miał się opiekować, polegało na wyjaśnianiu niejasności i udzielaniu wskazówek.

Poza tym byłem zdany na siebie.

Pamiętam, jak pierwszej nocy w Kansas City patrzyłem namiasto, absolutnie oszalały zdumy i podniecenia z powodu wyłaniających się nowych horyzontów.

Rosie i Jake leżeli na łóżku zdumieni, jak to się stało, że znaleźli się w takiej sytuacji.

Jednak ja nie potrafiłem usiedzieć na tyle długo, aby im to wyjaśnić.

Po dwunastu miesiącach udzielania odpowiedzi, testów, sprawdzianów i biurokratycznych formularzy, trzynastu tygodniach spędzonych samotnie w Akademii FBI i czterech dniach podróży z Wirginii do Kansas City teraz dzieliło mnie już tylko.

64

Zimny strzał

dziewięć godzin od mojego pierwszego dnia pracy jako specjalnego agenta FBI.

Wszystko, co mógłbym wyliczyć, zaprojektować i spamiętać z mojego życia, rozpuściło się w cętkowanym horyzoncie, który widziałem ze swego okna na dwunastym piętrze hotelu.

Z powodów, których zapewne nikt nigdy nie zdoła zrozumieć, skierowano mnie do Kansas City, byłego miasta pastuchów, któremu dawała się nieco we znaki mafijna rodzina Bonano i szara nuda charakterystyczna dla środkowo-zachodnich stanów.

Nie zastanawiałem się zbyt nad swoją karierą ani nad tym, co będę robić za pięć lat.

Wiedziałem jedynie, że to pogrążające się w zmierzchu miasto czekało cicho tam w dole i że moim największym marzeniem było, aby je rozjaśnić.

Mój pierwszy dzień w biurze trwał akurat tak długo, że zdążyłem podpisać się w "Rejestrze nr1" (to wersja karty zegarowej), przedstawić kierownikowi grupy - zahartowanemu w walkach i przeprowadzającemu czystki na ulicach Tomowi Devreaux - i wypić filiżankę kawy.

W toalecie stojąc przy pisuarze, spotkałem Raya Venable'a, agenta, który miał się mną opiekować.

- Jakiś facet przychodzi pewnego dnia do naszego biura w poszukiwaniu pracy - mówi Ray, poczekawszy z uściskiem ręki, aż skończę.

- No, więc pytam go, czy ma jakieś kwalifikacje, no wiesz, może pochodzi z jakiejś mniejszości narodowej, albo jest adwokatem, bądź głym księgowym.

Ale ten facet potrząsa głową i mówi: "Nie.

Jestem

kaleką".

Ray wtoczył się w spodnie firmy Sansabelt i podszedł do umywalki.

Jego podzielone równo rzędy włosów lśniły blaskiem, jak idące zastosowanie brylantyny oraz grzebienia.

Nie miałem pojęcia, kim, do cholery, był ten facet, ani też dlaczego zawracał komuś obcą nogę w męskiej toalecie na piątym piętrze.

- Kaleka?

A cóż to za problem?

- Głos Raya brzmiał niczym rykoczekującego nastart boeinga 747.

Mówiąc do łustra, umył swoje olbrzymie łapy.

- No - powiada tamten facet - otóż podczas wojny straciłem przyrodzenie.

Nie przeszkadza mi to zbyt, tyle że jak siusiam, to muszę kucnąć.

Tu Ray obnażył żęby i wyrzucił w górę ramiona na samą myśl tego widoku.

Ray mierzył około metra dziewięćdziesięciu i ważył z pewnością ponad sto kilogramów.

Był brany w trzyczęściowy gami Pieprzony żółty dziób

tur, przypinany krawat, miał żółte od nikotyny zęby i plamy wątrobowe na całej twarzy.

- Cóż - powiadam mu - to właściwie nawet dobrze - bo jako weteran możesz zyskać dodatkowe punkty.

Otrzymasz je zaniefunkcyjną ułomność, a bezjajitd.

Otrzymasz też poradę adwokata.

Wiesz, przyjdź jutro rano, około dziewiętej wypełnimy papiery.

Ray wytarł ręce i zaczął machać na mnie, abym się pospieszył.

Nanieszczęście czułem się tak dezorientowany tego niesprowokowaną opowieścią, że tylko stałem z rozpiętym rozporkiem, zastanawiając się, co, do cholery, robić.

- O dziewiętej?

- mówi ten facet.

- A ja myślałem, że wytu zaczynacie o świcie.

Ray wrzucił papier, w który wytarł ręce, do śmietniczki i podszedł do mnie.

- O, tak - powiedziałem mu - ale przez parę godzin siedzimy sobie, pijemy kawę, czytamy gazety i drapiemy się po jajach.

Alesądę, że tym to już się raczej nie musisz kłopotać.

Wyciągnął nad pisuarem rękę, aby ucisnąć moją.

- Ray Yenable - przedstawił się.

- Dają mi wszystkich pieprzonych żółtodziobów, a ty wydajesz się wynalazkiem tego dnia.

A teraz chodźmy.

Czeka na mnie kawa inie mam czasu patrzeć, jak się zabawiasz sam ze sobą.

Pięć minut później jeden z agentów z mojej grupy dał znać przez radio, że we wschodniej części miasta zlokalizował poszukiwanego znaną na banki.

Ten agent wraz z drugim obserwował go z ulicy, ale informator powiedział mi, że facet jest w domu z dziewczyną i dwiema małymi dziewczynkami.

Nie chcieli go aresztować bez opracowania przednio planu tej akcji i bez posiłków.

Tom Devreaux wygramolił się za sterty papierów i wypchnął mnie przez drzwi, wrzeszcząc na resztę gryziórków, aby złapali się za swoje kamizelki



kuloodporne i za radia.

Dzień pierwszy.

Pierwsza godzina pracy.

Uzbrojony i niebezpieczny bandyta napadający na banki jest śledzony, a my przygotowujemy się do jego aresztowania.

Właśnie tak wyobrażałem sobie swoje nowe życie w FBI.

Jakby prąd przebiegł mi od jaj, o których dopiero co opowiadał Ray Yenable, w górę po kręgosłupie, gdy patrzyłem, jak nagle pokój ożył.

Broń Palna, kajdanki, radia, kamizelki kuloodporne, lornetki.

Cały ten sprzęt.

66

Zimny strzał

wynurzył się spod biurka i zza starodawnych, dębowych szaf, w których trzymano akta.

Te cztery miesiące szkolenia wezbrały we mnie, gotowe wybuchnąć, jeśli nie wyjdę stąd i własnoręcznie nie zakuję tego pieprzonego ptaszka w kajdany, zanim zdąży on kolejny raz odetchnąć.

Wiedziałem wszystko, co powinien wiedzieć agent FBI, od nakazów rewizji poczynając, przez prawa Mirandy, po taktykę strzeleckie i metody wydobywania zeznań.

To wydawało mi się doskonałą okazją, aby dowieść swoich możliwości.

Błękitny ogień chwały buchał ze mnie z taką mocą, że bałem się, iż jeśli natychmiast stąd nie wyjdę, to spłonie cały budynek.

Na moją pierwszą akcję aresztowania pojechaliśmy zlotym plymouthem volare z 1985 roku.

Jego wyposażenie stanowiła plastikowa tapicerka i radio, z którego płynęły dźwięki muzyki.

Tom prowadził, mówił, przekrzykując znaną melodię, i równocześnie jedną ręką ładował swojego remingtona.

870, a drugą wymachiwał w takt muzyki.

Kierownicę przytrzymałem kolanem, obserwowałem drogę jednym okiem, natomiast drugim moje odbicie w tylnym lusterku.

Nigdy jeszcze nie widziałem tak zręcznego kierowcy, z wyjątkiem pewnego Meksykanina żonglującego talerzami na pokazie Eda Sullivana.

ASAC szalał ze swoją bronią.

Prawą rękę wystawiłem przez okno, pozwalając, by wznosiła się i opadała podczas tej jazdy z szybkością osiemdziesięciu mil na godzinę, i przypominał w tym bawiące się samolotem dziecko.

Ja siedziałem z tyłu z ręką wyciągniętą w poprzek tylnego okna.

Do cholery, w ostatnim miejscu pracy do moich obowiązków służbowych należało odbywanie spotkań z przywódcami Partii Republikańskiej i obecność w sali jadalnej na Kapitolu podczas lunchu z głowami innych państw.

Trzymało się jak najbardziej kupy, że jechałem z ludźmi, kierować akcją.

Tom i ASAC omówili sytuację, ocenili poziom niebezpieczeństwa i zanim przejechaliśmy trzy przecznice pomiędzy parkingiem a 1-70, wymyślili plan działania.

Wiedzieliśmy, że ten facet jest uzbrojony i niebezpieczny oraz że w domu przetrzymuje co najmniej trzy osoby w charakterze zakładników.

Szturmowanie drzwi od frontu ktoś prawdopodobnie przypłaciłby życiem, a wezwanie do poddania się powoduje impas.

- Musimy go wywabić - zdecydował Tom głosem przypominającym ten z piosenki Hey, Jude.

- Myślę, że przejedziemy obok, a potem wysiadacie i zrobicie rozpoznanie.

Pieprzony żółtodziób

67

ASAC zgodził się.

Wiedział, że trochę dalej przy tej ulicy jest sklep sieci Winn-Dixie, w którym możemy spotkać się bez wzbudzania sensacji w całej okolicy.

Przytaknąłem, starając się być przydatny i nie zwracać uwagi na mój status pieprzonego żółtodzioba.

Ręka ASAC-a unosiła się i opadała na wietrze, gdy z szybkością prawie stumil na godzinę zajechaliśmy pod numer 1-70, podczas gdy Tom tak nieudolnie walczył z

wibracjami, że radio aż przeskoczyła na inną stację.

Roland Darrington i Jeff Millette zgodnie z planem Toma czekali na nas na parkingu.

Przejazd koło obiektu zainteresowania nie dostarczył nam zbyt wielu informacji.

Okolica wyglądała tak, jak miliony innych osiedli wybudowanych w latach siedemdziesiątych bez krzywego podłoża: jednopiętrowe domki z pokojami do wynajęcia, odgródzone od frontu płótkiem i plastikowym trawnikiem.

Wąska dróżka prowadziła od podjazdu do trzech schodków i szklanych drzwi frontowych.

Z tyłu otwarte podwórko.

Żadnego psa.

Wszystko dość proste, dokładnie tak, jak widziałem w Quantico.

W głowie ułożyłem sobie plan, na wszelki wypadek, gdyby mnie zapytano.

Postanowiłem, że ubranego cywilnemu ludzemu z jednostek specjalnych powinni otoczyć cały kwartał domów, poprosić o pomoc mieszkańców, aby zacieśnić krąg obławy, i jeszcze trzymać w pogotowiu, gdyby sytuacja przybrała zły obrót, jednostkę SWAT.

Najpierw wysłaliśmy dwóch naszych ludzi.

Mieli podejść do frontowych drzwi, roznosząc jakieś kolorowe piśma albo zdobywając klientów dla Kanału Playboya czy coś w tym rodzaju, a kiedy ten ptaszek otworzy drzwi, by zobaczyć, co sprzedajemy, złapiemy go, zakujemy w kajdanki i pójdziemy zjeść kanapkę z grillowanym mięsem.

W zastawianiu tej pułapki prawdopodobnie posłużą się mną, ponieważ młodo wyglądam i nie byłem agentem, a więc niewzbudzam podejrzeń.

- No, dobra - powiedział Tom, gdy zgromadziliśmy się obok sterty pustych butelek - ja to widzę następująco.

Musimy wywabić go podstępem, bo inaczej nie zostawi tych dzieciaków.

A więc okrążmy ten kwartał, zawołajmy policjantów z Kansas City, by uszczelnili krąg, zwołajmy chłopców Butcha z jednostki SWAT, aby byli w pogotowiu, i pošlijmy dwóch naszych, że niby sprzedają jakieś kolorowe piśma.

Dzięki temu zajrzą do środka.

Może uda się nam wywabić go z domu i od razu złapać.

68

Zimny strzał

Bingo.

Dokładnie tak, jak sobie obmyśliłem.

Może nie mam doświadczenia agenta weterana, ale mam intuicję.

No, więc komunalnieżysię nagroda?

- Roland, czy przychodzi ci na myśl, kto mógłby być tym wabikiem?

Roland był mierzącym 174centymetry wzrostu Murzynem o fryzurze afro jak Richard Roundtree i w ciemnych okularach firmy FosterGrants.

Wskazał na Jeffa.

No i pomoim pomyśle, że to ja podejść do drzwi.

A, nieważne.

Jeśli potrzebowałiby wsparcia, to wiedziałem, że jestem w lepszej formie niżeli ktokolwiek zebranych na parkingu.

Jeśli potrzebna byłaby pomoc w aresztowaniu, dobiegłbym pierwszy.

Tom ustalił szczegóły, uzgodnił pozycje, które mieliśmy zająć, i rozdał broń.

Dwa pistolety i trzy nowe pistolety maszynowe MP-5.

Reszta z nas miała posłużyć się noszonymi przysobie rewolwerami.

Wsiedliśmy z powrotem do naszego samochodu i wróciliśmy do cichej, podmiejskiej okolicy, aby złapać naszego rabusia.

W czasie jazdy Tom i ASAC omawiali plan działania.

Roland i Jeff mieli zaparkować przy wjeździe na podwórko, podejść i zapukać do frontowych drzwi.

Gdy facet podejść do drzwi, mają mu powiedzieć, że sprzedają rzeczy, które są zaopatrzone w kupony biorące udział w losowaniu biletów na mecz lokalnej baseballowej Little League.

Akurat mieli w bagażniku nowy odtwarzacz wideo, który Jeff kupił dla żony, i zamierzali mu pokazać w nadziei, że w ten sposób zdołają odciągnąć go od drzwi.

To miało być sygnałem.

W chwili, gdy Roland sięgnie po czapkę klubową Kansas City Royals, kawaleria przystępuje do ataku.

Rzucając się na faceta, zakuwaj ą w kajdanki i sprawa załatwiona.

Wyglądało, że plan jest dobry.

Po piętnastu minutach Tom potwierdził, że miejscowa policja zablokowała ulicę z obu stron, sprawdził przygotowanie wszystkich agentów i skinął głową w stronę Rolanda.

Siedziałem na tylnym siedzeniu auta i byłem gotów do wojny.

Na biodrze czułem swoją nową siemkę trzystapięćdziesięciosiódemkę spoczywającą w trzeszczącej, skórzanej kburze, ale podwinąłem brzeg płaszcza i wsadziłem ną za pasek, dzięki czemu mogłem szybciej wyciągnąć broń.

Sprawdziłem magazynek schowany zaraz na lewo od klamry paska i jeszcze sześć dodatkowych w lewej kieszeni płaszcza.

- Osiemnaście naboju powinno wystarczyć - pomyślałem, ale przecież jeszcze nigdy nie brałem udziału w walce.

Trudno zgadnąć, na jak długo wystarczą dwa magazynki, jeśli sprawy przybiorą zły obrót.

Tom trzymał jedną ręką dźwignię skrzyni

Pieprzony żółty diob 69

(biegów, a drugą przyciskał sobie do nosa butelkę z coca-colą.

Spojrzałem, chcąc się upewnić, że drzwi z mojej strony nie są zamknięte, i położyłem rękę na klamce.

Nic, co kiedykolwiek przeżyłem, nie mogło się z tym równać.

Adrenalina w moich żyłach przypominała żywe srebro, rozrzedzając powietrze w płucach i sprawiając, że słońce wydawało się jaśniejsze.

Przypomniałem sobie uczucie, którego doświadczyłem podczas gry w futbol, gdy wszyscy czekali na dźwięk gwizdka.

W miejscach, w których koszula przylepiała się do ciała, powstawały kałuże potu.

Moja zdolność widzenia zawężała się do niewielkiego pola, a całą resztę postrzegałem w niewielkich wymiarach.

Muskuły na ramionach i rękach naprężyły się, czekając, aż rozlegnie się dźwięk gwizdka i rozpocznie się gra.

Gdy padła komenda, Roland i Jeff podjechali pod podjazd, wysiedli z samochodu i poszli w stronę frontowych drzwi.

Siedziałem na tylnym siedzeniu plymoutha volare, starając się powstrzymać bicie serca, któreomal nie wyskoczyło mi z piersi.

Nikt nie odezwał się nawet słowem.

Obserwowałem trzydziestometrowy gdzieś odcinek ulicy, patrząc przez okno.

Roland otworzył pierwsze, szklane drzwi i zapukał trzyrazy.

Obok niego stał Jeff i starał się wyglądać jak sprzedający towarz losami trener Little League.

Nieoznakowane, wypełnione agentami samochody stały po obu stronach ulicy.

Kolejna rzecz, jak pamiętam, to fakt, że frontowe drzwi otworzyły się w ich słabo oświetlonym obramowaniu stanął czarny mężczyzna ubrany w szorty sięgające do połowy ud i w T-shirt z oberwanymi rękawami.

W rękach trzymał największy i najbardziej błyszczący pistolet magnum, jaki kiedykolwiek widziałem, i mierzył z niego prosto w twarz Jeffa.

-Broń!

- usłyszałem krzyk Toma, który chwycił leżący na kolanach rewolwer i kopnięciem otworzył drzwi.

Roland dał nura w prawo, pod werandę, a Jeff w lewo.

Nie jestem w stanie powiedzieć, czy facet wypalił z tego gnata, ale sądząc po tym, co się zaczęło dziać, to już bezznaczenia.

Sprawy przybrały błyskawiczne tempo, a ja chciałem także wziąć w tym udział.

- Tu FBI!

Rzuć broń!

- wrzasnął ktoś natychmiast z któregoś z policyjnych samochodów.

Przez chwiejącą się drzwi samochodu śledziłem wzrokiem Rolanda, który wyczołgał się z żywopłotu z bukszpanu i schował się za rogiem domu.

Nie mogłem dostrzec Jeffa.

Wiedzieliśmy tylko, że w tej sytuacji tkwienie na tylnym siedzeniu samochodu nie było najlepszym pomysłem.

Ł.

70 Zimny strzał

- Schowajcie się!
- wrzeszczał ASAC, sam szukając schronienia.

Wyciągnął służbową broń za samochodem natknął się na mnie.

Trzy innepełne agentów plymouthy volare opustoszały wtym samym czasie, gdy świat wypełniła kakofonia policyjnych komend, krzyków agentów, a z oddali wycie syren.

Policja z Kansas City, specjalnajeđnostka SWAT, dziennikarze, karetki pogotowia.

My szykowaliśmy się do ostrej strzelaniny, a tu zjawili się wszyscy mieszkańcy wschodniej części miasta.

Strzały padały zewsząd: z pistoletów 9 milimetrów, z trzystapięćdziesięciosiódemek, z dwunastostrzałowych karabinów szturmowych, z MP-piątek.

Każdy w coś mierzył, co znajdowało się w tym domu.

Nie będąc głupi, też obrałem sobie cel i zająłem odpowiednią pozycję, chowając się zasamochodem, tak jak to nam wbijano do głów w Akademii.

Przykląkłem na jedno kolano za tylnym kołem, pamiętając, że guma opony zatrzyma kule, odbijając się od spodu ważącegodwa tysiəcəfuntów plymouytha.

Niestety, wszystko to trwało o kilkasekund za długo.

Namierzyłem cel w chwili, gdy on wycofał się dodomu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Zaledwie dwie godziny jestem na ulicy i już po uszy tkwię w tej strzelaninie - pomyślałem.

- Cholera, co za praca.
- Whitcomb!
- wrzasnął ktoś.

Nastawiłem ucho w kierunku, z którego dochodził głoś, przewidując, że będzie to wezwanie do ataku na frontowe drzwi.

Właśnie w takich sytuacjach rodzą się bohaterowie.

- Whitcomb!
- znowu ktoś mnie woła, a ten głoś przeszywa zgiełkwalki.
- Wsadź to cholerstwo dokaburyi niewyjmuj!
- Ale oco chodzi?
- Odłóż to, do kurwy nędzy!

Odwróciłem się lewo, w stronę ASAC-a, który przewiercał mniewzrokiem.

Z jakichś powodów, których nigdy nie udało mi się poznać, wydawał się o wiele bardziej przejmować mną, aniżeli tym zbrodniarzem.

- Siedź nadupie za tym kołem i nie ruszaj się, dopóki ci nie każą.

Rozejrzałem się po ulicy.

Agenci wybiegli ze swoich kryjówek, aby odsunąć rosnący tłum gapiów poza linię ognia.

Agenci w niebiesko-złoty kamizelkach FBI, które wkładano podczas akcji, pochylali się nad swoją broń, mówili do mikrofonów, gwałtownie gestykulowali.

Każdy wydawał się kompletnie pochłonięty tym, co robił.

Pieprzony żółtodziób!

Coś mnie bujasz pomyślałem sobie.

Mój pierwszy dzień na ulicy wygląda jak żywcem wzięty z filmu Francisca Forda Coppoli, a ten facet traktuje mnie jak coś nadzwyczajnego.

- Teraz!

Zrobiłem dokładnie to, co mi kazał.

Przykucnąłem za oponą Goodyeara, schowałem swoją dobrą oliwioną broń, starałem się stać niewidoczny.

- Hej, Whitcomb!

Znowu ktoś mnie wołał.

Głos dobiegał z najbliższego domu.

- Gdzie jest twoja broń?

- Sandy Patten, jedyna kobieta w oddziale, przykucnęła za drzewem i wymachiwała rewolwerem, jakby to był jakiś najnowszy wynalazek.

Wzruszyłem ramionami i starałem się przybrać wygląd twardziela, którego broń wcale nie jest potrzebna.

- Co tam się dzieje?

- jeszcze jakiś głos spowodował, że odwróciłem głowę.

Tym razem była to mała staruszka po drugiej stronie ulicy, idąca z tyłuza mną z miotłą w ręku.

- Niech pani wraca do domu!

- wrzasnąłem.



No, teraz poczułem się lepiej.

Wreszcie naprawdę włączyłem się to, co się działo.

Ale ona wciąż szła, w żółtej podomce i w miękkich papuciach, szurając nogami po chodniku.

A za nią wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy powychodzili na trawniki przed swoimi domami, by zobaczyć, co się dzieje.

Wrzasnąłem, starając się, aby mój głos brzmiał możliwie jak najbardziej rozkazująco, tak, jak nas uczono w Akademii.

- Tu Federalne Biuro Śledcze!

Wszystko w porządku!

Ludzie gapili się na mnie, jak nawariata.

Bez namysłu znowu chwyciłem za broń.

Tym razem wypadło to odruchowo, jakby ta mała staruszka wraz ze swymi sąsiadami dokonywała jakiegoś manewru okrążania.

Pieprzyć ASAC-a - pomyślałem sobie.

- Jeśli już mam dostać za to opierdziel, to wolę od ASAC-a, aniżeli od swojej rodziny, w razie gdyby mnie postrzelono.

Nie wiem, czy sprawiła to broń, czy chór aurytatywnych głosów, czy też nagła świadomość, że to niezabawa, ale w tym momencie GOŚ w mojej głowie zaskoczyło.

Poczułem się jakby podłączony do tego ^zystkiego, o czym w Akademii jedynie wspomiano.

Spojrzałem w górę i w dół ulicy, na twarze agentów usiłujących powstrzymać niebezpiecznego kryminalistę od wyrządzenia krzywdy większej liczbie.

72 Zimny strzał

ludzi.

Obserwowałem ten mój pierwszy dzień w pracy z atawistycznym niemal przecuciem, że wszystko się zmieniło, i to na zawsze.

Nie będzie już gry politycznej ani przerw na kawę, ani pierwszego, drugiego i trzeciego projektu przemówienia, które ma zostać wygłoszone podczas lunchu w K-

iwanis Club.

Ta praca miała konsekwencje.

- Tu FBI!

Wychodzić z podniesionymi rękami!

Dziś ta komenda, tyle razy oglądana w telewizji i w filmach próbujących odtworzyć dreszcz prawdziwego przestępstwa, brzmi jak wyświechtany frazes.

Ale tamtego lipcowego ranka w 1987 roku czułem się tak, jakby te słowa pochodziły prosto od Boga.

Pięć dni później SAC przeniósł mnie do agencji rezydencjonalnej w Springfield w stanie Missouri, satelickiego biura nieopodal granicy z Arkansas, w którym pracowało sześć osób.

Aczkolwiek Gateway aż do Ozarks cieszyło się międzynarodową sławą jako ojczyzna sklepów Bass Pro Shops, kurczaka przyrządzanego przez szefa kuchni oraz największej na świecie crappie (to taka ryba, jak mnie poinformowano), zdecydowałem się na to przeniesienie jako na krok wstecz.

Jednak SAC zapewnił mi, że pomimo jego reputacji jako kłamcy Bibie Belt w Springfield zdarzają się najlepsze sprawy w FBI, łącznie z takimi rarytasami jak napady na banki czy ucieczki więźniów.

Są tam też informatorzy.

Starałem się zachęcić, ale ja czułem się przygnębiony takim obrotem spraw.

Zupełnie jakbym nie sprawdził się w okresie próbnym.

Nie miało znaczenia, że negocjatorzy namówili faceta, który obrabował bank, aby wyszedł z domu, i wsadzili go na długie lata do więzienia.

Mój biały kapelusz szlachetnego kowboja z westernu umorusał się w błocie.

Poskutkowało dopiero przyjeżdżenie starszego kierownika agenta Eugene'a Brodie'ego, który przyjechał specjalnie ze Springfield, aby namówić mnie na przeniesienie się.

Być może rozeszła się wieść o tych moich szczególnie zręcznych popisach za kołem samochodu.

No, bo iluż agentów nowicjuszy gładko przejdzie od zwykłego stróża porządku do urzędnika stojącego na straży bezpieczeństwa, a potrzeba muna to tyle czasu, ile zajmują wypadnięcie z samochodu?

Bez względu na to, jaką motywacją się kierował, Eugene starał się namówić mnie za

pomocą potężnego cheeseburgera w restauracji  
Bibie Belt- "Pas Biblijny" - stany, w których do tej pory bardzo  
silnej jest przywiązanie do zasad religii (przyp.  
tłum.

).

Pieprzony żółtodziób<sup>73</sup>

Czarny Angus.

Przekonał mnie, że przeniesienie do oddalonego cztery godziny jazdy na południe  
Springfield to załóżek świetnej kariery.

Ta namowa oraz fakt, że ASAC przydzielił mój samochód komuś innemu, zanim  
zdążyłem wrócić do biura, pomogły mi w podjęciu decyzji.

Springfield wzywało.

A więc niech będzie Springfield.

Tego wieczora Rosie, Jake i ja znowu spakowaliśmy walizki, wsiedliśmy do jepea i  
ruszyliśmy na południe, nanaszą kolejną wielką przygodę.

W poniedziałek rano zameldowałem się w Centrum Korporacyjnym nr 1, kompleksie  
biurowym z zielonego szkła i betonu, przypominającym raczej siedzibę firmy  
księgowej niż przyczółek na pograniczu zbrodni.

Ruth, sekretarka agenta rezydenta, przetrzymała mnie w osłoniętej  
kuloodpornej szafce recepcji, dopóki nie pojawił się Eugene z filiżanką kawy w  
jednej, a dziennikiem "USA Today" w drugiej ręce.

Jak widać słowa Raya Venable'a na temat porannej rutyny panującej we wszystkich  
biurach FBI były prawdziwe i nie miało znaczenia, w którym z nich akurat  
się znajdowałeś.

Springfield miało bardzo niewiele do zaoferowania, jeśli chodzi o rozrywki.

Teatr ograniczał się do występów Boxcar Willie w pobliskim Branson.

Muzyka - do country i piosenek pop, z przystankami w trakcie trasy  
koncertowej takich gwiazd fali AM jak Vem Gosdini Siostry Mandrell.

Do dobrego jedzenia zaliczało się barbecue na świeżym powietrzu, ryby takie jak  
sum, jarzyny jak na przykład sorgo oraz wszystko inne, o czym kiedykolwiek  
słyszałem jako o "wiejskich potrawach".

Ważniejsze wydarzenia sportowe torodeo, lecz aby zobaczyć wielkie nazwiska jak

Donnie Gay lub Tuff Hedeman, trzeba było jechać cztery godziny samochodem na zachód do Tulsy.

No i jeszcze było wędkowanie.

Springfield chłubiło się najwspanialszymi wodami do łowienia w całych Stanach Zjednoczonych.

Jedynym zajęciem popularniejszym niż żucie tytoniu wydawało się odpalenie 225-konnego evinruda na ukochanych wodach, wystawianie pleców do słońca przy czterdziestostopniowym upale i zmarnowanie następnych ośmiu godzin na obserwowaniu wędki.

Pomimo największych wysiłków nigdy nie udało mi się zaangażować całym sercem w połowy okonia.

Pomimo szoku kulturalnego, szybko zakochałem się w tym mieście.

Czynsz wydawał się niższy niżeli wszędzie, gdzie kiedykolwiek dotychczas mieszkałem, śnieg padał tam rzadko, a korki na ulicach nie przerażały.

A na dodatek na ulicy ludzie mówili sobie "dzień dobry".

74 Zimny strzał

Do kolacji podawano posłodzoną herbatę, zwracali się do siebie per "ty" i uważali, że "w obrębie Bibie Belt" nosi się broń.

Ludzie kładli ją z tyłu swoich pikapów, sprzedawali produkty na poboczu drogi na słowo honoru, a gdy zadawali pytanie "Jak się masz?", czekała odpowiedź.

Wydawało się, że miejsce to jest ukryte przed szybkim, niedo zniesienia cynicznym światem waszyngtońskiej polityki.

W ciągu czterech miesięcy przerzuciłem się z grochów kisielonej w stołówce na Kapitolu na smażone steki z kurczaka w restauracji Pod Srebrnym Siodłem.

Co tam, do cholery, lubiłem ironię.

Jakiś kiedy przyjechałem, Gruby Al, posiadał już facet, który był starszym agentem, wciągnął mnie do swego gabinetu i dokonał odważnej próby podsycecia we mnie tego płomienia entuzjazmu, który w Kansas City ledwie się tlił.

- Tutaj pracujemy inaczej -stwierdził.

Mówił wolno, a jego tonbrzmiał konfidencjonalnie.

- Jeżeli chcesz, aby tu w Ozarks ci się powiodło, to musisz przestrzegać trzech zasad:nigdy nie stwarzaj kłopotliwych dla nas sytuacji, zdecyduj, komu ufasz, i polegaj na radach tych osób i w czasie burzy trzymaj się z daleka od miejsc, w których mieszkają ludzie w przyczepach samochodowych.

Skinąłem głową, starając się ukryć, że nie mam pojęcia, o czym on, do cholery, mówi.

Zresztą tak naprawdę to nie miało to znaczenia, biorąc pod uwagę moje postępowanie, i tak prawdopodobnie skończysz na tym, że złamię większość tych reguł.

4

Dobre wibracje

Wyrażenie zgody na status żółtodzioba w jakimkolwiek biurze FBI oznacza zajmowanie się tępymi sprawami, których nikt inny nie chce wziąć, sprawowanie pieczy nad terenem, którego każdy unika, i patrolowanie z za kierownicą najstarszego samochodu, jaki tylko posiada tobiurowe.

Jeśli idziesz do restauracji, to zamawiasz ostatni, dyżurujesz przy telefonie, gdy wszyscy idą na lunch, a podczas rewizji pilnujesz tylnego wyjścia.

Nic nowego.

Tak wygląda tapraca.

Niestety status żółtodzioba oznacza również, że znajdujesz się bez przerwy pod lupą, dopóki twoi przełożeni nie przekonają się, co potrafisz.

Gruby Al nie uznawał marnowania czasu.

Dał mi kilka dni na znalezienie szywacza, krzesła, które by mi odpowiadało, i wypełnienie potrzebnych papierków.

A potem nagle pewnego środowego ranka wkroczył do mojej klitki, trzymając rewolwer w olbrzymiej dłoni, i oznajmił, że właśnie niedaleko Tulsy złapał jakiegoś 88, poszukiwanego za rabunek z bronią w ręku.

W słowniku, jakim agenci FBI posługiwali się między sobą, 88 oznacza bezprawną ucieczkę w celu uniknięcia oskarżenia, czyli BUUU.

To taki rodzaj aresztowania, bez zakuwania w kajdanki, kiedy jedynie

chwytaszuciekinię, który zwił doinnego stanu, i przekazujesz go najbliższym władzom w celu ekstrakcji.

Bardzo mało pracy papierkowej, a bardzo podniecające - świetna sprawa.

Według informacji przesłanych z innego biura FBI, ten facet był uzbrojony i niebezpieczny istniało podejrzenie, że ucieknie.

Istny cymes.

- Bierz swoje manatki - powiedział Gruby Al.

- O jedenastej mam partię tenisa.

Pięć minut później siedziałem na przednim siedzeniu jeszcze jednego Plymouthavolare, tyle że tym razem srebrzystego z wiśniową tapicerką, i słuchałem koncertu Rachmaninowa, a Gruby Al żuł tytoń i wypluwał go przez otwarte okno. Manewrował wśród dulicznego mchu, trzymając.

76

Zimny strzał

kierownicę kciukiem i wskazującym palcem prawej ręki, a łysiejącym łbem trąć o zagłówek.

Aby móc nogami dostać do pedałów, przysunąłem przednie siedzenie maksymalnie do przodu, co sprawiało, że było mi tak strasznie niewygodnie, iż postanowiłem poruszyć tę kwestię.

- Czy masz coś przeciwko temu, żeby przesunąć siedzenie trochę do tyłu?

- spytałem.

-Zanim dojedziemy, nogami kompletnie zdrętwieją.

Jego obecność wypełniała samochód niczym orzeźwiający odświeżacz powietrza.

- Przykro mi, ale ważę tyle, ile facet o wzroście 195 centymetrów, a mam tylko 172 centymetry - powiedział tak głębokim barytonem, że zabrzmiał jak zawodowy lektor - co oznacza, że moje nogi są około dwudziestu centymetrów za krótkie, i dlatego właściwie niemal nie nadają się do pilotowania odrzutowców.

"Odrzutowce" to myśliwce F-4 używane przez nas w Wietnamie.

Chociaż przez wiele lat nie znałem historii jego życia, to Gruby Al wnosił

donaszego grona fantastyczny życiorys.

Przez cztery lata służył w IDywizji straży w Oklahomie, po czym wstąpił do szkoły lotnictwa i był dwukrotnie wysłany do Wietnamu.

Wskutek kolizji w powietrzu spadł na terytorium wrogai musiał przedzierać się przez dżunglę Azji Południowo-Wschodniej.

To on zainstalował podsłuch w pokojach hotelowych w Poconopodczas słynnej sprawy Abscam, przeprowadzał loty patrolowe nad Manhattanem, dowodził linią obławy zorganizowanej na Leonarda Peltieraw Wounded Knee i aresztował dziesiątki przestępców.

Gruby Al poruszał się na krótkich nogach, których kolana zaczynały się niemal zaraz pod biodrami, tym kołyszącym krokiem, którego nauczył się, służąc w Oklahomie, niemal jak bramiński byk.

Koszule nigdy na niego nie pasowały, ponieważ ręce, podobnie jak nogi, były nieproporcjonalnie krótkie w stosunku do reszty ciała.

Chodził tak, jakby się toczył.

Zza paska wystawał mupięciostrzałowy rewolwer z nierdzewnej stali, jaki nosili tylko naczelnicy, i to była jedyna broń palna, jakiej używał w pracy.

- To jaki jest plan w związku z tym facetem?

- zapytałem, gdy zajechaliśmy do biednej dzielnicy jednopiętrowych czynszowych domków, pełnych tanich mieszkań i brudnych podwórek od frontu.

Poczułem, że pomału zaczyna ogarniać mnie obrzydzenie, podobnie jak tydzień temu w Kansas City.

Coś miało się wydarzyć, a lenie wiedziałem, co.

Dobre wibracje<sup>77</sup>

- Plan?

- spytał Gruby Al.

- Plan jest taki, żeby szybko wsadzić tego skurwysyna do więzienia, bo muszę dążyć na partię tenisa.

Gruby Al mówił przekonująco.

Wbrew beładnemu, chaotycznemu wyglądowi, emanował z niego pewność człowieka, który wystarczająco poznał zarówno życie, jak śmierć, aby ocenić zaistniałą sytuację.

Na ogół zawsze mówił to, co myślał.

- Trzymaj się mnie, awszystko będzie dobrze.

Mówiąc to, sprawdził adres namapie, porównał go z numerem najednym z bungalowów i wypluł brązową, zbitą kulkę tytoniu Levi Garrett przez otwarte okno.

Zatrzymał się z boku wąskiej ulicy, zaciągnął hamulec i rzucił na siedzenie pomiędzy nami kawałek papieru.

- Masz kamizelkę?

- spytał.

A jakże, miałem, na tylnym siedzeniu.

Skinąłem głową, próbując odgadnąć, czy chce, abym ją włożył.

Nic nie wiedziałem o tym uciekinierze poza tym, że uchodził za niebezpiecznego i że był uzbrojony, oraz że mieszkał w groszkowozielonym kwaterunkowym baraku tuż poprawiej stronie.

- No dobra, wobec tego zrobmy to.

Al otworzył drzwiczki samochodu, wysiadł i ruszył w kierunku domu.

Zrobmy co?

- pomyślałem, biegnąć, by nadążyć za Alem.

Oczywiście moje doświadczenie, jeśli chodzi o aresztowania, było bardzo nikome, ale zawsze, obojętne, czy zabierałem się do gry w piłkę, czy też typowałem ścieżki kariery, sądziłem, że warto wszystko sensownie zaplanować.

Al szedł szybciej, niż większość mężczyzn biegnie, trenując jogging, wobec tego poświęcenie pierwszych czterech czy pięciu kroków na dokonanie zwiadu okazało się krótkowzrocznością.

Ledwie dogoniłem go, gdy pokonywał pierwsze dwa stopnie prowadząca na werandę i kopnął w drzwi.

Zaraz, chwileczkę- pomyślałem sobie, wchodząc zanim przez drzwi z wyłamanym zamkiem do ciemnego pokoju telewizyjnego pełnego puszek po piwie Budweiser i połamanych mebli z jakiegoś tworzywa udającego drewno.

A co z pukaniem do drzwi i przedstawianiem się?

Ten facet mógł wziąć nasz komorników.

Mógł nas zaatakować PO prostu dlatego, że nie chciał, abyśmy połamali mu kulasy.

- Drog pani Whitcomb, zaleminformujemy panią, że pani mąż został zabity przez



niebezpiecznego i uzbrojonego uciekiniera, który wziął go za.

78 Zimny strzał

włamującego się do jego domu łowcę długów.

Biegąc za Alem, niemal słyszałem głos Eugene'a Brodie'ego dzwoniącego do mojej żony.

Zdumiewające, jak doświadczenie pozwala ludzkiemu umysłowi w mgnieniu oka dokonać całego procesu myślowego: Gruby Al obrzucił pokój wzrokiem, dostrzegł człowieka, którego szukaliśmy, w przyległym pokoju, i zanim jeszcze mój wzrok zdążył przywyknąć do nikłego światła, cisnął jego nagie, drżące ciało na podłogę.

Podczas gdy ja próbowałem jakoś przejść wśród wyziewów fajek wodnych do palenia marihuany, śmierdzącego piwskiego i silnego odoruciała, Gruby Al przedarł się przez zasłonkę z koralików, dostrzegł swojego uciekiniera rozwalonego na łóżku wodnym i chwycił tego biednego, o dzikim wzrokudrania za cienką, chudą szyję.

- Nie zabijaj mnie!

Nie zabijaj!

Niezabijaj!

- powtarzał w kółko ten facet.

Gruby Al ukląkł na nim, przygniatając mu swoim niemal stukilogramowym ciałem tchawicę, i wykręcił mu jedno ramię do tyłu, na wytatuowane plecy.

Słyszałem jakiś żalony bełkot i długi, powolny świst wydostającego się z płuc powietrza.

- FBI, jesteś aresztowany - powiedział Al z takim samym patosem, z jakim zamawia się danie fast food.

Pięknie, pomyślałem sobie, patrząc na personifikację przyczyn, dla których rodzice każą swoim dzieciom trzymać się z dala od narkotyków.

Smutna, chuda, żalona kanalia walczyła o złapanie tchu, podczas gdy Gruby Al przycisnął go do włochatego dywanu i zakuł w kajdanki następnymi pięć do siedmiu lat.

To była niemal poetyczna chwila.

- FBI.

Jesteś aresztowany - mamrotałem sam do siebie, ćwicząc autorytet Ala.

- Czy życzysz sobie jeszcze do tego zamówienia frytki?

Wyposażony w doświadczenie kilku śmiałych aresztowań, których dokonałem, następnego ranka przyszedłem do pracy, mając na sobie nowy garnitur i buty na gumowej podeszwie - byłem pewien, że będą się doskonale nadawać do tej pracy.

Wparadowałem do biura, przeszedłem obok kolegów zajętych czytaniem porannej prasy, cisnąłem na biurko swoją nową, lśniącą teczkę i zdjąłem marynarkę.

Jedyna zła rzecz, jaka charakteryzowała ten dzień, to fakt, że dopiero się rozpoczął.

- A to co takiego, do cholery?

- zdumiał się jeden z chłopaków, gdy obszedłszy jego biurko, sięgnąłem po filiżankę z kawą.

- Co?

spytałem.

Dobre wibracje?

Pierwsze, co chłopcy lubili robić rano, to ustawiać krzesła obok siebie, dookoła biurka sekretarki, i omawiać sprawy bieżące.

Złapałem strony o sporcie z "USA Today" i przysunąłem sobie krzesło.

- Co to takiego tam, pod twoim ramieniem?

Brad Lawrence był dokładnie o trzy miesiące starszy niż ja, ale zachowywał się jak stary weteran.

Otaczał go graniczący ze znieważaniem wyższości, obejmujący także jego otwarty kabriolet Cole Haan, dwurzędową marynarkę oraz spodnie od Schaffnera i Marksa.

Brad obnosił swoje zamiłowanie do wyrafinowanego stylu i kulturalnego ego na tyle grube, że nic tak przyziemnego jak dobre obyczajenie mogło go naruszyć.

- To pieprzona broń, chłoptasiu.

Wyciągnij swoją z biurka i wtedy będziesz wiedział, jak trzeba wyglądać - winna brzmieć właściwa odpowiedź, gdyby nie to, że reszta kolegów spoglądała na mnie i to samo pytanie dało się wyczytać z ich twarzy.

To "coś" pod moim ramieniem to był fabrycznie nowy rewolwer Smith and Wesson, model 686 ze szkieletem L, sześciocalową lufą kalibrze .

357 magnum, z okładziną chwytu Pachmayra, trytowymiocnymi przyrządami celowniczymi.

Zwisał sobie elegancko pod lewą pachą w kaburze Safari landakoloru płowego, tak aby pasowała absolutnie do wszystkiego, co wchodziło w skład mojej nowej garderoby stosownej do zajmowanego stanowiska.

W naszym zawodzie wybór broni pozostawiono własnym upodobaniom.

Gdy rozpoczynałem pracę w 1987 roku, w FBI wciąż zabronione było używanie pistoletów półautomatycznych.

Zakaz ten nie dotyczył tylko jednostek policyjnych SWAT oraz niektórych przeznaczonych do zadań specjalnych.

Aczkolwiek nikt nigdy nie wyjaśnił dlaczego, agenci mieli do celów swojej własnej obrony wybór ograniczony do rewolwerów Smith and Wesson kalibru .

38 lub .

357.

W ramach tych parametrów mogłeś ocenić ambicję danego agenta i to, jak długo już nim jest, po broni, jaką nosi za pasem.

Siwi rutyniarze w stopniu GS-13, tacy jak Gruby Al, nosili niemodne pięciopalcowe rewolwery, zazwyczaj zatknięte przy kostce unogi.

Nowi agenci wybierali wyróżniający się brzydota polecany przez FBI model 13.

Chcieli od razu się dopasować i wyrobić sobie reputację bez równoczesnego oznajmiania całemu światu, że dopiero raczkują.

I wreszcie były takie oświecone latorośle federalnego systemu zarządzającego porządkiem jak ja, które obejrzały każdą wystawę sklepową.

80 Zimny strzał

u każdego sprzedawcy broni w mieście w poszukiwaniu tego unikalnego, osobistego potwierdzenia stylu oraz autorytetu, który mógł zrobić z nich członków amerykańskiego folkloru.

Kim byłby Patton bez swoich jedenastek kalibru .

45 zperłowymi okładkami?

Czy ktoś namówiłby Roostera Cogbuma do wymiany colta peacemakera na dwustrzałowego derringera?

James Bond nosi walthera PPK - i to też nie bez przyczyny.

Spróbujcie przekonać Rambo, że najego filmy przyjdzie więcej widzów, jeśli wybierze dubeltówkę skeetową z scenami myśliwskimigranerowanymi na baskili irzeźbioną orzechową kolbą.

- To broń - odparłem.

- Cholera, chłopie, planujesz wymarsz na wojnę czy grać w filmie?

- Gruby Al potrzasał głową i aż cały dygotał od śmiechu.

- Wiem, co to jest, ale co to jest do cholery, o to?

- Benny, cichomówiący facet z Arkansas, zajmujący się przypadkami kradzieży wykraczającymi poza obręb jednego stanu, wskazał na mój pas.

- Masz namyśli moją plakietkę?

- spytałem, czując, że mogłem jeszcze poczekać kilka tygodni z zapoznawaniem moich kolegów z najnowszymi trendami dotyczącymi metalowych emblematów wskazujących na zajmowanie się czuwaniem nad przestrzeganiem prawa.

Nosiłem swoją błyszczącą, nową plakietkę FBI na skórzanym paseczku, który przewlokłem przez pierwszą dziurkę paska, tuż obok klamry.

Takie plakietki zamówiała nasza klasa, zanim jeszcze opuściliśmy Akademię, a pomysł podsunął nam instruktor zajęć praktycznych.

Niestety w Springfield nic na ten temat nie wiadano.

Większość agentów FBI nosiła swoje plakietki i dokumenty w kieszeni koszuli, jakby wydany przez rząd ochroniacz kieszeni.

Eugene pozwolił, abym przeczytał gazetę, i dopiero potem wezwał mnie do swojego biura, gdzie udzielił mi kilku rad.

Zdajesię, że w jednej chwili pogwałciłem aż dwie główne zasady Grubego Ala.

Popierwsze, naraziłem na śmieszność FBI, przynajmniej tak to odebrali ci faceci, i na to samo naraziłem jego, ignorując radę o dobrodziejstwie sztuki asymilacji.

- Al zamierza zabrać cię na przejażdżkę po mieście, przedstawi cię miejscowemu, zaprowadzić do biura prokuratora, do szeryfów - powiedział Eugene.

- Chce zrobić z ciebie dobrego śledczego.

A więc wracaj do swego biurka i zdejmij to ośmieszające gówno, zanim ktoś

zatelefonuje i oskarżycię o udawanie pracownika Agencji ds.

Zwalczania Przestępczości Narkotykowej.

Dobre wibracje 81

Co, do cholery, było złego w noszeniu normalnej wielkości broni oraz plakietki, tak by każdy mógł ją zobaczyć?

Wyprułem sobie żyły, aby dostać tę pracę, i byłem niezmiernie dumny z tego, co osiągnąłem.

Coś, co wiązało się z prostą czynnością noszenia przy sobie dokumentów świadczących o pracy w FBI, pęczniało we mnie za każdym razem, gdy wyjmowałem i przesuwalem palcem po ich reliefie w stylu art déco.

"Niniejszym stwierdzam, że Christopher Whitcomb jest specjalnym agentem Federalnego Biura Śledczego i w związku z tym ma obowiązek prowadzić dochodzenia w sprawach pogwałcenia prawa Stanów Zjednoczonych w tych przypadkach, w których Stany Zjednoczone są stroną", było napisane w moich dokumentach.

Czasem stojąc w korku ulicznym, czytałem sobie to zdanie na głos, rozkoszując się jego znaczeniem.

Według mnie były to słowa pełne elegancji, bez wątpienia autorstwa jednego z wystrojonych w pilśniowy kapelusz wszystkich wiedzających prawników Edgara Hoovera w chwilę doznania biurokratycznego ośnienienia.

- Ojej, Eugene, nie sądziłem, że ktokolwiek to zauważy.

No, więc zacząłem postępować tak, jak mnie uczono.

Zwracałem uwagę, i stało się to nawykiem, na drobiazgi, podobnie jak to robili inni policjanci.

Podobał mi się sposób, w jaki kajdanki zwisały z dźwignisk rzyni biegów w samochodzie Grubego Ala.

Odnutowałem w pamięci, jak Benny rozpoczynał rozmowę, rzucając najpierw kilka uwag na temat łowienia ryb czy pogody, a dopiero potem wyciągał legitymację i przedstawiał się jako agent federalny.

Uważnie studiowałem wszystkie papiery przygotowywane przez Billa, przykładanie przez Matta wagi do szczegółu i umiejętność Eugene'a otwierania drzwi z pełną pewnością siebie uśmiechem na ustach, zamiast butem rozmiar jedenaście kupionym u Florsheima.

Wobec tego schowałem moją piękną kaburę do szuflady, tuż obok plakietki w kolorze rezedowym, na zawsze oprawnej w ciemną skórę.

W Akademii powiedziano nam, że jeśli w danym biurze terenowym życzą sobie, abyśmy nosili niebieskie garnitury, to mamy je nosić.

Springfield w stanie Missouri było bardzo daleko od Kwatery Głównej FBI w Waszyngtonie, ale dla mnie Eugene był władzą i jeżeli on chciał, abym ubierał się w niebieski garnitur od J.

C. Penneya uszyty ze sztucznego tworzywa, totalnie właśnie, do cholery, będę się ubierał.

82

Zimny strzał

FBI dysponowało tylko nieco ponad jedenastoma tysiącami agentów, a miało za zadanie dbać o przestrzeganie prawa na terenie całego kraju, toteż czasem brakowało ludzi.

Biuro w Springfield podlegał obszar południowo-zachodniego Missouri od granicy z Arkansas, na zachodzie niemal do Joplin, na wschodzie do połowy drogi do St Louis, a na północy do Jefferson City.

Mój kawałek tej posiadłości obejmował pięć skąpo zaludnionych hrabstw rozciągających się niemal 200 mil na wschód i na zachód, a ponieważ Eugene dał mi wolną rękę, jeśli chodzi o czasowy rozkład obowiązków, dla mnie oznaczało to spędzanie wielu godzin za kierownicą.

Pewnego ranka, abyło to w którymś z moich pierwszych miesięcy w pracy, właśnie miałem wyruszyć, gdy w drzwiach pojawiła się jakaś kobieta z pudełkiem pełnym papierów.

Normalnie porozmawiałbym z nią, ale spieszyłem się i nie chciałem tracić czasu na jeszcze jedną wariatkę.

Gruby Al przedstawił mnie już specjalnemu agentowi Redowi Ryderowi 749 I - Afroamerykaninowi.

Nie był on ani żadnym specjalnym agentem, ani też Afroamerykaninem, ale uważał za

stosownierz w miesiącu złożyć wizytę wnaszymbiurze w celu drobiazgowego wyjaśnienia zawilości powstałego w łonie rządu spisku, mającego w planie porwanie prezydenta.

Któregoś dnia siedziałem ponad godzinę przyswoim biurku, wysłuchując tegoidioty, a w tym czasie Gruby Al wraz z innymi odpoczywali sobiew swoich gabinetach, pękając ze śmiechu z powodu mojej łatwowierności.

Aż do tego momentu nie miałem pojęcia, ile to biednych, umęczonych istot szuka pokrzepienia w lokalnych biurach terenowych FBI.

Niestety tego dnia wszyscy już wyjechali, więc znalazłem się w pułapce.

Wyjrzałem ze swojej klitki i zobaczyłem siedzącą w recepcji zupełnie normalnie wyglądającą, dość atrakcyjną kobietę, która czekała, aby ktoś ją przyjął.

No, nic takiego - pomyślałem sobie.

Może to jest właśnie ta sposobność, na którą czekam: wielka sprawa w dość ładnym opakowaniu.

Uporządkowałem papiery na biurku, przysunąłem krzesło dla gościa i poprawiłem krawat.

- Trzeba zacząć od pogody - pomyślałem, przypomniawszy sobie zręczną umiejętność Benny'ego nawiązywaniarozmowy.

Przeprowadziłem już kilka interview, ale wszystkie w czasie, gdy jeszcze pracowałem jako dziennikarz.

Trzeba nawiązać kontakt-

Dobre wibracje

83

pomyślałem, przypominając sobie kongresmana Contego i jego umiejętność żywego prowadzenia absolutnie każdej rozmowy.

Trzeba, aby poczuła się swobodnie w tym onieśmielającym otoczeniu, jakim jest biuro FBI.

Wsunąłem do szuflady teczkę z papierami, nad którymi pracowałem, przesunąłem stojącą na parapecie doniczkę z kwiatkiem i znów poprawiłem krawat.

To był jeden z pierwszych wywiadów, jaki miałem przeprowadzić jako agent FBI, i chciałem być pewien, że niczego nie przeoczyłem.

Uczynomnie, żejuż na wstępie trzebazrobić miłowrażenie, nawiązać kontakt, zadać proste pytania, przytakiwać odpowiedziom, zwracać uwagę na pozawerbalne sygnały i zakończyć podsumowaniem.

Znałem ten standard.

Teraz musiałem tylko zastosować go w praktyce.

- Dzień dobry - powiedziałem, podchodząc do tej kobiety.

Była ubrana w lekką, letnią sukienkę w kwiatki, a przez ramię miała przetrzuconą płócienną torbę.

- Specjalny agent Whitcomb.

Czym mogę służyć?

- Cóż, nie chcę panu przeszkadzać, ale mam problem i chciałabym o tym porozmawiać.

Mówiąc to, spoglądała podejrzliwie na recepcjonistkę, która pisała na maszynie, absolutnie nie zwracając uwagi na naszą rozmowę.

- Oczywiście, chodźmy do gabinetu.

Przeszliśmy pięć kroków, gdyż taka odległość dzieliła nas od mojego biurka ustawionego za półtoremetrową ścianką działową.

Porównanie z moim ostatnim gabinetem na Kapitolu wypadło raczej zenująco.

- Proszę, niech pani siada.

Kobieta wyglądała na bardzo niepewną, jak gdyby została ciężko doświadczona i chciała zwierzyć się komuś ze swego sekretu.

Wyjąłem żółtą podkładkę, by móc wygodniej pisać, oraz służbowe pióro i naszykowałem się na wielki przełom.

A może to będzie coś o sowieckich szpiegach?

Albo o zagarnięciu mienia państwowego i to na skalę kilkunastu, także będę mógł posłużyć się nakazami rewizji, podsłuchami oraz informatorami - jednym słowem sprawa, dzięki której zabłysnę jako wschodząca gwiazda FBI.

Kobieta usiadła wygodnie na krześle, założyła nogę na nogę i oparła się, mając cały czas taki wyraz twarzy, jakby bolały ją plecy.

Jej oczy togasły na chwilę, jakby traciła przytomność, to znów nabierały blasku.



Zimny strzał

- Czy dobrze się pani czuje ?

- spytałem.

-Może napiłabysię panikawy albo wody?

Nic nie mówiła, jaki to wstrząs czy też choroba przywiodły ją tutaj, i zależało mi, aby zrozumiała, że może powierzyć mi swoje najskrytsze wahania.

Było nie było, ma doczynienia z agentem FBI i podczas gdy kobieta zbierała myśli, mnie wciąż dźwięczały w uszach słowa przysięgi powtarzane przeze mnie za zastępcą dyrektora generalnego: "Wszyscy wrogowie, tak wewnątrz, jak i z zewnątrz".

Coś w jej oczach przykuło moją uwagę.

Już kiedyś coś takiego widziałem, ale nie mogłem przypomnieć sobie, gdzie.

On raczej patrzyła przeze mnie, aniżeli na mnie, a w jej wzroku mieszał się ból ze strachem.

- Może powie mi pani swoje imię i nazwisko?

Muszę je zapisać - powiedziałem, nie patrząc jej w twarz.

Mój gabinet wydawał się teraz nieznacznie mały, jak gdyby biurko nagle się rozrosło.

- Mam na imię.

nazywam się Karen.

Czy chce pan wiedzieć, gdzie mieszkam?

Tak jest, byłoby mi to potrzebne, podobnie jak jej numer ubezpieczenia społecznego oraz data urodzenia.

To standardowe informacje, które musiałem zebrać przed przystąpieniem do sedna sprawy.

Wyczuwałem, że coś ją zżera, jakiś szorstki imperatyw, który rozrywał jej duszę i wołał o pomoc.

- Świetnie, dziękuję.

A teraz czym mogę służyć?

- Już nie mogę dłużej tego znieść - powiedziała i zaczęła drżeć.

Gdy tak patrzyła na mnie, torebka ześlizgnęła się jej z ramienia, a górna wargę zaczęła drżeć, jak gdyby kobietą miała zaraz zacząć płakać.

Widziałem, jak w górnej partii ud napinają się mięśnie, bo Karen coraz mocniej

wciskała się w krzesło.

Także jej przeguby tak mocno zaciskały się wokół oparcia pod rękę na krzesle, na którymsiedziała, żeomalnie pękły jej długie, delikatne palce.

- To się zdarzyło około.

dwóch miesięcy temu.

- Wspomnienie to przepełniło ją i odmalowało się na twarzy.

Chwyciłem za pióro, siedząc na brzegu krzesła w oczekiwaniu, aż wykrztusi z siebie tę zbrodnię niedo opowiedzenia, a ja wybiegnęz biurai schwytam tych bezwstydných skurwysynów, aby niewłóczyli się już więcej po ulicy.

Przepełniały ją tak głębokie emocje, że zastanawiałem się, czy nie uspokoić jej, zanim opowie mi całą historię.

- ...

przyszli po mnie w środku nocy.

Dobre wibracje

85

Zaraz, chwileczkę.

W środku nocy?

Coś nie tak.

Gwałciciele i włamywacze to jedyni przestępcy, którzy zjawiają się w nocy, ale służby federalne się nimi nie zajmują.

Przygarbiłem się.

- Przyszli w środku nocy i zabrali mnie.

Porwanie?

O, to jest złamanie praw federalnego.

Wreszcie do czegoś dochodzimy.

- Zabrali panią?

Dokąd?

Kto to zrobił?

Znałem przepisy dotyczące przestępstwa, jakim jest porwanie: wejście przemocą, przewożenie przez granice kilku stanów, złe intencje.

Do mnie należało wykazanie elementów przestępstwa.

- Wie pan.

- mówiąc to, pochyliła się tak blisko, że czułemgoździkową woń jej papierosów.  
Mały, pojedynczy brylant wisiał nalańcuszku widocznym na jej dekolcie.  
Guziki bluzki miała trochę odpięte.

-...

Marsjanie.

O, cholera.

- Zabrali mniedo swojego statku.

Cholera, wyglądała zupełnie normalnie, kiedytu przyszła.

- ...

i poszłam za nimido tego dużego, oświetlonegopokoju.

Wygięła plecyi przymknęłaoczy, a na jej twarzy malowała się desperacja.

- ...

i rozłożyli mnie na tym wielkimstole.

- Ruth - zawołałem recepcjonistkę.

Naglezrozumiałem, gdzie widziałem ten wyraz, jaki malował się w jej oczach, i nie  
chciałemjuzdłużej byćz nią sam.

- Ruth, czy mogłabyś tu przyjść?

Proszę.

Karen odrzuciła głowęna plecy, ale tylko trochę, i zaczęła corazciężej oddychać.

- ...

i zadarli mi sukienkę.

- Ruth!

- wcale mi się to wszystko nie podobało.

- ...

i ściągnęli mimajtki.

Mówiąc to, otworzyła oczy.

Patrzyła prosto na mnie z takim wyrazem desperacji i żalości, że niemal  
chciałemj ą przytulić.

- ...

i włożyli mi dośrodka vibrator.

O, cholera.

Red Ryder 749 to kompletny wariat, ale przynajmniejsię nie rozbierał.

Kobieta zaczęła rytmicznie poruszać biodrami w przód i w tył.

Podbródek opadł jej na pierś.

Akurat wdrzwiach stanęła Ruth.

- ...

i doznałam stanu nieustannego.

o, tak.

och, och, och, ooo, tak.

o Boże.

orgazmu!

86

Zimny strzał

Ruth cofnęła się, jakby smagnięta batem.

- ...

a ja po prostu.

nie mogłam.

przestać.

Gdy to powiedziała, jej słowa stały się niezrozumiałe i zaczęła kwilić z ogromnego wyczerpania, które, jak sobie wyobrażam, towarzyszyło jej przez dwa miesiące nieustannego szczytowania.

Starłem się zachowywać profesjonalnie, ale żaden z przypadków opisany w pomarańczowej książeczce leżącej na moim biurku, a dotyczącej klasyfikacji przypadków w kryminalistyce, nie dotyczył psychopatek przeżywających cielesną rozkosz.

Nic też w moim intensywnym szkoleniu nie przygotowało mnie do postępowania z psychicznymi i fizycznymi przypadkami kobiet zagubionych.

Nawet zdolność przewidywania Eugene'a ani też wielkie doświadczenie Grubego Ala, ani nawet moje własne lata randek i romansów nie przygotowały mnie do tych unikalnych wyzwań, jakie postawił przede mną to pierwsze, wielkie interview.

- A kogo to obchodzi - pomyślałem sobie, gdy Ruth szukała słów, aby coś powiedzieć,

a K-aren trzęsa się w niekontrolowany sposób.

Moim obowiązkiem jest dbać o bezpieczeństwo i szczęście społeczeństwa.

A ta klientka przynajmniej wciąż się uśmiechała.

5

Słodka herbatka i doberman

Jak się okazało, dla faceta z moimi chęciami i ambicjami Ozarks było bardzo dobrym miejscem do stawiania pierwszych kroków.

Czuwanie nad przestrzeganiem prawa to fach nieuznający przebaczenia i koledzy w biurze uczyli mnie, jak zdrowy rozsądek i dystans pomagają hamować entuzjazm.

Cztery lata pisania na określony termin wyrobiły we mnie poczucie presji.

Jeśli nie znajdowałem jej obok siebie, to zdarzało się, że czasem próbowałem ją stworzyć.

Tu, w tej nowej pracy, jak zapewniono mnie, żadnych wznoszeń nie będzie, a jeśli zacznę ich szukać, to zginę.

Eugene Brodie dał mi wystarczająco wiele starych spraw, aby się sparzył.

Siedząc przy swoim służbowym biurku, przekopywałem się przez sterty brązowych i białych teczek z aktami, ucząc się procedury prowadzenia śledztwa.

Mój przydział spraw zawierał takie jak na przykład nierozwiązana zagadka napadów na banki, kradzież mienia państwowego w kilku stanach, oszustwa dokonane na terenie banku i kilka starych ucieczek, które przypominały smakowite kąski polędwicy pływające w garnku pełnym duszonki.

Zawartość tych teczek czytało się jak instrukcję obsługi, szczegółowo i starannie opisującą kolejne kroki, które powinien podjąć agent FBI, aby zmierzać do skazania.

Przekopywanie się przez akta nauczyło mnie, jak mam organizować sobie pracę, podobnie jak stare gazety uczyły mnie dziennikarstwa.

Od oświadczeń złożonych pod przysięgą w czasie dokonywania rewizji aż po formularze dotyczące aresztowania i osadzenia w więzieniu - stare akta podsuwały mi wzory, którymi mogłem posłużyć się w nowych sprawach i zbudować własne śledztwo.

Gruby Al i Benny spędzili więcej niż dużo czasu, odpowiadając na moje pytania i wspominając historie popełnionych przez siebie błędów i odnoszonych sukcesów w czasie wojny w Wietnamie.

### Zimny strzał

- Większość mieszkańców twoich hrabstw nigdy nie widziała naoczy agenta FBI - przypominał mi Benny niejednokrotnie.

- Zadawajim pytania wewłaściwy sposób, a dowiesz się wszystkiego, czego chcesz. Ażeśli będziesz zachowywać sięjak cholerny nowojorczyk, tospędzisz resztę swojego żywotatatuj, przeglądając dokumenty dotyczące sędziów federalnych. Swoje rady popierali opowiadaniem historii,jakie się tu wydarzyły,między innymi o Buffalo z Missouri, farmerze, który zabił czternastuczłonków swojej rodziny, a następnie umyślnie ranił się i wetknął brońw rękę swojemu siostrzeńcowi, aby wyglądało, że chłopak dostał szalu.

I prawdopodobnie wszyscy by w to uwierzyli, ale pewien uważny policjant, Tom Martin z drogówki, przypomniał sobie, że ten chłopak byłeworęczny.

Nigdy nie zastrzelilby wszystkich tych ludzi swoją mniejsprawną, prawą ręką, rozumował Martin.

To podejrzenie i kawałdobrej, policyjnej roboty w starym stylu doprowadziło do wyroku śmiercii zwycięstwasprawiedliwości.

Słuchałem ich przestróg o niebezpieczeństwie, jakie nierozłączniewiąże się zpracą na drogach bez wsparcia.

W pierwszym miesiącu byłem na trzech pogrzebach agentów w stopniu oficera, którzy zginęlipodczas pełnienia obowiązków służbowych.

Na pierwszym wraz z setkami kolegów odprowadzaliśmy na wieczny spoczynek oficera patrolującego autostradę w Missouri.

Zanim upadł obok swojego samochodu patrolowego gdzieś na wiejskiej drodze, wystrzelił szesnaście razyze swojego MAC-10.

Na drugim skłoniłem głowę, idąc obok trumnymiejscowego szeryfa, zastrzelonego z ukrycia, podczasgdy próbowałtylko sprawdzić, kto jest właścicielem przyczepy mieszkalnej.

Morderca wycelował broń w boczne drzwi, wiedząc, że urzędnicy zajmująsię

pilnowaniem porządku starają się unikać frontowych wejść.

I kiedy szeryf nacisnął klamkę bocznych drzwi, bandzior połuzował skobeli wypalił, trafiając prosto pod obojczyk.

I tak pomału, ale pewnie zacząłem poprzez doświadczenie zdobywać umiejętności, niezbędne agentowi FBI.

Spędzałem długie dni w podróży, odwiedzając najdalej położone hrabstwa i przedstawiając się prowincjonalnym szeryfom i szefom dwuosobowych biur.

Większość tych urzędników była ubrana w dzinsy i bawełniane koszulki i nie miała nic oprócz cynkowej plakietki i broni u boku, co pozwalałoby odróżnić ich odkierującego kombajnem.

Prawo stanu Missouri wymagało dłuższego szkolenia, aby zostać fryzjerem, aniżeli urzędnikiem

Słodkacherbatka i dobermany<sup>89</sup>

stojącym na straży prawa.

Wielu z tych ludzi, z którymi pracowałem, gdy brało udział w akcji, miało koguta na samochodzie i plakietkę.

Jeśli zaś chodzi o samochód, broń i mundur, to już te rzeczy musieli zatroszczyć się sami.

Podobnie jak i o amunicję, potrzebną, aby ćwiczyć strzelanie.

Gruby Al pomagał mi w tych sprawach, wstawiając do bagażnika mojego grand prix dwieskrzynki zakupionych przez FBI naboju kalibru .

38 oraz wyjaśniając zalety dobroczynności.

Podarowanie tu czytamy pudełka naboju na dowód dobrej woli może daleko zaprowadzić pokazać, że czasem po FBI można się spodziewać czegoś więcej aniżeli tylko kłopotów, mawiał.

A takie pielęgnowanie dobrych kontaktów z kolegami w terenie może zostać odpłacone w postaci wsparcia w jakąś zimną, ciemną noc.

Każdy z nas, próbując sprostać obowiązkowi, pracował po dwanaście godzin na dobę.

Stracenie całego dnia na uganianie się za jakimś rzeźnikiem gdzieś w odległym miejscu oznaczało potem siedzenie w weekend lub ponocach, aby wyrobić się z pracą papierkową.

Lepiej już chyba było polegać na miejscowych urzędnikach lub napatrolach

drogowych.

Oni znali teren i swoją pracę.

Większość policjantów dokonuje więcej aresztowań w ciągu tygodnia aniżeli agent przez cały rok.

Dlatego też znalezienie kogoś takim doświadczeniem, kto jeszcze wzięłby cię pod swoje skrzydła, oznaczało, że wyboista droga nauki stawała się o wiele łatwiejsza. Zdobyć zaufania tych ludzi, szczególnie takiej osobie jak ja, z akcentem świadczącym o pochodzeniu z Nowej Anglii, trochę trwało, ale wytrwałość się opłacała.

Zacząłem awansować w zestawieniach statystycznych - które FBI prowadzi dla każdego agenta i dla każdego biura terenowego.

Aresztowania, nakazy rewizji, zapobieżenie stratom materialnym, odzyskanie majątku i inne sukcesy to rodowód, odróżniający jednego śledczego od drugiego.

Wielu naczelników jest zdania, że statystyki nie są ważne, ale ja szybko zorientowałem się, że im więcej liczb masz na koncie, tym lepiej oceniają twoje dokonania i tym lepszą masz opinię.

A to przekłada się na nagrody, nowsze samochody i lepsze sprawy.

Statystyki przyczyniają się także do większej satysfakcji z pracy, ponieważ im ciężiej pracowałem, tym większą miałem z tego radość, a im więcej radości, tym lepiej wypadałem statystycznie.

Eugene Brodie nigdy nie bagatelizował korelacji.

Dość szybko wybaczył mi.

## 90 Zimny strzał

incydent z odznaką FBI i pozwolił prowadzić śledztwa, nie nadzorując ich zbytnio.

Zagłębiłem się w stare sprawy dotyczące zbiegów z więzień i wszystkie potraktowałem jak osobiste wyzwania.

Analizowałem je, próbując dojść, gdzie zajmujący się nimi agenci popełnili błąd, co umknęło ich uwadze, kiedy przeoczyli jakiś skrawek dowodu, mogąc doprowadzić do rozwiązania.



Studiowałem ich trzystadwójki, szukając pytań, których nie zadali, i technik, które okazały się zawodne.

I sam wymyślałem, jakie pułapki można by zastawić, podobne do tych, które widziałem w Kansas City, albo jakie brednie można by zaszerwować krewnym poszukiwanego, którzy kłamali mi w żywe oczy.

I tak na przykład złapałem jednego, niczego się niespodziewającego uciekiniera, specjalnie jadąc do jego rodziców z listem, który sfabrykowałem na biurowym papierze.

"Z powodu nawału pracy, spowodowanej prowadzeniem innych śledztw, a także przepisów o przedawnieniu obowiązujących w stanie Missouri, nie jesteś już dłużej uważany za osobę podejrzaną o dokonanie przestępstwa", było napisane w liście. Osobiście doręczyłem ten list rodzicom przestępcy, wraz z zastrzeżeniem, że adresat musiał podpisać ten formularz, przywracający należne mu prawa obywatela Stanów Zjednoczonych.

Użyłem papieru firmowego służącego do składania zamówień na artykuły biurowe, ale dla niewprawnego oka nie wzbudzał on podejrzeń.

I kiedy spotkałem się z podejrzanym w miejscowej restauracji Git-n-Go, aby podpisał dokument dotyczący nanowo odzyskanej wolności, rozciągnąłem go na masce swojego nowiuteńskiego Forda Caprice i zakułem w kajdanki.

- Nie wolno ci tak mnie okłamywać!

To pułapka!

- wrzeszczał.

Pewno że tak, ale w miłości, na wojnie i w śledztwach UFAP wszystko jest dozwolone.

Pewnego razu poszukując mordercy z Kolorado imieniem Terrence, który uciekł z więzienia, zajechałem do małego, prowincjonalnego miasteczka.

W papierach było napisane, że podczas pijackiej bibki strzelił on jakimś mężczyźnie prosto w twarz ze sztucera 30-30 i ostrzegł, że zrobi to samokazdemu, kto spróbuje wsadzić go do więzienia.

Używałem tej broni, polując, i pamiętam, jakie powodowała rany.

Dlatego też ostrzeżenie wydawało się słuszne.

Przypadki takie jak tenaż się proszą o pomysłowość.

W tym wielkim kraju niemal każdy może się ukryć, jeśli naprawdę chce,  
ależbieSłodka herbatka i dobermany91

gowie to istoty ludzkie, a one popełniają błędy.

I gdy zbliża się DzieńMatki lub wygląda na to, że w dzień urodzin dziecko nie  
usłyszy życzeń przez telefon, wtedy tacyludzie miękną.

Wkońcu każdyz naszyje dość długo i nawiązuje kontakty z innymi ludźmi.

Oni myślą, żeo nich zapominamy, ale to nieprawda.

Ten facet pasował doszablonu: sześćioletnia córka i niepragnącego widzieć żona,  
mieszkająca zj ego rodzicamiw typowym domkudwurodzinnym z1970 roku.

Wiedziałem, że rodzina za nic nie powiem, gdzie mogę go znaleźć, wobec tego całą  
swoją uwagę skupilemna słabym punkcie w jego zbroi - na córce.

Bez względuna to, z jakzatwardziały przestępcąma się do czynienia,  
zawszeznajdzie onsposób, by skontaktować się z dziećmi.

Mając nadziejęna jakiś trop, śledziłem jego żonę dość długo, ażwreszcie  
zauważyłem pewnego ranka, że prowadzi dziewczynkę doprzedszkola.

I wtedy wiedziałem, że go mam.

Poszedłem za nimi, zczekałem, aż matka wyjdzie, i poszedłem zobaczyć się z  
przedszkolanką.

Zgodziła siępomóc, gdy pokazałem jej kopię kryminalnych wyczynów ojca małej.

A ja tylko chciałem, żeby ustawiła dzieciaki w kółkui zaczęła zabawęz tytułowaną  
"Gdzie jest mójtata?

".

Dziewczynkawstała i oznajmiła, że jej tatusiadługo niebyło, alewłaśnie wrócił.

A tak naprawdę, towłaśnie wtedy siedział sobie w domu na kanapie i oglądał  
telewizję.

Dzięki.

Trzy godziny potem matka przyszła, aby odebraćóreczkę, ipotem podeszły do  
wysokiego mężczyzny w ciemnym garniturze, siedzącego na schodach prowadzących do  
szkoły.

Kiedyprzedstawiłem się grzecznie i spytałem o jej męża, kobieta przysięgłana

Boga, że mąż nie skontaktował się z niąod czasuucieczki z więzienia.

Bóg musi mieć poczucie humoru, ponieważ powszechnym znakiem rozpoznawczym, jaki

zauważyłem ukazaćdegokłamcy, byłabezwstydną chęć przysięgania na Stwórcę.

Ta kobietaniebyła wyjątkiem.

Gdyjuż wyczerpała kłamstwa, powiedziałemjej, jak bardzo jejcóreczka lubi widok tatusia siedzącego w domu w pokoju na kanapie.

Kobieta zaczęła przeklinać mnie za wmieszanie w to wszystko małej,ale nadal zarzekała się, że nicnie wieo losie swojego męża.

I w tymmomencie wytoczyłem najcięższe działa.

Ukrywanie przestępcy, któ^naruszył prawo federalne, również podlega kodeksowi federalneo^u, to znaczy karze osadzenia w federalnym więzieniu.

A siedzące.

92

Zimny strzał

w więzieniu matki nie mogą codziennie odprowadzać swoich córeczek do przedszkola, a właściwie to taka matka nawet nie może codziennie odprowadzić swego dziecka do domu.

A więc jeśli taka matka nie pomoże mi wsadzić z powrotem swojego starego do więzienia,to dzieckoidzieze mną.

Wybór był prosty.

Wyjeżdżam z tej smutnej, małej miejsciny z którymś z członków jej rodziny wsamochodzie: z córką, która zostanieoddanado opieki społecznej, albo z mężem,który wrócido więzienia.

Czterdzieści pięć minut i cały sagan łez później zatrzasnąłem kajdanki firmy Peerless na przegubach tego faceta i przypiąłem go do tylnego siedzenia w swoim samochodzie.

Obyło się bez strzelaniny, bezzakładników, bez potu.

Właściwiebyłomi wstyd, że posłużyłem sięmałą przeciwko jejmatce, i uczucie to gnębiłomnie, dopóki ten facetnie otworzył gęby wsamochodzie.

- Nie macie tam żadnych pieprzonych czarnuchóww tym więzieniu, do którego mnie zabierasz, conie?

- spytał.

Aż się zatrzymałem, aby upewnić się, że dobrze słyszę.

W tym momencie całe uczucie żalu ulotniło się ze mnie jak podmuch wiatru.

Czasem zapoznawanie się z czyjąś przeszłością, nawet naznaczoną zbrodniami takimi jak morderstwo, nie daje należytej charakterystyki postaci.

Ludzie popełniają błędy, gdyż są tylko ludźmi.

Błądzimy.

Ale słuchanie tego człowieka, plującego nienawiścią, która zdefiniowała całe jego okrutne, zmarnowane życie, sprawiło, że otrząsnąłem się z wszelkiego poczucia winy.

Gdy przywiozłem go do więzienia w hrabstwie Greene, spełniłem jego życzenie i dokładnie powtórzyłem to, co powiedział, zastępcy naczelnika więzienia.

Więzienie świadczy specjalne uprzejmości facetom takim jak ten.

W każdym razie jego córce lepiej było w domu bez statusu rozwalonego na kanapie.

W drugim roku pobytu w Ozarks moje życie przedstawiało się wiele lepiej.

Wraz z Rosą skorzystaliśmy z boomu budowlanego w Waszyngtonie i sprzedaliśmy nasz dom obok Kapitolu, a kupiliśmy tu obszerny dom na południe od miasta na jednoakrowej działce.

Nasz drugi dziecko, synek Mickey, właśnie uczył się chodzić, a jego starszy brat, Jake, korzystał z każdej okazji, aby wyciągnąć mi na ryby, co dawało mi poczucie takiego spokoju, jakiego jeszcze nigdy przedtem nie doświadczyłem.

Nawet zbudowałem domek na drzewie - bardziej dla siebie słodka herbatka i doberman

93  
nie niż dla dzieci.

Spaliśmy tam latem, napawając się widokiem gwiazdy zapachem kapryfolium.

Mój status pieprzonego żółtodzioba skończył się, dając mi poczucie bezpieczeństwa i perspektywę długiej i satysfakcjonującej kariery agenta, a wyniki statystyczne układały się w jedno pasmo sukcesu.

Pracowałem nad najrozmaitszymi sprawami, dotyczącymi napadów na banki, kontrwywiadu, także morderstw podpadających pod ustawę o zbrodniach przeciwko rządowi Stanów Zjednoczonych.

Pomagałem zastępcom prokuratora generalnego przedstawiać sprawy w sądzie

federalnym, zeznawałem przed ławą przysięgłych, składałem oświadczenia pod przysięgą dotyczące dowodów uzyskanych podczas rewizji, stałem całe noce na czatach, obsługiwałem urządzenia podsłuchowe i zapoznawałem się z dzungłą dokumentów, jakie produkuje FBI.

Wszystkie najciekawsze doświadczenia, na jakie liczyłem w tym zawodzie, rozegrały się tak, jakobiecycwała to ulotka reklamowa.

Niektóre sprawy wydawały się głupie, jak na przykład ta, gdy pognałem do Fortu imienia Leonarda Wooda, aby zbadać tajemniczy telefon od oficera wywiadu wojskowego, który właśnie otworzył jakąś teczkę z aktami dotyczącymi potencjalnego szpiegostwa.

Badając całą sprawę, odkryłem, że siedemdziesięciodwuletni emerytowany robotnik drogowy odwiedził kiedyś stajnię należącą do fortu, gdyż potrzebował końskiego nawozu dla swoich róz.

Popełnił błąd, próbując podczas nakładania nawozu na starą ciężarówkę nawiązać pogawędkę o tym, jak to fort rozrósł się przez lata.

Zanim zdążyłem tam przyjechać, jakiś chorąży chytrusek zrobił z tej sprawę zahaczającą o bezpieczeństwo narodowe, twierdząc, że ten facet wypytywał o siłę wojsk i infrastrukturę wojskową.

- Oczywiście - oświadczyłem.

- Jeśli Rosjanie posługują się takimi szpiegami, to znaczy, że jest z nimi wiele gorzej, niż myśleliśmy.

Niektóre sprawy zdumiewały mnie, jak na przykład ta, w której pewien farmer z hrabstwa Taney wypompował wodę ze skażonej sadzawki dla bydła i znalazł nad nie skrytkę z nagraniami z komputera należącego do armii Stanów Zjednoczonych i z napisem "Ścisłe tajne".

Nigdy bym sobie nie potrafił czegoś takiego wyobrazić.

Na początku wojny w Zatoce Perskiej zadzwonił pewien mężczyzna, aby powiedzieć, że jest w posiadaniu planów tajnego schronu Saddama Husejna.

Jak się okazało, człowiek ten pracował jako nadzorca budowlany w firmie, która schron budowała, i nadal miał te plany ukryte w piwnicy, aż do chwili, gdy wysłaliśmy je do CIA.

94 Zimny strzał

Odebrałem telefon od człowieka, który oznajmił, że jest fizykiem jądrowym i pracował w laboratorium w Los Alamos nad pewnym tajnym projektem rządowym aż do czasu, gdy pewna grupa radykalnych mormonów ścigała go po całym Meksyku, chcąc zamordować.

Niemal wrzuciłem raport o tym telefonie do teczki Red Rydera 749, aż nagle małe śledztwo dowiodło, że ten człowiek nie kłamie.

Był też samozwańczy ambasador Izraela, który rozbijał się samochodem z tablicami rejestracyjnymi domowej roboty i żądał immunitetu i suwerenności dla swojej dwustuakrowej farmy.

Kiedy w więzieniu stanowym w hrabstwie Laclede kazano mu ubrać się w pomarańczowy kombinezon, złożył skargę na łamanie jego swobód obywatelskich. Przekonania religijne zabraniały mu noszenia ubrań z poliestru i chciał, aby FBI zbadało sprawę.

Całe szczęście, że to ja się tam zjawiłem, a niektórzy z tych facetów, przed którymi zdawałem egzamin wstępny do FBI.

Wszyscy oni byli ubrani na sportowo.

Poznałem każdy trik, jak stosuje się w śledztwie, technikę lub przyrząd, który ktokolwiek mi pokazał.

Zbierałem narzędzia jak magik, kompletujący czarodziejską torbę.

Benny nauczył mnie nawet potęgimodlitwy i raz ją zastosowałem, aby sprowadzić pewnego pracownika banku, który dopuścił się oszustw, na drogę pokuty.

Zebraliśmy całą rodzinę, a następnie usiedliśmy w koło, trzymając się za ręce i śpiewając pieśni religijne tak długo, aż krnąbrny grzesznik niewyjawiał swoich przewinień i nie wsiadł ze mną do samochodu w celu udania się namalą pielgrzymkę do federalnego zakładu karnego.

Udało mi się pozyskać informatorów z najróżniejszych kręgów:

bezdomych, szefów firm, kierowców wielkich samochodów ciężarowych, byłych przestępców i uczciwych członków społeczeństwa.

Wszystko, co mogło dostarczyć wartościowe informacje do moich śledztw, wydawało

się grafair.

Niektórzy informatorów pracowali za kilka dolarów, innym znów, ponieważ kochali napięcie - wystarczyło noszenie urządzeń nagrywających albo zabawa w tajnego agenta.

Jeszcze inni pomagali, gdyż ich zdaniem było to słuszne.

Obojętne, czym się kierowali - ja dziękowałem im za pomoc i wkładałem zebrane przez nich materiały do teczek, mnożąc sprawy, areszty i skazania.

Cała ta praca dawała mi głęboką ufność w moje zdolności.

Czytoprzeprowadzając otrzeć nad ranem ryzykowny nalot na narkotykową melinę, czy też przedstawiając się ofierze napadu na bank, miałem

Słodką herbatka i doberman<sup>95</sup>

takie poczucie własnej wartości, jakiego nigdy nie doświadczyłem.

Częściowo było ono spowodowane posiadaniem broni, aczęściowo znaczną władzą, jaką dawała odznaka FBI.

Jednak przeważającą część pochodziła z fundamentalnej wiary w instytucję, jaką było FBI.

Wierzyłem w FBI i w jego prawość, tak jak niektórzy wierzą w religię.

Jeśli rozdział 18 Kodeksu Stanów Zjednoczonych mówił, że coś jest złe, to wiedziałem, że takie było, a jeśli podręcznik FBI wytycznych na temat prowadzenia śledztwa i operacji stwierdzał, że coś było słuszne, to wiedziałem, że było i już.

FBI było synonimem pewności, odbierania dowodów poczynając, a na przepisach dotyczących korzystania ze służbowych samochodów kończąc.

Uważałem się za część bezpośredniego i bezkompromisowego dobra i ta przynależność dawała mi siłę.

Agenci FBI prowadzą dwa podstawowe rodzaje śledztw: sprawy, które biorą swój początek w biurze, i "sznurki", które są przeważnie prośbami o pomoc ze strony innych biur.

Większość agentów uważa, że "sznurki" to uprzykrzenie, ponieważ rzadko kiedy mają one jakąś kontynuację poza wiodącym donikiem, interwiew albo sprawdzeniem akt.

A na dodatek odciągają od własnych, prowadzonych przez nas spraw.

Pewnego popołudnia dopiero co wróciłem z biura prokuratora, gdyz Kansas City

nadesłano "sznurek" w całkiem innym, bardzo interesującym kolorze.

Kilka dni temu zabito tamagenta kontroli podatkowej oraz jego żonę i córkę.

Dziewczynę zgwałcono, a następnie okrutnie pobito na śmierć wykonaną w domu maczetą.

Rodzice zginęli, gdy wrócili z pracy do domu.

Z powodu wyjątkowego okrucieństwa, jakim odznaczała się ta zbrodnia, oraz tego, że dotyczyła agentów służb podatkowych, wszystkie środki masowego przekazu w Kansas City pospieszyły z pomocą, robiąc z tej sprawy jedną z największych zbrodni ostatnich lat.

Policja Kansas City szybko zawęziła krąg podejrzanych do adoptowanej córki tej rodziny i jej bezrobotnego chłopaka, narkomana imieniem Bobby Matthews, mieszkającego w hrabstwie Olathe.

Wydano nakazy aresztowano dziewczynę, ale chłopak zniknął.

Przypuszczając, że wyjechał do innego stanu, poproszono o pomoc FBI, które wytypowało do tej akcji bardzo wielu agentów.

Wcześniejse dochodzenie ustaliło, że jego była żona mieszka w jednym z podlegających mi hrabstw, wobec tego chciano, abym zorientował się, co się da znaleźć.

96

Zimny strzał

Zacząłem śledzić eksmałżonkę Bobby'ego, młodą kobietę o cichym głosie.

W ten sposób dotarłem aż do domu jej rodziców w Buffalo, w stanie Missouri.

Powiedziała, że nie widziała go od pewnego czasu, ale że zadzwonił poprzedniego dnia i powiedział jej, że jest pijany i chce pomówić z nią osobiście.

Jeśli łączyły ich jakieś stosunki, to uległy znacznemu oziębieniu, ale kobieta zgodziła się na to spotkanie, bo zaniepokoił ją ton jego głosu.

Wiedziała, że chodzi o coś poważnego.

Nigdy nie ufałem żonom, przyjaciółkom, ekskochankom lub matkom spieszącym z informacjami na temat podejrzanych, ale odnosiłem wrażenie, że była żona



Matthewsa naprawdę chce pomóc.

Jej rodzicenie chcieli mieć z nim nic wspólnego.

Wydawało się, że każdysię boitegofaceta i że nikogo zarzuty wobec niegonie zaskakują.

Kobieta i jejrodzina zgodzili się zwabić go wieczorem do domu, ale pod warunkiemże złapiemy go,zanim wejdzie.

Eugene Brodie wyraził na to zgodę,wysyłającwszystkichz biura, aby śledzili Matthewsa, ochraniali jegorodzinę, a jego samego aresztowali.

Jak tylko się ściemniło, siedmiu z nas zajęchało dwoma jak najmniejrzucającymi się w oczy samochodami, stanowiącymi część floty biura.

Eugene usiadłwraz z rodziną Matthewsa w domu, podczas gdy pozostali ustalali obwódokręgu obławy, usuwali przeszkodyz polawymianyognia i ustawili jeden z samochodów wtaki sposób, aby blokował drogęewentualnej ucieczki.

Ja wsunąłem liczący trzydzieści pięćnaboi magazynek do mojego samopowtarzalnego karabinu MP-5, naciągnąłem kuloodporną kamizelkę na bluzę z kapturem,a na to wszystko jeszcze czarneubranie.

Wraz z Bradem iAlemznaleźliśmy kryjówki wokół domu,nawypadek gdyby Matthews chciał wślizgnąć się do niego niepostrzeżenie.

Z koleiBenny przykucnął koło samochodu blokującego drogę odwrotuna wypadek, gdybyśmy szybko musieli gdzieśjechać.

Iczekaliśmy.

Czekanie to prawdziwy dopust boży naszej pracy.

Przestępcy nie uznaj ąnormowanegoorytmu życia.

Ilekoć nasz informator ustalał spotkanie na dwudziestądrugą, tylekoć tamten zjawiałsię około północy.

A jeśliina przykład porwanie ciężarówki było planowane na dwudziestą czwartą, to złodzieje zjawiali się o trzeciej nadranem, jeśli wogóle przychodzili.

Zacząłem przeklinać wyznawanąprzez Benny'ego regułę 1:10, zgodnie zktórą jest tylko dziesięć procent szans na to,by coś, cozostało zaplanowane, wydarzyłsięzgodniez tym planem.

Słodka herbatka i dobermany

Tak więc wyznaczony na dwudziestą pierwszą czas spotkania z Matthewsem minął i nic się nie wydarzyło.

Upłynęła jedna godzina, a potem druga i trzecia, a my siedzieliśmy pod gołym niebem Missouri.

Nikt nie zadzwonił, nie zapaliły się żadne światła, nikt nieoczekiwanie nie zapukał do drzwi.

Około drugiej w nocy przypomnieliśmy sobie zasadę 1: 10 i uznaliśmy, że noc mamy z głowy.

Chyba najtrudniejsze dla mnie podczas pracy nad daną sprawą było nauczenie się, że śledztwa prowadzone przez FBI trwają często bardzo, ale to bardzo długo.

Gdy ukończyłem Akademię, najpoważniej w świecie sądziłem, że śledztwo w każdej sprawie zostaje zakończone pod koniec tego samego dnia, w którym zostało rozpoczęte, i że niemożność dopasowania wątków nie będzie spędzać mi snu z powiek. Przypuszczałem, że gdy tylko złapiemy trop, angażujemy się w to śledztwo całym sobą, pracując bez wytchnienia, aż złapiemy przestępców i wsadzimy ich do więzienia.

Otóż nic podobnego.

Najogólniej mówiąc, śledztwa prowadzone przez FBI ciągną się całymi miesiącami i latami.

Miejscowi policjanci mogą wydać nakaz rewizji przez telefon, ale już federalnym zajmuje to cały dzień.

Policja miejska może kogoś aresztować tylko dlatego, że nie podoba jej się kolor włosów delikwenta, natomiast agenci FBI muszą zwracać uwagę na każdy szczegół, zbierając dowody zgodnie z wymogami stawianymi przez ławę przysięgłych.

Nie znaczy to, że materiał dowodowy dostarczony przez śledztwa prowadzone lokalnie lub na terenie stanu wzbudza wątpliwości; po prostu sprawy o zasięgu federalnym stawiają przed śledczymi większe wymagania.

Dość szybko nabrałem podejrzeń, że sprawa Bobby'ego Matthews'a nie zakwalifikuje się do tych, z którymi szybko udanę się uporać.

Eugene przydzielając mnie do tego śledztwa, kazał odsunąć na bok wszystkie inne i miało tak być dopóty, dopóki nie wpadnę na jakiś trop.

Takie słowa były jak balsam dla moich uszu, ponieważż nic na świecie nie wprowadzało mnie w takie podniecenie, jak uzbrojony i niebezpieczny przestępca, znajdujący się

niemal w zasięgu ręki.

Nawet poszukiwanie zakopanych skarbów nie przyprawiłoby mnie silniejszy dreszcz emocji.

Schwytanie tego sukinsyna stało się moją osobistą misją.

Następnego dnia wczesnym rankiem zabrałem byłą żonę Matthews z domu jej rodziców i pojechaliśmy dwadzieścia mil na wieś do jej byłych teściów.

98

Zimny strzał

Jadąc, rozmawialiśmy o przeszłości Matthews, jego hobby, aspiracjach i zainteresowaniach.

Oprócz nadarzających się okazji do opróżnienia butelki z Jackiem Danielsem jego zainteresowania wydawały się ograniczać do zastanawiania się, jakie to dostępne w domu środki chemiczne mógłby powdychać, aby być na haju.

Takie określenia cech charakteru jak niezaradny, pijak, bezwartościowy i przerażający przewijały się nieustannie przez naszą konwersację.

Gdy zapytałem, jak to się stało, że się w nim zakochała, wzruszyła ramionami i odparła:

- Nie mam pojęcia.

- A jaka jest jego rodzina?

- spytałem.

Sam już też zastanawiałem się nad tym, ale chciałem jeszcze usłyszeć odpowiedź z jej ust.

Konfrontacja z członkami rodziny to na ogół ostatnia deska ratunku, mająca na celu wykurzenie uciekiniera z kryjówki, ale w przypadku tej okrutnej zbrodni uważałem, że trzeba zaapelować do ich poczucia godności.

Jeśli i to byzawiodło, wówczas zastosowałbym inne triki.

Zaapelowałbym: "Proszę, sprawcie, aby się poddał, zanim tutejsi policjanci go zabiją".

Matki nie chcą wydać swoich synów, ale nie chcą też ujrzeć ich martwych, leżących

gdzieś na skraju wiejskiej drogi.

- Jegorodzina jest jeszcze gorsza niż on - ubolewała - biała hołota.

Potrząsnęła ponownie głową zawstydzona, że kiedykolwiek związała się z kimkolwiek z nich.

- Czy zechcą ze mną rozmawiać?

- spytałem.

- Tak, ale niepowiedzą, gdzie on jest.

- A co robijego brat?

Władze Kansas City już namierzyły jedyne go brata Matthews.

Mieszkał w przyczepie tuż obok domu rodziców.

- Może i będzie z tobą rozmawiać, ale on jest dziwny.

- Dziwny?

Co przez to rozumiesz?

Uśmiechnęła się.

- Co przez to rozumiesz?

- powtórzyłem.

Słowo "dziwny" w tym kontekście mogło oznaczać wiele rzeczy, od pokręconej osobowości do

skłonności ku seryjnym mordom.

- On jest po prostu inny - odparła i zaczęła chichotać.

Od chwili, gdy się spotkali, rzadko widywałem uśmiech na jej twarzy, ale jednak coś w jej byłym szwagrzu wydawało jej się śmieszne.

- Posłuchaj, muszę porozmawiać z tym facetem, aby pomógł mi znaleźć swojego brata, który jest mordercą, gwałticielem i ucieka przed

Ł

Słodka herbatka i doberman

99

wymiarem sprawiedliwości - wyjaśniłem.

- To określenie "dziwny" może mnie kosztować życie.

Jeśli wiesz o czymś, co może pomóc, będę wdzięczny, jeśli mi powiesz.

Czy on jest niebezpieczny?

- Mógłby być, gdybyś był psem.

- Jej chichot przerodził się w śmiech.

- Psem?

-Taaak.

On lubi psy.

nowiesz, jeśli chodzi o seks.

Ach, to "dziwny" w tym sensie.

Spotkałem jego dziewczynę, siedemdziesięciopięcioletnią dobermankę przywiązaną łańcuchem do słupka przedzie przyczepy.

Derek pochylał się nad silnikiem el camino z 1967 roku ze sportowymi kołpakami.

Na porysowanej powierzchni pełno było śladów poszpachlówce i świeżym lakierze.

Cindy przedstawiła mnie jako agenta FBI, a Derek nie uronił ani słowa.

Aczkolwiek jego inteligencja ograniczała się tylko do podstawowego stopnia, pojął moje zamiary.

Skinął głową i powrócił do swych wysiłków wderwania czterocylindrowego gaźnika z potężnego V8.

- Nie widziałem go.

- I to było wszystko, odpowiedział.

- Mamaw domu?

- spytała Cindy.

Derek wzruszył ramionami, wskazując w kierunku przyczepy.

Nie chciałem naigrywać się z ludzi, którym poszczęściło się gorzej niżeli mnie, ale rozgrywająca się przed moimi oczami scena sprawiała, że potrząsałem głową i uśmiechałem się pod nosem.

Odmilonych zainteresowań Dereka czworonogami poczynając, poprzez pół tuzina produktów firmy General Motors walających się po całym podwórku, a

narozwalających się domu na kółkach skończywszy, ten należący do rodziny

Matthewsów teren wpasowywał się w najgorsze stereotypy miastahrabstwa Ozarks.

Na podwórku pełno było walających się śmieci, wysypywały się z

czarnych plastikowych toreb, mnóstwo było kartonów po Jajkach, papierowych

filtrów do kawy, puszek popiwe Budweiser oraz połyskujących w słońcu aluminiowych tacek od gotowych dań.

Wszędzie unosił się zapach psich odchodów, oleju silnikowego i beznadziejności.

Cindy zapukała w podarte harmonijkowe drzwi.

Stałem z boku, Popuszczając, że widok mojego garnituru i krawata może wystraszyć każdego z tutejszych mieszkańców.

Dzień dobry, mamó - powiedziała Cindy, zachowując więcej niż Riewielki dystans.

- Jest tu zemną ktoś z FBI.

Chcą znaleźć Bobby'ego, zanim szeryf go zabije.

100 Zimny strzał

Trochę się skrzywiłem na tę formę prezentacji.

Taki początek pozostawia niewiele możliwości na opuszczenie poprzeczki, a równocześnie rozbudza podejrzenia, jakie rodzice przestępcy mogą żywić wobec stróżów prawa.

Morderca i gwałcień, czy też nie, Bobby pojawił się na tym świecie dzięki olbrzymiemu bólowi i wysiłkowi tej kobiety i ona nie wyda go tak łatwo.

O dziwo, matka Bobby'ego zaprosiła nas do środka i poczęstowała szklanką słodkiej herbaty.

Stałem w pobliżu drzwi częściowo z powodu mojego ostatniego doświadczenia przy szukaniu groźnego i uzbrojonego przestępcy, który ukrył się w przyczepie samochodowej, a częściowo z powodu fetoru.

Jedynym powodem, dla którego śmieciwały się na podwórku, było to, że w domu nie starczyło już dla nich miejsca.

Gdyby nie nowusieńki, trzydziestosześcioletni telewizor, w którym siedział urat show Phila Donahue, przysięgłbym, że zabłądziliśmy i wylądowaliśmy na miejscowym wysypisku śmieci.

Przez drzwi widać było duży pokój, który wydawał się żyć jakimś dziwnym życiem.

Naliczyłem tam pięć kotów, dwa śpiące psy i ledwie widoczną ludzką postać rozciągniętą na kanapie.

W powietrzu unosił się tyle much, że ich brzęczenie przypominało dźwięk złe nastawionej radio.

Porzucane ubrania, resztki jedzenia, puszki po piwie i niemal zamieniony w

skamielinę wizerunek zgniętego życia sprawiły, że prawiemnie zatkało.

- Niech pan siada - powiedziała kobieta, wskazując nacoś po mojej prawej ręce, co kiedyś mogło być kozetką.

Jej obicie było sztywne od potu, który w nie wsiąkł, oraz od resztek żywności.

Podawała herbatę w plastikowej szklance firmy Tupperwarei usiadła naprzeciw mnie, na kanapie.

Zacząłem pić, gdy nagle zauważyłem, że brzeg szklanki jest poobgryzany, jak przycisk długopisu.

Poczułem się tak, jak Steve McQueen w scenie z filmu Papillon, w której bierze cygaro z rąk trędowatego.

Ale nic.

Zrobiłem to, co musiałem, to znaczy wypilem herbatę z wyszczerbionej szklanki, a potem przesiadłem się na kanapę i próbowałem skoncentrować się na sprawie.

Moje myśli wypełnił obraz Dereka odbywającego swoją randkę z psem na kanapie, gdy odsunęła go bok purpurową aksamitną poduszkę z wyhaftowaną mapą Wietnamu z jednej strony, a napisem "Śmierć mi nie straszna, już odsłużyłem swoje w piekle: Da Nang 1968" z drugiej.

Co za czort, pomyślałem

Słodką herbatką i dobermanami

sobie.

Przecież aby dokonać tego aresztowania, ryzykowałem czymś więcej niż złapaniem skórnej infekcji.

- Patrz pod nogi - ostrzegła mnie matka Dereka.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem głęboką na ponad pół metra dziurę, przez którą widać byłoby starą, dobrą gliniastą ziemię Missouri.

- Smakowała mi ta herbata, pani Matthews - powiedziałem, starając się nie myśleć o wyglądzie szklanki, z której musiałem ją pić.

Przysiadłem na skraju sofy, próbując oszczędzić metkę z pralni.

- No, a teraz porozmawiajmy o Bobbie.

Musimy wyprowadzić tę sprawę na prostą, zanim sytuacja jeszcze się pogorszy.

Trzy godziny później, po przebrnięciu przez album z rodzinnymi fotografiami, wysłuchaniu historii o umiejętności starszego syna odpokutowania za grzechy i

ogarniającej mnie przemożnej potrzebiewzięcia prysznic, wstałem, zbierając się do wyjścia.

Matka Bobby'ego wiedziała mniej więcej, gdzie ukrył się jej syn, ale nie chciała mi powiedzieć, dopóki nie będzie miała okazji z nim porozmawiać.

Przysięgała na wszystko, tak jak każda matka, że jej syn nie zrobił nic złego, ale wiedziała, co go czeka, jeśli nie odda się w ręce policji, a myśl, że może przeczytać w "Springfield News Leader" wiadomość, że jej syn zginął gwałtowną śmiercią, poruszył ją w widoczny sposób.

W trójkę ułożyliśmy plan mający na celu przekonanie Bobby'ego, by zadzwonił do mnie i porozmawiał o tym, co zamierza robić dalej.

Obiecałem, że nie będę ustalał, skąd Bobby dzwoni, i że jeśli odda się dobrowolnie w ręce FBI, nic złego mu się nie stanie.

Pani Matthews przyrzekła, że Bobby zadzwoni tego wieczoru.

- Dobrze wychowałam tego chłopca - powiedziała - ale narkotyki wszystko popsuły.

- Jestem pewien, że zrobiła pani wszystko, co można - zgodziłem się.

Bobby zadzwonił do mnie do domu następnego dnia wieczorem.

Rozmawialiśmy przez telefon trzykrotnie, poruszając każdy aspekt jego życia.

Słyszałem już takie historie setki razy.

We wszystkich myśl przewodnia jest zawsze taka sama, zmieniają się tylko szczegóły.

Sprawcy okrutnych zbrodni w rzeczywistości nie mogą przyznać się do tego, co zrobili, toteż racjonalizują swoje działania, zwalając winę na innych i pomniejszając swoje czyny.

Bobby najpierw twierdził, że nic nie pamięta, ale potem przyznał, że jego dziewczyna nienawidziła swych przybranych rodziców i siostry, która górowała nad nią urodą i dobrem.

## 102 Zimny strzał

przyjaciół i biologicznymi więzami, jakie łączyły ją z dwójgim ludzi, do których obie zwracały się słowami "mamo" i "tato".

Bobby nie znał siostry swojej dziewczyny, ale zdawał sobie sprawę, że nigdy nie



będzie mógł mieć kogoś takiego, otakim statusie społecznym.

Wkrótce po tym, jak jego dziewczyna uknuła plan, Bobby zamienił swój wstręt do krwawego mordowania na przepelnioną chęcią dokonania gwałtu.

Jadąc do domu rodziców dziewczyny, zatrzymał się i kupił funt gwoździ.

Nabił je na deskę, zaczekał, aż szesnastoletnia siostra jego ukochanej wróci ze szkoły, i spędził całe popołudnie w oparach taniego alkoholu, marihuany i wyuzdanego seksu.

A kiedy miał już dość, zakatował dziewczynę na śmierć wykonaną przez siebie maczetą.

Żadna z umiejętności, jakich nauczyłem się w Akademii, nie przydałaby mi się teraz, aby go złapać.

Toteż słuchałem.

I sprawdziło się, co mówił Benny: ludzie powiedzą ci wszystko, jeśli tylko dasz im szansę.

Bobby oddał się w nasze ręce dwa dni później, w Tucson, w Arizonie.

Wyszedł zza rogu centrum handlowego i wyglądał tak, jak każdy, mrużąc oczy od słońca.

Agenci z biura w Tucson wyskoczyli z samochodów z wyciągniętą bronią i rozplaszczyli go na chodniku.

Jeden z moich kolegów, z którym byłem razem na kursie w Akademii, nałożył mu kajdanki, a ja siedziałem i patrzyłem.

Dla mnie była to twarda lekcja.

Agenci z jednego biura nie dokonują aresztowań na terenie podległym innemu biuru.

Gdybym to ja go aresztował, nie zważając na postawiony przez Bobby'ego warunek, że poddasie tylko człowiekowi, któremu ufa, pogwałciłbym suwerenność Tucson.

Mogłem być tuż obok, ale Bobby należał do nich.

Kiedy już go zakuli w kajdanki, podszedłem i przedstawiłem się.

- Cześć, Bobby, jestem Chris Whitcomb.

- Zdawał mi się, że obiecałeś zrobić to osobiście, ty dupku.

Tu u moich stóp leżał prawdziwy, poszukiwany, wyrachowany, zabijający z zimną krwią morderca.

Zdeprawowany gwałcień.

Śmieć.

Chciałem, aby zerwał się i próbował uciekać, żebym mógł osobiście go złapać i wtłoczyć mu zęby w to jego przemądrzałe gardło zato, że zniszczył życie każdemu, z kim tylko kiedykolwiek się zetknął.

Chciałem zadać mu trochę katuszy, które on zastosował wobec tej rodziny, patrzeć, jak błaga o litość, jak jego życie odpływa z każdym dziś  
słodka herbatka i  
doberman103

kim ciosem, gdy pokazałbym mu, jak to jest, gdy los gotuje nam taką pełną bezsilności, pustą bezsensowną śmierć.

Chciałem patrzeć, jak w jego oczach ujrzę straszną świadomość, że nie można nic zrobić, aby przestało boleć.

Chciałem, aby cierpieli by zapłacił za to, co zrobił.

Lecz w tym samym momencie, w którym zaczęła przepelniać mnie gorycz, uświadomiłem sobie, co dało mi prawo do noszenia broni i odznaki FBI.

Przecież nie byłem taki jak on.

Nienawidzę podziałów na ludzi dobrych i złych.

Przeobrażaj ją one zakochane w futbolu mamuśki w piratów drogowych.

Sprawiają, że człowiek, który dopiero co wyszedł z kościoła pełen planów na nadchodzący tydzień, zaczyna przeklinać innego tylko dlatego, że ten śpiewając w kościele, fałszował.

Władza to coś więcej, aniżeli tylko noszenie przysobie naładowanej broni.

To także poznanie ograniczeń i zrozumienie pierwotnych instynktów, które niektórych pchają do zabijania.

Ale przede wszystkim jest to umiejętność odróżniania dobra od zła to właśnie ona przywiodła mnie aż tutaj.

Doświadczałem uczucia nienawiści, tak jak każdy, ale potrafiłem również odgrodzić się od niej nie przekraczać tej bariery, gdy to uczucie zaczynało we mnie zbierać.

- Przykro mi, Bobby - powiedziałem - ale czas iść do więzienia.

Jak się okazało, nacałe życie.

A on ciągle jeszcze miał na sobie te same sportowe buty firmy Dunham, którymi kopał dziewczynę w głowę.

Krew zabarwiła zamsz naciemniejszy brąz.

6

Zasada nr 3

Każdy nowy agent marzy, by dostać swoją pierwszą "wielką sprawę", która będzie dobitnym testem umiejętności i sprawi, że na jego twarzy pojawi się kilka dodatkowych zmarszczek, a kariera nabierze wyrazistości.

Niektóre z tych spraw wyłaniają się zeskarg złożonych w trybie urzędowym.

Inne znów biorą swój początek od informatorów, którzy trzejwią w okresach między wypłatami, wiszą na telefonie i kręcą się wśród kohort złodziei.

Od czasu do czasu wielkie sprawy rodzą się z małych skarg, na pierwszy rzut oka zupełnie nic nieznaczących, podobnie jak nędznie oświetlona uliczka nagle przechodzi w aleję.

W Springfield nie było tego rodzaju spraw, ale za to spróbowałem wszystkiego, co tylko FBI miało do zaoferowania.

I chociaż moim kolezdy z Akademii czasem musieli tkwić w ciemnych pomieszczeniach, słuchając nagrań podsłuchów, albo też przez długi czas kogoś śpiegować, ja mogłem spróbować wszystkiego, czego chciałem.

Po kilku miesiącach postanowiłem, że moja przyszłość to śledztwa w sprawach ciężkich przewinień, jak na przykład napady na banki, porwania, ucieczki z więzień.

Eugene nagroził mój entuzjazm, czyniąc mnie koordynatorem śledztw dotyczących napadów na banki i podsuwając mi co większe i smakowitsze kęsy.

Aktywna praca podniecała mnie.

Od dzieciństwa uwielbiałem układanki, poznawanie różnych okoliczności oraz myśl, że ktoś inny uważał się za mądrzejszego ode mnie.

Kochałem krzyżówki, akrostychy, gry słowne i wymagające wyężania umysłu - wszystko, co rozbudzało moją zdolność do rozwiązywania problemów.

Napady na banki oraz tropienie migających się przed wymiarem sprawiedliwości wydawały się wielkim wyzwaniem.

Na szczęście ci, którzy rabują banki, nie należą do najinteligentniejszych gwiazd

na kryminalnym firmamencie.

Często dziwiłem się, dlaczego ktoś ryzykując dziesięć latami więzienia, wchodzi

Zasada nr 3

105

do budynku pełnego kamer i świadków, chwytając ze znaczonego banknotami, a następnie rzuca wyzwanie tropielskiej żyłce najlepszej w świecie agencji pilnującej porządku prawnego.

O wiele bardziej sensowne byłoby stać na ulicy, trzymając afisz z napisem "Pracuję w zamian za jedzenie".

I być może dlatego ilekroć w umieszczonym w samochodzie głośniku radiowym do moich uszu docierał głos Ruth informującej o kolejnym napadzie na bank, czułem ucisk w żołądku.

Wiedziałem, że potrafię złapać tych ptaszków.

Adrenalina, która pojawiała się wraz z wyciem syreny i migającym niebiesko kogutem na dachu, była niczym w porównaniu z uczuciem, jakiego doznawałem, czekając na śledztwo.

Za każdym razem, gdy jakiś kretyn ryzykował życie, aby ukraść kilka tysięcy dolarów, odbierałem to jako osobisty atak na integralność FBI.

Toteż gdy pewnego czerwcowego ranka Ruth ogłosiła alarm z biura szeryfa w hrabstwie Dallas w stanie Missouri, wskoczyłem do samochodu i pognałem na północ. Tuż po napadzie na bank napływające informacje są bardzo skąpe, gdyż świadkowie potrzebują czasu, aby ochłonąć, a miejscowa policja - aby zabezpieczyć scenę przestępstwa.

W tym przypadku agenci FBI potrzebowali jeszcze czasu, by tam dojechać.

Tego ranka, gdy tak pędziłem na północ drogą nr 65, starając się znaleźć w radiu informacje o natężeniu ruchu i obrać najkorzystniejszą trasę, drogi wydawały się raczej niezbyt zatłoczone.

Rzucałem spojrzenia do wnętrza każdego mijającego mnie samochodu, przyglądając się kierowcy i pasażerom i szukając zdradzieckich oznak, na przykład rozczochranych lub pomalowanych włosów zdradzających maskę.

Było to dość trudne przy szybkości osiemdziesięciu mil na godzinę, ładowaniu jedną

ręką remingtona, obsłudze radia drugą i kierowaniu kolanem.

W wykonaniu Toma Devreaux wszystko wydawało się o wiele prostsze, niż było w rzeczywistości.

Czterdzieści pięć minut później dojechałem do First National Bank w Buffalo, a w tym czasie trzy podległe szeryfowi jednostki już zabezpieczały miejsce przestępstwa i zdejmowały odciski palców.

Tak zazwyczaj pracujemy.

Ponieważ FBI zawsze cierpi na niedobór ludzi, zbieraniem dowodów zajmują się na ogół służby lokalne, które następnie przekazują sprawę nam, wraz z przesłuchaniem świadków.

Napad na bank to rzecz jasna zdarzenie zasięgu lokalnym, ale ubezpieczone.

106 Zimny strzał

przez państwo banki właśnie je narażają na straty i dlatego też sprawy tego typu podlegają FBI.

Poza tym sprawcy tych napadów to często kryminaliści, mający na swoim koncie nie jedno przestępstwo, przenoszący się z jednego miasta lub stanu do drugiego i starający się przechrzyć prawo.

Wiele biur terenowych i agencji rezydenckich po prostu nie ma środków na to, aby ścigać przestępców poza granicami swoich miast lub hrabstw.

Podstawowe fakty udało mi się ustalić dość szybko: dwóch zamaskowanych białych mężczyzn podeszło do frontowych drzwi, wysadziło je za pomocą dwunastu ładunków z grubym śrutem, następnie sterroryzowało dwie kasjerki i uciekło z 3700 dolarami.

Na nieszczęście wisząca w banku kamera wideo akurat była w naprawie, a wszystko działo się tak szybko, że kasjerki nie miały możliwości dać im banknotów wraz z ładunkiem eksplodującą farbą.

Jak dotąd nie dysponowaliśmy żadnymi odciskami palców, kawałeczkami włókien ani szczegółami podanymi przez świadków, którzy widzieli uciekających rabusiów.

Dwa ładunki wybuchowe walające się wśród sterty potłuczonego szkła i torba, w

której zabrano pieniądze-to były jedyne posiadane przez nas namacalne dowody, więc niemalnie było punktu zaczepienia.

Bank co prawda znajdował się tuż obok głównej drogi, ale w odległości mili na północ i na południe nie było żadnych domów, sklepów czy warsztatów.

Wprost wymarzone miejsce dla dokonania napadu.

Właśnie skończyłem rozmawiać z roztrzęsioną kasjerką, gdy zadzwonił telefon.

Jeden z sąsiadów, mieszkający w odległości niemal milina południe, właśnie znalazł przed swoim domem leżącego natrawnika mężczyznę.

Wyglądał na pobitego, nie wiedział, co się z nim stało, był bliski udaru słonecznego.

Wezwano karetkę pogotowia, ale człowiek ten chciał rozmawiać z FBI i mówił, że tego ranka został porwany przed bankiem w Buffalo.

Zanim tam dotarłem, załoga karetki zajęła się nim i przeniosła go do szpitala.

Mężczyzna nie zgadzał się na przewiezienie do szpitala, gdy najpierw chciał porozmawiać z którymś z agentów, a ja spodziewałem się, że będę pierwszy.

Łapiąc szybki, przerywany oddech, powiedział mi, jak się nazywa i że z nim wszystko w porządku, a jego olbrzymi brzuch unosił się i opadał.

Był to po prostu masywny, spokojny, skrajnie wyczerpany facet w potwornym, letnim upale stanu Missourii.

- Dwaj mężczyźni- wysapał.

- Powiedzieli, że mnie zabiją.

Zasada nr 3107'

Jego świąteczne oczka napełniły się łzami.

- Gdzie?

- spytałem.

-Gdzie ciebie zaatakowali?

Było towarzne kilku powodów.

Po pierwsze, jeśli ma się już dowiedzione jakieś przestępstwo, to porwanie może nawet podwoić wymiar kary.

Podrugie, mogliśmy się dowiedzieć o drugim miejscu przestępstwa, a więc uzyskać dowody takie jak odciski butów i opon samochodowych.

- Przed bankiem.

Właśnie tam podjeżdżałem.

- Tu przerwał, aby złapać oddech i przywołać wspomnienia tego okropnego zdarzenia. Pozwoliłem mu zebrać myśli.

Świadkowie często potrzebują czasu, aby przetworzyć informacje, które doznany wstrząs zepchnął gdzieś na peryferie ich świadomości.

Potem przypominają sobie wszystko aż do pewnego punktu, ale przebiecie się przez chmurę adrenaliny, strachu i dezorientacji, spowodowanych przerwaniem poranka przez rozgrywającą się na ich oczach strzelaninę, wymaga dużego wysiłku.

- ...

Wepchnęli mnie do bagażnika i wywieźli do lasu.

A bagażnik w moim samochodzie jest mały.

Cały czas modliłem się, by nie zostawił mnie tam, że bym zginął.

Mam trójkę dzieci.

Zaczął chlipać, po cichutku, zawstydzony, że robi to w mojej obecności.

- Słyszałem, jak rozważali zabicie mnie.

Słyszałem, jak stojąc obok samochodu, kłócili się, czy rozwalić mi głowę, czy też nie.

- Czy rozpoznasz ich głosy?

- spytałem.

- Być może.

tak, sądzę, że tak.

Brzmiały normalnie, tak jak wszystkie inne.

Od tego momentu śledztwo potoczyło się tak, jak większość innych dotyczących napadów na banki, czyli donikąd.

Jeśli od razu nienatkniesz się na coś, co pozwoli ci ruszyć z kopyta, to przez kilkadziesiąt spraw ulegają spowolnieniu i to do takiego stopnia, że zaczynasz popadać w frustrację.

Jeśli u licha nie starasz się dociec biegu wypadków, to najbardziej intrygujące zbrodnie mogą przekształcić się prosto w jeszcze jedną notatkę w aktach.

Jednak w tym przypadku wchodził w grę używanie przemocy, toteż pracowałem nad tą sprawą nieco silniej niż nad innymi.

Pierwszy tydzień spędziłem na przeglądaniu listy osób, z którymi przeprowadzono rozmowy, oraz tych, które odwiedziłem w domu.

Moi informatorzy nie przynieśli żadnych wieści z ulicy, sąsiedzi nie zauważyli tego ranka niczego nadzwyczajnego, gazety nie pisały nic ciekawego, nasze własne.

108 Zimny strzał

Zestawienie napadów na banki nie zawierało podobnych do tego, a nikt nie był chętny do otrzymania nagrody w zamian za informację, nie zadzwonił do naszego biura. Ponieważ nie było żadnych obiecujących wątków, zwróciłem się do kolegów w departamencie policji w Springfield.

Bez względu na to, jakie laury zbiera FBI za odniesione triumfy, niemal wszyscy agenci notujący na swoim koncie sukcesy mają komu dziękować w gronie lokalnych służb stojących na straży prawa.

Policjanci, członkowie jednostek specjalnych, ekip dochodzeniowych, detektywi - wszyscy oni rozpracowują półświatek w znacznie większym stopniu niż agenci i wiedzą, gdzie szukać kryminalistów, którzy zachwaszczają naszą cywilizację.

- To muszą być chłopaki Jenksów - stwierdził Steve Davis, detektyw policyjny ze Springfield, z którym siedziałem podczas lunchu i zjadłem kurczaka w orzeszkach nerkowca.

- Billy i James.

Wbiurzęm o nich wszystko, co tylko chcesz.

Billy i James stanowią żywy dowód tego, że nie wszyscy pochodzimy od wspólnego przodka.

Od ich kryminalnej przeszłości poczynając, a na reputacji kończąc, wykazywali, że wywodzą się prosto z linii szczurów.

Tacy ludzie jak oni dryfują na obrzeżach społeczeństwa, uprawiając zażenowanie socjologów i raniąc serca liberałów, którzy tak bardzo pragną wierzyć, że kryminaliści to w gruncie rzeczy dobrzy ludzie.

Gównoprawda.

James i Billy skłamałoby nawet wtedy, gdy lepiej byłoby powiedzieć prawdę.

Mieliję za sobą odsiadkę za zgwałcenie kobiety, którą porwali na ulicy w biały dzień.



Na procesie James zeznawał, że nigdy nie zgwałcił tej kobiety i że to wszystko zrobił Billy, podczas gdy on siedział sobie w samochodzie i narkotyzował się. Kiedy jednak Billy stał się zbyt brutalny, to odciągnął go, a kobieta była mu za to tak wdzięczna, że zaciągnęła go w krzakii tam oddałam się dobrowolnie.

To wszystko James zeznawał przed ławą przysięgłych.

James był wystarczająco przystojny, by mieć wszystkie kobiety, jakie tylko chciał, bez uciekania się do porwań.

Chociaż mierzył tylko 170 centymetrów, miał atletyczną budowę, szerokie ramiona i pewną szorstkość obycia, typową dla zapaśników.

Pewna nieszczęśliwie zakochana w nim osiemnastolatka opowiedziała mi, jak to chodziła z Jamesem do baru i podrywała facetów w średnim wieku.

Następnie szła z nim gdzieś w jakieś ciemne miejsce na parkingu i zaczęli się pieprzyć.

W tym czasie James podkradał się i ołowianym drągiem zaczynał

Zasadanr 3109

okładać tych facetów niemal do utraty przytomności, a ona przyglądała się wszystkiemu.

Następnie zabierali im pieniądze, kupowali trochę metaamfetaminy, wynajmowali pokój i balowali.

Dziewczyna mówiła o tych ich wspólnych wieczorach z zachwytem.

- Większość ludzi nie rozumie Jamesa - powiedziała mi.

- Nowiesz, trochę się go boją, jak śmierci.

Kradzieże, zużycie broni, rozboje, gwałt, a nawet podejrzenie morderstwa - wszystkie te zarzuty ciągnęły się za obydwojma chłopakami Jenksów jak smród. Było tylko kwestią czasu, kiedy któryś z nich popełni morderstwo, i wiedziałem, że niemożę do tego dopuścić.

Znalezienie pierwszego, prowadzącego dokądś wątku w sprawie to cudowny moment.

To uczucie, jakiego doznawałeś, gdy będąc dzieckiem, bawiłeś się w szpiega i znajdowałeś pierwszy trop.

Wskazówka od miejscowego policjanta to świetny punkt zaczepienia, ale to wciąż tylko początek.

I dopiero droga, którą wyruszysz z tego miejsca, pokazuje, czy zasługujesz na

swoją pensję.

Zacząłem od podstawowych spraw: książki telefonicznej z numerami i adresami, instytucji użyteczności publicznej, aby dowiedzieć się, kto płacił rachunki i jak często, kopii w Departamencie Rejestracji Pojazdów, by sprawdzić wydanie prawa jazdy i rejestracji samochodu, spisów Krajowego Centrum Informacyjnego Przepływów (NCIC) odnośnie do wydanych nakazów aresztowania oraz lat spędzonych w więzieniu na mocy poprzednich wyroków.

Obydwaj mężczyźni byli już przedtem skazani i przebywali w więzieniu za popełnione czyny, ale żadnych nadzwyczajnych nakazów.

Po przejrzaniu akt i zapoznaniu się niemal z każdym szczegółem postanowiłem złożyć im wizytę.

James wraz z żoną Becky i trójką dzieci mieszkali w bliźniaku dziesięć mil na zachód od Springfield.

Billy z kolei w pokoju z kuchnią w parterowym domu w dzielnicy West End.

Ani jedna, ani druga okolica niedawała dobrych możliwości prowadzenia obserwacji.

Następnie postanowiłem przyjrzeć się rodzinie.

Czasem taki kryminalista stanowi anomalię i niektóre rodziny nawet współpracują z władzami w nadziei, że będzie to stanowić pomoc, której ich syn, brat lub mąż potrzebują.

Ale to nie Jenksowie.

To, czego dowiedziałem się z ich drzewa genealogicznego, wyglądało bardziej na brak aniżeli na osłabienie pewnych genów.

James i Billy byli gwałtowni i brutalni.

Wychowała ich.

110 Zimny strzał

matka, która przetrzymywała ich ojca alkoholika w komórce za domem.

Eldridge, najstarszy z synów, próbował wymusić obniżenie kary za gwałt, zabijając kompana swego ojca, również alkoholika, a następnie podpalając się i fingując własną śmierć.

I nawet niemal mu się toudało, gdyby nie fakt, że dubler był zbyt chudy, by siędobrze palić.

Napady zbronią w rękę, morderstwo, porwanie, gwałt - historietylch facetów czytało się jak scenariusz filmowy.

Niestety nie byłem pierwszy, który usłyszało zamiłowaniu Jenksówdo takich wyczynów.

Wydawało się, że każdy kapuś w mieścieznał braci Jenksów, ale żaden nie chciał o nich mówić.

Gdy wreszcieprzekonałem jednego z moich ostatnich wiarygodnych informatorów, żebardziej opłaca mu się pomóc mi, aniżeli wracać do więzienia, wskazał mi na ewentualnywyłom w zbroi Jamesa -jego żonę.

Romans Becky i Jamesa był niemalbajkowy, od momentu, gdy jąłobsypywać ją krystaliczną amfetaminą, aż do chwili, gdy zaczęła pomagać mu kraść.

Rozumiem, że mogła ją kiedyś pociągać, podobniejaki inne kobiety, jegoarogancja niegrzecznego chłopca.

I nie liczyło się, że pochodziła z dobrej rodziny, ajej rodzice zrobili wszystko, abyuchronić ją przed Jimmym, leczbezskutecznie.

Odkądzaczęła wdychaćopary farb, rozpoczęła się dla niej zjazd po równi pochyłej.

Pewnego rankajechałem za nią aż do autostrady Chestnut.

Od jejznajomych dowiedziałem się już więcej, niż oczekiwałem.

Becky i James niewiele wiedzielinia mój temat, ale musieli mieć świadomość, że ich śledzę.

Tak więc pewnego rana, gdy ruch uliczny nieco zelżał, postanowiłem podjechaćdo niejw jakimś publicznym miejscu i zagadnąć ją.

Gdyby akurat widział nas ktoś z jej znajomych, mogłapowiedzieć, żejestem policjantem z tajnej jednostki i że wypisuję jej mandat za przekroczenie prędkości.

Jak tylko włączyłem syrenę i koguta, Becky natychmiast podjechała do krawężnika.

Zaparkowałem tuż za nią, sprawdziłem, czynikt nasnie śledzi, i wysiadłem, wchodząc wprost w rozgrzane sierpniowymśłońcempowietrze.

Serce mi waliło, przeciezczekałem na tę chwilęponad miesiąc.

Czasem cała sprawa bierze w łeb, ponieważ źle się przedstawisz, a jatak bardzo

nie chciałem czegokolwiek popsuć.

- Traktuj ich tak, jak istoty ludzkie - brzmiał mi w uszach głos Grubego Ala.

- Zaczyniesz rozmawiać z nimi ostro, a napytasz siebie kłopotów.

Zasada nr 3 111

Dziwna wydawała się taka rada z ust człowieka, który uczył mnie, jak kopnięciem wyważać drzwi i otwierać dokumenty tak, by nie pozostawić śladów.

Ale znów ta rada ocaliła mnie co najmniej raz w życiu.

Dosłownie kilka tygodni wcześniej razem z Grubym Alem podążaliśmy w ślad za pewnym weteranem młoczek z więzienia, Johnnym Billieau, aż do hrabstwa Taney.

Informator powiedział nam, że po siedmiu latach ukrywania się Johnny skontaktował się z rodziną, ale nikt nie wiedział, czy tak naprawdę przybył, aby się z nią spotkać.

Postanowiliśmy wypróbować jego żonę i zastaliśmy ją, jak podejmowała gości, sześć czy osiem osób z rodziny.

Gruby Al ubezpieczał na wszelki wypadek tylną drzwi, a ja wszedłem do środka na małą pogawędkę.

- Cześć - powiedziałem.

- Jestem Chris Whitcomb z FBI.

Prawdopodobnie wiecie, dlaczego przyszedłem.

Na twarzach wszystkich malowała się oczywista odpowiedź, ale oczywiście zaprzeczyli, by wiedzieli cokolwiek na temat Johnny'ego.

Poszukałem wzrokiem jakichś oznak życia w hallu wejściowym, ale nie mieliśmy nakazu rewizji, wobec tego nie mogliśmy niczego tknąć.

Johnny'ego złapaliśmy wreszcie nieco później tego samego dnia i wrzuciliśmy go na tylne siedzenie samochodu Ala.

Teraz czekała go długa podróż do domu.

Ponieważ sądowe nakazy aresztowania UFAP nie zawierają konieczności prowadzenia dochodzenia, a tylko przekazania aresztowanego z powrotem władzom lokalnym, nie pytaliśmy Johnny'ego o nic.

Z jakichś powodów podczas podróży sam zaczął mówić, wspominając niektóre ze słów, jakich użyłem, rozmawiając z jego rodziną.

- Skąd, do cholery, o tym wiesz?

- spytałem.

Ktoś z rodziny musiał mieć diabelnie dobrą pamięć.

- Wiem, bo byłem po drugiej stronie ściany, stałem z bronią przygotowaną, aby odstrzelić ci ten twój dumy łeb - odparł, serwując miusmich składający się z czterech zębów.

- To dlaczego tego nie zrobiłeś?

- spytałem, starając się ukryć zdumienie.

- Bo nie wyrażałeś się o mnie źle przy moich dzieciach - odparł.

- Nie chciałem, by widziały, że zabijam bez powodu.

Ta historia wiele mnie nauczyła, jeśli chodzi o podstawy poszanowania godności.

Praca w okolicach Przełomów Missouri polegała w większości raczej na gównianej robocie, aniżeli na strzelaniu.

W razie potrzeby mogliśmy wyciągnąć rewolwery albo MP-piątki

^.

112

Zimny strzał

i wezwać chłopaków z jednostki SWAT z Kansas City.

Ale gdy chodziło o chodzenie za "sznurkiem", wydobywanie zeznań czy rozwiązywanie spraw, wówczas króciutka rozmowa mogła zaprowadzić bardzo, bardzo daleko.

- Cześć, Becky - powiedziałem, kiedy opuściła szybę wokna samochodu i wyciągnęła rękę po mandat, który, jak sądziła, otrzyma, ponieważ jej prawo jazdy straciło ważność.

- Jestem Chris Whitcomb.

Myślę, że już czas, abyśmy pogadali.

Becky Jenks wpatrywała się we mnie tak długo, aż jej zniszczony przez narkotyki mózg skojarzył moje nazwisko, a potem załapała się łzami.

Kiedy doszła do siebie, okazało się, że nie chce spędzić dziesięciu lat w federalnym zakładzie karnym.

Nie sędę, aby tęskniła za dziećmi, raczej trudniej by jej było obejść się bez narkotyków.

Patrząc na jej zapuchnięte czerwone oczy, zrozumiałem, że nie dało się lepiej wybrać czasu na to spotkanie.

Było jasne, że James biją, ile wlezie.

On i jego brat to gwałtowni, brutalni faceci.

Nawet miejscowi gliniarze wyrażali się o Jamesie z szacunkiem.

- To była równa walka - powiedział jeden z nich, wyjaśniając mimylnie niepojętą próbę męskości, która miała miejsce pewnej nocy podczas aresztowania za jazdę po pijanemu.

- Sukinsyn skopał mityłek.

Lepiej na niego uważaj.

Jest silny.

Umiejętności Jamesa walki na pięści nie zrobiły na mnie wrażenia, gdy spoglądałem na purpurową twarz Becky.

Jak się dowiedziałem, poprzedniej nocy James wrócił do domu w stanie pijackiej furii, gdy dowiedział się, że Becky puściła się za kilkadziesiąt koki z jednym z jego kumpli, z którym grał w poola.

W celu dania jej nauczki przewrócił ją, zaciągnął do łazienki i zbił jak psa.

Aby zaś upewnić się, że lekcja zostanie zapamiętana również przez następne pokolenia, zatańczył do łazienki trójkę dzieci i kazał im patrzeć.

Sądząc po tym, co widziałem, lekcja musiała trwać jakiś czas.

Nos Becky wyglądał na złamany, a jej cała twarz była spuchnięta.

- Gdzie chcesz to zrobić?

- spytała.

Kiedy próbowała mówić, łyżwiły jej w gardle, a pęknięcie na dolnej wardze otworzyło się i zaczęło krwawić.

- Rób, co ci powiem.

Nie chcemy, żebyś miała jeszcze jakieś kłopoty z Jamesem - powiedziałem.

Przez następne dwa miesiące Becky współpracował z nami tak wiernie, jak każdy kapuś.

Kiedy James był dla niej miły i przynosił nar

Zasad nr 3 113

kotyki, temu pomagała, a gdy biłą lub dzieci, przychodziła do mnie.

W końcu dzieci zmusiły ją, by go wydała.

Dzieci zawsze najbardziej cierpią, są zagubione, gdy toczą się sprawy sądowe i rodzinne spędzają długie noce samotnie, same troszcząc się o siebie.

Nigdy nie zapomnę wieczoru, w którym dokonałem aresztowania pewnego napadającego na banki faceta.

Dopadliśmy go w domu i obecni byli przy tym jego żona i trójka ich dzieci, małych chłopców.

Namiejsce sprowadziliśmy pełno policji i agentów, a letoja miałem rzucić rabusia na fotel i zakuć w kajdanki.

Złapałem go, w tym czasie Gruby Al szamotał się z wrzeszczącą żoną, a reszta chłopców przeszukiwała dom w poszukiwaniu broni, pieniędzy i dowodów przestępstwa.

Typowe, aż do chwili, w której skierowałem się wraz z aresztowanym do drzwi.

Nagle jego pięcioletni synek natarł na mnie jak pitbull, objął rączkami mój ą nogę i zaczął wrzeszczeć.

- Zostaw mojego tatusia!

- płakał.

- Nic mu nie rób!

Musiałem odzepić chłopaka od swojej nogi.

Zalewał się łzami i patrzył na mnie z głęboką nienawiścią dorosłego człowieka.

Pamiętam, jak to było ze mną, gdy tyle lat temu trzech agentów

FBI przyszło porozmawiać z moim ojcem.

Co pomyśleliby moi synkowie, gdyby totalnie mnie popychano lufą karabinu w kierunku drzwi?

Dzieci nigdy nie rozumieją.

One tylko przegrywają.

Becky też musiała się nad tym zastanawiać, gdyż w końcu dzieci ją ocaliły.

Ostatnia bariera runęła, gdy pod koniec grudnia spotkałem ją wraz z dziećmi.

Nieśli prezenty.

Wtedy już wszyscy członkowie rodziny wiedzieli o mnie.

Dwoje dzieciaków, które umiały już mówić, wołały mnie po imieniu, jak starego przyjaciela rodziny.

- No i jak, dzieciaki, miałyście miłe święta?

- spytałem.

Jared, najstarszy z trójki, pokręcił głową w lewo i w prawo, dla większej ekspresji.

- Nieee.

Babcia Jenks musiała przyjść i znowu zepsuć nam święta - powiedział.

Mówił, jakby był głową rodziny, a miał ledwie siedem lat.

- Próbowalażlikwidować mamę z dwunastokalibrowki Toad.

Nic mnie w tej wypowiedzi nie zdziwiło oprócz spokoju w głosie chłopca.

Był przyzwyczajony do takich scen.

Okazało się, że babcia Jenks rzeczywiście zepsuła święta.

Przy okazji niemal usunęła z tego świata Becky wraz z podłogą oraz resztą przyczepy samochodowej, w której mieszkał James z rodziną.

Cała rodzina zebrała się u siostry Jamesa, zwanej Toad.

Kiedy dzieci

n^.

114

Zimny strzał

siedziały wokół choinki, rozpakowując prezenty, Becky zdenerwowała czymś teściową.

Wobec tego ta poszła do sypialni, chwyciła pompkę ze skróconą lufą i zaczęła strzelać, usiłując zabić pod jemiolą matkę dzieci, a przy okazji robiąc dziury w podłodze.

To tyle o bożonarodzeniowym nastroju.

Według relacji Becky teściowa wypaliła trzykrotnie, zanim Jamesowi udało się przekonać ją, by odłożyła broń.

W porównaniu z tą historią święta w mojej rodzinie wypadły nudno.

- Becky, to musi się skończyć - argumentowałem.

Nawet jakiś pacykarz musi znać powód, dla którego zamalowuje się dziury pod dwunastomilimetrowych kulach wystrzelanych dokoła choinki.



- Wiem- odparła.

Trudnobyło zrozumieć, czy odnosiło się to do jej małżeństwa, czy też do napadów na banki.

Było mi wszystko jedno, bo James musiał tak czy siak znaleźć się w więzieniu.

- Zabijemnie, jeśli się o tym dowie - powiedziała.

Zmieniła się.

Pomimo naszej dotychczasowej współpracy, nie ufalamiani na jotę bardziej niż jemu.

Zapewne o wiele mniej.

Becky była narkomanką, a James dawał jej narkotyki.

Mój jedyny wpływ polegał na tym, że zazwyczaj składałem jej wizytę wtedy, gdy siniaki na twarzy bolały ją bardziej niż miejsca po zastrzykach na rękę.

- Zobacz, Becky.

- Starłem się wesprzeć to rozumowanie pewną dozą logiki.

- W ostatnim miesiącu dokonał trzech napadów na banki.

To cud, że nikt nie zginął.

Z jakiego powodu na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- A to skurwysyn, no nie?

- Stwierdziła.

Nigdy nie zdołałam pojąć, dlaczego dla wielu kobiet jest to tak pociągające.

W następnym tygodniu, gdy byłem w Quanticon na jakimś obowiązkowym szkoleniu, James i Billy napadli na bank w hrabstwie Christian.

Nigdy nie dowiedziałem się na sto procent, czy Becky powiedziała im, że wyjechałem, ale dobór daty wydał mi się nieco dziwny.

Oprócz tego, że zaatakowali mały bank na prowincji, posługując się swoją charakterystyczną metodą wybuchu przy głównym wejściu, to jeszcze tak bardzo przerazili sześćdziesięciosiedmioletnią kasjerkę, że nie była w stanie złożyć zeznań.

Potoczna nazwa strzelby powtarzalnej z zamkiem ślizgowym i ze skróconą lufą (przyp. tłum.

).

Zasada nr 3

Nikt nie widział w tym napadzie nic dziwnego.

James i Billy robili to, co najlepiej umieli, inie marnowali czasu na kreatywność.

Wyłącznie dlatego, że rzeka wylała, Gruby Al znalazł się jedyniemilę na wschód od miejsca, w którym wydarzył się napad.

W ciągu półgodziny udało się jemu i kilku miejscowym policjantom znaleźć samochód, którym posłużono się podczas ucieczki po napadzie, oraz wystarczającą liczbę dowodów, aby dokonać aresztowania.

Zanim wróciliśmyz Quantico, imudał się uzyskać nakazy.

Pojechali w ślad za Jamesem do domu jego brata i zmusili go, aby zatrzymał samochód.

Cała ta akcja nadawałaby się świetnie do sensacyjnego filmu.

Mamuska Jenks także była w samochodzie razem z Jamesem.

W jej torebce nasi chłopcy znaleźli automatyczny pistolet kalibru.

32 załadowany i z odzionym spustem, ale kobieta nie wykonała najmniejszego ruchu, by go sięgnąć.

James poddał się bezwalki.

Jak tylko mój samolot wylądował, pognąłem w śpiącym deszczu prosto do biura prokuratora, w celu wszczęcia dochodzenia.

Copravda Al zebrał dostatecznie dużo dowodów, by rozpocząć świetną sprawę, ale wciąż mieliśmy mnóstwo do zrobienia.

Trzeba było przesłuchać świadków i pokazać im zdjęcia w celu mocnej identyfikacji.

Należało przygotować raporty z laboratorium, dowody rzeczowe i przekazać dokumenty do biura obrońcy zarządu.

Uczestniczyłem w rozprawach sądowych już ze dwanaście razy i wiedziałem, że w przyszłym miesiącu będę miał wiele zarwanychnocy.

Schwytanie sprawcy przestępstwa dopiero początek, po którym następuje cały osobny proces doprowadzenia sprawna wokandę.

Na szczęście Becky dostarczyła nam szczegółów na temat tego, gdzie ukryli pieniądze, w jaki sposób ukradli samochód, którym posłużyli się podczas ucieczki z banku, oraz gdzie układali cały plan napadu.

Odmówiła zeznawania w sądzie, ale tak naprawdę to nie miało znaczenia.

Zebraлиśmy wystarczająco dużo dowodów, aby zadowolić całą prokuraturę.

Niemal po roku uganiając się za najbardziej wydajnymi autobusami wreszcie mieliśmy ich w garści.

Tydzień później właśnie skończyłem kserować swój końcowy raport dotyczący śledztwa, gdy zadzwoniono z biura szeryfa hrabstwa Greene, by przekazać nam wiadomość.

James uciekł.

Stało się to podczas porannej gimnastyki, kiedy jakoś udało mu się wdrapać na okalającą więzienny dziedziniec ścianę, przeczołgać się pod potrojnym.

116

Zimny strzał

zasiekami z kolczastego drutu i skoczyć sześć metrów w dół, na ziemię poza obrębem muru.

Strażnicy nie strzelali, bo bali się, że mogą trafić w pobliski biurowiec, a kiedy wybiegli na zewnątrz, James już nie było.

No, to zaczynamy od nowa - pomyślałem sobie.

Billy także uciekł z więzienia i zapewne to on zorganizował ucieczkę brata.

Teraz pewnie obydwaj byli już w połowie drogi do Wichita.

Większość pracowników naszego biura stawiała się wciąż kilkuninut.

Znaleźliśmy ślady krwi wiodące od samochodu, na który zeskoczył James, aż do trawnika po drugiej stronie ulicy.

Jeśli Billy po niego przyjechał, rozumowaliśmy, to czekał niedaleko od więzienia.

W tym pościgu uczestniczyły dziesiątki stróżów prawa.

Lokalni media wydały specjalne biuletyny, w których ostrzegano mieszkańców tych okolic, aby solidnie zamykali drzwi.

James i Billy Jenksowie byli desperatami, i nikt nie wątpił w możliwość przelewu krwi.

Policyjna drogówka Missouri przywiozła K-9 (psa policyjnego), aby wysledzić tropo śladach krwi.

Na nic.

Departament policji ze Springfield rzucił swoją świeżo upieczoną jednostkę SWAT.

Oficerowie w mundurach zamknęli w kordonie dwadzieścia kwartałów przylegających do więzienia.

Sięgnąłem do bagażnika samochodu po mój karabin MP-5, kuloodporną kamizelkę i po używany podczas akcji kombinezon.

Pieprzyć awersję Eugene'a do broni - pomyślałem.

James dał dostateczny dowód gwałtowności charakteru, aby cenić środki ostrożności.

Cztery godziny później, gdy trwała największa, jak pamięć sięgnąć, oblawa na człowieka, pewien mały chłopiec wpadł do domu, aby powiedzieć swojej opiekunce, że w starej lodówce stojącej obok garażu ukrywa się jakiś człowiek.

Ten mężczyzna krwawił i prosił szklankę mleka.

Zastępcy szeryfa hrabstwa Greene wysłali do tego garażu psy i pomogli Jamesowi zastanowić się nad skutecznością ucieczki w całkiem nowym świetle.

W porzekalacji przetransportowano go do Centrum Medycznego Springfield dla federalnych więźniów, instytucji o maksymalnie zaostrowanym rygorze oddalonejzaledwie o trzy mile.

James poważnie skaleczył się o drut kolczasty, a skacząc, fatalnie złamał nogę, ale pomimo tego dał radę biecpół mili i unikać przez kilka godzin aresztowania.

Nikt nigdy nie dowiedział się, w jaki sposób zdołał pokonać mur okalający więzienne podwórko.

Zasada nr 3

117

Proces przebiegał dość gładko.

Mike Johnson, wysoki, dokładny asystent prokuratora, przygotował tę sprawę ze starannością, która zazwyczaj zastrzeżona jest dla spraw gangsterów i seryjnych morderców.

Johnson dopilnował, aby nad każdym "i" postawiono kropkę i przekreślono każde "t", zdając sobie doskonale sprawę, że w przypadku takiej sprawy jak ta jedyną opcją był wyrok skazujący.

I niespecjalnie zaniepokoiło Mike'a, gdy sędzia przeniósł rozprawę do Joplin w stanie Missouri, uznając argumentację obrońców, że rozgłos, jaki zyskała, nie

sprzyjał prawidłowemu przebiegowi procesu naterenie Springfield.

Nasze racje wydawały się mocne, poczynając oddostarczonych dowodów aż po okoliczności.

Przysięgli wydawali się rozsądni, z wyjątkiem jednej przysadzistej kobiety w okularach w różowej oprawce, która cały czas posyłała Jamesowi lubieżnespojrzenia.

Pod koniec pierwszego, pełnego posiedzenia, ława przysięgłych wyglądała nazniesmaczonącałą tą plugawą historią.

Adwokaci Jamesa starali się, jak mogli, rozważając, jakie aspekty poruszyć.

Wpadli na pomysł alibi, aleszybko je obaliliśmy.

Zdaje się, że Toad nigdy nie słyszała o krzywoprzysięstwie.

Gdy tylko zdała sobiesprawę, że przyłapaliśmy ją na kłamstwie, zmieniła zdanie i w czarodziejski sposób zniknęła z przedstawionej przez obronę listy świadków.

Mamuśka zeznawała, ale udawała tak kompletną wariatkę, że kilka osób siedzących na ławie przysięgłych potrząsało głowami z obrzydzeniem.

Nie dziwiło nikogo, choć było to wbrew radom jego adwokatów, że James upierał się, iż będzie zeznawać.

Składanie zeznań nawłasnym procesie może mieć rzecz jasna swoje dobre strony.

Sędziowie naprawdę chcą usłyszeć, jak ktoś składa przysięgę, a potem mówi: "Ja tego nie zrobiłem".

Lecz zeznawanie ma jeszcze swoje drugie oblicze - daje oskarżycielom sposobność przedstawienia spraw, które w innym wypadku nie ujrzałyby światła dziennego, na przykład tak ważnych czynników jak powód, dla których oskarżony stał się kryminalistą, motyw popełnienia przestępstwa, a nawet niektóre dowody.

Wszystko to nie zostałoby poruszone podczas procesu, gdyby oskarżony nie zeznawał.

W przypadku Jamesa składanie zeznań wyglądało na poważną pomyłkę.

Jak tylko zaczął zeznawać, prokurator zasypał go pytaniami na temat poprzednich aresztowań, w tym również kary za porwanie i gwałt oraz za inne poważne przestępstwa.

Przez cały czas James mówił z właściwą mu arogancją niegrzecznego chłopca, która sprawiała, że miał takie powodzenie u prostackich kobiet.

118 Zimny strzał

Jednak tym razem to nie pomogło.

Kiedy zeznał, że nie mógł obrażać banku, ponieważ w tym czasie leżał w bagażniku swojego samochodu, dochodząc do siebie po całonocnej popijawie, kilku przysięgłych wybuchnęło głośnym śmiechem.

A gdy zaprezentował swoją kretyńską historyjkę o tym, jak to interweniował podczas popełnianego przez Billa gwałtu, jeden z jego obrońców zaczął płakać.

Musiałem zaciskać zęby, aby powstrzymać się przed pocieszeniem go.

Aczkolwiek wydawało się, że dobrze przygotowaliśmy tę sprawę, to jednak nie mogliśmy przedstawić niczego innego oprócz słów Jamesa.

Zeznawałem też sam, a wydawało się, że trwało to wieki.

Obroną starałem się zaatakować niemal każdy krok, jaki zrobiłem podczas całego śledztwa.

Ja natomiast po prostu powiedziałem przysięgłym możliwie najprostszym językiem, co zrobiłem i jak.

Cztery lata składania zeznań w procesach kryminalnych nauczyły mnie jednej ważnej rzeczy: nic, czym obrona może się posłużyć, aby przyłapać świadka na pomyłce, nie jest w stanie zmienić prawdy.

James Jenks był winien, a ja miałem tylko przedstawić dowody.

Zeznawali też Al i Benny.

A także Brad.

Ściągnęliśmy z laboratorium w Waszyngtonie ekspertów, aby stwierdzili, czy szkło w samochodzie Jamesa jest identyczne z tym, które znaleziono na miejscu przestępstwa.

Zeznawali też naoczni świadkowie, eksperci od daktyloskopii, balistyki i inni.

Całość wydawała się bez zarzutu.

I wtedy, gdy już wszyscy złożyli zeznania, przyszła kolej na ławę przysięgłych.

Minęła godzina, potem dwie.

No, nic takiego - myśleliśmy.

Samo przeczytanie zaleceń sędziego wymaga czasu.

Potem znowu godzina naradzania się, i jeszcze dwie.

Kolacja.

Przerwa do jutra.

- O co, do cholery, chodzi?

- dziwiłem się.

James nie miał nic na swoją obronę.

Zaraz, chwileczkę, a ta kobieta w okularach w różowej oprawce?

Czy James nie wywarł na niej wrażenia?

Nie byłby to precedens.

Wiele sądowych procesów jest wygranych albo przegranych, jeszcze zanim pierwszy świadek zdąży złożyć zeznanie, tylko dlatego, że tak a nie inaczej dobrano ławników.

Nigdy nie wiadomo, co zrobią.

Czasami rzucasz im sprawę, a oni odbijają piłeczkę i odrzucają ją tobie prosto w twarz.

Czasem dajesz im przegranego z góry faceta, a oni kłują.

Po prostu nie wiadomo.

Wystarczy jeden współczujący ławnik, aby wstrzymać werdykt.

Może na tym właśnie polega nasz problem, że Zasada m" 3119

nie działa.

Być może James wywarł na niej wrażenie swoją obroną, być może mimo wszystko mamy kłopot.

Starłem się nie myśleć, co będzie, jeśli padnie wyrok uniewinniający.

Jeśli James wyjdzie na wolność i spiknie się z Billym, to ich następna robotą będzie na zemście.

Becky zapłaci za wszystko życiem.

Ja również będę musiał zadbać o swoją głowę.

James nienawidził mnie za nastawienie przeciwko niemu jego rodziny.

Następnego dnia ława przysięgłych zebrała się o dziewiątej rano.

Minęła godzina, a potem następna i następna.

Właśnie wybieraliśmy się na lunch, gdy urzędnik sądowy wezwał nas, abyśmy wysłuchali wyroku.

Prokurator i ja weszliśmy na salę sądową tylnym wejściem i usiedliśmy na naszych miejscach.

James wraz z swoimi obrońcami siadł dokładnie po przekątnej od nas.

James wpatrywał się we mnie z głupawym uśmiechem na twarzy.

W zamian próbowałem prezentować tylko urzędowy chłód, choć trudno było powstrzymać się od widoku metki od krawca, którą James prezentowała na rękawie swojego taniego garnituru.

Sądzę, że jego rodzina zamierzała zwrócić go do sklepu zaraz po zakończeniu całej sprawy.

Czułem, jak wali mi serce.

Ze wszystkiego, z czym zetknąłem się w swojej karierze agenta FBI, najbardziej nienawidziłem tego napięcia przed werdyktem.

- Przed ławą przysięgłych mogę postawić w stan oskarżenia nawet kanapkę z szynką - powiedział mi kiedyś jeden z oskarżycieli - ale udowodnienie czegoś przed sądem federalnym może być skurwysynstwem.

Przypomniałem sobie swoją pierwszą sprawę przed sądem: matka zabiła dziecko, zanurzając je w wannie z wrzącą wodą.

Winna.

Odżyły wspomnienia drugiego procesu.

Wtedy wsadziliśmy do więzienia drobnego złodziejaszka za okradzenie magazynu w Forcie imienia Leonarda Wooda.

Werdykt brzmiał "winny".

Potem była sprawa napadu na bank.

Nie mogliśmy przegrać.

Mieliśmy wszystkie dowody, oprócz przyznania się do winy.

Niewinny.

Potem sędziowie powiedzieli nam, że mieliśmy zbyt dużo szczegółów dotyczących okoliczności całego zdarzenia, a jeden z sędziów właśnie usłyszał w telewizji, że tego rodzaju dowody się nie liczą.

Nikt z nas nawet nie pomyślał, by porównywać takie nonsensy z prawdą.

Myszę, że powinniśmy byli pomyśleć o zaoferowaniu wskazówek na temat za^g Kodeksu prawnego Los Angeles.



120 Zimny strzał

- Oskarżony, proszę wstać.

- Urzędnik sądowy przygotowywała się do wysłuchania wyroku.

James wstał, wciąż lekko się uśmiechając.

Patrzył na kobietę w okularach w różowej oprawce.

Moje oczy zwęziły się.

Nagle przyszły mi na myśl te wszystkie noce, których nie mogłem spędzić z rodziną.

Miałem dwoje dzieci, które nie miały jeszcze pięciu lat, i właściwie mogłem policzyć, il razy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy ułożyłem je spać w łóżeczkach.

Moja żona pracowała na całym etacie, a wieczorem jeszcze uczyła się.

Byliśmy dla siebie jakobcy.

Pomyślałem o tych ofiarach, które cierpiały przez Jamesa i jego brata.

O tym człowieku na trawniku, z trudem chwytającym powietrze, i kasjerkach, pracujących za minimalne wynagrodzenie, którym do końca życia będą śnić się koszmary, bo James był zbyt, kurwa, leniwy, aby zarabiać na życie tak jak my.

I zobaczyłem jego dzieci - słodkie brzdące, które rozpromieniały się na najmniejszy przejaw serdeczności.

Ina samą tę myśl niemal robiło mi się niedobrze, gdyż wiedziałem, że wyrosną na takich ludzi jak James.

Biedne małe istoty nigdy nie będą miały innych szans.

- Czy uzgodnił się wyrok?

- spytał sędziego.

- Tak jest, panie sędzio.

Gapiałem się tępo na ścianę.

W takich chwilach jak ta nie ma na co patrzeć.

Przysięgli nie mają odwagi patrzeć na oskarżonego, a ten nieważysz się spojrzeć na sędziego.

Oskarżyciel nie ma odwagi przybrać innej miny, niż pełna pewności.

Każdy trzęsie się pod tą fasadą pewności.

Konsekwencje tego, co się dzieje, są ogromne, każdy może tylko przegrać.

- Uważamy, że oskarżony James Jenks jest.

Zawsze ktoś musi przegrać.

- Winny.

Tego dnia to nie było społeczeństwo.

Zgodnie z federalnym prawem, sędziowie muszą dość szczegółowo określić warunki odbywania kary więzienia.

Poprzednie przewinienia Jamesa i gwałtowny charakter popełnianych przez niego przestępstw przysłużyły mu przychylności sędziów.

Wyrok brzmiał: dziewięćdziesiąt cztery miesiące, a więc niemal osiem lat spokoju w więzieniu federalnym w Leavenworth.

Maksymalna kara.

Być może powinienem odczuwać jakąś satysfakcję z posłania Jamesa do więzienia, ale nie.

Jego brat Billy ciągle się ukrywał, a moje

Zasada nr 3

121

obowiązkowo chętnie znów do gorączkowej pracy.

Po czterech latach spędzonych w Ozarks cały ten biznes związany z przestępczością z karaniem stał się właśnie tym, biznesem.

Nie odczuwałem radości, wsadzając kogoś do więzienia, ale po prostu absolutne oswojenie się zestrutą i ze smutkiem, jaki człowiek ten pozostawia za sobą.

Aczkolwiek moi koledzy upierali się, że cztery lata to wystarczająco długo, aby poznać podstawy wszystkiego, co powinien wiedzieć agent FBI, ja potrzebowałem wciąż nowych wyzwań.

Aresztowałem dziesiątki kobiet i mężczyzn (łącznie z trójką ukrywających się zbiegów z więzienia jednego dnia).

Siedziałem na podsłuchu, śmiejąc się głupot, jakiego gadają do siebie ludzie, gdy myślą, że nikt ich nie słucha.

Siedzenie, nakazy rewizji, obławy, rajdy na dziuple narkotykowe, przeglądanie akt, kwartalne szkolenia kwalifikacyjne dotyczące obsługi broni, zatrzymania na autostradach i sprawy, sprawy, sprawy.

Moje codzienne życie jakoś ledczo ciągle nie było pozbawione dreszczyku i wyzwań, lecz mój umysł już rozważał następny krok, coś więcej, coś całkiem innego.

Wstąpiłem do FBI w naiwnym, rockwellowskim stylu poczucia prawości.

Od chwili mojego objawienia, to jest orędzia o stanie państwa mojego autorstwa, chciałem kłaść się co wieczór do łóżka z poczuciem, że mam bezpośredni wpływ na to, by świat był co nieco lepszy dla moich dzieci i dla dzieci na ulicy.

Zamiast tego budziłem się codziennie, całowałem żonę i dzieci, pożegnania tylko po to, by spędziły dzień w tyłach w tragediach odhrabstwa Laclede aż do granicy z Arkansas.

Nadal lubiłem sprawy, które kończyły się sądzie, bo właśnie je uważałem za podstawy FBI, ale nie było poczucie spełnienia, tak potrzebne mi w pracy.

I nieważne, jak ciężko harowałem na rzecz poczucia bezpieczeństwa - pod koniec dnia to, co dostrzegałem, to większa przestępczość.

Za każdym razem, gdy pakowałem jakiegoś zbira do więzienia, na jego miejsce pojawiali się trzej następni.

System sprawiedliwości zdawał się przypominać obrotowe drzwi: apelacje, lukki nieuczciwi obrońcy lukrujący to, co ja własnymi oczami postrzegałem jako ludzki śmieć.

Potrzebowałem więcej.

Zawsze przydasię hit szczęścia i FBI też tak uważało.

Zaledwie kilka tygodni po zakończeniu procesu Jamesa Jenksa z Kansas City dotarła wieść, że mój pobyt w Springfield się kończy.

Tak jak to było napisane w liście informującym mnie o przyjęciu do FBI, przyjdzie dzień,

122 Zimny strzał

w którym jakiś gryziórek w Waszyngtonie arbitralnie przeniesie mnie oraz moją rodzinę do innego miasta.

Sekretarka SAC powiedziała mi, że moje nazwisko otwiera listę transferów.

Brad i Matt właśnie otrzymali nakazy przeniesienia się- pierwszy do Los Angeles, a drugi do Newark.

Ja byłem następny w kolejce.

Świetnie, pomyślałem sobie, ale ja nie mam zamiaru się przenosić, to znaczy tak, owszem, ale na moich warunkach.

Właśnie zobaczyłem w telewizji reklamę dorocznego, trwającego dwutygodnie naboru do specjalnego wydziału FBI, zwanego Jednostką Antyterrorystyczną (Hostage Rescue Team, HRT).

Nadszedł czas, aby dokonać skoku.

Na tym etapie mojego życia HRT wydawało się czymś mitycznym i wielkim.

Świat zewnętrzny wiedział o nim niewiele, ale o tej małej grupce mężczyzn w kręgach ludzi stojących na straży poszanowania prawa mówiło się ściszym głosem przepelnionym strachem.

Niemal każda agencja większa niż instytucja hyla miała jednostkę SWAT, a leniwi oprócz wojska nie posiadali czegoś takiego jak HRT.

Jako główny cywilny atut w walce z terroryzmem cieszyło się przywilejami.

Jego członkowie trenowali i wyruszali na misje za pieniądze.

Żadnych spraw, które trzeba było doprowadzić aż do sali sądowej, żadnych procesów, zmagania z administracją, apelacji, luk.

Wyłącznie akcja.

Za każdym razem, gdy w Stanach Zjednoczonych działo się coś ważnego, zjawiali się ubrani w czarne kombinezony lotnicze i wyposażeni w broń półautomatyczną agenci z HRT i robili porządek.

To jest to, pomyślałem.

Właśnie to miałem przed oczami, gdy podejmowałem decyzję o przypięciu do piersi plakietki i odgrywaniu roli aniola stróża.

Czas wydawał się odpowiedni.

Próbowałem sił w sprawach procesowych i osiągnąłem na tym polu wszystko, co sobie postanowiłem.

Byłem gotowy na nowe wyzwania.

Gdybym dołączył do HRT, to we wrześniu mogłem spodziewać się transferu do Quantico.

A jeśli nie?

No, cóż.

To "jeśli nie" tak naprawdę nigdy nawet nie przemknęło mi przez myśl.

Omówiłem wszystko z Rosie i postanowiliśmy nastawić się na Quantico.

Następnego dnia po moich trzydziestych drugich urodzinach zacząłem trenować, aby przejść selekcję.

Uda się czy nie, to i tak nasze dni w raju były policzone.

Księża dpuqA

Panie, jesteśmy pielgrzymami i zawsze będziemy starać się dojść coraz dalej.

MOTTO BRYTYJSKIEJ 22 SPECJALNEJ DYWIZJI SK- POWIETRZNYCH.

7

Selekcja

Dwa miesiące później stałem w grupie trzydziestu sześciu nagich mężczyzn, odzianych tylko w dumę i w ambicję.

Zegar na ścianiewskazywał 3.

55 rano.

Fluorescencyjne światło migało i brzęczało nad naszymi głowami.

Powietrze ani drgnęło w przepelnionej wonią piżmami ciszą przebieralni.

Nikt się nie odzywał, od czasu do czasu słychać było tylko nerwowy kaszel lub trzask rozciąganych stawów.

Zresztą niewolno było rozmawiać.

Mężczyźni wokół mnie byli cali zjeżeni od nerwowego napięcia, tak jak konie chrapią i szarpią przed wyścigiem.

Ich sylwetki opinał pancerz szczupłych mięśni.

Krótko przystrzyżone włosy lśniły w białym świetle.

Wszyscy trenowali przed tymi mającymi trwać przez dwa tygodnie selekcją i naborem do HRT.

Spędzili miesiące, przygotowując ciała i umysły na tych czterech dniach fizycznego i emocjonalnego piekła.

Najmłodszy był dwudziestosemioletni były żołnierz piechoty morskiej, obecnie

pracujący w kontrwywiadzie w Nowym Jorku.

Wyglądał bardziej na futbolistę grającego na pozycji obrońcy w drużynie Jetsów niż na wywiadowcę.

Ręka sztywna jakhak, na którymw rzeźniach wieszka się mięso,wolno przesuwiała się po jego czaszce,gdy schwycił mnie, aby sprawdzić swoje siłowe możliwości.

Jegooczyszczyciły błyskawiczne spojrzenie wprzeciwległy kąt, następnie przybrały poprzedni wyraz nieprzytomnejkoncentracji.

W pomieszczeniu nie wyczuwałośię żadnychemocji, ale w powietrzu unosił się odórniemal niedo zniesienia przepelniony wyczekiwaniem.

Operatorzy HRTkręcili się dookoła w T-shirtachżółtego kolorui w czarnych szortach, próbując wywęszyć,kto się boi.

Można wielesię dowiedzieć,obserwującprzygotowujących się dobitwymężczyzn.

Wiem, że niektórzy z kandydatów skreślają się sami,zanim jeszcze wyjdą na arenę.

Niektórym z nas tapresja wychodzi na.

126

Zimny strzał

dobrei potrafią obrócić ją na swoją korzyść.

Ci, którzy sięgną jeszczegłębiej, otrzymają szansę i zostaną przyjęci do jednostki.

Inni zaledwie

przetrwają- ale tonigdy nie wystarcza.

Przybyli z biurterenowych FBI z całego kraju.

Niektórzyjuż kiedyś próbowali i wiedzieli, czego należy się spodziewać.

Inni, tak jak ja,tylko o tym słyszeli.

Wtedynabór doHRT był owiany tajemnicą, alewszyscy byliśmy

doświadczonymiśledczymi i odrobiliśmy pracę domową.

Były też telefony - do przyjaciół, a także do barów, do kolegówz pracy, którzy swego czasu nie przeszli tej selekcji.

Historiewojennebardzo łatwo opowiadasię przy butelcepiwa, szczególnie lubią

robić to mężczyźni, którzy poświęcili wszystko i wszystko stracili.

Każdy, kogo tylko zapytałem, mówił mi to samo.

Nabór do HRT coroku wygląda inaczej, ale sam proces jest niezmienny.

Stała była tylko jedna rzecz, na którą mogłem liczyć.

Ból.

On jest zawsze.

Mężczyźni przede mną ustawili się w pojedynczym szeregu i paradowali środkiem pomiędzy dwoma rzędami operatorów.

Powoli przesuwaliśmy się w kierunku wagi, gdzie dwóch z tych budzących największą grozę osobników mierzyło nas i ważyło.

Wiedziałem, że ta formalność miała na celu wzmocnienie naszego stresu przed testem sprawności fizycznej, który zdaje się jako pierwszy z całego szeregu innych, trwających dwa tygodnie sprawdzianów.

Rozumiałem, że ta procesja na golasa to po prostu teatr, sposób, za którego pośrednictwem HRT pokazuje nam, kto tu rządzi.

Niestety, tak naprawdę nie miało znaczenia to, co wiedziałem.

Zbyt nie starałem się zintelektualizować cały proces.

Piece były włączone na połowę mocy, ale nawet w tej zimnej szatni wielu zaczęło się pocić.

Niemal słyszałem, jak waliły im serca, a mięśnie wypełniały się adrenaliną! krwią.

Wiedzieliśmy, co się szykuje.

Starałem się skoncentrować na tym, co dzieje się w pokoju, i w sprawach, nad którymi jestem w stanie zapanować, ale nic nie mogłem poradzić na to, że wypatrywałem oznak słabości: szram, patrzyłem na kolanach, ramionach, torsy i głowy.

Zgadywałem, które stawy będą mocne, a które zawiodą.

Ten wysoki facet z szeroką różową szramą na wewnętrznej części lewego uda: przednie więzadło krzyżowe.

Nie da rady długo biec.

Głupkowato wyglądający facet, jakby prosto z Kwatery Głównej FBI, ma sztywne ramię, co oznacza problem z mięśniem skracającym - odpadnie podczas ćwiczeń forsujących górną połowę ciała.

Gromadziłem te informacje niczym amunicję, która może okazać się przydatna w najbliższych dniach.

127

t

Selekcja

Jeden z mężczyzn przede mną, ostrzyżony krótko i w ten sposób, żona czubku włosy tworzyły płaski "talerz", jak się okazało, były policjant ze stanu Omaha, wyglądała wyniszczona, a poza tym jeszcze nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś miał tyle blizn pooperacyjnych.

Był tak chudy, że patrząc na żyły na skroniach, można było policzyć uderzenia jego serca.

Uszy miał tak przylegające, jak psychodowane do walk.

Kąćki ust opadały, a nozdrza rozdymały się, gdy wolno przekręcał głowę i ramiona, niczym bokser, i oglądał swoje pięści.

Nawet jego szyderczy uśmiech wyglądał raczej jak jakaś emocjonalna rana, która nigdy się niezagoiła.

Ból nic dla tego człowieka nie znaczył.

Potrafił goznieść.

- Whitcomb - usłyszałem czyjś głos.

W gęstym powietrzu słowo to zabrzmiało głuchym jakby z oddali.

Wystąpiłem z szeregu i stanąłem na wadze, a jeden z operatorów zmierzył mnie i zważył.

Sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, a waga dziewięćdziesiąt dwa kilogramy.

Dziewięćdziesiąt dwa kilogramy?

Chyba mają na myśli jakiegoś innego Whitcomba.

Czułem się wyższy, silniejszy niżeli facet ważący dziewięćdziesiąt dwa kilogramy.

Ostatnie pięć lat spędziłem, podnosząc ciężary i jeżdżąc jak wieprztylko po to, żeby być silny, nabrać ciała i wreszcie pozbyć się przydomku "Chudy".

Chyba musielipomylić

mnie z kimś innym.



Ale gdy zszedłem z wagi, zobaczyłem swoje odbicie w lustrze.

To

dawne cielsko, które pamiętałem, zostało zastąpione przez jakąś inną masę.

Gdy poruszałem ramionami, mięśnie na piersiach też się ruszały.

Mogłem policzyć mięśnie na brzuchu, a twarz wydłużyła się i wychudła niczymu długodystansowca.

W czasie minionych dziesięciu tygodni straciłem dziesięć kilogramów i było to widać.

Podnoszenie ciężarów zastąpiłem pompkami, a w mojej diecie przeważała zdrowa żywność i chude mięso drobiowe, które zastąpiły jajka i koktajle z jogurtu.

Ostrzegano mnie, że dobór do HRT to ciężki test na wytrzymałość, przykładając większe znaczenie dobiegania niż ćwiczeń na przyrządach czy podnoszenia ciężarów.

Dlatego też zaprzestałem ciężkiej, czteroletniej pracy nad moją masą mięśniową i w ciągu kilku ostatnich miesięcy przygotowywałem się do tej próby.

Jednak zdaje się, że te przestrogi były błędne.

Tak przynajmniej

myślałem, pędząc do miejsca, w którym leżały moje szorty i tenisówki.

^.

128 Zimny strzał

Miałem trzydzieści dwa lata, a więc byłem w średnim wieku, jeśli wziąć pod uwagę wszystkich kandydatów.

Zrzucenie wagi przyczyniło się do wzmocnienia górnych partii ciała.

Nie byłem w stanie zrobić stu pięćdziesięciu pompek albo trzydzieści razy lub więcej podciągnąć się na drążku, tak jak inni faceci.

Jednak na szczęście lata jazdy na nartach w górach New Hampshire sprawiły, że miałem silne nogi i mocne płuca.

Mogłem biegać cały dzień, pokonując milę w sześć minut, albo też dźwigać ciężkie paczki.

Pozbyłem się jednej umiejętności, ale wyszkoliłem inne.

I wiedziałem, że ta strategia była skuteczna.

Kolejka mężczyzn za mną wydłużała się i ginęła gdzieś w cieniu pod przeciwległąścianą.

Niektórzy z kandydatów sprawiali wrażenie, jakby nie mogli się doczekać, inni znów, jak gdyby nie powinni tego dnia wcale wstawać rano z łóżka.

Patrzyli szeroko otwartymi, wodnistymi oczami.

Widać było, że chodzi im grdyka, a oni spacerowali wzdłuż kolejki, udając, że to wszystko to nic takiego.

Z ich strony to była pomyłka i już wszystkiego żalowali.

Mężczyźni wokół mnie pochodzili z jednostek SWAT z największych biur terenowych FBI w kraju: z Los Angeles, z Nowego Jorku, z Chicago, Miami.

Byli przedtem w piechocie morskiej, w zielonych beretach, w Navy Seals i w Oddziale I.

Pierwsze dwa tygodnie próby przetrwania nieźle niż połowa, a HRT wybierze tylko garstkę spośród tych, którzy wytrzymają do końca.

Ja znalazłem się w obcym sobie środowisku i zdawałem sobie z tego sprawę.

Zacząłem powątpiewać, czy mi się uda, a w gardle poczułem gulę, jakbym zjadł coś nieświeżego.

Zdawało mi się, że ważę za dużo, to znów, że za mało.

Albo że za wiele trenowałem lub może za mało.

Całkowicie ośwładnęło mnie zwątpienie.

Selekcja nawet jeszcze się nie rozpoczęła, a ja już się zamartwiałem, pozwalając, aby stres podważył moją decyzję.

Wszystkie przygotowania, długie godziny ćwiczeń, popołudnia spędzone na strzelnicy wydawały się teraz bezsensu.

Nawet mój życiorys nie powalał na kolana.

Minione cztery lata spędziłem w małej placówce w hrabstwie Ozarks, ścigając napadających na banki oraz tych, którzy uciekli z więzień.

Nigdy nie pracowałem nad żadną dużą sprawą, a tymczasem ci faceci -tak.

Większość z nich zjadła zęby na niezwykle ryzykownych pościgach z handlarzami narkotyków i aresztowaniach.

Agencja rezydencka w Springfield nawet miała jednostki SWAT.

Nigdy nie służyłem w siłach zbrojnych ani w policji.

Do cholery, nawet nie byłem strażnikiem nadgranicznym.

Selekcja 129

Byłem pisarzem, a niegdyś dziennikarzem, który przybył do FBI z biura kongresmana, gdzie pisał przemówienia i zajmował się sprawami prasowymi.

A jeśli chodzi o walkę, to najbliżej niej znalazłem się podczas drugiej kampanii wyborczej prezydenta Reagana, a nawet według miejscowych standardów nie była to walka zacięta.

O Shakespearze, Ibsenie i Faulknerze wiedziałem więcej aniżeli o zasadach walki czy o walce w zamkniętych pomieszczeniach.

Tak więc moje listy uwierzytelniające były niezwykle słabe jak na faceta siłującego dostać się do jednej z najlepszych jednostek antyterrorystycznych na świecie.

A jeśli chodzi o moje atuty, to nigdy nie zajmowałem się hazardem.

Co roku w poniedziałkowy poranek w cichej sali gimnastycznej Akademii FBI w Quantico trzydziestu sześciu najdzielniejszych facetów spotyka się w celu odbycia dwutygodniowej męki.

Nabór bowiem do HRT nie polega tylko na przetestowaniu sprawności fizycznej i umysłowej oraz umiejętności strzelania, ale jest starannie wypracowanym systemem oceny, który wyłuskuje te niespotykane na co dzień jednostki, potrafiące pomóc przyjacielom, choć im samym brakuje już sił.

HRT chce mieć w swoich szeregach ludzi, którzy współpracują jak drużyna, jednostki zorientowane na sukces, które podnieca wyzwania i które nawet w obliczu największego stresu zachowują jasność myślenia.

A także wojowników, ceniących wartość pokoju.

Duma jest wśród członków HRT dziedziczna i niezmiernie trudno się dostać.

I dlatego tak mi na tym zależało.

Mój sprawdzian rozpoczął się punktualnie o czwartej rano od podnoszenia ciężarów i testu na wytrzymałość.

W jednostce nie ma porannych pobudek, bo wszyscy tam lubią wstawać niemal ze wschodem słońca.

Wiedzą, że w każdym tkwi mechanizm obronny, który pomaga nam radzić sobie z codziennym stresem - coś jakby emocjonalny system odpornościowy - oraz że ten mechanizm jest podatny na zepsucie.

Psychik człowieka regeneruje się w czasie snu, a cały system pracuje źle, jeśli ta jego delikatna równowaga zostaje zaburzona.

Właśnie dlatego policjanci oraz jednostki wojskowe dokonują rajdów wczesnym rano.

I z tych samych powodów dzień w HRT rozpoczyna się o takiej porze.

Ich nie interesuje, czego potrafiś dokonać w najlepszym czasie dnia.

Chcą wiedzieć, na co cię stać w czasie najmniej sprzyjającym dla twojego organizmu.

### 130 Zimny strzał

Uwalnianie zakładników to w zasadzie zabawa dla ludzi myślących.

Operatorzy muszą przywyknąć do huków i błysku granatów oślepiających i ogołuszających, które wrzucone do pomieszczenia pełnego terrorystów i krzyżących zakładników rozrywają się z hukiem 180 decybeli.

Muszą nauczyć się odróżniać wrogów od sojuszników, kłaść palec na spuście, celować, ale NIE strzelać.

Tak jest - nie strzelać.

Instruktorzy, którzy szkolą operatorów, mogą nauczyć małpę, aby wydłubała oko bykowi, ale potrzebują ludzi na tyle silnych psychicznie, aby wiedzieli, kiedy należy się wycofać.

Operatorzy to nie żołnierze, którzy stają przed anonimowym wrogiem, ale zawodowcy w dziedzinie przestrzegania prawa, którzy muszą tłumaczyć się z każdej wystrzelonej kuli.

Za każdym razem, gdy pociągają za spust, ktoś ginie, a w Stanach

Zjednoczonych śmierć sponsorowana przez państwo jest bardzo kosztowna.

Dlatego wcale nie łatwo znaleźć ludzi potrafiących w ułamku sekundy dokonać czegoś takiego.

Niektórzy z nas są lepiej niż inni przystosowani do udziału w wojnie.

Wszyscy mamy w sobie jakieś wewnętrzne prądy, obawy i ograniczenia, wywierające wpływ na nasze zachowanie, gdy odczuwamy stres.

Fakt, że jesteś w stanie przebiec drogą wymagającą maratonie albo strzelać do ludzina papierowej planszy, nie oznacza, że nie będziesz miał nic przeciwko odstrzeleniu głowy facetowi w chwili, gdy trzyma on w ramionach ciężarną kobietę.

Wykazanie się taką zimną krwią wymaga dość skomplikowanego procesu myślowego, doskonałych zdolności motorycznych i pewności siebie, która może zostać poczytana za arogancję.

HRT to dobro narodowe, ostatnie ogniwo obrony w łańcuchu cywilnego przestrzegania prawa.

Jeśli jej ludzie zawiodą, to nie pozostaje już nikt, kto zaprowadziłby porządek.

O przyjęcie do HRT ma prawo ubiegać się każdy agent (lub agentka), o ile tylko zdobył trzyletnie doświadczenie w pracy w którymś biur terenowych i świetną opinię.

HRT nie obchodzi ani twoja płeć, ani kolor skóry, ani też wyznawana przez ciebie religia czy rozmiar butów.

Dyskryminacja może cię spotkać wyłącznie za brak umiejętności, ale jeśli tak się nie stanie, to zostajesz przyjęty.

Natomiast w przeciwnym razie nic nie stoi na przeszkodzie, abyś znalazł sobie pracę w FBI.

Nie ma miejsca na polityczną poprawność, gdy stoisz wysoko na płozach helikoptera, przywiązany do liczącej dziewięćdziesiąt stóp liny, a w plecaku masz sześćdziesiąt funtów amunicji, ładunków wybuchowych i broń.

Jeśli nie jesteś w stanie udźwignąć tego ciężaru, to spadniesz i zabijesz się, ale wtedy wystawisz całą akcję na niebezpieczeństwo.

A to najcięższy grzech.

Wszyscy operatorzy HRT biorą udział w naborze nowych kandydatów.

Sprzątają wszystko, gdy kandydaci pójdą już spać, i czekają na nich, kiedy dwie lub trzy godziny później wstają.

Taplają się tym samym błocie, uczestniczą w tych samych zajęciach i wypacają ósme poty wraz ze wszystkimi kandydatami.

I tak jest co roku.

Nigdy nie zdradzają tego, co myślą, z ich ust nie pada słowo zachęty, a na twarzach nie pojawia się uśmiech ani grymas niezadowolenia.

Na małych białych karteczkach robią notatki i piszą oceny.

Cichy profesjonalizm.

Cały proces ma na celu oblanie cię.

Stawia cię w niemożliwych sytuacjach i sprawdza, na ile jesteś w stanie przewyciężyć swoje słabe strony.

To test boleśnie sprawiedliwy, alei bezwzględny.

Jeśli pieprzysz coś w czasie tego dwutygodniowego, wypruwającego flakis sprawdzianu, odeślą cię do domu, uścisknąwszy conajwyżej dłoń.

Kiedy marcowego ranka 1991 roku stałem tam wraz z innymi, nic nie wiedziałem na temat mechanizmów obronnych organizmu, cyklus lub o cichym profesjonalizmie.

Natomiast wiedziałem, że z tych trzydziestu sześciu mężczyzn stojących w zimnej szatni tylko nieliczni zostaną członkami jednostki antyterrorystycznej i że ja bardziej niż cokolwiek na świecie pragnę być jednym z nich.

To dobrze, gdy czekającemnie zadania miały wyżyłować ze mnie całą energię i chęć, jakie byłem w stanie skomasować.

A nawet i jeszcze więcej.

Pierwszy dzień minął raczej bezboleśnie.

Test sprawności wydałem, uzyskując przyzwoite oceny.

Pompki, podciąganie się na drążku, przysiady, sztafeta na 110 jardów, bieg na dwie mile i przepłynięcie 200 jardów.

Osiągnięcie minimum nie było trudne (dwanaście podciągnięć na drążku, pięćdziesiąt pięć pompek itd.

), ale protokół jest sztywny, a stres wydaje się wysysać energię.

Aby być konkurencyjnym, trzeba podwoić lub potroić te minimalne wymogi.

Niektórzy wymiękli.

Przedśniadaniem trzech wyjechało.

Test psychologiczny zdumiał mnie.

Przykładowe pytania brzmiały:

"Czy czytałeś Alicję w krainie czarów?

" lub " Co wolisz - pisać wiersze czy reperować samochód?

". Tobyło nieco mylące.

Tak, czytałem Alicję, no i co z tego?

Lubiłem pisać wiersze wrównym stopniu, coreperować samochód.

Nic z tego nie rozumiałem.

132 Zimny strzał

A potem przyszły pytania w stylu: "Czy pochłania cię zło?"

", "Czy zastanawiasz się czasem nad popełnieniem samobójstwa?"

", "Czy niekiedy jesteś tak wściekły, że chciałbyś kogoś uderzyć?"

". Zacząłem pojmować, że ten test miał na celu wyeliminowanie czubków, ludzi, którym nie można powierzyć broni.

Większość odpowiedzi nasuwała się w sposób naturalny.

Inne zmyśliłem.

Po lunchu dali nam stary rewolwer Smith and Wesson kalibru .

38 i ustawili nas po jednej stronie budynków Akademii.

Połowa muszki była odłamana, ale chyba nikomu to nie przeszkadzało.

Lufa zdawała się prosta, więc nie było grymasić.

Strzelaliśmy zgodnie ze standardami obowiązującymi w FBI: dwanaście strzałów z odległości 50 jardów, osiemnaście - z 25 jardów, a reszta z bliższej odległości.

Był też jeszcze jeden sprawdzian z posługiwania się rewolwerem.

Znałem ten zwyczaj i ćwiczyłem, będąc w Missouri, ale skończyło się na jednym pudle.

Nieważne.

Aby zakwalifikować się do dalszego etapu, trzeba było uzyskać za każdym razem 80 punktów, a Helen Keller mogłaby to osiągnąć, nawet strzelając do lustra.

Pod koniec tego pierwszego dnia i po czternastu godzinach stania w zimnej szatni ogarnęło mnie uczucie przynależności.

Ubyło kilka kamiennych twarzy, ale ja wciąż tu tkwiłem.

Te wszystkie zabawy zdał/nie zdał skończył się teraz mogliby pozbyć się mnie, tylko gdyby połamali mi nogi.

Właściwie tonie było złe.

Dobra kolacja i wczesne pójście do łóżka sprawiłyby, że nazajutrz byłbym w doskonałej formie.

Zrelaksowałem się i to był mój pierwszy błąd.

Cztery dni potem gapiłem się nieobecny wzrokiem na pustą tablicę.

W ciągu minionych trzech dni spałem tylko siedem godzin, z czego większość w sposób przerywany.

Posiłki były skąpe, a na ich zjedzenie brakowało czasu.

Dzienna racja żywnościowa składała się z chudego skrzydełka kurczaka, bułki, jabłka i jednego owsianego ciasteczka.

Jeden z operatorów HRT, skrzywiony, powolny był żołnierz piechoty morskiej imieniem Spuds, otworzył boczne drzwi i cisnął osiem pudełek z lunchem.

Większość z nas uznałaby ten posiłek za niezmiernie wyszukany, gdyby nie fakt, że było nas szesnastu, a pudełek osiem.

Pozostałych dwudziestu członków naszej grupy liczącej na początku trzydzieścisześ osób bądź to "odeszła na własne żądanie", bądź też doznała poważnych obrażeń, które zmusiły ich do wycofania się.

I w ten sposób w ciągu niecałych czterech dni zredukowano nas więcej niż o połowę.

Selekcja

133

Kolację serwowano w "klasie", czyli zawałonym stołami i krzesłami pomieszczeniu bezokien, znajdującym się na ogrodzonym terenie należącym do jednostki.

Na przedzie klasy stała papierowa postać terrorysty, przypięta do kawałka sklejki.

Służyła jako cel do strzelania.

Natwarzy terrorysty gościł złowrogi uśmiech, a między oczami były dwiedziurki po kulach kalibru 9 milimetrów.

Tutaj sprawy przedstawiały się inaczej.

W tej części budynku nie było biur FBI, toteż nie kręcili się agenci, popisując się sztuczkami z bronią przy automacie do kawy.

Wpatrywałem się w papierową postać terrorysty i napawałem się rozkoszą jedzenia.

Oczywiście jego celem nie były wartości odżywcze.

Tak jak wszystko w całym procesie doboru, również jedzenie miało stanowić



wyzwanie.

Jeszcze jedna trudność.

Chciano zobaczyć, jak reagujemy na głód i jak dzielimy się jedzeniem między sobą.

Wszystko, co robili, wywoływało pewien rodzaj niegodziwej reakcji, rodziło chciwość albo złość lub urazę, albo też ujawniało inne cechy charakteru.

Poszukiwali oznak naszego załamania i na tych swoich karteczkach w wymiarach 3 na 5 cali odnotowywali każdy sarkastyczny uśmiešek, każdą oznakę frustracji.

Zostało nas tylko szesnastu.

Dzięki Bogu, pomyślałem sobie.

Nienawidzę dzielić się kimkolwiek.

Siedząc tam i słuchając burczenia w brzuchu, zacząłem nagle rozumieć sprawę dotyczącą mojej osoby, o które nigdy nawet bym nie spytał.

Jeszcze nigdy nie znalazłem się w takim punkcie życiowym, w którym cały sens mojej tożsamości wisiał nacięniętym ściągnięciem ambicji.

Większość ludzi posiada pewną strefę komfortu, którą czasem poszerza, ale nigdy jej nie przekracza.

Żyją w niej, sądząc, że znają samych siebie.

Czasem ten sens tożsamości wytyczają im cele, które mogą osiągnąć.

Inni znów określają go za pomocą tego, czego nie mogą zrobić.

Ja myślałem wówczas tylko o tym, że już nigdy więcej tego nie zrobię.

Dobór do HRT spycha ludzi ze znanego im terenu na taki, na który większość z nas nigdy by nie trafiła.

Żyjąc w zwykłym świecie, demonstrujemy prawdziwe "Ja" ukryte za społeczną fasadą.

Operatorzy wiedzą o tym, dlatego też noszą w kieszeniach małe karteczki, kreśląc charakterystyki postaci, jakimi według nich powinni być ich przyszli koledzy w jednostce.

Jeśli kandydaci spełniają te ich oczekiwania, operatorzy chcą ich sprawdzić.

Jeśli nie - wyrzucają takich delikwentów.

Zimny strzał

Wszyscy kandydaci są ubrani jednakowo i tak, by odrzeć ichz wszelkiej indywidualności.

W skład tego uniformu wchodzi niebieskipodkoszulek z przypiętym numerem, opaska na przegub oraz niebieskie szorty bądź spodnie od kamuflażu (to już zależy od planowanychsprawdzianów).

Dowódcy drużyny (codziennie wybierany jest kto inny)maj ą złotą przepaskę, a wszyscy inni -niebieską.

Ja byłem Charlie 7, toznaczy tak mnie nazwano.

Stałem się bezosobową jednostką.

Koordinatorzy przeprowadzający dobór nie pozwalaj ą na noszenieżadnej biżuterii, zegarkówani innego ubranianież przewidziane.

Nieobchodzi ich moja aparycja, ale mojewnętrze.

Odróżnić mnie od innych można wyłącznie po numerzeoraz po miejscu, które zająłem podczas sprawdzianów.

Nasza pięcioosobowa drużyna okazała się szybką grupą.

Kiedy

wojna na wyczerpanie już nieco zelżała,nawiązaliśmy stosunki przyjacielskie: czterdziestej ednoletni Amerykanin japońskiego pochodzeniao imieniuYoda, były bokser, który zaliczył ponad dwieście walk, prawnik będący gwiazdą lekkiej atletyki Uniwersytetu Minnesota, kompletny wariat z Nowego Jorku, którego nazwałem Beckett, i j a.

Wygrywaliśmy każdą drużynową konkurencję i wszyscy, z wyjątkiem

Yody,uplasowaliśmy się w pierwszej piątce lub szóstce.

Po czterech dniachwyglądało na to, że wszyscy mieliśmy szansę zostać przyjęci.

Czwartek miał być wyjątkowo trudny.

Pobudkao czwartej rano niezdziwiła nikogo, bowiększość nas była przyzwyczajona dotak rannegowstawiania.

Jednak brak snu pozbawił mnie ogłady, którą miałem, przyjeżdżając tu, toteż byłem szorstki i drażliwy, niczymświeża rana.

Zmęczenie iprzedłużającesię fizyczne cierpienie zaczęły zbierać żniwo.

Za każdym razem zwyciężyć mógł tylko jeden, a każdy testwymagał szaleńczego

samopoświęcenia.

Zwyczajca zyskiwał satysfakcję, a wszyscy inni czekali na następny sprawdzian w nadziei, że tym razem powiedzie im się lepiej.

Każdy z tych sprawdzianów zaczynał się identycznie, aż do znudzenia.

Jeden z operatorów stawał przed nami z notatkami w ręku i czytał "ostrzeżenia".

Wytyczne zawsze brzmiały tak samo, a słowa odbijały się echem jak skrzek żab nadrzewnych w letnią noc.

- Czas tego zadania nie jest określony - czytał operator.

- Oczekujcie, że włożycie wnie maksymalny wysiłek.

Wasze dokonania zostaną ocenione.

T

Selekcja

135

Sz szczególnie dobrze to czytanie wychodziło Spudowski.

W czwartek czekał na marszobiegną na dystansie 7,5 mili, a start miał nastąpić na drodze Yellow Brick na zalesionym wzgórzu.

To należąca do piechoty morskiej tor z przeszkodami, na którym znajduje się licząca piętnaście stóp drabinka sznurowa, kilkapionowych skał, kilkakazieków zdrutu kolczastego i kilkanaście innych okazj do skręcenia karku lub złamania ręki.

Idziesz takszybko, jak tylko jesteś w stanie, ubrany w wojskową kurtkę, niesiesz dwie manierki z wodą i karabin MP-5.

A ponieważ dopóki nie dobiegniesz, tonie wiesz, jak długa jest droga, biegniesz, jakby to był bieg na 40 jardów, i ciągniesz dalej, i biegniesz, i biegniesz.

Az każdym jardem posuwasz się coraz wolniej, a droga wydaje ci się coraz dłuższa i coraz trudniejsza.

Tonie ma żadnej taktyki ani strategii.

Po prostu idziesz najszybciej jak możesz i tak długo, jak jesteś w stanie.

Podczas takiego ogromnego wysiłku w umyśle dzieją się dziwne rzeczy.

Najpierw wymyślasz sobie mantrę, że jednak można śmiać się przez łyżki, a kiedy to się nie sprawdza, zaczynasz stawiać przed sobą małe cele, obiecując sobie, że rozchmurzysz się, jeśli pokonasz jeszcze jedno wzgórze lub przebrniesz przez

kolejną przeszkodę.

Gdy ciało zmusza się do dokonania jeszcze jednego wysiłku, umysł zaczyna oszukiwać sam siebie, próbując zahamować katusze.

Pamiętam, że podbiegając do jednej z przeszkód, myślałem sobie, jak łatwo byłoby walnąć w nią głową i zabić się.

Jeden mały, niewłaściwy krok i byłbym wolny od tych wszystkich meczami.

Nikt by o niczym nie wiedział.

Składano by wyrazy współczucia mojej rodzinie.

No, Rosie zaraz by się domyśliła.

Wobec tego po prostu biegłem dalej.

Kiedy skończyliśmy, podzielono nas na drużyny i każdej wręczono wążący trzydzieści pięć funtów worek z piaskiem.

Do tego obciążeniami mieliśmy jeszcze dołożyć nasze rzeczy, a na koniec każda grupa otrzymała płócienny worek wypełniony specjalnymi ciężkimi piłkami do ćwiczeń mięśni rąk i wysłano nas na trasę.

Tym razem obowiązywała tylko jedna zasada - wążący czterdzieści funtów worek ani razu nie mógł dotknąć ziemi.

Wygrywała grupa, która najszybciej dotarła do celu.

Trasa liczyła piętnaście mil i biegła po nierównym terenie, na którym były "przeszkody", takie jak tor z trudnymi przeszkodami, na którym ćwiczyli żołnierze piechoty morskiej, a który przypominał rozgrywane na parkingu zawody na jak największą kolizję.

To był wyścig drużynowy.

Trzeba było współdziałać w nadziei, że słabość jednej.

136

Zimny strzał

osobynie zagrozi wygranej całej drużyny.

Biegłem, wspinałem się, czołgałem tak długo, aż na ramionach porobiły mi się rany od pasków plecaka.

Każdy wdech docierał do płuc głębiej niż poprzedni, a jakiś głos w głowie przytaczał "argumenty" za tym, by to cisnąć w cholere.

Ale wtedy zaczynałem biec szybciej.

Mniej więcej co pół mili zmienialiśmy się w niesieniu worka, aż Yoda pomimo gigantycznego zmęczenia ruszył głową i wpadł na pomysł, aby zawiesić ciężar na gałęzi.

Ten pomysł bardzo ułatwił sprawę, a sądzę, że i któryś z operatorów odnotował na swojej białej karteczce pomysłowość Yody.

Ostatnia z czterech drużyn dołkła dupy domety tuż przedosiemnastą.

Od rana przebyliśmy 22,5 mili, niosąc też sprzęt.

Bolała mnie każda kosteczka, a jeszcze nawet nie zaczęło się zmierzchać.

Na szczęście było chłodno, więc odwodnienie nie stanowiło zbytniego problemu.

W ubiegłych latach znaczna część kandydatów padła na poboczu drogi, a zdarzały się gorsze przypadki.

Jednego roku trzynastu mężczyzn leżało na trawiastej polanie, usiłując dojść do przytomności, z dala od jakiegokolwiek pomocy medycznej, a do ramienia każdego z nich była przyczepiona butelka z solą fizjologiczną.

I tak mieli więcej szczęścia niż jeden z ich kolegów, który upadł twarzą do ziemi i dostał drgawek.

Zapadł w trwającą tydzień śpiączkę, lekarzenie dawali żadnej nadziei, otrzymał ostatecznie namaszczenie i nagle obudził się, rozejrzał dookoła i spytał: - Czy zostałem przyjęty?

Tak było.

Właśnie kończyłem jeść jabłko (swoją przydział z pudełka z lunchem), gdy tuż przed dziewiętnastą wszedł Spuds i zaczął czytać, co mamy teraz zrobić.

Od poniedziałkowego wieczoru ścigamy wyimaginowanego więźnia imieniem Jim Frazier, który uciekł z więzienia i skutecznie wymyka się zastawionej na niego obławie.

Spuds powiedział, że Frazier skumał się z sobie podobnym kolesiem i obaj ukryli się gdzieś na miejscowym osiedlu domów na kółkach.

Każda z drużyn musi obmyślić plan aresztowania i złapać Frazier, zanim opuści kryjówkę.

Mamy na to dziesięć minut.

Start.

W czwartki to ja nosiłem na ręku złotą opaskę, wobec tego do mnie należało ułożenie planu i zebranie ludzi.

Zabraliśmy się do roboty, a operatorzy w białych koszulkach poło stali wokół nas.

Nachyliłem się do Becketta i spytałem, czy dobrze się czuje.

Selekcja

137

- Zostaw mnie - wybełkotał.

- Mam pustkę w głowie.

Chcę kogoś zabić.

Beckett odpadł.

Dwutygodniowy okres próbny przetrwało czternastu agentów.

Przebrnęliśmy przez Ouigley, ciężki tor przeszkód - jedną z nich jest lodowaty ściek ze stojącą wodą, który należy przepłynąć - a także testna klaustrofobię - dostajesz maskę przeciwgazową bez otworów na oczy i musisz przeczołgać się przez tunele znajdujące się głęboko pod budynkami Akademii.

Pokonaliśmy też schody do nieba, czyli piętnastometrową drewnianą drabinę kończącą się wysoko w powietrzu, wyczyn, który nawet akrobatę cyrkowego zmusiłby do chwili namysłu.

Wspinaliśmy się i wdrapywali na szczyt "Hotelu Złamanych Serc", czyli strzelistej, czteropiętrowej wieży, stawaliśmy na samym skraju jej dachu, ręce w bok i wykrzykiwaliśmy przydzielone nam i wypisane na koszulkach numery.

Spadniesz i potobie.

Byłby to koniec tych tortur.

Czternastu z nas przebrnęło przez "zabawy w wodzie".

Jedną z nich polegała na wstrzymaniu oddechu i przejściu siedemdziesięciu pięciu stóp po dnie z trzydziestofuntowym ciężarem na rękach.

HRT ma brygadę nurków, gdyż zdarzają się zadania na morzu, wobec tego dowódca chce być pewni, że wszyscy operatorzy umieją albo pływać, albo też wstrzymać oddech na tak długo, by zdołać dobrnąć do brzegu.

Była też przejażdżka helikopterem.

Trzeba było siedzieć na pokładzie, ale nogi zwiesić na zewnątrz oprzeć je o płożę.

Na oczach należało mieć przyciemnione gogle.

Beckett też się tu popisał.

Lecieliśmy nad rezerwuarem wodnym w Ouantico, pięćset stóp, siedząc obok siebie na pokładzie.

Odprężylemsię, zadowolony, że moje nogi mogą przez chwilę odpocząć, zanim ssanie powietrza nie oderwie mityłka odsiedzenia i niewepchnie żołądko gardła.

Aż tu nagle Beckett oznajmia: - Dosyć tego!

Zbrzydło mi to gównu.

Skaczę.

A pieprzcie się, dupki, skaczę!

Uwierzyłem mu, ale albo zmienił zdanie, albo też zanim zrealizował swoją zapowiedź, jeden z operatorów złapał go za pasek.

W każdym razie gdy nasz helikopter wylądował, Beckett wylądował wraz z nim.

Dwa tygodnie i tysiąc mil dzieliło nas od tego pierwszego poranka w sali gimnastycznej.

W tym czasie przed naszą czternastką stała największa w ich życiu fizyczne, psychiczne i emocjonalne wyzwanie.

138

Zimny strzał

HRT nigdy nie mówi, ile osób chce przyjąć, ale uważałem, że mam szansę.

Na drugi tydzień w piątek popołudniu zadzwoniłem do żony, aby powiedzieć jej, że przeżyłem, a potem wpakowałem kupę brudnych ubrań do niewielkiej torby, złapałem taksówkę, pojechałem na lotnisko i w samolocie ciężko opadłem na siedzenie.

Szeroki uśmiech rozjaśnił mi twarz, gdy pilot włączył silniki i skierował maszynę w stronę Missouri.

Bez względu na to, co z tego wyniknie, poradziłem sobie tam, gdzie inni odpadli.

Za kilka godzin uściskam żonę i dzieciaki z poczuciem, że dałemz siebie wszystko.

I nie muszę sięsprawiedliwiać anicznego domyślać.

Najlepszym prezentem, jaki kiedykolwiek otrzymałem od FBI, była okazja sprawdzenia się.

Tego dnia ledwie mogłem zebrać siły, aby stworzyć otrzymaną w Quantico nagrodę - torbęczekępalonych orzeszków ziemnych.

Zrobiłem to przez sen, z wysoko podniesioną głową.

Szkolą dla Nowych Operatorów

W poniedziałek rano, gdy wróciłem z Quantico, znowu zagłębiłem się w swoje sprawy, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Bez względu na to, gdzie pracujesz, dwa tygodnie nieobecności to dwa tygodnie opóźnień w pracy, a więc nie ma co udawać chorego.

Moje biurko wyglądało tak, jakby przeszło przez nie tornado.

Billy'ego Jenksa wciąż niemożna było znaleźć, jednego z moich informatorów aresztowano, dokonano napadów z bronią ręką na dwa banki, a moje pozwolenie na broń straciło ważność.

Szukanie ukojenia w pieleszach domowych też nie przyniosło efektów.

Rosie zakomunikowała mi, że nie byłem jedynym z Whitcombów, który w ostatnich tygodniach cierpiał na bezsenność.

Mickey miał gripę, a Jake przewrócił na siebie szafkę, co skończyło się założeniem trzech szwów nad okiem.

Nasza suka Maggie właśnie przegrała zawody w siusianiu ze skunksem, a władze hrabstwa przysłały zawiadomienie o podłączeniu naszego systemu kanalizacyjnego do miejskiego, co oznaczało rachunek w wysokości 2100 dolarów za usługi hydrauliczne.

Nie miało sensu szukać gdziekolwiek współczucia.

I tak nikt by nie zrozumiał moich narzekań.

Pod koniec kwietnia bieg spraw uległ znacznemu spowolnieniu.

Z Kansas City nie napłynęły żadne rozkazy, HRT milczało na temat tegorocznego naboru, a Maggie śmierdziała tylko wtedy, gdy miałam mokre futro, a więc gdy padał deszcz.

Benny zaprosił mnie na turniej golfowy rozgrywany przez agentów FBI, uważając, że powinienem się rozerwać, a ja przyjąłem zaproszenie.



Nie wniosłem do meczunic pozaniezgulstwem, lecz myśl ospędzeniu czterech godzinz dała od codziennej rutyny była porównywalnado niecierpliwego oczekiwania na wcześniejszezwolnienie z aresztu.

A może stres pomoże mi podać długą piłkę?

f^.

140

Zimny strzał

Właśnie przygotowywałem się do podania, gdy rozległ się dźwiękmojego pagera.

Sięgnąłem, aby go wyłączyć, ale rozpoznałem numerizdrętwiąłem.

Jedyni ludzie,jakich znałem, a którzy mieszkali na obszarze o numerze kierunkowym 703, pracowali dla HRT, wobec tegozuciłem kij golfowy tam, gdzie stałem i runąłem pędem do budynkuklubowego.

Benny wołał za mną, krzycząc coś o wystawieniu go dowiatru izaprzepaszczeniu szansy na nagrodę, ale tylko tak sobie żartował.

Każdyu mniew biurzewiedział, żeHRT dzwoni tylko do tych,którzy zostali zakwalifikowani.

Resztaotrzymuje listy.

Kiedy wreszcie dopadłem do automatutelefonicznego, usłyszałemw słuchawce dalekie "Halo".

Stałem, a serce skoczyło mi do gardła.

- No, Chris - brzmiał głos Spudsa - we wrześniu rozpoczynamy zajęcia z klasą nowych operatorów i mamy nadzieję, że też tu będziesz.

Przypomniałemsobie dzień na Kapitelu wWaszyngtonie, kiedy toWayne zadzwonił do mniei zaproponował kurs dla nowych agentów.

W głowie miałem gonitwę myśli, a serce waliło.

Przecież nikt nie dajez siebie wszystkiego podczasegzaminów, jeśli nie modli się, aby zostaćdocenionym.

To było to.

Spuds wydawałsię o wiele bardziej zaangażowany niż Wayne, ale jegopostępowanie

musiało opierać się na tejsamej instrukcji FBI.

- Dziękuję - powiedziałem, gdy jużomówiliśmy sprawytechniczne.

- Będę się starać z całych sił.

Będziecie ze mniedumni.

"Będziecie dumni"?

Odwiesiłem słuchawkę i potrząsnąłem głową.

Ostatni razpowiedziałemcoś równie głupiego, gdy otrzymałem burę za zleumycie naczyń w restauracji Dutch Treat.

Miałemwtedy trzynaście lat.

Z czternastumężczyzn, którzy w 1991 roku przeszli selekcjęwymaganądo zakwalifikowaniasię do HRT, pracę w nim zaproponowanosedmiu: byłemupilotowi, policjantowi, komandosowi, ekspertowi dospraw składowania materiałów wybuchowych z marynarki wojennej, strzelcowi oraz prawnikowi.

I mnie.

Nigdy się nie dowiedziałem,cożtakiego obiecującego dostrzegli w byłym autorze przemówień, ale taknaprawdę to mnie nie obchodziło.

Siedmiu zostało wybranych, aby staćsię ósmą generacją operatorów HRT,a ja byłem jednym z nich.

Rosę, mój cichy sojusznik wtychwszystkich zmaganiach, przyjąłatę wiadomośctak jak ja, jako zapowiedź przygody.

Po prostu śmiała się,gdyzjawiłem się z na płasko przystrzyżonymi włosami, jak towidziałemu chłopaków w Ouantico.

Nie powiedziała ani słowa, gdy chłopcy

Szkoła dla Nowych Operatorów

141

w biurze przetrzymali mnie do późna, świętując mój sukces przy nieco nadmiernej ilości tequilli.

Nigdy się nie skarżyła, gdy pakowaliśmydwójkędzieciaków,psa iprzyczepę do naszego isuzu troopera i wyruszyliśmy na wschód Stanów Zjednoczonych.

Nawetdzieci współpracowały z nami.

Były zbyt małe, aby zrozumieć, co oznacza słowo "przeprowadzka", ale zdaje się, że lubiły basenyprzy motelach.

W weekend, w którym wypadło Święto Pracy, po tygodniowych wakacjach moich rodziców w New Hampshire, pojechaliśmy do hotelu Dunning Mills, na południe od Fredericksburga w Wirginii.

Udało się nam znaleźć przyzwoity dom tuż obok bocznej bramy wjazdowej do Quantico, ale kurs miał się rozpocząć dopiero za miesiąc.

Wszyscy, łącznie z psem, zważyliśmy wszystko na kupę w jednym pomieszczeniu przygotowaliśmy się na długi pobyt.

Wiedziałem, że zamiana obowiązków, jakie ciążyła na zwykłym agencie, na życie w HRT nie będzie łatwa.

Jednak aż do wtorku absolutnie nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak wielkie zmiany nas czekają.

Szkoła dla Nowych Operatorów, czyli NOTS, topołączenie luźnych więzi z niewolniczą galerią, pięć miesięcy indoktrynacji i życia w całkiem innym świecie.

Każdy dzień rozpoczyna się wcześnie rano i wymaga kolejnego, nowego poświęcenia.

Nasz koordynator, Masher, surowy żołnierz piechoty morskiej, wybijał rytm podczas porannej, o piątej rano, rozgrzewki, o ósmej zajęcia z walki, o jedenastej zaprawa kondycyjna i bieg na dystans, po południu - strzelanie, a wieczorem lektura.

Obserwowałem, gdy przynaglano nas, abyśmy biegali szybciej, skakali wyżej i wykorzystywali absurdalne możliwości, o które nigdy byśmy się nie podejrzewali.

Stawiał przed nami wyzwania od chwili, w której wstawaliśmy łóżka, aż do momentu, gdy wieczorem z powrotem wlekleliśmy do nich nasze zmęczone tyłki.

"Jedyny łatwy dzień, to wczorajszy".

"Ból to ulatująca się ciała słabość".

"Trud i głupotę oddziela tylko cienka linia".

Sypałem milionem takich komunałów, ale wszystkie one miały tylko jedno na celu.

Zapamiętaj je.

Rób to, co masz zrobić.

Zgłosiłeś się tu na ochotnika i w każdej chwili możesz zrezygnować.

Wkrótce odkryłem, że w NOTS działa bardzo wyrafinowany, pełen rytmu i sensu rytuał przechodzenia od nauki wiązania węzłów do zajęcia o odpalaniu ładunków wybuchowych.

Jednego dnia poznasz.

142

Zimny strzał

zawiłości szybkiego strzelania, a następnego - zmagasz ze znalezieniem odpowiedniego kierunku w terenie.

Uczysz się, jak owinięty w pasie liną schodzić wysokiej, stromej góry, jak szybko podciągać się na linie oraz poznajesz ćwiczenia z helikopterem.

Uczą cię, jak ochraniać dygnitarzy, jak się wspinać, patrolować i z dużą szybkością uciekać samochodem.

Na świecie poświęca się takiemu instruktażowi setki godzin.

Nie wszystko tu jest miłe.

Operator-weteran nigdy nie pozwoli ci zapomnieć, że dopóki nie ukończysz NOTS, nie należysz do jednostki - a nawet robi wszystko, by udawać, że wcale cię w niej nie ma.

Niezauważa twojej obecności, nie wspominając już o rozmowie z tobą.

Twoje istnienie to tylko niedogodność - oznacza, że w dzbanku będziesz mieć kawę do picia i jeszcze jedna klasa do uczenia.

Wszyscy oczekują od ciebie totalnego poświęcenia, ale udają, iż nawet tego nie dostrzegają.

Żądaj wszystkiego.

Całego ciebie.

Doprawdy nie mogliby mniejszą o ciebie troszczyć.

Dla nich liczy się tylko HRT.

Pamiętam, jak pewnego dnia stałem przy pisuarze, a obok mnie operator, którego widywałem niemal codziennie od trzech miesięcy.

Toaleta to raczej bardzo osobiste miejsce i wiedziałem, że dookoła niema nikogo, a więc naturalną rzeczą było skinienie głową i powiedzenie

"Jak się masz?"

".

A on patrzył prosto przed siebie, prychnął przez nos, jakby zmęsz powietrze, i

udawał, że mnie tamnie ma.

I nie usiłował odgrywać jakiejś roli lub wyrzeć wrażenia na którymś ze swoich kolegów.

Onw to wierzył.

Byłem kimś gorszym od niego i niewartym, aby mi odpowiadać.

Jeszcze miesiąc i możemy wylądować w tej samej brygadzie.

Może pewnego dnia się zaprzyjaźnimy.

Alena razie byłem tylko anonimowym kursantem NOTS i nawet w zaciszu ubikacji byliśmy sobie takobcy, jak dwoje nieznajomych na zatłoczonej ulicy.

Chociaż nie podobało mi się to, rozumiałem tę procedurę.

W Stanach Zjednoczonych jest 270 milionów mieszkańców, kilkaset tysięcy policjantów i 11 000 agentów FBI, a mniej niż 200 ludzi służyłoby kiedykolwiek HRT.

Toteż członkowie tego grona hołubią to dziedzictwo i chronią je przez każde przemyślane spojrzenie, każde ostrożnie rzucone powitanie.

NOTS nie zmieniła się zbyt od czasu swojego powstania, to jest od 1983 roku.

Każde nowe pokolenie rozpoczyna dwutygodniowym, morderczym kursem podstaw walki za pomocą broni palnej.

Zaraz po

Szkoła dla Nowych Operatorów

143

wyrobienie sobie zdania na temat nowicjusza zaopatrzeniowiec daje każdemu operatorowi dwa wykonane na zamówienie i o dużej ładowności pistolety, mające stanowić jego taktyczne wyposażenie.

Operator HRT nie uważa broni za rzecz dokuczliwą, która spoczywa w teczce w bagażniku służbowego samochodu.

Broń to życie, bezcenne narzędzie, które w każdej chwili może stać się linią odgraniczającą życie od śmierci.

Po trwającej szesnaście godzin zmianie zaniem położysz się spać, czyścisz swoją broń.

Spędzasz z nią pięć dni w tygodniu, starając się udoskonalić swoje umiejętności obchodzenia się z nią.

Stanowi dla ciebie chlebpowszedni i dzięki niej zarabiasz na życie i opłacenie czynszu.

- W przypadku konfrontacji użycie broni to ostateczność - burczelinas i instruktorzy.

Wciąż w kółkosłyszysz te słowa.

Życie lub śmierć.

Sukces albo porażka.

Gdy wpadasz przez drzwi zaczynasz torować sobie drogę przez ścianę terrorystów w kierunku zakładników, bierzesz na siebie olbrzymią odpowiedzialność zarówno za tych porwanych ludzi, jak i za swoich kolegów, którzy są wraz z tobą.

To nie jest praca, w której błędnie wyklucza.

Tu błędnie kosztuje cię życie.

- To nie jest sala balowa!

Nachyl się!

Głos dudni po całym placu, podczas gdy Homey, ważący sto piętnaście kilogramów bez mała, był zawodnik NFL, a równocześnie twoja para w tym koszmarze, idzie po linie.

Zatrzymuje się, wyciąga rewolwer i ładuje kilka naboju.

Kiedy strzela, ten kawałek błękitnej stali kalibru .

45 wygląda w jego niedźwiedziej łapie jak mały derringer.

Lufa niemal nie drgnęła i po obu strzałach pozostała tylko jedna dziurka.

- Na co, do cholery, czekasz?

Masz zamiar stać tam i zginąć czy walczyć?

Każdy szybko wraca na swoją pozycję strzelecką.

Ramiona wysunięte do przodu, ręce lekko ugięte, stopy rozstawione na szerokość równą szerokości ramion.

Instrukcje drgają ci w mózgu, głos zbliża się i zbliża, a odgłos strzałów oddala.

- Uważaj, gdzie patrzysz!

Pociągnij za spust!

- I przypomnienie fundamentalnej zasady oddania dobrego strzału.

- Skoncentruj się!

Wszystko to wygląda na łatwą, ale wcale nią nie jest.

Operatorzy HRT wyciągają broń z kaburynaczej, niż robi to większość agentów FBI, odmiennie kierują broń na cel i inaczej ładują w czasie walki.

144

Zimny strzał

To taki wypośrodkowany styl strzelania, narodził się z technik, których uczą najlepsi strzelcy w Stanach oraz prywatni instruktorzy.

- Obserwuj wszystko przez muszkę.

- To T.

J., inny instruktor podstawowych technik.

Stoi tak blisko, że czujesz jego oddech na szyi.

- Whitcomb, naciśnij ten spust, a nie klep go!

T.J. przez chwilę badawczo przygląda się mojemu celowi, w formie warknięcia wypowiada kilka dodatkowych uwagi przechodzi dalej.

Należy do tych niezwykłych instruktorów, od których chcesz się nauczyć.

Chcesz mu pokazać, że opłaci się wszystko, co w ciebie inwestuje.

Starasz się zrobić z ciebie lepszego strzelca, bo wie, że pewnego dnia od ciebie może zależeć jego życie, a ty pracujesz po to, by dowiedzieć, że wart jesteś tych wysiłków.

Oprócz instruktorów z tyłu za twoimi plecami kręci się co dzień tuzin

operatorów, którzy chcą się upewnić, że głosowa linia właściwa sobie.

W ten właśnie sposób każdy z nas dostał się tutaj i wiemy o tym.

Przecież decydują głosy.

Gdy kończy się dwutygodniowa próba, wszyscy członkowie jednostki zbierają się w jednej z klas.

Przynoszą hałdy papierów i rzutnik slajdów.

Twarz każdego kandydata pojawia się na ekranie, a koordynator zaczyna odczytywać jego oceny z testów, z zajęć sprawnościowych, z podglądu, z przewycięzania fobii i z wielu innych.

Operatorzy robią notatki, układają ranking nazwisk tych, których chcą widzieć w

swojej jednostce, a wykreślają tych, których nie chcą.

Niektórzy przykładają największą wagę do ocen ze sprawności, podczas gdy dla innych najważniejsze są zdolności przywódczei obchodzenie się bronią.

Każdy z operatorów wie, że możesz zdarzyć, iż jego życie będzie zależało od osoby, na którą oddaje głos, albo że może będzie musiał spędzić z tym człowiekiem tydzień w jednym namiocie podczas przeprowadzania jakiejś operacji.

W pewnym sensie umiejętność przystosowania się jest równie ważna jak zdolności.

Lecz gdy tak stałem na terenie do ćwiczeń istarałem się kontrolować swoje umiejętności, wydawało mi się, że selekcja to zamierzona historia, a teraz nic mi nie wychodzi.

Bardzo trudno jest pozbyć się starych nawyków, które na dodatek zniszczyły wiele z tego, co chciałem osiągnąć.

- Płynnie to znaczy szybko!

- śpiewał T.

J., wiedząc, że nasze umysły w końcu zakonotują mantrę.

To działało.

Pod koniec drugiego tygodnia cała nasza siódemka strzelała lepiej, niż wydawało się to nam możliwe.

Na dźwięk brzęczyka

Szkoła dla Nowych Operatorów

145

potrafiliśmy wyciągnąć broń, strzelić dwa razy, ponownie załadować broń znowu strzelić w trzy sekundy.

Potrafiliśmy w niecałą sekundę z odległości dziesięciu jardów zestrzelić plakietkę z olstra i obojętne, czy to w biegu, czy leżąc, czy klęcząc, strzelając prawą czy lewą ręką.

Stawaliśmy się strzelcami, technikami rzemiosła, częścią wyselekcjonowanej rasy.

W pierwszym miesiącu, w miarę postępów, nabieraliśmy pewności siebie.

Posuwaliśmy się w górę na skali umiejętności od ćwiczeń udzielania pierwszej pomocy poczynając, przez wlamywanie się, ochronę ważnych osób, orientację w terenie po taktyczne operacje z użyciem helikoptera.

A tymczasem testowano nas nieformalnie.



Tak na przykład byłoz skokiem do rzeki James.

Należyon do starej tradycji HRT ijest to jeden z nieformalnych rytuałów, który musi przejść każdy z nowychoperatorów.

Wszyscy koledzy patrzą, podczasgdy tywdrapujeszsię nawznoszące się wysoko ponad wodą nadburcie statku, sprawdzasz, czykask jest zapięty, i skaczesz.

To jak skok na bungee, ale bez liny.

Mówią ci, że to rzecz absolutnie dobrowolna, ale każdywie, że tak niejest.

Schodzenie z powrotempo chyboczącej się drabince to wstyd, którego nikt nie chce odczuwać przede wszystkim dlatego, że wieść o porażce z pewnością odbije sięna tobie.

Nikt nie chceznać wstydu nieprzystąpienia do jednego z najstarszych wjednostcetestów nasprawdzenie męstwa.

Pamiętam, jak stałem tam, gdy przyszła kolej na mnie.

Widziałemwszystko na odległość dziesięciu milna południe, hen aż po ujście rzeki James, gdzie wpada do zatoki Chesapeake.

Dalej rozciągały sięnadbrzeżnerówniny Wirginii spowite w piękne barwy jesieni.

Mewy wisiały w powietrzu, wykorzystując powiewod strony oceanu, krzyczały, wyśmiewając się ze mnie i z mojej kłopotliwej sytuacji, a ichwzaskiprzypominały głosy dzieci.

- Patrz na horyzont, ręce wzdłuż boków, a stopy razem - powiedziałMasher.

- Jeśli spojrzysz wdół, polecisz do przodu i zmasakrujesz sobietwarz.

Nie potrzeba nam tu żadnych kłopotów natury medycznej.

I wtedy widoksię zmienił.

Przestałem patrzeć na horyzont, ale spojrziałem na znajdującą się czterdzieści stóp poniżej tafłę wody.

Byłabardzodaleko.

Sprawdziłem to kilkakrotnie, tak po prostu, żeby się"pewnić.

Dwie łodzie pełne kolegów z Komanda Foki czekały z uruchomionymi silnikami przy dziobie "Penacolena", pamiętającego lata trzydzieste frachtowca, którego używaliśmy, podczas gdy on czekał sobiew mokrym doku na wybuch kolejnej wojny. W dole pode mną widaćbyło unoszących się na ciemnej powierzchni wody malutkie kaski. Niemogłem rozpoznać twarzy, ale wiedziałem, że napawają się widokiem tej całej sytuacji.

Musiała być śmieszna.

- Zaczekaj, aż Walt wyjdzie z wody - ostrzegał Masher z wdziękiem gangstera.

- Powiem ci, kiedymasz skoczyć.

Patrzył poza burzę, abysprawdzić, jak wypadli moi koledzy, którzyskakali przede mną.

Spodziewałem się, że lada momenturzę, jak wypływają na powierzchnię.

Skok, o którym mówił Masher, już za sekundęmiał sprawić, że zamienię grzędę na pordzewiałym dziobie "Penacolena" na wody płynącej pode mną rzeki.

Garstka nurków z HRT gapiłasię na mnie, jakbymbył samobójcą czekającym nabarierce mostu na natchnienie.

Na chwilęorzeźwił mnie powiew morskiej bryzy, przyprawiony jedyną w swoimrodzaju wonią ścieków miejskich.

Potrząsnąłem głową, jak gdybydanomi dopowąchania sole trzeźwiące, i rozejrzałem się dokoła.

- Jesteś gotów?

- spytał Masher.

Brzmiało to bardziej jak szyderstwo niż troska.

Skinąłem głową i znów spojrzełem wdół, na wodę obok łańcuchakotwicy i stalowych drabinek wzdłuż burty, chcąc sięupewnić, czyWalt nie nurkuje jeszcze w kierunku dna.

Odgłos uderzenia jego ciała o taflę wody odbił się od zacumowanych dokoła statków, jak gdyby ten idiotyczny skok wymagał powtórzenia.

Nagle czarny kask, taki, jaki noszą kajakarze, wyskoczył na powierzchnię wody niczymkorek.

Rozległ się głośnykrzyk radości.

Nurkowiez HRT krzyczeliz zadowolenia, głośno oznajmiając liczbę zdobytych przeskoczka punktów.

Walt otrzymał ósemki i dziewiątki, przede wszystkim dlatego, że podczas lądowania spoglądał w dół, a zetknięcie z wodą wypadło fatalnie.

Teraz klepał się po głowie i machał ręką na znak, że wszystko w porządku.

Żadnej krwi.

No, dobrze.

Skoczył i przeżył.

Wobec tego dlaczego mnie miałyby się nie udać.

To nic takiego - powiedziałem sobie.

-Przecież byłem już na większych wysokościach.

No taaak, ale nigdy nieskakałem.

Szkoła dla Nowych Operatorów

147

Powinienem był przywyknąć do wysokości, przecież dorastając, praktycznie nie rozstawałem się z liną wspinaczkową.

Mój ojciec dowodził górskim pogotowiem ratunkowym w Białych Górach i wcześniej nauczył mnie wspinania się po stromych, wysuniętych skałach Franconia Notch aniżeli jazdy na rowerze.

Pamiętam długie, surowe popołudnia spędzone na pionowej ścianie skały Cannon oraz wspaniałe widoki rozciągające się z Artist's Bluff, górującego nad głębokim, stromym wąwozem.

Podczas gdy inni dzieciaki oglądały telewizję, ja wraz z przyjaciółmi wdrapywaliśmy się na skaliste tumie wysoko ponad głowami turystów.

Tłoczyliśmy się, pokonywaliśmy i zdobywaliśmy naszą drogę ku chmurom, zmagając się zeskurczem w żołądku i schodząc w dół, szukając z namysłem uchwytu dla ręki, tak jak przedskomplikowanym posunięciem podczas gry w szachy.

Pamiętam widok, jaki rozciągał się z tych skał.

Minęło już dwadzieścia lat, ale ten strach powrócił z precyzją i ze wszystkimi szczegółami.

Podniecała mnie wysokość; tanieuchwytna bliskość życia, którą odczuwasz, gdy jedyną rzeczą dzielącą cię od śmierci jestdziesięciomilimetrowa lina.

Było to jedno z nielicznych, pierwotnych miejscna świecie, gdzie mogłeś niemal usłyszeć skrzyp klamr naPearly Gates i wydawałoci się, że można znieść wszystkie trywialne doczesne chwile.

Na szczęście oswojenie się z wysokością odgrywało dużą rolęw treningu wNOTS. Zdaniem instruktorów był tosynonim ryzyka.

Budując scenariusze, w których aż roiło się od niebezpiecznych sytuacji, oferowali nam poczucie konsekwencji.

Musiałeś zaufać ichradomlub zdaćsię naniepewność, tkwiącą w każdym z nas.

Zaledwie tydzieńtemu stałem na podpórce płozy ogonowej ciemnoniebieskiego UH-1 Huey'a,dziewięćdziesiąt stóp nad ziemią.

Miarowywarkot wirujących nad moją głową śmigieł stanowił dziwne tło dla mojej sytuacji.

Piloci utrzymywali stałąprędkość,a my sprawdzaliśmyliny,którymibyliśmy przywiązani do kadłuba samolotu, i spoglądaliśmy w dół.

W każdym kierunku widać było tylko ogromne lasy należące do bazy głównejpiechoty morskiej w Quantico.

Akademia FBI wydawała się mała i była bardzo daleko.

Nad zbiornikiem wodnym w Lungachowałyjastrzębie, nie zwracającuwagi na nasze wygłupy i zaba^Y- Yoda i Ricketts stali w drzwiachnaprzeciw mnie- ich sylwetkitysowały się na tle błękitnego nieba.

Na twarzach niewidać było strąku.

Z lewej strony stał Walt,spięty i zły.

148

Zimny strzał

- Przygotować się!

- rozległ się krzyk Pete'a Andersena, naszegoinstruktora spuszczenia się po linie, przebijając się przez huk silnika,smród spalin i pulsowanie w skroniach.

Pete przycupnął z prawej strony, a tymczasem ja stałem w otwartych drzwiach, lewą rękę położywszy nanylonowym węźle, a prawą chwytając linę długości stu pięćdziesięciu stóp, po której miałem zjechać w dół.

Motor szarpnął, a karabińczyk na końcu liny zatrzasnął się na moim pasie, do którego była też przymocowana broń.

Wielki, niezdarny helikopter przechylił się na lewo, potem na prawo, reagując na wysiłki pilota dostosowania się do nieoczekiwanych powiewów przeciwnego wiatru.

Pięćdziesiąt stóp pod mną falowały wierzchołki drzew: zielone kępy czerwonego dębu, cedru i topoli.

Wyglądały jak szeroki materac, gotowy złapać nas, jeśli spadniemy.

Trzymałem się liny asekurującej niczym życia.

Twoja uwaga niekoncentruje się ani na wysokości, ani na świadomości, że lina może zawieść, ale na przekonaniu, że przez tych kilka ulotnych chwil jesteś panem swego przeznaczenia.

Cały trening i doświadczenie to tylko wskazówki.

Teraz wszystko prowadzi się wyłącznie do ciebie.

Jeśli funkcjonujesz prawidłowo - będziesz żyć.

Jeśli zawahasz się, pozwolisz swoim myślom pobiec w złym kierunku albo też dopuścisz, by tachwila zawładnęła tobą, umrzesz.

I właśnie to uzależnienie od losu, a nie adrenalina wywoływało u mnie dreszcz.

Kiedy naprężyłem linę i mrużyłem oczy od wiatru, przez myśl przemknęły mi zasady wpajane na całym tygodniowym szkoleniu.

Postawiłem lepiej stopy na podpórce płozy, a tymczasem pilot ustawiał maszynę.

Nasz instruktor wychylił się do połowy przez drzwi, poszukując w dole, wśród drzew odpowiedniego miejsca do wykonania skoku.

Naplecach czułem dłoń ojca, zupełnie jak gdybyśmy dopiero zakończyli długą wspinaczkę, a on posyłał mnie z powrotem na dół.

Pete odwrócił się ku nam i skrzyżował ręce na piersi, jakby odganiając demony, a następnie opuścił je wzdłuż boków i wrzasnął:

- Start!

W dół, swobodnym lotem.

Jeśli przegapisz moment hamowania, to wylądujesz tyłkiem na czterdziestostopowym

dębie, a gdy wykonasz je zbyt wcześnie, to zderzysz się z facetem skaczącym na ukos od ciebie, tak jakto się przydarzyło Eddiemu, któremu but przebił podbródek. Miał szczęście, że skończyło się tylko na dwudziestu szwach.

^

Szkoła dla Nowych Operatorów 149

No więc zjeżdżam w dół, lekko dotykając palcami liny, która prześlizguje się przez ubraną w rękawiczkę rękę, przebiegając hamowanie tuż przed zetknięciem z czubkami drzew.

Przechodzę przez drzewa, kopniakami odsuwając na boki gałęzie, starając się jak najprędzej stanąć na ziemi.

Instruktor nie widzi cię, gdy już znikniesz wśród drzew, a pilot nie chce, by helikopter zaczepiło gałęzie.

Ten zjazd po linie ma trwać tyle, co policzenie do dziesięciu, ale potem to już wszystko jest hazardem.

No więc torujesz sobie drogę wśród gałęzi drzew, mając nadzieję, że w przytroczonym do boku worku starczy ci liny.

A wtedy nagle stoisz już na ziemi, odczepiony od liny i gotów do kolejnej walki, tej prawdziwej, dla której tutaj jesteś.

- Skacz!

W tonie Mashera nie było żadnego ponaglenia, ale wyrwał mnie z moich rozpamiętywań. Zjazd po lini miał miejsce w ubiegłym tygodniu, a dziś mieliśmy skakać.

- Skacz!

Na tym etapie szkolenia w NOTS wiedziałem, że potrafię zrobić wszystko, co mi każą. Wszystko.

HRT nie kształtuje pojedynczych osobowości, ale wyrabia mocniejsze więzi w łańcuchu i zespała wszystkich razem za pomocą poświęcenia.

I to jest misja.

Przebycie tych pięćdziesięciu stóp dzielących mnie od wody będzie trwało chwilę, ale w całym procesie ten krok będzie trwać wiecznie.

Wpojono nam pewność tam, gdzie zazwyczaj gościły wątpliwości i strach.

Strzelanie, zjeżdżanie po linie i taktyki obronne wymagają tylko ćwiczeń, a one prowadzą do budowania zaufania - zarówno do swoich towarzyszy, jak i do siebie

samego.

Ku przerażeniu głosówdźwięczących w mojej głowie, wyciągnąłemjedną stopęprzed siebieiprzechyliłem się.

W próżnię.

Właśnie w ten sposób zamieniłem swoje dawne życie na los moichkolegów z jednostki.

Po wpojeniu nam wszystkich fundamentalnych zasad nadchodzi końcowy i najbardziej krytyczny aspekt naszego treningu: walki w małych pomieszczeniach, czyli CQB.

To podstawa w ratowaniuzakładników, choreograficzny baletw przetaczającej się burzy.

Taniezwykiewymagająca i niebywale gwałtowna konfrontacja wymaga odkażdegostrzelca, by operując wśród strzałów padającychzwszystkich.

150Zimny strzał

stron, trzymał się określonego pola wymiany ognia.

Musi na tyle ufaćswoim kompanom z jednostki, że precyzyjnie co do centymetra działałytko w swoim polu rażenia.

Musi płynnie przesuwać się z jednego pomieszczenia do drugiego,niezwracając uwagi na eksplozje ładunkówwybuchowych, i musi umieć swobodnie strzelać w ruchu, podczas gdyzakładnicy chwytają go za ubranie, i nigdy nie wolno mu wziąć ukradkowych gestów za sięganie po broń.

- Patrzcie na ręce - powiedział nam instruktor.

- Przecież wzrokiemnie mogą was zabić.

Zajęcia rozpoczynaliśmycodziennie o piątej rano w sali gimnastycznej Akademii.

Mieliśmy do dyspozycji plastikowe symulatorybroni i kukły.

Ruchy, pozycje oraz skoncentrowanie się przeważały napierwszych lekcjach, podczas których nasi instruktorzy uczylinas, jakwejśdo pomieszczenia i opanować sektor.

Ćwiczyliśmy kluczeniemędzy przeszkodami, z broniązawsze gotowądo strzału, głowy pochylone, ramiona wyciągnięte do przodu, kolanaugięte, tak aby zamortyzować

siłę każdego kroku bez spuszczenia celu z oka.

"Szybkość, zaskoczenie i gwałtowność działania" - powtarzaliśmy w kółko.

Jeszcze jedna mantra.

Po dwóch tygodniach suchej zaprawy z plastikową bronią załadowaliśmy trzydziestostrzałowe magazynki naszych MP-5 amunicją kalibru 10 milimetrów, odciągnęliśmy kurki i przestawiliśmy przełącznik rodzaju ognia na serię trzystrzzałową. Ćwiczenia rozpoczęły się najpierw bardzo prosto, od wejścia dwóch mężczyzn do jednego pokoju.

Podstawowe sprawy.

Instruktorzy obserwowali każdy nasz ruch, śledzili każdy krok, chcąc się upewnić, że zanim wystrzelimy, rozumiemy znaczenie każdego strzału.

"Nie trafienia oznaczają porażkę.

Nie zwracać uwagi na nic, co dekoncentruje.

Skoncentruj się na celu ognia.

Nie spuszczać z oka broni.

Poznaj swoje zadanie.

Dąż do perfekcji".

Instrukcje padały niczym rozkazy.

Stopniowo, powoli, przechodziliśmy do ćwiczeń, w których do jednego pomieszczenia wchodziły cztery osoby, a następnie tych pomieszczeń przybywało: dwa, trzy i wreszcie cztery.

Granaty z odrzutem płomienia, ruchome cele, leżący zakładnicy, dym.

Biegi stawały się coraz bardziej męczące, aż do chwili, gdy zaczęliśmy pracować jak zgrany zespół.

Autentyczne opanowanie tej formy atakowania może trwać lata, ale my nie mieliśmy tyle czasu.

Mieliśmy pięć miesięcy.

Potem mogliśmy liczyć wyłącznie na siebie.

J,

Szkoła dla Nowych Operatorów 151

Bez względu na to, jakie wyzwania kryły w sobie zajęcia ze skakania, zjeżdżania po linie i wymiana strzałów w pomieszczeniach, to nie nie pochłaniałam tak bardzo,



jak szkoleń strzelaniu.

HRT posługuje się materiałami wybuchowymi, począwszy od pocisków małego kalibru do najrozmaitszych granatów i olbrzymich ładunków wybuchowych.

Mogą one spowodować pożar, a ten może sprawić, że akcja uwalniania zakładników przerodzi się w jeszcze bardziej niebezpieczne przedsięwzięcie.

Aby pracować i przeżyć w takich przypominających piekło warunkach, nowi operatorzy sami muszą spędzić nieco czasu wśród ognia.

Ta próba ma miejsce w siódmym tygodniu pobytu w NOTS, a odbywa się w iście diabelskim pomieszczeniu.

W Akademii Pożarnictwa w hrabstwie Księcia Williama znajduje się trzypiętrowa, zbudowana z betonu wieża, zwana gorącym domem.

Jej ścianą osmaloną przez ogień, który płonie tu od lat.

Stalowe okiennice zaspawane na amen, także nie można ich otworzyć.

Kratowana podłoga pozwala, by dym swobodnie unosił się w górę, gdzie kłębi się i znów spływa na dół, wytwarzając pionowy tunel powietrzny, który kotłuje się i mętnieje, wsysając całe powietrze i napełniając całe pomieszczenie cierpieniem.

Wszyscy wiedzieliśmy, że może pewnego dnia będziemy musieli walczyć w takich warunkach, przebiegając z jednego pomieszczenia do drugiego, ukryci za naszymi karabinami maszynowymi, szukając ładunków i węsząc zagrożenie.

Wobec tego musieliśmy również przejść trening w "gorącym domu".

Nikt nie czuje się dobrze w takim miejscu, ale my musieliśmy być z nim obeznani, a wszystko po to, aby nabrać skuteczności.

Nie ma sensu pakować się w kryzysową sytuację bez gwarancji, że można się z niej wydostać.

Po krótkim wprowadzeniu i zademonstrowaniu wszystkiego instruktorzy podpalili w piwnicy trochę mokrej słomy i resztki siennika.

Gęsty, gryzący dym uniósł się aż do trzeciego piętra i ponownie opadł na dół; tymczasem instruktorzy zaprowadzili nas na platformę ratunkową, znajdującą się tuż pod dachem.

Staliśmy w rzędzie i mieliśmy do wykonania proste zadania.

- Znaleźć drogę w dół, na parter, i wydostać się na zewnątrz.

Niewolno upaść ani zemdleć.

Brzmiało dość prosto.

Instruktor otworzył drzwi i wepchnął mnie do środka.

152 Zimny strzał

- Och, ty skurwysynie!

- wrzasnąłem, tracąc przy tym większość powietrza.

Dym w pomieszczeniu uderzył we mnie, jak gdyby ktoś mnie walnął.

Żadnego odzewu, nic się nie zmieniło.

Wydawało mi się, że ten koszmarny ogarniał, próbował wdrzeć się w głąb mnie i wysssać z niego życie.

Wstrzymywałem oddech tak długo, jak tylko mogłem, aleni dało się robić tego dłużej niż minutę.

Serce waliło mi jak młot.

Ręką macałem po ścianie, tak jak nas uczono.

Gdzieś tu muszę być drzwi schody prowadzące prosto w dół myślałem.

Przestrzeń dookoła mnie wydawała się żyć, być zatłoczona, czarna i piekielnie gorąca.

Nie było ani krzty powietrza, ani odrobiny światła.

Wydawało się, że stamtąd nie można uciec.

Gorąco paliło mi płuca, nozdrza zamknęły się jakby automatycznie, odrzucając zapotrzebowanie na tlen, broniąc się przed spalaniem.

Organizm zmagał się ze żrącym dymem o przetrwanie, z oczu płynęły mi łzy.

I nagle poczułem, że ogarnia mnie niemal pierwotna żądza przetrwania.

Być może wzięłem to uczucie za panikę, ale panika to irracjonalna odpowiedź na niebezpieczne wyzwanie.

Panika nie ocali ci życia; powinno się ją ignorować, tak samo jak dym, jak gorąco i jak ciemność.

Moim celem stała się chęć przeżycia.

Walcz, ty dupku - wrzasnąłem sam do siebie.

Co oprócz tego można zrobić?

Zacząłem od prawej strony, potykając się o niewidoczne meble, posuwając się od jednej szczeliny światła sączącego się przez zabite deskami okno do drugiej.

Szedłem metodycznie, tak jak uczono mnie podczas szkolenia, skupiając uwagę na narzędziach, które jeszcze funkcjonowały: na dotyku i instynkcie.

- Odrzuć to, co nie działa, a skoncentruj się na tym, co działa.

Uspokój się - szeptałem na wydechu.

- Kumuluj energię.

Zwalczaj adrenalinę.

Spowolnij bicie serca.

Zacząłem chwytać powietrze podczas szybkich, odmierzonych oddechów, starając się, aby płuca zyskały trochę drogiego tlen z każdego haustu czarnej smoły.

Łup. Walnąłem się o poręcz znajdującą się gdzieś na wysokości talii.

To musiał być szczyt schodów.

Na dół.

Szkoła dla Nowych Operatorów 153

Posuwałem się wzdłuż stalowej linii prowadzącej ku życiu, w dół schodów, mrużąc oczy, choć nie było tam żadnego światła.

Oczy paliły, smarki płynęły z nosa, mieszając się ze łzami ze śliną, dusząc mnie i przypominając, że organizm nie lubi czegoś takiego.

Moje nogi odczuły lądowanie na drugim piętrze, ale zaraz znów zacząłem szukać wyjścia.

Walnąłem się o stół, potem o kanapę, ale to nieważne - padając, czołgając się w dół na czworakach, byle dalej.

Znowu w dół, na pierwsze piętro, i wreszcie parter, i wyjście.

Powietrze.

Kiedy wyszedłem na świeże powietrze, zdawałem sobie sprawę, że jasno świeci słońce, ale niewiele widziałem.

Oczymiałem spuchnięte i pełne sadzy.

- Tutaj - wrzeszczał jeden z naszych instruktorów.

Trzymał wąż do polewania, aby zmyć z nas ból.

Słyszałem, jak z tym reszta moich kolegów wybiega z budynku.

Kaszlali i chadzali tak jak ja.

- Pospieszcie się!

- poganiał nas instruktor, gdy potykając się, szedłem ku niemu.

- Musicie zrobić to jeszcze raz, zanim ogień zgaśnie.

Jeszcze raz?

Dziesięć minut potem powtórzyliśmy to, ale tym razem sześćdziesięciokilogramową kukłą na ramionach.

Nie miałem już nic przeciwko przebiegnięciu przez wieżę jeszcze raz.

Znałem drogę i przecież przeżyłem.

Podobnie jak przeżyłem skok ze statku i zjeżdżanie po linie z helikoptera, a także bieg pod ostrzałem, gdy moi współtowarzysze strzelali nabojami kalibru 10 milimetrówi .

45 tuż obok mojej twarzy.

Przeżyłem selekcję i przeniesienie w inne miejsce, a także bycie dowódcą grupy - czyli wyrzucenie poza obręb.

Przeżyłem tyle rzeczy, począwszy od rozmaitych niedogodności, aż po zagrożenie, a wszystko to, by się tu dostać.

Nie obchodziło mnie, czy muszę jeszcze skoczyć kilkunasto) ardownej wieży na nadmuchiwany materac, że jeśli źle wyląduję, to podmuch wiatru może powalić mnie z nóg.

Nauczyłem się, że mogę wykonać wszystko, co zechcę, jeśli tylko uwierzę, że to możliwe, nie stracę głowy i zaufam sobie.

Ludzie poświęcają całe życie i ogromne sumy pieniędzy, szukając samorealizacji, którą ja otrzymałem w dwadzieścia tygodni.

154

Zimny strzał

Instruktorzy uczyli nas, że sprawić zawód to za mało.

Najgorzej jest poddać się.

W dniu promocji, pięć miesięcy po przyjeździe do Quantico, wszystkich siedmiu członków mojej klasy w NOTS zebrało się w salina końcową uroczystość.

Skąpoumeblowanypokój wyglądał tak samo, jak każdego innego dnia.

Nie mogłem dostrzec żadnych dyplomów.

Żaden z nas nie przygotowałuroczystego przemówienia.

Ray, niezdarny bokser wagi półciężkiej o wyglądzie aktora, podszedł do stojącego na froncieklasy pulpitu i odchrząknął.

Cała naszajednostka, zebrana pod przeciwległą ścianą, patrzyła na niego.

W przeciwieństwie do większości promocji, w HRT uroczystośća sprowadza się do działania, a nie do słów.

Nasze żony i dzieci nie zostały zaproszone, by zobaczyć, jak maszerujemy.

Nie było kluczy Phi Beta Kappa ani też listów pochwalnych.

Jeżeli chcieliśmy włożyć żółte T-shirty, które były dyplomem tej jednostki, to musieliśmy naniezasłużyć finalną akcją.

Ray oznajmił, że terroryści wzięli zakładników w ambasadzie w Waszyngtonie, a ósme pokolenie nowych operatorów HRT zostało wyznaczono do ich uwolnienia.

Wywiad ustalił, że porwaczy jest co najmniej pięciu i że są oni dobrze uzbrojeni.

Zagrozili, że zabiją wszystkich w ciągu godziny, jeśli ich żądania nie zostaną spełnione.

Negocjatorzy są gotowi poprzeć pomysł zaatakowania ambasady.

Ray czytał ten rozkaz operacyjny głosem, w którym nie słychać było emocji ani pośpiechu.

Jego chropowaty baryton przetaczał się przez pokój, podczas gdy my kręciliśmy się pod ścianą i robiliśmy notatki.

Zadanie wymagało zastosowania taktyki walki w małych pomieszczeniach, co ćwiczyliśmy przez cały miesiąc.

Byłem piątą w szeregu, za Rickettsemi przed Dale'em.

Curtis, nasz były technik od ładunków wybuchowych, miał wysadzić drzwi wejściowe.

Snajperzy wiedzieli, jaki powinni mieć promień ognia, imieli zacząć strzelać, gdy tylko dowódca rozpocznie odliczanie.

Wszystko zaplanowano, każdy szczegół był jasny, nie było żadnych pytań.

Ray kazał nam być gotowym o 13.

30. O wpół do drugiej, a więc mieliśmy mniej niż pół godziny.

Ostatnią kryjówkę opuściliśmy dokładnie o 13.

22. Waltzając stanowisko.

Yoda zabezpieczał tyły.

Reszta wywijała bronią, tak aby w razie zagrożenia objąć ogniem kąt 360 stopni.

Posuwaliśmy się kierunku

Szkoła dla Nowych Operatorów

155

strzelnicy, starając się ukryć i schować wszędzie, gdzie tylko można.

Stawialiśmy kroki ostrożnie - najpierw palce, potem pięta,

niczymmyśliwypodchodzący ofiarę.

Na twarzy miałem maskę gazową, która ograniczała moje pole widzenia do tunelu z czarnej gumy i przezroczystego plastiku.

Zatyczki w uszach odgradzały od wszelkiego hałasu z wyjątkiem przypadkowych, ledwie słyszalnych dźwięków radia i świstu oddechu wydobywającego się przez filtr maski.

Czarna osłona kominiarki powiewała mi spod kasku, aby chronić szyję przed wybuchem, który miał wysadzić drzwi.

Wszystko, co miałem na sobie, było czarne z wyjątkiem małej flagi Stanów

Zjednoczonych naszytej na lewym rękawie.

No i co z tego, jeśli jacyś terroryści zobaczą to w ciemności.

Przecież po to tam byliśmy.

Weterani HRT otoczyli wysokie ściany strzelnicy i wieży obserwacyjnej, czekając na nas chcąc zobaczyć, czy sprawimy się zgodnie z ich oczekiwaniami.

Powoli posuwaliśmy się w kierunku drzwi, niepewni, co nas czeka.

Żaden skrawek skóry nie był odsłonięty, nic nie było wystawione na zranienie, wyglądemnie przypominaliśmy ludzi.

Walt zatrzymał się bliskodrzwi wejściowych i uniósł swój karabin MP-5 na wysokość głowy.

Jeśli ktoś wyjdzie, to już jest martwy.

Eddie, dowódca naszej brygady, dał znak ręką i Curtis podbiegł do drzwi ze swoim ładunkiem wybuchowym o rozmiarach dwie na cztery stopy.

Czekałem na swoją kolej, w myślach przebiegając listę wyposażenia oraz

moje zadania taktyczne: karabin MP-5 odbezpieczony, granat oślepiająco-

ogłuszający luźno trzymać w ręce - sprawdzić klamkę drzwi, a potem wrzucić

granat do pomieszczenia.

Po wyciągnięciu zawlecзки masz 2,7 sekundy do wybuchu - przypomniałem sobie.

-Palec zdjąć ze spustu, dopóki nie nadejdzie moment, żeby zabić.

Zanim spojrzysz na pomieszczenie, obrzuć wzrokiem wszystkie strefy zagrożenia.

I patrz na broń wroga, a nie na jego ruchy.

Utrzymuj pole ognia.

I niczego nie spieprz.

Nie spieprz.

Nie spieprz.

Spojrzałem na mój rewolwer kalibru .

45 spoczywający w luźno zwisającej kaburze tuż poniżej biodra.

Kurek był napięty i zabezpieczony.

Drugi pistolet, również czterdziestka piątka, tkwił sobie w szelkach na ramieniu przymocowany do ceramicznej plakietki na mojej piersi.

Nosiłem przy sobie także lekką broń, na wypadek gdyby inną zawiodła.

156

Zimny strzał

Magazynek do pistoletów wisiał sobie u pasa, do którego przytroczona była broń, natomiast magazynki do MP-5 tkwiły w usztywnionej kieszeni, tak aby można było szybko je wyjąć.

Dziesięć lub dwaście granatów klekotałów torbie, zawieszonych na lewym biodrze.

Trzy ładunki wybuchowe służące do wysadzania drzwi obijały się o lewą tydkę w dolnej kieszeni na nogawce kombinezonu lotniczego.

Wszystko to, co miałem na sobie, ważyło ponad sześćdziesiąt funtów, ale ja czułem się lżejszy od powietrza.

Żył przepełniona adrenalina, ale w idealnej dawce - akurat w takiej, aby wyostrzyć myślenie i rozjaśnić wzrok.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza, nie zwracając uwagi na świat, jak się wydobywał, gdy pochylałem się w przód, na plecy kolegi.

Curtis założył ładunki i poczołgał się z powrotem, aby jak najdalej od ciężkich drewnianych drzwi, broniących dostępu do kryzysowego miejsca. Usunął mechaniczne zabezpieczenia z zapalnika i skontrolował wzrokiem linkę prowadzącą od detonatora do czterystugranowego, pokrytego plastikiem ładunku. Wybuch wywalił dziurę w drzwiach i oczyścił teren dla dokonania ataku, ale równocześnie urwie ci głowę, jeśli wyprzedzisz komendę albo znajdziesz się zbyt blisko.

Te ładunki mają taką moc, że wytworzone ciśnienie i odłamki mogą powalić cię na ziemię nawet wtedy, gdy wszystko przebiega prawidłowo.

Curtis przyklęknął dziewięć stóp od drzwi, odwrócił się tyłem i skinął na Eddiego. Już czas.

- Bravo Jeden do TCO - szepnął Eddie do małego mikrofonu, znajdującego tuż przy kąciku jego ust.

- Jesteśmy na poziomie "zielony".

- To oznaczają zaczynamy.

Nastąpiła krótka przerwa, a potem odezwał się głos.

To Ray rozpoczął odliczanie do tyłu.

- Uwaga, kontroluję wszystko.

Pięć, cztery.

Odwróciłem wzrok, aby wybuch mnie nie oślepił.

- ...

trzy, dwa.

Paf, paf, paf.

To snajperzy.

Strzelali sto jardów od nas.

Ich pociski wistały dosłownie nad naszymi głowami, sprawiając, że hałas był niezmiernie głośny.

- ...

jeden.

Bum!

To Curtis odpalił ładunek.

Fala uderzenia wprawiała linkę w drganie, a my tymczasem przypuściliśmy szturm.



Olbrzymie eksplozje

Szkoła dla Nowych Operatorów

157

trzęsły budynkiem, a my rzucaliśmy przed siebie granaty oślepiająco-ogłuszające i zabijaliśmy terrorystów (to znaczy trzy manekiny wielkości człowieka, gdy się na nie natknęliśmy).

Atakowaliśmy zgodnie z wyuczonym scenariuszem, od razu od wejścia przejmując panowanie nad sytuacją.

Strzelaliśmy w głowę.

Wyważaliśmy drzwi.

Rzucaliśmy granaty oślepiająco-ogłuszające.

Wtórowały temu świst powietrza wydobywający się wraz z oddechem z masek gazowych i monotonne łup, łup, łup naszych szalejących serc.

"Patrzeć na broń, strzelać z chirurgiczną precyzją, myśleć, zanim zrobicie krok".

Podświadomie powtarzałem sobie to credo, gdy za pomocą ogniatorowaliśmy drogę do miejsca, w którym, jak twierdził wywiad, znajdowali się zakładnicy.

Jako drugi w szeregu dopadłem drzwi i wtedy zaczęliśmy porozumiewać się za pomocą dotyku.

Na ułamek sekundy zawahaliśmy się w naszym ataku, trwało to tyle czasu, ile trwa wrzucenie granatu do pomieszczenia.

Drzwi były zamknięte.

Cholera.

- Wyważyć!

Curtis stanął przede mną ze swoim dwunastostrzałowym karabinem i zaserwował serię w zamek.

Dał się słyszeć łoskot wypadających drzwi.

Bum!

Wpadłem do pomieszczenia jako trzeci, pół kroku za Rickettsem, i obróciłem się w prawo.

Pięć metrów ode mnie siedział zakuty w kajdanki operator HRT, a dwaj terroryści-manekiny mierzyli mu w głowę z karabinów.

Curtis, który wciąż parł do przodu, powalił znajdującego się lewej strony wroga,

pakując mu prosto w czoło trzy strzały ze swojej broni kalibru 10 milimetrów. Ricketts zajął się tym z prawej, a ja wśród gradu kul przesunąłem się w kierunku zakładników.

Po obu stronach głowiałem najwyższą stopę przestrzeni, lecz pomimo tego chwyciłem jednego z zakładników za ramiona, podciągnąłem go sobie pod pachę i rzuciłem się ku drzwiom.

Ricketts i Curtis zrobili porządek z resztą terrorystów w tym pomieszczeniu i już tam nie było.

Dostanie się do tego feralnego miejsca zajęło nam nie więcej niż trzy sekundy.

Wszyscy terroryści nie żyli, wszyscy zakładnicy zostali uwolnieni.

Zdaliśmy.

158 Zimny strzał

NOTS została pomyślana tak, aby rozszerzyć ludzkie umiejętności do stopnia, w którym jednostka funkcjonuje najlepiej, stanowiąc część składową zespołu.

Jest tak pomyślana, aby każdego nowego operatora wyposażyć w takie podstawowe umiejętności, które pozwolą mu wnieść wkład w postawione przed zespołem zadanie.

Tak naprawdę nikt nie może przewidzieć, jak wojownik sprawdzi się w prawdziwej walce, ale niemające końca ćwiczenia wykazują, że wszyscy działają w sposób, w jaki ich nauczono.

Zazwyczaj wygrywają ci, którzy ćwiczą najwięcej.

A HRT ćwiczy bardzo dużo.

Wojsko od wieków wie o tej zasadzie.

To psychologia odradzania się - zasada feniksa.

Bierze się zdolną, chętną duszyczkę, a następnie łamie się ją, odziera ze wszelkich śladów ego i wykopuje krater niepewności i potrzeb.

I teraz napelnia się go dogmatami, zdolnościami i zaufaniem.

Talent, z którym rozpoczynasz te ćwiczenia, twardnieje, przekuty na inny metal i wzór.

To stary proces, nawet trudno powiedzieć, ile liczy sobie lat, ale skuteczny.

Kiedy rozpoczynasz naukę w NOTS, jesteś jak każdy, stanowisz częścią świata.

A kiedy kończysz szkołę, jesteś już kimś innym - jesteś lepszy, twardszy.

Wiele umiesz.

Jesteś ukształtowany.

9

Dyscyplina

^

Wkrótce po promocji szefowie sześciu różnych brygad wchodzących w skład HRT zebrali się, aby dokonać podziału nowego narybku.

HRT dzieliło się wtedy na dwie sekcje, błękitną i złotą, a w każdej z nich znajdowały się dwie siedmioosobowe brygady szturmowej i jedna ośmioosobowa snajperska.

Każda z nich miała dokonać wyboru zgodnie z swoimi potrzebami kadrowymi i brakami będącymi wynikiem rotacji, która działała bardzo podobnie jak w NFL.

Nowi operatorzy nie mieli tu zbyt wiele do powiedzenia.

Biuro poprosiło nas, abyśmy napisali, czy chcemy być w snajperach, czy w szturmowcach, ale okazało się, że to był tylko taki przejaw grzeczności.

Oni już zdecydowali, że w 1991 roku potrzebują więcej snajperów niż szturmowców, a tymczasem tylko dwóch facetów chciało być snajperami.

Mnie wśród nich nie było.

Wtedy, w 1991 roku, bycie snajperem, przynajmniej w HRT, było niewdzięcznym i niefascynującym zajęciem.

Szturmowcy mieli wrzucać płonące pociski do pomieszczeń i wyprowadzać z nich wszystkich zakładników.

Natomiast snajperzy musieli czasem całymi dniami leżeć w chwastach, znosić raz temperatury poniżej zera, to znów piekielne upały w dżungli, mając nadzieję, że przez przypadek uda im się rzucić okiem na namierzanego faceta.

Nie mieliśmy cienia wątpliwości, że szturmowcy będą się cieszyli w HRT wzięciem.

Moją decyzja wydawała się dość prosta.

Od czasu pierwszej wizyty w budynku HRT podczas nauki w NOTS marzyliśmy spadaniu w dół w czarnym helikopterze, szybkim zjechaniu polinie do płonącego budynku i wyjściu z niego najbardziej obłąkanym terrorystą.

Takis pot reklamowy, wyświetlany w najlepszym czasie antenowym.

W ten sposób werbuja ludzi.

Nikt nigdy nawet nie wspominal o szansie, jakastala przede mna, ze moge spedzic kilka nadchodzacych lat na jakichs.

160

Zimny strzal

bagiennych rozlewiskach Missisipi, gdzie az roi sie od szcurow, odgrywajac role przynety dla kleszczy.

No i zgadnijcie, co mi sie dostalo.

W piatek po poludniu, o siedemnastej, zebrano nas w jednej z klas, aby oglosic przydzialy.

Trzech chlopakow poszlo do szturmowcow,  
czterech do snajperow.

Gdy wyczytywano nazwiska, bolal mnie brzuch.

Walt, do brygady Charlie.

Ricketts i Eddie - do Echo.

Whitcomb do

sekcji zlotej, do snajperow.

Caly ten bol, ktorego doswiadczyłem, trenujac, aby zostac wybranym, wydal sie nagle kolosalna strata.

Dwatygodnie piekla.

Piec miesiecy w NOTS.

I towszystko zdawalo sie jedna, gigantyczna, pieprzona pomylka.

Staralem sie sprawiać wrazenie zadowolonego, ale aktorstwo niejest moja mocna stroną.

Pierwsza neodparta mysla bylo, ile trwalaby podroz, gdybym odmowil przydzialu i poprosil o przeniesienie do terenowego biura w Waszyngtonie, do pracy w opiece spolecznej.

To bylo jedyne wyjście.

W HRT przyjmowanie rozkazów znaczyło akceptowanie ich i już, kropka.

Osobiste preferencje ograniczały się do śmietanki do kawy.

Naszcześnie mój nowy dowódca brygady wziął mnie na boki takszczerze uściskał mi dłoń, gratulując, że poczułem się, jakbym wygrał loterii.

Wszyscy koledzy z nowej brygady zebrali się dokoła mnie zesłowami zachęty ikilkoma zimnymi piwami.

Znałem ich z widzenia:

Boat, Raz, Metz, Spuds, Mesher.

Wyglądalina zadowolonych.

A, do cholery - pomyślałem.

-Może w tym całym byciu snajperem jednakcoś jest.

Dwa miesiące potem, gdy wiosna przechodziła w lato, czołgałem się twarzą w dół przez błotnisty rów, pokryty długimi wstęgami konopi, gniazd komarów i jelenich bobków.

Gęsty, wilgotny upał stanu Wirginia wisiał nade mną jak przemoczony koc.

Pot w regularnym rytmie kapał z czubka nosa nakarabin.

Właśnie już po raz drugi od świtu obsiusiałem swoje gacie i zaczynałem się martwić, że było to najmilsze uczucie, jakiego doświadczyłem w ciągu całego dnia.

- Wąż.

Nie wiem, kto to powiedział.

Ktoś z moich kolegów, gdzieś z prawej strony.

Zabrzmiało, jak stwierdzenie obserwacji, nic więcej.

Krzaki za mną poruszyły się i usłyszałem jeszcze jeden głos.

Dyscyplina

161

- Nie ruszaj się, zajmę się tym.

Ostry, nosowy głos o akcencie charakterystycznym dla rejonu Appalachów przedarł się przez trawy, a ciężkie kroki zbliżyły się.

To był oficersztabowy Carl Morton z Korpusu Marynarki Wojennej

Stanów Zjednoczonych.

W jego głosie brzmiała powaga.

Cieszyłem się, że niejestem tym biednym wężem.

- Wąż!

Tym razem w słowach wyczuwalna była troska.

Nie wiedziałem, ktoto mówi, ale niewątpliwie sprawa wymagała pośpiechu.

- Uwaga.

Zostań z prawej strony, ażja, kurwa.

- Wąż!

- To byłjeszczejeden głos.

Tym razem skądś z bliska.

Możejakieśpięć metrów z mojej prawej strony.

Uniosłem głowęna tylewysoko, aby obetrzeć błoto z policzka i spojrzeć na prawo.

Coś łuskowatego prześlizgiwało się przedemną i nie chciałembyć obiektemszybkiego ataku.

No, cóż - pomyślałem - zje sobie kawałek wirginijskiej gliny.

Jeśli chce, to proszębardzo.

- Widzę cię, snajperze.

Nie ruszaj się - Morton był coraz bliżej, alez miejsca, w którym leżałem, niewiele mogłem zobaczyć.

- Wąż.

- To już czwartygłos.

Tym razem dobiegł najwyżej dwametry ode mnie zprawej strony.

Niemogłemdojrzeć tego człowieka, gdyż zasłaniała go trawa, ale słyszałem jego oddech, identyczny, jaku zwierzęcia, które znalazło się w pułapce.

- Wąż!

- Tym razem w słowachbrzmiał pośpiech.

Mortonskoczył przez trawę na lewo ode mnie, trzymając kij w jednej, a wielkieradio motorola w drugiej ręce.

- Aaaach!

Ubrany w ghille snajper piechoty morskiej podskoczył w górętakblisko mnie, że nieomal wylądował na lufie mojego karabinu.

Próbował wydobyć z ustsłowo "kurwa", alelicząca cztery stopy miedziankauczepiona

jego górnej wargi sprawiała, że było to raczej trudne.

Wszystko, co mogłem zobaczyć z tego biednego skurwysyna, to rozbryzgujące się bryły konopi i dwie migające ręce, podczas gdy długi, brązowy gad atakując, próbował wygryźć mu dziury w twarzy.

Przeturlałem się na lewą stronę w celu uniknięcia jego stawianych na oślep kroków w ciężkich, wojskowych butach, a tymczasem wąż łagodził uchwyt, szykując się do następnego ataku.

Jego ogon znajdował się jakąś stopę nad ziemią, wobec tego nie miał żadnej podpory.

162

Zimny strzał

od której mógłby się odbić.

Ta bestia śmigała niczym pejcz, wypuściła z kłów wargę swej ofiary, spadła na ziemię i zniknęła.

Sierżant Morton przybył akurat w porę, aby wykonać swoim kijem uderzenie, ale nie trafił.

Patrzyłem na to dziwne przedstawienie kabuki, podczas gdy Morton przeszukiwał trawę, wrzeszcząc na żołnierza piechoty morskiej, aby się "uspokoił, do cholery", i mimowolnie wyciskając bucioremami ziemię i z moich żeber ostatnie tchnienie.

- Wąż - zauważył ktoś inny, podczas gdy gad prześlizgiwał się w panicznej ucieczce.

Użądłony snajper trzymał obydwie ręce przy twarzy i mamrotał coś dziwnie, acz niezrozumiale.

Morton upuścił kij i odciągnął ręce tego człowieka od twarzy.

Wystarczyło, abym rozpoznał, kto to.

Pod jego nosem widniały dwie krwawe dziury.

- Cholera, to Boland - pomyślałem.

Jego twarz już zaczynała puchnąć.

Morton posadził Bolanda i wezwał drogą radiową pierwszą pomoc.

- Potrzebujesz pomocy?

- spytałem.

Mój pięćdziesięciogodzinny kurs pierwszej pomocy, jaki odbyłem w NOTS, wydawał się w tej sytuacji bardzo przydatny.

- Snajperze - warknął Morton.

- Nic się nie zmieniło.

Nadal jesteś obserwowany, więc wracaj, kurwa, do pracy.

Przekręciłem się na brzuch, przycisnąłem głowę do błota i leżałem kompletnie nieruchomo, podczas gdy ślimak posuwał się wolniutko w górę po moście, jaki zrobił sobie z mojego nosa.

"Nadal jesteś obserwowany" znaczyło, że atak węża powodował zawieszenia działań.

Wciąż musiałem znaleźć cel i zabić go, zanim on zabije mnie.

- Boże, przecież to tylko ćwiczenia - wyszeptałem w glinę.

Zdajesię, że ci faceci podchodzą do tego wszystkiego zbyt poważnie.

Właśnie wtedy dwóch innych instruktorów wyskoczyło z trawy, przez kilka minut pokręciło się wokół użądłonego żołnierza piechoty morskiej, a następnie odprowadziło go z pola ćwiczeń.

Morton popatrzył w lewo, potem w prawo i zawołał na tyle głośno, aby każdy go usłyszał.

- Tu są węże.

To ci dopiero pieprzona nowina.

W dżungli też są węże.

No więc radźcie sobie.

Jeśli zobaczycie jakiegoś, to dajcie znać.

A teraz wracać do pracy.

Macie jeszcze czterdzieści pięć minut.

Dyscyplina

163

Żaden z trzydziestu snajperów, którzy znajdowali się na tym polu, niewymamrotał ani słowa.

Ja usiłowałem zwalczyć potrzebę oddychania.

Radio, które Morton trzymał w ręce, wyskrzeczalo komendę.



"Jastrząb do Walkera Jeden.

Musicie przesunąć się dwadzieściami metrów w prawo, w kierunku południowo-wschodnim.

Pospieszcie się.

Tu jest snajper i idzie prosto na mnie!

".

Ziemia lekko zatrzęsała się pode mną, gdy Morton skoczył w prawo i zniknął w gęstwinie niczym spłoszony jeleni.

Nagle moje płuca wypełniły się powietrzem, a serce zaczęło bić, ale nie ośmieliłem się poruszyć.

Jastrzębie, zwani też tropicielami, czasem używali tego fortelu, aby oszukać snajperów i zmusić ich do wyjawienia pozycji.

Wiedzieli, że słyszą ich przez radio i że spróbujemy poruszyć się wtedy, gdy oni nie będą patrzeć w naszą stronę.

Popełniłem ten błąd wcześniej i była to dla mnie nauczka.

Teraz uznałem, że rozsądniej jest po prostu leżeć i wypatrywać miedzianek.

- Bądź twardy - wyszeptalem.

Nie należę do cierpliwych, ale można mnie zdyscyplinować.

Szkoła Korpusu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych i Snajperów zajmuje małą część pasu wodnego w zakątku bazy w Quantico, obok warsztatu, gdzie naprawiają broń.

W tej akademii nie ma pokrytych bluszczem bibliotek, a właściwie w ogóle nie ma tam żadnego kampusu, lecz po prostu nijaki, zbudowany z żużlobetonowych bloków i budynków z zasłoniętymi oknami i jednym, jedynym pomieszczeniem klasowym.

Nic w reszcie bazy nie świadczy o tym, że znajduje się tam szkoła snajperów.

I dobrze.

Snajperzy lubią wtapiać się w swoje otoczenie.

To ich metoda.

Pomimo surowego wystroju, szkoła ta jest powszechnie uważana za najlepszą na świecie, jeśli chodzi o ten rodzaj szkolenia.

Z jej murów wyszło kilku najzdolniejszych mistrzów zabijania wcalej

historii i ziemiosła wojennego, w tym taka znakomitość jak Carlos

Hathcock, legendarny eksterminator mieszkańców Wietnamu Północnego.

Szkoła snajperska przyjmuje bardzo niewielu uczniów, a kończy ją garstką, którzy zaliczyli wszystkie kursy.

Jest to wyczerpująca, trwająca

Najlepszy snajper marines w czasie wojny wietnamskiej.

Miał na swym koncie 93 pewne trafienia i 300 prawdopodobnych (przyp. tłum.

)..

164

Zimny strzał

dwa miesiące indoktrynacja w celu opanowania najsubtelniejszych niuansów strzelania z dużej odległości, postępowania w terenie, technik obserwacyjnych, kamuflażu i śledzenia.

Program jest prosty i nieskomplikowany i sprowadza się do tego, jak ze znacznej odległości zabijać ludzi i nie dać się złapać.

Jak dotąd HRT otrzymywało trzy do czterech ciekawych zleceń rocznie.

Kiedy doniego dołączyłem, jednostka spędzała wiele czasu na przygotowaniu każdego snajpera do kursu, organizując intensywne seminaria ze sztuki zabijania.

Było to spowodowane częściowo przygotowaniem nas do szkoły Korpusu Piechoty Morskiej, a częściowo chęcią udzielenia nam pomocy w związku z przeniesieniem z NOTS.

Snajperstwo to dyscyplina wymagająca precyzji i starsi stopniem członkowie jednostki rozumieli konieczność przystopowania nas na ćwiczeniach ze strzelaniny po zajęciach z walki w zamkniętych pomieszczeniach.

Snajperzy zarabiają na życie, wykonując ruchy w ślimaczym tempie, czy to podkradając się do niczego nie podejrzewającego celu, czy też przygotowując się do strzału.

Po śpiech to nic dobrego.

Rozpoczęliśmy odwyprawy do magazynu z bronią, aby wybrać sobie karabiny.

Każdy z nas otrzymał starannie wykonaną broń, gwarantującą rozrzut w granicach

ćwierćminuty kątownej przy odległości dwustu jardów, co oznaczało, że w doskonałych warunkach nasze karabiny mogą wpakować trzy pociski po rząd w tę samą dziurę. Nasze celowniki Unertla z dziesięciokrotnym powiększeniem miały system kompensacji opadu pocisku, na którym odległość do tysiąca jardów można było zmniejszyć za pomocą zwykłego ruchu palców.

Snajper musiał tylko ocenić odległość dzielącą go od celu, nastawić pokrętko naczelnika na odpowiednią cyfrę i pociągnąć za spust.

Kiedy już przyzwyczailiśmy się do strzelania, leżąc na brzuchu, każdy z nas sporządził sobie ghille, co w naszym zawodzie uważane było za wielkie krawiectwo.

Wynalezione w XVII wieku przez szkockich wartowników ubranie ghille stało się w czasie drugiej wojny światowej popularną metodą kamuflażu.

Nie istnieje coś takiego, jak standardowe ghille.

Każde jest dostosowywane do tego, kto będzie je nosić, i musi odzwierciedlać osobowość swojego właściciela oraz otoczenia, w jakim będzie noszone.

Szyte tej odzieży stosownie do indywidualnych gustów to długi i żmudny proces.

Równocześnie jest to coś bardzo osobistego.

W przeciwieństwie do karabinu ghille to jedyna rzecz w tym całym zawodzie,

Dyscyplina

165

która odróżnia cię od innych.

Spędziłem całe dni, tkając mój uniform z pasów juty, siatek, w które owija się paczki konopi oraz z kory pomalowanej na kolor khaki.

Kiedy był gotowy, przywiązałem go do ciężarówki, przeciągnąłem przez błoto, wszędzie powcierałem weń odchody jelenia i z pełnym poszanowaniem upiąłem go nad świętością wszystkich snajperów z korpusu marines, wykonaną ze styropianu głą waperukarską, cichutko ukrytą w lesie na tyłach budynku, w którym znajdowała się nasza klasa.

Wciśnięcie się w ubranie takie jak to oznacza wpełznięcie w przestrzeń znajdującą się poza codziennością.

Tworzy ją twardy, nieznaną przebaczenia świat, na którego obrzeżach czają się tylko chytryść, dyscyplina i wytrzymałość.

Snajperzy z korpusu marines często spędzają całe dni, podkradając się, tylko

poto, aby móc oddać jeden strzał z odległości pół mili.

Moje ghille śmierdziało jak padlina w dotyku przypominało włosienicę zanurzoną w marmoladzie, ale dobrze wtapiało się w okoliczną florę.

Niedbałem o to, że zetknięcie z tym wdziankiem przyprawiło mnie o mdłości.

Po prostuchciałem, by pasowało.

W kwietniu 1992 roku rozpocząłem pełen trening w szkole Korpusu Piechoty Morskiej od nauki strzelania na odległość tysiąca cali (dwudziestupięciu jardów).

Pewnego poniedziałkowego ranka krajowy mistrz strzelania sierżant John Wayne "J. W." wszedł do naszej klasy i przedstawił się z uśmiechem kapitana okrętu.

- Nie wiem, skąd pochodzicie, i tak naprawdę mnie nie obchodzi - powiedział.

- Moim zadaniem jest zrobić z was najlepszych strzelców na świecie i mam na to cztery tygodnie, więc wymagam absolutnej uwagi.

Zrozumieliście?

Kilku z nas skinęło głowami.

- Pytam jeszcze raz.

Zrozumieliście?

- Mówił tak, jakby prowadził rozmowę, kiwając głową.

- Tak jest!

- Odpowiedź zabrzmiała unisono, i tylko głos czterech facetów z FBI trochę się wyróżniały.

Wojskowy dryl na tym etapie stanowił dla mnie pewną niespodziankę, ale próbowałem się dostosować.

- W tym zawodzie, aby dowieść swego, możecie oddać tylko jeden strzał.

Jeden wykalkulowany z zimną krwią strzał, oparty o idealne wyliczenie momentu jego oddania.

I to jest wasze cold zero.

Kładziecie karabin, układacie się za nim i robicie to, czego was nauczono.

Jeśli wasze cold zero jest dobre - wygrywacie, jeśli źle je obliczyliście -

Zimny strzał

przegrywacie.

I to cała filozofia.

To nie jest biznes, w którym można

przegrywać.

Po krótkiej lekturze z dziedziny psychologii oraz trajektorii pocisku każdy z nas wybrał sobie ze stojaka na broń karabin kalibru.

22i skierował się do miejsca, w którym mógłby zająć pozycję horyzontalną.

HRT posiadało maty, poduszeczki wypełnione piaskiem, celowniki i każdą rzecz wyposażenia, jaka tylko przyszłaby do głowy, ale tego dnia żaden z tych luksusów nie był przydatny.

Zastanawiałem się, dlaczego tracimy czas na harcerską strzelaninę.

Potrafiłem z odległości dwudziestupięciu jardów odstrzelić ucho kolibra

lewą ręką, pociągając zaspust rewolweru z krótką lufą.

Byliśmy nastawieni na

wielkie rzeczy.

I znowu błąd.

Na tym kursie, anieź w naukach, które nam przekazywano, nic nie było proste.

Celownik optyczny na każdym karabinie to była dwójka, czyli jedna piąta powiększenia, które dawały celowniki optyczne, do takich byliśmy przyzwyczajeni.

Przy takim celowniku strzelanie nabojami małego kalibru przypominało o wiele dłuższe strzały kalibru.

308, minus odbicie.

Jak każdy szczegół w tej szkole, budynek był starannie zaplanowany i zaprojektowany, tak by nauczyć nas podstawowych umiejętności, które mogą okazać się przydatne przy zastrzeleniu człowieka ze znacznej odległości.

W czasie każdego starannie zorganizowanego kursu instruktorskiego nabywaliśmy jedną umiejętność, niezbędną do tego, aby stać się skutecznym snajperem.

A każda z tych umiejętności stanowiła część składową nauki, jak zabić samemu nie zostać zabitym.

Ale to był tylko pierwszy krok.

Gunny Patterson wyjaśnił zasady pierwszej konkurencji, snajperskiego pokera.

Każdy strzelec trzymuje pięć naboju, a cel stanowi pięćdziesiąt dwie zachodzące na siebie karty do gry.

Zadaniem był wybór i zaznaczenie pięciu najlepszych kart, gwarantujących wygraną.

Problem polegał natym, że spod każdej karty wystawał tylko mały kraweczek poprzedniej, a jeśli kula zahaczyłaby o dwie karty, to strzał się nie liczył.

Dopuszczalny margines błędu wydawał się niezmiernie mały.

No i powstał dylemat: czy nastawić się na trafienie do czterech wybranych, wiedząc, że jedno pudło nadal daje dobry wybór kart, czy też iść na całość i strzelać jak leci?

Czy grać bezpiecznie, licząc na co najmniej jedno nietrafienie, czy też iść na całość, wszystko, albo nic?

To była tylko gra, ale już widać było ostrą rywalizację pomiędzy

Dyscyplina 167

operatorami z HRT a marines.

Na tym pierwszym pokazie każdy z nas chciał pochwalić się popisem.

Strategia wydawała się prosta.

Wybrałem cel i wziąłem się do roboty.

Dwadzieścia minut potem staliśmy w szeregu, trzymając w ręku nasze trafione karty, dla skontrolowania.

Jeden z kandydatów na snajperów wśród marines, młody oficer sztabowy z Camp Lejeune, dreptał wśród nas niczym kogut, ostentacyjnie machając czterema asami.

- Tak wygląda wygrana, chłopaki - stwierdził.

Uśmiechał się szeroko, cały kipiąc dumą żołnierza piechoty morskiej.

- Wyglądana to, że psy wojny Pattersona skopały kilka tyłków tym z FBI.

Trącił mnie łokciem w rękę na dowód, że mnie też pokona.

- Co tam masz, HRT-owcu?

Miałem pokera.

Czyściutko.

HRT nie dorobiła się swojego okrzyku wojennego, wobec tego pokiwałem głową i zabrałem się za zbieranie manatków.

Pierwszego dnia rozpoczęliśmy od strzelania z odległości trzystujardów, a potem

cofnęliśmy się na siedemset jardów.

Cała czwórka najperów z HRT wypadła znakomicie, ale znaczna część żołnierzy piechoty morskiej - nie.

Niektórzy oblali cały egzamin i zniknęli z listy obecności.

Ten sukces zaskarbił nam wśród marines wiarygodność i powoli przekształcał początkowe pełne podejrzliwości podejście w ścisłą więź opartą na wzajemnym zaufaniu.

Przyszła czas na nawigację w terenie.

W NOTS przeszliśmy już obszerne szkolenie z mapami i kompasami, toteż ten trwający dwa tygodnie blok zajęć przypominał spacer na łonie natury.

Metody obserwacji wypadły dobrze, podobnie jak ocena zasięgu, budowa kryjówek i zajęcia w terenie.

Nasza czwórka trzymała się, ale reszta klasy została bardzo przeczczona.

Każdego dnia dwa lub trzy psy wojny Gunny'ego Pattersona pakowały swoje ubrania w ochronnych, zapewniających kamuflaż barwach, brały bilety na autobus i wymykały się cichaczem.

A my nabieraliśmy sił i pewności.

A potem przyszła pora na podchody.

Gdy sierżant sztabowy Morton przejął berło od Gunny'ego Pattersona i w dniu, w którym mieliśmy pierwszy wykład na temat podchodów, zamknął zasobą drzwi klasy, wiedziałem, że będzie to zupełnie nowe doświadczenie.

Morton był facetem sztywnym jak kamerton, rozkaz "spocznij" wykorzystywał, aby się przespąć, i nawet jego myśli.

168

Zimny strzał

były zabarwione kolorami naszywek marines.

Miał tatuaże przedstawiające czaszki, skrzyżowane kości i srogiego żniwiarza (przeważającą część tego rysunku sam narysował i pokolorował) od nadgarstka do ramienia i od kostki u nogi aż do biodra.

Jego zarost wyglądał jak szczecina, a zachodził tak wysoko na twarz i był tak gęsty, że Morton z trudem mógł zamknąć swoje jasnoniebieskie oczy.

Mówiąc, skąpo otwierał usta, a normalnej angielszczyzny używał tylko sporadycznie w celu podkreślenia nieustannego potoku świńskich określeń.

Morton był twardym facetem, tak jak twarda jest sama walka.

I choć uważałem go za kompletnego wariata, natychmiast polubiłem i obdarzyłem szacunkiem tego człowieka, który później, już gdy ukończyłem kurs i kiedy staliśmy się bliskimi przyjaciółmi, wyznał mi, że korpus marines stał się dla niego zbyt miękki i w związku z tym chciał wstąpić do Legii Cudzoziemskiej.

Sierżant sztabowy Morton uczył nas zasad śledzenia i skradania się, a potem zabrał nas na otwartą, pustą przestrzeń, podparł się pod bok i oznajmił, że właśnie tu będzie czekać snajperów wóz albo przewóz.

Powiedział, że cała nauka obchodzenia się z bronią nic nam nie da, jeśli nie podejmiemy na tyle blisko, aby oddać strzał.

Podchodzenie ofiary wymaga dyscypliny, chytrości i mistrzostwa, które kryją w sobie wszystkie zajęcia w terenie.

Cel gry Mortona wydawał się dość prosty.

Każdy z nas miał cztery godziny na podejście na odległość trzystu jardów do miejsca, z którego będziemy dojrzeć i zastrzelić obiekt lub "tropiciela".

Obiekt także będzie nas szukać i to za pomocą lornetki i celownika optycznego z czterdziestokrotnym powiększeniem.

Niestety, będziemy w przybliżeniu wiedzieć, gdzie się znajdujemy, a tymczasem musimy sami go znaleźć.

Na dodatek musimy w celu oddania strzału podejść na odległość stu jardów.

Strzał z dalszej odległości się nie liczy.

Punktacja przedstawiała się dość skomplikowanie.

Każdy z nas mógł otrzymać punkty od 0 do 10, w zależności od tego, w którym miejscu zostaliśmy zauważeni.

Podejście do przodu w kierunku właściwej pozycji strzeleckiej i oddanie jednego strzału, zanim jeszcze zostanie się dostrzeżonym, to 5 punktów.

Jeśli ci się udało, to "chodź" podejź do ciebie na odległość pięciu stóp i rozkaż ci strzelić jeszcze raz.



Tropiciel całczas obserwował teren wokół "chodźarza", wypatrując błysku z lufy lub innych znaków ostrzegawczych.

Dyscyplina

169

1

I teraz cała gra stawała się skomplikowana.

Jeżeli oddałeś strzał, nie zdradzając równocześnie swojej kryjówki przez błysk ognia z lufy, dym lub wyrzucane w górę rośliny, otrzymywałeś 7 punktów.

Aby dostać 8, musiałeś zidentyfikować cel i udowodnić, że naprawdę go widziałeś, a nie tylko kręciłeś się wokół niego.

Z kolei aby otrzymać 9 punktów, musiałeś pozostać niedostrzeżony przez chodźarza, który powinien znajdować się na odległość wyciągniętej ręki i miał dotknąć nią twojej głowy.

A kiedy dostawałeś 10 punktów?

Gdy wycofałeś się niedostrzeżony.

Jeśli zostałeś dostrzeżony, zanim jeszcze zdążyłeś oddać pierwszy strzał, równało się to otrzymaniu 0 punktów.

Węże, funkcje fizjologiczne oraz zła ocena sytuacji niczego nie zmieniały.

No dobrze - powiedziałem sobie.

Jak, do cholery, mieliśmy znaleźć zakamuflowanego, doskonale wyszkolonego faceta, stanowiącego nasz cel, nie dać się zobaczyć, a następnie zastrzelić go wtedy, gdy on będzie obserwował nas przez doskonały celownik?

Nawet jeśli udałoby się nam dokonać tego wszystkiego, to jak można się tak dobrze ukryć, aby nie zostać dostrzeżonym przez kogoś, kto dotyka czubka twojej głowy?

- Albo zrobicie to - powiedziano nam - i otrzymacie co najmniej 70 punktów podczas dziesięciu zajęć z podchodów, albo wylatujecie.

- Przed tym egzaminem czekała nas rozgrzewka w postaci trzech zajęć praktycznych.

Co, do cholery, przecież tak naprawdę to chciałem być szturmowcem.

Było ostatni dzień zajęć z podchodów, mniej więcej za dwadzieścia dwa w południe.

Podczołgałem się pod wybrzuszone kłębowiskokorzeni podprzygotowaną kryjówką i złapałem oddech.

Czułem się tubezbezpiecznie - takie schronienie żołnierze z piechotymorskiej nazywająkryjówką przed ogniem flankowym.

Wyglądało jak doskonałe miejsce naprzeprowadzenie przegrupowania i obmyślenia planu.

Od świtu czołgałem się brzuchemprzy ziemi przez trzęsawisko, gniazda kleszczyi zwierzęce łajno, a mimo to nadal nie wiedziałem, gdzie ukrywa się mój cel.

Kilku innych snajperów już oddało strzały,ale nie mogłem się zorientować, do czego oni mierzą.

Sprawy zaczynały się przedstawiać mamie.

Wyciągnąłem kompas, aby zorientować się w położeniu, i zdecydowałem, na podstawie tego, co widziałem i słyszałem, że"tropiciel"musi się znajdowaćw obrębie sektora leżącegopięć stopnina prawo.

170

Zimny strzał

Jeszcze mnóstwo czasu, pomyślałem.

Cholera, a może dostrzegę gośtąd.

Więc dołożyłem świeżą warstwę kamuflażu, to znaczy posmarowałem jeszcze raz twarz, poprawiłem ghille i wyciągnąłem maluteóokąlornetkę.

Pomaleńku, calpo calupodnosiłem się, pokonując gęstą ścianę składającą się z korzeni, gałęzi i suchychliści, aż znalazłem dziurę,przez którą rozpościerał się widok na olbrzymie pole.

Sto jardówdalejrosły drzewa, ale nikogo tam nie było.

I wtedy to zobaczyłem.

Z lewej strony, pod kątem 287 stopni słońceodbijało się od czegoś błyszczącego.

Porannamgiełka już dawno zniknęła, więc to coś, na co padały promienie słońca, musiało być wytworem ludzkiejręki.

Skierowałem na to coś lornetkę, starającsiętrzymać ją jak najniżej,podczas gdy sam podkradałem się, pełznąć.

Adrenalinazaczęła krążyćmi w żyłach, napelniając mnie podnieceniem i

próbując zmusić, abym jak najszybciej zrobił coś głupiego, lecz ja to zignorowałem, przekształcając energię w dyscyplinę.

Napiąłem mięśnie, zaciskając je na korzeniach niczym imadła, wykorzystując budowę i sztywność korzeni jakoszkielec, który ma stanowić przeciwwagę dla słabości mego ciała.

Dyscyplina.

Uspokój się, kurwa, i szukaj, obsztorcowywałem samego siebie.

Jest!

U podnóża wielkiego, rozgałęziającego się na dwa konary dębu!

Odblask, który przykuł mój wzrok, to był odbicie promienia znajdującego się w zenicie słońca od jego trójnoga do lunety.

Siedziałam sobie wielki instruktor, sierżant sztabowy Metcalf.

Patrzył na pole przez powiększający czterdziestokrotnie celownik optyczny, szukając uczniów, aby ich wylać, i snajperów, by ich zabić.

Mam cię, ty chuju.

Przełknąłem rosnącą mi w gardle adrenalinę na myśl o ustawieniu na celowniku człowieka i rozbryzaniu jego czaszki po poszyciu leśnym.

Powoli, ostrożnie, znów przykucnąłem w swojej kryjówce pod korzeniami i zacząłem przygotowywać się do zabicia człowieka.

Spojrzałem na zegarek.

Za dziesięć dwunasta w południe.

Biorąc pod uwagę tempo, w jakim się poruszałem, miałem za mało czasu, aby załadować naboje.

Ten kontrolowany stan letargu, jakisam sobie narzuciłem, zaczął obracać się przeciwko mnie.

I wtedy zdałem sobie sprawę, że on nie jest w stanie mnie dostrzec.

Nie zobaczyłby mnie, nawet gdybym rozebrał się do naga i wrzasnął "Pif, paf, już nie żyjesz!

".

r

Dyscyplina

Ale naigrywanie się nie sprawi, że upolujesz zdobycz, natomiast troska o najdrobniejszy szczegół, tak.

Tego właśnie nas uczono.

Skoncentruj się.

Myśl tak, jak wąż, który ukąsił Bolanda, i staraj się dopiąć swego - powiedziałem do siebie.

Wyciągnąłem karabini i załadowałem dwa mosiężne ślepaki.

Pierwszy nabój od razu trafia do komory, wobec tego nieważne, czy dobrze siedzi, czy też nie.

Natomiast drugi wpada do czterostrzałowego magazynka, a rączka zamkowa jest umieszczona na górze i przesuwa się do przodu.

Snajperski karabin to proste i eleganckie urządzenie.

Ma bezpiecznik i podkładkę pod policzek.

Spust odpala zawsze przy każdym razowym dotknięciu z tą samą mocą, a lufa kieruje kulę dokładnie tam, gdzie mierzysz.

Nie ma wydawania osądów, zazdrości ani chęci dokuczenia.

Czysta użyteczność.

Gdyby nie jego waga i orli kształt, to mógłby wydawać się nieszkodliwym urządzeniem.

Poprawiłem na głowie ghille, wtarłem nieco błota w pomalowaną farbą twarz, a w dłoniach ubranych w rękawiczki roztarłem korę.

Sprawdziłem urządzenie antyodblaskowe, w które wyposażony był mój celownik Unertla z dziesięciokrotnym powiększeniem, i znowu zacząłem się podnosić.

Aż do chwili, gdy całkiem się wyprostuję i ustawię celownik, nie wiedziałem, czy dobrze robię.

Przy odrobinie szczęścia tropiciel mógł nadal obserwować inną część terenu i nie zauważyć moich błędów.

- Pięć minut!

To Morton oraz inni obserwatorzy krzyczyli nanas.

Pięć minut.

Pięć minut i konieczna dzisiaj, a jak na razie mój wynik był zerowy.

- Tu jesteś, ty plugawy skurwysynie - wyszeptaliśmy sam do siebie, mieszając goz błotem poprzez lunetę mojego teleskopu.

Niedobrzemi się robiło od tych głupot.

Tam był żywy człowiek, który zachwilę umrze.

- Mam cię.

Ułożyłem lufę karabinu wzdłuż uschniętego korzenia i ukryłem twarz za pniem.

Reszta mojego tułowia leżała sobie wygodnie na zboczu pokrytego miękką, mokrą gliną stanu Wirginia.

Nagle poczułem całą moc uadlenia tej żmii o długim na sto jardów tułowiu.

Tego żołnierza piechoty morskiej czekała gwałtowna śmierć, niczym niespodziewającego się niczego gryzonia.

Rozejrzałem się na lewo i prawo, aby upewnić się, że nic nie zdradzi mojej pozycji: żadne źdźbłotrawy, które może wyrzucić w górę siła.

172

Zimny strzał

wystrzału, żaden korzeń, który dotykając karabinu, mógłby zepsuć precyzję strzału.

Obejrzałem się, by sprawdzić, czy stoję na tle zieleni, co uniemożliwi rzucenie cienia przez mój sylwetkę, w razie gdyby oświetliło ją słońce, a tym samym wyjawienie mojej kryjówki.

Naciągnąłem na celownik kołnierz ghille, tak jak to robili kiedyś fotografowie.

Zabicie w taki sposób to mechaniczny proces, anonimowe zadanie.

Oparłem ramię kolbę karabinu i złożyłem się do strzału.

To był pewniak: odległość stu jardów napłaskim terenie.

Nie odczuwałem najmniejszego powiewu wiatru, promieni słonecznych, nie widziałem żadnego mirażu, który o tej porze roku może tworzyć się na równinach podczas upałów.

Mój karabin był tak stabilny, jak podjęta przeze mnie decyzja.

Przez celownik o dziesięciokrotnym powiększeniu twarz szerszego

Metealfa wydawała się niemal naturalnej wielkości.

Był to młody, przystojny, opanowany facet - rozmawiałem z nim tylko raz lub dwa.

Nosił ciemne okulary firmy Oakley, a w ustach z prawej strony zawsze miał kulkę tytoniu Levi Garrett.

Wyczułem palcem spust i powoli, z monotonną precyzją oparłem twarz o skórzany policzek na kolbie.

Nie zobaczy mnie w tej kryjówce, o ile ja sam nie zdradzę się jakimś nieopatrzonym ruchem.

Poranny wiatr zmienił się w łagodny powiew i roślinność na polach wokół mnie zastygła.

Jakkolwiek, najmniejszy nawet ruch byłby dla tego wytrenowanego wzroku świadectwem obecności intruza.

Z kolei gdybym wykonał jakiś zbyt szybki manewr, to całe podchodzenie nic: cztery godziny czołgania się, mordęgi i tonięcia w potokach własnego potu oraz szczytność.

Sześć tygodni rywalizacji rozmyłoby się w krzyku "Wylatujesz!

", a ja powłóczyłbym swój zmordowany, przegrany, nieszczęsny tyłek do autobusu.

A, pieprzyć to.

Ustawiłem krzyż celownika na twarzy Metealfa.

Przypomniałem sobie, że "sekret zabijania z ukrycia polega na wiedzy, kiedy oddychać".

- Nie spieprz aby tego.

Instrukcje dotyczące strzelania udzielane przez Gunny'ego Pattersona dźwięczały mi w uszach.

- Rozluźnij mięśnie - powtarzał nam.

- Oprzyj rękę i karabino twarde podłoże.

Skoncentruj wzrok, oddychaj i skup się.

Próbowałem nakazać sercu, aby wolniej biło, aby robiło to w rytm poruszających się traw.

Dyscyplina

173

Wycelowałem w czubek nosa Metealfa wyobrażając sobie, jak 168-granowa, pusta w środku kula zagłębiłaby się w jego skórę z prędkością przewyższającą prędkość dźwięku.

Przebiłaby jego czaszkę siłą lokomotywy, przepołowiła korę mózgową i oderwała mózgodkręgosłupa.

Powstała jama wchłonęłaby wszystko, co stanowiło o j ego życiu:

wspomnienia dzieciństwa, uczucia miłości, nienawiści, dumy i zazdrości, które nim kierowały.

Zgasiłaby życie, które za ledwie się zaczęło, a wraz z krwią wypłynęłyby wszystkie obietnice, nadzieje i szlachetne zamiary.

Kula wystrzelona przezemnie wyrwałaby w jego potylicy dziurę wielkości pięści, poczym niewinnie upadłaby na ziemię, jak mały kamyczek.

I to wszystko stałoby się szybciej, niż zdolałbym to zauważyć.

Buuuum!

Echo wybuchu rozniosło się echem porównanie i zadrgało mi w sercu.

Mamcią, ty draniu.

Znow szybko odciągnąłem spust, nawet nie odrywając wzroku od celownika.

Metcalf też skierował swój, jak prymitywny radar, w moją stronę, przeszukując teren, aby namierzyć moją pozycję i znaleźć bezczelnego intruza, który śmiał podczołgać się tak blisko.

- Kto strzelał?

- zawołał jakiś głos tyłu, może 20-30 jardów z moimi plecami.

Podszedł bliżej, starając się wysledzić, skąd padł strzał.

Poczekalem, aż podejdzie na taką odległość, że będzie w stanie usłyszeć mój szept.

- Whitcomb.

Moje nazwisko wydobywając się ze spieczonych warg zabrzmiało śmiešno, gdyż w obawie zdradzenia swojej pozycji próbowałem nawet poskromić chęć poruszania mięśniami szczęk.

Sierżant sztabowy Morton usłyszał mój stłumiony głos i podniósł do ust radio.

- Mam tu strzelca, jest na pozycji na godzinie siódmej w stosunku do ciebie, tropicielu - powiedział tonem burzenia.

Spojrzał w lewo i skinął głową.

- Jest woknie.

Co widzisz?

Obserwowałem przez celownik, jak Metcalf skierował w moim kierunku swój

iprzeczesywał wzrokiem teren wokół Mortona.

Snajperznajdował się w zasięgu ręki jego chodźiarza, toteż Metcalf wiedział, gdzie patrzeć.

Przez kilka minut siedział spokojnie, badając wszystkie.

174

Zimny strzał

wybruszenia terenu, szukając czegokolwiek, co wyglądałoby nienaturalnie: niepasujących kolorów, wyrwanych roślin, nietypowych refleksów światła, odsłoniętego kawałka ciała, ale niczego takiego nieostrzegł.

Schowałem się, tak jak mnie uczono.

Metcalf i ja patrzyliśmy na siebie, każdy przez swój celownik.

Onszukał, aja czekałem na dogodny moment, aby zabić.

Jednym pociągnięciem za spust mogłem wyrwać mu zęby mądrości.

Oddziałało mnieod niego tylko dwa i pół funta siły, z jaką trzeba nacisnąć na język spustowy, oraz cień wydychanej pary.

- Odwróć się dwa kroki w prawo - warknął Metcalf przez radio.

Morton odwrócił się w moją stronę i zrobił, co mu kazano.

- Kurwa, co on mógł zobaczyć?

- dziwiłem się.

- Przecież, do cholery, zakopałem się pod tym drzewem.

Morton zatrzymał się dokładnie z mojej lewej strony.

Chodźiarz niemoże pomagać tropicielowi, tylko w niewielkim stopniu reagować na jego polecenia.

- Krok w prawo.

Morton przesunął się w prawo i zatrzymał naprzeciw mnie.

Lufa mojego karabinu niemaldotykała jego pleców dokładnie ponad środkową szlufką paska.

- Jeszcze jeden w prawo.

Morton przeszedł koło mnie i wtedy zrozumiałem, co robił Metcalf.



Nie mógł mnie dostrzec, więc gadywał, "obramowywał" cel, mając nadzieję, że jego naprowadzający przypadkiem nastąpi na mnie i to mnie wyda.

Wszyscy oni tak robili.

- Masz snajperapod nogami - stwierdził Metcalf.

Morton popatrzył na swoje ciężkie, zabłocone buty.

- Tu nic nie ma - biadolił.

Moje serce znów zaczęło bić.

- Ktoto jest?

- Whitcomb.

- Czy jesteś w odległości pięciustóp od niego?

- Tak.

- Spytaj go, corobię.

Metcalf zdjął nakrycie głowy i lekkopomachał nim w górę

i w dół.

- Porusza czapką - szepnąłem przez nos, nawetnie poruszając językiem.

- Ma cię - przekazał Morton przez radio.

Dyscyplina

175

Czekaliśmy.

Zdawało się, że upływa wieczność, aż wreszcie cel wydał składającą się z siedmiu słów komendę:

- Powiedz mu, że może oddać drugi strzał.

Poczułem, że jestem górą.

Zmusiłem ich, by uznali swoją porażkę, tak jak mnie uczono.

To było niebywałe uczucie, spełnienie doprawione przerażającą potęgą świadomości, że mogę zabić tego człowieka, pakując kulę dokładnie w wystający z jego twarzy celownik, i zgładzić go bez ponoszenia jakichkolwiek konsekwencji.

Poczułem płynącą mi po szyi falę chłodu, która potem spłynęła w dół wzdłuż kręgosłupa, aż do jaj.

Było to uczucie podobne do tego skurczu w żołądku, które odczuwa się, zjeżdżając bardzo szybko samochodem z góry.

Lekki jak piórko, bezmyślny strach.

- To jeszcze nie koniec - wymamrotał Morton patrząc przed siebie.

Chciał dać swojemu towarzyszowi sygnał, ale nie mógł.

W tejsnajperskiej grze obowiązują zasady i honor nie pozwalał mu ich łamać.

- Jak na razie tylko trzech chłopaków zdało.

Metcalf jest dobry.

Te słowa złagodziły skurcz w moim palcu, spoczywającym na spuście.

Odrężyłem się na chwilę, przypominając sobie, czego mnie uczone.

Na oddanie drugiego strzału mam sześćdziesiąt sekund.

Niema co się spieszyć.

- Zawsze wykorzystuj przewagę - mówił nam sierżant sztabowy Morton.

- Nie dawaj wrogowi żadnych szans.

A więc czekałem, wiedząc, że oczy ofiary są bardziej zmęczone niż moje.

Metcalf cały dzień patrzył w celownik, paląc ziemię swoim doświadczeniem i próbując mnie wykurzyć.

Ale byłon również człowiekiem, a teraz to ja rozdawałem karty, a on musiał na ułamek sekundy przymknąć oczy, mrugnąć.

I wtedy strzelę.

Liczyłem w myślach sekundy, próbując nie dopuścić, by adrenalina przyspieszyła zakończenie.

- ...

pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt trzy, pięćdziesiąt cztery.

I wtedy Metcalf mrugnął.

BOOOOM!

Mój drugi strzał trafił go w nasadę nosa, tuż ponad celownikiem.

Oczywiście wyobraziłem sobie wiśniowoczarą plamę.

Pozwoliłem sobie na krótko puścić wodze fantazji, jak to ciało Metcalfa zwija się osuwając na ziemię.

Zimny strzał

Przebiegł mnie dreszcz dumy, czystego, niezmaconego podniecenia, a umysł przysłoniła mi poświata w nieco większym stopniu, niż to ma miejsce po stosunku.

Moje myśli powędrowały do innego, podobnego do tego, ciemnego, mokrego i sennego miejsca, w którym znalazłem się wiele lat temu.

Był zimny listopadowy dzień 1968 roku.

Byłem na lesiej polanie, nieopodal Bethlehem w New Hampshire.

Wuj Mikę prowadził mnie do czegoś, na co nie miałem odwagi patrzeć, ale z drugiej strony nie mogłem się doczekać, aby to zobaczyć.

Przez większość dnia siedzieliśmy w kryjówce, nie odzywając się nawet słowem, wymieniając tylko okazjonalne drżenie albo mrugnięcie i czekając na ofiarę.

Nasz najperskakryjówka była dziurą w ziemi, pokrytą powalonymi drzewami, mchem oraz liśćmi.

Była tak naturalna, jak nasz łowiecki instynkt.

W uszach wciąż dźwięczy mi huk strzelby wuja.

Wystrzelił tylko raz, a strzał nie był zbyt silny, oddany z odległości trzydziestu stóp.

Zauważyłem drgnienie i małe kłaczki sierści.

Szedłem za wujem, brnąc po kostki w trawie, a tymczasem deszcz zaczął lizgiwać się i formować kropelki na mojej czerwonej, wełnianej kurtce.

Ziemia pokrywała cienią warstwą lodu, zamieniając wszystko dookoła w szarobiałe migotanie.

Słońce, ale nic więcej niż domysł jego istnienia, zaczęło zapadać za wzgórze za nami, sprawiając, że wszystko dookoła jeszcze bardziej pociemniało.

Wujek Mikę, będący dla mnie wcieleniem bohatera, nie odzywał się, gdy szliśmy.

To nie było stosowne miejsce na konwersację.

Była to inna chwila niż te, które do tej pory przeżyłem.

Gdy się zbliżyliśmy, poczułem ciężar w nogach, a potem i w sercu, kiedy wuj nachylił się wyjąć nóż do patroszenia.

A on już nie żył.

Ogromny jeleń, zwierzę dwukrotnie większe odemnie, leżało na ziemi.

Z jego ciała unosiła się para, a krew barwiła się niegna jasnoczerwony kolor.

Lewe oko zwierzęcia patrzyło na mnie bez wyrazu potępienia.

Pachniał tak jak moja kurtka, tylko jeszcze jakąś domieszką piżma - zapachu, którego przedtem nie znałem.

Nie mogłem dostrzec dziurki, którą weszła kula, ale krew sączyła się z jego futra niczym ozdobna wstęga.

- Wielki drań, nie?

- przechwalał się wuj, prychnął.

Zarejestrowałem jego głos, ale słowa odbiły się od mózgu.

Zwierzę nie żyło.

Kilka chwil przedtem widziałem, jak kroczyło, ostrożnie stąpając koło naszej kryjówki, przechodząc przez sad dzikich jabłoni

Dyscyplina

177

w poszukiwaniu wieczornego posiłku.

Majestatyczne.

Widziałem oddech wydobywający się z jego nozdrzy, oczy wypatrujące pożywienia i drapieżników.

Obserwowałem, jak szlachetnie poruszało się, dźwigając swe poroże.

Czułem jego obecność i grację.

Wuj wsunął ostrze noża pod tylną nogę zwierzęcia.

Wepchnął je głębiej i pociągnął do góry, otwierając białe futro podbrzusza aż po żebra.

A potem zanurzył rękę i wyjął na niego parujące czerwone, niebieskawe i białe wnętrzności.

Ciał, chwycił i rozrywał z zęcznością człowieka, który robił to przez całe swoje życie.

Patrzyłem, lecz zdawało mi się, że jestem w odległości tysięcy mil i że patrzę natoprzez jakąś olbrzymią tubę.

Wujek Mikę znowu prychnął.

Odchrząknął, ale nic nie powiedział.

- Co on robi?

Wuj przekręcił jelenia i odciągnął go dalej od góry wnętrzności.

- Co on robi?

Wręczyłmi swoją strzelbę i zawiązał linkę na tylnych kopytach zwierzęcia.

- Whitcomb, widzisz go?

Co on, do cholery, robi?

Głos Mortona przywołał mnie do innej ofiary, którą zabiłem.

Osobawuja Mike'a rozplynęła się równie szybko, jak zjawila w mojej pamieci.

- Pokazujemi palec - odparłem.

Trudno miec do niego pretensje, bo nikt nie lubi przegrywac.

- Wskaz.

- Metcalf poprawil pokretlo obiektywu, jak gdyby widoczność nie byla perfekcyjna.

Wiedzialem, co to znaczy.

Morton musial wskazać moja pozycje, kladac reke na najwyzszym punkcie mojego ciała.

W tej chwili byl nim czubek mojej glowy.

To byla przełomowa chwila, chodzilo o różnicę między 8 punktami (dobry) a obszarem nieustannych dazeń, absolutną doskonałością, czyli 10 punktami.

Morton cofnal sie odwa kroki, podniosl reke wysoko nad glową jak wielki aktor powoli opuscil palec dokladnie ku czubkowi mojego nakrytego ghille łba.

Cisza.

Wstrzymałem oddech.

- Nic - uslyszalem warkniecie przez radio.

W głosie Metcalfabrzmiála porażka.

Wiedzial, ze przegrál.

Powstrzymywałem sie, by sie nie rozesmiać.

Dyscyplina.

Nie ma powodu, aby rozkoszowac sie zwyciestwem; ciagle jeszcze musimy walczyć.

178 Zimny strzał

Metcalf przerwal cisze.

- Powiedz mu, aby.

musimy miec.

BUUUM!

Echo jeszcze jednego strzału rozeszło się po terenie.

Padł z bliska, chyba z odległości nie większej niż trzydzieści stóp.

To ktoś inny również namierzył Metcalfa.

Bez słowa gratulacji Morton rzucił się w kierunku huk, wrzeszcząc:

- Kto strzelał?

Identycznie, jak to robił w moim przypadku.

Zaczekałem, aż cel przestał patrzeć w moją stronę, i dopiero wtedy sunąłem się znów do mojej kryjówki i pozwoliłem sobie na uśmiech.

Dziesięć!

Pieprzone dziesięć!

Właśnie pokonałem zawodowca w jego grze, posługując się jego zasadami, których większość tak ułożono, by działały na jego korzyść.

Udowodniłem sam sobie, że potrafię schować się na otwartym terenie i zabić bez ponoszenia żadnych konsekwencji.

Lekki wiatr narzucił mi mgiełkę na twarz, a ja wziąłem głęboki oddech, przepełniony dumą i będąc już daleko od punktu wyjścia.

Zabijanie zmienia człowieka - nawet jeśli jest to tylko zabawa.

10

Wielki nikt

Kiedy w 1991 roku w weekend, w którym akurat przypadało Święto Pracy, zgłosiłem się do Szkoły dla Nowych Operatorów (NOTS), niewiele wiedziałem o jednostce antyterrorystycznej - HRT.

Nawet w łonie samego FBI niewiele było wiadomo na ten temat, pomimo że brała ona udział w najważniejszych wydarzeniach minionej dekady.

Od chwili wstąpienia do FBI nasłuchiwałem się o tej jednostce najróżniejszych historii, jak to odseparowała się w bazie w Quantico, zużywając broń i amunicję i czekając na prestiżowe akcje.

Kilku przyjaciół w Kansas City ostrzegało mnie, abym nawet nie próbował wstąpić do HRT, wysuwając jeden argument za drugim, dlaczego ta praca przyczyni się do zrujnowania mojej kariery.

Nikt jednak nie poparł swojej rady jakimiś wiarygodnymi argumentami - wszyscy

WIEDZIELI, żeoperatorzy HRT to kupaaroganckich osiłków.

Częśćtego rozumowania miała swoje korzeniew pracy specjalnego agenta.

Obojętnie, czy pracowali wlaboratoriach jako sądowieksperci, czy wykładali w Akademii, czy też rozwalali drzwi jakoczłonkowie jednostek SWAT, to wszyscy uważali się zasobie równych.

Mieli identyczne legitymacje, mówili tym samym językiem, każdy z nich zawsze mógł zastąpić kolegę - byli ludzkimi trybikami w większym mechanizmie.

Kiedy w 1983 roku dyrekcja FBI zadecydowała, aby spośród agentów dochodzeniowych wybrać pięćdziesięciu, przydzielić im siedzibę oraz dać licencję na bawienie się w wojowników, jedenastu tysięcy pozostały tylko zabawy z bronią.

Większość z nich uważała, że zwalczanie terroryzmu należy do jednostek wojskowych, jak Delta Force czy Navy's Seal Team 6.

A na dodatek każde biuro FBI i prawie każda agencja w Stanach Zjednoczonych, której zadaniem było stanie na straży przestrzegania prawa, od małych biur szeryfów po inspektorów poczty, miały już własne jednostki SWAT.

180 Zimny strzał

- Dlaczego FBI ma być jeszcze bardziej w to zaangażowane?

- pytali ludzie.

Odpowiedź jest dość prosta.

Lokalne, stanowe i federalne jednostki SWAT są szkolone, aby radzić sobie z sytuacjami o niewielkim zasięgu i o względnie małym stopniu zagrożenia.

Z wyjątkiem departamentów policji w dużych miastach jak Nowy Jork czy Los Angeles, większość agencji nie dysponuje materiałami wybuchowymi, helikopterami ani odpowiednio wyszkolonymi ludźmi i w związku z tym nie jest w stanie poradzić sobie z atakiem terrorystycznym.

Inie chodzi tu o indywidualne możliwości.

Te departamenty szczycą się posiadaniem w swoich szeregach niebywale zdolnych oficerów SWAT.

Główny problem to możliwości.

FBI jest w stanie w ciągu sześciu godzin przysłać do każdego miasta w Stanach Zjednoczonych pięćdziesięciu kompletnie wyposażonych operatorów i dać im wsparcie w postaci helikopterów oraz najnowocześniejszego i najprecyzyjniejszego sprzętu, jaki tylko istnieje na świecie.

A jednak SWAT i jednostka służąca do odbijania zakładników to dwa zupełnie różne twory.

Taktyka SWAT polega na powolnym, przemyślanym dostaniu się do wnętrza budynku, wykorzystaniu odpowiednich procedur i wzajemnego krycia.

Ta metoda zdaje dobrze egzamin w przypadku dokonywania bardzo ryzykownych szturmów na meliny narkotykowe i aresztowania przestępców, ale może okazać się niewystarczająca, gdy czyjeś życie wisi na włosku.

Coprawda departament policji w niektórych dużych miastach zainteresowały się technikami odbijania zakładników, ale większość z nich zdała sobie sprawę, że po prostu jest to zbyt kosztowne przedsięwzięcie.

Zgłosiłem się do złotej sekcji najperów latem 1992 roku, mając za sobą pięciomiesięczny trening w NOTS i dwumiesięczny w szkole najperskiej, ale najmniejszego pojęcia o tym, w jaki sposób wpasować się w scenariusz FBI dotyczący reagowania na rozległy kryzys.

Jedyną wskazówką, jakie otrzymaliśmy w tym względzie, padły podczas wygłaszanego przy piwie wykładu oprzykazaniach na temat zachowania się w miejscach publicznych.

- Są cztery rzeczy, których nigdy nie wolno wam robić, jak długo będziecie w jednostce - ostrzegł nas Spuds.

- Nosić złotych łańcuszków.

Rzeczy marki Speedo.

Grać w tenisa na wyjazdach.

I NIGDY niewolno wam prosić kobiety do tańca.

Te wskazówki pomogły nam skompletować garderobę, ale nie odpowiedziały na pytanie, po co powołano jednostkę.

Za informację

Wielki nikt 181

miały mi służyć długie rzędy fotografii wiszące w głównym hallu siedziby HRT.

Musiałem zapytać, zanim ktokolwiek mi powiedział, o aresztowanie Fawaza Younisa



namorzu nieopodal wybrzeża Libanu w 1987 roku, co wiązało się najdłuższym jak do tej pory lotem samolotu startującego z pokładu lotniskowca.

Musiałem przeczytać artykuł w magazynie "Time", aby dowiedzieć się, jak Younis, jeden z porwaczy skazanych za doprowadzenie jordańskiego samolotu, zamienił religijną martyrologię na handel narkotykami.

Agenci federalni posłużyli się pieniędzmi oraz ubranymi w bikini operatorkami, aby zwabić Younisa na międzynarodowe wody, po czym to właśnie członkowie jednostki antyterrorystycznej, HRT, zgarnęli go z pokładu prywatnego jachtu.

Było to jedno z najzuchwalszych i najtrudniejszych aresztowań w historii amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, ale nikt tym nie wspominał.

Musiałem też zapytać o inne zdjęcia, a w tym o to, na którym jakaś kobieta, mężczyzna i dziecko idą przez pole gdzieś w Sperryville w stanie Wirginia.

Jak się dowiedziałem, było to jeden z najwspanialszych "ataków na otwartym terenie" od czasów, gdy Lee Harvey Oswald postrzelił jedną i tą samą kulą Johna F. Kennedy'ego i gubernatora Connally'ego.

Przypadkiem dowiedziałem się, jak jednostka SWAT z Richmond dopadła tego człowieka poszukiwanego za porwanie swojej dziewczyny i jej synka.

Ukrywał się w domu na opuszczonej farmie zamiastem.

Kiedy go znaleźli, naczelnik wezwał HRT.

Po długich dyskusjach negocjatorzy zdecydowali, że ten człowiek stanowi zagrożenie dla kobiety i jej dziecka, więc spełnili jego życzenie i dostarczyli helikopter.

Snajperzy HRT ukryli się w lesie otaczającym dużą polanę i czekali, aż facet nadejdzie.

Wyszedł z lasu, ale niestety trzymał kobietę na muszce, a jej trzyletniego synka przytroczył sobie do pleców.

Snajperzy dokonując oceny sytuacji, musieli zdecydować, czy strzelać do szybko poruszającego się celu - a wtedy kula musiałaby paść zaledwie kilka centymetrów od przerażonego dziecka.

Taki strzał wymaga dokonania wielu niezwykle ryzykownych założeń i kalkulacji.

Jeśli snajper strzeli zbyt wcześnie, to kula przeleci tuż przed porwaczem, uprzedzając go o przygotowanym ataku i skłaniając do zabicia kobiety.

Jeśli zaś naciśnie na spust o ułamek sekundy za późno, to może zabić chłopca.  
Granica błędu jest mikroskopijna.

182

Zimny strzał

Dowódcy HRT już wcześniej postanowili, że nikt nie może wsiąść do helikoptera.  
Pilociotrzymali rozkaz wystartowania, bez względu na to, co się wydarzy, gdy tylko  
porywacz podejdzie na odległość pięćdziesięciu stóp.

Ta decyzja pozostawiała snajperom bardzo niewiele czasu na wykonanie  
najtrudniejszego zadania, jakie można sobie wyobrazić.

Musieli strzelić, gdy tylko porywacz się ukaże.

Żadnej gry nazwłokę, żadnych innych opcji.

A ten człowiek podchodził coraz bliżej.

Na rozkaz jeden z antyterrorystów rzucił na pole granat oślepiąco-ogłuszający.

Helikopter uniósł się, a porywacz odwrócił się w kierunku, z którego nastąpił  
atak, i zasłonił twarz przed wybuchem.

Na ułamek sekundy odsłonił głowę, z czego natychmiast skorzystał snajper.

Buum.

Padł jeden strzał.

Mężczyzna i chłopiec upadli na ziemię, a kobieta odwróciła się i uciekła.

Mężczyźni w czarnych kombinezonach lotniczych pędzili przez pole.

Nie wiedzieli, kto został trafiony, dopóki nie dobiegli i nie ujrzeli strasznej  
sceny.

Chłopcu nic się nie stało, ale głowa tego mężczyzny rozprysnęła się po całym  
polu.

Porywacz zginął, zanim jeszcze upadł na ziemię.

Sprawa została zakończona.

Na ścianie w budynku HRT wiszą całe rzędy zdjęć przedstawiających misję tego  
rodzaju od stycznia 1983 roku poczynając, to jest o dnia, w którym powołano do  
życia HRT.

Dziesięć aresztowańuciekierów z więzienia, stłumienie buntów więziennych, aresztowaniebiałych rasistów w Ozarks, przełamanie pataw sprawiemorderstwaw stanieUtah - cała plejada nieustannych sukcesów.

Jakkolwiek operatorzy rzadko rozmawiają o dawnych akcjach, tojednak wiedzą, kto brał w nich udział.

Panujący w jednostcepoglądgłosi, że znaczenie nowego narybku jest mierzoneliczbą i ważnościamiwykonanych zadań, które wnosi on do historii zasług HRT.

Ósme pokolenie operatorów zgłosiło się do Ouantico 30 sierpnia 1991 roku,w dniu,w którym członkowie jednostkizaatakowali więzienie federalne o niezwykle ostrym rygorze wTalladega w stanie Alabama.

Pięćdziesięciuoperatorów utorowałosobie drogę, za pomocą ładunkówwybuchowych wysadzając drzwi, następnie wpadło przez spalone,objęte buntem cele w kierunku miejsca uznanego za epicentrum buntui w trzydzieści osiem sekund uwolniło dziewięciu zakładników.

Żadnych strzałów, żadnychpoważnych obrażeń ani po jednej,anipo drugiej stronie.

Wielkisukces.

1TTWielki nikt

183

Jeśli zdarzy się taki fart, to natychmiaststawia nas to w dobrymświele.

Ósmepokolenie uznanezostało za dobrą wróżbę na przyszłość.

Pozytywną karmę, zdrowe mojo- zresztąokreślenie mają tu znaczenia.

Uznano nas za przepowiednię świetlanej przyszłości.

Ja sam po raz pierwszy zakosztowałem smaku zadania, będąc napółmetku w szkole snajperskiej, a dotyczyło ono zamieszek w Los Angeles w związkuze sprawą Rodneya Kinga.

Właśnie naprawiałem w garażu na tyłach naszego nowego domustary gaźnikLinkerta w motocyklu,gdy na moim pagerze pojawił sięnumer 888.

Trzy ósemki oznaczały w naszymkodzie,że jest akcja,więc trzebaudać się na zbiórkę do gmachu naszej jednostki,spakowaćmanatki i pojechać na północ do bazy siłpowietrznych w Andrews,skąd samoloty wojskowe przewiozą nas na wyznaczonemiejsce.

Odkilku miesięcy niecierpliwie czekałem, aż ujrzę tę wiadomość na moimpagerze.

Nawet od czasu do czasu sprawdzałem, czy nie przegapiłem tych trzech prostych cyfr, dzięki którym znajdę się w miejscu, w którym nigdy jeszcze nie byłem i które dostarczy mi dreszczyku adrenaliny.

coc

000.

Musiałem jeszcze wytrzeć ręce, a potem chwyciłem leżącego na ławce Browninga i zatknąłem za pas.

Dzieci były jeszcze zbyt małe, aby zrozumieć, co oznacza wyruszenie na akcję, ale bardzo dobrze wiedziały, że "wsadzenie gnata za koszulę" oznacza porę pójścia do pracy.

Pobiegły do domu, krzycząc:

- Wielki nikt!

Mamo, wielki nikt!

Śmiałem się sam do siebie, gdy Rosie pomagałam znaleźć nocny kwipunek wśród sterty wciąż nierozpakowanych po przeprowadzce pudeł.

Za każdym razem, gdy zadzwonił mój pager, żartowałem, że pewnego dnia ten dźwięk będzie oznaczać "wielkiego nikt".

O to przecież chodziło w tej całej pracy - o podjęcie się misji, której nikt inny nie mógł wykonać.

Toteż gdy mój pager wreszcie rzeczywiście dał ten upragniony sygnał, moi chłopcy skakali w górę, jakby wylądował X-Man.

Kiedy pędziłem do Quantico, pomyślałem sobie, że ten cały wyjazd w celu wykonania zadania jest jednak nieco tajemniczy.

Już raz, tuż po ukończeniu NOTS, przewieziono nas samolotami do Camp

Lejeune, gdzie odbyliśmy trening, ale brak było w nim tego elektryzującego dreszczyku oraz konsekwencji.

184

Zimny strzał

To różnica, czy jeździsz w kółko w wozie strażackim i musisz zawrócić, gdy

usłyszysz syrenę, czy też rzeczywiście ktoś wyda ci rozkaz" Naprzód!

". Wtedy powietrze wypełnia jakiegoś magicznego żywienia, a nogi niosą cię same.

Nie musiałem długo czekać, by zakosztować tego wysiłku i koordynacji, które są potrzebne, aby w krótkim czasie przerzucić pięćdziesięciu ludzi wraz z ich wyposażeniem na drugi koniec kraju.

Kiedy dotarłem na miejsce i poszedłem po swój ekwipunek złotego snajpera, wszystko tam wrzało.

Nasze biuro porozumiewało się z Kwaterą Główną FBI, starając się zrekonstruować szczegóły dotyczące sprawy, do której nas wzywano.

Nasz wywiad mówił o zagrożeniu.

Osoby odpowiedzialne za logistykę przygotowywały zaopatrzenie.

Jeden z nadzorców operacji opracowywał chronologię planu działania.

Operatorzy ładowali swoje rzeczy.

Jednostka jest niemal całkowicie samowystarczalna, tak więc pakowaliśmy wszystkie możliwe liny, sprzęt oraz ubranie, których siedemdziesięciu pięciu operatorów wraz ze służbami pomocniczymi może potrzebować przez pięć dni.

HRT zabierało ze sobą własne pojazdy, namioty, broń, żywność, amunicję, lekarstwa, sprzęt służący do komunikowania się, generatory, ubranie dostosowane do klimatu danego miejsca, sprzęt logistyczny oraz tysiące rzeczy, które trudno byłoby zaszerzegać do jakiegokolwiek kategorii.

Cała sztuka polega na tym, aby wszystko to przerzucić z bazy w Quantico praktycznie każde miejsce na ziemi w czasie pozwalającym na rozwiązanie kryzysu.

Kiedy przyszedłem do jednostki, wszystko musiało się zmieścić w jednym samolocie Air Force C-141.

Pomimo iż był on potężnym chrozmiarów, to jego kadłub ograniczał nasz ładunek do kilku ciężarówek terenowych, trzech palet ekwipunku oraz jednego lub dwóch helikopterów.

Operatorzy musieli zredukować swój zestaw rzeczy do niezbędnika, w którym znajdowały się takie przedmioty jak granaty oślepiająco-ogłuszające, reflektory i ciężkie obuwie.

W czarnym pokrowcu miał karabin MP-5 oraz kilka zapasowych magazynków, a w plecaku rzeczy osobiste.

Snajperzykorzystali z "luksusu" posiadania swojego karabinu .

308, broni patrolowej CAR-16 lub M-14 oraz plecaka, w którym znajdowało się specjalne ubranie, przydatne w razie konieczności leżenia na przykład wśród chwastów.

- Sześćdziesiąt pięć funtów sprzętu bardzo lekkiego, ale umożliwiającego szybkie poruszanie się - mówili chłopcy, mając na myśli

Wielki nikt

185

standardowy ekwipunek.

- Kiedy wreszcie przestaniemy próbować wcisnąć dziesięć funtów gówna do pięcioletniej torby?

Każdy członek HRT niósł jeszcze dodatkowy ekwipunek, zależnie od swojej specjalizacji oraz akcji, na którą udawała się jednostka.

Pływacy wieźli w górę sprzęt do nurkowania.

Alpiniści pakowali wszystko, począwszy od lin i drabinek po buty antypoślizgowe.

Służby ratunkowe zapasy lekarstw, szyny do unieruchamiania złamanych kończyn, rurki intubacyjne i przyrządy chirurgiczne oraz ambulans.

Specje od załadunku pilnowali, aby tony tego wyposażenia odpowiadały wojskowym wymogom dotyczącym obciążenia, dowódcy jednostki robili swoim ludziom odprawę, a technicy do spraw łączności dokładali wszelkich starań, aby już na miejscu każdy mógł się porozumieć z każdym.

Jeśli wszystkie tryby dobrze działały inie było zbędnego gadania, jednostka pakowała manatki, jechała na odległe o pięćdziesiąt mil lotnisko i ładowała wszystko do samolotu.

Pomijając czas przelotu, byliśmy w stanie odpowiedzieć na każdą sytuację kryzysową obrębie krajów sąsiadujących ze Stanami Zjednoczonymi, zanim proch terrorystów zdążył ostygnąć.

Pamiętam, jak burczało mi w żołądku, gdy toczyliśmy się po pasie startowym bazy lotniczej Edwards nieopodal Ontario w Kalifornii, udając się do Los Angeles, aby rozgromić zamieszki.

I chociaż Departament Policji w Los Angeles bez wątplenia mógł poradzić sobie z tą sytuacją (i rzeczywiście się to udało), to politycy wykręcili

ogólnokrajowy numer alarmowy 911 - SOS na historyczną wręczskalę - i HRT odpowiedziało na to wezwanie.

Minęło już dwadzieścia pięć lat odczasu, gdy wielkie amerykańskie miasto stanęło w ogniu, i każdy, kto tylko miał broń lub plakietkę policyjną albo służb specjalnych, spieszył do Los Angeles, aby przyłączyć się do walki.

Wylądowaliśmy tam dopiero następnego dnia popołudniu, gdy największe zamieszki już ucichły.

Jednak sytuacja nadal wymagała pilnych rozstrzygnięć.

Kiedy tylko otworzyliśmy drzwi luku bagażowego, wyskoczyliśmy z samolotu, wrzuciliśmy nasz służący do walki sprzęt ciężarówki i wpakowaliśmy się do dużego, żółtego szkolnego autobusu, którym miał nas zawieźć do South Central.

FBI reaguje na kryzys szybko i ten przypadek nie stanowił wyjątku.

Wszędzie wokół nas lądowały niczym nieprzerwany korowód samoloty z jednostkami SWAT z Salt Lake City, z Chicago, Phoenix oraz z innych miast.

Negocjatorzy,

186 Zimny strzał

eksperymenty łączności, sztaby kryzysowe - każdy miał tu coś do zrobienia.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Ontario, w autobusie panowała cisza.

Siedziałem z tyłu i promieniałem z dumy, że stanowią część tego gigantycznego altruizmu, który uaktywnia się, aby uratować będących w niebezpieczeństwie Amerykanów.

Pamiętam, jak patrzyłem na horyzont nad Los Angeles; czarny dym rozpościerał swoje skrzydła nad Watts.

To nie były żadne utarczki, ale anarchia, która ogarnęła Miasto Aniołów.

To był rozkład społeczeństwa.

A ja czułem się jego częścią - fragmentem terapii.

Kiedy byłem dzieckiem, mój ojciec dowodził ochotniczą strażą pożarną we

Franconii i pamiętam, jak pędził za każdym razem, gdy rozlegała się syrena.

Byłem dumny z jego władzy, choćby tylko przez pokrewieństwo.

Siedziałem w tyle autobusu, wolno żując szerokolistny tytoń i mając świadomość, że osabiaam wszystko, czego nauczył mnie HRT.

Być niepokonanym.

Potrzebowałem tylko okazji, aby tego dowieść.

Jednak jak to często zdarza się dziś w Stanach Zjednoczonych, reakcja była zbyt wielka i zbyt późna.

Potykaliśmy się o siebie wzajemnie, szukając przestępców, którzy powrócili już do swojej codzienności, do normalnego życia.

Tamtej nocy parking obok stadionu Dodgers wypełnił się największym w historii Stanów Zjednoczonych nagromadzeniem niebieskich mundurów policyjnych oraz czarnych, należących do jednostek SWAT.

Departament Policji w Los Angeles, Departament Szeryfa hrabstwa Los Angeles, Policja Drogowa stanu Kalifornia, FBI, Biuro Szeryfa.

Były tam tysiące: jednostki SWAT i grupy reagowania kryzysowego, wszyscy ubrani w mundury firm Nomex i Velcro.

Pełno broni i sprzętu używanego podczas tłumienia zamieszek.

Zbawienie.

Powietrze było aż gęste od tego poczucia sprawiedliwości, tak że człowiek, tylko nim oddychając, czuł się napompowany.

Tej nocy byliśmy na ulicach w dzielnicy Cheavy Suburbans.

Obserwowaliśmy wszystko bacznie przez okna pojazdu, ukryci zakarabinami i kamizelkami kuloodpornymi, manifestując "obecność".

Bardzo niewiele ludzi uśmiechało się i machało do nas, we wzroku większości kryła się głęboka pogarda dla władzy, charakteryzująca młodych mieszkańców getta.

Kiedy przechodziliśmy, dało się zauważyć gwałtowną nienawiść sączącą się spoza porwanych firanek oraz zalegających podwórka stert spalonych mebli.

Wielki nr 187

Pamiętam wyraz twarzy jednego małego chłopca.

W jego oczach nie błyszczały ani ciekawość, ani szacunek.

Żaden ojciec nigdy go nie nauczył, że policja jest po to, aby służyć i chronić.

Żaden z jego braci, kuzynów czy przyjaciół nigdy nie wstąpił w szeregi policji.

Gliny przychodziły, aby zabić jego brata albo nękać jego wujka, lub też oskarżać go o



handel narkotykami.

Policja zjawiała się tam po to, aby zabierać ludzi.

Byliśmy złymi facetami, mężczyznami w niebieskich mundurach, przez których jego matka płakała.

Ten chłopiec potrzebował naszej pomocy, aby polepszyć swoje życie.

Chciał, żebyśmy zniknęli, tak samo jak gorączka.

W jego oczach ujrzałem bynajmniej odbicie jeźdźca na białym koniu, galopującego, aby pokonać rozjuszony hordy, ale samego diabła, który drze i niszczy wszystko to, co chłopiec ten uważał za bezpieczne, znane i prawdziwe.

Ci ludzie nas nie potrzebowali.

Nie chcieli, aby ich uratowano.

Dłanich byliśmy wrogami.

Następnego dnia, gdy zapadła noc, South Central pogрузzyła się w nudzie.

Jej mieszkańcy niewidzieli powodu, dla którego w ich dzielnicy miało przebywać tysiąc białych policjantów uzbrojonych w najnowocześniejszy sprzęt.

Początkowa furia lub też "wściekłość tłumu", jak to nazwali niektórzy reporterzy, wybuchły jak nieplanowana burza i minęły tak jak zawsze, przetaczając się w innem miejscu wraz z odległymi grzmotami.

Wkrótce po uśmierzeniu zamieszek oblała mi się o uszy wieść o innej akcji.

Elitarna jednostka BORTAC patrolu nadgranicznego szykowała się na zakrojony na trzy tygodnie akcję zwalczania narkotykowego biznesu wzdłuż granicy z Meksykiem i zaproponowała HRT, że może zabrać dwóch jej ludzi.

Hooch, dowódca błękitnych snajperów, zapytał, czy ktokolwiek z nas chciałby pojechać na ochotnika.

Skorzystałem z tej okazji.

Kilka tygodni później pakowaliśmy nasz sprzęt, szykując się na zabawę i słońce wzdłuż Rio Grandę.

Wyjaśnienie moim synkom celu tego wyjazdu zajęło mi nieco więcej czasu, aniżeli podróż do Los Angeles.

Ich interpretacja "wielkiego nikt" sprowadzała się teraz do tego, że upłynie wiele dni, zanim znów pobawią się z tatą w berka lub pójdą z nim na ryby.

Rosie wyjaśniła mój pięciodniowy pobyt w Los Angeles, pokazując mi co wieczór

podczas dziennika telewizyjnego miejsca, w których przebywałem, ale teraz  
zwyczajnie do Meksyku nie będzie żadnych doniesień w dzienniku.

1.

188 Zimny strzał

Moja dwutygodniowa nieobecność podczas selekcji do HRT stanowiła rekord w  
zaniedbywaniu dzieci, toteż danie im poczucia pewności, że wrócę, wymagało nieco  
twórczej wyobraźni.

Po kilku wielkich atakach płaczu moich maluchów dołączyłem do Hoocha, wsiałem na  
należący do FBI liniowiec "Saber Liner" i wyruszyłem na małą przygodę.

Cztery godziny później wylądowaliśmy w promieniach zachodzącego słońca i następne  
trzy tygodnie spędziliśmy, patrolując wytarte szlaki narkotykowe na północ od  
Nogales aż po opuszczone pasy startowe i drogi dla czołgów w parku  
narodowym Coronado.

W niektóre dni siodłaliśmy konie pociągowe i jechaliśmy do odległych miejsc,  
gdzie rozbijaliśmy biwaki w celu zorganizowania zasadzki.

Kiedy indziej znów wsiałaliśmy na rowery terenowe i jechaliśmy wzdłuż cienkiego,  
drucianego ogrodzenia, które wytycza południową granicę dobrobytu.

BORTAC nazywał całe to przedsięwzięcie "przecinaniem szlaków", ponieważ szukasz  
dowodów w przyczepach samochodowych, w których przewozi się narkotyki na północ,  
do Tucson.

Jeśli uda się "przeciąć" taki szlak, to pozostaje tylko podążać jego śladem, a on  
doprowadzi prosto do źródła.

Handlarze narkotyków w noc poruszają się wolno, a w dzień przyczajają się  
wnaprzódce zbudowanych kryjówek.

To dawałam im czas, by ich złapać.

Pracowaliśmy przeważnie nocą, przecinając ciemności noktowizorami i nastawiając  
uszy wytrenowane do odróżniania dźwięków wydawanych przez człowieka od tych,  
które tworzy przyroda.

Nauczyłem się tak starannie pakować swoje rzeczy, abym mógł poznać każdą z nich po

dotyku.

Dowiedziałem się, jak niebezpieczne są wszystkie nienależące do danego środowiska dźwięki.

Nauczyłem się pakować żywność według grup, tak abym wiedział, gdzie znaleźć podstawowe węglowodany o trzeciej w nocy, kiedy nie można opanować drżenia, a zimno sprawia, że koncentracja to wysiłek nie lada.

Wymyśliłem, jak sikać do butelki, nie poruszając się przy tym zbyt, aby nie zdradzić swojej kryjówki, oraz pewną rutynę, która polegała na podzieleniu sobie nocnych awaryjnych, w których na przemian to czuwałem, to zapadałem w stan odrętwienia.

Cały ten proces stał się tak naturalny, jak kolejny dzień w biurze.

Pewnego popołudnia graliśmy w koszykówkę w motelu w Tucson, gdy z kwatery głównej straży granicznej nadeszła wiadomość, że wywiad przechwycił plany mówiące o karawanie mułów niosących kil

Wielki nikt

189

kaset funtów peruwiańskiej kokainy do miejsca, w którym zostanie rozważona.

Znajdowało się ono już po stronie Stanów Zjednoczonych.

Dowódca całej akcji w El Paso prosił o przysłanie brygady złożonej z ośmiu strzelców lekko wyekwipowanych.

Przewidywał, że akcja potrwa jedną noc.

Doug Bob, nasz grający w rugby dowódca, wywołał siedem nazwisk, w tym także moje.

Lekki ekwipunek oznaczał, że każdy z nas bierze jedną porcję jedzenia, dwie kwarty wody, poncho, apteczkę oraz taką amunicję, jaką chce.

Plan zakładał, że lecimy na odległy pas startowy, tam lądujemy, a następnie idziemy pięć mil do miejsca, z którego można będzie obserwować dzielenie i rozważanie ładunku.

Tuż przed północą cała nasza ósemka wsiadła na pokład turbośmigłowca należącego do służb celnych Stanów Zjednoczonych; samolot został odebrany kolumbijskiemu kartelowi narkotykowemu.

Nasz lot trwał tylko dziewięć minut, był to dosłownie skok na odległy pas startowy, położony na dnie nieurodzajnej doliny.

Piloci zwolnili akurat tak długo, abyśmy zdążyli wyskoczyć, i zaraz potem

silnik samolotu buchnął ogniem, maszyna zawróciła, a cała akcja została tak zaplanowana, aby dla postronnego obserwatora wyglądała jak zrzucenie ładunku narkotyków.

Kiedy biegliśmy przez pas startowy do ciężarówki, którą przewożono bydło, wydawało mi się dziwne, że w niektórych częściach Ameryki bardziej sensownie jest postępować jak kryminalista aniżeli jak stróż prawa.

W ciężarówce nikt z nas nie odezwał się nawet słowem.

Gdy podskakiwała wybrukowanej kocimi łbami drodze, nogi ślizgały mi się w krowim gównie.

Uderzyłem w dosyłacz zamka mojego CAR-16 i nastawiłem noktowizor (marki Litton). Miałem na sobie kamuflaż, buty odpowiedniego dochożenia po dżungli, twarz pomalowaną w tygrysie pasy farbą maskującą, brezentowy kapelusik oraz cienką bieliznę z polipropylenu.

Rozcięcia miały zapewnić dostęp powietrza do ciała, ale wiedziałem, że gdy zacniemy się, będzie mi gorąco.

"Jeśli lekko się ubierasz, to zmarzniesz w nocy", mawiał mój ojciec, gdy wyruszaliśmy na wycieczki.

Nigdy nie zastanawiałem się, czy było to strategia, czy ostrzeżenie, ale tej nocy wolałbym być lżejszy.

Podwójna rura wydechowa naszej potężnej ciężarówki tłumiła ciche słowa odprawy zorganizowanej przez Douga Boba: jedziemy trzymile wzdłuż kompletnie nieuczęszczanej wiejskiej drogi aż do wejścia do wąskiej przełęczy górskiej, a stamtąd rozpoczynamy patrolowanie.

190

Zimny strzał

w dwuosobowych gmpach w kierunku południowo-zachodnim.

Ciężarówka zwolni, abyśmy mogli wyskoczyć, ale nie na tyle, aby mogło to zaalarmować strażników (jeśli są).

Doug Bob poprawił szelki plecaka, sugerując tym samym, że może nas czekać twarde

ładowanie.

Po raz ostatni sprawdziliśmy nasze wyposażenie.

Miałem standardowe wyposażenie, takie jak żołnierze Korpusu Piechoty Morskiej: CAR-16, sześć granatów oślepiająco-ogłuszających o dużej mocy i niezawodne poncho, które mogło służyć jako mata do spania, parka, a także jako nic nieważąca kryjówka snajperska.

Laminowana mapa topograficzna leżała sobie w prawej wewnętrznej kieszeni moich spodni, wraz z miniaturową latarką i bandażami.

Na szyi miałem zawieszony kompas wraz linką do pomiaru długościkroków, co pozwalało mi wiedzieć, jaką odległość przebyłem.

Praca w terenie będącym pustynią opowierzchni kilkuset mil kwadratowych mając za punkt orientacyjny tylko księżyc jest bardzo trudna.

Nie ma tam żadnych znaków drogowych, żadnych słupów milowych.

Małe wzniesienie skalne, które wybraliśmy za nasz punkt odniesienia, na mapie było prostą jeszcze jedną poziomą linią.

Dlatego też bardzo ważne było posiadanie kompasu.

Dwukrotnie sprawdziłem swój ekwipunek, a potem jeszcze wykonałem kilka podskoków, aby upewnić się, że nic nie brzęczy i nie hałasuje.

Rzeczy, które są w porządku, nigdy nie psują sprawy, zrobią te przedmioty, w których zapomniałeś coś sprawdzić.

Jedyną metodą, aby obrócić przeciwieństwa losu na twoją korzyść, jest wręcz obsesyjne przykładanie wagi do szczegółów.

Mój towarzysz imieniem Subeei ja wyskoczyliśmy ostatni.

Potoczyłem się do ogrodzonego rowu, przeczołgałem pod płotem z kolczastego drutu i schowałem za kłującym, sięgającym mi do kolan kaktusem.

Zaczekaliśmy, aż ciężarówka zniknie za wzniesieniem, pozostawiając nas samych w ogromnej, pustynnej dolinie.

Subeei pierwszy się podniósł i za pomocą mapy i kompasu określił, gdzie się znajdujemy.

Ja z kolei liczyłem kroki - 65 kroków to 100 metrów - cały czas kontrolowałem nasze położenie za pomocą noktowizora.

Zarówno przez noktowizor, jak i bez niego wszystko wyglądało tak samo:

przerażająco.

Piętnastostopowy saguaros wyrósł ze skał jak stuosobowa straż.

Po lewej i prawej stronię stały szczyty górskie, kierując nas na południe, ale horyzont nikał w krajobrazie i pod usianym gwiazdami niebem.

Gdybym była wycieczce i siedział sobie w wan

Wielki nikt

191

nie z gorącą wodą na jakimś ranczu, to uznałbym ten widok za jeden z najpiękniejszych, jakie widziałem w życiu, ale gdy każdy kolejny krok oznaczał więcej kolców kaktusa w moich nogach, to jednak komfort przebywania wśród tej scenerii był mizerny.

Tuż przed drugą w nocy Subee uniósł nad głowę pięść, co oznaczało "stop".

Trzy godziny nieustannego marszu rozgrzały mnie do tego stopnia, że nie trząsałem się z zimna, ale jednak noc była bardzo chłodna.

Z mojego liczenia kroków wynikało, że jesteśmy 50 metrów od naszego punktu zbornego, toteż podniosłem do oczu lornetkę i rozejrzałem się po okolicy, szukając kumpli.

Zgodnie z rozkazem Douga Boba, gdy wszyscy dotrą do umówionego miejsca, mają wypuścić "muchy".

Te wielkości pudełka od zapalek, działające na podczerwień i świece migające dwie sekundy światłem widzialnym tylko za pomocą noktowizorów.

"Muchy" pozwalały nam dostrzec się wzajemnie bez ujawniania naszych pozycji wrogowi.

- Dobry wieczór, chłopcy - rozległ się szept Douga.

Zauważyłem też z tej strony, mniej więcej osiem stóp od mojego karabinu, migoczące ciepłe, białe światło.

Naliczyłem jeszcze trzy takie światełka i wytężyłem wzrok, aby rozróżnić twarze: jeden to Gary, partner Douga, oraz drużyna numer 2 - Fishi Matt.

Wyglądało, że dotarliśmy jako pierwsi, a reszta jeszcze była w drodze.

- Usiądź, chyba jest spokojnie.

Doug Bob wskazał na zachód, na coś, co było oddalone o jakieś 250 jardów w tym świetle wyglądało jak kolejne skalne wyniesienie.

Popatrzyłem przez noktowizor i zobaczyłem, że jest to stare rancho z resztkami zagrody i trzema małymi budynkami.

- A gdzie szlak?

- spytałem, wyciągając z nogi kilka kolców kaktusa.

Handlarze narkotyków zatrzymywali się tu, podobno, aby odpocząć przed dalszą podróżą na północ.

- Stoisz na nim - usłyszałem odpowiedź.

Odsunąłem się na bok, w błoto, i stanąłem obok Douga i reszty chłopaków.

- Posiedzimy tu i poczekamy na handlarzy.

Potem uderzymy.

Zgodnie z planem to uderzenie powinno wyglądać jak standardowa wojskowa zasadzka w kształcie litery "L".

Doug, Bobi i Gary mieli osaczyć całe karawany, uniemożliwiając ucieczkę, a naszym zadaniem było ustawić się wzdłuż karawany i poczekać, aż dojrzy dołamanie.

192 Zimny strzał

litery "L".

Wtedy zamierzaliśmy poinformować ich po hiszpańsku, kim jesteśmy, i przystąpić do ataku.

Agenci służb nadgranicznych nie napracują się zbyt przy aresztowaniach albo rewizji.

Posługują się pojęciem prawdopodobieństwa winy, co zresztą Doug powtarzał nam wielokrotnie.

- Znalezienie się pośrodku pustyni z paczką narkotyków jest dla nas prawdopodobną winą zupełnie wystarczającą, aby dokonać aresztowania.

W odróżnieniu od starannie opracowanych rozkazów operacyjnych dotyczących przeszukań odbytu, do których przywykłem, służby nadgraniczne pracowały w staroświecki sposób - na wycucie.

Dwie godziny później zimno stało się już przejmujące.

Trząsałem się, iż myślałem, że nie wytrzymam do rana.

Lekka bielizna z polipropylenu i cienkie poncho okazały się bezużyteczne jako ochrona przed chłodem.

Próbowałem już w myślach grać w rozmaite gry, przypominać sobie ciepłe miejsca, wykonywać izometryczne ćwiczenia, aby rozgrzać mięśnie, i zawstydzasz się, że zachowujesz się jak szczeniak.

Jednak sprawa robiła się poważna.

Hipotermia tłumi zdolności ruchowe i przytępia racjonalne myślenie.

Najpierw robi ci się zimno, gdy idziesz, ponieważ ciało zaczyna wykorzystywać resztki metabolizmu.

Po chwili narzucasz poncho na ramiona, aby zatrzymać ulatniające się ciepło.

Kiedy i to już nie skutkuje, owijasz się szczelnie ponchem i zawiązujesz jego poły - wszystko, aby zatrzymać ciepło.

A wreszcie naciągasz je na głowę, redukując swoją zdolność słyszenia, ale za to zachowując zdolność rozumowania.

Gdy i to już dłużej nieskutkuje, sięgasz do plecaka po jedzenie, które zapakowałeś, a które ma być źródłem energii.

Przekąska to jakby olbrzymia kłoda, która ma się tlić przez długi czas, natomiast deserty podpałka, od której zajmuje się paliwo w twoim żołądku i przywraca ciepło w kończynach oraz w palcach u rąk i nóg.

Aż wreszcie, gdy jedzenie zostało zjedzone i nic już nie pomaga, to tylko się trzęsiesz.

Komunał mówiący, że jeśli nie weźmiesz ciepłych rzeczy, to zmarzniesz w nocy, to najszczęśliwsza prawda.

Przeklinasz siebie samego za to, że znalazłeś się w takiej sytuacji, i przysięgasz, że następnym razem weźmiesz przede wszystkim piec Colemana.

Już dawno przekroczyłem granicę między tym co trudne lub głupie, kiedy Doug Bob obwieścił kres cierpień.

Wielki nikt193

- Szykować się, chłopcy.

Coś się rusza.

Nawet w szepcie można było wyczuć jego teksasński akcent.

Wolno przesunąłem zgrabiałą rękę kurkojęści karabinu i spojrzałem przez celownik.



Nocne niebo nabrało teraz zielonej barwy jadeitu i mogłem ich zobaczyć.

Jechali w naszym kierunku.

Było tam trzy, cztery, pięć mułów, ale ludzi na razie nie udało się jeszcze policzyć.

- Niech nikt nawet nie drgnie, dopóki nie powiem, że strzelamy - oznajmił Doug.

Znałem obowiązujący dryl, ale pomimo mojego już kilkumiesięcznego doświadczenia w HRT to zadanie uważane było za mój "pierwszy raz".

Większość tych facetów przeprowadza takie rajdy jak ten kilka razy w miesiącu lub częściej, pracując na olbrzymich bezludnych obszarach położonych pomiędzy Południową Kalifornią a El Paso.

Ja też już zaliczyłem pewną liczbę przestępców, ale żaden z nich nie jechał uzbrojony po zęby w karawanie mułów po pustyni.

I nagle z nim znikło.

Nikt się nie odzywał.

Zająłem się przygotowaniem sprzętu.

Na małym palcu prawej ręki powiesiłem granat oślepiąco-ogłuszający, ale tak, że mogłem pociągnąć za spust i wyciągnąć z rękawy wyrwać zawleczkę granatu.

Ustawiłem celownik na tył głowy Fisha, przygotowałem kilka zapasowych magazynków i upewniłem się, czy kule są ułożone czubkiem do przodu, co gwarantuje szybsze załadowanie broni.

Naciągnąłem też poncho, dzięki czemu zakryłem sylwetkę i wtopiłem się w otaczający mnie krajobraz.

Karawana mułów była coraz bliżej, tak że nawet było słychać stukopyt o drobne kamienie.

Pięć mułów i czterech mężczyzn.

Posuwali się wolno, w milczeniu, jak cienie.

Ostatni dreszcz przebiegł mi przez kręgosłup, gdy dotknąłem kciukiem zabezpieczenia karabinu i położyłem palec na spuście.

Resztą chłopaków przycupnęła po mojej lewej i prawej ręce.

Żadnego hałasu.

Pierwszy z handlarzy przeszedł tak blisko mnie, że poczułem jego zapach.

Potem muł i drugi mężczyzna, i znowu muł.

Nawet w ciemnościach dostrzegałem na ich twarzach znudzenie i samotność.

Jedeznich miał laskę.

Nie widać było żadnej broni.

- Nie ruszać się!

Federales!

- teksańsko-meksykański hiszpański Douga brzmiał głupio, zważywszy powagę całej sytuacji.

Już niemal.

194 Zimny strzał

uśmiechnąłem się na myśl, jak to te dwa tygodnie będę wspominać przybarze, gdy nagle całe miejsce niemal wyleciało w powietrze.

Każdy z nas wybuchnął, wrzeszcząc po hiszpańsku.

- Stać.

Ręce do góry.

Na ziemię.

Policja.

- Nie ruszać się, do cholery!

- wrzeszczałem to zdanie, które zapewniło mi sukces w latach spędzonych w Missouri.

No i co z tego, żeto byłopo angielsku.

Będzie imnieco potrzebny w więzieniu.

Szef całej karawany podskoczył trzy stopy w górę, a następnie uciekł.

Żadnego gadania w stylu "Co to jest, do cholery", żadnego przeproszania.

Po prostu zniknął.

Muły zaczęły wierzgać, przewracając jednego z handlarzy na ziemię na dostatecznie długo, by Fish skoczył na niego i go złapał.

Buuum!

Buuum!

Dwa muły uciekły, a ich ładunek był tak mocno przymocowany, że nie udało się nam znaleźć ani jednej paczki.

Subee złapał jedno z zwierząt za uzdę, a czwarte kręciło się w kółko, zagubione między handlarzami narkotyku a strażnikami z patrolu nadgranicznego.

Wyskoczyłem spod swego poncho akurat w chwili, gdy trzeci z tych ludzi próbował uciekać w stronę Meksyku, i chwyciłem go za kark, uniemożliwiając mu ruchy.

Zerwałem się nagle szybciej niż oni i odbezpieczyłem karabin dostatecznie blisko niego, aby zrozumiał naszewskazówki i próbował wychwycić sedno.

Mogłem ich odróżnić od naszych ludzi jedynie po tym, jak głośno mówili, i nieco jaśniejszych ubraniach od tych, które mieliśmy na sobie.

- Stój!

Stój, ty dupku!

- wrzeszczał Fish na kogoś, kto zniknął w zaroślach nad skalistą półką.

Najpierw próbowałgonić tego mężczyznę, ale potem zrezygnował.

Przechwyciliśmy większość narkotyków i złapaliśmy dwóch handlarzy, natomiast pogoń za resztą przez te chaszcze mogła przysporzyć nam zbyt wielu niepotrzebnych kłopotów.

- Wystarczy - krzyknął Doug Bob i zapanował spokój.

Zdyszany odetchnąłem głęboko rześkim, suchym powietrzem.

Muły zostały spętane i teraz kręciły się i popychały, jak na jakimś tanim rodeo.

- No, już dość, do cholery.

To patrol nadgraniczny.

Jesteście aresztowani.

- Patrol nadgraniczny?

- pomyślałem.

Po tym całym czasie spędzonym w polu, w NOTS, w szkole snajperskiej oraz po uczestniczeniu w Wielki nikt 195

niem w kilku misjach na prawdziwą akcję trafiłem tu, na tym odległym, pustynnym szlaku, a także nasiedmiu ludzi z jakiejś agencji, o której ledwie kiedyś słyszałem.

- Kurwa.

Patrol nadgraniczny - powiedział jeden z Meksykanów znośną angielszczyzną.

Zabrzmiało to tak, jakby kiedyś już tu był.

Po jakimś czasie zacząłem mieć wrażenie, że wszystkie nasze akcje kończą się tak, jak ta opisana powyżej.

Najpierw jednak czekało nas mrozenie tyłków gdzieś w zapomnianej przez Bogagłuszy. Większość nocny siedzieliśmy w lasach, walcząc z snem i próbując rozpaczliwie poddawać się pokojowi ducha.

To jedno z najtrudniejszych zadań tej pracy.

Walki w zamkniętych pomieszczeniach, strzelania, orientacji w terenie oraz innych rzeczy można się nauczyć i je wyćwiczyć.

Ale to właśnie tam w nocy walczyłem, aby przez dwanaście godzin pozostać skupionym, skoncentrowanym na każdym dźwięku, zapachu wybierając tylko to jedno, jedyne odczucie, które być może pozwoli zakończyć zadanie.

Pogodziłem się z zimnem, wiedząc, że za jedną chwilę, w której będę musiał dowiedzieć, co potrafię, nadejdzie i minie tak szybko, że nawet tego nie zauważę.

Moja trzecia akcja rozpoczęła się od znanego już dygotania z zimna w nocy.

Rozkaz z kwatery głównej rzucił nas do odległego od świata zakątka głuszy sąsiadującego ze wschodnim krańcem kanionu Kolorado.

Niejakiego Danny Ray Homing skazany za morderstwo uciekł z więzienia o obojętnym rygorze, przedarł się przez zasieki z drutu kolczastego i przeszedł przez takie pustkowia, że większość ścigających go uznała, iż niemożliwe, by przeżył.

Okazało się, że byli w błędzie.

Homing porwał rodzinę turystów i zastrzelił miejscowego zastępcę szeryfa, który próbował uwolnić porwanych.

Strażnicy parku narodowego zawężili obławę do położonego na wysokości 7000 stóp pasy zarośli i iglaków, zanim zdali sobie sprawę, że nie mają ani dość ludzi, ani środków, aby kontynuować pościg.

I dlatego nas wezwano.

-Hej, Whitcomb.

Przez trwającą osiem godzin zmianę mój towarzysz Spuds i ja pilnujemy z obu stron sosny.

Tworzymy z nim drużynę odchwili ukończenia szkoły snajperskiej, a letak naprawdę to jest nasze pierwsze wspólne zadanie.

Ten był żołnierz piechoty morskiej zwrócił moją uwagę spokojem, uczuciowością oraz wargami zawsze ułożonymi tak, jakby palił papierosa.

Pracowałem już z takimi ludźmi jak on, ale nigdy.

196 Zimny strzał

bezpośrednio.

Jego twarz wyrażała mękę, tak jak ludzi, którym odebrano dzieci.

Spuds już dawno ukończył szkołę agentów HRT, a szkoliła go pierwsza i druga generacja operatorów, zaprawionych w wietnamskiej dżungli.

Spuds był twardy jak bicz; był to typ żołnierza, od którego można wymagać skrajności - autentycznych skrajności.

- Co?

- spytałem najciszej, jak można, ledwie wypuszczając głosowo w łowiące światło powietrze.

- Nie śpisz?

Czy nie śpię?

Napewno, że nie.

W myślach powtórzyłem już sobie wszystkie czternaście rodzajów broni, jaką posługujemy się w jednostce, tytuły, fabułę i przybliżoną datę powstania wszystkich trzydziestu sześciu sztuk Shakespeare'a, briefingi dotyczące misji, w których brałem udział w Los Angeles oraz wraz z patrolem nadgranicznym, poraz kolejny przypomniałem sobie wszystkie etapy wspinaczki szlakiem 5.

10 na skały Cannon, z których roztacza się wyjątkowo piękny widok, i byłem już cholernie blisko pogodzenia mechaniki kwantowej z moją niejedynolitą teorią świata.

Te ostatnie osiem godzin spędziłem tak fatalnie, że nie miałem już siły rozważać, gdzie i kiedy mogę jeszcze dotrzeć, aby być przytomnym kompanem.

Dlaczego toczłowiek, który zmusił przyzwoicie wykształconego majora, pochodzącego z dobrej rodziny, do spędzenia niemal całego życia nastaniu podpartym jakąś pieprzoną sosną, absolutnie bez powodu chce wiedzieć, czy nie śpię?

Odwróciłem się, aby powiedzieć coś mądrego, ale Spuds zbił mnie z tropu.

- Bo ja właśnie przeżyłem jeszcze raz każde swoje doświadczenie erotyczne - oznajmił.

Pilnowanie przestrzegania praw bazuje na partnerstwie.

Począwszy od Dragnet, a na Archiwum X skończywszy, Ameryka zbudowała swoją kulturę walki z przestępczością na dwuosobowych zespołach.

HRT nie było pod tym względem wyjątkiem.

Snajperzy najlepiej pracują we dwóch - jeden patrzy przez celownik, a drugi odpoczywa.

Czasem znów jeden z nich bierze celna muszkę, a drugi pilnuje kontaktu radiowego.

W takich sytuacjach partnerstwo do siebie sprawdza.

Niestety partnerzy nie zawsze identycznie patrzą na życie, czasem nawet pochodzą z dwóch różnych światów.

Wielki nikt 197

- O - powiedziałem.

To była jedyna odpowiedź, jaka przyszła mi do głowy.

Nie znałem Spuds'a na tyle, aby pytać o szczegóły.

Moje wcześnie doświadczenia w Springfield nauczyły mnie, że wybieganie przed szeregiem pociąga za sobą konsekwencje.

Ciągle byłem jednym z pieprzonych żółtodziobówi moim zadaniem było słuchać.

HRT w wielu punktach przypomina braterskie więzi ze starannie określonymi regułami zachowania i jasno naszkicowanym grupowym posłuszeństwem.

Gdy dowódca kupuje okulary słoneczne marki Oakley, to wszyscy też.

Jeśli jedni z dominujących postaci zdecyduje, że wieczorem po treningu idziemy do tego to a tego baru, to idą wszyscy.

Takie zachowanie to część procesu integracji, część udowodnienia, że każdego dnia jesteś wart tego zaufania, które inni w tobie pokładają.

Kiedy odbywało się zebranie złotych snajperów, siedziałem z boku, czekając na sposobność, aby się włączyć.

Na zebraniach całej jednostki, które odbywają się codziennie o ósmej rano, próbowałem uciekać od przemądrzałych i sprośnych żartów, które szybko zwracały na ciebie uwagę, ale nie najbardziej nieustraszonych weteranów.

Pięćdziesięciu dobrze wykształconych, niezwykle zdolnych samców alfa od czasu do czasu próbowało drażnić się nawzajem, ale ja wolałem jak najdłużej nie wychylać się, aby poznać obowiązujące prawa.

Moje stosunki ze Spudsem układały się mniej więcej podobnie.

Spędziłem tydzień, starając się zrobić na nim wrażenie, kalkulując każdy krok, każdą wagę w nadziei zyskania jego zaufania.

Skradałem się przez las, tak jak mnie uczył wujek Mike, kiedy szukaliśmy linii siatkikartograficznej dla Danny'ego Raya.

Podczas nocnych zwiadów godzinami leżałem bez ruchu w nadziei, że desperado z Arizony popełni jakiś błąd i będziemy mogli wsadzić go z powrotem do więzienia.

A nawet siedziałem cierpliwie, gdy czekaliśmy na jednostki szturmowe, które miały dokonać nam jego prezentacji o trzeciej rano, ponieważ wreszcie wytropiły go psy.

Mogłem robić dziesiątki rzeczy, aby uprzyjemnić sobie swoje wachty ze Spudsem, ale jednak nie robiłem, ponieważ chciałem wyrzucić na nim dobre wrażenie.

Wszystko zgodnie z obowiązującymi w HRT regułami.

Partnerzy to partnerzy, nieprawdaż?

Kim byłby James West bez Artemusa Gordona?

I jak poradziłby sobie Woodrow Cali bez Augustusa McCrae?

198

Zimny strzał

Inne tandemy spędzały czas na małych pogawędkach, ale nie jai Spuds.

Przytoczone powyżej słowa były jedynymi, jakie zamieniliśmy przez całą noc.

11

Północ

Jedna z najważniejszych lekcji, której nauczyłem się podczas pierwszego roku w jednostce, mówiła, że trening oraz realia są bardzo ze sobą związane.

Jednak jedynym sposobem przygotowania się do wojny jest przyprawienie codzienności pewną dozą gwałtu.

Zaklinacze węży, aby zmusić organizm do produkowania odpowiednich przeciwciał, pijają kobry, a połykacze noży pozwalają, aby ich przełyk zgrubiał, co ochroni go przed rozcięciem.

Nawet atleci przed zapasami rozrywają mięśnie, a one po zrośnięciu się stają się

mocniejsze.

Podobne zasady rządzą codziennym treningiem w HRT.

Walkawymaga niebywałego osobistego zaangażowania.

Gdy sygnał do niejnaprawdę zabrzmi, nigdy nie wiadomo,co kryje się zawęgłem.

I taksamo jakpodczas ćwiczeń, nie masz pojęcia, czy twójwyścigo życieodbędzie się na odcinku czterdziestu jardów, czy dziesięciu mil,a więcbiegniesz najszybciej inajdłużej, jak zdołasz, wiedząc, że zrobiłeśwszystko, co tylko w ludzkiej mocy, aby wygrać.

Czasem wszystko układa się dobrze,a czasem nie.

Jedyny sposóbna pokonanieprzeciwieństw toprzebiec tak, jakby tobył prawdziwybój.

Raz, dwa, trzy,a potem znowu i znowu.

Dlatego też HRT poświęca znaczną część czasu na tak zwany trening podstawowych umiejętności.

Obchodzenie się z bronią i walkaw zamkniętych pomieszczeniach toglówne narzędzia taktyki walki, alerówniedużo czasu zajmuje opanowywanie tych podstawowych umiejętności.

Co jakiś czas połowa jednostki jest stawiana w stan gotowościi gotowa do działania, a druga połowa skupia sięna szkoleniu podstawowych umiejętności.

Pogram dnia jest mniej więcej identyczny dla każdego.

Od poniedziałkudo piątku każdy dzień zaczyna spotkanie w klasie.

Operatorzysiedzą i uważnie słuchaj ąrelacji dowództwa natemat czekających zadań, informacjize świata, grafiku szkoleń oraz ze specjalnych wydarzeń.

## 200Zimny strzał

Spotkania nieformalne są jedną z najstarszych tradycji jednostki i dowodem posłuszeństwa grupowego.

Wielokrotnie dowcip i kpiny natych spotkaniach rozśmieszałyby profesjonalnych komików do łez.

Po spotkaniu operatorzy idą do szafek, w których trzymaj ą ekwipunek, aby przygotować siędo porannych zajęć.



Przez trzy dni w tygodniu aplikuj ą sobie dietę złożoną z amunicji małego kalibru, silnych ładunków wybuchowych i przeprowadzania ataku.

We wtorki i czwartki szturmowcy ćwiczą walkę w pomieszczeniach zamkniętych.

Snajperzy idą na strzelnicę albo na poligon należący do marines, aby popracować nad techniką.

We środy szturmowcy koncentrują się na broni ręcznej karabinach MP-5, snajperzy zaś ćwiczą walkę w zamkniętych pomieszczeniach.

Operatorzy HRT odbywali codziennie dwugodzinny trening sprawnościowy i zazwyczaj jeszcze spotkanie poświęcone taktyce obronnej.

Jeśli chcieli, mogli też ćwiczyć walkę wręcz, ale praca operatora nie polega na walce na pięści, ale na zadaniu bardzo niewielkiej liczby uderzeń rękami lub nogą.

Ma to na celu powalić tych, których nie da się zastrzelić.

Naprawdę historyczny bieg ładników w kierunku operatora może spowodować, że przy okazji ich postrzeli, natomiast powalenie ich na ziemię prostym uderzeniem może i nie prezentuje się najlepiej na ekranach telewizyjnych w wieczornym dzienniku, ale ratuje życie zarówno im, jak i innym.

Poniedziałek jest zarezerwowany na szkolenie specjalistyczne, takie jak udzielanie pomocy medycznej, zjeżdżanie po linie, przeprowadzanie szturmów, wspinaczka, fotografowanie - i co najmniej tuzin innych, łatwych do zapomnienia umiejętności.

Piątki to zazwyczaj dni PP, czyli projektowania i planowania.

Każdy operator zostaje przydzielony do jakiegoś zadania, które wymaga wytrzymałości i nowoczesnego podejścia.

To daje okazję do zapoznania się ze wszystkimi nowinkami, od niestabilnych platform strzelniczych począwszy, aż do najnowocześniejszym sprzęcie optycznym skończywszy.

Liczy się realistyczne podejście.

Szkolenie do walki już samo w sobie niesie ryzyko, ale operatorzy muszą rozumieć zaplanowany chaos, który prześwituje przez siłową konfrontację.

Muszą wiedzieć, że z każdym razem, gdy sięgają po broń, stają twarzą w twarz z wyborem pomiędzy życiem a śmiercią.

Pomyłki w osądzie mogą zabić, nawet podczas treningu.

Jednostka stracił człowieka w 1986 roku, gdy spadł z helikoptera podczas ćwiczeń zjeżdżania po linie.

Nasi militarni

Północ

201

sojusznicy stracili ludzi podczas rozmaitych ćwiczeń, a przyczyną były rany postrzałowe oraz utonięcie.

To część ryzyka.

Dlatego aby wzmocnić to zrozumienie konsekwencji dokonanej decyzji, HRT przeprowadza ćwiczenia w warunkach najbardziej zbliżonych do realii.

I to dlatego FBI kupuje każdemu operatorowi ponad tysiąc sztuk amunicji.

Niektórzy mogą uważać takie szkolenie za marnotrawstwo pieniędzy podatników, ale nie rozumieją, że ćwiczenia z bronią nie polegają wyłącznie na wyrobieniu precyzji.

Przemienienie kątą pomieszczenia w płonąca kulę nie przytłacza cię tak bardzo, jeśli przedtem ćwiczyłeś to już tysiąc razy.

Każdy wystrzelony nabój bardziej oswaja z tym faszem, a dźwięk każdego wystrzału przyzwyczajasz i sprawia, że akceptują gwałtowność walki.

Każde odbicie karabinu uczy rękę, jak należy go trzymać, a każda kula przelatująca obok wzmacnia zaufanie do zręczności twojego kompana.

Niektórzy instruktorzy mówią o czymś, co nazywają "pamięcią mięśni", a wyrabia ją nieustanne powtarzanie.

Ale przecież mięśnie nie mają pamięci, ma ją wyłącznie umysł, toteż ćwiczenie jej przez bliskie osvajanie się z walką jest zasadniczą sprawą dla ratowania zakładników.

Jeśli ktoś oczwartej nad ranem wpada do ciemnej piwnicy, aby uwolnić cię z rąk terrorystów (a nie sądz, że coś takiego niemoże się zdarzyć), to chcesz być przekonany do głębi serca i duszy, że jest on lepiej przygotowany, ma lepszy sprzęt i jest w większym stopniu skazany na zwycięstwo, niż ktokolwiek inny.

- Jak radzisz sobie na co dzień z tym wszystkim?

- spytał mnie przyjaciel, gdy dobiegał końca pierwszy rok mojego pobytu w jednostce.

Paliliśmy cygara i dłubaliśmy przy motocyklach niemal każdego piątkowego wieczoru.

- To musi być stresujące.

- Stresujące?

- zdziwiłem się.

Nigdy tak otym nie myślałem.

Naprawdę nie.

Codzienny trening walki w zamkniętych pomieszczeniach przyzwyczajają cię do konfrontacji.

Dołączając do jednostki, wiedziałem, że moja nowa praca stwarza bardzo duże prawdopodobieństwo wystąpienia rozterek moralnych, ale myślałem o tym tak, jak się myśli o śmierci na zawal.

Wiesz, że to może kiedyś nastąpić, ale przecież nie dziś.

Dziewięćdziesiąt procent zwycięstw stanowi świadomość, że możesz wygrać.

I dlatego każdy członek HRT traktuje treningi tak, jakby to były rzeczywiste zadania.

W pierwszym roku braliśmy udział w wielu, ale to jedno wciąż jeszcze było przed nami.

202 Zimny strzał

- Trzymajcie się, chłopcy!

Wielki Jack włączył transmisję i z silnika chrysler V-8 łodzi wydobył się charczący warkot.

Siedziałem jako drugi w rzędzie po prawej stronie nadburcia, za naszym dowódcą.

Pięciu pozostałych złotych snajperów siedziało za mną, każdy z ręką na MP-5, a z drugą ręką na siodełku.

Niebiescy snajperzy siedzieli po drugiej stronie nadburcia.

Wielki Jack kierował łodzią, stojąc tuż obok nawigatora z Seal Team 6.

Nikt się nie odzywał.

Rufa łodzi zanurzała się w wodzie, gdy tak pruliśmy naprzód, mijając rząd mew, które nie miały pojęcia, co począć z szesnastoma ludźmi z karabinami maszynowymi, i ubranymi w czarne kombinezony nomex, prującym tuż przed świtem w głąb Atlantyku.

Szary profil naszej nadmuchiwanej łodzi, czyli RIB, zlewał się z wodą i był niemal niewidoczny w tę bezksiężycową noc.

Przytłumione, bursztynowe światło wystarczało Wielkiemu Jackowi i jego sternikowi do odczytywania przyrządów nawigacyjnych, ale było zbyt nikle, aby zdradzić naszą pozycję.

- Przez trzydzieści minut będziecie się czuć, jakbyście przeżywali katastrofę kolejową - poinformował nas Jack na odprawie.

Liczący dwadzieścia osiem stóp długości pojazd wyglądał jak skrzyżowanie statku wielorybni czego i jakiegoś znaku zodiaku, ale mógł przybrać niemal pionową pozycję, stając na rufie, jeśli sternik nacisnął na gaz.

- Nie próbujcie żadnego balastowania, siadajcie, a sterowaniem to już ja się zajmę - powiedział Jack.

Nie ma sprawy - pomyślałem.

Lataliśmy już z prędkością stu węzłów, stojąc na płozach helikoptera, a maszyna leciała tak nisko, że wierzchołki drzew zabarwiły nasze buty na zielono.

Zjeżdżaliśmy też w środku nocy z helikoptera szybko po linie na pokład statku, a fale kołysały nim tak mocno, że musieliśmy wyczuć moment, w którym pokład znajdował się w poziomej pozycji, bo inaczej połamalibyśmy nogi.

Więc coż mogło być takiego trudnego w przejeździe łodzią?

Spojrzałem dokoła, chcąc się upewnić, czy wszyscy podzielają mój optymizm.

Beef siedział dokładnie naprzeciwko mnie, był tak wielki, że jego kuloodporna kamizelka uderzała w faceta siedzącego z tyłu.

Byłby z niego dobry przywódca, gdyby nie to, że Beef nie funkcjonował tak samo, jak większość normalnych ludzi.

Czytałem kiedyś, że Reggie Williams, słynny obrońca liniowy w drużynie Dartmouth i kapitan

T

Północ 203

Cincinnati Bengals, zawdzięczał swój sukces "szybkości, zręczności i spowolnionej reakcji na ból".

Ten opis pasował również do Beefa, z wyjątkiem szybkości i zręczności.

Kiedy walnęliśmy w falochron, wielki silnik V-8 wydał cienki pisk, a następnie

zafundował nam taki cios, że moje boksowanie nasali gimnastycznej w Finley w Waszyngtonie wydawało się w porównaniu z tym niewinną zabawą.

A tymczasem dzióbłodzi wciążunosili się ponad falami, zawisał nad nimi na sekundę, a potem walił się w dół, wytrząsając z nas ducha- to znaczy z każdego, oprócz Jacka i "seala".

Oni stali prosto, pochylając się tylko lekko zgodnie z kierunkiem wiatru wiejącego z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę, jakoś całkowicie odporni na to zaplanowane skopanie nam tyłków.

- Kurwa mać!

- wrzasnałem na cały głos, a dotyczyło to nie tyle samej jazdy, co braku zainteresowania Jacka jej przebiegiem.

Trzydzieści minut później zsunąłem w dół noktowizor niczym przyłbicę i przygotowałem się do wysiadania.

Czułem siętak, jakby w każdy kawałek mojego ciała ktoś walił cieńszym końcem młotka.

Ale teraz trzeba było skoncentrować się na zadaniu, które mieliśmy wykonać.

Scenariusz mówił, iż pięciu członków jakiegoś nieznanego grupowania zrzeszającego obrońców przyrody, a noszącego nazwę "Ziemia na zawsze", wzięło 30-40 osób w charakterze zakładników i przetrzymuje ich w nadatlantyckim kurorcie Nags Head w Północnej Karolinie.

Według informacji uzyskanych od negocjatorów, początkowy plan porywaczy zakładał tylko podłożenie bomby w kominie starego statku, na którym odbywały się wieczorne przyjęcia.

Wszystko jednak wzięło w łeb, gdyż bomba wybuchła za wcześnie, zabijając troje ludzi i raniąc dwanaścioro.

Kiedy przybyli negocjatorzy, porywacze uwolnili dwie ciężarne kobiety, ale zagrozili, że zabiją wszystkich pozostałych zakładników, o ile nie otrzymają obietnicy swobodnego wyjazdu do Chile.

Nasz rozkaz operacyjny przewidywał przeprowadzenie ataku tuż przed świtem.

Nic nie wspominał, czy mamy strzelać do żywych ludzi, czy też do wyciętych z papieru sylwetek, ani też o samym budynku.

Wiedzieliśmy, że nasza broń jest załadowana prawdziwym inabojami i że wszystkie

drzwi mają być wyważone za pomocą ładunków wybuchowych.

- Zaczekaj, aż każe nam wysiąść z łodzi - usłyszałem nagle swój głos, gdy tymczasem Wielki Jack nagle ustawił silnik na jałowym biegu.

204 Zimny strzał

Z bezksiężycowego nieba nie sączył się ani jeden promień światła, panowała absolutna cisza, którą zakłócał tylko niski warkot naszego silnika oraz chlapanie wody o kadłub.

Łódź wolniutko dopłynęła dopiaszczystych diun.

Mniej więcej pół mili nalewo ode mnie migotały światła jakiejś restauracji.

- Ruszamy.

Komenda Jacka padła na tyle głośno, że usłyszałem ją przez słuchawki radiowe.

- Na tę stronę.

Wstałem z siedzenia przypominającego siodełko motocykla, przerzuciłem nogę przez gumową burtę i zniknąłem pod wodą.

Spadałem w dół, woda przykryła mnie z głową, a ja ciągle szedłem na dno, aż stopy poczuły miękki piasek.

Przedtem zdążyłem jeszcze złapać z pół oddechu, wtedy, gdy zrozumiałem, że Wielki Jack pomylił się w obliczeniach, a zanim jeszcze woda zakryła mi horyzont.

Sześćdziesiąt funtów sprzętu ważyło wiele więcej, jeśli siłujesz z tym pływać.

Jedno, co mogłem zrobić, to skierować się w stronę brzegu, idąc po dnie i przypominając sobie ćwiczenia z noszenia skrzynek z amunicją po bagnistym terenie.

Gdy wreszcie wyłoniłem się na powierzchnię, płuca paliły z braku powietrza.

Każda rzecz z mojego sprzętu wykapała się w morskiej wodzie.

Wypróbowałem noktowizor - przeszedł już do historii.

Załadowałem mój karabin MP-5 tylko po to, aby zobaczyć, jak spod magazynka wypływa woda.

Byłem ciekaw, czy granaty działają, gdy są mokre.

Jak przedstawia się wówczas ich siła wybuchu.

Nadal nie znalazłem odpowiedzi na to pytanie, gdy przykucnęliśmy za naszym ostatnim schronieniem, mniej więcej pięćdziesiąt jardów od restauracji.

Złoci snajperzy skupili się za dużym śmietnikiem, czekając na niebieskich, aby ocenić sytuację i wspólnie zaatakować budynek od frontu.

Dowódca HRT poszerzył brygadę szturmową o złotych niebieskich snajperów, a to zezwzględniła liczbę zakładników w wielkość budynku.

Snajperzy, chociaż zarabiają na życie strzelaniem, to wszyscy rozpoczynają swoje kariery jako szturmowcy i potem, jeśli tylko zajdzie potrzeba, są gotowi do pełnienia podwójnej roli.

Spojrzałem w górę na dwupiętrowy budynek.

Punkt, w którym należało podłożyć ładunek wybuchowy, wyglądał nędznie; zwyczajnie strzał otworzyłby go szybciej niż klucz.

T

Północ 205

- Gotowi?

spytał dowódca.

Sześć kciuków uniosło się w górę.

Żadnych słów.

Walczyłem jak diabeł, aby oczyścić swoją broń z piasku, ale ciemności nie pozwalały upewnić się, czy działa.

Kolimator też pewnie

szlag trafił.

- Złoci snajperzy do TCO.

Jesteśmy w żółtym.

Proście o kompromisowe rozwiązanie i opozwolenie przejścia na "zielony".

Przynajmniej moje radiowcięż działało.

"Żółty" oznacza ostatnie stanowisko, gdzie można się ukryć, lub też samą kryjówkę.

Natomiast "zielony", to "ziemia niczyja", czyli obszar pomiędzy żółtym punktem a miejscem, na które ma być dokonany atak przy użyciu ładunków wybuchowych.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to dojdziemy do drzwi, podłożymy materiały wybuchowe i dokonamy skoordynowanego ataku.

Ale czasem sprawy nie układają się gładko.

Zdarza się, że znajdziesz się na ziemi niczyjej, pomiędzy bezpiecznym punktem a tym kurewsko złym, i terroryści cię widzą, a tobie pozostaje tylko jedno - walczyć. I to nazywasz kompromisowym rozwiązaniem.

- TCO do wszystkich jednostek.

Wszystkie są na żółtym.

Teraz kompromisowe rozwiązanie i zgoda na przejście na zielony.

Boat przesunął się przede mną, dziesięć stóp pomiędzy nami, tak jak planowaliśmy.

Przykucnął, celując w budynek, szukając czegoś, co rozlokowani wokół snajperzy mogli przeoczyć.

Ja obserwowałem pierwsze piętro, przeczuwając, że na werandzie mogą być strażnicy.

Naszą jedyną osłoną był cień, a porywacze czuli się nieco niepewnie.

Boat szybko znalazł się przy budynku, a ja przykucnąłem za nim, klepiąc go po ramieniu, aby wiedział, że nie śpię.

Kiedy podchodzi się blisko, wówczas dajemy sygnały za pomocą gestów.

Najmniejszy hałas może zepsuć całą operację.

Czekaliśmy chyba z pół godziny, a przynajmniej tak nam się wydawało, aby inne brygady zajęły wyznaczone pozycje.

Nastawiłem usz nasłuchując dźwięków, od "Małych Ptasek".

Wiedziałem, iż będzie to oznaczało, że brygady Echo i Charlie zjechały z helikoptera po linie na dach.

Naszym zadaniem było przebiec się na górę, a ich - nadół.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to spotkamy się na tylnej klatce schodowej, a w domu będzie pełno darmowego jedzenia i martwych terrorystów.

Metz wysunął się do przodu z szeregu i zamocował ładunek pomiędzy zamkiem a futryną.

Drzwi co prawda sprawiały wrażenie zbyt nędznych,

^



aby zawracać sobie głowę ich wysadzeniem, ale przecież nikt nie będzie taszczyć taranu.

Rozwinął półprzezroczystą linkę detonatora i na jej drugim końcu zamocował zapalnik.

Jeden ruch i idziemy na wojnę.

- TCO do wszystkich jednostek.

Uwaga, kontrolujemy przebieg wydarzeń.

Słyszałem ich, "Małe Ptaszki", jak nadlatują, nisko, poniżej linii horyzontu i ciemniejsze niż otaczająca nas ciemność.

Kwiliły, jak małe samoloty z silnikami Coksa, którymi latałem, będąc dzieckiem.

- Pięć.

cztery.

trzy.

dwa.

Buuuum!

Komendę wykonania rozkazu słyszy się tylko wówczas, gdy ładunek wybuchowy zainstalowany przy drzwiach zawodzi.

Na szczęście musiałem się o to martwić, bo gdy szarżowałem, stąpając po piętach, drzwi już nie było, ponieważ wyleciały w powietrze.

Weszliśmy do środka.

Trzy kroki w przód, potem skręciliśmy naprawo, przez hali, przeszliśmy obok świetlicy, magazynu, zupełnie tak, jak ćwiczyliśmy rano.

Nasz oficer wywiadu otrzymał plany od konstruktora tego budynku, więc wiedzieliśmy, gdzie jest każdy załom, zakręt czy schody.

Buuuum!

Buuuum!

Ładunki wybuchowe i granaty wpadały do innych części budynku, a my posuwaliśmy się naprzód, z bronią wyciągniętą do przodu, na wypadek gdyby ktoś nagle na nas wyskoczył.

Zatrzymaliśmy się na końcu krótkiego korytarza.

Boat próbował otworzyć drzwi.

Były zamknięte.

- Wsadzić!

Metz wyskoczył do przodu i rozwalil zamek jednym strzałem zeswojego dwunastostrzałowego remingtona 870.

Ta broń nie była dłuższa niż jego przedramię.

Sięgnąłem do kamizelki Boata i wyciągnąłem granat oślepiąco-ogłuszający.

Wyciągnąłem zawleczkę.

trzy.

dwa.

buuum!

Wejście wolne.

Na planach widniało, że jest to sala konferencyjna, ale coś zmieniono.

Nie miałem noktowizora, ale przy mętym świetle, jakie dawała tabliczka informująca, że w tym miejscu znajduje się wyjście awaryjne, widziałem ścianki działowe, stoły, pudełka, meble - to było jakieś biuro.

- FBI!

Padnij, padnij, padnij!

- wrzeszczeli wszyscy.

Znane głosy.

Północ

207

Ruszaj się - krzyczał mój mózg, zmuszając mnie do zajęcia pozycji: jeśli wchodzimy we cztery, to przechodzę na lewą stronę Boata, a potem przednim na ukos na prawą i idę wzdłuż ściany.

Pop, pop, pop.

Jakaś strzelanina za moimi plecami.

Zdaje się, że skurcz przebiegł mi przez twarz, gdy pokonując adrenalinę skupienie, rozglądałem się, gdzie padają strzały.

Pop, pop, pop.

Biały facet, króciusienko ostrzyżony, wyskoczył tuż przede mną.

Wymachiwał pistoletem, jak gdyby machał ręką doprzechodzącego sąsiada.

W ciemnościach nie mogłem dojrzeć padających kul, ale on upadł w rogu

przypomalowanej jasny kolor ścian czerwonawej.

Chyba nie żył.

Buum!

Chwyciłem jeszcze jeden granat, odbezpieczyłem i wrzuciłem do następnego pomieszczenia, cały czas posuwając się do przodu.

Buum!

Sto osiemdziesiąt decybeli szaleństwa.

Zamknąłem na chwilę oczy, aby uchronić je od liczącego miliony kandel rozbłysku.

Przebiegłem na ukos przed narożnikiem, wpadłem do pokoju i skierowałem lufę karabinu w stronę pustej szafy.

- Czysto!

Buum!

Buuuum!

Buuuum!

Odgłosy rozgorzałej wszędzie walki niosły się echem po pozostałej części budynku.

Zapach prochu drażnił mi nozdrza, ale ja oddychałem, zaczerpując duże dawki powietrza, aby lepiej widzieć.

- Mam tu, Boat.

- To był mój głos.

Rozbłysły światła nadgłowami, brzęczącej jarzeniówki.

- Mam jednego!

- Trzymaj to, co masz!

- odkrzyknął Boat.

- Złoci snajperzy do TCO.

Mamy dwóch zabitych.

-- Głos Boatabrzmiął spokojnie.

On przywykł już do tego.

Zdałem sobie sprawę, że się pocę.

Wszystko ucichło.

Spokój.

I to jest ten moment, w którym następuje przerwa.

Musisz się pozbierać.

Słyszałem głosy innych brygad, informujące o statystyce Trzech, czterech, pięciu terrorystów nie żyje.

Żadnemu z operatorów nic się nie stało.

Koło mnie pojawił się Metzi popchnął mój but w kierunku gardła zabitego.

208 Zimny strzał

- Ładne zgrupowanie - stwierdził, mając na myśli miejsce, w którym moje kule upstrzyły ciało zabitego.

Małe dziurki, kaliber 10 milimetrów, rany nigdy się niegoją.

- No, dobra, kończymy - wołał Boat.

- Robi się późno.

Zbierajmy się.

Ray przeszedł nad przewróconym krzesłem i podszedł do mnie.

- Cześć, Whit.

Jak ci się podobała ta pieprzona przejażdżka łódką, co?

- Potrząsnął głową i sprawdził moją zabita ofiarę.

- Chyba zatrzymamy się w mieście?

- spytał.

- Po tym głównie mnie suszy.

Na szczęście dla Stanów Zjednoczonych nie sprawdziły się przewidywania wielu ekspertów i terroryzm nie rozpanoszył się jeszcze w obrębie naszych granic.

W czasie pierwszego roku mojego pobytu w HRT przygotowywało się na tę ewentualność, ale korzystano z jego usług wszędzie tam, gdzie jedynym rozwiązaniem było użycie świetnie wyszkolonej jednostki taktycznej.

Dlatego od czasu do czasu konwojowaliśmy transport bardzo niebezpiecznych więźniów, ochranialiśmy dygnitarzy, prowadziliśmy niezwykle specjalistyczny nadzór oraz przeprowadzaliśmy operacje na morzu.

HRT jest zaabsorbowane zadaniami tego rodzaju, ale poza tym nie zaniedbuje treningów i jeszcze otrzymuje zadania o bardzo dużym znaczeniu.

Pod koniec pierwszego roku brałem już udział w dostatecznej liczbie operacji, aby

poznać ich sens taktyczny.

Pewnego popołudnia dopiero wróciliśmy z poligonu, na którym trochę sobie postrzelaliśmy, gdy nadeszła wiadomość z biura, że możemy spodziewać się gościa. Nazywał się Tom Clark i był głównym świadkiem w sprawie niewidomego szejka oskarżonego o przygotowanie planu podłożenia ładunków wybuchowych w World Trade Center.

Z kilku wiarygodnych źródeł napływały ostrzeżenia, że niektóre znane ugrupowania terrorystyczne szykują zamach na jego życie.

Biuro FBI w Nowym Jorku chciało, aby ten facet dożył procesu, i dlatego przekazano go nam.

Dwa dni potem miałem nocną wartę w schronie w pomocnej Wirginii.

Tym razem nie ukrywałem się w gęstym, ciemnym lesie.

Nadglową miałem ładnie pomalowany dach, było ciepło i widno.

W rzeczywistości jedynym dyskomfortem, na jaki mogłem się skarżyć, był konieczność czuwania, podczas gdy Clark zaśmiewał się, oglądając sitcom Three's Company.

- HR-78 do HR-28.

Północ 209

- Wreszcie - pomyślałem - jakiś przerywnik.

- HR-28, odbiór.

- W piwnicy czeka samochód.

Sprowadzisz go?

Clark usłyszał to i wstał.

Znał procedurę.

Codziennie o piątej rano podjeżdżał któryś z naszych chevroletów suburban z przyciemnionymi szybami i czekał przy specjalnej windzie.

Jeden lub dwóch pełniących służbę agentów - w tym przypadku sam - ściągało Clarka z kanapy i taszczyło nadół na jego poranne przechadzki dla zdrowia.

- Dziesięć - cztery.

Zaraz zjeżdżamy - odparłem.

Clark, mierzący 180 centymetrów i ważący 82 kilogramy Egipcjanino temperamentu jak wulkan Wezuwiusz, przekonał FBI, że ukrywanie się w schronie bardzo źle wpływa

na jego zdrowie psychicznei że potrzebuje codziennej porcji ćwiczeń.

Słowo "przekonał" jest tu za słabe.

Clark sterroryzował biuro, które odrzuciło protesty specjalistów do spraw ochrony.

W końcu wszystkie decyzje dotyczące tego faceta napływały z Nowego Jorku, przecież on był świadkiem, a my tylko zgrają dobrze uzbrojonych nianieki.

Zgasilem telewizor i wstałem, aby sprowadzić Clarka na dół.

Tak długo przebywałem w pozycji siedzącej, że krew odpłynęła mi z głowy i gdy wstałem, zakręciło mi się w głowie; a być może była to wina jarzeniowego światła, które sprawiało, że pomieszczenie bez okien wyglądało zawsze tak samo, bez względu na to, czy była noc, czy dzień.

- Hej, Metz - zastukałem w drzwi, aby dać znać mojemu nowemu partnerowi.

Spud właściwie przeniósł się do brygady nurków.

Po trzech latach leżenia w chwastach podczas zwiadów nikt nie wątpił, że na to zasługiwał.

- Jesteście gotowi?

- spytał, budząc się z krótkiej drzemki i wychodząc z pomieszczenia obok.

Metz mówił z chicagowskim akcentem, chociaż od ukończenia szkoły podstawowej mieszkał w New Jersey.

Z kuchni wyszedł Clark z butelką wody.

Wyglądał na wypoczętego i gotowego do ćwiczeń, pomimo że nie spał całą noc.

Miał na sobie niebiesciutki jak niebo dres firmy Adidas, a na nogach śnieżnobiałe buty Nike.

Złoty łańcuch grubości mojej bransoletki od zegarka okalał jego szyję, nikiąc w dżungli czarnych włosów, które wystawały z wycięcia podkoszulka.

Wyglądał trochę jak Franco Harris, z wyraźną linią biegnącą tuż pod jąbłkiem Adama, stanowiącą granicę, do której sięgał zarost.

Kiedy prowadziliśmy go do windy, Clark nie odzywał się.

Mnie.

Zimny strzał

to odpowiadało.

Dwa dni wcześniej niemal zaprzepaścił nasze kańery,bo byliśmy już bliscy zastrzelenia go.

Otóż nagle, o trzeciej nad ranem, Tom Clark zdecydował, że ma już dość FBI i chce stąd wyjść.

Taka sytuacja stwarzała dwa problemy.

Po pierwsze, ten facet nie był aresztowany, tylko znajdował się pod szczególną ochroną, a wobec tego świetle prawa nie mogliśmy przetrzymywać go wbrew jego woli.

Po drugie, rozkazy, które dostaliśmy, stwierdzały, że niewolno mu nigdzie pójść.

Nasze zadanie polegało przede wszystkim na chronieniu go zarówno przed międzynarodowymi zabójcami, jak i przed odciskami na stopach.

Ten facet musiał być za trzy tygodnie na procesie w Nowym Jorku i oczekiwano od nas, że dostarczymy go tam w całości.

Podczas jednego z nieoczekiwanych wybuchów Clark przerwał oglądanie Three's Company, wyskoczył ze swojego pokoju i zaczął wrzeszczeć, że chce wyjść.

- Chcę, kurwa, stąd wyjść!

- darł się tym swoim twardym bliskowschodnim akcentem.

- Nie możecie już mnie tu dłużej przetrzymywać!

Chwycił pilot od telewizora i nastawił na cały regulator program Johna Rittera.

Raz, który przejął wartość w przyległym pomieszczeniu, zerwał się przybiegł tak szybko, jakby terroryści zaatakowali i wyłamali frontowe drzwi.

Metz tylko popatrzył na mnie i potrząsnął głową.

Ten gość miewał napady złego humoru niczym mrozwydrzony dzieciak.

Na ogół wszystko mijało po kilku minutach.

Ale Raz, wyrwany ze smacznego snu, wcale nie uważał tych hysterii Toma za śmieszne.

- Kurwa, siadaj człowieku i oglądaj telewizję - powiedział.

Coprawda Raz stracił nieco na wadze od czasu, gdy był obrońcą w drużynie Baylor University, ale na ogół nigdy nie musiał nikomu niczego dwa razy powtarzać.

- Kurwa mać.

Szczynty.

Gówny.

Kuurfy.

- Podczas swoich napadów Tom lubił recytować całą gamę inwektyw, ale jego dwoma angielszczyzna kłóciła się z jego temperamentem.

Wtej chwili głowaToma wyglądała tak, jakby za chwilę miała eksplodować.

- Pizda.

Tyskurwielu.

Gówny - wrzeszczał.

Aż ściany drżały, a oglądanie telewizji straciło całyswój urok.

Metzpodniósł sięz kanapy.

Cholera - pomyślałem.

- Ta sprawa rzeczywiście przybiera złyobrót.

Możeja też wstanę.

Pólnoc211

Wyczuwając obrót spraw.

Tom odwrócił się i skierował ku drzwiom.

Miałytylko dwie możliwości: pójśćna prawo, w kierunku wyjścia awaryjnego prowadzącego na schody,albo na lewo, w stronę windy.

Takczy siak, wyszedł.

Kiedy szliśmyza nim w kierunku windy, Razwyciągnął rękę i położył jaw poprzek szyi Toma.

Temufacetowi nie wolno było nigdzie wyjść.

Raz był koordynatorem wszystkich najbardziej szczegółowychreguł bezpieczeństwa obowiązujących w jednostce, a poza tym z powodzeniem kierował różnymi operacjami na całym świecie.

Ta powinna polegać naułożeniu gościa w łózczyku i daniu buzi nadobranoc.

Nanieszcześnie wszystkie nasze hipotetyczne sytuacje koncentrowały sięna tym, aby nikt nie mógłwejść do budynku, a nie przewidzieliśmy, corobić, w przypadku gdy facet będzie chciał wyjść.

- Tom - powiedział Metz -uspokój się na chwilę.

Mówił z akcentem ze środkowo-zachodnich stanów i miał niski głos, który naogół



działałuspokajająco.

Jednak Tom nie chwycił tych niuansów, bowrzeszczał z bliskowschodnim akcentem.

Wtedy postanowiłem się odezwać.

- Słuchaj, chłopie- zacząłem, przypominając sobie teorię Grubego Ala, że w wielu przypadkach rozmowa skutkuje lepiej niż broń.

-Do Nowego Jorku jest kawał drogi.

Niemasz pieniędzy, dokumentowi cholernie dużo ludzi chce cię zobaczyć martwym.

Zadzwoń i zobaczymy, być może zabierzemy cię trochę naświeże powietrze.

Słyszał mnie, czy nie, ale kilkanastępnich sekund dałonam trochęoddechu, tak samo jak wszystko zmienia się wułamku sekundy podczas katastrofy samochodowej.

Raz wskoczył do windy przed Tomem, a Metz i ja utworzyliśmystandardowy trójkąt defensywny, otaczając Toma,ale odsłaniając teżpole do ostrzału.

Tom, który twierdził, że jest pułkownikiemegipskichsił specjalnych, krajowym mistrzem judo i w ogóle zawadiaką, przyjął pozycję jakdo walki.

Widziałem osiemdziesięcioparokilogramowąfurię szykującą się do bijatyki, niczym w barze.

Jeden ruch i sprawyprzybiorą zły obrót.

Oczy Toma niemal wyszły z orbit, gdy zdał sobie sprawę, co może się zdarzyć.

Ja,od chwili wstąpienia do jednostki, utylłem około ośmiukilogramów.

Raz iMetz ważyli mniej,aleumieli się bić.

Prawdę mówiąc, gdy Metz ostatni raz znalazł się w takiej sytuacji, to jego przeciwnik zakończył życie.

## 212Zimny strzał

Ludzie przyparci do muru prezentują dwa odruchy: walczą lub uciekają, i dlatego właśnie FBI zazwyczaj stara się unikać takich sytuacji.

Walkana ogół kończy siętym, że ktoś jest poszkodowany,a niemal nie ma możnościprzewidzieć,kto będziewalczył, akto rzuci się do ucieczki.

Tom zwrócił głowę nalewo, w moim kierunku, potem na prawo,w stronę Metza.

A potem spojrzalna stojącego w windzie Rażą.

Metzi ja wiedzieliśmy o czymś, o czym Tom nie miał pojęcia.

Jeden z nas będzie musiał się wycofać jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli - zabić go.

Wszyscy trzej mieliśmy za pasem browningi, a w czasie walki sprawy toczą się szybko.

Jeśli Tom wejdzie w posiadanie broni jednego z nas, pozbawi nas wyboru - będziemy musieli go zastrzelić.

Patrzyłem na tego dupka, dziwiąc się, dlaczego, do cholery, niewziąłem pod uwagę wszystkich innych ewentualności.

Jeśli się wycofamy, Tom wyjdzie, stwarzając co najmniej kłopoty, a w najgorszym przypadku - powodując niepowstrzymaną lawinę wydarzeń.

Już nawet słyszałem kpiącą informację w dzienniku NBC nadawanym w czasie największej oglądalności: "Dziennik NBC donosi, jak to koronny świadek FBI uciekł ochronie, którą sprawowało nad nim HRT, i ruszył prosto ku grożącemu mu niebezpieczeństwu".

Jeśli będziemy obstawać przy swoim, to groziło użycie przemocy.

Krótką informacją wstępna przed dziennikiem brzmiałaby: "Specjalny agent FBI postrzelił nieuzbrojonego świadka w areszcie prewencyjnym".

Żadnych tych rozwiązań nie wyglądałoby najlepiej w moich aktach osobowych.

Oczy zwięzają się, pot występuje na czoło, pięści się zaciskają, a kostki na rękach stają się białe.

Stoczyłem nieco więcej walk, aniżeli tylko te na pięści, a ta miałyby być jedną, której muszę poświęcić nieco czasu.

Dochodzisz do tego punktu, zanim jeszcze zaczniesz tryskać krew, ale wtedy już nie ma odwrotu.

- Kuuurfa mać!

- wrzeszczał Tom.

Dał nura do windy, odepchnął ramionami Rażę i zaczął walić do upadłego głową o stalową ścianę.

Wraz z Metzem stanęliśmy w drzwiach, a tymczasem Tom na swej własnej śniadanej twarzy dawał pust całym tygodniom hamowanej wściekłości.

Walił głową i pięściami w ścianę, walcząc niczym zwierzę w klatce.

Kiedy skończył, zwiesił głowę, odwrócił się i jakgdyby nic się nie stało, rozsunął nas i poszedł oglądać telewizję.

Winda do dziś nosi

Północ

213

^

ślady tejfurii, ale zadrapania i rany na twarzy Toma zagoiły się dość szybko.

Gdy z Metzem czekaliśmy wraz z Tomem przy windzie, aby zabrać go na spacer, wciąż miałem w głowie wspomnienie tamtego zdarzenia.

Minęło dopiero czterdzieści osiem godzin, ale Tom był cichutki jak myszka.

- Jesteś gotów?

- spytałem.

Skinął głową i poszedł z Metzem do windy.

Od tego jego ataku i uspokojenia się ograniczyliśmy naszą konwersację do minimum.

Raz czekał na nas na dole, w piwnicy.

Miał przy sobie radio i karabin MP-5.

Usiadłem z przodu, na miejscu dla pasażera, a Metz wraz z Tomem usadowili się z tyłu.

Nikt się nie odzywał.

Nasze poprzednie rozmowy były to niekończące się historie o dokonaniach Toma, o jego możliwościach skopania tyłka całemu światu i zdolnościach do zarabiania pieniędzy.

Jednakże w windzie uświadomił mi, że był tylko otyłym informatorem w średnim wieku, ukrywającym się przed całym islamskim światem w małym mieszkanku.

Nawet wynosząca milion dolarów nagroda, którą miało trzymać za swą współpracę z wymiarem sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych, wymykała mu się z rąk.

Jeden z nowojorskich agentów powiedział mi, że była żona Toma ostrzy sobie pazury w celu wystąpienia o podział majątku.

- Już dojechaliśmy.

Chodźmy - powiedział Metz.

Jechaliśmy szybko wśród panujących przed świtem ciemności.

Zajechaliliśmy na gęsto zalesiony teren.

Najbliższy dom znajdował się w odległości kilkumil.

Raz znalazł na kamienistej drodze dogodnie do zaparkowania miejsce, zgasił światła i wyłączył silnik.

- Poczekaj tu - poleciłem.

Tom siedział w samochodzie spokojnie

i był nienaturalnie cichy.

Raz ja sprawdziliśmy teren, aby mieć pewność, że jesteśmy sami, po czym otworzyłem drzwiczki auta i skinąłem Toma, aby wysiadł.

Było ciepło i wilgotno; Tom przecierał zaspane oczy.

Sprawiał wrażenie zbitego, niemal potulnego.

- Tędy.

Poprowadziłem Tomą w głąb lasu, wzdłuż drogi używanej przez drwali.

Trzech chłopaków z brygady Echo już ją przeczesało i usunęło potencjalne zagrożenie, więc szedłem szybko, próbując dostarczyć Tomowi fizycznej zaprawy, której tak bardzo się domagał.

214 Zimny strzał

Szliśmy może z dziesięć minut, gdy Tom zatrzymał się i potrząsnął głową.

Odwróciłem się, żeby zobaczyć, co się stało.

Jego pobyt w lesiu miał trwać trzydzieści pięć minut.

- To już dostatecznie daleko - powiedział.

- Ty zrób to tutaj.

- Zrobić to tutaj?

- spytałem.

- Ale co?

Spojrzałem na Rażę i Metza, spodziewając się jakichś wskazówek, ale oni tylko potrząsnęli głowami.

- Dalej nie idę.

Zrób to tutaj.

Odetchnąłem i starałem się patrzeć na Metza.

- Wiem, po comnie tutaj przyprowadziliście.

Żeby mnie zabić - powiedział Tom.

- Zabijcie mnie tutaj.

Dalej nie idę.

Żadnego strachu, żadnego żalu.

Ten człowiek był gotów umrzeć.

Pochodził ze świata, w którym takie przechadzki kończyły się kulawłęb.

Wyobrażam sobie, że sam kilkakrotnie pociągnął za spust.

Zacząłem się śmiać, ale się opanowałem.

Nagle zrozumiałem jego małomówność.

Od chwili, gdy nie udało mu się ucieczka, był przekonany, że go zabijemy.

A może tak sobie nawet zaplanował, żeby narobić kłopotów.

Być może myślał, że go nie lubimy.

Bez względu na przyczynę, spokojnie poszedł, wsiadł do samochodu i wszedł w głąbiemnego lasu z trzema uzbrojonymi facetami.

Do tego trzeba mieć jaja.

Tego ranka wiele nauczyłem się o determinacji i charakterach ludzi z Bliskiego Wschodu.

Możesz całymi dniami pochłaniać lektury na temat terroryzmu, lecz dopóki nie staniesz twarzą w twarz z człowiekiem, który gotów jest umrzeć bez szemrania, całe to czytanie nie ma sensu.

Dziękowałem Bogu, że tamtego ranka Tom Clark znalazł się po naszej stronie, i bardzo źle, że jest wielu mu podobnych, którzy tego nie zrobili.

Księżka TRZECIA

Przewędrowałem przez Padół Człowieczy Przez padół zamieszkały przez mężczyzn i kobiety A słyszałem tam i ujrzałem tak potworne rzeczy O jakich zwykli wędrowcy nigdy nie słyszeli.

WILLIAM BLAKE.

Wymarsz

Rok prawie minął od przeprowadzki do Wirginii, gdy mój pogląd na zawód snajpera uległ zmianie - i to raz na zawsze.

Właśnie siedziałem w naszej klasie na pożegnalnym przyjęciu jednego z kolegów i jadłem pizzę, popijając piwem, gdy przysiadł się do mnie Raz, wziął w palek kawałek pepperoni i nachylił się, by coś powiedzieć.

- Byłem w biurze - oznajmiłem dość miękko, aby wzbudzić moje zainteresowanie  
- i myślę, że mamy pracę.

PRACA.

To słowo natychmiast wzbudza podniecenie.

Aczkolwiek zamieszkiwaliśmy Los Angeles i pościg za Dannym Rayem Homingiem nieco uśmierzyły mój entuzjazm, to PRACA wciąż oznaczała możliwości, inny smak tego rzadko próbowanego koktajlu, w którego skład wchodzi oczekiwanie, adrenalina i dreszcz emocji.

Raz wyszeptał:

- Słyszałem, że jedziemy do Idaho.

Trudno wytłumaczyć, jak wygląda w naszej pracy oczekiwanie.

Trenujesz, aby być przydatny w trudnych sytuacjach, planujesz nawet wszelkie wypadki i gdy nie śpisz, to większość czasu spędzasz, przygotowując się do katastrofy.

Ale przygotowanie rzadko ponagla potrzebę.

Przeważającą część czasu spędzasz, umacniając pokój, a w głębi ducha masz nadzieję, że pojawi się jakieś zagrożenie.

Strażacy znają to uczucie, a także łowcy nagród oraz strzelcy.

To biznes oparty na nieszczęściu i nikt nie chce przyznać, że sprawia mu on radość.

W HRT nie było żadnego alarmu związanego z nowym zadaniem ani też syreny, że się pali.

Od czasu do czasu na pagerze wyskakiwały cyfry 888, ale najczęściej rozmowa o jakiejś akcji rozpoczynała się od tego, że ktoś coś podsłuchał - a więc po prostu odplotki.

Tobyłotak, jak szósty zmysł, jak emocje, które ogarniają cię bez uprzedzenia.  
Chłopaki zaczynają patrzeć na siebie, rozdymają nozdrza i kiwają głowami.  
W powietrzu, oprócz zwykłego zapachu płynu do czyszczenia.

218 Zimny strzał

broni, wyczuwa się napięcie.

To tak, jakby pięćdziesięciu jednojajowych bliźniaków w tej samej chwili wyczuło podekscytowanie, które odczuwa ich brat.

- Zastrzelono jakichś szeryfów - powiedział Raz.

W jego głosie prawie nie słyszało się emocji.

Zmusiłem się do przełknięcia kawałka pizzy i wybełkotałem kilka pytań.

Kto?

Jak?

Dlaczego?

Wydawało się, że wszyscy w sali usłyszeli tę wiadomość.

Zewsząd padały zadawane przyciszonym głosem pytania, jak gdyby odpowiedź była zbyt drogocenna, aby wypowiedzieć ją głośno, a chłopcy zaczęli zniknąć, aby się spakować albo przygotować rzeczy, na wypadek gdyby z tych przypuszczeń miało coś wyniknąć.

Kilka minut potem wezwano dowódców brygad na zebranie przy drzwiach zamkniętych, a chłopcy poszli do siebie, aby jak najszybciej się przygotować.

Takie spotkanie dowódców niemal zawsze oznaczało jedno - pracę.

Idaho.

Wieść rozeszła się szybko i każdy skierował się do swojej szafki ze sprzętem.

Nie było co prawda żadnej oficjalnej informacji, ale plotka jest donośniejsza niż jeden alarm.

Właśnie przepakowywałem torbę ze sprzętem, gdy do magazynu złotych snajperów weszła reszta mojej brygady.

Każda brygada ma tam wydzieloną powierzchnię wielkości pokoju, gdzie trzyma broń, sprzęt taktyczny i inne potrzebne w tym fachu rzeczy.

To taki rodzaj szatni, wypełnionej zazwyczaj śmiechemi koleżeńską atmosferą.

Spędzamy tam wiele czasu, czyszcząc broń, przeglądając sprzęt i gadając, ale 21 sierpnia 1992 roku byliśmy zajęci wyłącznie sprawami zawodowymi.

Pierwsze doniesienia mówiły, że banda radykalnych białych separatystów zabiła co najmniej jednego zastępcę szeryfa, a to wszystko wydarzyło się daleko w górach.

Rozegrała się tam krwawa walka, podczas której kilku szeryfów dało się wciągnąć zacieklej strzelaninie.

Jak powiedział jeden z kolegów, o tej porze roku jest tam zimno, a chyba zostaniemy tam jakiś czas, wobec tego lepiej spakować ciepłe rzeczy.

Zacząłem przekopywać wielką torbę, w której miałem pełno ciepłych ubrań.

Odzież z Gore-Texu na wypadek deszczu i bieliznę z polipropylenu.

Lata spędzone na zimowych obozach w Nowej Anglii nauczyły mnie, jak ważne jest właściwe ubranie, a nasza jednostka wyposażała nas we wszystko, i to najlepszej jakości.

Odłożyłem rzeczy, które moim zdaniem mogły się przydać, i wepchnąłem do plecaka.

Wymarsz 219

Następnie wyciągnąłem karabin i upewniłem się, czy mam odpowiedni zapas amunicji.

Poruszyłem za spust, przetarłem celownik, zajrzałem do lufy i sprawdziłem, czy mój "dziennik" jest uzupełniony na bieżąco, czyli czy zawiera opis każdego oddanego strzału, jego dokładność, panującą wówczas temperaturę i wilgotność.

Od czasu ukończenia szkoły snajperów wystrzeliłem ponad 3000 naboju z odległości ponad 1000 jardów.

Strzelałem pod dużym kątem z wysokich budynków, w suchym, pustynnym powietrzu, w styczniowych temperaturach poniżej zera oraz w upale tak nieznośnym, że wskutek drgania obrazu celownik optyczny był bezużyteczny.

W tym utworzonym przez mnie katalogu opisany był każdy strzał, jaki oddałem.

A wszystko po to, aby udokumentować zmienność.

Nikt nigdy nie pyta, jak strzelałeś, ale zawsze chcą wiedzieć, dlaczego spudłowałeś.

W precyzyjnym strzelaniu z dużej odległości liczyło się wszystko - sposób, w jaki wkładałem pierwszy nabój, a nawet rytm mojego oddechu podczas obliczania siły napędowej.

Sztuka strzelania pociągała mnie.



Każdy strzał był wyzwaniem, ponieważ na jego precyzję wpływ wprost nieskończona liczba czynników.

Samo ustawienie krzyża na celu i pociągnięcie za spust nic nie znaczy.

Trzeba odgadnąć kierunek wiatru, siłę napędową wpływ pogody, następnie połączyć skutki wszystkich tych czynników.

Czasem może się zdarzyć coś banalnego, na przykład promień słońca padnie na soczewkę celownika i na odcinku dwustu jardów zmieni tor kuli o cal lub więcej.

Nie jest to dużo, gdy rzucasz piłką baseballową, ale dla zakładnika może oznaczać przedwczesną śmierć.

Na futerał, w którym trzymałem karabin, widniał białymi, drukowanymi literami napis: "Prawda", ponieważ właśnie to moim zdaniem ta broń tożsamiła.

Zarówno prawdę, jak i moją broń traktowałem z takim szacunkiem, z jakim podchodzi się do rodzinnego spadku.

W moim zawodzie stanowiła podstawowe narzędzie pracy i posiadała straszliwą siłę, na której, o czym wiedziałem, mogłem polegać, gdy pewnego dnia przyjdzie mi ocalić własne lub czyjeś życie.

Toteż gdy wyruszałem na akcję, najpierw sięgałem po broń.

Kiedy wracaliśmy powypelnionym zadaniu, to nie.

Ale w moim arsenale znajdowała się także inna broń i ją też musiałem przejrzeć.

Sprawdziłem i zapakowałem automatyczny karabin CAR-16 kalibru.

223, przydamy podczas patrolowania.

Były mały, lekki.

220 Zimny strzał

i bardzo dokładny przy odległościach nieprzekraczających dwustu jardów.

"Prawda" służyła mi, gdy już wybrałem i zająłem snajperskie stanowisko, ale CAR dawał mi pewność, że dotrę do tego miejsca, z którego miałem oddać strzał z MP-5.

I wreszcie zapakowałem swój M-14, przeżytek z wojny wietnamskiej, który wciąż się liczył, ponieważ był precyzyjny i miał niszczącą siłę przy nabojach kalibru.

308. Paczka ich była niezmiernie lekka, co miało znaczenie, gdy trzeba było

długość pieszo.

Kilku snajperówz HRT wciąż używało M-14 w charakterze broni patrolowej, ale ja posługiwałem się wyłącznie wtedy, gdy trzeba było strzelać z niestabilnego podłoża, na przykład z helikoptera lub ze statku.

- Gdzie, do cholery, jest Idaho?

- spytał Raz, pakując swój sprzęt do torby.

Pochodził z Teksasu i pierwszą wycieczką, jaką odbył w swoim życiu, był wyjazd do biura FBI w Mobile w stanie Alabama, lecz nadal był przekonany, że nigdy nic godnego uwagi nie wydarzyło się na północ od Brazos.

- Co za różnica?

- odparł Boat.

- I tak nie będzie miał czasu na żadne zwiedzanie.

Uśmiechał się, pakując do torby celownik z czterdziestokrotnym powiększeniem.

Jego pierwszą operacją niedługo po przybyciu do jednostki polegała na przywróceniu ładui porządku na wyspie St Croix, spustoszonej w 1989 roku przez huragan Hugo. Żywiół zniszczył bujną roślinność, zburzył domy i zamienił całą wyspę w rumowisko. Przestępcy uwolnieni z więzień, aby nie utonęli, odwdzięczyli się, ustanawiając własne rządy na ulicach i grabiąc wszystko, co ocalało.

Na prośbę prezydenta FBI wysłał tam HRT.

Operatorzy mieszkali w rozbitych w błocie polowych namiotach wojskowych i pracowali nadwie zmiany, patrolując ulice i wyłapując wałęsających się bandytów. To zadanie także nie dawało dużo okazji do zwiedzania.

Skończyliśmy się pakować, gdy głos przez megafon potwierdził krążące plotki.

- Wszyscy operatorzy proszeni są do klasy.

A więc czas iść do pracy.

HRT rozmieszcza swoich operatorów zgodnie z zasadą, którą wojsko nosi nazwę porządku według piątego paragrafu.

Ten taktyczny plan operacyjny, czyli "op-plan", zawiera każdą, najdrobniejszą nawet reakcję na kryzys.

Nieco mniej szczegółowy "plan ostrzegawczy" spełnia na ogół rolę szkicu wstępnego, dopóki HRT nie przygotuje

Wymarsz221

obszerniejszego planu.

Plan ostrzegawczy zawiera synopsis przestępstwa, które doprowadziło do kryzysu, ogólny plan działań oraz informacje o kluczowym znaczeniu, na przykład na temat warunków pogodowych czy szczególnych zagrożeń.

Specjalny agent inspektor Steven "Mac" McTavish, druga co do ważności osoba w jednostce, czekał, aż wszyscy się zgromadzą, poczym stanął przed nami i odchrząknął.

HRT słynęła z nadzwyczajnych i utalentowanych facetów, ale Mac się wyróżniał. Jego szerokie ramiona pokrywał gruby pancerz mięśni.

Miał krótkie, ciemne włosy i oczy jak hydra.

W sali wypełnionej setkami ludzi byłby pierwszą osobą, której obecność dałoby się wyczuć, ale ostatnią, którą można by dostrzec.

Poruszał się z rozwagą i mówił cicho, z rezerwą - dopóki sprawa niewymagała zajęcia autorytarnego stanowiska.

Wówczas zmieniał się i stawał się władczy.

Stevena McTavisha otaczała niezwykła aura zaufania, obejmująca też wszystkich, którzy z nim pracowali.

W środę mógł pić z tobą piwo i opowiadać historyjki, a w czwartek rano bez mrugnięcia okiem wypruć cię flaki.

Potrafił prześcignąć każdego, wygrać pojedynek na rękę i strzelić lepiej niż większość chłopaków w jednostce.

I wiedział o tym.

Nikt nigdy nie próbował z nim wygrać, bo Steven prędzej by umarł, niż przegrał.

Jego życiorys zawierał służbę w Korpusie Piechoty Morskiej, kilka lat w policji (w stopniu oficera) oraz otarcie się na wywiad.

Wypracował sobie stanowisko inspektora FBI, ponieważ był wyjątkowym operatorem, szanowanym dowódcą i oficerem szkoleniowym.

Nikt w całej jednostce nie wiedział więcej od Maca o taktyce czy o sposobie pracy HRT i w razie kłopotów każdy zwracał się do niego.

Był heroiczną, przerastającą swoje czasy

postacią, przesiąkniętą niepojętą cechą, która pozwalała osobom takim jak on przeprowadzić innych nawet przez bramy piekła.

Kiedy nadchodziła przełomowa chwila, ogarniał go spokój, jego twarz ciemniała, a gdy mówił - ludzie słuchali.

- Właśnie dostaliśmy telefon z centrali - powiedział, mając namyśli Kwaterę Główną FBI w Waszyngtonie.

- Dziś rano ostrzelano grupę szeryfów w odległym rejonie górskim niedaleko Bonners Ferry, w stanie Idaho.

Informacje są wciąż skąpe, ale wiemy, że co najmniej jeden zastępca szeryfa został zabity, a reszta jest osaczona.

Mamy swojego człowieka w Andrews, a teraz musimy jeszcze dowiedzieć się, czy o dwudziestej będą tam czekać na nas samochody.

222

Zimny strzał

Pięćdziesiąt par oczu utkwilo wzrok w stoickiej twarzy Maca.

Zabili stróżów porządku.

Strzelanina w odległej części gór.

Cel naszej wyprawy jest uzbrojony i niebezpieczny.

Niemal słychać było, jak pracują tryby w naszych głowach, i dało się ujrzeć rysujące się na twarzach emocje.

Wszyscy byliśmy zawodowcami, ale ktoś zamordował urzędnika federalnego, a to już było kurżące.

Mieliśmy identyczne plakietki jak zastępcy szeryfów.

Ten zamordowany nosił broń, tak jak i my, i przysięgał bronić tej samej comy Ameryki, za którą oddalibyśmy życie.

To jednego z nas zastrzelono w Idaho.

To był personalny atak na nas.

załadowaliśmy na ciężarówkę z przyczepą dwa dziwacznie wyglądające, ale nowoczesne namioty polowe zwane DRASH (przenośne, szybko rozstawiane schronienia), dwa polowe namioty wojskowe, kilka tuzinów skrzynek z wojskowymi racjami żywnościowymi, generatory prądu, pochodnie i całą masę innego sprzętu.

Służby medyczne załadowały nasz ambulans, to znaczy specjalnie przystosowany chevrolet suburban oraz materiały opatrunkowe i sprzęt medyczny ratujący życie. Piloci helikopterów przygotowali MD-530 "Małego Ptaszka" i zabrali wszystko, co tylko mogło być im potrzebne.

Nasz oficer wywiadu sprawdził i załadował na ciężarówkę zdalnie sterowany robot, a służby techniczne spakowały do specjalnej skrzynki kilka ton sprzętu elektronicznego.

Snajperzy utykali skrzynki pełne broni, tej, której używają w warunkach dziennych oraz nocnych, tłumiki trzysta ósemki i barretty pięćdziesiątki, a także karabiny CAR-16 i M-14.

Pakowali kamuflaż polowy i sprzęt do nawigacji lądowej, noktowizory i dodatkową amunicję.

Grupa szturmowa przyniosła ładunki wybuchowe, niezbędniki i kamizelki.

Wszystko działało jak naoliwione.

Część sprzętu nie została nawet zapakowana po zakończeniu ostatniego zadania, to znaczy pościgu w okolicy Wielkiego Kanionu Kolorado za zbiegłym więźniem mordercą Danym Rayem Homingiem.

W kategoriach wojskowych misja przebiegała tak jak wszystkie inne - perfekcyjnie.

Tuż po dwudziestej pierwszej załadowany po brzegi samolot transportowy C-141 dowodzony przez 459 Oddział Gwardii Narodowej Sił Powietrznych przetoczył się zwarkotem przez ciemny pas startowy w bazie sił powietrznych Andrews w pobliżu Upper Marlboro w stanie

Wymarsz

223

Maryland i wbił się w mroczne nocne niebo.

Czterosilnikowy odrzutowiec aż ugiął się pod ciężarem operatorów HRT i jego służb pomocniczych, ich rzeczy, ciężarówka z napędem na cztery koła zawierająca zdalnie sterowany robot, ambulansu marki chevrolet suburban, ciężarówka i helikoptera MD-530.

We wnętrzu samolotu operatorzy HRT siedzieli cicho, czytając albo rozmyślając o

czekającej ich następnej nocy lub też na próżno usiłując choć trochę się przespać.

W C-141 niema pierwszej klasy.

Wnętrze przypomina magazyn bez okien, który wibruje jak stara pralka i ryczy, powodując hałas 110 decybeli.

Samolot jest wyladowany aż do ogona, a na ładunek składają się niezbędne pojazdy, skrzynki z wyposażeniem elektronicznym, bronią i amunicją oraz helikopter.

Pasażerowie siedzą na biegnących wzdłuż kadłuba siedzeniach z płótna, bez przerwy latają na boki, z kolanami w górę, a żeby nie ogłuchnąć, w uszach mają zatyczki z gąbki.

Nic nie widać, bo kadłubie niema okien, nic też nie słychać, bo wszystko zagłusza ryk czterech turbin.

Po godzinie lub dwóch czujesz się jak mała grająca w futbol, a potem nie odczuwasz już nic.

Poza dźwiękiem uderzeń, które nasilają się lub giną, nie ma możliwości zgadnąć, czy samolot ląduje, startuje, czy też leci na wysokości 35 000 stóp.

Tak więc pozostaje siedzieć, wibrować i myśleć, co będzie się robić, jak już dotrzesz na miejsce.

Po drodze rozmawialiśmy o czekającym nas zadaniu.

Nie mogliśmy.

Ledwie byliśmy w stanie usłyszeć własne myśli.

Lot trwał ponad pięć godzin i był szczególnie ciężki.

Samoloty pasażerskie zazwyczaj latają na takiej wysokości, na której tak nie trzęsie, wobec tego wojskowe mają do dyspozycji korytarze, których niktinny nie chce.

Pamiętam, że siedziałem tej nocy skulony, nie mogąc zasnąć, starając się zatrzymać w żołądku tę zjedzoną pizzę, podczas gdy ambulans tańczył przed moimi oczami w górę i w dół jak spętany muł.

Jedyną troską osób lecących samolotem pasażerskim jest trzymanie napojów jak najdalej od siebie, gdy maszyna zaczyna rzucać.

Myż kolei tamtej nocy staraliśmy się nie dopuścić, by wylądowała na siedmio-tonowa ciężarówka.

O drugiej nad ranem czasu lokalnego wylądowaliśmy w bazie sił powietrznych w Fairchild, nieopodal Spokane, w stanie Washington.

Padał miły, jednostajny deszczyk.

Pamiętam, jak po otwarciu tylnej rampy do rozładunku przez cały kadłub przeleciał podmuch zimne.

224

Zimny strzał

go wiatru.

Przy każdym oddechu z ust wypływał mi obłoczek pary.

W sierpniu w Wirginii jest gorąco, ale teraz nie mieliśmy wątpliwości, że już tamnie jesteśmy.

Najpierw wyjechał z samolotu helikopter, potem ciężarówka.

Ludzie w ciemnościach rozładowywali samolot, stojąc w szeregu i podając sobie z rąk do rąk tony sprzętu taktycznego i łącznościowego oraz ładując wszystko do trzech ciężarówek z przyczepami.

Niektórzy z nas pomagali przyczepić śmigła do "Małego Ptaszka", podczas gdy inni odczepiali łańcuchy od ciężarówek i odjeżdżali nimi na pewną odległość od samolotu.

Aby się rozgrzać, zabijaliśmy ręce, podskakiwaliśmy na płycielotniska.

Spojrzałem na zegarek i pomyślałem złowieszczo, że już dwadzieścia cztery godziny jesteśmy na nogach, a jeszcze nawet nie dotarliśmy do Idaho.

Kiedy rozładowaliśmy samolot, kilku z nas przeszło mały kawałek do budynku terminalu, gdzie cierpliwie czekał sznur wynajętych samochodów.

Wsiadłem do małego chevroleta sedana i ruszyłem w gęstą ciemność, na zachód drogą 1-90 w kierunku miasta, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem.

Przed nami widać było tylne światła jadących z przodu samochodów, a reflektory jadących z tyłu tworzyły zwarty szczyk.

Myślałem tylko o tych szeryfach, rannych, czekających w deszczu i błocie i trzęsących się z zimna.

Cztery godziny później dwanaście wynajętych samochodów, trzy ciężarówki ryder, biały chevrolet suburban i czerwony ciężarowy oraz furgonetka rozsunęły gęsto ścielącą się mgłę i podjechały pod mały budynek będący kwaterą główną Gwardii Narodowej nieopodal Bonners Ferry w Idaho.

Mleczna para ulatniała mi się z twarzy, gdy wysiadłem z samochodu i przecierałem zmęczone oczy.

Była dziewiąta rano i już dawno minęło podniecenie związane z nową akcją.

Jedyną rzeczą, której nie mogłem się doczekać, to jedzenie i ciepłe łóżko.

Byłem wyczerpany, jak większość chłopaków w jednostce, adzień jeszcze się nawet nie

zaczął.

Wysiedliśmy z samochodów i rozmawiając o podróży i o tym, co nas jeszcze czeka, weszliśmy do budynku.

Był mniejszy, niż się spodziewałem.

Zbudowano go z betonowych bloków, a teraz pachniał smarem silnikowym, spleśniałym płótnem i kawą.

Jedną ścianę niemal całkowicie przykrywała amerykańska flaga, a wielkie okna

Wymarsz225

wychodziły na inne pomieszczenia biurowe.

Mnóstwo jakichś ludzi, których nigdy przedtem nie widziałem, kręciło się w środku z mętnym poczuciem ważności.

W każdej sytuacji kryzysowej spotyka się innych ludzi, ale role pozostają niezmiennie.

Agenci zajmujący się wywiadem zbierają informacje i opracowują rozkład godzinowy oraz "dziennik pokładowy".

Technicy przeprowadzają linie telefoniczne, zajmują się łącznością radiową i zapewniają wzajemne porozumiewanie się.

Personel Taktycznego Centrum Operacyjnego (TCO) dba o to, aby dowództwu niczego nie brakowało.

Negocjatorzy gadają bez przerwy, wszystko omawiając i układając scenariusze, specjaliści agencji (SAC) biegają wokół, demonstrując swoje decyzje, a ich



pomagierzy biegajązanimi,również manifestując stanowczość.

Jest też zawsze kilku wyższych rangą funkcjonariuszy FBI, zazwyczaj drażliwych i nerwowych, którzy przekazują nam informacje.

I zawsze jest też kilku biedaków odczarnej roboty, jak my, którzy zawierzyli swoje tyłki tym facetom, a oni dopiero co zdjęli eleganckie trenczei potrzebują trochę pomocy, ale nie wiedzą, jak mająo nią poprosić.

My, operatorzy, byliśmy tam, aby zaoferowaćtaktyczne rozwiązanie.

Szturm.

Tego dnia o dziesiątejrano czułem się jak wojownikgotujący się dobitwy.

Ale w tymwszystkim tkwi pewna ironia.

OtóżHRT, największy i najznakomitszy tancerz na tym balu, zawsze musiczekać na jakiegoś ubranego w gamiturek menedżera, którynada ton.

Negocjatorzy muszą negocjować, psychologzy - dokonywać psychoanalizy, a ci wszyscy niewidzialni biurokraci gdzieś tam w Waszyngtonie muszą zanudzać się dźwiękiem swoich świętoszkowatych głosów,zanim na arenę wejdzieHRT.

Z tego, co dotychczas widziałem,proces rozwiązywania kryzysu wydaje się zawsze przebiegać wedługtego samego scenariusza, nudnego jak tasiemcowe zdanie, ale HRT jestniezmiennie na samymjego końcu - niewkracza do akcji, dopóki nieucichnie cała gadanina.

Tego ranka stojąc w kwaterze Gwardii Narodowej, zdałem sobiesprawę, że cały tenproces właśnie się zaczął.

Otrzymaliśmy niewielką, alecenną informację natemat bitwy, do której mamy się włączyć,lecz podejrzewałem, podobnie jak wielu innych,że na razienic więcej się nie dowiemy.

Wszyscy wiedzieliśmy doskonale, jak przetrwaćtę próbę, po prostu trzeba usiąść i tak trwaćgodziny albo nawet dni,apodem wreszcie nadejdzie czas akcji.

Wiedziałem, że ta jazda na.

226Zimny strzał

diabelskim młynie emocji zniszczy mnie, jeśli na to pozwolę, wobectego znalazłem

sobie czysty kawałek betonowej podłogi, położyłem się i zamknąłem oczy.

Drzemałem czy nie, to jednak ten wypoczynek nie trwał długo.

Ktoś wychylił się ze znajdującego się obok pokojukonferencyjnego i oznajmił, że wkrótce zacznie się briefing.

Briefing.

Wreszcie.

Jak jesteś już na miejscu, to wydaje się, że zawsze jest czas, a informacja zawsze się spóźnia, ale my byliśmy już tu od pięciu godzin i niewiedzieliśmy niemal nic na temat tego, co nas czeka.

Nowoczesne systemy łączności umożliwiają porozumiewanie się z pokładu samolotu C-141 z ziemią, ale ryk silników odrzutowych powoduje, że rozmowa telefoniczna staje się srogim wyzwaniem.

Jeśli ktoś w tym budynku wiedział, w co się pakujemy, to tym kimś na pewno nie byłem ja.

Wstałem i wmieszałem się w morze kombinezonów kamuflażowych, które napływały do pokoju konferencyjnego w tylnej części budynku.

Ktoś przypiął zdjęcie wielkości plakatu, przedstawiające zalesiony obszar, abyśmy mogli zapoznać się z topografią i poszyciem.

Dla nasjpera są to ważne szczegóły, toteż gdy nasz dowódca szedł w kierunku ównicy, ja z uwagą studiowałem zdjęcie.

W pierwszym roku mojej bytności w jednostce Dick Roberts wydawał się człowiekiem z dystansem i o złożonej osobowości.

Oficjalnie był on dowódcą naszej jednostki, zastępcą naczelnika (ASAC) biura terenowego w Waszyngtonie.

Jednak z tym stanowiskiem nie jest związana duża odpowiedzialność.

To drugie szczebel w karierze i zazwyczaj wiąże się z funkcjami administracyjnymi.

Zastępcy naczelników biur terenowych odwalają mnóstwo brudnej roboty biurowej i robia to dopóty, dopóki nie dowiodą, że nadają się do pełnienia roli dowódców.

Roberts był jednak inny.

Aczkolwiek oficjalnie podlegał naczelnikowi biura terenowego w Waszyngtonie, odpowiadał wyłącznie przed najwyższym irangą w Kwaterze Głównej FBI.

Dowodził odizolowaną jednostką, usytuowaną poza głównym nurtem biurokratycznym, i

niewielu rozumiało, o co tu tak naprawdę chodzi, nikt też nie tracił czasu, aby się dowiedzieć.

Jego ludzie nie prowadzili żadnych śledztw, nie korzystali z żadnych informatorów i nigdy nie musieli troszczyć się o trudy zdobywania szlifów przez zabieganie o zgodę na zakładanie podsłuchów lub przez błyskotliwe akcje kontrwywiadowcze.

Operatorzy HRT przychodzili do pracy w szortach i T-shirtach.

Codziennie dwie godziny spędzali na sali gimnastycznej, wystrzelili w ciągu roku tysiące

Wymarsz 227

kuł bez potrzeby wypełnienia jakiegokolwiek formularza.

Agenci FBI nie pracują w ten sposób.

Podczas operacji w więzieniu Talladega Roberts stał się bohaterem.

Zaskarbił jednostce nowe pokłady zaufania.

Każdy zestróżów prawa, od prokuratora generalnego Williama Barra począwszy, aż do najniższych szczebli darzył Roberts wielkim szacunkiem.

Przecież zwycięstwa nie przypisuje się wykonawcom, którzy ryzykowali własne życie i działali płynnie.

Ono należy do dowódcy, który wszystko zaplanował, zrealizował i obmyślił największy ładunek wybuchowy do wysadzenia drzwi, jakiego kiedykolwiek użyły amerykańskie siły stojące na straży prawa.

Dick Roberts był inteligentny, charyzmatyczny i wygadany.

W sierpniu 1992 roku Roberts nosił kuloodporny pancerz, który tworzyło jego własne ego - i to dawało mu rangę gwiazdy.

Widać to było po sposobie, w jaki się poruszał i rozmawiał z operatorami.

Rządził niczym cesarz, który nie marnował czasu na drobiazgi takie jak zapamiętywanie imion operatorów lub jakichś ich kłopotów.

Kiedyś zapuściłem niecodłuższe baczki niż zazwyczaj.

Roberts odwołał Maca na bok i zapytał, jak mam na imię.

- Mówisz, Chris?

- spytał.

- Taaak, a jak ma na nazwisko?

- Whitcomb- przypomniał mu Mac.

- Chris Whitcomb.

Roberts zaczął się robić czerwony ze złości.

Przejście od spokoju do furii zajmowało mu tyle czasu, ile potrzeba tyłkowi, aby przygotować się do pierdolenia.

- Tak, no cóż, powiedz Elvisowi, że baczki wyszły z mody dwadzieścia lat temu - warknął.

- Maje zgolić.

Zgoliłem tego samego popołudnia.

Roberts to wysoki mężczyzna, ma pewnie ze 188 centymetrów wzrostu.

Gdy jest w dobrym nastroju, to może uciekać się do tego swojego transcendentnego chamie'u, którego używają politycy w celu zyskania poparcia tłumów.

Jeśli go prowokować, to miewa wybuchy wściekłości tak gwałtowne, że bycie świadkiem takiego jest równoznaczne z zestawieniem u podnóża wielkiego wodospadu i topienia się pod niszczycielską siłą strumienia.

Jego gniew napełniał pomieszczenie gigantycznym rykiem, pieniając się i kłębiąc nad tobą, podczas gdy ty zaczynałeś tonąć.

Najpierw powietrze nieruchomiało, tak jak to się dzieje przed tornado.

Potem cienkie wargi Roberta zaciskały się niczym struny, jego oczy pod półprzezroczystymi brwiami wychodziły z orbit, jad wypełzała na niego...

228 Zimny strzał

twarz, skronie pulsowały, a czerstwa cera stawała się purpurowa.

Zdawało się, że jego ostry jak brzytwa rysy za chwilę zaczną się ciąć i siekać, jak gdyby byli z papieru.

W Quantico krążyły legendy o wybuchach furii Roberta.

Nie raz wzywał do swojego biura tych operatorów, których uważał za niesfornych, i zamieniał ich w galarete.

- Odetnę ci jaja, a ciebie odeślę do biura w Waszyngtonie - zwykł krzyknąć.

Banicjastała się jego ulubioną groźbą, którą co i raz wyciągał rękawa.

Wszyscy uważaliśmy, że zostać wyrzuconym z jednostki to gorsze niż śmierć - i on też o tym wiedział.

Ta groźba stała się batem, którego mógł użyć, aby umocnić jednostkę, jeśli jej członkowie zaczęli się obijać.

Dick Roberts był niczym lampa lutowicza - spokojny i niegroźny, kiedy chciał taki być, ale rozżarzony do białości i piekący, gdy tylko pojawiła się jakaś iskra.

Tak jak każdy w jednostce, również i Dick miał przydomek: Big Red-1

(Wielki Czerwony 1), co miało odniesienie do czerwienienia jego twarzy oraz do zajmowanej pozycji.

W skrócie nazywaliśmy go BR-1.

Tego ranka w Idaho BR-1 absolutnie wypełniał sobą cały pokój.

Wyglądał wspaniale pod tą swoją mgiełką zmęczenia i oczekiwania.

Myślę, że wtedy, 22 sierpnia 1992 roku, rzeczywiście czuł się niezwycięzony.

W głębi duszy wierzył, że za dzień lub dwa wszystko się skończy, i dlatego tak wyglądał.

Dowódca HRT stojąc na małej mównicy w kwaterze Gwardii Narodowej w Bonners Ferry, mówił jasno i zwięźle.

Lokalne biuro szeryfa miało dwa nakazy aresztowania dla dwóch mężczyzn:

Randalla Weavera i Kevina Harrisa.

Byli oni przyjaciółmi i od ponad roku mieszkali razem w górskiej chacie wraz z Yicki, żoną Weavera, i czwórką dzieci.

Rano poprzedniego dnia Weaver i Harris ostrzelali zastępców szeryfa.

Zdarzenie to miało miejsce na rozstaju dróg niedaleko chaty, w której mieszkali dwaj mężczyźni.

Doświadczony oficer William Degan, zastępca szeryfa, został zastrzelony w czasie wymiany ognia.

Był to krwawy i niespodziewany atak na stróża porządku, który legalnie wypełniał swoje obowiązki.

Weaver i Harris zdaje się, wrócili do domu.

Naszym zadaniem było okrążenie chaty, zabezpieczenie terenu ewentualnie aresztowanie Weavera i Harrisa.

Aż do zakończenia akcji nasza baza i obozowisko miały znajdować się na małym polu kartofli tuż poniżej krawędzi skalnej.

I właśnie tam mieliśmy się teraz udać.

Wymarsz 229

W czasie gdy Roberts mówił, my oglądaliśmy wiszące na ścianie powiększone, lecz zamazane fotografie praw jazdy Harrisa i Weavera.

Nasz dowódca wciąż powtarzał, że obydwaj mężczyźni są uzbrojeni po zęby, a na dodatek Weaver był w wojsku w zielonych beretach i jest ekspertem od survivalu.

Obaj są gwałtowni i wielokrotnie byli aresztowani.

Co prawda śledztwo w sprawie Weavera wszczęło Biuro ds.

Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej, ale gdy Weaver nie stawiał się w sądzie, przekazano je szeryfowi.

A teraz zostali zaatakowani pełniący służbę agenci federalni, wobec tego cała sprawa przeszła w ręce FBI.

Briefing nie trwał nawet dziesięciu minut.

Roberts powiedział, że ten krótki odcinek dzielący nas od polapod Ruby Ridge przejdziemy tam założywszy punkt dowodzenia.

Trzeba będzie rozmieścić snajperów, którzy otoczą chatę Weavera i będą "mieć oko" na wszystko, co może stanąć jego silną stroną.

Zdziwiłem się, że od chwili strzelaniny, która wydarzyła się poprzedniego dnia, nikt nie obserwował domu Weavera.

Po tym, czego się dowiedzieliśmy, można się było nawet spodziewać, że Harris oraz Weaver wraz z rodziną spakowali się i wynieśli.

Byli ekspertami survivalu, a więc wiedzieli, jak przeżyć na łonie przyrody.

Przecież przez pewien czas byli zupełnie samowystarczalni, pomimo że mieszkali na odludziu.

Uważałem, iż istnieje duże prawdopodobieństwo, że spakowali się i zaszyli w górach.

Roberts zwrócił naszą uwagę na fotografie chaty i okolicy robione z samolotu.

Duże kolorowe zdjęcia pozwalały nam rzucić okiem na to miejsce, ale nie umożliwiły wyrobienia sobie wrażenia, jak ona naprawdę wygląda.

Te dwie trójwymiarowe fotografie nam odzwierciedlały topografię terenu, a już

zupełnie nie wskazywały na fakt, że chata stała na szczycie krawędzi skalnej oraz że można było tam dotrzeć wyłącznie pieszo.

Podczas odprawy nikt się nie odezwał.

Kiedy Roberts skończył, poszliśmy do naszych wynajętych samochodów, aby rozpocząć wyprawę do górskiej chaty.

Pamiętam, że gdy opuściliśmy kwaterę Gwardii Narodowej wychodziliśmy na dwór w chmurną rzeczywistość bez krzty snu i pod strugi zimnego deszczu, pomyślałem sobie, że ta sprawa może wyglądać nieco inaczej niż obraz, który przedstawił nam Roberts.

13

Zażywanie sportu

Ruby Ridge to lokalna nazwa małego występu skalnego nad doliną rzeki Kootenai w odizolowanej głuszy zwanej Narodowym Lasem Panhandle w stanie Idaho.

Droga numer 95 biegnie na północ obok Bonners Ferry przez hrabstwo Boundary, czterdzieści mil od Kingsgate w Kolumbii Brytyjskiej.

Wzdłuż tego skalnego nawisu wyrastają wysokie, wspaniałe góry, z których wyrasta Smith, szczyt o wysokości 7650 stóp, dostarczając też tysiące akrów drewna, z którego żyje większość tamtejszej ludności.

Sięgające pięćdziesięciu stóp wysokości modrzewie, sosny i brzozy wyrastają ze skalistych zboczy, wspinających się stromo w górę, biorących początek na soczystych górskich polach.

Po niebie szybują jastrzębie, a przez leśną głuszę przedzierają się wspaniałe jelenie, czarne niedźwiedzie i pumy.

To potężne, dzikie miejsce, w którym króluje czyste piękno zachowane przez Boga dla miłośników przygód, a nie wojny.

Jednak 22 sierpnia, kiedy całą potęgą przetoczyliśmy się przez liche, sklecone z drewnianych bali mostki dotarliśmy na obsadzone kartoflami pole, trudno było dostrzec to piękno.

Ciemne góry nad nami pokrywał niski pułap chmur, a deszcz zamienił drogę i pole w

koszmarne trzęsawisko, sprawiając, że rozbiecie tam obozu byłomozolnąharówką polegającą na taplaniu się w błocie.

Zbliżała się jedenasta i właśnie zaczęliśmy ustawiać namioty, gdy nadeszła wiadomość od Lestera Hazeltona, koordynatora snajperów, że błękitni snajperzy powinni przygotować się do natychmiastowego zajęcia stanowisk na półce skalnej nad chatą Weavera.

Z kolei Brygada Echo miała przygotować się, jak zwykle w przypadku tego rodzaju operacji, do natychmiastowego szturmu.

HRT zawsze miało w zanadrzu co najmniej jedno rozwiązanie taktyczne na wypadek wystąpienia jakichś nieprzewidzianych problemów.

Zgodnie z mapami, które posiadaliśmy, chata Weavera stała na szczycie skalistego kopca, z którego

Zażywanie sportu<sup>231</sup>

rozpościerał się widok na nasz obóz.

Wiedzieliśmy, że ściganymógnas usłyszeć i zająć dogodną pozycję strzelecką.

Jednostka Echo miała odegrać w razie potrzeby rolę komitetu powitalnego.

Wobec tego zlotym snajperom oraz pozostałym trzem jednostkom szturmowym pozostało rozpakowywanie sprzętu i rozbijanie namiotów.

Praca posuwała się szybko.

Wysiłek fizyczny sprawił, że nie myśleliśmy o zmęczeniu i rozgrzaliśmy się, a było przenikliwie zimno.

Sprzęt taktyczny pozostał w ciężarówkach.

Rzeczy osobiste, takie jak spiewory czy ubranie, zabraliśmy do namiotów.

Wszystko, co potrzebado utrzymania łączności, a także lekarstwa i środki medyczne, sprzęt potrzebny dowództwu i materiały logistyczne powędrowały do namiotów DRASH.

Te namioty, arcydzieło swoich czasów, przypominają lekkie, brązowe igloo.

Są wyposażone w generatory i sprzęt grzewczy, co sprawia, że ich wnętrza znacznie gorącej nad starymi namiotami ogólnego użytku (GPM), w których wojsko musiało znosić katusze przed dziesiątki lat.

Niestety ich cena jest równa cenie pokoju w hotelu Waldorf Astoria.

Kiedy już rozbiliśmy obóz, te dziwnie wyglądające schrony przemieniły kartoflisko w tajemniczą placówkę, tak jakbyśmy nagle przybyli z innej planety.



Wszędzie dookoła wyrosły wysokie radiowe anteny.

Szturmowcy ubrani w kamuflaż i w kamizelki kuloodporne wlewalipaliwo do elektrycznych generatorów i zapalali sapiące, szczękającemaszyny, by obsługiwały lampy, komputery i zakodowane telefonysatelitarne.

Machina wojenna wylewała się z ciężarówceki zapełniałanamioty.

Operatorzy sprawdzali broń iamunicję.

Dowódcy, toznaczy Roberts, McTavish, kierownik Bili Mazzonei koordynator brygad snajperów Lester Hazelton, ukryli sięw Taktycznym CentrumOperacyjnym, aby opracować plan działań.

Musieliprzygotować wszystko od strony logistycznej, przydzielić każdemuzadania, nawiązaćkontaktz Kwaterą Główną FBI oraz zaangażować innelokalne i stanowe agencjew tennarastający kryzys.

I musieli zrobić towszystko, kontrolując równocześnie bieżące sprawy, które koncentrowały się nazlokalizowaniu i aresztowaniu morderców zastępcyszeryfa, Williama Degana.

Aby jeszcze bardziej wszystkoskomplikować, dowództwo HRTnie dysponowało tu żadnymi nowoczesnymi wygodami, któremazazwyczaj w warunkach miejskich. Telefony kablowe, komputery, faksyi ekspresy do kawy powinny dotrzeć przed zapadnięciem zmroku, leczteraz rano mieliśmy jedynie mapy,lampy i to, co tylko technicy zdołali.

232Zimny strzał

podłączyć, co oznaczało, że Roberts wraz ze swoim zespołem pracowałjak w epoce kamiennej.

Około południa idylliczny kawałek położonego w górach polazamienił sięw kwitnącą społeczność posiadającą czar i estetykę wojskowej latryny.

To oddalone od świata kartoflisko zaczęło przypominaćmałe miasto zbudowane z płótna i stali.

Tak swego czasu wyrastałymiasta iobozy w okresie gorączkizłota.

Gdy pracowaliśmy, Boat wrócił z zebrania i oznajmił, że BR-1zmienił zdanie i

chce jak najszybciej wysłać wszystkich snajperów w górę, na nawis skalny.

Wobec tego porzuciliśmy rozstawianie namiotów i runęliśmy do naszych rzeczy, aby wyjąć bieliznę z polipropylenu, ubranie przeciwdeszczowe, ghille i sprzęt polowy potrzebny podczas pełnienia warty.

Boat kazał nam wziąć raczej lekkie rzeczy, ponieważ mieliśmy nie zostawać tam na noc.

W HRT było wówczas trzynastu snajperów, przyczym dwóch z nich nie przyjechało tu z nami.

To oznaczało, że jedenastu musiało otoczyć chatę, zająć stanowiska obserwacyjne i ustanowić obwód niedo przerwania.

Jak podczas wszystkich sytuacji kryzysowych, staraliśmy się tak ustawić, aby obserwować dom (czyli "punkt kryzysowy") ze wszystkich czterech stron, a także przekazywać dowództwu wynikające z naszych obserwacji informacje.

Roberts chciał, aby dwóch nas miało na oku wąwóz, żeby wiedzieć, co dzieje się w obozie.

Byłociągnięcie zapalek i obserwacja wąwozu, naszym zdaniem najgorsze zadanie, przypadła Razowi i Yodzie.

Dowództwo chciało, żebyśmy jak najszybciej opasali chatę, a to znaczyło, że teraz.

Niestety "teraz" niemal zawsze oznacza "bądź gotów teraz, żebyś mógł czekać kilka godzin, dopóki ktoś nie wymyśli, czego tak naprawdę od ciebie chce".

Język rozwiązywania sytuacji kryzysowych mógł niekiedy iść w zawody z mandaryńskim, jeśli chodzi o poziom komplikowania.

Spakowałem do plecaka dwie kwarty wody, apteczkę, radio wraz z dodatkową baterią, lunetę i poncho.

Rzuciłem okiem na "Prawdę", czyli na mój karabin, inajpierw wsadziłem do torby jego lufę wraz z pudełkiem naboju trzysta ósemek oraz nieco farby do kamuflażu.

Na szyi powiesiłem kompas, do CAR-16 wsadziłem magazynek z trzydziestoma nabojami i złapałem browning, tak na wszelki wypadek.

I to wszystko: niewiecej niż czterdzieści funtów - lekki bagaż, który mogłem szybko wnieść, przydatny aż do wieczora.

Zażywanie sportu

Wysiadając z ciężarówki, sięgnąłem do torby po ghille i odkryłem, że zapomniałem go wziąć.

Na szczęście Metz nie zabrał swojego, wobec tego sięgnąłem do jej torby, po czym pobiegłem, aby dogonić kolegów.

Tak jak było do przewidzenia, rozkaz Boata był kolejnym fałszywym alarmem.

Prawie godzinę staliśmy w nieustannie padającym deszczu, aż wyszedł Les Hazelton i przekazał wiadomość.

Nastąpiła rewizja planów.

Otóż teraz samochody terenowe miały przewieźć nas w górę, aż do miejsca, w którym zaczyna się droga używana przez drwali, to znaczy jeszcze powyżej chaty.

To rozwiązanie oszczędziłoby nam mnóstwo czasu, a poza tym zapewniało lepsze bezpieczeństwo, w razie gdyby Weaver i Harris zorganizowali gdzieś zasadzkę.

Lester kazał nam poczekać na samochody, które wkrótce miały nadjechać.

Dwie godziny później z Taktycznego Centrum Operacyjnego przeciekły informacje, że plany znów uległy zmianie.

Teraz mieliśmy się wspiąć po stromym, kamienistym terenie wąskim szlakiem, biegnącym w kierunku północno-wschodnim.

Gdybyśmy wyruszyli, tak jak to było planowane, połowę drogi już mielibyśmy za sobą.

, - Bierzcie sprzęt i bądźcie gotowi za pięć minut - powiedział Boat.

No więc znowu zaczęliśmy się gramolić i sprawdzać oraz ustawiać nasz sprzęt.

I znowu fałszywy alarm.

Dwie godziny minęły od chwili, gdy Lester przekazał informację, że Kwatera Główna FBI zrezygnowała z nowych planów i że Roberts chce, abyśmy jak najprędzej znaleźli się na górze.

Była już niemal piętnasta, co oznaczało, że od pięciu godzin staliśmy i czekaliśmy w pełnym rynsztunku.

Chata Weaver wciąż nie była otoczona i nikt nie mógł sto procent stwierdzić, czy Harris, Weaver lub reszta jego rodziny w ogóle jeszcze byli w Idaho.

Teraz upłynęła już ponad doba od strzelaniny, w której zginął Degan, a nikt nawet nie pilnował miejsca zbrodni.

Lester spotkał się z nami pięć minut później, gdy byliśmy już w drodze.

Towarzyszył mu cichy mężczyzna o surowym wyglądzie, którego nigdy przedtem nie

widziałem.

Kiedy zaczęli rozmawiać, deszcz jakbynieco ustał natych kilka minut.

- To jest Mike Reynolds z biura szeryfa - powiedział Lester.

- On był już w tej chacie i teraz wskazewam drogę.

234

Zimny strzał

Obejrzeliśmy go, dziwiąc się, po co nam przewodnik.

Nie było żadnego podawania rękianikiwnięcia głową.

Obeszło się bez uśmiechówiuderzenia dłonią w dłoń.

To był biznes, brutalny i kosztowny, a ten

facet nie przybył tu szukać znajomości.

Kiedy Lester mówił, Reynoldskiwał głową i słuchał, nie odzywając się.

Był wielkim i okazałym mężczyzną, miał szeroką, kwadratowąszczękę i tę pewność siebie, którą nabywa się w walkach.

Ci,którzy zostali ostrzelani dwadzieścia cztery godziny temu, byli jego przyjaciółmi.

Teraz FBI, które przybyło domiasta z gracją i delikatnością syreny przeciwlotniczej, obstawało przy doprowadzeniu do końca tego,co ludzie Reynoldsa rozpoczęli.

To musiały być gorzka pigułka doprzełknięcia.

Pomimo zdolności, możliwości oraz poniesionej straty,biuro szeryfanie było w stanie zapanować nad odczuciami wywołanymi tą osobistą emocjonalną tragedią.

Mike był jedyną osobą, która pozostała tu na placu boju.

Les wyciągnął zza pazuchy parki notes i potarł twarz, jakby chcąc w ten sposób usunąć zmęczenie.

Deszcz znów zaczął padać, jakby nazłość, mocząc papier, który Lesterzymał w ręku.

Para unosiła się znaszycust, gdy oddychaliśmy.

- No dobra, słuchajcie - powiedział Lester, pociągając nosemz powodu zimna.

- Kwatera główna właśnie zatwierdziła nowe zasady, których mamy przestrzegać.

Patrzyłem notatnik na nabazgrane zapiski.

Wszystkim wiadomo było, że Roberts zwrócił się z prośbą o zmodyfikowanie zasad użycia broni i że Kwatera Główna FBI blokowała nasz wymarsz w góry, ponieważ chciała je przejrzeć.

Jeśli Weaver i Harris rzeczywiście byli tak groźni, jak mówiono, to czekające nas zadanie należało do najniebezpieczniejszych, jakie może spotkać urzędnika stojącego na straży prawa.

Obydwaj mężczyźni byli silnie uzbrojeni, dobrze wyszkoleni i gotowi walczyć, toteż nowe zasady proponowane przez Roberta tylko zrównywały szansę obu stron.

"Oto nowe zasady użycia broni: jeśli na obserwowanym terenie ogłoszeniu poddania się zostanie zauważona dorosła osoba z bronią, wówczas można i należy użyć broni palnej, w celu zneutralizowania tej jednostki.

Jeśli przed ogłoszeniem poddania się zostanie zauważony jakiś mężczyzna i będzie miał przy sobie broń, wówczas można i należy użyć broni palnej.

Jeśli będziesz tam znajdować pies, należy

Zażywanie sportu

235

go usunąć.

Wobec wszystkich podmiotów stwarzających zagrożenie życia lub ciężkiego kalectwa stosuje się przepisy FBI dotyczące użycia broni".

Pamiętam, jak długo patrzyłem na Hazeltona, gdy czytał te swoje odręczne zapiski.

Te słowa mnie zdumiały.

Lester Hazelton był przywódcą natury, wojownikiem - typem szefa, którego słów i czynów nikt nigdy nie kwestionuje.

Podobnie jak McTavish i Billy Mazzone, służył w wojsku i miał wieloletnie doświadczenie w HRT.

Kroczył drogą kariery po szczeblach: najpierw był operatorem, potem dowódcą jednostki, aż wreszcie został koordynatorem snajperów.

Spoza gęstych wąsów i nieustannie żutego liściatytoniu Beech-Nut wydobywał się

jego spokojny i pewny głos.

Chodził powoli i rozmyślnie kołyszącym krokiem, jakby dźwigał naramionach ciężar całego świata- i rzadko się uśmiechał.

A jeśli już, to aby zsynchronizować ten uśmiech zgłośnym, zaraźliwym śmiechem.

Dla Lesa wszystko było albo biznesem, albo przyjemnością.

Tym lubtał.

I te dwie rzeczy nigdy się ze sobą niemieszały.

Aczkolwiekmy, snajperzy, spoglądaliśmy na Lesa Hazeltona z pewnym szacunkiem, to Dick Roberts nie.

On nigdy nie dbał o snajperów i chociaż Les nieustannie walczył o nasze interesy, to Roberts zazwyczaj traktował go jak zbędny balast.

W tym czasie Les nie był szefem jednostki i nie chciał nim zostać.

Był zadowolony ze swojej opinii autsajdera, tak jak reszta jego podopiecznych, i nigdy nie lizał dupy Robertsowi ani komukolwiek innemu.

Na respekt, jakim cieszył się wśród snajperów, zapracował swoim doświadczeniem, umiejętnościami i należytyimi osądami, a nie dzięki politycznemu poparciu.

Za naszą lojalność czasem musieliśmy zapłacić.

Les wymagał od nas wszystkiego bardzo dużo i często przydzielał nam długie, twarde zadania tylko dlatego, że nie było innych chętnych.

Każdy, kto kiedykolwiek spierał się, że jesteśmy agentami FBI, a nie prywatną własnością Korpusu Piechoty Morskiej, płacił za ten brak szacunku.

Les nie cierpiał idiotów i chłoptasiów.

Les wymagał od snajperów, aby pracowali dłużej niż szturmowcy.

Otwarcie powiedział nam, że musimy przywyknąć do zimna, potui głodu, podczas gdy szturmowcy czekali sobie wygodnych baraków na dzwonek.

Mogliśmy się spodziewać, że zdarzamy się mieć dwunastogodzinną wachtę, a potem wskoczyć w czarny kombinezon i jeszcze wziąć udział w szturmie.

Zimny strzał

- Wszystkiego nabywa się przez doświadczenie - oznajmił - a więc nie chcę już słyszeć żadnych waszych narzekań.

Jeśli chcecie opuścić jednostkę, to możecie się, kurwa, wynosić i to zaraz.

To wszystko, co Les miał do powiedzenia.

Ichociaż nie zawsze się

z nim zgadzałem, to zawsze go szanowałem.

Awięc słuchaliśmy, gdy czytał nam nowe zasady użycia broni.

Starsi agenci patrzyli prosto przed siebie, jak gdyby nie był to dła nich nic nowego.

Te nowe zasady odpowiadały im, a ja nie miałem zamiaru kwestionować ich osądów.

Właśnie tak działała jednostka.

Wszystko było podporządkowane zasadzie starszeństwa.

Starsi koledzy dostawali lepsze samochody, lepsze wyjazdy, najlepsze zadania.

To oni podejmowali decyzje i przekazywali je na dół, rekrutom.

Stanowiliśmy cywilną organizację mającą za zadanie strzeżenie prawa, lecz było absolutnie jasne, że wszystko, co robiliśmy, od składających się z pięciu paragrafów rozkazów do kombinezonów lotniczych, wywodziło się z wojska.

Nowicjusze musieli siedzieć cicho i robić to, co im kazano.

- Przeczytam te zasady ponownie - powiedział Lester i tak zrobił.

Broń "może i powinna" być użyta.

W jego głosie nie słyhać było żadnych emocji, ponaglenia czy wskazówek.

Po prostu czytał te zasady tak, jakby zapoznawał nas z najnowszą prognozą pogody.

Lester pracował efektywnie i był głęboko przekonany o szlachetności i zaszczycie pracy w FBI i w HRT.

Jeśli nawet w umyśle zakiełkowało mu ziarnko sceptycyzmu na temat tych zasad użycia broni, to

jego głos tego nie zdradził.

Rozglądałem się dokoła, nie ruszając głową.

Badłem twarze kolegów, aby dostrzec, jakich doznają uczuć.

Nic.

Ich oczy wyglądały spoza przysłony zporwanej juty, siatki na twarzy i farby

kamuflażowej, a myślibłądziły gdzieś w przestworzach, cicho jak spadająca na nas szaramgielka.

Jeśli nawet podzielali moje zdumienie, to nic na to nie wskazywało.

Curtis, byłynurek z marynarki, pociągającym zpowodudeszczui poprawiał zawieszoną na ramieniu torbę.

Dale, były pilothelikoptera, naciągał kołnierz ghille na ramiona i zezował.

Yoda, były komandosdesantowiec, mistrz dżudo i biskup Kościoła mormonów, stał sztywnoniczym słup, jak zwykle zresztą, nieugięty w swojej teorii wyższości umysłu nad sprawami przyziemnymi.

To byli moi koledzy z NOTS, nowicjusze, tak jak ja.

Ale byli to także weterani, uczestnicy podobnych akcji, wojskowi obeznani z zasadami

Zażywania sportu

237

użycia broni oraz rozkazami padającymi z ust dowódców.

Patrzyłem na nich jak dzieciak, który chce się nauczyć odpowiednich manier.

Szukałem rozwiązania, co to wszystko właściwie znaczy.

W Szkole dla Nowych Operatorów nigdy nie zetknęliśmy się z takimi sytuacjami.

Te wstępne wytyczne nauczyły nas, jak robić wszystko, co snajper robić powinien, z wyjątkiem tego, jak wspinać się na górę gdzieś w odległej głuszy, ustawić krzyż celownika optycznego na istocie ludzkiej i zabić ją.

**BRONŃ MOŻE I POWINNA BYĆ UŻYTA.**

Spojrzałem na innych snajperów, na weteranów: Marka i Luke'a, którzy służyli jako oficerowie w piechocie morskiej, Hoocha, który ukończył West Point, byłego komandosa, spadochroniarza i oficera liniowego, Beefa, który miał skończoną Akademię Marynarki Wojennej, Boata, byłego marine.

Tylko Raz, Warren i ja nie byliśmy w wojsku.

Oni nie odezwali się ani słowem.

Być może taka była przeciętna tego towarzystwa.

Niemiałem pojęcia, bo nigdy przedtem nie zdarzyło mi się być wśród takich ludzi.

I nagle poczułem się pewnie, tak jak pieszczuje się pewnie w stadzie.

Wiedziałem, dlaczego tu byliśmy.



Nowe zasady dotyczące użycia broni to były tylko wytyczne ustanowione dla podkreślenia wagi tej całej sytuacji.

Standardowe, obowiązujące w FBI zasady określały, że:

"Broń nie może być użyta, o ile wobec twojej osoby lub kogoś innego nie występuje bezpośrednie zagrożenie życia lub poważnego uszkodzenia ciała".

I zawsze ta zasada była najważniejsza.

Nie zastanawiałem się wtedy, czy te nowe reguły były równoznaczne z rozkazem "strzelać, by zabić".

Jeśli zamierzałem kogoś zabić, to dlatego, że uważałem, iż ta osoba zasługuje na śmierć, a nie dlatego, że tak chciał jakiś biurokrata siedzący w odległym o dwa tysiące mil pustym gabinecie.

Najęto mnie, gdyż uważano, że potrafię rozsądnie ocenić sytuację, i właśnie tego można było ode mnie oczekiwać.

Pamiętam, że myślałem wtedy, iż będziemy iść przez wyludniony, górski teren prosto w szpony zbrodni, która pochłonęła już życie co najmniej jednego agenta.

Wiedziałem, że ludzie, na których zapewniłem się, mają broń, gotowi są jej użyć i mają przewagę, bo znajdują się na naszym terenie.

Nigdy tak naprawdę nie zastanawiałem się nad zasadami rządzącymi użyciem broni.

Uważałem, że w razie zasadzki czy ataku będę się bronić, i nie potrzebowałem Lesa, BR-1 ani nikogo innego, aby definiował mi tu jakieś okoliczności czy przedstawiał doktrynę.

238

Zimny strzał

- Czy są jakieś pytania?

- spytał Les.

Mikę Reynolds stał za nim, nic nie mówiąc, gdy Les patrzył każdemu z nas w oczy i czekał na odpowiedź.

Cisza.

Wobec tego podszedł bliżej i wszedł w szpaler pomiędzy nami.

- Pójdziemyna południe, w kierunku linii lasu - odezwał się Reynolds- a potem zpowrotem na północ i na wschód, pod górę w stronęawisu.

Kiedy już się przedrzemyprzez lastych wysokichdrzew, będziecie zdaninasiebie.

Idźcie wciąż w górę.

Musicie wejść na tę góręnad chatą i tam zająć pozycje.

Les czekał, ażReynolds skończy.

- Dajcie znać, jak jużzajmiecie pozycje.

I pilnujcie tyłków - dorzucił.

Poczym odwrócił się odszedł.

Reynolds obrał kierunek i ruszył nieco przed nami, po błotnistejdrodze prowadzącej do chaty Weavera, albo też do Bonners Ferry -jakkto woli.

Szliśmyza nim, w ustalonym wcześniej szyku,pilnując ześlizgujących się z ramion karabinów i posuwając się w kierunku linii lasu.

Szedłem, czującból w pustymżołądku, wypełnionym tylko kwasami i adrenaliną, oczypiekły mnie od farby, którą pomalowałem twarz,i od zmęczenia, a jedyne ubranie, jakie miałem, było już tak przepocone, że przylepiło się do skóry.

K-iedy zesliśmyy zdrogi, krajobraz zmienił się.

Nie było to jużpolekartom, ale góra ze ścieżką.

Niosłem tylko trochę najniezbędniejszychrzeczy, wystarczających zaledwie na kilka godzin.

Pierwsza ekipa zawsze idzie jedynie z lekkim obciążeniem, na krótki zwiad.

Dopiero ci,co są na dole, kończą dzieło, rozbijając obóz i przygotowując wszystkona dłuższy pobyt - ale dopiero wtedy,gdy ustalony zostanie promieńokręgu, w któregocentrum znajduje się cel obserwacji.

Opierając sięna tym, co powiedział BR-1 na porannymbriefingu, mieliśmy wrócić przed zmrokiem.

Reynolds prowadził tęnaszą pojedynczą kolumnę w ciszy.

Przezjakiś czas szliśmy szlakiem, ale w końcu zesliśmy w bok, do modrzewiowo-sosnowego lasu, i torowaliśmy sobie drogę przez zbocze.

Terenbył bardzociężki do wchodzenia, pełen pionowych skałi obsuwającychsię kamieni, a deszcz zmienił pokrytą mchem i liśćmi ziemię w śliski,trudny tor.

Poślizgnąłem się kilkakrotnie i czułem, jak moja bielizna

Zażywanie sportu

239

z polipropylenu syczy niczym gąbka nasiąknięta potem i deszczem.

Rozpiąłem niecokombinezon, aby zimne powietrzemnie ochłodziło, i widziałem, jak moja pierś paruje.

Okolica niezmiernie przypominała mi tereny mojego dzieciństwa, góry w New Hampshire, do których czasem powracam we wspomnieniach, jak towarzysz z kilkomaprzyjaciółmi wyprawialiśmy się na weekendowe wypadki.

Ale wtedy natychmiast długie, brudne sznurki ghille opadały mi na oczy, a lufa karabinu obijała mi się o głowę.

To nie była banalna piesza wycieczka.

Szliśmy szybko, rozglądając się na lewo i na prawo, aby nie wpaść w zasadzkę.

Zadanie w Wielkim Kanionie Kolorado nauczyło mnie, jakie znaczenie mają właściwe techniki patrolowe, toteż traktowałem całe przedsięwzięcie bardzo poważnie.

Podczas pierwszej pół godziny nie należało się niczego spodziewać, ale potem nie można było lekceważyć faktu, że to był teren świetnie znany Weaverowi.

Przecież mieszkał w tych lasach przez cały rok, pozbawiony wygód, które wydelikacują ludzi.

Niemiał ani telewizji, ani prądu.

To, co jadł, musiał sam upolować lub wyhodować.

Te lasy wydawały się olbrzymie idzikie, ale to jego podwórko.

Jeśli zechce nas znaleźć, to zapewne nie będzie to dla niego trudne.

Po ponad dwugodzinnej wędrówce Reynolds zatrzymał się.

Ukucnął przy gigantycznym głazie i dał znać, że jesteśmy na miejscu.

Wszędzie wokół nas stały olbrzymie skały niczym stanowczy wartownicy strzegący murów fortecy.

Obejrzałem się na drogę, którą przyszliśmy, i zobaczyłem tylko las i mgłę.

Szlak rozmył się w oparach w tym ustawicznym deszczu.

Na koniec naszego szeregu dotarła wieść, że Reynolds już dalej nami nie idzie.

Chata Weavera znajdowała się niecałe dwieście jardów na lewo, zagłazami i za głębokim jarem.

Wykręciłem szyję, starając się pozostać w ukryciu, ale też dowiedzieć się, czy to, co usłyszałem, jest prawdą.

Jak Reynolds nas opuści, będziemy wspinać się wyżej, tak by znaleźć się ponad chatą, a wzdłuż grubego nawisu skalnego.

Po drodze zostawimy dwóch snajperów w charakterze obserwatorów.

Hoocha i Dale'a.

Potem Curtisa i Beefa.

Następnie Luke'a i Warrena.

Mikę, Boati ja mieliśmy zająć najwyżej położony punkt obserwacyjny, na szczycie wzgórza.

Reynolds oddalił się cicho niezegnany żadnymi fanfarami.

Nie było mawiania strategii ani planowania.

Wszyscy wiedzieliśmy, co mamy zrobić, i zdawaliśmy sobie sprawę, że znajdujemy się teraz tak blisko.

240

Zimny strzał

Weavera, że może zdjąć nas jednym celnym strzałem.

Przecież jest wytrawnym myśliwym, a kiedyś służył w siłach specjalnych.

Miał broń myśliwską i celownik optyczny o dalekim zasięgu.

Jeśli nieopatrznie zdradzimy swoją pozycję, może nas to drogo kosztować.

Kiedy posuwaliśmy się w górę do skały do skały nanasze stanowisko wysoko ponad Ruby Ridge, niemal ciągle widziałem chatę Weavera.

Ten wykonany z dykty papy szalony znajdujący się na lewo od nas wyglądał na znacznie mniejszy i bardziej prymitywny, niż sobie wyobrażałem.

Może to powaga sytuacji lub poczucie, że wszelkie zdolne do zabicia urzędnika państwowego musi wywodzić się z jakiegoś wielkiego budynku, ale bez względu na to, co czułem, ta rzeczywistość rozczarowywała.

Ta chata o wymiarach dwadzieścia na trzydzieści stóp bardziej przypominała kumę chałupinę.

Jedna rura od pieca wystawała przezdziurę w dachu, a małe werandki przylegały do domu od frontu z tyłu.

Jedno okno wychodziło na wschód, lecz odległość i wywołana przezdeszcz mgła niepozwalowały zobaczyć, co kryjesię we wnętrzu.

Wszystko wydawało się niesamowicie nieruchome i złowróźbne.

Pamiętam, że ogarnęło mnie uczucie złości, identyczne jak to po zamieszkach w Los Angeles.

Ten kryzys znów wydawał się nadejść i minąć, zanim jeszcze przybyliśmy, pozostawiając pełen pustkispokój, jakizawszepozostawia przemoc.

Oddaliliśmy się od Hoochai Dale'a i wspinaliśmy się bardzo długo, powoli, cicho i ostrożnie.

Następnymi, którzy nas opuścili, byli CurtisiBeef, a ostatnimi - Lukę i Warren.

Boat wszedł wyżej i nie zauważył ich nieobecności, dopóki las przed nami się nie przerzedził, przechodząc w ostre skałki i tłuczeń.

Jako nasze pierwsze stanowisko strzeleckie (PSS) wybrał występ skalny dwięścietóp ponad chatą i trzystastóp od niej i podniósł rękę, dając znać, że tu będzie nasz dom.

PSS, czyli pierwsze stanowisko strzeleckie, to termin wojskowy, który podczas szkolenia zapożyczyliśmy od marines.

Oznacza on ukryte stanowisko, z którego prowadzimy obserwację kryzysowego miejsca, a w razie potrzeby strzelamy.

Idealne PSS zapewnia doskonały widok nacyl bez zdradzania obecności obserwatora oraz powinno ukryć błysk i dym wydobywające się z lufy podczas wystrzału.

Miejsce, które wybrał Boat, było porośnięte niskimi, wiecznie zielonymi krzakami i leżały tam dwa kamienie wielkości telewizora.

Poza tym nie było tam już nic, za czym można by się schować.

Zażywanie sportu 241

Nasza trojka musiała iść teraz w większych odstępach jeden od drugiego niż zazwyczaj.

Ja przykucnąłem piętnaście stóp na lewo od Marka i Boata, na małej granitowej półce.

Jej ściana dawała z tyłu schronienie, a poza tym można tam było zjeść, przebrać

się i skorzystać z "łazienki".

Wyglądała jak znośna, choć niegościnna jaskinia, toteż szybko zdecydowałem, że tubędziemoja snajperska kryjówka.

Najpierw wyciągnąłem z torby karabin i ustawiłem go na podpórcie.

Na głowę i na ramiona naciągnąłem poncho, tworząc kształt namiotu, a letni zabieg niezbyt pomógł, bo deszcz wpadał przez otwór z przodu, tworząc miniaturowy wodospad.

Wydobywająca się przy każdym oddechu para wyglądała jak mgła osiadająca na szybie i pomyślałem, że przez moją lunetę i celownik optyczny zobaczę cokolwiek tylko wtedy, gdy będę nieustannie przecierać jej papierem do soczewek i oddychać bardzo ostrożnie, wypuszczając powietrze przez nos.

Teraz musieliśmy powiadomić o zajętej pozycji Taktyczne Centrum Operacyjne.

Mark się tym zajął.

Jako wyznaczniki przyjął naszą odległość od chaty Weavera, a Les naniósł to wszystko na mapę.

Nie mieliśmy GPS, ale oszacowaliśmy naszą odległość od chaty na dwieście siedemdziesiąt jardów.

Kiedy Boat już powiadomił TCO, gdzie jesteśmy, Mark wycofał się do osłoniętego miejsca i zaczął przygotowywać swój sprzęt.

Ja z kolei cały czas obserwowałem cel i koncentrowałem się na rytuale przecierania soczewek celownika, próbując dowiedzieć się, co słychać na doleu kolegów.

Deszcz padał nieustannie, a chmury wisiały dosłownie nad naszymi głowami.

Temperatura spadła do kilku stopni, a moje spoconie ciało parowało.

Każdy oddech najpierw unosił się w górę między oczyma soczewki celownika, aby potem zniknąć w niezmiernym morzu otaczającej nas mgły.

Zacząłem badać widok w dole i gromadzić niezbędne informacje.

Widziałem z przodu chaty dachwerandę, a ponad nią dwa okna.

Byliśmy zbyt wysoko, aby dostrzec drzwi wejściowe, ale rozpoznałem balustradę i coś, co okazało się pralką.

Od strony wschodniej było tylko jedno okno.

Mając za sobą dwadzieścia surowych zim w Nowej Anglii, dziwiłem się, jak ktoś może mieszkać tu cały rok i to w tak lichym schronieniu.

To przecież było północne Idaho, znajdowaliśmy się zaledwiczterdzieścimil od granicy kanadyjskiej.

Był sierpień, a temperatury.

242Zimny strzał

oscylowały około zera.

Następne pięć miesięcy będzie straszne dla mieszkanka tej lichej chałupki.

Z powodu topografii nawisu skalnego niemożliwe stało się idealne otoczenie celu.

Chata stała na skalistym szpicu, który sterczał nad wąwozem, a jego ściany były bardzo strome.

Jedyną drogę do chaty stanowiła wąska, kręta, ziemista ścieżka, która przechodziła przez naturalne wrota.

Weaver i Harris wybrali dobrze ufortyfikowane miejsce obronne na wystającej skale w kształcie podkowy wyrastającej trzydziści lub czterdzieści stóp ponad tą drogą.

Każdy, kto chciałby tam dojechać, będzie słyszany nadługo przed dotarciem do celu, a to da Weaverowi i Harrisowi mnóstwo czasu na chwycenie za broń i ukrycie się w ich reducie.

Z mojej pozycji, nazwanej Sierra Jeden, rozciągał się widok na drogę, fortecę skalną, kilka samochodów, stos drewna, mały szałas i coś jakby śmietnik na podwórku - zresztą właśnie takiego widoku spodziewałem się wśród tej nędzy.

Dwa psy chodziły nerwowo tam i z powrotem na krótkich łańcuchach przyczepionych doskleconych naprędce bud.

Mieszkały na szczycie wjazdu, tam gdzie droga przechodziła w skalistą płaszczyznę.

Te nędzne, zdesperowane istoty były raczej wcieleniem niedbalstwa, którego padły ofiarą, aniżeli zwierzętami domowymi.

Wszystko to zrelacjonowałem Taktycznemu Centrum Operacyjnemu.

Inna para snajperów dostarczyła tych szczegółów, których ja nie mogłem dostrzec.

Celowniki optyczne o dużej mocy doskonale powiększają, a leniują głębości obrazu.

Rzeczy, które mnie mogły wydawać się położone blisko, najlepiej jest ocenić

jeszcze z trzech innych pozycji.

Krótko po tym, jak rozpocząłem obserwację, zobaczyłem białego mężczyznę, który wyszedł na werandę z tyłu domu.

Blisko południowo-wschodniego narożnika wisiał na sznurku śpiwór, zasłaniając mi widok.

Obserwowałem, jak człowiek ten spojrzał w kierunku awisuskałnego, a potem znów zniknął w chacie.

Trwało to tak krótko, że nie zdążyłem przyjrzeć się jego twarzy, a jednocześnie był to sygnał dla nas, że cała wyprawa nie poszła namamę, pierwszy dowód, że mężczyźni tam są.

Pamiętam, że dręczyłomnie znane, choć irracjonalne odczucie.

Otóż podczas przeprowadzania każdej obserwacji ma się dziwne wrażenie, że ludzie, których śledzisz, widzą cię.

Po raz pierwszy tak mi się wydawało, gdy pracowałem

Zażywanie sportu<sup>243</sup>

jako świeżo upieczony agent w Missouri, obserwując faceta podejrzanego o napad na bank.

Czujesz bezwartościowość takiego kręcenia się kółko w celu złapania przestępcy. Być może jest w tym pewne poczucie winy, że działasz jak podglądacz, podczas gdy najchętniej wstałbyś i poinformował o swoich uprawnieniach. Wiedziałem, że Weaver i Harris czekają na nas, czy też w ogóle na kogoś ze strony władz, toteż ujawnienie się i oznajmienie swoich uprawnień nie byłoby najlepszym pomysłem.

Ostatnia osoba, która próbowała to zrobić, zarobiła kulkę w gardło.

Weaver i Harris przecież schronili się w tej chacie przed władzą i uporządkowanym społeczeństwem.

Uważali poborców podatkowych i prawodawców zaniewiernych.

Przekreślili uporządkowany świat składający się z dni pracy, świat, w którym ich dziwne poglądy sprawiły, że się z nich naśmiewano.

Teraz stanęli do rozstrzygającej bitwy i musieli podziwiać się gniewu

Syjonistycznego Rządu Okupacyjnego, jak nazywali rząd Stanów Zjednoczonych.

Porachunki, które rozpoczęli tu, w wysokich górach, nie zakończą się tutaj, i oni



o tym wiedzieli.

Ktoś przyjdzie.

Pojawią się mężczyźni z odznakami władzy, aby położyć kres wymyślonym przez Weavera i Harrisa wygnaniu.

Potrząsnąłem nogą w przemoczonych butach, moje palce powodują chyba miały niedługo stracić czucie.

Lodowata woda ciekła mi po szyi, na ramiona i pod pachy.

Gołe palce u rąk wyglądały jak pomarszczone kiełbaski, dreszcze przebiegały mi po ramionach, a potem spływały w dół, na plecy.

Po prostu leżałem, a wysiłek włożony w tę wyprawę ulatniał się wraz ze światłem dnia.

Czułem, jak gdyby ciepłota i pustkate skaliste góry chciały mnie wciągnąć w dół do szczeliny i w ponury cień.

Patrzyłem przez teleskop na chatę.

Od czasu do czasu poszczekiwały psy, ale poza tym nie było widocznego ruchu wokół domu.

Wyciągnąłem spod poncho rękę, bo chciałem przetrzeć szklą teleskopu i potem znowu spojrzeć na chatę.

I wtedy się zaczęło.

14

Strzał

Wyszli spod dachu frontowej werandy, trzymając broń poziomo przed sobą.

Dwaj mężczyźni i kobieta.

Mieli na sobie ciemne płaszcze z kapturami, które rzucały na ich rysy głęboki cień, ale gdy biegli, cień ten bladł, a ja patrząc w celownik, dostrzegłem, co chcą zrobić.

Wyszli z chaty w ściśle określonym celu, co widać było po ich ruchach.

Z ich strony była to błyskawiczna akcja, z rodzajów tych, które HRT i specjalne jednostki wojskowe ćwiczą na wypadek wojny.

Nie przypominałoby to zwykłej przechadzki w celu nakarmienia kurcząt.  
Ta trójka wyglądała tak, jakby chciała odstrzelić komuś kawał tyłka.  
Cały czas miałem nastawiony krzyż celownika na pierwszego biegnącego, a on biegł prosto na mnie, w kierunku skalistego, odsłoniętego terenu, znanego mi ze zdjęć.  
Pomiędzy nimi znajdowało się mniej więcej trzysta jardów pokrytej kamieniami, porosłej drzewami przestrzeni.  
Walały się tam najrozmaitsze śmiecie.  
Był to widok, do którego przywykłem w Missouń, bo zawsze wokół służących za domy przyczep pełno było rupieci.  
A w obiektywie mojego powiększającego dziesięciokrotnie celownika biegnący wydawali się teraz bliżej i byli jakby więksi.  
Nie spuszczałem całej trójki z oka, myśląc cały czas, że biegną prosto na mnie i że musieli nas dostrzec.  
To była ich ziemia, ich teren, a ja byłem wrogiem.  
Jeśli dobiegną do linii drzew, to nasza przewaga nad nimi zmaleje.  
Pamiętam niekończące się walki, jakie staczałem z kolegami, gdy jako chłopcy bawiliśmy się w gęstych lasach New Hampshire.  
To ich goniłem, to znów uciekałem.  
Ale w tych zabawach zawsze była adrenalina oraz wewnętrzne podniecenie, którego przysparza polowanie.  
Naprzekładna jelenia.  
Ustrzel kuropatwę, stojąc za brzozą.  
Leż i czekaj przy szlaku, którym przejdzie jelen, piękny okaz.  
Goń zaciśniętymi pięściami i sercem pełnym agresji szkolnego kolegę dookoła boiska.  
Zabawy w wojnę.  
pierwsze aresztowanie.  
każdy wypad w góry.  
Strzał 245  
Serce mi waliło.  
Położyłem lekko palec na spuście.  
Był już odbezpieczony, ale jeszcze nigdy go nie użyłem.

Nagle echo przyniosło odległy odgłos pop,pop.

Potem znowui znowu.

Strzelanina.

Strzelba dużego kalibru powoduje potworny hałas,a ja słyszałem odgłos wystrzałów z nich wszystkich: ze swojej strzelby kalibru.

22, którą dostałem, jeszcze będąc dzieckiem, od ojca, aż po nadaję się na dzień Sądu Ostatecznego urządzenie kalibru .

50,którego HRTużywało, gdy cel był bardzo trudno dostępny.

Ja strzelałem z trzystaósemki, zużywając kilka tysięcy naboji rocznie.

Ten usłyszany odgłos był mi znany, ale strzały brzmiały inaczej, były anemiczne i głuche, jak gdyby oddano jeż pistoletu, z którego strzela się na zawodach sportowych, dając zawodnikom sygnał do startu.

Następowały szybko posobie.

Pop, pop, pop.

- Skurwysyny, strzelają do nas - pomyślałem.

Przesuwałem za nimi celownik, gdy biegli przez podwórko, z bronią naszykowaną dowalki.

Biegli prosto na nas.

strzelając.

- Skąd, do cholery, wiedzieli, że tu jesteśmy?

- dziwiłem się.

Być może widzieli tam na dole Dale'a i Hoocha.

Wiedziałem, że Sierra Cztery byli blisko chaty, ale nie wiedziałem dokładnie gdzie, i ze swojego stanowiska nie mogłem ich dostrzec.

Szybko przebiegłem myślami te miesiące treningu snajperskiego, których potrzebowałem, aby mój palec nauczył się naciskać spust z siłą półtora funta.

Jeszcze jeden oddech, trzeba się przyłożyć i karabin wyrzuci 168-granowy pocisk, będący w stanie rozłupać jedną z głów na pół.

Zrobiłem wszystko tak, jak mnie uczono.

Przyciągnąłem łożysko karabinu do ramienia, przywarłem policzkiem do karabinu i ustawiłem strość celownika.

Lewą ręką chwyciłem podstawkę, aby ustawić karabin na podpórcę.

Cały czas wolno oddychałem.

Wszystko to działo się nagle i bezwysiłku.

Wycelowałem.

Są dwa sposoby strzelania doporuszającego się celu, czyli do "ruchomego": przez naprowadzanie karabinu na cel oraz przez branie wyprzedzenia.

Naprowadzając, cały czas przesuwasz lufę w ślad za celem, ustawiasz na nim krzyż celownika, powolutku naciskasz na spust,.

246 Zimny strzał

czekając, aż karabin wystrzeli i odskakuje, jak strzelający do rzutków.

Przy tej technice mankamentem jest, że lufa karabinu odbija i uderza strzelającego w twarz z całą precyzją sztuki strzelniczej.

Dlatego też najlepiej jest strzelać, gdy podstawa jest stabilna, choć najmniejszy nawet ruch może zmienić trajektorię pocisku.

Jest to niezwykle trudna technika i stosuje ją bardzo niewielu snajperów.

Z kolei technika strzelania z braniem wyprzedzenia pozwala oddać strzał z idealnie nieruchomej pozycji, lecz należy poczekać, aż cel znajdzie się w wyznaczonej strefie.

Strzelec najpierw musi znaleźć otwartą przestrzeń, ustawić krzyż celownika tuż przed celem, policzyć odległość na siatce, aby określić szybkość, ocenić prędkość kierunku wiatru, wysokość, wilgotność powietrza, a potem już tylko czekać, aż cel znajdzie się w polu widzenia.

Oddając strzał z odległości mniejszej niż dwieście jardów dysponując celownikiem optycznym z dziesięciokrotnym powiększeniem, strzelec ma mniej niż sekundę na ocenę otoczenia, wycelowanie i podjęcie decyzji o zabiciu - zabiciu człowieka.

Zastrzeleniu chodzącej, rozmawiającej, oddychającej istoty ludzkiej, mającej oczy, usta i twarz.

A właśnie w te miejsca trzeba celować.

Dokładnie w twarz.

Międzyoczy.

Chcesz do niego strzelić właśnie w tę część czaszki, aby spowodować nieodwracalną i natychmiastową śmierć.

Margines błędu jest nieskończeniemały.

Spóźnisz się o jednadziesiątą sekundy i już nic z tego.

Jeśli z kolei skalkulujesz strzał zbyt wcześnie, to dasz mu czas na ucieczkę.

Masz mniej niż sekundę na to, aby dokonać jednegoz najbardziejskomplikowanych, wymagających i niewybaczalnych czynów, jakichmożna wymagać od istoty ludzkiej.

Jeśli podejmiesz właściwą decyzję, uratujesz sytuację, a jeśli podejmiesz błędną, wówczas resztę życia spędzisz, broniąc się przed administracyjnymi, cywilnymi i być może kryminalnymi zarzutami oraz tłumacząc się przed ludźmi, którzy nie mają najmniejszego pojęcia, jak trudno jest zdobyć się na coś takiego.

Mniej niż dziesiąta część sekundy w tę czy wtamtą stronę- i już po wszystkim.

Mniej niż dziesiąta część sekundy na margines błędu; widzisz, jak człowiek pada na ziemniczym worek mięsa i zamienia się w ciemną, czerwoną kałużę.

Druga szansa nie istnieje.

Nie masz okazji, by powiedzieć "Och, przepraszam", albo "O cholera".

Moja technika polegająca na strzelaniu z bronią wyprzedzenia.

Strzał 247

Odległość od celu wynosiła około 290 jardów, kąt padania w przybliżeniu 28 stopni, wilgotność powietrza 100 procent, a prędkość wiatru wiejącego pod kątem 45 stopni z mojej lewej strony wynosiła odzera do trzech mil na godzinę.

Biorąc wszystkie te czynniki pod uwagę oraz prędkość, z jaką poruszały się trzy osoby, zmierzyłem, że krzyż celownika należy ustawić z wyprzedzeniem dwóch punktów.

Byłem absolutnie przekonany, że zdołam ich zastrzelić, nawet uwzględniając jakieś zmienne.

Jednak równocześnie zdawałem sobie sprawę, że mam na to bardzo mało czasu.

Niemal bez przerwy coś się działo.

Pamiętam ten swój stan świadomości, uczucie, że pomimo koszmarnych warunków pogodowych i nagłości wydarzeń wiedziałem, iż to, co robię, jest słuszne.

Nie czułem zimna, deszczu ani wyczerpania.

Nie byłem głodny, zdenerwowany czy samotny.

Po prostu byłem pewien, że muszę strzelić.

Pamiętam, jak naciskałem spust dokładnie tak, jak mnie uczono.

Nasze spusty były przystosowane, w zależności od rodzaju broni i osobistych preferencji strzelca, do oporu wynoszącego dwa i pół funta.

Spust mojego karabinu wymagał nieco większej siły, kilka uncji poniżej trzech funtów.

Pamiętam, że nacisnąłem niemal tak mocno, jak trzeba, zostawiając sobie jeszcze chwilkę na ostateczne przyciśnięcie spustu, próbując dokładnie wymierzyć, aby nie strzelić w drzewo, skałę, szafas czy stertę drzewa.

Przesunąłem krzyż, policzyłem punkty, ustaliłem cel i - zgubiłem go, gdyż schował się za przeszkodą.

Znowu, i jeszcze raz.

Wciąż brzmiały mi w uszach te pierwsze strzały sprzed kilku sekund.

Wiedziałem, że muszę strzelić, zanim ci ludzie dojdą do linii lasu.

Biegli prosto na mnie.

Strzelaj, strzelaj, strzelaj, kurwa!

-słyszałem jakiś głos w głowie.

Ale kule nie padały.

Naciśnij na spust!

Naciśnij!

I w tym momencie oni zniknęli.

Trzy biegnące postacie zawróciły w stronę chaty i straciłem je z oczu, gdy wbiegły nawerandę.

Wszystko to trwało sekundy.

1 uncja - 28,35 grama (przyp.

tłum.

)..

248 Zimny strzał

- Sierra Jeden do Taktycznego Centrum Operacyjnego.

Słyszeliśmy jakieś strzały.

To był mój głos, lecz ledwie mogłem go rozpoznać.

Naciskałem guzik nadajnika w małym radiu i mówiłem do czarnej skrzynki.

- Liczne strzały.

Dwie salwy.

Zwolniłem guzik, zdając sobie dopiero sprawę, że niewiem, kto strzelał i czy ktoś został trafiony.

Pomimo spokoju, czułem, jak wali miserce, jakby uderzało wznajdującą się podemną zimną, skalną platformę, mnie samego unosząc ponad te granitowe skały.

Deszcz stukał w poncho, które naciągnąłem na głowę, a z ust unosił się przy każdym z szybkich oddechów obłoczek pary.

Przez moje zbolące członki przepływało dziwne ciepło.

Widziałem wyraźniej, a mój słuch był niemaltakostry, jak u zwierzęcia.

I wtedy zobaczyłem wszystko.

Wszystko.

Cała ta scena ponownie przesunęła mi się przed oczami, jak jakieś powtórzenie.

Widziałem, jak akurat wtedy, gdy ustawiałem celownik, wyszli z chaty: troje ludzi w ciemnych płaszczach z kapturami, trzymając przed sobą karabiny, niczym żołnierze spieszący na wojnę.

Policzyłem ich: jeden, dwóch mężczyzn.

jedna kobieta.

Randy Weaver, Kevin Harris, Vicki Weaver - tak przypuszczałem.

Nie wiedziałem, jak wyglądają ich twarze, podobnie jak oni nie wiedzieli, jak ja wyglądam.

Ludzie ci wypadli z chaty, jak gdyby się paliło, i pobiegli w kierunku czegoś, co, jak nam powiedziano, było ufortyfikowanym stanowiskiem strzeleckim, wkrótce znanym jako haniebny "skalisty płaskowyż".

Po przebiegnięciu kilku kroków odwrócili się w naszym kierunku i zniknęli za jedną z dziesiątków przeszkód, które tam wyrosły, czy też które tam porzucali, a których było pełno, podobnie jak zwolnień na filmach, którym brak synchronizacji.

Strzały.

Słabe, dziwnie brzmiące, zbyt ciche, abymogły pochodzić ze strzelby.

Wtedy ta trójka zawróciła i pobiegłaz powrotem dochaty.

Żadnych głosów.

Żadnychkrzyków, ale znowustrzały, akuratwtedy,gdy oni wbiegli na frontową werandęi zniknęli mi z oczu.

Tesame dziwnie brzmiące strzały, niepasujące mi do broni, którą widziałem.

I wtedyto usłyszałem.

Krzyk.

Strzał

249

Rozpocząłsię cicho, gdzieś jakby u podstaw mojejczaszki, jaksyrena, a potem narastał, stawałsięcoraz cieńszy i głośniejszy,jakgdyby jakaś zjawawyfrunęła z wąwozu na dole i poszybowałaku niebu.

Aaaajjjjjjjjjjjjjjjjjjjjjjaaaaaaa!

Żadne słowa nie są w stanie opisaćrozpaczliwego smutku albo teżstrasznego horroru, kryjącego się w tym krzyku.

To było jak zawodzenie zjawy, przepelnione uczuciem śmierci, wściekłości, bólu.

Zdawałosię nie mieć końca, trwać wiecznie,a słyhaćw nim było panikę i bezmierną rozpacz.

Wydawało się, że rozbrzmiewa jużkilka godzin, choćwiedziałem,że przecież trwa tylko tak długo, ile czasu potrzeba na jedno, pełne bólu zaczerpnięcie powietrza.

Czy za pierwszym razem coś przegapiłem?

Stwierdziłem, że nie.

To było tylko wspomnienie.

Tobyło doświadczenie oddziałujące na odczucia,tak jak po doznanym urazie następuje atak bólu.

Początkowo zdaje sobie z tego sprawęwyłącznie umysł,jakgdyby dając sobie czas na przygotowanieobrony.

- Boże - wyszeptałem.

- Co totakiego?

Krzykjakby zawisł niskow chmurach, dziki, bolesny, mocny.



Powracał echem i wzmagał się.

To był kobiecy głos.

Przenikliwy, przesywający bulgotprzerażenia.

- Ile strzałów?

Czy ktoś dostał?

Kto strzelał?

Czy któryś z operatorów jest ranny?

- zaskrzeczało radio.

Pytania padały jedno za drugim, a ja tylko potrząsałem głową, zdając sobie sprawę, że na żadne z nich nie mam odpowiedzi.

Na szczęście Sierra Cztery zadzwonili, podając szczegóły.

Strzelano dwa razy.

Żaden z operatorów nie dostał.

Nieznane ofiary nadole.

Dwa strzały?

Ja słyszałem co najmniej sześć.

Sierra Cztery oddała dwa strzały.

To Hooch i Dale.

A kogo postrzelono?

Uczestniczyłem w wystarczająco wielu zawodach sportowych, aby wiedzieć, że na percepcję ma wpływ adrenalina oraz zamieszanie, ale byłem pewien, że musiało być więcej niż dwa strzały.

Spojrzałem na lewo, sto jardów w dół, próbując zgadnąć, gdzie Sierra Cztery urządziła swoje pierwsze stanowisko strzeleckie.

Było wiele bliżej chaty i co najmniej sto stóp niżej niż my, w związku z tym o wiele lepiej widzieli, co się wydarzyło.

Ja niewidziałem nic prócz cienkiego modrzewia i nieustanniego deszczu.

I wtedy, jakby wstrząsnął mną dreszcz zimna - po raz pierwszy od momentu wstąpienia do HRT zwątpiłem w swoje możliwości.

Dlaczego nie byłem w stanie strzelić, mając pewność, że agenci FBI, a przy tym moi koledzy z jednostki, są w niebezpieczeństwie?

Dlaczego przekazałem do Taktycznego Centrum Operacyjnego niedokładną informację opartą na tym, co mi się wydawało?

Dlaczego usłyszałem sześć strzałów, gdy tymczasem Sierra Cztery, moi koledzy znajdujący się bliżej

i strzelający, donieśli odwołów?

Nagle wszystko wydało się nie mieć sensu.

Po raz trzeci przebiegłem w myślach, szukając szczegółów, tok wypadków.

Patrzyłem nadół, na pustopodwórko i znów ujrzałem bardzo wyraźnie wszystko, co się wydarzyło.

Trzy osoby - dwóch mężczyzn i kobieta - wychodzą z chaty i zaczynają biec.

Wydaje się, że się spieszą, kierują się dokądś, ale widać, że dobrze wiedzą, dokąd idą i że już wielokrotnie tam byli.

Przecinają nas kos, z lewa naprawo kamieniste i zaśmiecone podwórko i znajdują się w polu widzenia mojego celownika.

Są uzbrojeni, broń niosą, trzymając ją oburącz poziomo przed sobą, jak dobrze wyszkoleni

żołnierze.

A teraz broń.

Jeden z karabinów wyglądał jak rugermini-14, karabin dostosowany do amunicji kalibru .

223, wystrzeliwanej z trzydziestodwunaboju owych magazynków.

Tak jak nasz CAR-16.

Występuje w wersji samopowtarzalnej i w pełni automatycznej.

To doskonała broń.

Drugi wyglądał jak karabin myśliwski, używany do polowań na jelenie.

Trzeciego nie mogłem rozróżnić.

A potem padły strzały, jeden.

dwa.

trzy.

Pop, pop, pop.

Znowu coś się dzieje i znowu strzały.

Pop, pop, pop.

I tatrójkauciekła.

Głazy, drzewo, szopa, sterta drewna, pniaki, drzewo, weranda.

Obserwowałem, jak najpierw biegli razem, a potem rozproszyli się i uciekli do chaty.

Próbowałem dopasować czas tych strzałów do miejsc, w którychci ludzie wówczas się znajdowali, usiłowałem przypomnieć sobie, czymogli strzelać.

Ale nie miałem dośćinformacjidotyczących tych kilkuchwil.

Wszystko zdarzyło się tak szybko.

Widziałem dwóch dorosłychmężczyzn, słyszałem strzały, przygotowałem się, aby pociągnąć zaspust, serce kazało mi strzelać, a rozum czekać na perfekcyjny strzał, który nie padł.

Podczas tych wszystkich wydarzeń nie opanowała mnie rozterka.

Nigdy nie czułem kolosalnego ciężarukonsekwencji, który, pamiętam,

Strzał

251

ogarnął mnie, gdy w celowniku zobaczyłem jelenia.

Robiłem dokładnie to, do czego zostałemwyszkolony przezHRT i

KorpusPiechotyMorskiej Stanów Zjednoczonych.

Przekonywające myśli miały bardzoniewiele, jeśli w ogóle cokolwiek, z tym wspólnego.

A więc leżałem tam, deszcz padał nieustannie, a ja przeczesywałemcelownikiem całe podwórko, szukając jeszcze innych zagrożeń.

Wiedziałem, że ci ludzie nadal mogą być na werandzie i planować rewanz.

W uszach zabrzęczała słuchawka radiowa.

-Ile oddano strzałów?

- padło pytanie.

Głos byłspokojny i opanowany, lecz równocześnie pełenponaglenia i wagi.

- Sierra Cztery doTCO.

Oddano z tego miejsca dwa strzały.

- Czy ktoś jest ranny?

-Sierra Cztery do TCO.

Na razie nic na ten tematnie wiadomo.

Tengłos należał do kierownikaBilly'ego Mazzone.

Wiedziałem, że musi być strasznie zdenerwowany.

Doskonale wiedział, jak wszystko powinno przebiegać, ale oczywiście niczego takiego, co się wydarzyło, że scenariusz nie przewidywał.

Początkowy plan nakazywał snajperom obserwację kryzysowegomiejscai poinformowanie dowództwa na dole, czy są oni tu potrzebni.

Tymczasem dowództwo miało ułożyć treść ultimatum wzywającego do poddania się, ogłosić je przez megafon, a następnie usiąść i czekać, co będzie dalej.

To była dobrze wypróbowana praktyka: rozwiązanie kryzysowe.

Najpierw zawsze przejmuj apanczkę negocjatorzy.

No, cóż.

Było jasne, że teraz sprawy przybrały inny obrót.

Czekałem, aż cienia wyłonią się szturmowcy.

To była część planu.

Ale nikt się nie zjawiał.

Psywniaższczekały i deszcz ciągle padał, a para wydobywająca mi się z ust nadal zasnuwała mgiełką soczewkę celownika, gdy tymczasem ja starałem się wypatrzyć coś ważnego.

Nic.

- Co, do cholery, robił tamten helikopter?

- spytał Boat.

Wraz z Markiem siedzieli kawałek na prawo ode mnie i trochę wyżej, ale pomimo tego mogłem słyszeć ich przytłumione głosy.

- Helikopter?

Jaki helikopter?

- spytałem ich.

- Nie słyszałeś?

Przeleciał nad chatą.  
Być może dlatego wyszli.  
Potrzęsnałem głową.  
Nie słyszałem żadnego helikoptera.  
I naglewszystkie odpowiedzi stały się oczywiste.  
Wychowałem się wgórach,takich jakte, i wiem, jakie sztuczki potrafiąrobić  
zgłosem.  
Kiedyś,.

252

Zimny strzał  
będącchłopcem, oddzieliłem się w gęstej mgle od moich dwóch kolegów.  
Byliśmy na występie skalnym pomiędzy góramiKinsmans.  
Nawoływałem ich i słyszane głosy zdawały się bardzo blisko, ale kiedymgła nieco  
opadła, tak że mogłem już coś zobaczyć, okazało się, że byli  
pół mili odemnie.  
Góry odbijają!  
pochłaniaj ą dźwięk.  
Głosy i skrzypienie drzew,spadające kamienie, strzały oraz warkot helikoptera -  
wszystkoto zginęłośród turni i gałęzi.  
Pierwszy odgłos trzech strzałów, które zapamiętałem, to był jedenstrzał i echo.  
To samo z drugim strzałem.  
Totakżewyjaśnia narastanie tego krzyku, który wypełnił dolinę, i sprawęz  
helikopterem, którego nie słyszałem.  
Moje oczy mnie nie okłamują, ale  
uszy - tak.  
Radio ucichło.  
Już od dłuższego czasu nic się nie wydarzyło.  
Wiedziałem, że my, snajperzy, nagle staliśmy się bardzo odlegli i nieważnidla  
dowódcówna dole,ale nie miałem pojęcia, czego oczekiwać.

To, co miało być jedynie rozpoznaniem, nagle przerodziło się w strzelaninę, a więc w nowy kryzys.

Strzelanina, w której biorą udział stróżeprawa, to trudna sprawa, nawet w sprzyjających okolicznościach, a te tu na pewno do takich nie należały.

Właściwie HRT zostało pozostawione samo sobie.

Dick Roberts poświęcił wszystkich swoich jedenastu snajperów, wysyłających na całodzienną wachtę na czubku odległego nawisu skalnego.

Nikt z tych na dole nie widział tego miejsca, a droga do i z chaty nie została należycie zbadana przed naszym przybyciem.

Dowództwo nie miało możliwości porozumienia się z mieszkańcami chaty, nie wiedziało, czykolwiek jest stranny, i nie wiedziało na bieżąco, co się tu na górze dzieje.

A na dodatek wszystkie nasze środki i sprzęt medyczny znajdowały się w odległości półgodzinnego lotu helikopterem, lot zaś przy takiej pogodzie wydawał się co najmniej wątpliwy.

Była już ósma wieczór, wkrótce będzie ciemno, a żaden ze snajperów nie wziął noktowizora ani też celowników optycznych przydatnych o zmierzchu.

Zabraliśmy niewiele żywności, bardzo mało wody i nie mieliśmy ciepłych ubrań, w których moglibyśmy wytrzymać w tych pogarszających się z minuty na minutę warunkach pogodowych.

Byliśmy na nogach już niemal czterdzieści godzin i cały czas towarzyszyły nam znaczny stres i wysiłek.

Wielu z nas znalazło się na granicy hipotermii.

Pozostawienie nas tu było niebezpieczne, lecz nie strzała

253

stety sprowadzenia nas na dół także, bo wtedy nie zostałby tu nikt na obserwacji.

Kiedy byłem chłopcem, wraz z przyjaciółmi często wyjeżdżaliśmy na kempingi w środku zimy, a nasz sprzęt wydawał się prymitywny w porównaniu z tym, co HRT kupiło dla swoich ludzi.

Spaliśmy w bawełnianych śpiworach firmy Sears Roebuck, które rozkładaliśmy na sosnowych gałęziach, i na bawełniane kombinezony wkładaliśmy wełniane kurtki.

Jako harcerz spałem w górach, gdy było minus dwadzieścia dwa stopnie poniżej zera, a wtedy nawet niesłyszeliśmy o czynnikach wyziębających.

Dwadzieścia dwa stopnie poniżej zera wskazywał termometr przed namiotem naszego drużynowego.

Miałem duże doświadczenie w tym, jak przetrzymać w tak surowych warunkach.

Jednak tego dnia dowiedziałem się, że hipotermia jest bardziej realnym zagrożeniem niż strzelanina.

Nic, co robiłem, nie było w stanie powstrzymać przenikających na wskroś i nękających mnie dreszczy.

Przejmująco wilgotne, parujące zimno wślizgiwało się przez rękawy oraz ściągacze na dole spodni i przez kołnierzyk koszuli.

Najpierw ogarniało mnie falami, a potem przeszło w nieustanne drgawki.

Trząśłem się tak bardzo, że niekiedy ledwie mogłem patrzeć przez celownik.

Mówienie sprawiało mi trudność, a wykonywanie prostych zadań, jak na przykład wymiana baterii w radiu czy wyciągnięcie z kieszeni papieru do przetarcia soczewki celownika, stało się niemożliwe.

Niedotrwałyśmy do nocy.

- TCO do jednostek Sierra.

Dobrze pamiętam te słowa.

- HR-1 chce wiedzieć, czy możecie pozostać na swoich stanowiskach do rana.

Kto, do cholery, mógł spytać o coś takiego?

Przecież tam nadolepadał na nich ten sam deszcz, a temperatura oscylowała około zera, gdy oni siedzieli sobie w namiocie.

Wystarczyło wyjść, aby zobaczyć, co zadebil będzie teraz chciał odmrażać swój tyłek.

Ale tak właśnie BR-1 pracował.

I właśnie takich rzeczy wymagał od snajperów.

Dla niego jednostka antyterrorystyczna sprowadzała się do walecznych facetów, ubranych w czarne lotnicze kombinezony Nomex i w kominiarki, zjeżdżających szybko po linie z helikopterów, aby wysadzić drzwi i uwolnić sterroryzowanych zakładników.

To był wizerunek, który pieścił i wylansował.

Patrzył na snajperów jak na złokoniczne i wygodnie mu było zapomnieć, że zanim

na osiem tygodni.

254

Zimny strzał

zostaliśmy wysłani do szkoły snajperów, przeszliśmy identyczny trening jak szturmowcy.

Gniew wezbrał we mniemaniu gorączka.

Teraz sądzę, że obwinia nasza swoje kłopoty.

Gdybyśmy dostarczyli informacje, tak jak to planował, to połowa mogłaby zejść na dół, przebrać się, wziąć odpowiedni sprzęt i po kilku godzinach pozostałych zmienić.

Również szturmowcy mogliby wjechać nagórejednym z samochodów należących do Gwardii Narodowej, ogłosić ultimatum i przygotować wszystko do rozpoczęcia negocjacji.

Z pewnością właśnie o to chodziło Robertsowi.

Ale tak się nie stało.

Roberts zapewne nie przyznał się wtedy, że jego przelot helikopterem nad chatą sprawił, iż Weaver i Harris z niej wyszli.

Nadal uważam, że ta strzelanina została sprowokowana przez niecierpliwość Roberta, a na dodatek jeszcze zaprzepaściła cały plan.

- Mowynie ma - stwierdził Boat tonem, który zabrzmiał jak skrzyżowanie zdziwienia z zdaniami, które wypowiedział Rambo: "Idę po was".

Boat znosił tę straszną pogodę nie lepiej niż my wszyscy i wiedział, że nie przetrwamy tu całonocnego czuwania.

Podługiej przerwie Lester kazał nam wracać do bazy tą samą drogą, którą weszliśmy.

To była miła wiadomość, ale teraz wyłoniły się inne problemy.

Było już ciemno, a my nie mieliśmy przewodnika, map ani noktowizorów.

Wspinaczka pod górę zajęła nam niemal trzy godziny i to w dzień, gdy byliśmy o wiele czujniejsi.

Zejście będzie bardzo



trudne.

Spakowaliśmy się i po pięciu minutach zaczęliśmy schodzić.

Moja

mała ława skalnastałana długim, stromym gładzie, po którym musiałem zjechać napupie.

Stopy miałem tak ścierpnięte, że nie potrafiłem odróżnić, czy stąпам w powietrzu, czy po skale.

Trzymałem się drzewi powoli, ostrożnie stawiałem kroki, aby nie upaść i nie złamać nogi,

albo i jeszcze gorzej.

Plan przewidywał, że schodzimy tą samą drogą, którą weszliśmy, a po drodze zabieramy innych snajperów.

Niestety nie wiedzieliśmy, gdzie mieli swoje pozycje.

Niebo było tak ciemne, że trzeba było dosłownie iść za kolegą na odległość wyciągniętej ręki, inaczej byśmy się zgubili.

Posuwaliśmy się powolnym, niezdarnym szeregiem w dół poszarpanego zbocza aż, używając radia, zlokalizowaliśmy dwie z trzech parsnajperów.

Sierra Cztery zrezygnowała z czekania na nas.

Schodziliśmy, myśląc, że myśmy już przeszli i ich minęli.

Strzał

255

Mark, wytrawny turysta i alpinista, szedł jako pierwszy.

Jednak pomimo swych umiejętności, posuwał się wolno i niezdarnie.

Zanim weszliśmy na dno wąwozu stanowiącego zbocze góry, zaczęło lać.

Niemal przy każdym kroku ktoś się przewracał, ale nikt się nie skarżył ani nie klócił.

Podnosili się i szli dalej, na wyciągnięcie ręki za kolegą przed nimi, krok za krokiem, wiedząc, że jedno niewłaściwe postawienie buta może sprawić, iż spadną po zboczu liczącej sto stóp skały.

Mark uniknął dwóch śmiertelnych upadków tylko dzięki fartowi.

Do dziś uważam za absolutny cud to, że podczas tej wyprawy nikt z nas nie spadł się

nie zabił.

Poczwerech godzinach i przejściu kilkumil nasza dziewiątka maszerowała po trzęsawisku, w jakie zamieniła się droga prowadząca do obozu.

Pamiętam migotanie z oddali światełka małej latarenki TCOi to, że wtedy uznałem je za jeden z najpiękniejszych widoków, jakiego widziałem w życiu.

Była niemal druga w nocy, a ja jeszcze funkcjonowałem tylko dzięki sile woli.

Nie spałem i byłem na nogach przez czterdzieści cztery godziny, podczas których cały dzień pracowałem w Quantico, przebyłem samolotem dwa i pół tysiąca mil, przez pięć godzin prowadziłem samochód, w skrajnie trudnych warunkach wspinałem się na poszarpane zbocze górskie, założyłem kryjówkę snajperską i uczestniczyłem w strzelaniu do co najmniej dwójga ludzi.

To nie mniej niż cztery dawki adrenaliny.

Teraz pragnąłem tylko jednej, jedynej rzeczy na świecie: ciepłego piwa i kilku godzin snu.

Kiedy dowlekliśmy się do obozu, Lester czekał na nas.

Kazał nam odłożyć sprzęt i stawić się na briefing, po czym zostawił nas w długim, przypominającym rurę namiocie, oświetlonym przez jeden tylko reflektor.

Zdjęliśmy przemoczone ubranie i powiesiliśmy je na przyczepionej do dachu linie odspadochronu.

Nasze ghille, ubranie z Gore-Teksu oraz polipropylenowa bielizna - cały kamuflaż - wisząc, tworzyły kąpiący i parujący rząd i przypominały tropikalną dżunglę.

Gdy wkładaliśmy suche ubrania, nasze ciała parowały, a my potrząsaliśmy głowami, usiłując wyczarować jeszcze kilka minut trzeźwego myślenia.

Gdy już ponownie się zebraliśmy, Lester wręczył nam papier i kazał szczegółowo opisać wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwunastu godzin.

Byliśmy uczestnikami strzelaniny, wobec tego wiedzieliśmy, że to, co napiszemy, któregoś dnia może okazać się bardzo.

ważne.

Jednak stan naszych umysłów nie pozwalał na napisanie trafnych zdań.

Ja opisałem wszystko tak, jak zapamiętałem.

Kiedy skończyliśmy, Lester wyszedł, a my wślizgnęliśmy się do piworów.

Pamiętam, że przez chwilę leżałem i patrzyłem na tę wiszącą dżunglę mokrych, cuchnących ubrań.

Co ja tu, do cholery, robię?

-dziwiłem się.

Ktoś zgasił światło, a ja

nigdy nie dostałem odpowiedzi na swoje pytanie.

15

Rozstrzygnięcie

Ruby Ridge w Idaho nie było już odległym, sosnowym lasem, stało się znanym na arenie międzynarodowej symbolem przemocy stosowanej przez państwo, a trwało to tylko tyle, ile czasu krzyk Vicki Weaver wędrował ku niebu, by zaniknąć w chmurach.

W ciągu dwudziestu czterech godzin od chwili, gdy z karabinu Hoocha padły dwa strzały, każdy, od gubernatora stanu Idaho począwszy, poprzez Amerykański Czerwony Krzyż, a na kupie białych suprematystów skończywszy, tłoczył się na drogach prowadzących do jednego z najbardziej kontrowersyjnych miejsc zbrodni współczesnych czasów.

Kiedy następnego ranka obudził mnie brzęczący stukot gazowego generatora, nie dotarło do mnie jeszcze znaczenie tego, co się wydarzyło.

Oprzytomnienie przychodziło bardzo powoli, tak jak gdyby ktoś mnie powalił i pozostawił, bym umarł.

Gdy mrużyłem oczy, starając się skoncentrować, wokół mnie wisiała jakaś szarocząca zasłona, a ciało czuło się tak, jak gdyby ktoś posadził je w grudkowatej ziemi, a ono przyjęło się i puściło korzenie, stając się częścią natury.

- Chodź, Whitcomb.

Czas do pracy - powiedział jakiś głos wydobywający się skądś, z jakiegoś odległego o tysiąc mil miejsca.

Najpierw pomyślałem, że to jakiś irracjonalny sen, jakiś okrutny psikus, który

umysł płała mojemu wyczerpanemu ciału.

Ale skórzany but, który dostrzegłem z boku, zniweczył wszelką nadzieję na dłuższy odpoczynek.

Stał przy mnie Raz i wciągał przez głowę wełniany sweter.

- Na zewnątrz dają śniadanie, ale musisz się pospieszyć.

Zawinałem sięw śpiwór, starłem farbę kamuflażową z oczu i popatrzyłem na czamoszary tunel namiotu.

Yoda i Mark pakowali sprzęt do niezbędników.

Oprócz nich nie było już nikogo.

Mój zegarek pokazywał zadziesiąt siódmą rano.

- Co się dzieje?

- spytałem.

W namiocie śmierdziało jutą i puszczanymi bąkami.

258

Zimny strzał

Mark wstał i zarzucił plecak na ramiona.

- Chcą, żebyśmy otoczyli chatę.

Boat jest na spotkaniu dowódców, a my mamy się z nim spotkać za kwadrans.

Lepiej się pospiesz - wymamrotał.

Piętnaście minut?

Co do cholery, pocieszałem się, usiłując znaleźć jakieś suche ubranie i bańkę z wodą.

Sen niechętnie gości w tym miejscu, a ja przecieźnie miałem jeszcze praktyki.

Wyczołgałem się ze śpiwora, naciągnąłem suche spodnie i wpełchnąłem do plecaka sprzęt potrzebny podczas dziennej warty.

Buty były ciągle nasiąknięte wodą, ale zdołałem wciągnąć je na nogi, ponieważ udało mi się oczyścić sznurowadła z błota.

Ledwie zauważyłem, jak zimna wilgoć wpełzła pomiędzy palce nóg.

Mój żołądek wymagał większej troski niż palce, a miałem tylko dziesięć minut, aby wpakować do gardła rację żywnościową, bo potem Boat znów poprowadzi nas w góry. Wziąłem CAR-16 i pełny magazynek.

Kiedy taszczyłem swoje rzeczy przez namiot i szedłem do TCO, umysł zaczął mi pracować.

- Człowieku, wyglądasz jak kawał gówna - stwierdził jakiś kobiecy głos.

Ustałem zdrogi Cindy, naszym technikowi od logistyki, która niosła do TCO naręczne papieru do kserokopiarki.

Billy Mazzone siedział przy radiostacji, po mojej lewej ręce, i pisał coś na laptopie.

Poprzedniego dnia zdobyliśmy telefon, kilka lamp elektrycznych oraz Panią Kawę, czyli ekspres, który, jak zauważyłem, właśnie rozpoczął pracę.

- Dokąd wszyscy poszli?

- spytałem.

Pytanie wydawało się dość oczywiste, ale nikt nie odpowiedział.

Więc zapytałem ponownie.

- Na zewnątrz - burknął Billy.

- Lepiej zabieraj stąd dupę, jeśli chcesz się przejechać.

Wszyscy lubili Billy'ego.

Mówił twardym akcentem, charakterystycznym dla New Jersey, oraz obydwoma rękami, co przypominało jakąś kombinację języka migowego oraz slangu, która przyprawiała o zawrót głowy.

Billy - jeden z twórców programu naszej jednostki - należał do pierwszego pokolenia operatorów i miał już wystarczająco długą staż, aby zacząć robić karierę.

Teraz, jako szturmowiec, był jednym z kierowników tej brygady.

- Jak tam Hooch?

- spytałem.

Wydarzenia poprzedniego dnia zaczęły pomału do mnie docierać, tak samo jak po wielkim picciu na drugi dzień przypominają się szczegóły.

Brak snu działał na mnie identycznie. Rozstrzygnięcie

nie. Teraz rozpoczynał się już drugi dzień naszej akcji, a ja w tym czasie spałem niecałecztery godziny.

I na dodatek jeszcze powinienem mieć jasny umysł.

Równie dobrze można by wymagać, abym jednym haustem wypił kieliszek peppermintu.

- Nie widziałem go - odparł Billy, walcząc z laptopem.

Wyszedłem na zewnątrz i znalazłem się w innym świecie niż ten, który pamiętałem.

Szary, zimny deszcz przesunął się na północ, pozostawiając czyste, modre niebo.

Piękne słońce oświetlało wierzchołki drzew i nawisy skalne, o których istnieniu nie miałem nawet pojęcia poprzedniego dnia.

Gdyby nie trzymany w ręku karabin maszynowy oraz farba kamuflażowa, która przywarła do mojej skóry niczym pastado butów, to nawet mógłbym zapomnieć o powadze tego miejsca i odkrywać jego piękno.

W ciągu tych kilku godzin, gdy spałem, obóz bardzo się zmienił.

Nasze pączkujące namiotowe obozowisko założone na czterdziestoakrowym polu kartofli otoczyła z dwóch stron błotnista, wysypana drobnymi kamieniami ścieżka, mająca udawać drogę.

Szturmowcy rozbili jeszcze jeden, średniej wielkości namiot polowy, chcąc powiększyć powierzchnię utworzoną przez dwa namioty DRASH, a tuż za nimi stały jedna przy drugiej trzy wielkie ciężarówki U-Haul, pomalowane w różne kolorowe bohomy, takie jakie widnieją na murach.

Czerwony Krzyż przytasczył kuchnię polową, która rozpoczęła już pracę, i zaczęło wydawać jedzenie.

Wszędzie widać było smutne, zmęczone twarze ludzi, których nigdy przedtem nie widziałem: szeryfów, miejscowych oraz stanowych policjantów, personelu medycznego.

Krążyła wieść, że lada moment zjawią się tuzienniki, ale na razie byli zbyt daleko, aby się nimi przejmować.

Długa na milę droga dojazdowa do chaty Weavera była kręta, dwupasmowa, przebiegała przez mostek z bali, aby potem pisać się wąską doliną, w której z jednej strony płynęła rzeka Deep.

Chata stała sobie spokojnie na występie skalnym, wysoko nad naszym obozem.

Prowadziła do niej tylko jedna droga, nad którą teraz sprawowaliśmy kontrolę.

Jedyni sąsiedzi Weavera, rodzina nazwiskiem Rau, mieszkali naskraju lasu w skromnym domu kilkaset jardów od naszej małej wioski.

Rozkoszowali się tu tą prawdziwą izolacją i idylliczną egzystencją, o której większość z nas marzy w niedzielne majowe popołudnia, kiedy przytłaczają nas uliczne korki, upał zmieszany ze smogiem i kretyńscy szefowie.

Idąc przez wielkie, błotniste kałuże i stratowaną trawę,.

260

Zimny strzał

dziwiłem się, jak zbrodnia, nienawiść i śmierć mogły zakraść się tu tylnymi drzwiami.

Gdy wyszedłem na drogę, przejechał obok oliwkowy szary humvee, a jego spaliny pozostawiły błękitny dym w świeżym porannym powietrzu.

W tym momencie wiadomo skąd pojawiło się to samo dziwne uczucie strachu, które towarzyszyło mi, gdy kilka godzin wcześniej kładłem się spać.

Byłem ciekaw, gdzie jest teraz Hooch i jak się miewa.

- Złoci snajperzy, wsiadać!

- krzyknął Boat.

- Rusz dupę, bo przegapisz podwody - ponaglił mnie Mark.

Nigdy jakoś niedoszło między mną a Hoochem do rozmowy o tych strzałach.

Od tej chwili niebiescy i złoci snajperzy podzielili się sprawowaniem wachty, po dwanaście godzin jedni i drugich, zmiany co sześć godzin.

Mark i ja mieliśmy pilnować chaty z narożnika skalnego, dwadzieścia pięć jardów na pomocny zachód.

Z prawej strony osłaniał nas gigantyczny głaz, z tyłu zaś występ skalny Kootenai opadał w dół, jeszcze poszerzając scenę rozgrywającego się i przechodzącego w impas dramatu.

A więc ulokowaliśmy się tu, bliżej chaty.

Leżałem osłonięty przed ogniem flankowym tak blisko domu, że lepiej widziałem wszystko gołym okiem niż przez celownik teleskopowy.

Zresztanie miało znaczenia, co uda mi się dostrzec, ponieważ Kwatera Główna FBI powierzyłarządy cichemu, nieco letargicznemu negocjatorowi nazwiskiem FrankSpearman.

Frank przyjechali odjechał niczym powolnie przesuwająca się nawałnica.

- Randy, tu Frank - powiedział jakdziecko czytające zdanie z tablicy.

- Randy, musimy o tym porozmawiać.

Tak naprawdę to pisał swoje monologi na karteczkach o wymiarach 3x5 cali, żeby potem wykrzyzczyć je przez megafon niedaleko od chaty

Weavera.

Gdybym to jasiadział w tej chałupie, to powiedziałbym temu naszemu negocjatorowi:

- Frank, pocałuj.

mnie.

w moją.

chudą.

białą.

dupę.

HRT siedziało cicho, wzięwszy sprawę na przeczekanie.

Złoci snajperzy przyczaili się i nie robili absolutnie nic.

Z kolei Weaver i Harris zasłonili wszystkie okna tekturą i materiałem, więc niemożna było zobaczyć, co się dzieje w środku.

W nocy siedzieli przy zapalonych świeczkach, a przez noktowizory wyglądali z profilu jak wolno snujące się duchy.

Rozstrzygnięcie

261

Dni mijały bezproduktywnie.

Nikt z chaty nie odezwał się ani słowem.

Nic się nie zmieniało.

Jedyna pożyteczna informacja, jaką uzyskaliśmy, dotyczyła zwyczajów migracyjnych jakichś kanadyjskich gęsi.

Wobec tego pogadywaliśmy chwilę przez radio z Taktycznym Centrum Operacyjnym i staraliśmy się nie zasnąć.



Wszystko zmieniło się czwartego dnia, kiedy to BR-1 postanowił podtrzymać nasze zdolności wywiadowcze, każąc nam założyć podpodłogą chaty specjalne mikrofony. Lester zwrócił się z tym do Marka domnie, mówiąc, że musimy spróbować podejść do domu od zachodniej strony.

Całą operację nazwał "patrol wagonna kółkach".

Plan wydawał się absurdalny i to z dwóch powodów.

Po pierwsze, widzieliśmy dobrą drogę wyłącznie za dnia.

Nie było powodu, aby zbliżyć się do chaty w środku nocy.

A po drugie Weaverowi i Harrisowi mogło się nie spodobać, że nocą podkłada się do nich kilku dobrze uzbrojonych mężczyzn.

Jeśli nas zobaczą, a na pewno trzymają całodobową wartę, to nie mamy szans wyjść z tego żywi.

Wszystko razem wyglądało na bezsensowne ryzyko.

Pięć godzin później, przy pięcioprocentowej jasności spowodowanej zbliżającym się chłodnym frontem, przeglądaliśmy z Markiem nasz sprzęt, szykując się do wykonania zadania.

- Jesteś gotów?

- spytał mnie Mark.

Jego głos brzmiał pusto, niemal głucho w nieruchomym powietrzu nocy.

- Taak - odparłem.

- Myślę, że to najbardziej popieprzona sprawa, o jakiej kiedykolwiek słyszałem, ale jestem gotów.

Odbezpieczyłem CAR-16.

Po dolinie rozszedł się ciężki, metaliczny szcęk, dziwny i obcy pośród innych odgłosów nocy.

Wszystko, co fruwało, pełzało lub przedzierało się przez gęstwinę, nagle zastygło w bezruchu, usiłując umiejscowić ten odgłos przemieszczającego się naboju kalibru .

223.

- Jak tam twój noktowizor?

Ustawiłem pole obserwacji na noktowizorze.

Teraz widziałem chatę w barwach przytłumionej zieleni.

- Około pięciu.

Włączyłem na karabinielaser na podczerwień.

Wiązka jego światła jest niewidoczna gołym okiem, ale przez noktowizor wygląda jak długana czterdzieści stóp, wykonana ze światła szabla.

Moja tańczyła wśród gęstego listowia.

262

Zimny strzał

- Daję ci dziesięć minut na dotarcie do celu.

Zaczynamy razem.

Gotowy?

- Mark poprawił kamuflaż.

Workowaty bawełniany płaszcz typu trencz wisiał na nim jak ciemne serape, płacząc się wokół kolan.

- Tak - odpowiedziałem.

Nie ma co zwlekać.

Miałem broń, noktowizor, towarzysza oraz osiem karabinów kalibru .

308, które moi koledzy wycelowali w tę kropną budę ze sklejki.

Tyle dobrych wiadomości.

Złe brzmiały następująco: otóż Weaver i Harris nie mieli nic innego do roboty, jak tylko wytknąć lufę karabinu przez jedno z licznych okien, przez drzwi albo też przez ukryte, nadające się do oddania strzału miejsce i nas rozwalić.

Ten tydzień był dość burzliwy i nie widziałem powodu, dla którego zabijanie miało się skończyć.

- Będziemy iść w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara - przypomniał mi Mark.

- To znaczy siedem kroków w stosunku dopromienia.

Dzięki, Mark, za lekcję matematyki - pomyślałem.

Mark dał mi znak głową, że powinienem ruszać, więc ostrożnie przeszedłem przez półkę skalną i wydostałem się na płaską przestrzeń, na której Weaver zbudował swoją chatę.

Słyszałem, jak Lester i snajperzy przekazują informacje o naszej wyprawie.  
Świadomość, że tambyli, bardzo ułatwiała sprawę.  
Każdy z nich leżał, mając przed sobą broń używaną w nocy - standardową trzysta ósemkę z celownikiem powiększającym od trzech do dziesięciu razy.  
Co prawda używane w nocy przyrządy optyczne znacznie skracają faktyczną odległość, lecz jeżeli nie przekracza ona stu jardów, to spisują się dobrze.  
Dotarłem do zachodniego krańca skały, gdzie linia drzew dochodziła do szopy, i wszedłem na podwórko Weavera.  
Ziemia pokryta była sosnowym igliwiami miękką, sypką gliną.  
Nic się nie poruszało.  
Chata pochylała się nad tą przestrzenią, jak domy na palach na wzgórzach Hollywood, oferując mnóstwo miejsc dla pół tuzina mężczyzn, którzy mogliby tam siedzieć i słuchać opowieści Randy'ego Weavera.  
Ruszyłem w kierunku domu, co dwa, trzy kroki zatrzymując się i nasłuchując.  
Nocą łatwiej jest coś usłyszeć, niż zobaczyć, a noktowizor nie zapewnia głębi obrazu, ale wiedziałem, że chłopaki ostrzegą mnie, jeśli coś zobaczą.  
- Sierra Dwa do TCO.  
Jakiś ruch w niebieskiej alfa dwa.  
Zamarłem.  
Co, do cholery?  
Czy on usłyszał moje myśli?  
Rozstrzygnięcie  
263  
Niebieska alfa dwa to drugie okno po prawej stronie domu.  
Marksedł prosto na nie i nie miał prawie żadnej osłony.  
Każdy, kto tylko wyjrzałby przez to okno, od razu by go zobaczył.  
Odwróciłem głowę w prawą stronę i natychmiast dostrzegłem, o co chodziło.  
Mętny zarys męskiej sylwetki oświetlonej przez światło wycy przesunął się przez okno.  
To nie było żadne zagrożenie.

Ludziw domu prawdopodobnie szykowali sobie coś do jedzenia.

Zaczekałem, aż Mark doszedł do tego samego wniosku, przestał celować dotej sylwetki ze swojego karabinu i ruszył dalej.

Było zimno, ale po ciele spływały mi strużki potu, przylepiając mi do skóry przewody radiowe.

Farba kamuflażowa, którą posmarowałem twarz, przypominała zimną, moką maskę i niszczyła mój ludzki wizerunek, doprowadzając mnie do szału.

Zazwyczaj miałem na twarzy maskę z płótna, ale ograniczała ona moje pole widzenia, a dziś nie mogłem sobie na to pozwolić.

Postawiłem nogę na posypanej kamieniami drodze, prowadzącej do drzwi wejściowych. To była ta sama droga, po której szli po bitwie z szeryfami.

Zastanawiałem się, o czym myśleli, gdy przechodzili obok tego miejsca, mając na rękach krew federalnego urzędnika.

Przecież musieli wiedzieć, że w końcu się tu zjawimy, a może właśnie tego chcieli. Czytałem "The Tumer Diaries" i cały ten chłam, który uważał Biblię za plan walki o koniec świata.

Nie byliśmy Syjonistycznym Rządem Okupacyjnym, planującym odebrać wszystkim Amerykanom konstytucyjne prawo do noszenia broni.

My po prostu wykonywaliśmy naszą pracę.

Zdumiewało mnie, jak ktokolwiek mógł przypuszczać, że chcemy wkroczyć i zabrać mu jego broń oraz prawa do czegokolwiek.

Wyrosłem w takich samych lasach, z taką samą bronią i czytając tę samą Biblię, co ci faceci.

Żaden kapłan nigdy nie mówił mi, że gdy kobiety w mojej rodzinie mają menstruację, to muszą trzymać je w osobnym budynku.

Nikt nie mówił mi, że mogę nie uznawać ważnego nakazu aresztowania, ponieważ nie uważam, że federalne prawo ma nade mną jakąś władzę.

Nikt też nie przekonywał mnie, że ponieważ nie podobam się aborcja, to mogę przestać płacić podatki, że mogę pisać pełne groźby listy do sędziów federalnych, albo że mogę strzelać do stróżów prawa, kiedy przychodzą i wykonują taką samą pracę, jak codziennie, po tysiąc razy, i tak jest przecież wszędzie na świecie.

No, to już, odizoluj się od społeczeństwa, zbuduj sobie szałas w lesie i wierz, w co tylko chcesz, myślałem sobie.

Kogo to obchodzi?

264

Zimny strzał

Tylko trzymaj się z dala od innych ludzi, którzy też chcą spokoju.

Alenie przelewaj swojej paranoi na tych, którzy poświęcają swoje życie, aby cię chronić.

A, pieprzyć ich - pomyślałem.

Gniew sprawił, że zacząłem szybciej iść w stronę chaty.

Pieprzyć ich.

W połowie polany zatrzymałem się, nasłuchując.

Po lewej stronie droga spadała stromo w dół, biegnąc obok skalistego występu, który stanowią ufortyfikowaną osłonę.

Weaver i Harris zamienili to miejsce w strategiczny punkt.

Od wschodniej strony dostępu broniły stromeściany kanionu.

Z tylnej werandy rozciągał się przepiękny widok na stronę południową, na całą dolinę rzeki Kootenai - ale równocześnie była to doskonała platforma strzelnicza.

Dostać się tu można było tylko albo drogą powietrzną, albo też przedzierając się przez zarośla - ale mając na sobie ghille.

Uspokój się i skoncentruj na tym, co robisz - powiedziałem do siebie.

Podszedłem do frontowej werandy, tego samego miejsca, na którym ostatnio widziałem Weavera, Harrisa i tę kobietę.

Z bliska wszystko wyglądało inaczej, było mniejsze.

To, co nazywało się komórką, wydawało się nie większe niż pomieszczenie, w którym trzymam kosiarkę.

Nawet drzewa i gązdy przycupnęły razem, co tłumaczyło, dlaczego pierwszego dnia miałem takie kłopoty z namierzeniem celu.

Z odległości trzystu jardów i przy dużym kącie padania Weaver i reszta mieszkańców chaty byli odslonięci za każdym razem tylko przez ułamek sekundy. Zdumiewałam, jak, do cholery, Hooch zdołał strzelić dwukrotnie.

Właśnie zawróciłem, abysię ukryć, czując się nieco pewniej, gdy nagle rozległ się potworny hałas.

Łubudu!

Łomot!

Rzuciłem się w prawo, w stronę południowo-wschodniego narożnika domu, w kierunku tych niebywałych hałasów.

Brzmiały tak, jakby cała rodzina Weaverów wypadła przez czarne drzwi gotowa na ostateczną walkę.

Łomot!

- Cholera!

- syknąłem.

Chyba wysadzają nas w powietrze.

Schyliłem się i przykucnąłem, akurat naprzeciw wrota, pozbierałem swoje rzeczy i skierowałem laser na miejsce, z którego dobiegł hałas, równocześnie szykując karabin do natychmiastowego strzału, a spust do wystrzelenia dwóch naboju.

Rozstrzygnięcie 265

Badałem wzrokiem potencjalne cele: drzewa, konary, skały.

Marka.

Mark?

Skierowałem czerwoną kropkę laseru nieco bardziej w dół i obserwowałem przez noktowizor, jak próbował nad czymś zapanować.

Prosto nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem.

Jakimś cudem na płaskim, dwuwymiarowym przez szkła noktowizora terenie Mark nie zauważył sterty pustych puszek i wlaź prosto na nie, tak jak Gruby Al, gdy kiedyś gonił posali, w której granow poola, faceta uciekającego przed wymiarem sprawiedliwości.

Chociaż scena przypominała zupełnie Keystone Cops, to dech mi zaparło.

W środku chaty to niefortunne stąpienie Marka mogło zabrzmieć, jakby oto maszerował cały Syjonistyczny Rząd Okupacyjny w celu dokonania frontalnego ataku.

Jeśli Weaver wciąż przejawiał chęć walki, to teraz sobie pofolguje.

Omiotłem światłem lasera każde okno i drzwi, czekając, aż ktoś wybiegnie z bronią w rękę.

Kiedy siedziałem tam przykucnięty, dwadzieścia stóp odwerandy, czekając, że za chwilę wszystko to zakończy się kanonadą z broni automatycznej, czułem, jak nastroszyły się wszystkie włoski na moim ciele.

Byłem tak blisko chaty, że doleciałoby do mnie nawet splunięcie Weavera.

Mark stała na kompletnie otwartym terenie, tuż pod dużymi oknami mógł się schować tylko za swoim karabinem.

Ochroniający nas snajperzy zajmą się każdym niebezpieczeństwem, które dostrzegą, a leniwieliśmy my pojęcia, czy w domu Weaverów było jakieś przejście prowadzące pod dom.

Z tego, co wiedzieliśmy, mogli nagle pojawić się za którymś z filarów, na których stała chata, i wystrzelać nas, zanim byśmy się obejrzel.

Na szczęście albo żadnego takiego przejścia nie było, albo teźi, Weaverowie nie byli już zainteresowani zabijaniem.

Jedyny słyszalny dźwięk wydawała krążąca w mych żyłach adrenalina i dwa gotowe do walki, walące niczym młoty serca.

Siedziałem tam i czekałem.

Wydawało mi się, że upłynęły długie godziny.

Wreszcie zobaczyłem, że Mark lekko się poruszył i zaczął się wycofywać.

- To musiało zabrzmieć dość fatalnie, nie?

- spytał, gdy już powróciliśmy na naszą pozycję strzelecką.

- Tak - przyznałem.

- Fatalnie.

FBI jest wielką i niekiedy ociężałą organizacją i podobnie jak większość rządowych machin biurokratycznych, rusza z armatami na.

muchy.

Pod koniec trzeciego dnia strzelanina w Ruby Ridge urosła do rangi kryzysu o ogólnokrajowym znaczeniu.

Przybył kierownik biura terenowego w Salt Lake City wraz z grupą agentów, aby objąć dowództwo nad całością.

Przybyli także, utożsamiając się z lokalnymi mieszkańcami, miejscowy szeryf i naczelnik wydziału policji.

Gwardia Narodowa przysłała przenośne cysterny z wodą i inny sprzęt logistyczny.

Służby paramedyczne w pomarańczowych kombinezonach, piloci, fotografowie, łącznościowcy, maszynistki, urzędnicy, kapelani, urzędnicy odpowiedzialni za sprawy zdrowia, żołnierze, prawnicy, policjanci, prasa.

Tę listę można by ciągnąć bez końca.

Byli tu wszyscy.

Obóz HRT, składający się początkowo z trzech namiotów, rozrósł się niczym nowa metropoliada tego stopnia, że któryś z przewidujących szeryfów zatknął przy wejściu napis: "Droga federalna - trzecie co do wielkości miasto w Idaho".

Całe pole pokryte było płótnem w kolorze szarym, brązowym i oliwkowym.

Ciężarówki transportowe i karetki wszelkiego rodzaju stały w rzędach, niczym drewno ułożone na opał, czekając na jakiegokolwiek rozstrzygnięcie zdarzeń.

Kwatera Główna FBI przysłała też z kilku biur na pomoc i na zachód kraju jednostki SWAT wyszkolone w zarządzaniu sytuacjami kryzysowymi.

Biuro prokuratora generalnego przysłało oskarżycieli, a Departament Sprawiedliwości jeszcze kilku urzędników.

Wraz z nimi przyjechały faksy, kopiarki, szpital polowy, gorące posiłki, potężne generatory, przenośna ciemnia fotograficzna, a nawet telewizja.

Psy Weavera, które drugiego dnia spuściliśmy z łańcuchów, paradowały potem po mieście i zachowywały się jak maskotki.

Wszystko wyglądało jak Woodstock, tyle że z udziałem SWAT.

Specjalna Grupa Operacyjna Szeryfów, której członkiem był Degan, zrobiła wszystko, aby pomóc, ale musieli czuć się sfrustrowani faktem, że FBI nie skorzystało z ich usług.



Pałętali się po obozie i pomagali, gdzie tylko mogli, ale nie odgrywali już żadnej roli.

Snajperzy z HRT wciąż pilnowali chaty, negocjator z FBI próbował swychsił. Piloci z FBI odbywali loty nad tym terenem, a dowódcy podejmowali taktyczne i administracyjne decyzje.

Szeryfom pozostawało siedzieć i patrzeć, jak funkcjonuje ten cały moloch. Piątego czy szóstego dnia już wiedzieliśmy, że nikt z mieszkańców chaty niewyjdzie z niej dobrowolnie, toteż teraz pozostawała nam walka z własną frustracją.

Bo Gritz, emerytowany pułkownik wojskowych sił specjalnych, przyszedł na trzeci dzień z napisanym w domu nakazem

Rozstrzygnięcie

267

aresztowania gubernatora stanu Idaho, dyrektora FBI oraz wszystkich znajdujących się w naszym obozie szeryfów.

Dwie godziny później zamiast zakuć go kajdankami przeszkodzenie wymiarowi sprawiedliwości, Gritzowi nadano uprawnienia negocjatora i brojną eskortę do chaty Weavera.

Operatorzy HRT potrzęsali głowami, dziwiąc się, jak to możliwe, by ktoś najpierw próbował wzniecić bunt wśród i tak już wściekłych przestępców, a godzinę później opowiadał się za FBI.

Jak wiele wypadków podcastrwania tego impasu, tak i ten dziwny łańcuch zdarzeń wydawał się niemal surrealistyczny.

W tym całym otoczeniu BR-1 czuł się jak ryba w wodzie.

Rzecz jasna on żył nieco inaczej niż my.

Pierwsze trzy dni złoci snajperzy spędzili na hodowaniu alergii, o których nigdy nawet nie słyszeliśmy, i węgrów wielkości jednocentówki, a to wszystko dlatego, że nie mieliśmy ciepłej wody, aby się umyć.

BR-1 natomiast codziennie posyłał jednego z ludzi z działu logistyki do miasta, aby odebrał z pralni jego mundur.

Podczas gdy nam musiała wystarczyć szczoteczka do zębów i manierka mętnej wody, on golił się codziennie i pachniał świeżością.

Do śmierci nie zapomnę klasycznej postawy BR-1 w pozie dowódczej.

Właśnie ustanowiliśmy stanowisko strzeleckie na małej polanie, tuż pod nawisem skalnym.

Ktoś znalazł na śmietniku Weavera stary potłuczony piec na drewno i przyciągnął go na środek polany.

BR-1 kazał w nim napalić, aby można było się rozgrzać, ale za każdym razem dym szczywał go w oczy.

Któryś z przedsiębiorczych agentów znalazł dwa kawałki rur od pieca i zrobił z nich komin.

Niestety dym owszem, unosił się, ale potem znów pełził w dół i szukał BR-1.

W czasie gdy jeden z nas był zajęty paleniem w piecu, drugi taszczył z obozu na górę skrzynie z puszkami oranżady Dr Pepper.

BR-1 uwielbiał Dr.

Peppera i wymagał, aby zawsze był pod ręką, wobec tego ustawiano wokół niego te pudła niczym czerwono-białe aluminiowe ściany.

Pewnego popołudnia przechodziłem przez polanę, gdy słońce było już nisko i rzucało na nią długie, czerwone cienie.

BR-1 stał przed pancernym samochodem w nienagannie wyprasowanym ubraniu, oparłszy lewą stopę na siedzeniu składanego krzesła.

W jednej ręce trzymał faks, a w drugiej zimną puszkę Dr.

Peppera, dookoła zaś w milczeniu piętrzyły się bataliony skrzynek z puszkami z oranżadą.

Dym z kopcącego pieca unosił się w górę, a potem skręcał w dół, owijając BR-1 w czarny kałun, w którym byłomu do twarzy.

268 Zimny strzał

Hej, co, do cholery - pomyślałem sobie.

- Przecież ranga związana jest z przywilejami.

Pomimo humorystycznego interudium związanego z osobą BR-1, życie na tej górze stało się ćwiczeniem na wytrzymałość.

Chwileprzełomowe nadchodzą niechętnie.

Kevin Harris poddał siędziewiątego dnia, wychodząc zchaty niczym więzień wojenny, stęskniony za swoją mamusią.

Nikt nigdy nie dowiedział się na pewno, czy poddał się, aby uniknąć śmierci, czy też homeopatycznych leków Weavera.

A ten zażądał czopków z żelatyni pieprzu cayenne- i FBI muje dostarczyło.

Ludzie!

Gdy przywieźliśmy tentowar, to myślałem, że zakażonaranapostrzałowa musi boleć, a tymczasem prawdziwemu mężczyźniwystarczy, że wsadzi sobie w dupę kilka czopków z pieprzem cayenne.

Już lepiej chorować, niż sięleczyć!

Harrisa zniesiono nanoszach do polowego szpitala, aby najpierwzbadali go tamtejsilekarze, zanim zostanie przewieziony do miejsca, gdzieczego jak czego, ale opiekitojuż mu nie zabraknie.

Cały naszobóz zgromadził się wokół niego, częściowo powodowany nienawiściądla tego zabójcy, a częściowozawstydzony, że to autsajderowi takimujak Bo Gritz udało się namówićHarrisa do poddania się.

Ta scena przypomniała mipolowanie na Danny'ego RayaHominga, kiedyto policjanci z psami przeprowadzili przed zwierzętami wychudłego, zbitego nieszczęśnika, aby wzmóc ich instynkt łowiecki.

Identycznegoodczucia doznałem, kiedyzobaczyłemHarrisa niesionego nanoszachpolowych.

To z jego powodu tu przyjechaliśmy, i on był przyczyną, dla której siedzieliśmy tu jedną noc po drugiej, gapiąc się w gwiazdy.

Niemalże chciałemwyciągnąć rękę i dotknąćgo, aby upewnić się, że istniejeje naprawdę.

Z identyczną pompą przedefilowałoprzed nami ciało Vicki.

Wyłoniła się z chaty zapakowana w czarnyplastikowy worek, a cały orszakniosący nosze poprzedzała osoba WielkiegoBo.

Nieśli ją w tej cichejprocesji, wdół drogą, przez kamienistą polanę, następnie obok zapasów oranżady BR-1 i jego pieca, do obozu, gdzie położyli worek napoboczu drogi i otworzyli, celem dokonania wstępnych oględzin ciała.

Faceci od medycyny sądowej palili cygara, aby zabić odór, jaki wydobył się z worka po jego otwarciu.

Zostawili go otwarty, aby ci z nas, którzy chcieli, mogli obejrzeć jej rany.

Jako pełniący w jednostce funkcję fotografa, skierowałem kamerę na pozabawione oznak życia zwłoka

k

ki, dziwiąc się, jak niegdyś nienawiść mogła błyszczeć w jej oczach.

Z rozkładającego się już ciała Vicki nie można było wysnuć żadnych wniosków co do jej osiągnięć lub błędów, obaw albo marzeń.

Wyobrażałem sobie, jak przytula dzieci, mówi Randy'emu, że go kocha, albowiem jak czyta Biblię.

Próbowałem pogodzić te przejawy czułości z determinacją wysłania dzieci do walki, w której używana jest broń.

Ale każdy wizerunek kochającej matki, jaki wywodziłem, szybko zniknął. Jakże to matka wręczyłaby swojemu czternastoletniemu synowi strzelbę i wysłałaby go wraz z ojcem do lasu, aby walczyli?

Która matka pozwoliłaby swojej szesnastoletniej córce biegać uzbrojonej po zęby wokół domu, gotowej na śmierć?

Jak to możliwe?

Na twarzy Vicki widoczne były czarne plamy, miejsca, którymi przeszła kula (tuż pod szczęką) i wyszła (przez gardło).

Wyglądała jak obraz zimowy czarno-białym telewizorze, wszystko było zasnutą szarością i bielą.

Wcześniej zetknąłem się już ze śmiercią.

Zaledwie kilka dni temu wynieśliśmy Sammy'ego, syna Vicki, z szopy porodowej, gdzie rodzice położyli jego ciało po strzeleniu z szeryfami, którą Sammy przypłacił życiem.

Poniżej lewego sutka widoczne było miejsce, którym przeszła kula.

Druga spowodowała szarpaną, paskudną ranę w miejscu, w którym kiedyś był lewy łokieć.

Sammy wydawał się mały i był bardzo blady.

Żaden włos nie wskazywał, że wyrósł już z wieku niewinności.

Po prostu białe ciało ugodzone dwukrotnie przez śmierć.

I już nieodwracalnie nieruchome.

Miał czternaście lat, gdy zginął, dokładnie tyle samo co ja, gdy pierwszy raz widziałem uchodzące z człowieka życie.

Mój wuj Mikę, pracujący w służbach paramedycznych w straży pożarnej, zabrał mnie kiedyś ze sobą do karetki na dyżur.

"Gigantyczna jatka", stwierdził, gdy przybyliśmy na miejsce: zderzyły się trzy samochody, sześć osób zginęło.

Pierwsza twarz, którą zobaczyłem, należała do szesnastoletniej dziewczyny, która leżała na podłodze z tyłu samochodu.

Wyglądała, jak gdyby spała.

Spoczywała cicho wśród potłuczonego szkła, nie miała żadnych ran ani zadrapań i tylko kawałek kierownicy tkwił jej pod żebrami.

Inne ciała leżały w kałuży krwi.

W powietrzu unosił się słodki i mocny zapach alkoholu.

Pamiętam, że wuj kazał mi usiąść z tyłu karetki, gdzie siedział już chłopiec, który przeżył wypadek.

Był chyba w moim wieku, ale niższy i szczuplejszy.

Szyba samochodu przecięła mu twarz, pozostawiając.

270 Zimny strzał

sączącą się, czerwoną galaretę.

Przez otwartą ranę widać było kość podbródka.

Mój wuj próbował przystawić chłopcu do ust worek z tlenem, ale za każdym razem, gdy mocniej przyciskał worek, jego kciuk ginał w otwartej ranie.

Torba nie chciała się przyssać, na jej obrzeżu pojawiały się małe bąbelki, toteż wuj odrzucił ją i próbował odciągnąć krew z tchawicy i płuc chłopca, rozpaczliwie starając się podtrzymać go przy życiu, dopóki dojedziemy do szpitala.

Siedziałem tam bezradnie, trzymając go za rękę, mierząc mu puls, licząc każde uderzenie serca, ale jego ciało było coraz chłodniejsze, a serce biło coraz

słabiej i wolniej.

Leżał oparty moje ramię, a ja usiłowałem się modlić i pragnąłem, by życie powróciło do jego członków.

- Co tam?

- spytał wujek Mikę, trzymając w ręku butelkę z odessaną z płuc chłopca krwią.

- Już nic nie czuję - odpowiedziałem po jakimś czasie.

Przesunąłem palce wokół nadgarstka chłopca, tak jak mi wuj pokazał, ale puls zmarł, gdzieś uciekł.

Nie miałem pojęcia, co zrobić, aby znów go poczuć.

Chłopiec zmarł.

Czułem, jak odchodził.

Ciało Vicki Weaver szerniało, zresztą już dawno powinno zostać pochowane.

Ciekaw byłem, jakaż to istota dała jej życie, istota wychowana w przemocy i paranoi.

Ten Bóg, którego ja czciłem, mówił o miłości i przebaczeniu, natomiast jej kazał witać gości bronią palną.

Biblia, którą ja czytałem, wyliczała cuda litości i wiary, wojnę zostawiając na koniec świata diabłu.

Całe życie Vicki wydawało się krążyć wokół Armagedonu, być umyślną gonitwą, a zatem, co nastąpiło śmierci.

No, i znalazła to.

- Powodzenia - wyszeptalem.

Pstryknąłem zdjęcia, uwieczniając rany, ubranie, znaki szczególne, a także zadrapania, śmierć.

Już tyle tego widziałem w swoim życiu.

Pamiętam pewien samotny dom w Missouri.

To było kilka lat temu.

Pojechałem tam, aby porozmawiać o ułaskawieniu z pewnym weteranem wojny w Korei, na którym ciążył wyrok za przeschmuglowanie w latach pięćdziesiątych do Stanów Zjednoczonych karabinu maszynowego.

Człowiek ten mieszkał wraz z żoną w domu przypiaszczystej drodze na kompletnym odludziu, jak Weaverowie.

Zastałem go siedzącego bez koszuli w fotelu-łodziu w pobliżu wentylatora i oglądającego telewizję.

Zaogniona, wciąż niezagojona czerwona rana ciągnęła się od jego gardła do pępka.

Rozstrzygnięcie 271

Przedstawiłem się i zaczęliśmy rozmawiać o jego prośbie o ułaskawienie.

Może go udzielić tylko prezydent, ale FBI zbiera fakty w celu poparcia niektórych prośb.

Starałem się patrzeć wyłącznie na jego twarz, ale ściągnięte, szarzące szramy na całej jego piersi i na ramionach przyciągały mój wzrok.

- To od bronimaszynowej - wyjaśnił, wyczuwając moje zdziwienie.

- Zostałem postrzelony więcej razy, niż inni sąprzitulani.

- Łapał powietrze powoli, wytrzeszczając oczy, aby lepiej widzieć rozmówcę przytykając do nosa rurkę biegnącą od butli z tlenem.

Podczas naszej rozmowy zauważyłem medale w kasetce za szkłemna telewizorze: trzy Purple Heart, Silver Star i kilka innych, których nie znałem.

- Czuję się zakłopotany swoją obecnością tutaj - powiedziałem.

- Na Boga, jest pan przecież bohaterem wojennym.

Przykro mi, że to się ogóle wydarzyło.

I wówczas zaczął płakać.

Łzy powoli napływały mu do oczu, gdy wspominał dobre życie, zepsute przez jeden błąd.

Wspomnienia płynęły po jego ziemistych policzkach.

Wskazał palcem na wentylator, a żona skierowała podmuch na niego.

- Dobrze się czujesz, kochanie?

- spytała.

Skinął głową i umarł.

Jego oczy po prostu wywróciły się, zmęczone patrzeniem na ten świat gotowe na oglądanie piękniejszych widoków.

Żadnej przemocy, żadnych strzałów, żadnej katastrofy samochodowej, po prostu odejście na tamten świat.

Położyłem go na podłodze, podczas gdy jego żona zaczęła histerycznie krzyczeć.

Następnie pobiegłem do kuchni, aby zadzwonić pokaretkę pogotowia.

Ukląłem nad nim, starając się przypomnieć sobie zasady udzielania pierwszej pomocy - pięć ucisków i jeden oddech?

A może piętnaście ucisków i trzy oddechy?

Czternastoletni chłopiec w karetce patrzył na mnie, podczas gdy puls tego mężczyzny gdzieś odpływał, prosząc, by go nie niepokoić, bo ciężko jest umierać i niknie powinien doświadczać tego dwukrotnie.

Złączyłem palce i uciskałem na ranę, będącą pozostałością po operacji na otwartym sercu,

Purple Heart - Purpurowe Serce, medal za rany odniesione w walce (przyp. tłum.

).

'- Silver Star - Srebrna Gwiazda, medal za męstwo w walce (przyp. tłum.

)..

272

Zimny strzał

spodziewając się, że lada chwila może się ona otworzyć i w dłoniach ujrzeć jego serce.

W tych miejscach, w których kości próbowały się zrastać, skóra była jak gdyby w grudkach.

Raz, i dwa, i trzy.

Przy każdym ucisku z płuc wyciekała na puszysty dywan jakaś ciecz.

Jego żona wróciła, nachyliła się i niemal próbowała za niego oddychać.

Schyliła się i pocałowała go, a ja wiedziałem, że już nie przywrócimy mu życia.

Mogliśmy czekać jeszcze dwadzieścia minut, aż ambulans zawiezie go do szpitala, albo też kontynuować masaż serca, ale on zmarł i nic już nie można było dla niego zrobić.

To dziwne, jak jakiś jeden widok albo zapach może ożywić wspomnienia z całego życia.



Stałem tu, patrząc na ciało Vicki, i zastanawiałem się nad kruchością życia oraz nad tym, dokąd ono ucieka.

Wreszcie dziesiątego dnia BR-1 zdecydował, że już dość tego słuchania Weavera, Gritza, Franka-Negocjatora i całej prasy.

Zastępcaszyryfa, William A.

Degan nie żył.

Vickii Sammy Weaverowie nieżyli.

Kevin Harris poddał się, będąc niemal na pograniczu śmierci, a Randy Weaver był ciężko ranny.

Cała ta operacja, która rozpoczęła się z wielkim hukiem, zaogniła się i umarła tak jak wszystko inne natym okropnym nawisie skalnym.

FBI miało legalny nakaz aresztowania Randalla Weavera z Bonners Ferry w stanie Idaho i już czas, aby go wyegzekwować.

BR-1 ogłosił, ustami swego głównego negocjatora, pułkownika Bo Gritza, ostateczne ultimatum: wychodzisz, albo my przychodzimy.

Nigdy nie dowiedziałem się, co stanowi inspirację dla takiego toku rozumowania.

W chacie były jeszcze trzy córki Weavera i z tego, co podsłuchaliśmy, to najstarsza z nich, Sara, chciała walczyć do końca.

A nawet powiedziała ojcu, że planuje wybiec z chaty, najpierw podpalając się, a wtedy my strzelimy i staniemy się mordercami dzieci.

Cisi, spokojni farmerzy - śmiałem się sam do siebie, szykując się do ostatecznego rozstrzygnięcia.

Tak właśnie nazywali Weaverów ludzie biorący ich stronę, o czym donosiła prasa.

Paul Harvey zaoferował się pokryć koszty ich procesu.

Publikacje w prasie krajowej przypominały prawa zagwarantowane w Konstytucji i nazywały mieszkańców chaty męczennikami, obrońcami tych wszystkich praw, które są drogie Amerykanom.

Komentatorzy przyklepili nam etykietkę bandytów w ciężkich buciorach, którzy przybyli tu niemal całą armią, by wykurzyć rodzinę

Rozstrzygnięcie

273

odludków, pragnącą tylko prowadzić porządne życie, zgodne z jej wierzeniami.

Gówno prawda.

Wychowałem się na Wschodnim Wybrzeżu, które było największą enklawą hippisów i ludzi odrzucających normalne życie w społeczeństwie, preferujących życie na łonie natury i wyznawanie swobodnych poglądów.

U nikogo z nich nigdy nie widziałem broni i żaden z nich nigdy nie strzelał doszeryfa.

Żaden z nich nigdy niewylądował na pierwszej stronie dziennika "USA Today" jako przykład walki Ameryki z Porządkiem Nowego Świata.

- Sierra Cztery melduje zajęcie stanowiska - powiadomiłem przez radio TCO.

Było rano.

Tego dnia miał nastąpić rozstrzygnięcie.

Przez zwykły fart miałem najlepsze na całej górze miejsce do oddania strzału.

Leżałem na brzuchu, przy komórce na podwórku Weaverów, trzydzieściosiem jardów od schodów prowadzących natylną werandę.

Słońce miałem z tym, co gwarantowało mi krystalicznie czysty obraz przez mój celownik Unertla.

Po raz pierwszy odkąd tu przyjechaliśmy, było ciepło.

Szturmowcy planowali atak od frontu oraz z boku, zmuszając ich do ewentualnej ucieczki przez tylną wejście.

Jeśli Weaverowie wyszliby, strzelając, wówczas zakończyłoby się do mnie.

Bo Gritz wszedł do chaty i zaczął rozmawiać z Randym Weaverem i jego córką Sarą.

Jak na ironię, gdy podsłuchiwalismy przebieg tej rozmowy, to Bo akurat rozmawiał z dziewczyną, a ona nie chciała się poddać.

Tymczasem Randy zrozumiał, że to już koniec.

Jednak córka mówiła temu mordercy służącemu kiedyś w zielonych beretach, co marobić.

Wprostnie wierzyłem własnym uszom.

Jak dramatycznie może zmienić się cały bieg spraw w ciągu dziesięciu dni; z niedowierzania aż potrząsałem głową.

FBI wraz z HRT zaangażowało się w ten kryzys, chcąc uwolnić kilku szeryfów, znajdujących się pod ostrzałem grupy radykalnych białych suprematystów.

Jedenastu z nas wdrapało się na górę, wplątało w jakąś niekontrolowaną strzelaninę,

o której nawet dziś, poupływie dziesięciudni, niewiele można było powiedzieć. Podczas trwania impasu FBI powierzyło prowadzenie negocjacji jakiemuś emerytowanemu pułkownikowi z zielonych беретów, kandydującemu też na urząd prezydenta, który zjawił się z napisanymi w domu nakazami aresztowania dla połowy członków rządu Stanów Zjednoczonych.

A teraz siedzimy tu beczynnie, podczas gdy Gritz i pozostali przy życiu Weaverowie grają nam na nosie.

274

Zimny strzał

Wydawało się wręcz niemożliwe, że tak postępuje FBI, które nauczyło mnie podstaw procedury kryminalnej.

Tuż przed jedenastą każdy, kto znajdował się w zasięgu głosu płynącego z radia, słyszał, jak Sara oznajmia Bo, iż jeśli wyjdzie z domu, to tylko w ogniu chwały.

- Nigdy się nie poddam - powtarzała w kółko i zawstydziała ojca, że chce to zrobić.

I właśnie wtedy, zanim ktokolwiek się obejrzał.

Bo zawołał, żeby powiadomiono nas, że ci w chacie już mają dość.

I Randy wraz z córką wyszli za Bo na tylną werandę, tak jakby postanowili udać się na spacer.

Cała sprawa zakończyła się równie dziwnie, jak się zaczęła.

Zdumiewające.

Dwie godziny później siedziałem na pniaku wśród topoli i odpowiadałem na pytania naczelnika z Kwatery Głównej FBI dotyczące przebiegu zdarzeń, które nastąpiły po strzelaniu 22 sierpnia.

Normalnie takie przesłuchania mają miejsce w ciągu kilkunastu godzin po zakończeniu akcji.

Śledczy udzielają agentom, którzy mają zostać przesłuchani, służbowych urlopów, zabierają im broń i przyjmują przysięgę dotyczącą składanych zeznań.

W tym przypadku kwatera główna musiała odwleć to śledztwo, gdyż nie miał kto go przeprowadzić.

- Tak jest, rozumiem - powiedziałem, gdy zostałem poinformowany o obowiązku

podawania w tym śledztwie prawdziwych informacji.

Kiedy już zostaną poinformowani o prawach Mirandy, agenci muszą mówić szczerze o wszystkim, co się wydarzyło, przed obliczem Urzędu Odpowiedzialności Zawodowej lub też w każdym innym śledztwie prowadzonym przez organa rządowe.

Nie mają adwokata, żadnego doradcy, ani też podczas tych przesłuchań nie jest obecny żaden z kolegów.

Wszystko, co powiesz, może być i będzie udostępnione cywilnym stronom w procesie, jeśli sprawa znajdzie się w sądzie.

Wszystko, co powiesz, może być i będzie użyte przeciwko każdemu, kto uczestniczył w tym zdarzeniu, jeśli zostaną wysunięte zarzuty o przestępstwo kryminalne.

To nie jest sprawa, w której wystarczy wykręcić ogólnokrajowy numer, gdy potrzebna jest natychmiastowa pomoc, czyli 1800-HELP.

- Taak - odpowiedziałem, próbując odtworzyć dziesięć najbardziej niezwykłych dni mojego życia.

Przypomniały mi się słowa Raży, wypowiedziane w naszej klasie 21 sierpnia: "Myślę, że mamy pracę".

Patrzyłem przez celownik, gdy Randy Weaver, Sara Weaver i Kevin Harris kluczyli między drzewami, skałami i budynkami, unikając moich umiejętności strzeleckich.

Obserwowałem, jak Mark schyla się i kryje wśród nasilającego się hałasu sterty puszek, podczas tego osławionego,

Rozstrzygnięcie

275

wymyślonego przez Lestera patrolu, noszącego kryptonim " wagon nakółkach".

Przemknąłem też myślami przez długie, półprzyciemne noce, podczas których obserwowałem w świetle podczerwieni duchy przesuwające się za oknami chaty.

I słyszałem też potworny krzyk, który wydobył się z piersi umierającej Vicki, krzyk, który poszybował wysoko ponad dzikimi przestrzeniami Idaho.

Ten jej głos rósł, nabierał mocy, przedzierając się przez zalesione góry, aby gdzieś tamu podnóża bezkresnych gwiazd napotkać moje własne nocne koszmary.

Patrzyłem na chatę, kiedy wchodziliśmy na górę, aby zrobić wizję lokalną, obejrzeć skromny pokój, który stanowił dla nich sanktuarium.

Wszędzie wałały się stosy zakrwawionych kocy i ubrań.

Naliczyłem dwaście sztuk broni.

Oczywiście zobaczyłem znów rany Sammy'ego i pokaleczoną twarz Vicki, a także BR-1 stojącego w idealnie odprasowanym mundurze przed skrzynkami ze swoją ukochaną oranzadą, a wszystko to na tle wspaniałej, dzikiej głuszy.

Wielki, namalowany ręcznie napis, tuż po naszej lewej stronie, witał gości na "skromnej, cichej" farmie Weavera.

"Każdy winien przykłęknąć", głosił.

- Dobra, zaczynajcie - zwróciłem się do śledczych.

- Powiem wam to, co pamiętam.

#### Księżniczka CZWARTA

Zbudź mnie wcześniej, matko droga, Zbudź mnie wcześniej, bardzo wcześniej.

Rok szczęśliwy nie ma czasu szczęśliwszego niżli w wieśnię;

Jakież miłszy bywa dźwięk, niżli porą tą majową?

Więc chcę maja być królową chcę majową być królową.

ALFRED LORD TENNYSON "KRÓLOWA MAJA".

16

Waco

Sześć miesięcy od wydarzeń w Ruby Ridge szybko minęło.

Nasz codzienny trening znowu powrócił do rutyny: ćwiczeń z bronią palną w zamkniętych pomieszczeniach.

Tym samym upłynęło już półtora roku od chwili, gdy wstąpiłem do jednostki i zasłużyłem sobie na wyższy stopień w dziedzinie alpinizmu, który uwielbiałem od dzieciństwa.

Z kwatery głównej dotarła do nas wiadomość, że specjalna komisja badająca przypadki strzelaniny podczas wszystkich akcji nie dopatrzyła się w postępowaniu Hoocha żadnego zaniedbania.

Wyglądało nato, że pomimo złej prasy wszystko było w porządku.

Wobec tego życiewróciło do normalności.

Nawet w domu, gdzie tygodnie spędzane przeze mnie na wyjazdach budziły pewne zaniepokojenie, sprawy się ułożyły.

Ten pierwszyrok pobytu w jednostce przysporzył mojej rodziniesporo niewygody.

Dzieciaki przestały mówićz entuzjazmem o "wielkim nikt", a za każdym razem, gdy odzywał się mój pager, Mickey przybiegał wpanice,pytając,czy znowu wyjeżdżam.

Akcje tego rodzajujak uśmierzeniezamieszek w LosAngeles, pościg za Homingiem czy impasw RubyRidge nigdy nie były zaplanowaną podróżą.

Nie mogłempowiedziećchłopcom, że będę w domuprzez jeden,dwa dnialbo przez tydzień.

Jeżeli miałem możliwość porozmawiać z nimi, to czasu było akurat tyle,aby ich uściskać iskłamać.

- Będę w domu,zanim się o tym dowiecie - powiedziałem.

Mickey pokiwał głową zoptylizmem, aleJake był wystarczająco duży,aby znać prawdę.

- Czy zobaczymciebiew dzienniku?

- spytał.

Tylko to miało dla"lego znaczenie.

Z pola kartofli w Idahonie dzwoniłem do domu,toteż^edział równie dobrze jak ja, że jeżeli wyjadę,to prawdopodobnieusłyszysz mój głos dopiero wtedy,gdy wrócę.

Rosę robiła dobrą minę do złej gry.

280Zimny strzał

- Jeszcze tylko kilka lat - powiedziałem jej wieczorem w łóżku, kiedy rozmawialiśmy o stresie, jaki powoduje u niej moja praca.

Wczacie naszegomałżeństwaprzeżyła już kilka przeprowadzek, a leten okres był dla niej niewątpliwie najtrudniejszy.

Kiedy mnie nie było,musiała dokonywać isticie zonglerskich sztuczek,

aby pogodzićpełnoetatową pracęz prowadzeniem domu, płaceniem rachunków, dbaniem o wszystko i jeszcze o dwójkę małych chłopców, którzy dziwili się,dlaczego ich

tata mieszka w jednostce.

A na dodatek miała świadomość, jak niebezpieczna jest moja praca.

Większość żon witawracających z pracy mężów zwyczajowym pytaniem: "Jak tam było dziś w biurze?"

". Rosę zdawała sobie sprawę, że moje "biuro" zazwyczaj szybowoło siedemdziesiąt pięć stóp nad ziemią, czekając, aby za pośrednictwem lin, po których zjedziemy, dostarczyć nas na dół, na dach jakiegoś domu, w celu krótkiej wymiany ognia.

Bez względu na to, czy byłem w domu, czy też nie, nie mogłem pozbyć się lęku, że mnie utraci.

Na szczęście po wydarzeniach w Ruby Ridge Kwatera Główna FBI nie przydzielała nam żadnych zadań i przez kilka miesięcy siedzieliśmy w Quantico.

Obydwoje z Rosę skorzystaliśmy z tego i na święta Bożego Narodzenia pojechaliśmy wraz z dziećmi do moich rodziców do New Hampshire.

Dzieciaki bawiły się na śniegu, poznały swoich kuzynów i uczyły się jeździć na łyżwach.

Ale co najważniejsze, zapomniały o pagerze, o moich nieprzewidzianych nieobecnościach w domu oraz o wyrazie twarzy swojej mamy za każdym razem, gdy się żegnałem.

Najwyraźniej ta przerwa pomogła, bo nikt nie wyrażał żadnych obiekcji, kiedy nadszedł luty, a ja pojechałem wraz z kolegami na tydzień do Tucson, aby poćwiczyć wspinaczkę na tamtejszych stromych skałach naplaży.

Być może fakt, że to był wyjazd treningowy i że wyjeżdżałem tylko na krótko, uspił ich fałszywym poczuciem bezpieczeństwa.

Kiedy przybyliśmy do Tucson, Ruby Ridge wydawało się odległe o miliony kilometrów. Włożyłem buty do wspinaczki i zacząłem wdrapywać się szlakiem zwanym Stoner's Boner, o średnim stopniu trudności.

Pełne przemocy zadanie uwalniania zakładników wydawało się mętną i odległą rozrywką.

Teraz obchodziły mnie jedynie padające na plecy ciepłe promienie słońca, górskie powietrze i delikatny wiatr przenikający przez modrzewie.

Życie wydawało się wspaniałe.

- Wchodzę - powiedziałem.

Waco

281

Trailer Court, cicho mówiący były operator z Seal Team 6, poluzował pięćdziesięciometrową linę i sprawdził swój karabiończyk.

- Wchodź.

Więc wszedłem, pierwsze kroki stawiając na majestatycznym wapiennym głazie, zawieszonym wysoko, wysoko nad doliną Tucson.

Gdybym miał czas, to mógłbym spojrzeć dół, na tę zimną pustynię, którą przemierzałem wraz z żołnierzami patrolu nadgranicznego Douga Boba podczas mojej pierwszej obławy na handlarzy narkotyków.

Prawdopodobnie mógłbym dojrzeć bazę sił powietrznych w Davis-Monthan, gdzie trenowaliśmy kilka razy w roku na terenie tamtejszego cmentarzyska dla samolotów, abyć może i Kaktusowy Księżyc, miejscowy nocny klub, gdzie dawaliśmy gazu za pomocą budweisera i tequili.

Ale teraz nie było czasu na podziwianie widoków.

Cały mój świat koncentrowałem się na tej grze w szachy, tyle że w pionie, która w trzy godziny miała doprowadzić mnie na szczyt liczącej sześćset stóp skały.

Wspinaczka górską stała się jedną z ubocznych korzyści, jakie czerpałem z pracy wymagającej codziennego poświęcenia i oddania.

Większość ludzi nie przypuszcza, że w jednostce potrzebne są umiejętności alpinistyczne, ale wtedy od razu widać, że nie zastanawia się zbyt długo, jak dostać się na szczyt wieżowca opanowanego przez terrorystów.

Czy chodziło o zjeżdżanie po linie, czy też wdrapywanie się na górę, HRT miało wyćwiczonych alpinistów, którzy bezoporów zgadzali się, by ich tyłki wisiły wysoko nad ziemią.

Wspinaczka należała do tych dziedzin, które podczas pierwszego roku ciężko trenowałem.

Umiem perfekcyjnie strzelać każdego z czternastu rodzajów broni, jakie mam w swoim arsenale.

Na strzelnicy czuję się swobodnie.

Odzyskałem też kilogramy, które zrzuciłem, starając się przyjąć do jednostki.



A jeśli chodziło o wytrzymałość, to nabyłem tęmiejętność bycia niezwykłym, którą wywarła na mnie tak wielkie wrażenie, kiedy po raz pierwszy zauważyłem ją u operatorów podczas treningów w Akademii.

Nie byłem już też pieprzonym żółtodziobem.

- Nie ma potrzeby się jej pozbywać - zawołał Trailer.

Miałem złą

skłonność rozrzucić zbyt swoją osłonę, a on chciał ustrzec mnie przed nieostrożnością.

Zachęta również odgrywała dużą rolę w HRT.

Choć przeniknięciem do absurdalnym współzawodnictwa, operatorzy cieszyli się z osiągnięć kolegów.

Czy to manewrując pomiędzy słupami w podziemnym garażu podczas wyścigów wózków widłowych w czasie.

282

Zimny strzał

zamieszek w Los Angeles, czy też walcząc o prawo do przechwalania się w czasie zawodów międzydrużynowych, albo też strzelając z procy do much - zawsze fetowaliśmy zwycięzcę każdego zawodów.

A następnego dnia przynosił nowe wyzwania.

Pamiętam, jak kiedyś Walt znalazł teczkę kuriera dyplomatycznego.

Miała zainstalowany elektroniczny kondensator, wywołujący miniszoku każdego, kto niewłaściwie ją podniósł.

Po żartach i śmiechach rozmowa zeszła na zorganizowanie zawodów, kto najdłużej da radę utrzymać rękę to nieszczęsne urządzenie.

I natychmiast w kolejce ustawilo się półtuzina facetów.

Ja stałem z tyłu i patrzyłem, jak krzyczeli i wrzeszczeli, a oczy wychodziły im z orbit.

Prąd rozrywał im ciało, ale nie wypuszczali teczki.

Jestem pewien, że w końcu któryś z nich wygrał.

Współzawodnictwo było częścią wewnętrznego rankingu, tylnym wejściem prowadzącym nadrogę awansu na pozycję dowódcy brygady.

HRT miało swój własny system awansów.

Każdą liczącą ośmiu snajperów brygadą i siedmioosobową brygadą szturmowców dowodził dowódca brygady wraz z zastępcą.

Podlegali oni koordynatorowi (snajperów lub szturmowców), a ci z kolei swoim przełożonym z sekcji złotej albo błękitnej.

Opisu tej struktury próżno szukać w jakiegokolwiek instrukcji dotyczącej awansów w FBI.

HRT stworzyło ją samo dla siebie.

I o ile większość osób z kierownictwa FBI dochodzi do stanowisk drogą awansu, o tyle dowódcy HRT pięli się w górę z tytułu męstwa i swych umiejętności.

Pięćdziesięciu samców walfa zamkniętych na ciśle strzeżonym terenie niewytrzyma długo.

Narasta zniecierpliwienie, a ono przeradza się w agresję.

Jeśli dodać jeszcze do tego trwającą przez pięć dni w tygodniu dietę, składającą się z ekstremalnej przemocy, pracy koncentrującej się przede wszystkim na zabijaniu zbrojnych oraz świadomości, że do ciebie należy decyzja, czy pozbawić życia drugą osobę, to mamy środowisko, wewnątrz którego wzajemne relacje są bardzo specyficzne.

Można je nazwać "podporządkowaniem stadu" albo społeczną stratyfikacją: rodzi ono psychologię, która mówi, że "biegniesz z zespołem albo umierasz na poboczu drogi".

Ludzie, którzy dowodzą tego rodzaju jednostką, nie próbują szukać, że się do tego nadają.

Oni sobie na to rzeczywiście zasłużyli.

A ja będąc w tym punkcie mojej kariery, nie miałem najmniejszych złudzeń, że powinienem wspinać się dalej.

Wspaniałe pustynne słońce grzało mnie w plecy, a ja zaklinowywałem się, brudziłem i pomału

Waco

posuwałem po stromym zboczach, wbijając haki i klamry.

Lina tańczyła moimi plecami, a ja wdrapywałem się coraz wyżej i wyżej.

Krew w ramionach pulsowała, a stopy ułożyły się w superdopasowanych butach, które przywierały do grani jak rzep.

Wspomnienia skał Cannon, na które wspinałem się jako nastolatek, sprawiły, że zadziałało doświadczenie i moje ruchy stały się ostrożne.

"Zaufaj sprzętowi i asekuracji", ostrzegał mnie zawsze ojciec.

Im wyżej się wdrapywałem, tym więcej rozumiałem.

Rozrzedzone powietrze omiało podeszwy moich butów, grożąc zepchnięciem setki metrów w dół.

Zmęczenie, frustracja, brak wyobraźni, złe rozplanowanie - wszystko to, co ma wpływ na przegrana - w miarę jak byłem coraz wyżej, dochodziło coraz bardziej do głosu.

Ale nie bałem się, że spadnę, ponieważ wiedziałem, że asekurująca ręka Trailera nie zdrzy.

Jeśli zlecę, to mnie złapie.

Wiedziałem, że gdybym musiał wbiec do płonącego pomieszczenia pełnego terrorystów, to Metz będzie słać mnie z prawej, a Boat albo Raz z lewej.

Znaliśmy nawzajem swoje mocne i słabe strony, potrzeby i antypatie, i to lepiej niż ktokolwiek inny.

Wiedzieliśmy o rzeczach, o których nasze żony nigdy nie odważyłyby się zapytać, widzieliśmy takie, których nikt poza nami by nie zrozumiał, i obnażaliśmy to, czego nikt inny nie chciałby oglądać.

Słowa "brat" czy "partner" zbladły, bo wielokrotnie okazywaliśmy sobie nawzajem takie zaufanie, o jakim ludzie nie mieli nawet pojęcia.

Jeśli Raz pociągnąłby za spust o tysięczny ułamek sekundy za wcześnie, to mógł rozwalić mi czaszkę.

Jeśli Trailer puściłby linę asekuracyjną, spadłbym i zabił się.

Jeżeli Boat ześlizgnąłby się z płótna helikoptera, gdy mieliśmy zjeżdżać po linie, to pociągnąłby mnie za sobą trzydzieści pięter w dół.

W HRT wspinaczka stanowiła świetną metaforę dla pojęcia zespołu.

Wygrywaliśmy, bo ufaliśmy sobie, tworzyliśmy organizm składający się z jednego

sercai z pięćdziesięciu par rąk.

Pracujecie razem, tożycie.

Rozdzielicie się - i jesteście martwi.

Te zasady wydawały się niezmiernie proste.

Zakończyliśmy naszą wspinaczkę około południa i dołączyliśmy do reszty.

Teraz czekała nas piękna przejażdżka w malowniczej scenerii z powrotem do miasta.

Schodząc na dół, czułem się absolutnie spełniony, bujając się i z powrotem nad krętą górską dróżką, wspominając historie zakończone porażką i wielkim sukcesem.

Czułem wokół siebie obecność przyjaciół i to sprawiało, że było mi z nimi o wiele lepiej,.

284

Zimny strzał

aniżeli kiedykolwiek, gdy byłem sam.

Czułem, że jest we mnie pełno życia, a jego horyzonty są niemal nieograniczone.

Tuż przed trzynastą zatrzymaliśmy się na lunch w restauracji Brudny Charlie.

Piiiiip, piiiip, piiiip.

Chuck, dowódca drużyny i jedyna w całej jednostce osoba z doktoratem, sięgnął po pager.

- To zbiura - powiedział, sprawdzając wiadomość na ekranie.

- Dowiem się, o co chodzi, i dołączę dowas.

Godzinę później nasza ósemka wymeldowała się z hotelu, wsiadła do samolotu i poleciała na wschód Stanów Zjednoczonych, w kierunku miejscowości, która wkrótce zasłynęła jako miejsce największej masakry w historii amerykańskiego prawodawstwa.

- Waco?

- spytałem Marka, gdy czekaliśmy na samolot linii Southwest Airlines, który mieliśmy opuścić Tucson.

Żaden z nas nigdy nie słyszał o Dawidzie Koreshu ani też okulcie religijnym zwanym Gałęzią Dawidową.

- Co, do cholery, jest w tym Waco w Teksasie?

Mark mieszkał w Houston i do Korpusu Piechoty Morskiej trafił jako magister nauk rolniczych.

Sądziłem, że coś wie o tym stanie Samotnej Gwiazdy.

- Raz pochodzi z Waco i zdaje się, że grał w futbol w Baylor - odparł Mark.

Dzięki, Mark.

Kiedy stojąc w kolejce do samolotu przesuwałem ciężkie torby z ekwipunkiem, dostrzegłem przed nami Goldie Hawn i Kurta Russella.

Pomyślałem, że to zakrawa na ironię, iż każdy wokół nas czuje się podekscytowany obecnością dwóch gwiazd, a nie mapojęcia, że ośmiu stojących za nimi facetów pędzi do miejsca, w którym wkrótce rozegra się jeden z największych dramatów.

Wylądowaliśmy na małym lotnisku w Waco już po zmroku.

Z lotu ptaka widok nie zrobił na nas wrażenia.

Na tyle, na ile udało mi się dostrzec, ojczyzna Texas Rangers (ale nie chodzi o sportowców,

Każdy stan ma swój przydomek, i tak np.

stan Nowy Jork jest zwany Apple State (Stan Jabłka), stan Pensylwania -

Constitutional State (Stan, w którym narodziła się Konstytucja), a stan Teksas

nosi nazwę Stanu Samotnej Gwiazdy (przytulim.

).

Waco 285

tylko o tych z plakietkami Gwardii Narodowej) składała się z rzeki, mnóstwa przykładów nieciekawej architektury i wielkich połaci pustych pastwisk.

O ile oszołomiła mnie pierwotna dzikość północnego Idaho, o tyle w Waco uderzyło mnie niedbalstwo.

Wyglądało jak jedno z tych miejsc, o których ludzie mówią: "Nie mogę uwierzyć, że to się stało tutaj".

Nasza ósemka wylądowała, nie mając przy sobie nic prócz browningów

uboku, kilkadziesiąt karabinków i dziesięć milimetrowej liny wspinaczkowej.

I chociaż przybyliśmy tu pierwsi, nie mieliśmy zbyt wielkiej nadziei na to, że samym uda nam się wykurzyć Koresha z Góry Karmel.

Na lotnisku czekał na nas nieco zakłopotany świeżo upieczony agent

agencji rezydenckiej w Waco.

Załadował nasze bagaże na ciężarówkę i zawiózł nas do pustego hangaru przy Wyższej Szkole Technicznej.

Pozostali koledzy z jednostki mieli przylecieć nazajutrz rano, ale agencja z biura terenowego FBI w Dallas już tu byli.

Specjaliści od logistyki tworzyli stanowisko dowodzenia, podczas gdy służby techniczne zakładały połączenia telefoniczne, elektrycy - dodatkowe gniazda do podłączenia komputerów, sekretarki zaś zaczęły gromadzić sterty papieru, które nieodmiennie zawsze wyrastają wokół każdego kryzysu.

Przybyły też jednostki SWAT z Dallas i z San Antonio, gotowe otoczyć Górę Karmel, dopóki dowodzenia nie przejmie HRT.

Kilku agentów siedziało milcząco przy małych biurkach, kreśląc strategię całej operacji, konieczną, aby przyporządkować skierować w odpowiednim miejscu setki stróżów prawa, którzy zjeżdżali się z całego kraju.

- O co tu chodzi?

- spytałem jednego z elektroników, gdy siedzieliśmy w hangarze, nie mając nic do roboty, jak tylko czekać.

Cała moja wiedza dotycząca tego kryzysu pochodziła z informacji usłyszanych w telewizji na lotnisku oraz od Chucka, który dwukrotnie dzwonił w tej sprawie do Waszyngtonu.

Mój rozmówca zaprowadził nas do biura przylegającego do rodzącego się centrum dowodzenia, usadził wokół małego telewizora i włożył kasetę do odtwarzacza wideo.

To była rzeź.

Jak powiedział, agencja z Biura ds.

Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej (ATF), przeprowadzając rewizję na miejscu kultu religijnego, została osaczona.

Czterech zginęło, a kilku zostało rannych, przy czym niektórzy ciężko.

- Biedne gnojki - szepnęła ktoś, gdy kamery ukazały w zbliżeniu, jak tym, którym udało się uciec cało, niosą zabitego.

To wszystko.

Zimny strzał

bardziej przypominało wojnę aniżeli wymuszanie przestrzegania prawa.

- Biedne gnojki.

Reszta naszej jednostki przyjechała następnego ranka i przywiozła sprzęt.

Rozładowaliśmy ciężarówki w hangarze, przebraliśmy się i pojechali na ranczo Koresha.

Szczęście podczas prowadzenia każdego zwiadu może oznaczać różnicę pomiędzy działaniem a bezczynnością, więc Metz i ja dziękowaliśmy gwiazdom, gdy Lester kazał nam zająć jedyne rzeczywiście snajperskie stanowisko, z którego było widać całą posiadłość.

Odkąd agenci ATF wycofali się z walki, nikt nie odważył się znaleźć w zasięgu strzału, więc duże pole porośnięte wyłącznie trawą terenu, po którym nikt nie chodził, stanowiły dobry punkt obserwacyjny.

Naszą szczęście jednostka SWAT z Dallas zajęła pusty, położony w kierunku południowym dom, oddalony o jakieś sześćset jardów.

Metz i ja z samochodu, który przywiózł broń, chwyciliśmy barretty, karabiny snajperskie kalibru .

50 i powlekliśmy się z nimi do jedyne miejsce, z którego agenci HRT mogli mieć oko na Koresha.

To, co ujrzałem, kiedy tam dotarliśmy, wstrząsnęło mną.

Kompleks zabudowań nazwany Górą Karmel widniał na horyzoncie i wydawał się olbrzymi, ale panował tam spokój.

Budynki ciągnęły się przez równinę, szerszą, brązowa plama.

Bobby wdrapał się nadach naszego chevroleta i wyciągnął do mnie kolbę barretty, aby pomóc mi złapać równowagę.

Wiatr wiejący z prędkością trzydziestu mil na godzinę trzepał moją parkę z goretexu i sprawiał, że po plecach przebiegały mi dreszcze.

Wciągnąłem ciężki karabin na skraj krawędzi skalnej i skierowałem w stronę rancza.

Nie strzelałem z tej broni już ponad miesiąc, ale nigdy nie przestawała zdumiewać mnie jej precyzja na dużą odległość efekt strzału.

Jej dziesięcionabojowy magazynek potrafił wypuścić 750-granowe pociski z szybkością 800 metrów na sekundę, a więc z identyczną, z jaką naciska się spust.

Nawet mając anemiczny celownik optyczny Leupolda, niezbyt wprawny strzelec może zastrzelić człowieka z dystansu tysiąca jardów.

Przy tej odległości kula dosięgnie celu niemal pół sekundy wcześniej niż rozsadzający uszy huk wystrzału.

- Ojej, co z tym wiatrem?

- narzekał Metz, gdy podczołgał się do mnie.

Ja już ustawiłem na szczycie barrettę, oparłem jej koniec na

Waco287

podpórcie.

Na sobie miałem nieprzemakalne ubranie, bieliznę z polipropylenu, kamuflaż i wełniany sweter, ale pomimo to wiatr przewiewał mnie na wskroś.

Bobby nastawił radio i powiadomił o naszej pozycji TCO: 187 stopni, wsteczny azymut wynoszący w przybliżeniu sześćset jardów.

Z naszego miejsca mieliśmy widok na całą arenę wydarzeń.

Po prawej stronie biegła autostrada EE, gdzie czekał już sprzęt wojskowy na niskopodłogowych przyczepach, a po lewej łagodnie rozciągały się pola.

Z tyłu, za nami, media wyprawiały swoje cyrki, a miały do dyspozycji wszystko, od samochodów do transmisji satelitarnej poprzeczność kuchnie.

A pod nami pasło się, brnąc w wysokiej trawie, bydlę rasy Black Angus.

Wielki czarny byk przeszedł linię ogrodzenia, skłaniając Metza do poświęcenia mu nieco uwagi, ponieważ nasz kolega nigdy jeszcze nie widział tego zwierzęcia na wolności.

Pomimo że widzieliśmy niemal wszystko, co działo się wokół Góry Karmel, nie powierzono nam żadnego szczególnego zadania poza informowaniem o przebiegu wydarzeń.

Wydawało się niemal nierealne, aby z rancza Koresha nagle wyszedł ktoś z karabinem snajperskim w dłoni.

Doniesienia wywiadu wskazywały, że agenci ATF mogli prawdopodobnie sami się poranić,



a większość z nas miała przed oczami krwawą scenę, jakarozebrała się wewnątrz budynku.

Negocjatorzy nawiązali łączność z Koreshem czy też Howellem, czy jak on tam, do cholery, siebia nazywał, i wydawało się niemożliwe, by członkowie sekty podjęli jakieś nowe wrogie działania.

Dlatego też pomimo że moja broń była supernowoczesna, nie spodziewałem się, że będę strzelał czymś święciej aniżeli błyszczącymi nabojami kalibru .

35.

Usiadłem sobie za moim karabinem, ustawiając krzyż celownika na frontowe wejście do rozległego kompleksu budynków rancza.

Ten wiatr sprawiał, że obliczenie trajektorii lotu kuli było sprawą dość ryzykowną.

- Na świętą krowę, czy dostrzegasz ogrom tego miejsca!

- powiedział Metz, który ustawił już swój CAR-16 i teraz gapił się na pastwisko.

Bobby rzadko przeklinał.

Pół mili na południe trzepotała na wietrze, dobrze widoczna na tle wyschniętych łanów żyta, błękitna flaga, prezentując białą gwiazdę Dawida niczym przestrożę.

Usiłowałem wyszukać jakiś cel, ale na siatce soczewki celownika Leupolda przesunęły się złudzenia optyczne.

Naboje pięćdziesiątki, które włożyłem, ważyły sześciokrotnie więcej niż.

288

Zimny strzał

kule kalibru .

308, ale przy tej odległości wiatr też mógł zmienić tor ich lotu, tak więc trafienie do celu byłoby loterią.

- Masz coś?

- spytał Metz, pochylając się nad swoim powiększającym czterdziestokrotnie celownikiem.

- Neeee - odparłem.

- Prawdopodobnie przyczaili się iczekają na nasz ruch.

Całata sceneria tak bardzo przypominała Ruby Ridge po strzelaninie, że chciałem rozpocząć na ten temat rozmowę.

Po konflikcie następuje pustka, i nieważne, czy chodzi o bijatykę na pięści, czy awanturę zużyciem broni palnej.

W miarę jak adrenalina wytracatęperaturę, atmosfera ulega ochłodzeniu, a pojawia się ból.

Jest teżzawsze czas kontroli, kiedy siadasz i patrzysz, czy twoje ręce i nogi są całe.

Ale wtedy uporczywyból zaczyna się zaostrzać.

Powracajądźwięki, zapachy i rozmaite uboczne szczegóły, aż wreszcie powracawszystko.

Metz i ja trafiliśmy akuratna ten wlokący się, poplątanyczas, jakinastępuje po walce, kiedy to każdy siedzi i zastanawia się, co też sięteraz wydarzy.

- Czy wierzysz w to, co wygadująw telewizji?

- spytał.

Jego czerstwacera poczerwieniałaod marcowego wiatru.

Przesuwałem lufę karabinu tam i z powrotem wzdłuż rancza Koresha, starając się wyłuskać wyraźnecele.

W szkole snajperskiej nauczono nas, że należy wybrać kilka rozmaitych obiektóww różnej odległości, copozwoliocenić trajektorię pocisku.

- TCO do wszystkich brygad Sierra.

Bądźciew gotowoścido odbioru.

Metz sięgnął do kieszeni po służbowy notatniki pióro.

"Bądźcie

w gotowości"zazwyczaj znaczyło, że coś się szykuje, ale teraz nie miałem pojęcia, co by to mogło być.

Nikt, z kim rozmawiałem, nie wiedziałzbyt wiele albo nawet zupełnie nic o strategii zmierzającejdo rozwiązania problemu.

Brygadyszturnowe utrzymywałyokrążenie, którew ciągugodziny miało jesczczostać

wzmocnione przez pojazdy opancerzone z Fortu Hood.

Dowódcy w swojej kwaterze wisieli na telefonach, wydzwaniając do tuzina lub więcej lokalnych, stanowych i federalnych agencji, a w tym samym czasie Koresh wrzeszczał im w jedno, a Kwatera Główna FBI w drugie ucho.

Niektóre z tych głosów, mając w pamięci Ruby Ridge, z pewnością zalecały powściągliwość i nacisk na negocjacje.

Inne znów przytaczały akcję w więzieniu Talladega jako dowód, że HRT potrafi rozwiązać kryzys w sposób taktyczny.

Waco

289

Tymczasem członkowie Gałęzi Dawidowej siedzieli cicho w swoich budynkach i lizali rany.

- Proszę bardzo - powiedziałem.

- Sierra Dwa, odbiór.

Lester przerwał milczenie i w kilku krótkich zdaniach wyniszczył plan.

Negocjatorzy przekonali Koresha, by się poddał.

Plan zakładał, że w ciągu godziny przywódca sekty wyjdzie z budynku, a teraz czekaliśmy tylko na krótkie przemówienie, które Koresh chciał wygłosić na antenie jednej katolickiej rozgłośni.

Pozostali członkowie Gałęzi Dawidowej mieli wyjść za nim i poddać się.

Jednym słowem pokojowa kapitulacja.

- Na mój tyłek - stwierdził Metz, wciąż notując.

- Nikt nie wyjdzie, a my tu jeszcze przez chwilę posiedzimy.

Skinąłem głową.

Tym razem czułem, że właśnie tak będzie.

Następnego dnia rano, po tym jak Koresh wycofał się ze swojej pierwszej obietnicy, agenci HRT podeszli bliżej do granic rancza.

Nigdy nie byłem na wojnie, ale siedząc wraz z piątką innych złotych snajperów i w pełnym rynsztunku szturmowca w pojeździe opancerzonym Bradley zdawałem sobie sprawę, jakie to uczucie.

Wielki Bradley z silnikiem diesla ryczał jak odrzutowiec, gdy z

szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę toczyliśmy się w kierunku Góry Karmel.

Moją podstawową broń, karabin CAR-16 wyposażony w kolimator, trzymałem między kolanami, kurek zaciągnięty i zabezpieczony, a lufa skierowana w górę.

Jeśli to urządzenie wypaliło, to seria przebiłaby utwardzaną stal wozu, a wszystkich nas zamieniła w bardzo drogi hamburger.

Ten problem nękał mnie tylko troszkę, gdyż raporty wywiadu donosiły, że Koresh miał dwie barretty kalibru .

50. Nikt nie sprawdził, czy Bradleye były w stanie wytrzymaćatak dwóch pięćdziesiątek, a mnie uśmiechał się pomysł chowania się przed kulami, gdy rykoszetem odbijałyby się od wozu.

Byłem ubrany lekko, jak do walki w pomieszczeniach zamkniętych, na którą byliśmy nastawieni.

Wziąłem cztery magazynki po trzydzieści naboji każdy, przy udzie w kaburze miałem jednego Browninga, drugiego zaś przy kamizelce kuloodpornej, a za pasem osiem granatów oślepiających.

Kevlar chronił mi czaszkę, w wozie, a niewiele by pomógł w przypadku długotrwałego ostrzału.

Zatyczki w uszach tłumimy wszelki dźwięk oprócz ryku, przed oczami miałem tylko oliwkowo-brązowe drzewa.

Będę wysiadać jako pierwszy.

290

Zimny strzał

- Trzymajcie się, chłopcy.

Wynikła pewna przeszkoda - oznajmił Matty, szturmowiec, wychylając się cały uśmiechnięty z wieżyczki.

Wszyscy wiedzieliśmy, że "przeszkoda" to małe czerwone auto należące do jakiegoś dziennikarza, który podobno rozpętał tę całą awanturę.

Słyszeliśmy, że podczas strzelaniny porzucił samochód na środku autostrady EE, akurat naprzeciwko wjazdu na dziedziniec posiadłości Koresha.

Nikt nie miał kluczyków do tego auta ani też najmniejszych zamiarów, aby je

stamtąd usuwać.

A teraz my jechaliśmy wprost na to gówno.

Jordan, nasz kierowca, zwolnił, następnie zmienił bieg i zaczął się cofać.

Dwadzieścia ton wdrapało się na mikrusa, który nie miał żadnych szans.

Nasz bradley zadarł przód, nieco się comął, a potem wylądował tak miękko, jak gdyby pokonywał na parkingu muldę zwalniającą.

Wszyscy krzyčeliśmy z radości.

Czterech porządných ludzi zginęło tylko dlatego, że ten skurwysyn chciał złapać temat na czołówkę gazety!

Być może udałooby się nam nawet namówić Gwardię Narodową do oskarżenia o zaśmiecanie terenu.

Nasze zadanie było proste.

Po spędzeniu całego dnia na wysłuchiowaniu bzdur wygadanych przez Koresha nasze dowództwo wreszcie spuściło nas z więzi, nakazując zacieśnienie okrążenia.

Nie miało dla mnie znaczenia, że dowództwo zapomniało poprzedniej nocy odwołać Metza i mnie ze stanowiska.

Niekłopotalem się też zbytnio faktem, że podzielono brygadę złotych snajperów na dwie grupy, które miały pracować na zmianę.

Po raz pierwszy od długiego czasu pracowałem w dzień i nie musiałem leżeć w chwastach, nie mokłem i nie marzłem.

Zdawałoby mi się, że to akcja, na którą czekałem.

Zdjęcia z powietrza ukazywały, że za głównym budynkiem w odległości trzystu jardów stał garaż z żużlobetonu.

Błękitni snajperzy już przedtem zajęli pomieszczenie, które na początku służyło agentom ATF za kryjówkę, ale my szukaliśmy bardziej umocnionego stanowiska, aby osłaniać tyły.

Ten garaż wyglądał doskonale, a nam pozostawało tylko go posprzątać.

Niestety zdaniem snajperów z ATF ukryło się tam kilku uzbrojonych w automatyczną broń ludzi Koresha, a więc musieliśmy ich wykurzyć.

- Wsiadaj!

Szybko, Whitcomb- wrzasnął Gunny, przekrzykując

ryczący silnik.

Siedział na prawoode mnie i był dostatecznie doświadczony, aby wiedzieć, co mówi.

- Złapiąnas, jak będziemywysiadać,i wtedy będzie dużo krwi.

Waco

291

Krwawienie wydawało się najłatwiejszym zadaniem.

Bradleye tozime, kanciaste pojazdy opancerzone,których przeznaczeniem jestochrona życia żołnierzy, a nie zapewnienie im wygod.

Wnętrze pełne jest ostrych,stalowych krawędzi, które mogą rozciąć ciało niczymdojrzały owoc.

Ja skaleczyłem siętam dwukrotnie, a było to w czasiezwykłej jazdy.

Jednak na szczęście bradleye, jak już sięrozpędzą, to jadą niczymcadillac.

Przy prędkości czterdziestu mil na godzinę płyną gładko niczym motorówka, lekko unosząc się w górę i opadając w dół, a wszystko przy ryku silnika.

Jordan był świetnym kierowcą, biorąc pod uwagęfakt, że nie znał terenu, a pole widzenia miałoograniczone do małegootworuprzysłoniętegokuloodporną szybą.

Pochyliłem się do przodu, przygotowując się do szybkiego skoku,jak tylkodojedziemy do garażu.

Obraz odbijających się wszędzie rykoszetemkułwystrzeliwanych przez członków Gałęzi Dawidowej orazgrózbKoresha, że pośle nas do piekła za pomocąlekkich rakiet przeciwczołgowych, niezwykle uatrakcyjniał ten szybki skok.

- Chwileczkę!

- zawołał Matty z wieżyczki.

- Chwileczkę!

- odkrzyknęli wszyscy unisono.

Nie miałem czasu, aby spojrzeć, jaki wyraz maluje się na twarzachmoich kolegów.

Wiedziałem, co mają na myśli: szybko biegnij schylony do budynku i podtrzymuj wymianę ognia.

Jeśli kierowcynaszychwozów opancerzonych ustawili je właściwie, tostanowią one dla nasdobrą osłonę przed ostrzałem z garażu.

Na szczęście mieliśmy przewagę liczebną,wobec tego mogliśmy zneutralizowaćwszelkiezagrożenieze strony ludzi tam ukrytych.

- Przygotuj się!

- krzyknął Matty.

Ciężki pojazd stanął, przechylił się na jedną stronę i obróciło jakieś dziesięć stóp.

- Biegnij!

Nie było czasu, aby życzyć szczęścia.

Raz otworzył luk, a ja dałem nura w szare, wiosenne powietrze.

Gdy dotknąłem stopami, zobaczyłem, że z dwóch innych pojazdów także wyskakują moi koledzy.

W przeciwieństwie do wielu innych szturmów, w tym przypadku żadnych wcześniejszych ćwiczeń nie było.

Zabrakło czasu.

Złoci snajperzy<sup>^</sup>az ze szturmowcami biegli w kierunku autobusów, starych samochodów oraz przyczep stojących przy wschodniej ścianie budynku.

Brygady Echo oraz Hotel przypuszczały szturm i miały usunąć z budynku<sup>^</sup> wszelkie potencjalne zagrożenie.

292

Zimny strzał

- Metz, Junior, sprawdźcie ten autobus - wrzeszczał Gunny.

Choć oficjalnie Gunny był zastępcą dowódcy naszej brygady, to tak naprawdę wszystkim kierował.

Znaczne doświadczenie sierżanta artylerii w korpusie marines pozwalało mu zachować spokój, co budziło nasz respekt.

Po raz pierwszy dowodził nami podczas akcji, ale począwszy od tego, jak się zachowywał, po sposób, w jaki wskazywał głową w kierunku autobusów, widać było, że wie, z czym ma do czynienia.

Przeszedłem z moim CAR-16 wzdłuż rzędu lincolnów.

Nic.

Szturmowcy brygady Echo otworzyli już dwuskrzydłowe drzwi z falistej blachy i

zaczęli wyrzucać rupiecie z garażu, aby zrobić dla nas miejsce.

Nagle rozległ się głos.

- Stać, stać, bo wypatroszę wam te wasze pieprzone mózgi!

Odwróciłem się w prawo, przebiegłem w bezpiecznym miejscu i położyłem palec na spuście, nawet niezastanawiając się, dlaczego powinienem zareagować.

Ten głos był cienki i egzaltowany, jakby jamnik obszcze kiwał grizzly.

- Rzuć broń!

Uniosłem lufę karabinu w górę, kierując ją na lewo, w kierunku, z którego dochodził głos.

Moje prawe oko patrzyło na wprost, a policzek napotkał składane łożysko karabinu tuż poniżej linii poziomej.

Lewe kolano ugięło się z lekka, aby ułatwić skręt ciała, tak jak przygrze w baseball odwraca się drugi baseman.

- Hej, hej, pomalu!

- zawołał ktoś.

I wtedy go zobaczyłem.

Stał obok mnie, na linii, którą tworzył mój karabin oraz dwuosobowa ekipa wysłana przez Danny'ego, aby oczyścić rurę odprowadzającą wodę.

Jeden ze snajperów z ATF, których dowództwo wysłało również, aby nam pomogli, mierzył prosto między oczy urodzonego w Waco Rażą.

Jego leżący na spuście palec drżał, a oczy tak wyszły z orbit, jakby za chwilę miały wypaść i potoczyć mu

się po ziemistych policzkach.

- Wszystko w porządku, chłopie - wyszeptałem.

Wyglądał tak dziwnie, że dźwięk mojego głosu mógł pchnąć go do czynu.

- Spokojnie, spokojnie.

To dobrzy chłopcy.

oni są z nami.

Pół tuzina facetów zastygło w śmiertelnym bezruchu, czekając, aż ten gość pozbiera się i powróci do rzeczywistości.

Widziałem już kiedyś taki wyraz twarzy.

Było to wtedy, gdy kolega powiadomił mnie, że w pudełku krakersów znalazł Jezusa.



Ekscentryk.

Na haju.

Nie z tego

Waco

293

świata.

Bez kontaktu z rzeczywistością.

Jakkolwiek to nazwać, to biedaczysko sięgało pamięcią czterdzieści osiem godzin wstecz, do chwili, w której strzały zabrały mu kolegów.

- Nie ruszać się.

- powiedział, choć tym razem był to bardziej bełkot niż wrzask.

Wpłonących oczach pojawiły się przeblyski zdrowego rozsądku.

Zaczął się trząść, aż wreszcie opuścił karabin i rozpłakał się.

Żadnego chlupania.

Po prostu łyzy, które płyną wówczas, gdy cały świat zaczyna się kręcić zbyś szybko, aby za nim nadążyć.

A u tego chłopaka wydawały się wypływać nie z oczu, ale ze skóry na policzkach.

- Już dobrze, chłopie.

- Gunny położył rękę na lufie jego karabinu, aby mieć pewność, że nie uniesie jej z powrotem w górę.

Ten mężczyzna nie wyglądał już jak wojownik, ale jak ktoś zagubiony i samotny.

- Lepiej przyprowadźmy kogoś, aby go zabrał - stwierdził Hick, dowódca brygady Echo.

- Ktokolwiek go tu przysłał, zasługuje na kopniaka w dupę.

Tak, zgadzałem się z tym.

Oczywiście wyobraźni widziałem śmierć dzielnych agentów ATF.

Nie mogłem za nic zrozumieć, po co jakiś dowódca wysłał ponownie tych, którzy ocaleli, na linię ognia.

Raz i Metz podeszli do mnie, a Gunny rozładował sytuację, zabierając tego chłopaka do wozu pancernego.

Nadciągają Babilończycy

Po naszym rajdzie na betonowy garaż bieg spraw uległ spowolnieniu.

Lester ochrzcił garaż mianem Sierra Dwa, a złotych snajperów podzielił na dwie czteroosobowe grupy, które miały zmieniać się na stanowisku co dwanaście godzin.

W mojej znajdowali się Gunny, przeniesiony właśnie z jednej z brygad szturmowych, oraz Bobby Metz i Junior.

Natomiast błękitni snajperzy przenieśli się do Sierra Jeden, czyli do małego domku, z którego rozciągał się widok na posiadłość Gałęzi Dawidowej.

Także brygady szturmowe zostały rozdzielone na dwie bazy.

Charlie i Echo pozostały z nami, Golf i Hotel zaś poszły do Sierra Jeden.

Z tych dwóch punktów, to znaczy z garażu i z Sierra Jeden, dobrze widzieliśmy całe ranczo, mogliśmy ustalić sposób jego okrążenia, a także, w razie wznowienia walki, wzmocnić stanowiska.

Niemal natychmiast po ustanowieniu przyczółka zabraliśmy się do usuwania z Sierra Dwa improwizowanych ładunków wybuchowych i bomb przeciwpiechotnych, a także szukania ukrytych tuneli i zapadni.

Nasz wywiad doniósł, iż Koresh zbudował cały labirynt podziemnych korytarzy wiodących do posiadłości, toteż chcieliśmy się upewnić, że żaden z nich nie kończy się na przykład w garażu.

Dla pewności podnieśliśmy każdy kamień, deskę i felgę w samochodzie.

Jedyną rzeczą, jaką znaleźliśmy, była para diamentowych grzechotników, które nie obudziły się jeszcze z zimowego snu.

Joey Dwa Pośladki, nasz słynny trener od sportów na świeżym powietrzu, wpackował oba węże dopudełka i obwieścił, że to nasze nowe maskotki.

Nikt jednak nie potrafił wymyślić dla nich imion.

Podobnie jak dwa kundły Weaverów, uwiązane na łańcuchu na podwórku, tak naprawdę nigdy nie czuły się

zwierzętami domowymi.

Pierwsza warta przypadła Metzowi i mnie.

Mieliśmy odgrywać rolę kontrsnajperów wobec ludzi Koresha.

Obserwowaliśmy ich, podobnie jak onias, przez celowniki optyczne karabinów.

Ktoś dobrze

Nadciągają Babilończycy

295

ich poinstruował, jak budować kryjówki snajperskie, ale widzieliśmy lufy ich karabinów i błysk lunet oraz celowników.

Udało mi się zobaczyć jakąś przypadkową twarz ukrytą za firanką i dziecko, trzymane jako żywa tarcza, ale większość tych ludzi pojawiała się niczym cienie, gdyż ukrywali się głęboko w pomieszczeniach, a nam pozostawało jedynie zgadywać.

I tak właśnie wyglądało moje spotkanie z Koreshem - za pośrednictwem celownika optycznego karabinu.

Ten człowiek pojawił się nagle, wyglądając zza futryny okna, słusznie przypuszczając, że wielu uzbrojonych po zęby mężczyzn na zewnątrz chce wpakować mu kulę w łeb.

Prorok z Góry Karmel był ubrany w jasnoniebieski podkoszulek z napisem "Bóg Umacnia".

Światło odbijało się od jego okrągłych okularów.

Negocjatorzy powiedzieli nam, że na początku został on ranny, ale na mnie sprawił wrażenie silnego.

W rzeczywistości Koresh już dostatecznie się wzmocnił, aby wypróbować swój czar na negocjatorach FBI.

Trzeciego dnia rozstrzygał swoje sieci i serwował tę prostą, prowincjonalną gadkę, która wciągała każdego, kto chciał jej słuchać.

Słyszałem taśmy jego obietnicę poddania się i wprost nie mogłem uwierzyć, jak szczerze wymawiał swoje kłamstwa.

Chciał tylko, aby dano mu nieco czasu na modlitwę, umożliwiono zaprezentowanie własnej wersji całej historii chrześcijańskiemu światu oraz zagwarantowano bezpieczny transport do więzienia.

- Gadanie, koledzy, przecież ja chcę z wami współpracować, jeśli tylko dacie mi trochę czasu - mówił z takim przekonaniem i czarem, że w każdym salonie samochodowym w Waco bez trudu zostałby sprzedawcą roku.

Po tym pierwszym dniu nastąpiła monotonia.

Za otwartym oknem we frontowej ścianie zbudowaliśmy "miejską kryjówkę".  
Późną nocą, gdy Góra Karmel pozostawała pod czujną opieką trzech wart  
Gałęzi Dawidowej, my wieszaliśmy na oknie czarny materiał, a sami wymykaliśmy się na  
zewnątrz.

Za oknem zbudowaliśmy z dykty platformę dla karabinów, a za nią do prowadzenia  
obserwacji.

W drugiej połowie tygodnia kilkunastu zaufanych pracowników miejscowego  
więzienia wzmocniło jeszcze naszą małą redutę siedmioma rzędami worków z piaskiem  
i trzema warstwami blachy.

Wiadomo było, że skutki strzałów z Barrett Koresha kalibru .

50 mogą być straszliwe, jeśli odpowiednio się nie zabezpieczymy.

Toteż zaporą grubości czterech stóp wydawała się przyzwoitą osłoną.

296

Zimny strzał

Mnie osobiście to prowadzenie obserwacji wydawało się interesujące przez tydzień.  
Najpierw zaznaczyliśmy na mapie wszystkie okna i drzwi posiadłości nazwanej Góra  
Karmel, przy czym każdemu nadaliśmy miano, tak aby TCO wiedziało, gdzie na  
przykład widzimy jakiś ruch.

Tęcały proces jest bardzo prosty, zgodny z modelem stosowanym w armii.

Pierwszym poziom budynku nosi nazwę poziomu alfa, drugi - brawo, trzeci - charlie.

Z kolei każdą z czterech stron budynku zostaje nazwana kolorami: frontowa - to  
czerwony, prawa - niebieski, lewa - żółty, a tylna - biały.

Natomiast wszystkie okna i drzwi są numerowane, począwszy od lewej strony.

I tak na przykład z naszego punktu obserwacyjnego, Sierra Dwa, o jakimś ruchu  
zameldowałbym do TCO następująco: "Biały, brawo, trzy", co oznacza trzecie okno na  
drugim piętrze, z tyłu.

Tę samą metodę stosowaliśmy w stosunku do ludzi.

Każda twarz trzymywała przydomek.

Jeśli to możliwe, staraliśmy się przyporządkowywać twarzom prawdziwe nazwiska ich

właścicieli, ale to przydomki pozostają w aktach wywiadu, gdy sporządza się raporty.

Reguły są proste.

Pierwszy snajper, który zobaczy nową twarz, musi ją nazwać.

I tu wyróżnił się Beef.

Trzeciej czwartej nocy zawiadomił TCO, że widzi stojącego w drzwiach i trzymającego broń mężczyznę.

- Mam tu białego mężczyznę wzrostu około 160 centymetrów, ma ciemne włosy wąsy - zameldował.

- Jest ubrany w czarną bawełnianą koszulkę, niebieskie dżinsy i białe tenisówki.

- A jak się nazywa?

- spytał ktoś.

- Nazywa się.

Tu przekaz radiowy urwał się na chwilę, ponieważ Beef myślał nad jakimś oryginalnym imieniem.

- Nazwałem go "Białe Tenisówki".

Dobra robota, Beef.

Mnie też przyszło nadać nazwisko kilku osobom.

Pewien facet miał rozszerzające się kudołowi baki, więc nazwałem go Elvis.

Jedna z kobiet była bardzo podobna do mojej dawnej dziewczyny, w obecnym otrzymała imię Michele.

I był jeszcze facet w czerwonej parce, który ilekroć podchodził do okna, trzymał przed sobą w charakterze żywej tarczy małego chłopca.

Małec wpatrywał się we mnie, sparaliżowany strachem, patrzył przecież na samego diabła.

Tak na pewno powiedział mu Koresh, tuż przedtem, zanim jeden z Potężnych Ludzi z Gałęzi Dawidowej postanowił użyć go jako tarczy.

Ktoś inny musiał wymyślić imię dlatego faceta, bo mnie nie przychodziło do głowy tylko jedno: Dupek.

Nadciągają Babilończycy

297

Niestety, wymyślanie przydomków i numerowanie okien nie pasjonowały nas zbyt długo.

Po uporaniu się z tymi zadaniami życie w Waconabrało rytmu 7/8, dopasowując się do zaprowadzonego przez nas rytmu życia.

Dni rozpoczynały się imijały bezżadnego specjalnego sensu.

Niebyło też strategii.

Wszyscy wiedzieli, że Koresh oraz wszyscy jego wyznawcy muszą opuścić ranczo przed nami, ale wtedy pojawiał się pytanie "a jak ja się o tym dowiem?"

". W rzeczywistości do nas, operatorów, nie docierały prawie żadne informacje.

Od czasu do czasu słyszeliśmy o czymś, co brzmiało niejasno obiecująco, ale te wieści skapywały do nas niczym krople w chińskiej torturze.

Rzecz jasna mieliśmy co robić.

Złoci snajperzy obserwowali całą posiadłość i przekazywali informacje do TCO, podczas gdy brygady Chanie i Echo jeździły bradleyami tam i z powrotem do rozwidlenia dróg znanego jako skrzyżowanie Y.

Wozily ludzi, gdy zmieniali się nawartach, dowozily nam obiad, paliwo, zaopatrzenie, materiały budowlane -jednym słowem wszystko, czego potrzebowaliśmy.

Nasze dni naznaczone były prostymi, dającymi się przewidzieć rutynowymi działaniami.

Każdego ranka członkowie mojej brygady spotykali się na hotelowym parkingu.

Wszyscy ubrani byliśmy w kamuflaż i mieliśmy torby-lodówki z lunchem.

Wdrapywaliśmy się na białego chevroleta ciężarówkę.

Za kierownicą siedział Gunny, Junior obok niego, Metz zaś i ja z tyłu rozwiązywaliśmy krzyżówki.

Po krótkiej jeździe do Góry Karmel, minięciu sprzedawców bawełnianych koszulek, protestujących i rozmaitych proroków, punkt kontrolnego Gwardii Narodowej, gdzie wszystkie naszywki, kapelusze i zapinki stróży porządku niemal zastępują pieniądze, dziennikarzy, usiłujących pstryknąć nam zdjęcie przez przyciemniane szyby naszego samochodu, i krów obojętnie przeżuwających swój pokarm meldowaliśmy się w TCO.

Bobby brał świeże baterie do radia, a Junior i ja wyciągaliśmy sprzęt ze stojącej tam ciężarówki.

Gunny szedł do Lestera, by się dowiedzieć, co wydarzyło się, gdy nas nie było.

Stąd jechaliśmy do skrzyżowania Y, wdrapywaliśmy się do bradleyówi odbywał się

Wielki Wjazd do Sierra Dwa.

Kiedy już tam byliśmy, zazwyczaj około pięciu minut zajmowałam uporządkowanie rzeczy, rozwinięcie śpiworówi wydostanie się naszych "zbroi".

Jedyną myślą, która przez większość dni zaprzątała mi umysł, było zmartwienie, czy znajdę wygodne miejsce, aby usiąść, i czy piecyki mają dość nafty, aby dać odpór zimnej teksaskiej zimie,.

298

Zimny strzał

bo w Sierra Dwa nie było nic, gdzie można by się ogrzać.

Szarych kawałów żużlobetonu i pomazanych smarem betonowych podłóg nie pomalowano nawet na żaden słoneczny kolor.

Nie wolno było zapalać żadnych lamp, aby nie wystawiać się na cel.

Toteż z wyjątkiem przypadkowych promyków światła miejscy wydawało się wymarłe.

Zmienialiśmy się co dwie godziny.

Jeden z nas ustawiał karabin za frontową ścianą i obserwował kompleks budynków

Koresha, i chociażby nudziło nas to zajęcie, to nikt nie zawiódł.

Snajper pełniący wartę musiał pilnować potężnych karabinów Koresha.

Przewidywalność nie leżała w naturze tego proroka, toteż żaden z nas nigdy nie brał spokoju za dobrą monetę.

Od frontu Sierra Dwa wyglądała jak szeroka, biała ściana, ale każdy z ludzi Koresha, gdyby tylko chciał, to mógł wpakować nam w szyję pocisk kalibru .

50. Przy odległości trzystu jardów chyba miałbym dość czasu, aby zauważyć błysk wystrzału, zanim kula mnie dosięgnie.

Wszyscy mieliśmy nadzieję, że worki z piaskiem go powstrzymają, ale większość z nas zdawała sobie sprawę, że jedyny okrzyk, jaki zdołamy wtedy wydać, będzie brzmieć "O cholera".

Jedyną osłoną oddzielającą nas od snajperów Koresha był czarny kawałek gęstego muślinu i łaska boska.

Naprawdę.

Środki ostrożności w tym frontowym pomieszczeniu bardzo szybko okazały się niewystarczające, jako że większość z nas uznała beczynność za brak wrażliwości. Pomimo flagi Stanów Zjednoczonych powiewającej nad niskim dachem Sierra Dwa jednak nie panowaliśmy nad tym terenem tak, jak nam się wydawało.

Koresh cieszył się wszędzie statusem gwiazdy, stąd każdy przegrany życiowo nieudacznik, mający pretensje do rządu, chciał znaleźć się jak najbliżej przywódcy Gałęzi Dawidowej.

Dotarło to donas i pojęliśmy to zagrożenie, znalazłszy zwłoki w ziemnym dole obok stodoły.

Pierwszego dnia ATF.

schwytało poplecznika sekty, który starał się dostać do budynku Góry Karmel.

Miał przy sobie glocka kalibru 9 milimetrów i poważny brak doświadczenia w strzelaniu.

Co prawda wystrzelił kilka naboju, jednak potem jego rewolwer przegrzał się i reszta kul w magazynku była już do niczego, ale ten człowiek za to zapłacił.

Dziury w jego twarzy mówiły, jak ważne jest dbanie o broń.

Zmienialiśmy się na warcie o szóstej rano i o osiemnastej.

Każda odchodząca zmiana informowała następną, w których miejscach naścianie w ciągu ostatnich dwunastu godzin ludzie Koresha wywiercili nowe otwory strzelnicze.

Większość tej działalności przypadała na

Nadciągają Babilończycy

299

godziny nocne, toteż ci z nas, którym się poszczęściło i trzymali wartę w dzień, nie mieli dużo do zrelacjonowania.

Mnie się to bardzo podobało, bo szybka zmiana oznaczała też szybkie wydostanie się z tej cholernej dziury i napięcie się zimnego piwa.

Niestety zmiany wart oznaczały również jazdę.

do nowej gry, którą rozkręciła się między brygadami szturmowymi.

Operatorzy HRT, gdy brak im treningu, zaczynają tęsknić za współzawodnictwem, toteż szybko zaczęły urozmaicać różnymi zawodami codzienne życie w Waco, na przykład rzucaniem kamieniem na odległość, liczbą wykonanych pompek albo też popisami odwagi.



Codziennie po zmianie warty zaczynały się wyścigi wozów opancerzonych.

- Chodźcie chłopcy, czas na Millera!

- wrzeszczał ktoś.

Dla osoby postronnej taki okrzyk brzmiało niewinnie, ale dla nas oznaczał on "Wsiadać do tego pieprzonego pociągu, bo dziś to jedyna wasza szansa na wydostanie się stąd".

Oznaczał też zawołaną ałuzję do wyścigu, który rozpoczynał się przy tylnych drzwiach Sierra Dwa, a kończył przy skrzyżowaniu Y.

Uczestniczyli w nim wyłącznie szturmowcy, amy, snajperzy, mieliśmy siedzieć z tyłu i rozkoszować się przejażdżką.

Zasady wyścigu wymagały, aby obciążenie każdego bradleya było identyczne, a my spełnialiśmy rolę balastu.

Wszystkie konkursy rządzą się regułami i w tym przypadku nie było wyjątków.

Każda brygada szturmowców miała jednego kierowcę, a każdy kierowca mógł zrobić w ciągu dnia tylko jeden kurs.

Członek innej brygady mierzył czas na sprawdzonym oficjalnie zegarku.

Ponieważ kilku operatorów miało roleksy, komisja zdecydowała, że właśnie na tym zegarku będzie mierzony czas.

Wyścig zaczynał się od zamknięcia drzwi bradleya, silnik musiał być włączony, ale pojazd stać nieruchomo.

Start następował na komendę, a kończył się przy cienkiej żółtej kresce namalowanej nad drzewie w takiej odległości od skrzyżowania Y, aby móc bezpiecznie wyhamować.

BR-1 wściekłby się, gdyby doszły do niego słuchy o tych wyścigach, toteż wszyscy porozumiewali się za pomocą kodu.

Miller to popularna w Stanach Zjednoczonych marka piwa (przyp. tłum.

)..

- Charlie Cztery do Sierra Dwa - usłyszałem w słuchawkach.

-Mam pełną łódź.

- Zrozumiałem, Charlie Cztery.

Uważaj.

Oznaczało to, że sprawdzany jesteście.

- Zmiana nocna.

gotów.

Nigdy nie dowiedziałem się, czy siedzący ze słuchawkami nauszach faceci w TCO domyślili się, o co chodzi.

- Twój sprzęt jest gotowy.

masz start!

Ojej.

Gigantyczne maszyny ruszały do przodu, żonglując cichą, wypraną z doznań załogą złożoną ze snajperów.

Pierwszy odcinek był długi, przebiegał obok stodół, przez pastwisko do Elk Road.

Tam ostrzyżakrę sprawiał, że bradley musiały znacznie zwolnić, a ledochrzy kierowcy nauczyli się ścinać narożnik, przeskakiwać przez rów, a potem pędzić już na pełnym gazie, bez żadnego cofania się.

Stąd był jeszcze jeden płaski odcinek, do żółtej linii, a na koniec jeszcze należało oddać strzał.

W miarę jak płynął czas, trasa wyścigu zmieniła się radykalnie, potem został on odwołany, a wyniki zapisane.

Trasa tych pierwszych wyścigów przebiegała głównie poza terenem rancza Koresha, aby nie drażnić jego mieszkańców i nie spowodować nowej konfrontacji.

Gdy negocjacje utknęły w martwym punkcie, kierowcom pozwolono na więcej swobody w zacieśnianiu kręgu wokół Góry Karmel.

Wynikało to częściowo z uwzględnienia bezpieczeństwa.

Od momentu zastrzelenia agentów ATF nikt nie zbliżył się do zabudowań, a więc mogliśmy badać drogi dojazdowe, wyłącznie jeżdżąc po nich, a strzelcom z Gałęzi Dawidowej stwarzając doskonałą sposobność do strzału.

Koresh chętnie się przed negocjatorami, zema wystarczająco dużo amunicji,

byposłać nas do piekła, a nikt z nas nie chciał wystawiać się na cel.

Inny powód stanowiły względy behawioralne.

Im bliżej podchodziliśmy do budynków, tym mniejsze było poczucie Koresha, że jest panem tego terenu.

Działaliśmy, niczym rozpleniający się chwast, wkradając się w jego poczucie władzy i zawężając jego poczucie prywatności.

Wyobrażałem sobie, jak patrzył przez okno, zaskorupiony sztywno w swej frustracji: zbliżaliśmy się, a jego samozwańcza boskość rozwiewała się w spalinach wypływanych przez silniki diesla.

A pieprzyć go - pomyślałem.

Tyle nasłuchiwałem się jego religijnego bełkotu i skończonej hipokryzji, że robiło mi się niedobrze.

Nieustanne powtarzanie kłamstw i robienie tego imieniu Świętej Trójcy to

Nadciągają Babilończycy

301

nikczemność wobec Chrystusa, podobnie jak uzurpowanie sobie prawa do bycia jedynym mężem wszystkich żon swoich uczniów.

A już uprawianie seksu z dwunastoletnimi dziećmi może przysporzyć prawdziwych kłopotów u wrót niebios.

Pod koniec pierwszego miesiąca wszyscy kiedni były takie, jak i nasze samopoczucie - mgliste i pełne chandry.

Lester zarządził, że mam się zmieniać co dwadzieścia cztery godziny, a nie co dwanaście.

Wprowadzając tę zmianę, chciał dać nam więcej czasu na odpoczynek, ale to niczego nie zmieniło.

Świat, w którym przywykłem żyć, skurczył się do czterech nieco zniszczonych fotografii i wykonania codziennego telefonu do Wirginii.

Rosie i rodzice przysyłali listy, kiedy tylko mogli, na adres Holiday Inn w Waco.

Wiedziałem, że moje życie się zmieniło, kiedy listonosz zobaczył adres zwrotny na liście, który dostałem od siostry, i spytał, czy koresponduję z jakąś nową osobą.

Kiedy mieszkam w hotelu, wydaje się dość dziwne być z listonoszem po imieniu, a jeszcze dziwniejsze jest, gdy zapamiętuje on adres zwrotny na listach, które do

ciebieprzychodzą.

Sprawyw domu też nie układały się najlepiej.

Rosie już wyczerpały się pomysły, w jaki sposób wyjaśniać chłopcom nieobecność tatyw domu, i wobec tego malcysami zabrałsię za wynajdywanie tychprzyczyn.

Jake na lekcji rysunku narysował obrazekprzedstawiającymnie i członków Gałęzi Dawidowej, jakstrzelamy do siebie przed wielkim, brązowym budynkiem.

Z koleiMickey podczas dyskusji obieżących wydarzeniach wyszedł na środek klasy i oznajmił, że jego tata jestsnajperemi że FBI wysłało go do Teksasu, aby zabił tych wszystkichw Waco.

Dyrektor szkoły wezwałRosie, aby o tym porozmawiać, alecóżona mogła zrobić.

Próbowała jakoś wyjaśnić im, dlaczegojestem dalekood domu, tuląc ich co wieczór do siebie podczas oglądania dziennika telewizyjnego, alewszystko to wywoływałojeszcze większyzamęt.

Większośćstacjitelewizyjnychpokazywała migawki ze strzelaniny z agentami ATF, achłopcy myśleli, że to ja biorę udziałw tejcałej operacji.

To stwarzało dylemat.

Jeśliw ogóle wyłączyła telewizor, tomalcy dziwiliby się, dlaczegozniknąłem.

Jeśli zaśpozostawiłaby włączony, to nadal snuliby swoje straszne wizje o tacie, który nieustannieuczestniczy wstrzelaninie.

Żadnez nas nie potrafiło znaleźćodpowiedniego rozwiązania.

302

Zimny strzał

W końcu zdecydowaliśmy, że wiadomości są gorsze niż niewiedza,i od tej pory dni moich dzieciaków upływały bez zdjęć z Góry Karmel.

Staralem się dzwonić do nich co wieczór, gdy już wykąpani leżeliwłóżeczkach i słuchali bajek.

Rozmawialiśmy czule o drobiazgach,które niewielemiały wspólnego z naszymi rzeczywistymi uczuciami.

Czasem próbujesię utrzymać dystans, bo inwestowanie uczuć w ulotnechwile, które

nie będątrwać, jest bardzo bolesne.

Łatwiej jest udawać, że wszystko jest w porządku, powiedzieć sobie nawzajem "Kochamcię" i obiecać, że to wszystko wkrótce się skończy.

"Do widzenia" stało się bardzo łatwym słowem.

Jednak w głosach moich chłopców coś się zmieniło.

Słyszałem to w słuchawce telefonu.

Przez pierwsze tygodnie pytali, kiedy wrócę, ale potem przestali.

To ich bolało.

Ale i mnie też.

Mężczyzna zniesie pracę na rzecz osiągnięcia celu, ale nikt, kto nawet w niewielkim stopniu brał udział w oblężeniu, nie mógł choćby w przybliżeniu powiedzieć mi, jak długo ten impas jeszcze potrwa.

Nie mieliśmy żadnego celu, a gdy kogoś o to pytałem, w odpowiedzi trzymałem karcące spojrzenie.

Zazwyczaj odpowiedź brzmiała: "Askąd, do cholery, mam wiedzieć?"

". Naczelnik biura terenowego FBI, który odpowiadał za całą operację, codziennie urządzał konferencje prasowe.

Negocjatorzy negocjowali, albo inie - w zależności od humoru Koresha.

Z kolei naukowcy wysnuwali jakieś teorie, wszystkie o kant dupy potłuc.

Operatorzy HRT wpadali w coraz większą złość i stawali się coraz bardziej zgorzkniali.

Wszyscy znajdowali

ucieczkę w lekturze.

Moja własna strategia survivalu polegała na czytaniu jednej powieści dziennie, grze w karty oraz na pisaniu wierszy w małym notesie, który chowałem przed kolegami.

Ta taktyka działała przez kilka tygodni, ale nuda i frustracja wreszcie pokonały moją muzę, więc złamałem się i kupiłem nową elektryczną gitarę Fender Stratocaster.

Cała lśniła, była wykonana z drewna klonowego i miała donośny dźwięk.

Wziłem ten jedyny w Sierra Dwa sprzęt muzyczny z sobą wszędzie.

Zabierałem go do Bradleya wraz z podręczną chłodziarką, w której miałem lunch, oraz moim CAR-16.

Członkowie jednostek SWAT pytali, co to za dziwna pułapka, a ja odpowiadałem im, że to specjalna broń, o której nie wolno nam mówić.

Kiwali głowami i zaczęli szeptać szeptem szeptomysły.

Jedyną osobą, która знаła prawdę, był sprzedawca ze sklepu o nazwie Serce Teksaskiej Muzyki, który udzielił mi mnóstwo wskazówek,

Nadciągają Babilończycy

303

gdy powiedziałem mu, że będąc tu, na krańcu rzeczywistego świata, potrzebuję jakiejś rozrywki.

Gra w karty i zawody na liczbę wykonanych pompek zbyt utraciły więzieniem.

Ten nowy instrument przypominał mi o tym, że tam, za szklaną ścianą, istnieje życie, które z każdym dniem wydawało się coraz bliższe, toteż zakup gitary był bardzo ważny.

Niestety, naprawdę ważne sprawy jakby wyparowały z Waco.

Pojakimś czasie nawet muzyka utraciła swój czar.

Do jedynej swego rodzaju mogę zaliczyć serię kaców i znaczne rachunki w barze.

Przed Waco rzadko piłem, ale to się zmieniło po kilku tygodniach spędzonych samotnie w pokojach hotelowych.

Rozkład wolnego dnia wyglądał zazwyczaj następująco: krótka drzemka, potem wypad do siłowni, prysznic i picie wszystkiego, co tylko mogliśmy znaleźć w najrozmaitszych miejscowych dziurach.

Wieczorami włączaliśmy się gromadą do barów, porównywaliśmy nasze zapiski i próbowałem zachować choć odrobinę perspektywicznego myślenia.

Kiedy nadeszła Wielkanoc, czułem się zagubiony.

W pomocnym New Hampshire niedziela wielkanocna była zawsze dniem składania rodzinnych wizyt.

Wtedy, pod koniec długiej zimy pełnej śniegu i oszronionego lodu, ludzie wytykali na zewnątrz głowy i wyglądali ciepło.

Wielkanoc oznaczała też polowanie najajka w górach Cannon, kiedy to mogliśmy już jeździć na nartach tylko w dzinsach i w cienkich flanelowych koszulkach.

Specjalnie ekipa już wcześniej pochowała kolorowe pisanki w nastokach, zmuszając nas do zwracania i szukania tych skarbów.

Pod nami rozpościerało się jezioro Echo, z brzegami ciemniejącymi pod cieniutką warstwą lodu.

W powietrzu wyczuwało się zaczątek nowego życia.

Wielkanoc oznaczała też Wąwóz Tuckermana, czyli zjazd na łebna szyję po jego stromym zboczu.

Każdy wariat w pomocnej Nowej Anglii chciał spróbować szczęścia na najbardziej stromym zboczu Wschodniego Wybrzeża.

Pamiętam, jak pierwszy raz wchodziłem po tym zboczu, niosąc narty na plecach - właściwie mogłem wyciągnąć rękę i dotknąć ściany przede mną.

Pamiętam też moją wycieczkę po Europie, gdy byłem w college'u, i Wielkanoc w Maladze, przebudzenie w mieście nastawionym wyłącznie na zmartwychwstanie Chrystusa.

Ulice wypełniały dziesiątki tysięcy zagorzałych katolików, przepelnionych optymizmem odkupienia.

Kobiety w białych sukienkach, haftowanych koronkowych szalach.

304

Zimny strzał

i z wielkimi grzebieniami wysadzonymi kryształami górskimi tańczyły w kółku, trzymając w ramionach dzieci.

Wszędzie rozbrzmiewały dzwony kościelnych dzwonów.

Mężczyźni w nienagannie odprasowanych garniturach nieśli tony drzewa, karbowanego papieru i kwiatów tak mijali rozentuzjasmowany tłum, świętujący piękno tkwiące w niebywałym poświęceniu jednego człowieka.

Ale nie w Waco.

Mesjasz z Góry Karmel miał dwudniowy zarost i broń.

Wielkanoc była zwyczajnym dniem, kolejną kreską narysowaną kredą na ścianie, dwadzieścia cztery godzinami spędzonymi samotnie w nudnym transie.

Po zachodzie słońca wyszedłem z garażu i spojrzałem na migoczące w oddali światła Waco.

Wyobraziłem sobie śpiące w łóżeczkach dzieci, śniące o wysokich koszykach pełnych celofanowej trawy i czekoladowych królików.

A moje dzieci szły spać, rozmyślając tatusiu, którego znają już tylko ze zdjęć.

Normalni rodzice krzątają się teraz w przytłumionym świetle stojącej na stole lampy i próbują rozróżnić rachunki, albo też skąd wziąć pieniądze na aparat prostujący zęby.

Normalni rodzice.

Normalni.

I ta myśl mi uciekła.

Pracowała w sobie nie była.

Dwie godziny trzeba było obserwować wszystko przez lunetę, a potem sześć godzin odpoczynku.

Kiedy przyszła moja kolej, w pomieszczeniu, którego prowadziło się obserwacje, ustawiłem karabin i powiększając czterdziestokrotnielunetę zasiadłem do pracy.

Czułem się jak dzieciak - taka gra w chowanego z ludźmi Koresha.

Co noc, gdy myśleli, że ich nie widzimy, robili nowedziury w zewnętrznych ścianach, przez które mogli wystawić karabin, a w dzień wracali do swoich codziennych spraw, tak jakby wcale nastunie było.

Obserwowałem, jak przemykali przed oknami albo wyglądali przez drzwi, aby poczuć promienie słońca na twarzy.

Studiowałem bryłę budynku, starając się ją zapamiętać, aby w razie czego zauważyć dokonane zmiany.

I w ten sposób znalazłem barretę.

Właśnie zacząłem oglądać budynek Góry Karmel, przesuwając wzrok od lewej strony ku prawej, poczynając od poziomu alfa jeden, wzdłuż stodoły, do miejsca, które nazywaliśmy psiarnią, potem przez podwórko, obok zabitej deskami kawiarenki, wokół silosa i aż do zielonej ściany głównego budynku.

Policzyłem otwory strzelnicze, które wyznawcy Koresha wycięli w różnych ścianach, sprawdziłem, czy zgadzały się z tym, co przekazał odchodzący ze zmiany Boat.

Skontrolowałem znane nam stanowiska

Nadciągają Babilończycy



snajperskie i poczekałem, aż w każdym z nich zobaczę błysk celownika optycznego. Czasem nawet podziwiałem zręczność, z jaką robili swoje kryjówki.

Ukrycie się, gdy jest się cały czas na widoku, nie jest łatwe, a jednak ludzie Koresha budowali tak kryjówki, że ich kunszt wzbudziłby szacunek sierżanta sztabowego Mortona.

Właśnie miałem zakończyć inspekcję Rancza Apokalipsy, kiedy wzrok mój przykuł jakiś ruch.

Na drugim piętrze, po prawej stronie budynku na ścianie pomiędzy zielonym brawo jeden i dwa.

Kłapka przysłaniająca stanowisko strzeleckie zadrżała.

Wycelowałem lunetę na ten otwór wielkości na 2 stopy.

Coś się tam ruszało, ale w głębi, tak że nie mogłem dostrzec nawet przez lunetę.

Coś wysuwało się w moim kierunku, było czarne i błyszczało w ukośnie padających promieniach słońca.

To coś wysunęło się przez dziurę, skierowało w dół, a potem znowu w górę.

To była długa stalowa lufa, wyłobiona po bokach i z małą strzałą na koniuszku.

- Skurwysyny - wyszeptałem.

Lufa poruszyła się niezdarnie, osiemnaście cali na zewnątrz otworu w sidingu

Tlili znieruchomiła.

Wpatrywałem się w półcałowy otwór lufy, a tymczasem luneta skupiała światło i odbijała je, kierującmi je wprost w oczy.

- Hej, Bobby - krzyknąłem do kolegi, który zapewne grał w karty.

- Bobby!

Chodź no tu!

Zaciągnąwszy szeleszczącą winylową płachtę na otwór drzwiowy i stanął za mną.

- Co?

- Spójrz na zielone brawo trzy i powiedz mi, co widzisz.

Usunąłem się z karabinu i usadowiłem za lunetą, którą nastawiłem na obserwację terenu.

Coś sprawiało, że moje serce biło szybciej - nie adrenalina, coś subtelniej szego, jak na przykład odkrycie.

Metzustawił teleskop.

- Cholera, to wygląda mi na kaliber .

50.

Dobrze.

Nic mi się nie zdawało.

Barretta.

Broń snajperska kalibru.

50, strzelająca z taką mocą, że wymaga specjalnego urządzenia,

które pod czas szybkiej serii pozwalana zapanowanie nad karabinem.

Jest ono zainstalowane fabrycznie i kieruje pod kątem czterdziestu pięciostopni

gazyz lufy z powrotem w kierunku strzelającego, co sprawia, że można zapanować nad odbiciem kolby.

Ułatwiło również identyfikację, bo nic na świecie nie wygląda tak strasznie jak wielka, mająca.

306

Zimny strzał

kształt litery delta barretta kalibru .

50. Każdy, kto zna ten kształt, nie

pomyli go z niczym.

Metz ustawił ostrość, starając się wyeliminować efekty złudy.

- Lepiej zawołaj Gunny'ego.

Wiadomo było, że Koresh ma pięćdziesiątki i to co najmniej dwie.

Szturmowcy krążąc po ranczu Bradleyami, wiedzieli, że ten karabin chyba mógłby przebić stal pojazdu opancerzonego.

Zdaniem snajperów z Sierra Jeden i Sierra Dwa to one stanowiły największe zagrożenie, ale aż do tej pory nikt z nas nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie Koresh je schował.

Ich znalezienie i wyeliminowanie mogło oznaczać szybszy powrót do domu.

- To barretta, zgadza się - potwierdził Gunny, gdy sprowadziliśmy go, w celu zweryfikowania naszego małego odkrycia.

- Powiedziałbym, że czuję się trochę dziwnie.

Sam także czułem się nieco dziwnie, gdy przykucnąłem za moim karabinem.

Snajper Koreshai ja patrzyliśmy na siebie, odczuwając tę samą mieszaninę potęgi i wściekłości.

Nie ma żadnej różnicy pomiędzy walką fair a zwykłym strzałem w pojedynku takim jak ten.

Gdy jesteśmy już w stanie znieść presji naciskamy na spust, to jeden z nas ginie.

On miał pięćdziesiątkę, ja trzystaósemkę.

Gówniana różnica.

- Powiadom TCO.

To się musi znaleźć w raporcie.

Znalezienie barretty miało posmak słodko-gorzkiego sukcesu.

Z jednej strony mogliśmy ją unicestwić, gdyby było trzeba.

To był od nas ważne, boniedało się walczyć z czymś, czego nie mogliśmy zobaczyć.

W końcu Koresh zaprezentował nam swoje atuty.

Z drugiej strony musielibyśmy patrzeć codziennie temu skurwysynowi w oczy, doskonale wiedząc, że czyn jest szybszy niż reakcja.

To było tak jak ze znalezieniem obiektu podczas ćwiczeń w podchodyw szkole snajperskiej.

Niby znalazłeś zagrożenie, ale ono ciągle istnieje.

W tym przypadku wróg widzialny był lepszy od niewidzialnego.

Zlokalizowanie barretty dawało nam wyraźną przewagę.

Trzydzieści minut później wszystko się zmieniło.

- Słyszysz to gówno?

- spytał Gunny.

Splunął i potrząsnął głową, podczas gdy Metz i ja staliśmy obok inie wierzyliśmy własnym

uszom.

- Niewiarygodne - zgodził się Junior, zaciągając swoim południowym akcentem (pochodził z Alabamy).

- Co jest nie tak z tymi facetami?

Nadciągają Babilończycy

307

TCO właśnie przekazało przez radio wiadomość, w którą żaden z nas nie mógł uwierzyć.

Nasi negocjatorzy zadzwonili do Koresha i powiedzieli mu, że wiemy, gdzie trzyma barretę.

- Zabierz ją, bo nie będziemy wam dostarczać mleka - powiedzieli.

- Poczekajcie, poczekajcie chwilę - wrzeszczeliśmy na cały głos.

Tyle napracowaliśmy się, żeby znaleźć tę barretę.

Powiadaliśmy

TCO o naszym odkryciu, tak jak powinniśmy, a teraz nasi ludzie sprzedają nas tym łotrom.

- Co oni sobie myślą, do cholery?

- spytałem.

Trzęsły mi się kolana.

Czułem się zdradzony.

Byłem zaskoczony, że negocjacje z terrorystami to taki dziwny i niezdarny proces.

Coś w tym całym przebiegu zdarzeń było nonsensownego.

Wydawało się, że Koresh zgadza się na wypuszczenie tylko tych, którzy są za młodzi, za starzy lub niezdolni do walki.

Za każdym razem, gdy coś uzgadniano, Koresh coś uzyskiwał, natomiast jego problemy spadały na nas.

Oczywiście, że trzeba było wydostać stamtąd każdego, kogo tylko się dało, ale nie za cenę rezygnacji z istotnych spraw.

Większość obecnych tu rozmaitych urzędników uważała, że świadczy to o naszej kapitulacji i chytrłości Koresha.

Taki obrót spraw wywoływał najpierw szemrania, a potem przerodził się w jawną wrogość.

Negocjacje w sprawie uwolnienia zakładników mogą wydawać się skomplikowane, ale sprowadzają się do prostej zasady nawiązywania kontaktu, stłumienia strachu, złagodzenia konsekwencji.

Ludzie codziennie negocjują: kupując samochód, pracując w jakimś Komitecie, ustalając, kto rano mapierwszy zajął łazienkę.

Robimy to instynktownie, bez żadnego treningu, bo leży to w naszej prostej, ludzkiej naturze.

Każde stron chce czegoś innego, a więc spierając się dopóty, dopóki nie uzgodnią wspólnego, zadowalającego je stanowiska. My nie mieliśmy z tym problemu.

Chcieliśmy, podobnie jak wszyscy, aby negocjatorzy przekonali Koresha i jego wyznawców do opuszczenia rancza, ale nie podobało nam się to całe targowanie. Koresh robił sobie negocjatorów zaraz pierwszego dnia, kiedy obiecał, że wyjdzie, jeśli otrzyma zakres fal radiowych do nadawania.

- Przepraszam - stwierdził, gdy dostał, co chciał - ale właśnie przyszedł do mnie Bóg i kazał mi jeszcze trochę tu zostać.

No dobrze, zmienił zdanie.

Ten samozwańczy boski syn powi<sup>en</sup> mieć takie prerogatywy, nieprawdaż?

A co z drugim kłamstwem,.

308 Zimny strzał

i trzecim, i dwudziestym?

Należało go zapytać, czy w tej jego Biblii nie brakuje kilku stron.

I tak dzień w dzień słuchaliśmy, jak ustanawiał nowe reguły tylko po to, aby je łamać.

Za każdym razem, kiedy coś uzyskiwał, rósł w siłę.

David Koresh był sprzedawcą to w dawnym, wielkim stylu - sprzedawał bezsensowną gadaninę.

Wyobrażałem go sobie jako сутенера, sprzedającego zbawienie w kawałkach.

Najpierw proponował każdemu bezpłatne spędzenie weekendu na jego ranczu, noszącym nazwę Ranczo Apokalipsy, tak dla posłuchania jego gadki.

- Zrzeknijcie się swojej duszy, a ja już zadbam o szczegóły - argumentował.

A potem oferował jeszcze jedną opcję:

- Wyrzeknijcie się pieniędzy, dzieci i żon.

Podpiszcie się nakropkowanej linii.

Powierzcie mi samych siebie.

Niestety żaden z negocjatorów ani też z decydentów w FBI nie pofatygował się, aby zajrzeć na tyły Sierra Dwa, gdzie stały całoprzyczepy pełne dóbr osobistych, pozostawionych przez wyznawców Koresha, którzy zaufali temu stosowanemu przez niego gagowi reklamowemu.

Żaden z nich nie przewertował albumów zdjęciami, na których uwiecznione było życie, jakiego wyrzekły się całe rodziny, ulegającego czarowi.

My to zrobiliśmy.

Zobaczyliśmy, że całe imperium Koresha - począwszy od dziesiątków zaparkowanych na zewnątrz gokartówi motocykli, aż po jego kolekcję gitar oraz harem złożony z niepełnoletnich dziewcząt - przepelniała pycha i manipulacja.

Wszystko, czego Koresh kiedykolwiek pożył, spotkało go podczas oblężenia Góry Karmel.

Miał już wszystkie kobiety i broń, jakiej pragnął, na długo przed swoim przyjazdem tutaj.

Nie miał jeszcze jednej rzeczy - nagłośnienia.

I to my dostarczyliśmy mu ambony, szerokiego grona słuchaczy.

Większej liczby umysłów do przekabacenia.

Całkiem nowego stada grzeszników.

Ten facet był mistrzem, natomiast my zbyt aroganccy, aby to przyznać.

Pod koniec trzeciego dnia wszystko, co wiedzieliśmy na temat negocjacji, uleciało przez okno.

Cinasi negocjatorzy gadali, gadali i g3'dali.

A Koresh leczył rany, wzmacniał się, przegrupowywał i zasiadał na kanapie, aby obejrzeć w telewizji, jak to stacje o ogólnokrajowy!

I zasięgu zrobił z niego, zwykłego pomocnika oracza, międzynarodową gwiazdę.

Operatorzy z HRT spoglądali na swoje karabiny, a z AT rchowali zabitych kolegów.

Nadciągają Babilończycy

- Co za artysta - mrucał każdy.

- Jak długo jeszcze zamierzamy tolerować to gównno?

Pomruki po kątach przerodziły się w jawne oburzenie, a rozmowa skończyła się awanturą, gdyschodziła na temat negocjacji.

Pewien adwokat, Dick DeGuerin, wszedł na teren posiadłości, łamiąc wszelkie reguły prowadzenia negocjacji i kierowania sytuacją kryzysową.

Pozwoliliśmy adwokatowi od spraw karnych, który miał bronić Koresha i resztę, na rzucenie okiem na miejsce zbrodni, aby wiedział, jak wyglądają jedyne dowody przeciwko jego klientom.

Jeśli Koresh nie

był natyle sprytny, aby posprzątać na miejscu zbrodni, to jego obrońca powinien być.

Każda niedotrzymana obietnica była dla nas jak cierń i to bynajmniej nie z powodu Koresha, bo niczego innego od niego nie oczekiwaliśmy, ale z powodu naszych ludzi, którzy brali te jego niekończące się kłamstwa za dobrą monetę.

Każdego dnia czekaliśmy, iż padnie rozkaz natychmiastowego poddania się, a tymczasem ewentualność wydania takiej rezolucji rozplątywała się i znowu następowała cisza.

Nikt nawet nas nie powiadomił, kiedy ostateczny termin znów minął bez echa.

Czułem się tak, jak gdyby nikt nie dawał wiary, że nam zależy na rozwiązaniu sprawy.

- Lepiej sprawdź - powiedziałem, gdy skończyłem swoją wartę.

Gunny spojrział przez lunetę na wycięte w murze stanowisko strzelnicze.

Wielka lufa Barrett pokiwała się kilkakrotnie w górę i w dół, jak gdyby na pożegnanie, po czym schowała się wgłąb budynku i zniknęła, a jakaś ręka w rękawiczce zasłoniła otwór.

Karabin zniknął i nikt z nas nie wierzył, że znajdziemy go ponownie - dopóki nie wystrzeli.

18

W doryckiej tonacji

Wiosna przyszła późno.

Po siedmiu tygodniach dryfowania Sierra Dwa stała się placówką na końcu świata.

Pewnej nocy siedziałem na straży, obserwując, co się dzieje, i zastanawiając się, jak i kiedy wszystko wreszcie się skończy.

Joey Dwa Pośladki wziął dziś w ciągu dnia nasze dwa grzechotniki i obciął głowy scyzorykiem.

Ich cętkowane skóry wisiały teraz na deskach tu wewnątrz, niczym jakieś plemienne wróżby dla kogoś, kto zechciałby odwiedzić nas z tamtego świata.

Światło wielkiego reflektora przesuwano się bez celu po trawie, ujmując Górę Karmel w nimb rozżarzonej niechęci.

Brygada Echo otoczyła pierścieniem wozów pancernych budynki Rancza Apokalipsy, rozciągając drut kolczasty i zapędzając wyznawców Koresha z powrotem, gdy wychodzili, aby sprawdzić, jak na to zareagujemy.

Przez megafony dudniła czasami śpiew tybetańskiego gomnicha, alenadawany od końca do początku.

Po kręgosłupie przebiegły mi ciarki.

Błędne koło koszmarnych efektów dźwiękowych przypominało mi coś pośredniego pomiędzy monologiem Lindy Blair w Egzorcyście a arią śmierci Vicki Weaver.

Pochyliłem się nad "Prawdą", przywarłem okiem do siatki teleskopu i rozpocząłem przeczesywanie wzrokiem terenu.

Z dwucalowego głośnika mojego radia na baterię brzmiała pogrzebowa muzyka Milesa Davisa.

Zamną spali operatorzy z HRT.

Brygada Charlie miała pełnić wartę na zewnątrz, ale ja bym nie był tego taki pewny.

Na początku tygodnia zainstalowaliśmy czujniki ruchu, ale chodzące po polu krowy uruchamiały je tak często, że rozmontowaliśmy cały system.

Nikt nie przejmował się intruzami, którzy przedzierał się tu do nas.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby przedostawać się do Góry Karmel i stawało się oczywiste, że również nikt nie miał zamiaru jej opuszczać.

A to znaczyło, że siedzieliśmy tu sobie cichutko w Sierra Dwa zupełnie sami.

W doryckiej tonacji



Strach oblatywał mnie najbardziej nad ranem, między trzecią a piątą.  
Wówczas życie nie toczy się, lecz pełźnie, kusząc łagodnym smakiem.  
To kwestia biorytmu.  
Obniża się temperatura ciała, umysł umyka, a daje o sobie znać trzydzieści tysięcy lat uwarunkowania od cyklu snu.  
Przypominałem sobie te niezliczone noce w ciągu minionych dwóch lat, w czasie których znajdowałem się w identycznej sytuacji, to znaczy walczyłem z opadającymi powiekami.  
Ale teraz przynajmniej nie byłam zmęczona.  
Trzy minuty obserwacji przez teleskop, dwie minuty odpoczynku.  
Miles prezentował właśnie jedno z tych ośmiominutowych arpeggio, które tak bardzo lubiłem.  
To dziwne, jak pięknie może brzmieć trąbka jazzowa w zestawieniu z gardłowym śpiewem tybetańskich mnichów.  
Dodając mgłę i światło, można by uzyskać cudowną scenę, niczym u Stephena Kinga.  
Niemal słychać było śmiejące się demony.  
Jak namiejsce opanowane przez Boga, to z pewnością bardziej przypominał piekło.  
Potrzęsnałem głową i przetarłem oczy.  
Przykucnąłem na swoim karabinie, prawym ramieniem obejmując gumową podkładkę na kolbie.  
Lewą rękę podłożyłem pod klatkę piersiową, a dłoń ścisnęła woreczek z piaskiem tuż poniżej spustu.  
Policzek oparłem o skórzaną podkładkę, zachowując odpowiednią odległość od ostrej krawędzi celownika optycznego Unertla.  
Przysuń się za blisko, to odrzut karabinu wbije ciokular w łuk brwiowy i trzeba cię będzie zszyć.  
Jeśli natomiast odsuniesz się za daleko, to cień wokół siatki przesunie ci punkt celowania.  
Dlatego tak ważna jest odpowiednia odległość.  
Najważniejsze, aby okosie nie męczyło.  
Kichnąłem.  
Bez przerwy miałem katar.

Biały alfa jeden.

Magazyn.

Wieża.

Silos.

Rzuciłem się z lewa na prawo, niczym policjant, chcący sprawdzić, czy dzieje się coś niezwykłego.

Reflektor migał zadrumem kolczastym, a flaga Gałęzi Dawidowej łopotała na wietrze.

Wyglądało, że wszystkie stanowiska strzeleckie ludzi Koreshasą zamknięte.

Tak jak zwykle.

Żadna z jego straży nie pełniła już nocnych wart.

Oderwałem oko od celownika, aby wzrok odpoczął.

Kiedyś to się skończy, pomyślałem.

Pewnego dnia, kiedy już wszyscy wyjdą i śledczy przetrząsną miejsce zbrodni, wpuszczą nas tam, abyśmy zobaczyli, co kryje się za tymi cholernymi ścianami.

Byłem ciekaw, co tam znajdziemy.

Czy całą broń złożyli w jednym pomieszczeniu, czy też.

312

Zimny strzał

pochowali w różnych miejscach, tak że będziemy musieli jej szukać?

Rzecz jasna, adwokat powiedział im, że możemy dopasować łuski pokulach do rodzaju broni, z której kule te wystrzelono.

Faceci z laboratorium bez przerwy rozwiązują takie sprawy: poprostu trzymają broń oraz łuskę i wskazują na podobieństwa między cechami charakterystycznymi iglicy, łuską, śladami na lufie i brzegiem kuli.

I aby mieć pewność, że zostało popełnione morderstwo, trzeba jeszcze znaleźć na broni odciski palców.

Ława przysięgłych kocha lekarzy sądowych, którzy stają na miejscu świadków, opowiadają o swojej długoletniej karierze i fachowości przedstawiają swoje stanowisko.

Do tego należy dodać kilka plansz oraz zdjęć w powiększeniu i już mamy wszystko, jedną z tych spraw, kiedy brakuje nawet czasu, aby zjeść lunch, bo ława przysięgłych już ustaliła werdykt.

Oczywiście, że starli całą krew, ale co z dziurami po kulach?

Co mogli zrobić z budynkiem, wyglądającym jak dokumentacja strzelaniny z 28 lutego?

Lekarz sądowi potrafią powiedzieć, które dziury pochodzą od kul wystrzelonych z zewnątrz, a które z wewnątrz budynku.

Ta sama jedna ze stacji telewizyjnych zarejestrowała strzelanie do agentów ATF.

Nawet jeśli adwokat ludzi Koresha powiedział im, co ich obciąża, to budynek był w naszych rękach.

Musieli go spalić, aby ten stan rzeczy uległ zmianie.

Myślałem o setce mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy wciąż tkwią w tamtym miejscu.

Co też zabiorą ze sobą, wychodząc?

Może album zdjęć albo rodzinną pamiątkę lub ulubioną wiersz?

Z widzenia znałem wiele przebywających tam kobiet - Elwirę, Candy, Blondie.

W wąskim świetle celownika optycznego mojego karabinu były częstymi bywalczyniami.

Rozpознаwałem je, tak jak sąsiedzi rozpoznają się nawzajem w piekarni czy w cukierni - były twarzami, które mijają się na ulicy.

W podobny sposób poznawałem przebywających tam mężczyzn.

Elvis machał do nas, siedząc na parapecie, z podkulonymi nogami, i dla rozrywki gapił się na horyzont.

Lubił, jedząc lunch, rozkoszować się coraz cieplejszym słońcem i widokiem, jak szturmowcy z naszej jednostki naprawiają generator.

Wszelka wrogość, którą dało się zauważyć w pierwszych tygodniach naszej bytności na ranchu, przerodziła się w wzajemną obojętność.

Byliśmy tam po to, aby on siedział w środku, a on był tam po to, aby trzymać nas z daleka.

Właśnie w coś takiego

W doryckiej tonacji

313

przekształcił się ten trwający już dwa miesiące impas.

Życie w tych wojennych warunkach kompletnie nas wyczerpało.

Dzieci.

Znałem tylko kilka twarzy, tych dzieciaków, które mężczyźni trzymali w charakterze żywych tarcz.

Jeden z chłopców czasem podchodził sam do okna w wieży.

Jego blond włosy tańczyły na wietrze na tle jasnoniebieskich firanek wcharlie dwa.

Patrzył napodwórko pełnesamochodów pancernych i siedzących w nich mężczyzn w kamuflażach, i wodził palcem po zarysie tarczy z kalkomanii, którą ktoś nakleił na okno jeszcze w lepszych czasach.

- Spij mocno, chłopie - szepnąłem, gdy po raz pierwszy go zobaczyłem.

- Być może to już ostatnia noc, gdy kładziesz się przestraszony.

Oczywiście myliłem się.

Na Górze Karmel nie było żadnego jutra.

Dni toczyły się łączyły w jedno wielkie, długie "nigdy".

Chciałem wierzyć, że pewnego dnia wydostaniemy chłopca oraz jego braci i siostry z tego bagna.

Przecież po to tu byliśmy.

Znowu cofnąłem się myślami do tego całego procesu, który przywiódł mnie aż tutaj.

Najpierw zobaczyłem Izbę Reprezentantów i podekscytowany tłum wokół prezydenta, wtedy gdy miał wygłaszać orędzie o stanie państwa.

Pomyślałem sobie wtedy słowo Sprawiedliwość.

Ona miała być moim celem.

Potem przez cztery lata i przedwandaście godzin na dobę ścigałem jakichś zdrajców w Missouri.

Następnie selekcja, NOTS, szkoła snajperów, akcje, obserwowanie nazdjęciach, jak rosą moje dzieci, i te wszystkie niedotrzymywane później obietnice "Na twoich następnych urodzinach będę w domu".

Każdy członek HRT był gotów poświęcić własne życie - i zagrozićniszczeniem swego życia rodzinnego - tylko dla szansy uratowania tego małego dzieciaka w knie.

Każdy z nas siedział tu, w tej zasranej dziurze już niemal od dwóch miesięcy, pokładając nadzieję w szansie, że jakiś bezideowy obrzyganiec wróciwszy do Kwatery Głównej FBI, da nam szansę na zrobienie dobrego uczynku.

A wtedy nie będzie już więcej strasznych opowieści o czekającym wewnątrz diabłu, małe dziewczynki nie będą musiały znosić seksu z Koreshem, a chłopcy jego chłost. Te wszystkie małe istoty nic nie wiedziały o świecie oprócz tego, co powiedział im ich chory, pieprzony Jeciec.

Megafon po prawej stronie nadawał melodię Johna Coltrane'a, która rozbrzmiewała echem po budynku.

To szaleństwo napływało falami,.

314 Zimny strzał

czasem odbijając się, narastając i wyjąc jak gigantyczne organy Leslie.

Myślałem, że bym pójść do biura i spytać, czy mógłbym podłączyć swoją gitarę do tego monstrualnego wzmacniacza.

Koresh nie miał nic przeciwko muzyce tybetańskich mnichów, ale wiem, co naprawdę byłoby dla niego torturą.

Łączyły nas dwie rzeczy: rok urodzenia (1959) oraz miłość do gitary.

Nic nie byłoby dla niego większą torturą, aniżeli moje znęcanie się nad Jimmy' mPage'em.

Tylko dziesięć minut, postanowiłem.

Tylko dziesięć minut w żwirowni na tyłach Sierra Dwa, gdzie mogę grać z głośnością stu osiemdziesięciu decybeli solówkę dla Orkiestry Rancza Apokalipsy. Wiedziałem, że nigdy nie zostanę gwiazdą rockową, jak marzyłem w college'^ ale ten jeden show będzie największym występem w moim życiu.

Oczywiście wyobraziłem sobie, jak wyprowadzają Koresha z budynku w kaftanie bezpieczeństwa, a on domaga się wzmacniacza oraz szansy zmierzenia się ze mną.

- A chrząknąć teologów i wszystkich naukowców - szepnąłem, siedząc sobie tego ranka w Sierra Dwa.

Klucz do przerwania łańcucha Koresha nie tkwił w jego biblii, ale w jego ego.

Nigdy nie zagrałem swojej solówki.

Mogłem pozwolić sobie najwyżej na kilkunastominutowe, codzienne ćwiczenia dźwięków, tak jak robił to Doryci.

Gitarę podłączałem do wzmacniacza na baterię i cozdumiewające, żaden z moich kolegów nigdy się nie skarżył.

- Białe brawo jeden, dwa, trzy.

nic - głośno liczyłem okna, starając się nie zasnąć.

Więcej nie nastąpiły już żadne zmiany.

Oni wiedzieli, że nie zagrażamy im bardziej aniżeli pyłek wiewany przez otwarte okno.

Naszemu chłopakowi udało się wyprowadzić Koresha z równowagi, kiedy niszczyli jego dumę i radość - budynek Camaro.

Ale jakoś to przeżył.

Ludzie Koresha klęli, gdy pewnego ranka.

J., chcąc zabrać gruz leżący koło czerwono-białego narożnika, niechcący walnął w budynek Bradleyem.

Niema szkody, nie ma przewinienia.

Spaliny z napędzanych ropą pojazdów i faceci w kamuflażach i z karabinami stanowili prosto część krajobrazu.

- Biały Charlie jeden.

Biały Charlie dwa, biały.

Zatrzymałem się.

Biały Charlie dwa.

Ktoś stał w oknie, patrząc nie wiadomo na c- Włosy spadały mu po obu stronach twarzy i okularów w chromowanej oprawce z soczewkami na tyle grubymi, by wypaczyć wyraz jego oczu

W doryckiej tonacji 315

Gęsty, kilkudniowy zarost sprawiał, że jego twarz zdawała się ciemniejsza, niż była.

Ręce miał opuszczone.

- No proszę, cześć, Vem - powiedziałem.

To spotkanie dumiało mnie, bo już od jakiegoś czasu nie widziałem Koresha.

Patrzyłem na niego przez dobrą chwilę.

Nie mogłem zobaczyć, ale wiedział, że ktoś go obserwuje.

Przyglądałem się jego rysom przez celownik optyczny: pociągła, szczupła twarz,

oczy lwa morskiego, ostry podbródek.

To był powód, dla którego babraliśmy się wcuchnącym dole niezdecydowania i marnotrawienia czasu.

Ten człowiek był przyczyną, dla której zginęło tylu ludzi z ATF, i bez wątpienia dowiódł, że mając dostatecznie duże jaja, można zająć świat.

Teolodzy garnęli się do niego, publicznie wymyślając FBI za niepojmowanie jego intencji, a naukowcy snuli rozważania nad wszystkim, od wysnuwania wniosków o jego zachowaniu na podstawie paznokcia kciuka, aż po kreślenie sylwetki społecznej.

Politycy tańczyli jak na rozżarzonych węglach, bojąc się cokolwiek powiedzieć w obawie, że wyborcy będą o tym pamiętać, gdy już cała sprawa z Koreshem się skończy. Wszyscy oni nic mnie nie obchodzili.

To obłączenie zmieniło mnie gruntownie, czyniąc wrażliwym na sprawy, na które kiedyś nie reagowałem.

Nic nie miało już więcej sensu, a zasady, które stosowałem w życiu, nagle wyfrunęły przez okno.

Takie pojęcie jak znaczenie federalnego wymiaru sprawiedliwości zostało utylane w błocie, którego

nie mogłem odrapać z butów, a złota odznaka FBI nie miała już takiej wartości.

- Apieprz się - syknął Koresh w mrok nocy.

- Zwę się Bogiem i powiedz światu, że może mnie pocałować w moją wielką boską dupę i czekać tu, aż wymyślę jakieś rozsądne rozwiązanie - a tak się stanie, o tak.

Koresh był śmieciarzem.

Zbierał niemających dokąd iść społecznych rozbitków i wyrzutkowi układał ich w sterty, aby czekać na odnowienie.

Ale tym już się nigdy nie zajmował.

Nigdy niczego nie skończył.

Nie odnowił żadnego ze swoich budynków, nie nareperował żadnego samochodu, ani siedmiu pieczęci, ani jednego złamanego życia.

Trzymałem go na krzyżu celownika.

Wycelowałem w nasadę jego "osa" i dotykałem palcem spustu, ale akurat tylko tyle,

aby czuć jądrach konsekwencje tego czynu.

A co by się stało?

-myślałem.

316

Zimny strzał

Gunny Patterson szeptał mi do ucha zasadę strzelania.

- Celuj w miejsce, w którym jednakość przesłania drugą.

Nie celuj w umięśnione partie ciała - rozprysną się i odrzucą kulę.

Prędkość wiatru trzydzieści mil na godzinę, odległość 296 jardów.

Trudny strzał, ale nie niemożliwy.

Sierżant sztabowy Morton burczał rozkazy.

- Człowieku, nie leż tam, trzęsąc się, jak pies srający na brzytwę,  
ale strzelaj.

Lubiłem ryzykować.

Zawszetaki byłem.

Ścisnąłem poduszkę w lewej ręce i oparłem wygodniej policzek na chłodnej skórzanej  
podpórce.

Zamną, zaścianą z betonowych bloków chrapała reszta kolegów, nieświadomych  
spotkania.

Mieli w uszach zatyczki, aby nie słyszeć megafonów, których ryk przeszywał noc.

Mój karabin wystawał z frontowej ściany budynku.

Wiatr nagle ucichł i przerodził się w delikatny wietrzyk.

Położyłem wskazujący palec wzdłuż żłobkowanego spustu.

Koreshu śmiechnął się i mrugnął.

Nacisnąłem niecomocniej na spust.

- Celuj w mózg - pouczał Gunny Patterson.

- Nawet się nieskrzywi.

Pomyślałem odzieciach, tych głodnych i zmęczonych zimnem maluchach.

Tyle bólu i cierpienia przez jednego człowieka.



- Zrób to -szeptał.

- Uczyń ze mnie męczennika.

-Niemalwidziałem ruch jego warg.

Krzyż celownika ustawiłem w miejscu, w którym okulary dotykały nosa.

- Skończ to - błagał - niech spotkam swoje przeznaczenie.

Poczułem, że daję się zwieść jego podstępowi.

- Jestem zmęczony.

Odeślij mnie do domu.

Chciałem usłuchać, być posłuszny i skończyć.

To miejsce bez niego umrze, rozsypie się z braku woli.

Wszyscy ciejgowyznawcy z Gałęzi Dawidowej stanowili tylko dodatek, postępowali za kimś, kto był nikim, ale ośmielił się wychylić i zaproponować kierunek.

Słyszałem płacz dzieci, ale już nie było w nim przerażenia.

Słyszałem głos sprawiedliwości mówiący "Dość" i własne serce, które krwawiło.

- Zrób to.

Ale nagle pojawiły się także inne głosy.

- Człowieku, ty jesteś wariat!

Gary Braun, dwunastolatek o policzkach jak wiśnie, objął stalowy filar mostu i patrzył dwieście pięćdziesiąt stóp w dół na rzekę

W doryckiej tonacji

317

Ammonoosuc.

Przewracał oczami, które niemal wyszły mu z orbit z powodu tej wysokości, ale nawet nie drgnął.

- Chodź, Whit.

Zejdź tu.

Zabijesz się.

Andy Tabbott, mały chłopak z kruczoczarnymi włosami Indianinai pięknymi niebieskimi oczami po swoim ojcu, pół Francuzie, a pół Kanadyjczyku, potrząsnął głową i patrzył, czy nie jedzie pociąg.

- Nie będę tam po was włązili was ściągał!

- groził.

Nie było potrzeby odwracać się patrząc.

Tobyły po prostu puste przechwałki - dziecinne gadanie.

Andy się uśmiechał.

Niemal czułem na plecach ciepło jego zachęty.

Też bytu był, gdybym gowcześniej niepokonał.

Takie były zasady.

Na rozkaz: "opanuj" most lub jego filary, trzeba było biec po poprzecznych złączach, jako pierwszy dotknąć środkowego filaru i krzyknąć "Prawo!

". Uprawniało mnie to dostąpienia jako pierwszyna skraju mostu.

Miałem o wiele dłuższe nogi niż Tabbott i o wiele łatwiej było mi uchwycić pewien rytm, gdy biegłem od filaru do filaru, patrząc na błyski wody przede mną, przypominające obramowanie klitek filmu naszpuli.

Jedenniewłaściwy krok mógł oznaczać złamanie nogi, albo też najsurowszą karę - upadek w dół, między złączeniami mostu.

Od września zaliczyliśmy już pięć mostów, a ten był szósty, ale był najwyższy, prawdziwe trofeum.

Tabbott przeszedł po nim z tysiąc razy, ćwicząc pokonanie mnie i wygranie.

Ale tego dnia to ja pierwszy zauważyłem most, kiedy pogrążeni w rozmowie o Barbarze Miles i Erinie Godboucie wyszliśmy zza zakrętu.

Wystartowałem i biegłem co sił, tuż przed Tabbottem, byle jak najszybciej dopaść do przęsła.

- Prawo!

- wrzeszczałem, zaklepując i wdychając zimne, styczniowe powietrze, a wydychając białą mgiełkę, gdy tymczasem mój głos niósł się echem nad rzeką.

- Prawo!

Te białe pióropusze zamarzonego oddechu, które unoszą się, kiedy zimawciska ci się pod ubranie wzmacnia twoją odporność, nazywaliśmy chmurami życia.

Przy temperaturze dwudziestu stopni poniżej zera te chmury życia zamieniają wnętrza namiotów w kryształową, baśniową krainę.

Sprawiają też, że maska narciarska robi się biała wokół ust i nozdrzy.

Ale co najważniejsze, mierzą wielkość twego serca i głębię duszy.

Chmuryżycia widać tylko w najzimniejsze, zimowe dni, bo właśnie wówczas życiowe siły najbardziej zmagają się z trudną do zniesienia codzienną egzystencją. One żyją sobie w nas bardzo krótko, ale.

318

Zimny strzał

koniecznie chcą się wydostać, a gdy już im się to uda, ulatująw próżnięwszechświata, tak jak uśmiech i gniew.

Legenda głosi, że im większa jest twojachmura życia, tym większy tkwi w tobie duch.

I tylko ci, którzy są w stanie zaczerpnąć tchuw niebywale ekstremalnych warunkach pogodowych, mają szansędokonać czegoś niezwykłego w życiu.

Dlatego tak zaciekle walczyliśmy, żeby samemu się sprawdzić.

Marzyliśmy, aby wspiąć się naMount Lafayetteszybciej niż ktokolwiek inny z północnych stanów, albo też wdrapać się po skałach Cannonjakimś innym szlakiem lubzjechać na nartach z Wąwozu Tuckermana na łeb na szyję, jednym brawurowym szusem.

To stanowiło dla nas szansę wyrwania sięz młodzieńczej anonimowości.

Braun miał lęk wysokości.

Biegł wraz z nami do granicprzeszkody, po czym zaciskałpięści, mrużył oczy i pozostawał nieco w tyle.

Jego serce się rwało, ale organizm odmawiał posłuszeństwa.

- Gary, jak wysoko jestem?

- pytałem, wydechając chmurę życiawielkości prowincji Manitoba.

Odpowiedź wcale mnie nie interesowała, ale chciałem wiedzieć, czy bierze poduwagę możliwość upadku.

Uwielbiałem ten strach w jego głosie, to jakieś obce, przeczucie, o którym mnie nic nie było wiadomo.

- Trzysta, może czterysta.

- Trzysta?

Gówno prawda.

- Andy śmiał się.

-Co tywiesz na temat wysokości, Braun?

Szczasz w gacie, stojąc na brzegu studni.

- Być może.

ale nie mam problemu zeskopaniem ci tyłka, kiedyjuż stąd zejdziemy.

- To fakt.

Tabbott nieumiał siębić.

- To byłtwój pomysł, Tabbott - wycedziłem, wolniutkopzesuwając stopy wzdłuż  
długiego przęsła.

Farba ciemnozielonego kolorupopękała i wybrzuszyła się wokół nitów wielkości  
kapsla od butelki.

Czułemje pod stopą.

- To byłtwójpomysł, żebyśmy tędy wracali do domu.

A to przecież mógłbyć twójmost.

- Pospiesz sięi zrób to - odpowiedział Tabbott - bojestcholernie  
zimno.

Gary też coś powiedział, ale nie usłyszałem ani słowa.

Teraz byłaniebezpiecznaczęść, bo wspornik wyrastał z przęsła, wobec tego  
podstopamimiałem powierzchnię szerokościcała, takiej samej zresztą, najakiej  
stałem, z tymże znajdowałasię trzy stopy niżej.

Zejsćie w dół byłotrudne, bo niebyło się czego przytrzymać - chyba  
tylkoopowietrza.

W doryckiej tonacji

319

Wyciągnąłemprawą rękę w dół ipowoli ukucnąłem, koncentrującsię na ruchu, który  
miałem wykonać, i na utrzymaniu równowagi.

W żołądku czułemścisk, ale nie ze strachu, lecz z oczekiwania.

Wiedziałem, że nie tui nie w taki sposób umrę.

Lewa stopa namacała przęsło.

Potem prawa.

- Jesteście pieprznięci idioci - wymamrotał Braun.

- Obydwaj.

Chodźcie tu.

Zaliczyliście.

Most jest wasz.

Stałem tam.

Słyszałem jego głos, ale słowarozpływały się w powietrzu i ulatywały w dal, a koncentrowanie wzroku na tym, co musiałem zrobić, było tak silne, że nie starczało już sił na rozmowę.

Przestawiłem stopy, wykonując ostatni krok na przęśle, izłapałem równowagę.

Powietrze było zimne, pewnie kilka stopni poniżej zera.

Resztki śniegu, pozostałe po ostatniej zadymce, stopiły się, po czym zamarzyły, pozostawiając długie smugi i stalowo szare plamy, które zabarwiły skały i lód.

Poprzez kurtkę czułem porywy wiatru.

Przedzierał się przez materiał, docierając do spoconych pach i aż do kości ogonowej.

Za każdym wdechem morze zwiającego powietrza bądź potrząśnięciem głową do nozdrzy dolatywał zapach mokrej wełny i zardzewiałej stali.

Nad sobą widziałem tory i podkłady linii kolejowej, z których wiatr wydobywał się wist niczym z piersi wychudzonego robotnika.

Zdawało się, że sprawia przyjemność obserwowanie, jak dwunastoletni chłopcy bawią się w gry dorosłych.

Moje stopy ledwie mieściły się nadźwigarze szerokość dziesięciu cali.

Podemną, w dole, bez wysiłku przemijał cudowny dzień.

Uwielbiałem taką zimną, jakby z pierwotnych czasów zimę i ciężkie powietrze, które zapowiadało śnieżycę.

Braun przesadził z tą wysokością, jak zwykle reszta.

Do lodu pokrywającego Ammonoosucbyłonie więcej niż dwieście stóp.

Podemną, cicho zataczając koła, szybowały ptaki: kosy, grubodzioby i kruki.

Zimowe ptaki nigdy nie nawołują się w czasie lotu.

- Whit, stań na piętach - upierał się Tabbott.

To była nienaruszalna zasada.

Nie można było wygrać, a tym samym zaliczyć mostu, dopóki palce nóg przywierały do podłoża.

Trzeba było jeoderwać i stanąć napiętych.

Przetarłem smagane wiatrem oczy i otarłem łzy z policzków.

Ręce wisiały swobodnie po bokach, tak jak skrzydła tych wirujących podenina stworzeń.

Lewa stopa przesunęła się nieco do przodu, a potem prawa.

I stałem tak, cały zastygły w otaczającym mnie dokoła powietrzu.

320 Zimny strzał

mając je ponad głową, z boków i pod sobą.

Nie odczuwałem próżności ani żalu czy zahamowań.

Tylko konsekwencję.

Wyobrażałem sobie tę wodę płynącą pod lodem, tam w dole.

Byłem już kiedyś pod lodem.

Miał to miejsce na jeziorze Echo.

Zimno przepelnia cię, emocje biorą górę nad odczuciami, rozsądek odpływa gdzieś w dal, palce już nie wykonują poleceń, mąci się ostrość osądu.

I albo wydobywasz się na powierzchnię, albo też dalej zanurzasz się w wodę, a całe ciepło twego życia z powrotem oddajesz naturze.

Nigdy nie zostawiliśmy zbyt długo w wodzie: tyle tylko, żeby wydać kilka okrzyków.

Przecież byliśmy chłopakami z New Hampshire, rasą wychowaną na świeżym powietrzu, uwielbiającą włóczenie się górskie wspinaczki.

Przecież to odziedziczyliśmy, tę dzikość granitu, brzozy i klonu.

Te cechy, które nasze dzieci być może uznają za nieokrzesanie, trzymały nas przy życiu.

Wyciągnąłem ręce w bok i wysoko uniosłem głowę.

Zimno ogarnęło mi serce, a wiatr przyfrunął, by śledzić i przygnać szepty wszystkich dusz, oczekujących, że może mój zmysł równowagi zawiedzie, a rzeka uniesie się i mnie pochłonie.

Nieśmiałe północne słońce wyrzało nachwilkę, lśniące i jasne, ale zaraz potem znikło, bojąc się, że nawet sugestia światła może wyrwać mnie z tego transu.

Potrzebowałem tego miejsca, miejsca, w którym ryzyko opanowywało mnie i pchało do dalszych wyczynów, tak daleko, jak tylko byłem w stanie się posunąć.

A chmura życia dryfowała wysoko, daleko odemnie i od nadciągającej śnieżycy.

Tobyła moja młodość i miałem niebudzącą wątpliwości pewność, że nie zginę.

Teraz, gdy od tamtej chwili minęły lata, kiedy patrząc wstecz, uśmiecham się, bo wiem, że był to trening przed czymś ważnym.

Będę opowiadać wnukom o młodości spędzonej w tym zwykłym miejscu pełnym obietnic na przyszłość.

Pewnego dnia będzie to mieć znaczenie.

- Dobrydzionek.

Bobby Metz odsunął zasłonę i wyłonił się ze znajdującego się z tyłu pomieszczenia.

Wysmarkał nos na podłogę.

- Co tam masz?

Zamrugałem oczami i Koresh zniknął.

Pozostało tylko puste okno.

- Cześć, chłopie - odparłem.

Pora nazwać wartę przy punkcie obserwacyjnym.

To już dwieście dziewięćdziesiąta siódma z rzędu.

Ostatni peep-show tej nocy.

Zmiana.

W doryckiej tonacji

321

- Coś się dzieje?

Może on mi się przyśnił.

A może nie.

Ech, nieważne.

W nocy widzi się wiele twarzy.

Jedne się uśmiechają, inne nie.

Takie jak Tabbott czy Brauna tkwią we mnie.

Metz przeciągnął się i ziewnął.

Tego ranka powietrze było wilgotne i przenikliwie chłodne, wngiue

- Nic- odrzekłem.

- Martwa cisza.

19

Wiatr

Pamiętam płomienie.

Zachmurzone, szare niebo zawisło bez życia nad ranczem.

Skierowałem swój karabin w stronę północną, na biały brawo trzynaście.

Tobyl środkowy punkt mojego sektora, trzynaste okno na drugim piętrze od południowej strony budynku.

Przesiedem tygodni już przywykłem do tego, że zazwyczaj tam się coś działo.

Gdzieś głęboko w cieniu, za błękitnymi zasłonami, gdzie ludzie Davida Koresha zbudowali snajperską kryjówkę, dostrzegłem niebudzące wątpliwości odbicie światła od celownika optycznego.

A za nim stał ktoś, kto celował wykonaną z nierdzewnej stali lufę snajperskiego karabinu prosto wemnie.

Palec spoczywał na spuście, a sprawcą tego była toksyczna i ponagląca do działania nienawiść.

Biały brawo trzynaście to stanowisko snajperskie.

Było to równie pewne, jak fakt, że siedziałem tu po to, aby je zlikwidować.

I oto tego samego kwietniowego ranka dostrzegłem błysk, który świadczył, że ludzie Koresha postanowili spróbować szczęścia.

Od tylnego wejścia do budynku Koresha dzieliło mnie 297 jardów, a pomiędzy mną a moim celem leżało jeszcze siedem rzędów worków z piaskiem, ułożonych jeden za drugim.

"Prawda", czyli mój karabin, spoczywała sobie grzecznie pod pachą, czekając, aż z lufy barretty wystrzeli światlisty grom.

Snajperom Koresha może i uda się oddać pierwszy strzał, ale mogą być cholernie pewni, że drugi to już na pewno nie.



Tego krytycznego porankawał z worków z piaskiem, gdy pochyliłem się ku niemu, opierając kolbę karabinu na ramieniu, wydał mi się jak pergaminy.

Metz siedział spokojnie z lewej strony, a po prawej Junior i Gunny przeszukiwali wyznaczone sektory.

Wszyscy 16" żeliśmy tak blisko siebie, że mogliśmy porozumiewać się szeptem, a pomimo to panowała cisza.

Całą naszą uwagę skupiliśmy na tamtym budynku, szukając błysku lufy, a cztery nasze brygady szturmowe bez

Wiatr

323

przerwy objeżdżały teren bradleyami.

Dochodził do mnie głośny odgłos:

bum, bum wrzucanych do budynków Koresha ładunków z gazem łzawiącym.

Na moim zegarku była 11.

55 w południe, ale wciąż ostatnie sześć godzin widok niewiele się zmienił.

Chmury stały się co prawda nieco jaśniejsze, ale nie wyrzuciły spod nich żadnych

promyków światła, a silne podmuchy teksańskiego wiatru hulały na otwartej

przezieleni pomiędzy nami a budynkami, w których przebywali ludzie

Koresha, przycinając ku ziemi wysoką trawę i łopocząc błękitną flagą Gałęzi

Dawidowej.

Patrzyłem, jak tańczy i łopocze na niej gwiazda Dawida, a jej

ruchy pomagały mi określić szybkość wiatru i skalkulować precyzyjnie strzał.

; Oddanie strzału z tej odległości nie stanowiło wielkiej sztuki dla

żadnego z sześciu snajperów z HRT, pełniących warty w Sierra Dwa, ale wiejący

nieustannie z prędkością trzydziestu mil na godzinę wiatr stwarzał pewne ryzyko.

Oddanie precyzyjnego strzału na odległość zależy nie tylko od pewnej ręki

dobrych oczu, ale jeszcze od wieloczynników.

Wpływ ma tu wilgotność powietrza, wysokość, temperatura, kąta padania i wiatr.

Wszystkie te opowieści, że najlepszymi snajperami są farmerzy z Kentucky, to

tylko takie gadanie.

Najdoskonalszymi na świecie strzelcami są fachowcy, którzy do perfekcji panują nad własną psychiką oraz nad zasadami trajektorii i wyczuciem czasu.

Przekręciłem pokrętko celownika optycznego, dodając jeszcze półminuty kątowej, aby skompensować zmieniający się wiatr.

Roześmiałem się z ironii tej sytuacji: członkowie Gałęzi Dawidowej sądzili, że ich flaga to symbol wyzwania, a tymczasem dla nas był to po prostu znak, jak ustawić siatkę celownika.

W pomieszczeniu, w którym się znajdowałem, było zimno i wilgotno.

W powietrzu unosił się słodkawy, piżmowy zapach spalin z dieslowskich silników bradleyów, które bez przerwy jeździły tam z powrotem po moim polu obserwacyjnym. Od świtu cztery brygady szturmowe ciężko pracowały, wrzucając do budynku Koresha ładunki z gazem łzawiącym.

A ja szukałem celu, mając nadzieję, że dostrzegę błysk lufy, która zdradzi tamtych snajperów i pozwoli mi wykonać robotę.

Dziewiętnastego kwietnia, ostatni dzień przy kompleksie budynków nazwanych Górą Karmel, zaczął się dobrze przed świtem odbriefingu i ogromnego wyczekiwania.

Nasza grupa skończyła dyżur.

324

Zimny strzał

poprzedniego dnia, ale Roberts wezwał nas o szóstej rano i polecił iść na nieplanowaną wartę.

Wiedzieliśmy, co to znaczy.

Niemal po dwóch miesiącach frustracji, powodującej stan umysłowego odrętwienia, dowództwo wreszcie dawało nam wolną rękę.

Tuż przed kolacją w Sierra Dwa zameldowały się wszystkie cztery brygady szturmowe oraz brygada złotych snajperów.

Każdy ulokował się, znajdując sobie miejsce do spania i do złożenia rzeczy.

Brygada Golf przywiozła kolację.

W pudełkach była pierś kurczaka, kartofle puree i zielony groszek.

Jedliśmy z apetytem, połykając ostatni posiłek przed dniem kończącym, jak sądziliśmy, nasz pobyt w Waco.

Pomimo braku szczegółowych informacji każdy z nas wiedział, dlaczego wysłano nas na tę dodatkową wartę.

Czas było skończyć z tym głównym.

Poszliśmy spać wcześniej.

Nasz dowódca wyznaczył pobudkę naczwartą rano, a każdy z nas wślizgnął się do swegośpiwora, nie mogąc doczekać się następnego dnia, tak jak dzieci nie mogą doczekać się

Gwiazdki.

Metz obudził mnie szturchnięciem buta o 3.

45. Pozostali złocisnajerzy krzataliszę, poruszając się szare zjawy, popijając łykwody, naciągając kamuflaż i ładując nabojeddo magazynków.

Nazewnątrz megafony wrzeszczały tę zdającą się nie mieć końca kofonięodgłosów, na którą składał się dźwięk dzwoniącego telefonu, trzaskających drzwi i zarzynanych królików.

Tuż przed czwartą rano opancerzonymsamochodem przyjechałkierownik HRT, Steve McTavish, i zrobił nam zebranie.

Stanęliśmy wokółniegopółkolem.

Słuchaliśmy niecierpliwie, a on w przyćmionym świetle małej latarki czytał rozkazy.

Mówił wolno i dobitnie.

Plan wydawał się dość prosty: dwawozy opancerzone kierowaneprzez Homeya iT.

J. podjadą do budynku i wpuszczą do środka, przezwęże przymocowane do stalowych rur, wysoce szkodliwy i drażniącygaz CS.

W tym czasie cztery bradleye, kierowane przez jego owieczki, otworzą ogień, wówczas szturmowcy zwiększądostawę gazu łzawiącego, wyrzucając go z granatników M-79.

Natomiast snajperzy z HRT mają podzielić budynek na sektory i cały czas ostrzeliwać go, aby osłaniać działania szturmowców.

Zasady użycia broni zastrzegały, że możemy odpowiedzieć na ogień tylko wówczas, gdy namierzylibyśmy osoby i stwierdzilibyśmy, że stanowią duże zagrożenie dla znajdujących się w pobliżu agentów FBI.

Wiatr

325

Zauważenie błysku lufy w oknie mówinam, gdzie należy szukać strzelca, ale to nie jest wystarczającym powodem, aby do niego strzelić.

Musimy stanąć w obliczu jasno zdefiniowanego niebezpieczeństwa i bezbłędnie je zidentyfikować.

Gdy Steve skończył odprawę, wilgotne, szare pomieszczenie wypełniło się nieokreśloną energią.

Ponad dwudziestu mężczyzn stało wokół niego, starając się zapanować nad podnieceniem.

Po pięćdziesięciu jeden dniach frustracji i niezdecydowania, pięćdziesięciu nocach kładzenia się bez bladego nawet pojęcia, kiedy wrócimy do domu, ktoś wreszcie postanowił zakończyć całą tę sprawę.

Szturmowcy zbierali swój sprzęt i wsiadali do bradleyów, a złocis najpierw przygotowywali otwory strzeleckie.

Zająłem stanowisko pośrodku ściany od strony północnej i wystawiłem lufę karabinu przez otwór wielkości sześć na sześć cali, wycięty w sklepcie, na której widniała reklama Rancza Apokalipsy, przedstawiająca cztery rumaki.

Jeden z ludzi Koresha - niewiem który - namalował ją w żywych kolorach.

Stąd, przez dziurę wydłubaną w oku namalowanego konia, miałem widok na kompleks budynków Gałęzi Dawidowej, upiorną, białą zjawę osnutą mgłą rozświetlaną reflektorami.

Koreshowi podobałaby się tak aironia.

Gdy pochyliłem się nad kolbę karabinu, czas jakby zastygł w jednym, długim ziewnięciu.

Poranne chmury wisiały złowrogo nad zabudowaniami rancza.

Anemiczne słońce zatrzymało się tuż nad horyzontem, najwidoczniej namyślając się, czy ten dzień aby na pewno powinien się zacząć.

Wszystko zdawało się takie ciężkie.

Worci z piaskiem, powietrze, życie tych, co tu mieszkali.

Do moich uszu dochodził tylko ryk silników bradleyów, bicie serca i szum ustawicznego wiatru.

O szóstejrano zaczęliśmywpuszczać do budynków ludzi Koreshagaz łzawiący.

Wszystko przebiegało zgodnie z rozkazem operacyjnymBR-1.

Na rozkaz T.

J. i Homeypognali bradleyami autostradą EE, następnie skręciłina podjazd do siedziby Koresha i z pełnym rykiem silników zajechali pod drzwi.

Koresh prawdopodobnie nic nie myślał natemat tego nagłego wznowienia przeznas działalności.

W ciągu ostatnich siedmiutygodni robiliśmy to stale, toteż i tym razem przypuszczał^pewne, że to po prostu jeszcze jednataktyczna zagrywka nastawiona"anękanie go.

326

Zimny strzał

Jednak z pewnością w zabudowaniach Góry Karmel podniósł sięalarm, gdy usłyszano głos negocjatorów, informujących o wpuszczaniu gazu.

Koreshwraz ze swymi dowódcami rzucili się do stanowisk strzeleckich, a tymczasem T.

J. ustawił bradleya naprzeciw wejścia i walnąłsześćdziesięciotonowąmaszyną wprost wpoprutą kulamiostonę Góry Karmel.

Ludzie Koresha wyciągnęli, co tylko mieli.

Pierwszy Hooch zauważył ogień z broni automatycznej i wrzasnął do mikrofonu radiowego: "Rozwiązanie kompromisowe".

Żaden z nas nieodpowiadał na ogień.

Strzelcy Koresha ukryciw głębi budynkuostrzelali z broni małegokalibru pojazd opancerzony,ale widzieliśmy, że ich pociski nie są w stanie przebić powłoki z utwardzanej stali.

Przeszukiwaliśmywzrokiem wszystko, chcąc namierzyćpotencjalne cele, ale członkowie Gałęzi Dawidowej zbudowali swojesnajperskie kryjówki bardzo starannie.

Karabiny stały w głębi, a otwór był przesłonięty szmatą w ciemnym kolorze, aby zapobiec odbiciu światła od lufy.

Żaden z sześciu snajperów w Sierra Dwa nie znalazł celu i żaden nie wystrzelił ani jednego naboju.

Jeśli ludzie Koresha nie uruchomią swojej wielkiej barretty kalibru .

50, to ogień z innej broni nie stanowił bezpośredniego zagrożenia dla żadnego z nas.

Widziałem, jak pociski odbijają się rykoszetem od grubego pancerza pojazdu opancerzonego, ale efekt był taki, jakby krowa szcząła na patelnię.

Pozostawało czekać.

Bezczynność nie powinna jednak oznaczać braku planów.

Przygotowałem już dodatkową amunicję do mojego snajperskiego karabinu oraz szkic sytuacyjny.

Moja wielka trzysta ósemka spisywałaby się świetnie na odległość powyżej stu jardów i miałem do niej aż nadto amunicji.

Jednak gdyby ludzie Koresha wydostali się poza drut kolczasty, to wtedy musiałbym sięgnąć po karabin maszynowy M-16, który leżał nalewo ode mnie na workach z piaskiem.

Z tyłu na cementowej podłodze leżały M-60 i erkaem kalibru .

223, oba zasilane z taśmy.

To

tak dla pewności.

Większość snajperów w Sierra Dwa oczekiwała, że członkowie Gałęzi Dawidowej wybiegną teraz, mając śmierć w oczach i broń w ręku;

i popędzą prosto na nas, do samobójczej walki ze stróżami prawa.

Był onas sześciu, a ludzi Koresha pięćdziesięciu albo i więcej.

Wiedzieliśmy;

Wiatr

327

że mają broń, równie groźną jak nasza, i że ostatnio intensywnie ćwiczyli strzelanie.

Ziemia między zabudowaniami a Sierra Dwa była pokryta koleinami i rowami, wobec tego jakkolwiek frontalny atak zamieniłby się w wyrównaną! rozstrzygającą bitwę.

Gdy zaczęli strzelać, chwyciłem mocniej kolbę karabinu i uważnie przebiegałem oczami po oddzielającym nas od nich terenie.

Koresh mógł być na tyle sprytny, aby manipulować negocjatorami, ale napewno nie zyska tu, w Sierra Dwa.

Jeśli miałyby dojść do walki, to byłbym absolutnie pewien, kto by ją wygrał.

Tymczasem brygady szturmowe Echo i Charlie były już na tyłach budynku ze swymi granatnikami M-79.

Ta niewielkich rozmiarów broń jest w stanie wyrzucić z dość dużą dokładnością kanister wielkości pięści z gazem łzawiącym na odległość stu jardów.

Tekanistry przypominają duże plastikowe kule, ale w momencie uderzenia o twardą powierzchnię, na przykład o ścianę, rozrywają się jak kruche balony z wodą.

Słyszeliśmy głuchoe odgłosy, jakie wydawały granatniki, i widzieliśmy, jak pociski z gazem wpadały przez okno, albowiem, jeśli trafiły w cel, rozбивały się o ścianę budynku, pozostawiając na niej brązowe plamy wielkości chustki do nosa. Około dziesiątej na chwilę zapanowała cisza.

Rozeszła się wieść, że dowódcy z FBI zwołali konferencję prasową i wstrzymali na razie stosowanie gazu łzawiącego.

To krótkie przerwanie ognia dało nam możliwość uzupełnienia zapasów, a snajperom oderwania się na chwilę od celowników, ale w Sierra Dwa narastał sceptycyzm.

Niektórzy siedzieli i dyskutowali, czy to, co się dzieje, rzeczywiście zmierza do końca oblężenia, które wydawało się nie mieć końca.

Zdaniem innych była to jeszcze jedna z wielu kapitulacji, dająca Koreshowi czas na wykiwanie negocjatorów i doniesienie snajperom amunicji.

Taktyczny plan BR-1 zawsze budził kontrowersje i wielu z nas podejrzewało, że to wlokące się w nieskończoność przerwanie ognia byłoby początkiem wymierzonej w niego rozgrywki.

Prokurator generalny Janet Reno dopiero niedawno objęła stanowisko i pomimo swego wieloletniego doświadczenia w sprawach kryminalnych, nie miała przedtem do czynienia z operacjami na tę skalę i o takim ładunku desperacji.

Waco stało się niemal narodową obsesją i pomimo rad wszystkich doradców i ekspertów, ciężar podjęcia decyzji o użyciu broni musiał być olbrzymi.

328

Zimny strzał

My tutaj wiedzieliśmy, że Reno całe tygodnie rozważała podjęcie decyzji o użyciu gazu łzawiącego.

Jej doradcy do spraw taktyki analizowali każdą możliwość, w tym także zalanie ranczawodą lub jakąś lepą substancją.

Jednak wszystkie onemiały drugie dno.

Były to operacje taktycznej i wszyscy wiedzieli, że Koresh na każdy akt agresji odpowie kolejną agresją.

Ale agresja już się wkradła do Waco.

Codziennie rozprzestrzeniały się tu jak zaraza gniew, chęć odwetu i nienawiść.

Wypełniały powietrze jak złowrogie chmury przed burzą i groziły zerwaniem nas na strzępy.

W łonie FBI wrzała wojna między negocjatorami a personelem taktycznym.

Pięćdziesięciu najlepszych na świecie ekspertów od rozwiązań taktycznych siedziało dzień po dniu bezczynnie z boku, czekając, aż coś się zdarzy.

Nic się nie działo.

Negocjatorzy kręcili się, nierozmawiając wcale z ludźmi Koresha, a jeśli już rozmawiali, to tylko po to, aby zaakceptować kolejne jego kłamstwa.

Trzeba wziąć na przeczekanie - mówiono.

I te słowa stały się motto FBI.

Dla zwolenników rozwiązania siłowego negocjacje stały się męczące.

Wszyscy wiedzieliśmy, że Koresh nigdy nie podda się dobrowolnie.

Tutaj, na tym terenie, był przecież gwiazdą, prorokiem przepelnionym boską władzą.

Natomiast poza granicami rancza tylko jeszcze jednym kryminalistą, który zostałby skazany za morderstwo i więziony przez resztę swojego anonimowego życia.



A anonimowość to słowo, którego nie był w stanie zaakceptować.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że jak długomógł, to nalegał, obiecywał stosować uniki, ale gdy nie będzie już miał innego wyjścia, to zacznie walczyć.

Inna opcja nie istniała.

Obserwowaliśmy Górę Karmel przez pięćdziesiąt dni i nocy.

Słońce wschodziło i zachodziło nad naszymi głowami, a my tylko zauważaliśmy jego istnienie.

I nikt w tym wielkim morzu ludzi, zajmujących się stanieniem straży porządku prawnego, nie sprawiał wrażenia, że wie, co robić dalej.

Nie było przepływu informacji pomiędzy dowództwem a oddziałami znajdującymi się na pierwszej linii frontu.

My, operatorzy, powinniśmy być regularnie informowani o rozwoju wypadków, a tymczasem większość spraw dowiadywaliśmy się od miejscowych dziennikarzy.

Otrzymywaliśmy regularnie drukowane raporty wywiadu, ale rzadko wspominały one o całościowym planie rozwiązania sytuacji.

Najważniejszy

329

niejsza wiadomość dotarła do Sierra Dwa za pośrednictwem radia tranzystorowego.

Powszechnie naśmiewaliśmy się z niezdecydowania decydentów w Kwaterze Głównej FBI.

Jedynym pomysłem (i wkładem) ówczesnego dyrektora biura, Williama Sessionsa, w rozwiązaniu kryzysu był jego szeroko nagłaśniana propozycja przyjazdu do Waco i porozmawiania z Koreshem jak "Teksaszczyk z Teksaszczykiem".

Ta naiwność stanowiła afront dla naszego profesjonalizmu.

Jeszcze nigdy w historii przestrzegania cywilnego prawodawstwa nikt nie uzyskał tak wielkiej kontroli nad swymi zwycięzcami.

Niemal przez dwa miesiące ludzie z najlepiej wyposażonej i najlepiej wyszkolonej agencji na świecie zostali postawieni w sytuacji, w której musieli niemal błagać jakiegoś szarlatana z elektryczną gitarą.

Każdy ekspert wtrącał swoje trzy grosze.

- Trzeba dać mu czas - mówili.

- Niech skończyte siedem pieczę- ,ci.

Aniech gada te wszystkie swoje kłamstwa.

Chciał mieć show, no to ma.

Niech się napawawołaniem o bis.

Jednak wszystkie najtęższe umysły na świecie - a bez wątpienia cały świat śledził, co się działo w Waco - spierały się nad tematem jednej rzeczy.

Wszyscy ci akademicy i badacze dusz zastanawiali się nad jednym: czy Koresh wyjdzie, czy też będzie walczyć?

Dla nas, którzy widzieliśmy, jak zamordował federalnych agentów i przez dwa miesiące grał na nosie całemu światu, odpowiedź wydawała się banalna.

Dziewiętnastego kwietnia 1993 roku David Koresh opuści swoją posiadłość w taki czynny sposób - lecz nikt z nas zacholery nie wiedział, w jaki.

Zgadywanka rozpoczęła się znowu tuż po jedenastej.

Opancerzone pojazdy gąsienicowe podjechały do reducty Koresha i zaczęły odłupywać siding z lichych ścian budynków.

Homey zatoczył koło, po czym zawrócił i walnął w ścianę, wybijając w niej otwór wielkości doły.

Wjeżdżał bradleyem coraz głębiej i głębiej, a z wnętrza pomieszczenia wysypywały się sterty pudełek, stare meble i różne śmiecie, które gromadzą się zawsze, gdy życie mieszkańców domu popada w stagnację.

Jeden z punktów obserwacyjnych Koresha, ze względu na kształt nazwany przez nas psią budą, zawalił się prosto na pojazd Homeya, ale nieugięta maszyna nawet tego nie zauważyła.

Jedynie wypłuła chmurę dymu i kontynuowała dzieło zniszczenia.

Przez dwa miesiące obserwowałem psią budę, zastanawiając się, co kryje się za jej grubymi zasłonami i ścianami ze sklejki.

Teraz stała.

330

Zimny strzał

otworem niczym wielka rana, okazując się tylko pustym korytarzem prowadzącym do starej sypialni Koresha.

Po adrenalinie, która zebrała się w nas rano, gdy runęły ściany, nie było już śladu. Ten wielki budynek, na który patrzyłem dzień podnie, nagle walił się bezładnie. Okazał się jednym wielkim rozczarowaniem.

Od siedzenia przy karabinie bolała mnie szyja, a oczy paliły ze zmęczenia od wpatrywania się w celownik.

Chłodną, ciemną ciszę panującą w Sierra Dwa przerwała rozmowa.

- Co tam się, do cholery, dzieje?

- spytał ktoś.

Snuliśmy domysły, jak też jest tam w środku, jakie to szaleństwo trzymatych ludzi.

Wpuściliśmy tam duże ilości gazu łzawiącego i nic.

Nikt nie wyszedł.

Myślaliśmy o dzieciach.

Czy mogły uciec przed szkodliwymi oparami, wczłapać się do jakiegoś bunkra pod budynkiem?

Wyobrażałem sobie ich oszołomienie i histerię, jak biegły przez pełne gazu pomieszczenia, krzyczały, wzywając swoje mamy, ich oczy spuchły, a płucawalczyły o odrobinę świeżego powietrza.

Widziałem ich małe wykrzywione przez strach twarzyczki, gdy rodzice strzelali, wystawiwszy broń przez okna, a dom wypełniały krzyki wydawanych rozkazów, przekazywanych z jednego krańca budynku na drugi.

Domyślałem się, że Koresh raczył je historiami o białym szatanie, który idzie tu po nie, toczącej bitwę, zwiastującą koniec świata.

Na pewno przygotował je na nasz szturm, obiecując im zbawienie w jego królestwie.

Przez myśl przemknęła mi masakra, jaką zorganizował w Gwinei Jim Jones: ciała ułożone w stosy, jedna na drugich, złączone zwykłym łańcuchem.

Gdzie oni byli?

Dlaczego nie wychodzili?

To wszystko już się skończyło.

I wtedy zobaczyliśmy.

Dym.

Kłęb dymu obok biały alfa czternaście- pierwszy symptom pożogi.

Zaczęło się od ciemnoszarego cienia wydobywającego się z zabitego deskami okna w

pobliżu części jadalnej, ciemnego i zupełnie niepasującego do zamglonego, stojącego w zenicie słońca.

- A to co, do cholery?

- spytał ktoś.

- Dym?

Przyglądaliśmy się z dzielącej nas odległości trzystu jardów przez celowniki, ustawiając je, poprawiając ostrość i starając się zgadnąć, co

Wiatr 331

się tam dzieje.

Ale w ciągu kilkusekund wiedzieliśmy.

Na lewo, w tym miejscu, w którym Homey staranował psią budę, zobaczyliśmy buchające i unoszone przez wiatr na wysokość stu stóp płomienie.

Kłęby czarnego dymu, takiego samego jak ten, który unosi sięz grilla, jeśli doleje się zbyt dużo podpalki, wytaczały się z białego alfaczternaście.

Był gęsty i gryzący.

A zaraz za nim, niczym refren, podążały płomienie, liżąc wysuszony na wiór siding i kreując złudne obrazy w naszych celownikach.

- Pokazał się ogień - krzyknął ktoś przez radio.

- No, to teraz muszą wyjść - stwierdził mój towarzysz.

Pamiętam ten sarkazm w jego głosie i suchość, jaką poczułem w ustach.

Pożar - takiej ewentualności nigdy nawet nie brałem pod uwagę.

Jasne, że muszą teraz wyjść: fala ludzi, strzelanina, zbiorowe samobójstwo, nawet poddanie się.

Ale pożar?

Wiedziałem, że wśród kusa ludzi.

Żywe istoty.

Przez siedem tygodni codziennie widziałem ich twarze.

David Koresh, Steve Schneider, Linda Thompson.

Rozpoznawałem ich na podstawie zdjęć w prawie jazdy oraz z innych fotografii.

Elvis.

Białe tenisówki.

Kości.

Elwira.

Pamiętałem twarz Koresha i jak słońce odbijało się od jego okularów.

Przypominałem sobie to władcze uczucie spowodowane przez świadomość, że należał do mnie i że naprawdę chciałem go zabić.

Prorok, gwiazda rocka, znakomitość ciesząca się międzynarodową sławą, Bóg - to wszystkim miało dla mnie znaczenia; mogłem sprawić, by krwawił tak, jak każdy inny.

Zanim poszedłem spać, patrzyłem na Górę Karmel, zresztą dziś rano też.

Widziałem tych ludzi, jak siedzieli w oknach i uśmiechali się, jedząc lunchi podnosząc w górę talerze, abyśmy widzieli, że mają lepsze jedzenie niż my.

Widziałem, jak kobiety, zupełnie jak w średniowieczu, wylewały przez okno zawartość wielkich wiader, pełnych ludzkich odchodów.

Obserwowałem wyraz bezradnego przerażenia w oczach niemowląt, które członkowie sekty Gałąź Dawidowa trzymali przed sobą niczym tarcze, gdy stali w oknach i patrzyli, jak napełniamy paliwem generatory.

Znałem tych ludzi jako członków niezwykle dysfunkcyjnej, pełnej nieufności, złości i nienawiści rodziny.

Czas wytatuował ich twarze w mej pamięci w kolorach czerni i bieli.

Jednak najlepiej znałem sam budynek.

Wiedziałem, gdzie jest każde pęknięcie, narożnik, stłuczona szyba, jakiego koloru firanki wiszą

332

Zimny strzał

w każdym oknie oraz gdzie znajduje się i jakiego jest rozmiaru każde ich stanowisko strzeleckie.

To przede wszystkim ten brązowy, obdrapany, rozwalający się budynek widziałem za każdym razem, ilekroć zamknąłem oczy.

A teraz on płonął.

Płomienie rozprzestrzeniały się szybko, szalały, połykając wszystko jednym

haustem i unosząc w górę czarne smugi.

Pochyliłem się nadkarabinem, na pół stojąc, na pół leżąc na ścianie z worków z piaskiem, a nade mną górował emblemat Rancza Apokalipsy.

Minęło zaledwie kilka sekund, a wydawało się, że cały Teksas płonie.

Silny wiosenny wiatr, niczym niebiański miech, wzniecał tylko jeszcze większy ogień.

Obudowa mojego celownika pociemniała.

- A to cholerne gówno - stwierdził ktoś.

Odgłos wystrzałów był jakiś inny.

Zamiast sporadycznego terkotu, jaki wydaje broń automatyczna, słyszałem pojedyncze, niemal rytmiczne strzały, takie jak na terenie naszej jednostki, gdy słychać wiercenie

otworów w stali.

Pop, pop, pop.

- Strzelają do siebie nawzajem - powiedziałem głośno.

Wśród snajperów zapanowało poruszenie.

Niecierpliwili się, gdyż chcieli działać, a nie leżeć i patrzeć na płomienie.

Pop, pop, pop.

Metodyczne, odległe wystrzały wydawały się słabe, niemal zamierające.

Mniej więcej przez dziesięć minut pilnie obserwowałem wyznaczony mi sektor piąty, dopóki ze zdumieniem nie zdałem sobie sprawy, że nie widzę żadnego zagrożenia.

Nic, zero.

Dym zasnuł większą część białej ściany.

Informacje nadawane przez radiomówiły, że kilku członków sekty wybiegło przez frontowe drzwi, ale tu, z tyłu, nikt się nie pojawił.

Okna, przez które można było się wydostać, były ciemne, a potem wspaniale zabarwiły się na kolor czerwieni, żółci i pomarańczy, i totak jasno, jak słońce, które, jak sądzę, świeciło ponad tą złowróżbną szarością.

- Fotografujesz to?

- spytał Metz.

Jako koordynator programu sporządzania dokumentacji fotograficznej miałem obiektyw isprzęt,

pozwalający uzyskać bardzo duże zbliżenie.

- Poczekaj - powiedziałem, odkładając karabin i chwytając ni'kona A-1 z zoomem. Przesłona przystrykała i warczała, a ja tymczasem przesuwalem obiektyw w prawa na lewo, to oddalając, to przybliżając widok pożogi.

Wiatr

333

Nawet w odległości trzystu jardów od Góry Karmel czuć było gorąco.

Płomienie wspinały się powysuszonym drewnie, zarzucając zieloną okolicę popiołem.

Takie olbrzymie marnotrawstwo.

Gunny i ja zostawiliśmy karabiny, minęliśmy opustoszałe główne pomieszczenie

Sierra Dwa i wyszliśmy na podwórko zabudynkiem.

Brygada Echo ustawiła erkaemy na umocnionym workami z piaskiem wale, tuż obok naszego południowo-zachodniego narożnika.

Pomyślałem, że można by to sfotografować.

Obok mnie stał Gunny.

Podniosłem aparat fotograficzny i zacząłem robić zdjęcia.

Wraz z Gunnym staliśmy z lewej strony Sierra Dwa, a barykada z worków zasłaniała nas tylko do połowy.

Bum! Bum!

- Cholera jasna!

- krzyknąłem, padając na ziemię, zanim skończyłem to krótkie zdanie.

- Skąd, kurwa, te strzały?

Całymi dniami nie rozstawałem się z bronią, bez względu na to, czy miałem wartość, czy nie.

Czasem był to karabin snajperski kalibru .

308 dostrzelania z odległości 500 jardów do ruchomego celu, a czasem MP-5 kalibru 10 milimetrów.

Wiedziałem, jakie to uczucie, gdy pociski przelatują tuż obok.

Zanim jeszcze usłyszysz dźwięk, czujesz pęd powietrza.

Pociski tną powietrze, tak jak okręt morskie fale, wytwarzając przed sobą ciśnienie, a za sobą ślad swojego toru.

Jeżeli pocisk przelatuje dość blisko, można poczuć jego pęd na policzku lub na

powierzchni ręki.

Obydwaj Gunnym wiedzieliśmy, jakie to uczucie, gdy kule niemal cię dosięgły. Dwa strzały padły stamtąd, z tego szalejącego piekła tylko kilkucali brakowało, aby rozwaliły nam głowy.

- Idiotyczna śmierć - stwierdziłem, pełznąć z powrotem do budynku.

- Czujemy tu przez pięćdziesiąt jeden dni bronią w ręku, a zostaniemy ustrzeleni, pstrykając kilka zdjęć.

Członkowie brygady Echo przykucnęli za nami.

Bez celownika optycznego na erkanie nie mieli się zabierać za strzelanie.

- Chodź - powiedział Gunny.

Pobiegliśmy do naszych karabinów.

Jeżeli tamci wciąż widzą nasna tyledobrze, aby strzelać, to może będziemy w stanie odpowiedziećun tym samym.

Ale w ciągu tych kilku sekund, których potrzebowaliśmy, aby dać susa po broń, pożar dokończył za nas dzieła.

Chmura w kształcie grzyba rozerwała się i uniosła, kłębiąc się, w górę, aż płomienie przygasły, a rozmazany czarny dym zasnuł resztkę słońca.

"Ilałem obok karabinu, zastanawiając się, kto to mógł strzelić.

334

Zimny strzał

Może Elvis albo Białe Tennisówki.

Być może któryś nich rozpoznał mnie przez celownik, tkwiąc przy nim tak długo, dopóki nie dosięgły go płomienie.

Musiał starać się przewyciężyć dymi wytrzymać nerwowo piekielną temperaturę, gdy tymczasem za jego plecami topił się w ogniu cały jego świat.

Możliwe, że ładując do magazynka pociski dużego kalibru, słyszał, jak wzywają Bóg.

A może zastanawiał się nad przemocą, która tak potwornie żleznaczyłaostatnie chwile życia.

Czyżby wszystkie kazania, modlitwy ślepa wiara miały ugotować się w tym ukropie?



Gdzieś na odludnych równinach słyhać było wołanie dwóch głosów.  
Jeden należał do diabła, a drugi do Boga.  
Patrzyłem na tę dewastację i myślałem o tym, który strzelał.  
W tym punkcie swojej drogi powinien już umieć wybrać.  
Około trzynastej szedłem przez pogorzelsko.  
Metz, Junior, Gunny i ja biegliliśmy susami przez pole, które przez dwa miesiące  
wydawało się całym światem.  
Wśród młodej trawy wałały się skrawki papieru.  
Podniosłem kilka z nich, ot tak, z ciekawości.  
Były to kartki z modlitewnika, na których piórem i ołówkiem zapisano słowa  
nauczania Koresha.  
Wybuch wyrzucił je wysoko w górę i porzucił wśród nas jak konfetti podczas  
parady na Piątej Avenue.  
Kiedy podeszliśmy do tego, co zostało z budynku, zobaczyłem BR-1.  
Stał rękami na biodrach i patrzył na rumowisko.  
Na głowie miał kask i goglety, jakie noszą żołnierze, a w nisko  
opuszczonej kaburze spoczywał jego potężny rewolwer.  
Czerwono-żółte odblaski od pogorzelskiarzucały refleksy na jego bladą twarz.  
Wziąłem aparat fotograficzny i ruszyłem za kolegami z brygady Hotel, którzy szli  
przez dymiące zgliszcza, rozgarniając je i szukając, czy ktoś ocalał.  
Myśl, że ktokolwiek mógłby przeżyć tę dewastację, zdawała się absurdalna aż do  
momentu, gdy jeden z członków Gałęzi Dawidowej wyszedł z silosu, nieco  
przyrumieniony, ale jak najbardziej żywy.  
Jednak nikt oprócz niego nie miał tyle szczęścia.  
Brygada Golf wraz z posiłkami już dobiegła do podziemnego tunelu, szukając dzieci -  
mieliśmy nadzieję, że Koresh je ocalił.  
Sześciu szturmowców przedzierało się z wysiłkiem przez tunel, niezwracając  
uwagi na możliwość złożenia tam ładunków wybuchowych lub min przeciwpiechotnych.  
Przechodzili przez smolistą lagunę nieczystości, po kolana brnąc  
w błoto  
Wiata  
335  
w ludzkich ekskrementach, rozkładających się szczątkach ciał i wśród szczurów.

Ale dzieci nie znaleźli.

Tunel był pusty.

Szedłem przez jarzące się węgle, które jeszcze godzinę temu były rozległym budynkiem, wypełnionym niemal setką żywych istot.

Gdziekolwiek stąpałem, tam moja stopa natrafiała na wpół spalone ciało.

Niektóre z nich nadal pokryte były tkanką, a przez skórę tłuszcz, który stopił się niczym na ruszcie, widać było mięśnie albo kość.

Unoszący się zapach był inny, niż się spodziewałem, nie jak spalonych włosów, ale raczej jak zgrilla.

Sfotografowałem czaszkę odznaczającą się perfekcyjną wręcz symetrią, z wyjątkiem małej dziurki nad prawym okiem oraz wielkiej dziury nad lewym uchem.

Kule robią takie właśnie dziury: małe, gdy wchodzi w ciało, a wielkie, gdy z niego wylatują.

Przechodziłem nad kośćmi biodrowymi, sterczącymi w górę niczym połamane nogi krzesła, a także nad plecami, pupami, ramionami i nogami najrozmaitszych kształtów i wielkości.

Niektóre z nich leżały na samym wierzchu, na gruzowisku w kolorze kredy, inne znów wystawały z jego środka, dopiero martwe wyłaniające się na świeże powietrze po raz pierwszy od dwóch miesięcy.

Wszędzie, ale to dosłownie wszędzie było pełno broni - aby jej dotknąć, wystarczyło tylko wyciągnąć rękę.

Rzędy łuf karabinów AR-15, AK-47, karabiny maszynowe na dwunożnych podpórkach, broń krótka i dwie duże barretty, a pudełka z amunicją to nawet trudno zliczyć.

Poszedłem, aby sfotografować betonowy bunkier, który górował nad wszystkim na tym rumowisku.

Puste.

sięgały mi do pasa.

Później dowiedziałem się, że było tam tyle naboju, iż śledczy, chcąc w przybliżeniu określić ich liczbę, musieli je zważyć.

Powiedzieli potem, że było ich ponad milion.

Naboje wały się wszędzie dokoła, zupełnie niegroźne bez broni.

Setki ich eksplodowały w ogniu, stanowiąc teraz nie większe zagrożenie aniżeli

ten, kto jekupił.

Kiedy przyjechała straż pożarna, wszystko już ostygło i tylko emitowało poświatę. Wraz z kolegami z mojej brygady przechodziliśmy od czasu do czasu po pogorzeliśku, porównując notatki i starając się dowiedzieć, co wydarzyło się we wnętrzu pojazdów opancerzonych w Sierra Jeden.

I wtedy usłyszałem o tych, którym udało się przeżyć.

Uciekło więcej, niż myślałem.

Niektórzy wyszli dobrowolnie - stanęli w oknach i na znak poddania się wyrzucili broń.

Inni nie.

336

Zimny strzał

Zacząłem kolekcjonować relacje.

Wielki Bob powiedział mi, jak Scarhead, żywa legenda brygady Hotel, podniósł klapę bradleya i pobiegł za jedną kobietą, która wyszła z budynku, ale po chwili zdecydowała, że chce zginąć w płomieniach, i pobiegła z powrotem.

Pomimo strzałów z broni małego kalibru, Scarhead pędem przebiegł przez otwartą przestrzeń i wpadł zaniado budynku.

Jednak ogień był tak blisko nich, że ubranie tej kobiety zajęło się i Scarhead musiał ją puścić, jak żarzący węgiel.

- Krzyczałem do niej: gdzie są dzieci, gdzie są dzieci - opowiadałem mi potem przy piwie - ona tylko popatrzyła na mnie nieobecny wzrokiem i nic nie powiedziała.

Ani jednego pieprzonego słowa.

Niecałą godzinę potem wdrapaliśmy się na bradleya i poraz ostatni wyruszyliśmy z Sierra Dwa.

Jechałem wraz z resztą mojej brygady, ausadowiłem się tuż przed miejscem dla strzelającego.

We mnie wśród wrzały emocje, przepełniając serce szczęściem, że wreszcie jedziemy do domu, i stratą nie do ukojenia, iż właściwie już nie wiem,

gdzie on jest.

Gdy to miejsce będzie mi się śnić, to one będą się jarzyć, tak jak ogień, węgiel i żar.

A wśród nich słyszę szepty i gorący oddech jakiegoś głosu, którego nie chciałbym rozpoznać.

Wszystkie dzieci zginęły.

Duszycki, szukające miejsca, by usnąć.

Z popiołów wystawały czaszki i na pół spalone kawałki ciał - grubiańskie przypomnienie człowieczeństwa.

Wszędzie była broń.

A ciała piętrzyły się dokoła niej - kości udowe, czaszki, palce odarte z ciała i z czucia, które niegdyś posiadały.

Widzę mój cień, jak tańczy na zgliszcach, i słyszę głos zła.

To ja.

20

Stanie napięta

Dziewiętnastego kwietnia nie tylko Góra Karmel zginęła w płomieniach.

Właściwie wraz z nią zginęło FBI.

Na efekty pożaru trzeba byłoby poczekać, ale wróciły z nawiązką, rozrywając całe biuro równie metodycznie, jak T.

J. i Homey rozwalali ten budynek.

Napoczątkunikt z następnym zauważył.

Każdy oddalił się stamtąd zadowolony, że wreszcie się wszystko skończyło, chociaż nie było żadnego dzikiego balangowania, tak jak po schwytaniu

Danny'ego Raya Hominga, ani też takiego picia, jak po zakończeniu sprawy w Ruby Ridge.

I choć HRT próbowało świętować równie intensywnie, jak pracowało podczas tych ostatnich dni, to pożarze zostaliśmy w naszych pokojach.

Wróciłem do Holiday Inn, wyrzuciłem swoje oblepione ludzkim mięsem buty do śmietnika i padłem na łóżko, ale nie byłem w stanie ani spać, ani czuć.

Nawet dziś trudno jest mi wyjaśnić towszechpotężne uczucie straty, jakie mnie ogarnęło.

W życiu nie doznałem zbyt wiele razy zawodu, ale wtedy całe moje trzydzieścicztery lata wydawały się jednym wielkim bezsenssem.

Uważałem, że były jedną gigantyczną życiową pomyłką, i to tylko dlatego, że tu byłem.

Przez siedem tygodni robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby wydostać tych ludzi stamtąd żywych, i z całych sił staraliśmy się ich uwolnić, awsadzić za kratki morderców czterech dzielnych agentów ATF.

I nagle, w ciągu dwunastu godzin, wszystko wzięło w łeb.

Cała nasza praca, poświęcenie i modlitwy.

Przebiegałem w myślach każdą lekcyję, jaką pobrałem w FBI, odprawnego podejścia do Konstytucji poczynając, a na motto HRT skończywszy: "Ratować życie".

Przecież mieliśmy nieść dobro, nieprawdaż?

Jeźdźcy w białych kapeluszach, pojawiający się pod koniec pierwszego aktu, których zadaniem jest wyrugowanie z miasta całego zła.

Uporczywie wpatrywałem się w lustro wiszące w nogach mojego łóżka w poszukiwaniu czegoś.

338

Zimny strzał

kogoś, czeokolwiek, co stanowiłoby dla mnie potwierdzenie, że mam rację.

Ale widziałem w nim tylko tego biednego, małego dzieciaka, wodzącego paluszkami po tęczy z kalkomanii i czekającego na śmierć.

Nie miałem dość mocy w jajach ani energii, aby zapytać któregoś z moich kolegów, jak się mają, ale i tak wiedziałem.

Nie różniliśmy się zbyt - przecież do bórodo jednostki odbywał się na zasadzie podobieństwa.

Dwa dni później spakowaliśmy nasz sprzęt i odlecieliśmy nawschód.

Kiedy wyjeżdżałem z domu, była zima, a teraz drzewa miały pąki i kwitły kwiaty.

Na lotnisku czekała na mnie Rosie z chłopcami i uściskom oraz uśmiechom nie było końca.

Najpierw, gdy tylko wszedłem do sali przylotów, zobaczyłem Mickeya i Jake'a. Rosę ostrzygłach na krótko, płasko na czubku głowy, identycznie jak byłem ostrzyżony tuż przedwyjazdem.

- Tato!

Tato!

-krzyczeli.

Zanurzyłem twarz w zapachu ich lekkich kurtek i próbowałem oddychać.

Wzruszenie, coś, w czym nigdy nie byłem zbyt dobry, wezbrało we mnie jak gigantyczną dłości, grożąc wybuchem i zalaniem bramki dla pasażerów linii American Airiines śmiechem, wściekłością lub łzami.

Nie miałem nawet najmniejszego, pieprzonego pojęcia, co czułem.

Kłębiły się we mnie wszystkie te uczucia naraz, cały balast ludzkiej odpowiedzialności walił w ściany mojego serca z urywanym krzykiem: "Tęskniłem za wami".

Wyczarowałem najpiękniejszy uśmiech, na jaki tylko mogłem się zdobyć, i pocałowałem Rosę.

Mickey popatrzył na mnie, starając się wymyślić, co należy powiedzieć, a ja potrząsnąłem głową, usiłując zapanować nad kącikami ust, aby nie opadły w dół.

Mali chłopcy jeszcze nie powinni martwić się, co trzeba powiedzieć.

Na tym właśnie polega urok młodości: na spontaniczności.

Powinni wyrzucać z siebie za pomocą słów wszystko, co ich porusza.

Nikt z nas się nie rozkleił, choć Rosę prawie nic nie mówiła.

Mickey i Jake spoglądali na mnie z uwagą, jak gdyby wierzyli w to, co dwadzieścia dni temu widzieli w dzienniku.

Rzecz jasna, że dzieciaki musiały rozmawiać o tym w szkole i musiały pamiętać wypowiedź Mickeya o jego tacie, eksterminatorze z FBI.

- Tato, a co nam przywiozłeś?

- spytał Jake.

Jak zwykle wraz z Mickeyem sięgnęli po moją torbę - dwójka małych dzieciaków, czekających, aż ich tata wróci z podróży do domu.

Wreszcie trochę

szczerości.

Stanie na piętach

339

Próbowałem stać, ale nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

Czułem się zagubiony, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy zgubiłem się w lesie i nie mogłem znaleźć jaja.

Nie było mnie w domu nieco ponad dwamiesiącei każda moja pierwsza myśl po przebudzeniu się polegała na przywołaniu w pamięci ich twarzy.

Spędzałem całe dni i godziny, zastanawiając się, cóż robią, czy są zadowoleni.

Zdarzały się wieczory, w które śpiewałem im kołysanki, tylko po to, aby nie zapomnieć uczuć, jakie temu towarzyszą.

- Spokojnie, chłopcy - powiedziała Rose, czując, co się ze mną dzieje.

- Pozwólcie sobie trochę odpocząć.

Przecież dopiero przyjechał.

Wtedy zrozumiałem, że ciężar Waco będę odczuwać dłużej, niż myślałem.

Podczas oblężenia Góry Karmel przebiegłem w myślach całe swoje życie, zgadując, wierząc, żałując i mając nadzieję.

Przeczytałem trzydzieści książek, napisałem siedemdziesiąt osiem wierszy, skomponowałem osiemnaście piosenek i wypłem nie wiem ile galonów piwa, a wszystko to w nadziei, że wrócę cało do domu.

A teraz klęczałem w halilotniska, w każdej dłoni ściskając rączkę małego brzdąca, podczas gdy krtań rozrywał mi żal.

Przez cały ten czas nie znalazłem chwili, by kupić im coś więcej aniżeli gumową piłkę.

Pierwszą noc po powrocie przeleżałem w łóżku, nie zmrużywszy oka, a w głowie brzmiał mi dźwięk pojazdów opancerzonych taranujących budynek.

Na suficie pomału, niczym w procesji przesuwały się twarze.

Przeważnie dzieci inne, niemowlęce.

Poczułem, że oblewa mnie pot, choć wcale nie było gorąco.

I nic nie pomagało zamknąć oczu.

Nozdrza przepełniał mi zapach grillowanego mięsa.

Moje mięśnie naprężyły się iogarniał mniegniew.

Dwa dni później wskoczyłem na swojegoharleya i pogałem nazachód, mając nadzieję, że uda mi się dotrzeć do Waco przed deszczem.

To miejsce domagało się, bym tam wrócił; beztego nic mnie nie cieszyło i nic nie miało sensu.

Wraz ze mną jechaliterazjuż moi przyjaciele: sierżant sztabowy Morton i Gunny Patterson ze szkoły snajperów.

Przed namijechał bliski mijak brat kumpel Rick Crabb.

Przegonił nas bocznymidrogamiWirginii, naktórych oprócz nas był jeszcze tylko wiatr i taJakaś nieuchwytna, trudna do opisanía łącząca naswięź.

Wjechaliśmyw góry dostatecznie wysoko, aby spojrzeć na przeszłość z różnychkierunków.

340

Zimny strzał

Kiedyznaleźliśmy się na samym szczycie drogi Blue Ridge, Rickzjechał na pobocze, zatrzymał motocykl i wyłączył silnik.

Ten chłopumiał znajdować odpowiednią oprawędla rozmyślań.

- Rozejrzyj się- powiedział.

Spojrzałem na zachód.

Nic, tylko ziemia.

Gleba.

I to samo na północ, i na południe.

- Zabierzemy cię wszędzie, dokąd tyłkochcesz, ale to nie ma żadnego znaczenia.

Nie ma takiego miejsca, w którym byś już nie byłstwierdził Rick.

Tam na prawo wiedziałem,cosię znajduje.

Wiedziałem,co muszę

zrobić.

Ledwie byłem w stanie utrzymać się na nogachpod ciężaremtego, co nosiłem w głowie i w sercu, ale zdałem sobiesprawę, że skokw dół nie rozwiąże sprawy.



Tyle osób było ode mnie zależnych.

Mogłem gnać na motorze tak daleko, jak tylko chciałem, ale ten prawdziwy celtkwił we mnie.

- Może nawet przywykniesz do tych głosów - powiedział Gunny Patterson.

- Nam one też towarzyszą.

Sprawa Waconie oszczędziła nikogo, jeśli chodzi o ocenę porażki.

Amerykanie szyczą się umiejętnością znajdowania winnych, a ponieważ prawdziwi winowajcy tego całego kryzysu związanego z Gałęzią Dawidową już nie żyli, toteż dobrać się do żywych było już tylko kwestią czasu.

Na pierwszy ogień poszedł Waszyngton.

Dziennikarze gazet, kolorowych magazynów oraz telewizyjni radiowidzeczka kilka dni, jak każdy, próbując zebrać myśli - no i zaczęło się. Najpierw rzucili się na nowo wybranego prokuratora generalnego, którym była kobieta.

Ale kiedy ona dzielnie stanęła przed kamerami i wzięła na siebie całą odpowiedzialność, dziennikarze zrobili to, co szanujący się żurnaliści zrobić powinni - zaatakowali jej szefa.

Niestety on nigdy nie miał nawet w połowie tyle odwagi, co Janet Reno.

Pozwolił jej wziąć na siebie całą winę, ale badania opinii publicznej wykazały, że Amerykanie szanują jej szczerść, a wówczas on próbował stanąć obok niej pod sztandarami.

Chodzi o Janet Reno, która sprawowała urząd prokuratora generalnego w latach 1993-2001 (przyp. tłum).

Stanie napięta

341

Kwatera Główna FBI również nie mogła poszczycić się nadmiarem inteligencji.

Niestety, wszelka biurokracja ma na ogół tylko tyle siły, ile stojący za nią dyrektor, a nasz nie stanowił tu wyjątku.

Jako były sędzia federalny lepiej czuł się w obecności ławy przysięgłych, niż gdy trzeba

było zabrać głos w ważnej sprawie, i zwyczajnie nie rozumiał, jak powinno się bronić swoich ludzi.

Moje wspomnienie związane z osobą dyrektora Williama Sessionsa dotyczy wizyty, jaką złożył w naszej jednostce zaraz po pożarze.

BR-1 zebrał nas w klasie.

Byliśmy ubrani odświętnie, w białe koszulki jak do gry w rugby, i zachowywaliśmy się najlepiej, jak potrafiliśmy.

Nikt nie odezwał się ani słowem, gdy wparadował Sessions w towarzystwie swego szofera i dwóch lokajów.

Siedziałem w tylnym rzędzie i tylko potrząsałem głową z powodu jego totalnego braku wyczucia.

Dyrektor zawsze nosił swoją złotą odznakę FBI przypiętą do górnej kieszeni koszuli.

Jako osoba dobrze pamiętająca niesmak Eugene'a Brodiego na widok niestosownego wyeksponowania przez mnie odznaki, teraz nie mogłem powstrzymać się od prychnięcia.

- A kto to, kurwa, jest?

Marszałek Dillon?

- mruknął Shelly.

Kilku operatorów zaczęło tak głośno prychać, że BR-1 aż poczerwieniał.

- Chciałem wam powiedzieć, że wasz dyrektor jest bardzo zadowolony z waszego wysiłku - zaczął Sessions.

Zawsze mówił o sobie w trzeciej osobie, na przykład: "Wasz szef zrobiłby to tak a tak".

Często też miał zwyczaj powoływania się na autorytet swojej żony Alice i ludzie odnosili wrażenie, że korzysta z jej intelektu i że to ona myśli za niego.

Po czym dyrektor zaczął wyliczać etapy oblężenia Waco, przynajmniej z własnego punktu widzenia.

To przypomnienie było kompletnie bezsensowne, ale rozumieliśmy tę rozterkę.

Każdemu było wiadomo, iż pozostali pracownicy kwatery głównej martwili się, co też może on

zrobić, jeśli tylko będzie miał ku temu sposobność, toteż starali się odseparować go od codziennych działań.

Wkrótce dowiedziałem się, dlaczego.

W połowie zdania oczymś, co kompletnie miało żadnego związku z Waco, nasz dyrektor zgubił tek i zaczął się jąkać.

Przez sekundę lub dwie krzywił się i zwijał,

^ wreszcie zwrócił się do BR-1, który stał pod ścianą, oczekując pochwały.

342

Zimny strzał

Dyrektor pamiętał dany dzień, ale nie mógł sobie przypomnieć, co wtedy robił, ani też po co o nim wspomniał.

- ...

aw ubiegły wtorek, kiedy byłem, kiedy byłem.

-i tu zwrócił się do BR-1, zupełnie jakby pytał go o pogodę: - W ubiegły wtorek, gdzie to ja byłem, Dick?

Biedny BR-1 był przygotowany na każdą ewentualność, od podania dyrektorowi kawy z dwiema porcjami cukru, aż po uprzątnięcie parkingu dla specjalnych gości przed budynkiem, ale nie planował zrekonstruowania jego rozkładu dnia i to w obecności operatorów, Ani Sessionsowi, ani BR-1 ta wizyta nie przyniosła korzyści.

Wkrótce zarówno dla FBI, jak i dla HRT sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót.

Najpierw wezwano mnie na śledztwo w sprawie Ruby Ridge.

Pomimo zbadania sprawy strzelaniny i stwierdzenia, że Hooch działał w ramach prawa i zgodnie z polityką FBI, kwatera główna ugięła się pod presją Kongresu i wszczęła drobiazgowy śledztwo.

FBI prowadzi wewnętrzne śledztwo w dwojaki sposób.

Pierwsze to śledztwo administracyjne, którym zazwyczaj zajmuje się Biuro Odpowiedzialności Zawodowej.

Jeśli miałeś pecha i znalazłeś się w takiej sytuacji, to musiałeś odpowiedzieć na

każde pytanie.

Brak szczerości to powód do wylanięcia z pracy.

Żadnych adwokatów, żadnego procesu, żadnych praw.

Trzeba siedzieć i odpowiadać na wszystkie stawiane pytania, bez wyjątku.

A mogą pytać absolutnie o wszystko i wiórzyć,

gdy biuro tak sobie zażyczy.

Drugi rodzaj wewnętrznego śledztwa śledztwo kryminalne.

Śledczy powinien cię o tym powiadomić wcześniej, ale z powodu ściskającego gardło zdumienia, iż znalazłeś się w takim położeniu, nikt naprawdę nie zna swojej sytuacji.

Coś o tym wiem, bo dwa lata po Waco

spotkały mnie oba te śledztwa.

- No więc, specjalny agencie Whitcomb - zaczął kierownik, sadząc mnie przy długim stole konferencyjnym.

Jego towarzysz siedział obok, milcząc.

- Wszyscy chcemy tego samego, więc powiem, co tam się naprawdę wydarzyło, i wszystko będzie dobrze.

Oczywiście- pomyślałem sobie.

- Jestem specjalnym agentem

i tyle.

- Czy uzyskana ode mnie informacja może być użyta przeciwko mnie w sprawie cywilnej?

- spytałem.

Spojrzeli na siebie, starając się zdecydować, ile powinienem wiedzieć.

Stanie napięta

343

- Zgodnie z Piątą Poprawką do Konstytucji nic, co powiesz tutaj, nie może być wykorzystane przeciwko tobie w sądzie.

- A czy to, co powiem, może być wykorzystane przeciwko komuś innemu?

Znowu namysł.

- Tak.

Sądę, że do mnie należało obmyślenie planu.

Dwa lata po pożarze w Waco śledztwo w tej sprawie oraz drugie dotyczące Ruby Ridge zajęły nam sporo czasu.

Tylko w pierwszym roku co najmniej siedem razy odpowiadałem na pytania albo składałem świadectwa pod przysięgą przed śledczymi.

Po jakimś czasie stało się to rutyną: kompletnych twarzy, nowe wezwanie do stawienia się nazeznania, coraz wyższe rangą osoby.

Wreszcie wmieszał się Kongres.

Czekali, aż ucichnie cała polityczna wrzawa związana z tą sprawą, i wtedy wkroczyli.

- Ta komisja będzie się teraz zajmować tą sprawą - usłyszałem, gdy po raz pierwszy od porzucenia pracy przy kongresmanie Conte przybyłem na Kapitol.

Czternastego września 1995 roku senator Arlen Specter zajął miejsce wyżej niż my wszyscy, niczym inkwizytor.

Jako przewodniczący Podkomisji ds.

Terroryzmu, Technologii i Informowania Rządu mógł siedzieć tam, gdzie mi się podobało.

Wiedziałem, gdzie jesteśmy, od chwili gdy prawnicy FBI przeprowadzili nas przez korytarz prowadzący do sali, w której zebrała się podkomisja, a która znajdowała się w budynku imienia Dirksena.

Spostrzegłem mikser dźwięków tak wielki, że można by spokojnie nanimleżeć, a oprócz tego sprzęt wideo, wzmacniacze, maszyny drukarskie - wszystko to wypełniało pomieszczenie znajdujące się na lewo od nas, tak jak byśmy weszli do studia stacji CBS.

To pomieszczenie nie zostało zbudowane po to, aby pomóc senatorom wykryć prawdę. To była scena, mając pomóc im zdobyć głosy.

- Dziś odbędą się dwa przesłuchania - powiedział Specter.

- Najpierw ośmiu najperów obserwatorów z Federalnego Biura Śledczego, a potem pilota helikoptera oraz zastępcy szeryfa, który leciał tym helikopterem.

Ruby Ridge czy Waco - na tym etapie było mi zupełnie wszystko jedno.

Specter mówił miękkim głosem, ufając, że znajdujący się przed nim mikrofon przekaże jego intencje Amerykanom oglądającym te.

344

Zimny strzał

Stanie na piętach

345

transmitowane przez telewizję przesłuchania.

Kamery monitorowały wyjścia, technicy nagrywali każde słowo, a fotografowie pstrykali nam zdjęcia to z lewej, to z prawej strony, aby było co zamieścić na czołówkach gazet.

Siedziałem jako trzeci od prawej wraz z Boatem i Markiem, dokładnie tak samo, jak trzy lata temu wyglądały nasze stanowiska na występie skalnym ponad chatą Weaverów.

Trzy lata?

Patrzyłem na tęsalę, na kopie moich czterech zeznań składanych pod przysięgą, na plakietkę z moim nazwiskiem i w połowie pustą szklankę z wodą, którą postawiono przede mną.

Przeżyłem trzy lata wewnętrznych śledztw prowadzonych przez FBI, składanie zeznań przed ławą przysięgłych, proces kryminalny, pozwy cywilne i obmyślanie strategii.

Trzy lata wypełnione normalną pracą, w czasie których adwokaci w eleganckich garniturach wyczyniali cuda, obmyślali plany postępowania i wszczynali panikę w związku z trybem życia, którego tak naprawdę nigdy nie byli w stanie zrozumieć.

Senator Fred Thompson popatrzył na nas przeciągle, w milczeniu oceniając naszą prawdomówność.

Jako były prokurator i aktor filmowy, zapewne wiedział, jak subtelny grymas twarzy albo bębnienie palcami może zdradzić kłamstwo.

Ściągnął wargi pod nosem identycznie, jak w filmie *Polowanie na "Czerwony Październik"*.

Zaliczałem się do fanów Thompsona, nawet podczas przesłuchań.

- Rozumiem, że to już po raz siódmy Departament Sprawiedliwości przydzielił obecnym tu snajperom obserwatorom adwokatów z urzędu.

Jednak jeden ze snajperów nie ma adwokata.

Który?

Specter uniósł wzrok znad tekstu, który akurat czytał.

Podniosłem rękę i skinąłem głową.

Pieprzyć adwokatów.

Występowałem sam.

- Panie Whitcomb, adlaczegóż to postanowił pan zrezygnować z adwokata, jeśli mogę spytać?

To pytanie zdumiało mnie.

- Ponieważ nie wydawało mi się to konieczne - odparłem.

- Nie wydawało się konieczne?

- Specter podniósł głowę i rzucił spojrzenie jednym okiem, jak nauczyciel w szkole podstawowej, przygotowujący się do udzielenia reprimendy impertynckiemu uczniowi.

Wydawał się zszokowany, że ktoś stawał tu i miał reprezentować Federalne Biuro Śledcze tylko za pomocą złożonej przysięgi.

- Proszę to zaprotokołować - rzucił do protokolanta.

Wciąż spoglądał na mnie jednym okiem, jak gdyby oferując ostatnią szansę.

- Wiem, że został pan poinformowany o możliwości utrzymania adwokata, gdyby panchciał.

- Tak jest - powiedziałem.

- Zostałem poinformowany.

Prawnicy - pomyślałem sobie.

- Do tego końca wszystko się prowadzi.

Podczas pierwszych śledztw w sprawie Ruby Ridge FBI zdecydowało, że pomimo iż jesteśmy pracownikami biura i działaliśmy, wypełniając obowiązki służbowe, to bulenie za adwokatów wyglądałoby źle w oczach opinii publicznej.

- Jak Departament Sprawiedliwości może z tego samego budżetu finansować wewnętrzne śledztwo i równocześnie oferować adwokatów z urzędu?

- zapytał mnie kiedyś jeden pajac z kwatery głównej.

Dłatych ludzi wrażenie poprawności jest o wiele ważniejsze niż sama poprawność.

Jeśli chcieliśmy mieć adwokatów, to musieliśmy sami ich sobie opłacić.

To mnie nurtowało.

Kiedy FBI dało mi broń, to fakt ten wiązał się z pewnymi wyrzeczeniami.

Wiedziałem, że ja sam jestem odpowiedzialny za obchodzenie się z nią, jej przechowywanie i dbanie o nią.

Tomiało sens.

Jeśli użyłem jej w czasie pełnienia obowiązków, to wyłącznie ja byłem odpowiedzialny za podjęcie tej decyzji.

Nadal wszystkim brzmiało sensownie.

Co mąciło mój spokój to fakt, jak to możliwe, że chociaż wszystko przebiegało zgodnie z planem, to mogli teraz przerząbać nas na pół i zostawić, abyśmy się wykrwawili.

Igdyszukając pomocy, udaliśmy się do Stowarzyszenia Agentów, to wreszcie FBI zaoferowało nam po sześćdziesiąt dolarów za godzinę usług adwokata.

Tam, gdzie mieszkałem, te pieniądze niewystarczyłyby nawet na opłacenie hydraulika.

W 1994 roku HRT nie powierzano żadnych zadań, toteż przyczaiła się, gdy z Kapitału toczyła się lawina sztyderstw, podważając zaufanie społeczeństwa do strażników prawa.

Podczas przesłuchań w sprawie Waco i śledztwa związanego z Ruby Ridge mozolnie trenowaliśmy, dzień po dniu, tak jak zawsze, ale gdzieś w zakamarkach umysłu kołatała się myśl, że tak naprawdę nikt nie chce nas nigdzie wysłać, z żadną misją.

Co prawda na głowę HRT spadła część całej tej burzy, ale najwięcej dostało się wtedy kwaterze głównej.

Dla BR-1 nadeszły ciężkie czasy i to niemal od początku śledztwa.

Po stłumieniu buntów w więzieniu Talladega wydawał się wschodzącą gwiazdą FBI, a teraz<sup>^</sup> się pariasem.

346

Zimny strzał

Bardzo zły obrót przybrały sprawy związane z zasadami użycia broni, które



przedstawiono nam przed rozpoczęciem akcji w RubyRidge.

Przełożeni BR-1 z Kwatery Głównej FBI utrzymywali, że nigdy żadnego takiego dokumentu nie widzieli i nie podpisywali żadnej zgody.

Główno prawda.

Tamtego dnia jedenastu snajperów z HRT czekał w ulewnym deszczu przez cztery godziny, aż Waszyngton podpisze te nowe zasady użycia broni.

Dick Roberts nie trzymałby nas tam nawet przez kilka sekund, gdyby ktoś nie wpływał na jego plany.

Departament Sprawiedliwości wszczął własne śledztwo, aby zbadać, dlaczego FBI, biuro zastępcy prokuratora generalnego w Spokanie i biuro szeryfa napotykały takie trudności w zbieraniu dowodów, co było przecież tylko realizowaniem zalecenia sędziego prowadzącego śledztwo w tej sprawie.

Ale kłopoty mnożyły się.

Kto zaaprobował te niezwykle przepisy dotyczące użycia broni mówiące, że snajperzy mogą "powinni" użyć broni palnej, jeśli zobaczą dorosłego, uzbrojonego mężczyznę?

Dlaczego urzędnicy z biura prokuratora generalnego przybyli na miejsce i wtrącali się do śledztwa?

Kwatera główna, będąca dotychczas bezosobowym zbiorem brokerów władzy, zaczęła się kruszyć.

Zastępca dyrektora generalnego FBI otrzymał nagane napisanie za swoją rolę w całej sprawie, ale Sessions uwierzył w jego zapewnienia, że nic takiego się nie wydarzyło, i przydzielił mu jeden z najelegantszych gabinetów na siódmym piętrze.

Aten wziął dwuletni płatny urlop, przeszedł na wcześniejszą emeryturę i zawarł kontrakt na napisanie książki.

Inna wysoko postawiona figura zarobiła karę więzienia.

Roberts ustąpił i objął jakąś posadę bezładnych perspektyw na peryferiach Waszyngtonu.

Rok później pracował jako agent w biurze terenowym w Phoenix, rozpracowując sprawy związane z uliczną przestępczością.

Sessions zrezygnował na skutek skandalu finansowego, w który był zamieszany.

Naczelnik biura terenowego związany z akcją w Ruby Ridge przeszedł na emeryturę.

I tak

dalej, i tak dalej.

Właściwie każdy w FBI, kto maczał palce w dowodzeniu akcjami w Wacoi w Ruby Ridge, został odsunięty.

Nawet Hooch, który miał poparcie kwatery głównej i prawnika z urzędu opłacanego z pieniędzy podatników, utracił prawo do noszenia snajperskiego karabinu.

W 1995 roku pomagaliśmy biurowi terenowemu w San Juan w prowadzeniu śledztwa w sprawie porwania, gdy dotarła donas wieść, że Hooch nie jest już snajperem.

Stanie na piętach

347

- Możesz się przyglądać, jeśli chcesz - powiedzianemu - ale od tej chwili wolno ci nosić broń.

Zachował status dowódcy brygady i nadal odpowiadał za sześć ludzi, ale nie wolno mu było dotykać żadnych ostrych przedmiotów.

Równie dobrze mogli mu obciąć ją.

Tak więc wszędzie wałali się ciała tych, którzy polegli na skutek wydarzeń w Wacoi w Ruby Ridge, i przypominało to trochę wiejską drogę we wschodnim Teksasie z ciałami oposów.

Niektórzy chłopcy w jednostce zaczęli przejawiać symptomy stresu.

Najpierw dostrzegłem zmiany w zachowaniu.

Nie u każdego, ale u wystarczającej liczby kolegów.

Jeden z operatorów zaczął nosić bluzę z kapturem.

Był sierpień, a w tym miesiącu w Wirginii jest tak gorąco, że ludzie zaczęli zwracać na taki ubiór uwagę.

Inni z kolei przestali ćwiczyć albo uciekali w chorobę.

Częściej niż zwykle trafiały się kontuzje.

Ustały rozmowy i śmiechy.

U mnie stres objawiał się przypadłościami skórnymi: swędzeniem, drapaniem codziennie aż do krwi.

Gniew.

Depresja.

Nie wiem, jak to nazwać.

Odwróciłem się od ludzi, przyjaciele widzieli to w moich oczach, ale nie podchodzili do mnie, lecz oddalali się.

Każda moja wypowiedź zawierała szyderstwo, a każdy myśl był czarniejszy i bardziej pusty, pozostawiając tylko jedno uczucie: gniew.

Niekontrolowaną, dziką wściekłość.

Najpierw pojawiły się koszmary senné.

Rzadko kiedy pamiętałem szczegóły, ale budziłem się, krzycząc, zlany potem, ze wzrokiem utkwnionym w ciemność i zastanawiając się, jak by tu do cholery, zapalić światło.

Rosę próbowała wytłumaczyć to dzieciom, ale one były za małe, aby zrozumieć.

Wiedziały tylko, że z tatą jest coś nie tak.

Moje zachowanie zmieniło się radykalnie.

Tam, gdzie kiedyś kalkulowałem ryzyko, teraz zacząłem dostrzegać jakieś absurdalne szanse.

I tak na przykład gdy ćwiczyliśmy ewolucje związane ze zjeżdżaniem po linie z helikoptera, wywieszałem się poza maszynę, bo chciałem wypróbować siłę ziemskiego przyciągania.

Zawsze siedzieliśmy na podłodze naszych hueyów, z nogami zwieszonymi na zewnątrz.

Nie było żadnych lin zabezpieczających, wobec tego należało wypośrodkować środek ciężkości między pupą a pokładem helikoptera i to z każdym razem, przy każdym zwrocie maszyny, na nowo, bo inaczej zostałbyś wypłuty

348

Zimny strzał

na zewnątrz jak pestka słonecznika.

Ja badałem granice, przysuwając się tak blisko krawędzi, aż czułem, że tracę kontakt z pokładem.

Wydłużałem linę asekurowającą mnie podczas wspinaczek, rzucając wyzwania siłę przyciągania, aby sprowadziła mnie na twarde grunty.

Pędziłem na motocyklu przechylony maksymalnie na bok po szosie Blue Ridge, na

zachód, tam gdzie góry wtapiają się w przestrzeń.

Gdziekolwiek byłem, wynajdywałem najwyższy punkt, na który można by się wdrapać lub z którego można by rzucić wyzwanie siłom ciężenia.

Moim mottem stało się zawołanie "stań na piętach" i propagowałem je wśród przyjaciół, ludzi, przed którymi nie wstydziłem się rozdrapywać rany.

Stań na piętach i to na samej krawędzi.

Żadnej liny ratunkowej.

Wypróbowałem drapacze chmur w Nowym Jorku, mosty w Zachodniej Wirginii, wieże w Nowym Orleanie, skały, szczyty domów, wszystko, co było na tyle wysokie, aby mnie nęcić.

KONSEKWENCJA - myślałem sobie.

Potrzebowałem czegoś namacalnego w życiu, które nieniosło już żadnych doznań.

Coś wpłynęło na postrzeganie przezemnie pojęciakary.

- Co się, do cholery, z tobą dzieje?

spytał mnie pewnego dnia Metz, gdy musiałem złapać go za rękę, aby stać na poręczy.

Odwrociłem się, gdy się wspinałem, aby nie patrzeć na wysokość.

Nie potrafię wyjaśnić, co czułem.

Czułem się odrętwiały, jakbym pływał płaskiej, pozbawionej uczuć mgłę w oczekiwaniu na drobne chwile, w których bym coś czuł.

Tylko podejmowanie ryzyka mnie ekscytowało.

- Czy wiesz, jakie jest największe ze wszystkich uczuć na świecie?

- spytałem kiedyś, balansując na jakiejś krawędzi.

- Świadomość, że umrzesz.

ale jednak udaje ci się przeżyć.

Chociaż niemogę się wypowiedzieć w imieniu innych operatorów, to podejrzewam, że moja niedola nie była odosobniona.

Sześć miesięcy po powrocie z Waco Kwatera Główna FBI zdecydowała, że grupa "specjalistów psychiatrów" odwiedzi w przyszłym tygodniu Quantico.

Tego dnia wszystkie zajęcia zostają odwołane, a obecność na spotkaniu z lekarzami jest obowiązkowa.

Ta informacja wywołała u operatorów chór inwektyw.

"Nie potrzebujemy tu żadnych pieprzonych specjalistów od zmniejszania ludzkich głów, żeby karmili nas jakimś gównem, ckliwie sentymentalnymibzdurami.

Zostawcie nas, dokurwy nędzy, w spokoju".

To są moje słowaStanie na piętach

349

wa, ale odczucia ogółu były mniej więcej podobne.

I chociaż byliśmy

o krok od złożenia sięna ołtarzu ofiarnym, to była wyłącznie naszasprawa.

Ale według BR-1 - nie.

Przyjechali psychiatrzy, a my poszliśmy sięznimi spotkać.

Zaraz po codziennej odprawie o ósmej ranopięćdziesięciu mężczyznzebrało się w klasie na drugim piętrze naszej akademii.

Niewysoki faceto wyglądzie pedantai w okularach w drucianej oprawce oraz o głosielelka kozodoja oznajmił nam, że przysłano go tu, aby ocenił, w jaki sposóbmożnazapanować nad problemem narastającego wzburzenia.

- Zapanować nad problemem -syknąłem pod nosem.

Racja, miałem problem z narastającym wzburzeniem,ale nie chciałem go poskramiać.

Wszystko, czego było mipotrzeba, to aby przyjechał tu jakiś gryzipiórek z

Waszyngtonu i wytłumaczył, dlaczegoorganizacja, do którejwstępowałem,aby ratować świat, nie potrafidopasować dupy do właściwej próbki gówna.

Żyły nabrzmiałymi naszymi, w uszach dzwoniło,a serce waliło i waliło, azzacząłem oddychać ciężiej, jakprzy wysiłku.

- Podzielimy was na dwie grupy i spotkamy się ponownie po południu, aby omówić nasze wnioski - oznajmił szef psychiatrów.

^Grupy, czy też podgrupy, niktz naszej watahynie miał zamiarprzylączyć się do niczego.

Żaden z tych specjalistów od badania mózgow nie miał pojęcia, co oznacza stanięcie twarzą w twarz z ludźmi takimi, jak my.

Okazanie jakiegokolwiek wrażliwości to anatema.

Słabośćrównałaby się zarazie morowej.

Wszystko, co robiliśmy, sprowadzało się do umiejętności.

Każda charakterystyka sukcesu składa się z obawy drżenia.

A wejście do pokoju i wyłożenie jakiegokolwiek emocjonalnego problemu w obecności innych członków jednostki wydawało się oczywistym absurdem.

Ale dowództwo okazało "pomazzerować", więc pomazzerowaliśmy doklasy numer 314, pomieszczenia bez okien, które otoczyło naszą zamkniętą przestrzeń.

Usiedliśmy wkoło, wpatrując się w podłogę, a kobieta lekarz mówiła.

Nikt z nas się nie odezwał.

Ponagliła nas.

Znowu cisza.

Zaczęła prosić.

Cisza.

Wreszcie Cordy, osoba niezwykle introspektywna, był żołnierz piechoty morskiej z St Louis, odezwał się pierwszy.

Cichym,.

350

Zimny strzał

stonowanym głosem powiedział o kilku bolesnych sprawach, dotykając ran, które u mnie też jeszcze się nie zabiły.

Czułem, jak w gardle narasta mi uczucie - ale tylko jedno.

Nienawiści.

Nienawidziłem własnego samopoczucia, ciągłych snów o Koreshu, jego postaci w oknie, gdy drwi ze mnie: "Zrób to, zrób".

Nienawidziłem się za to, że tyle zainwestowałem w organizację, która od swoich "Wytycznych na temat prowadzenia śledztwa i zadań operacyjnych" aż po "Podręcznik prawa" opierała się na prawie i zasadach dotyczących wszystkich, z wyjątkiem tych, którzy je napisali.

Zrezygnowałem z dobrego życia, ponieważ byłem głęboko przekonany, że mogę coś zdziałać - wypłynąć na głębokie wody nawet podczas burzy i uratować tonących.

Ale okazuje się, że taka organizacja nie istniała.

Byli tylko ludzie, którzy podejmowali decyzje, a potem wypierali się ich, jak domokrażca wciśniętego ci towaru.

Patrzyliśmy na siebie przez dwie godziny, a następnie rozeszliśmy się na lunch.

- Wiecie, z czego zdałam sobie sprawę dzisiaj rano - powiedziała psychiatra, gdy znów się spotkaliśmy.

Wyglądała na znękaną naszą postawą dania odporu.

- Nagle zdałam sobie sprawę, jedząc sałatkę.

- I tu znów przerwa dla podkreślenia dramaturgii całej akcji.

Trudno byłoby czuć, czy było to planowane, czy nie.

- Nie ma w tym żadnego udawania.

Żadnego.

- No, aleś nam dopieprzyła - mruknął Scarhead.

Wiedział, że niema.

To on był tym facetem, który wpadł do płonącego budynku, aby wyciągnąć z niego jedną z członkiń sekty.

- Żadnego - lekarka powtarzała w kółko to słowo.

Być może niechęć, ale jej prowokacja przekłuła cienki naskórek, który pokrył nasze rany.

Kipiące nawiść wy dostała się na zewnątrz, ale bez krzyków, bez podnoszenia głosu.

Zebrani w pokoju mężczyźni wypowiadali wstrząsające słowa normalnym tonem, tak jakby prowadzili rozmowę.

Unaoczniliśmy jej dość faktów, aby zaprzestała tej swojej akademickiej retoryki.

I przeraziło ją to do głębi.

Gdy pod koniec dnia znówu kazali nam się zebrać, lekarz, który najpierw z nami rozmawiał, ten niski mężczyzna w okularach, podszedł do mównicy i zaczął przekładać jakieś papiery.

- Myślę, że ucziwie będzie, jeśli powiem wam - zaczął, nie podnosząc wzroku, aby nie napotkać żadnej pary nabiegłych krwi?

wpatrzonych w siebie oczu - do jakich wniosków tu doszliśmy i jaki

Stanie na piętach

przekażemy następnie do kwatery głównej.

Macie bardzo poważny

problem z takim czynnikiem, jak gniew.

Moim zdaniem jest to bardzo niebezpieczne i.

- Gniew!

Chcesz zobaczyć gniew, ty skurwysynie!

- Jeden z członków naszej jednostki poderwał się z krzesła, rozdrażniony rozdrapaniem ran.

- No to jacy pokażą trochę tego pieprzonego gniewu.

Chłopcy siedzący z boku chwycili go, aby powstrzymać od skoku.

Tylko mętne wspomnienie honoru powstrzymało go przed susem przesyłając zamfiteatralnie ułożonymi rzędami krzeseł i zerwaniem temu facetowi gardła.

Nigdy niezapomnę wyglądu tej skulonej mordki.

Złapał stertę swoich papierów i wypadł przez drzwi.

Tak oto wygląda pełna relacja zafundowanej nam przez FBI fachowej pomocy, mającej na celu dopomożenie nam w pokonaniu wywołanego traumą stresu.

Potem sprawy jeszcze się pogorszyły.

Wyglądało to tak, jak gdybym dostrzegł w nocy statek płynący na ratunek i nagle zorientowałem się, że nie mam racji świetlnej.

Ciemność jeszcze się pogłębiła, tunel zwężał, i co noc oblewałem się potem.

Pod koniec tego roku pijany kierowca uderzył we mnie, gdy jechałem na motocyklu.

Wkrótce po tym, jak wyzdrowiałem, zachorowałem na gorączkę plamistą Gór Skalistych i tydzień spędziłem w szpitalu.

Nasiłowni nadwyrężyłem ramię, usiłując wycisnąć trzysta dwadzieścia podnoszeń na atlasie.

Przyszli prokuratorzy, usiłowałem coś sobie przypomnieć, choć tak naprawdę, to chciałem tylko jednego - zapomnieć.

Dziennikarze pisali oczerniające artykuły na podstawie tego, co przeczytali lub usłyszeli od tych, którzy chcieli mówić.

Na nieszczęście dla nas jedynymi, którzy zabierali głos, byli obrońcy tacy jak Dick



DeGuerini GenySpence.

Mówił też Randy Weaver, a także członkowie sekty Gałąź Dawidowa.

FBI milczało.

- Nie martw się tym - stwierdziło biuro w akademii.

- Amerykanie nie wierzą we wszystko, co czytają.

Wiedzą, że tam tylko wykonywali naszą pracę, i wiedzą, że mieliśmy rację.

Kupowałem tę gadkę aż do pewnego popołudnia, kiedy zadzwonił mój ojciec, mówiąc, że właśnie kupił najnowszy numer "American Rifleman", jeden z periodyków, jakie wydaje Krajowe Stowarzyszenie Posiadaczy Broni Palnej.

- Lepiej przejrzyj to, Chris.

Jest tam artykuł o Ruby Ridge i piszą też o tobie.

Nazywając cię tchórzem.

352

Zimny strzał

Odparłem, że nie interesuje mnie to, ale ojciec wysłał mi ten artykuł.

Po tygodniu przyszła koperta z grubego, brązowego papieru wysłana z New Hampshire.

Otworzyłem ją.

Nie mogłem uwierzyć w to, co czytałem.

Pracowałem jako reporter w gazecie i znałem zasady tych dziennikarskich gier.

Autor nie miał pojęcia, co się tam naprawdę wydarzyło, ale to nie miało najmniejszego znaczenia.

Ułożyli sobie plan, a ten zakładał postrzeżenie rządu jako zagrożenia i aby je zneutralizować, należało ugodzić w jego najsilniejszą broń - a do tego ryszunku

należało HRT.

Najbardziej zdumiewała mnie fakt, że przed wydarzeniami w Ruby Ridge zgadzałem się większością opinii wygłaszanych przez Krajowe Stowarzyszenie Posiadaczy Broni Palnej i choć moja karta członkowska straciła już ważność, to nadal byłem gorącym zwolennikiem prawa obywateli do posiadania broni.

Nawet w 1987 roku poważnie rozważałem, czy w razie odrzucenia mojej kandydatury na agenta FBI niepodjąć pracy w biurze reklamy stowarzyszenia.

Ale jednak coś się zmieniło.

Ludzie, którzy byli mi bliscy ze względu na swoje polityczne przekonania, teraz pracowali, siedząc po nocach, aby odmalować mnie i moich przyjaciół jako zagrożenie dla integralności Ameryki.

Konserwatyści, których tak uwielbiałem odczasu szkoły średniej, od Charltona Hestona i Paula Harveya poczynając, a na Fredzie Thompsonie kończąc, teraz wymierzali mi kopniaki w tyłek.

Tomnie po prostu zdumiewało.

A potem, dwa miesiące po ukazaniu się tego artykułu, przysłała pocztą następną kopertę, tym razem ze stowarzyszenia.

W środku znajdowała się aplikacja członkowska.

Koperta była zaadresowana na moje nazwisko, a na adresie widniała nazwa akademii oraz miejscowość:

Ouatico, Wirginia.

Ktoś musiał się dobrze zabawić moim kosztem, ale dla mnie było w tym nic śmiesznego.

Sceptycyzm wykroczył nawet poza środki masowego przekazu.

Koledzy z jednostek antyterrorystycznych w marynarce wojennej i w armii zadawali nam krępujące pytania o motyw naszego postępowania oraz o to, co "naprawdę stało się" w Waco.

Przyjaciele i rodzina starali się współczuć, ale przy każdej wzmiance oraz krytycznym artykule ich poparcie wydawało się coraz mniej przekonujące.

Kwatera główna zachowywała milczenie.

Nikt nie wystąpił z publiczną obroną.

Nikt nie zaproponował nic, aby ludzie uwierzyli, że zrobiliśmy dokładnie to, co powinniśmy w obliczu bardzo trudnej

Stanie na piętach

353

sytuacji i przy nikłym przepływie informacji.

Zasięg pola widzenia celownika optycznego wynosi 20/20, a my patrzyliśmy

dokładnie wzdłuż lufy opinii publicznej.

Pomalu wzburzenie opadło.

HRT werbuje mocne jednostki i dobrze szkoli.

Powróciliśmy do naszych zajęć.

Dziesiąte pokolenie operatorów, a zarazem pierwsze, które ukończyło NOTS już po wydarzeniach w Waco, przybyło do nas wiosną 1995 roku, przynosząc wraz z sobą owoce dwóch naborów - siedemnastu nowych operatorów.

Wnieśli jakiś magnetyzm i techniczny optymizm do naszych sal i szatni.

Po pożarze w Waco tyłu kolegów odeszło, że potrzebowaliśmy każdego, byle tylko nasze szeregi odzyskały dawną liczebność.

Metz przeniósł się na Florydę i został dowódcą brygady SWAT.

Raz i Matty poszli do kwatery głównej.

Boat - do biura FBI w Akademii, a Yoda awansował na asystenta attache ds.

prawnych przy Ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Tokio.

Znowu zaczęto powierzać nam zadania; najpierw małe, użyteczne, żebyśmy wrócili do codzienności.

BR-1, niegdyś wschodząca gwiazda na firmamencie FBI, przekazał rządowi emanującemu zaraźliwym wręcz optymizmem zastępcy naczelnika biura terenowego w Richmond, Rogerowi Blake'owi.

W 1982 roku Blake należał do grona zagorzałych chorążków powołania HRT - jednym z garstki kierowników nadzorujących Operacje Specjalne i Fundusze na Badania i tym, który zaryzykował zniszczenie kariery, przedstawiając swój pomysł kwatery głównej.

HRT było dla niego wszystkim, ponieważ wierzył głęboką wiarą agenta, który musi rozwiązywać codzienne sprawy w małej miejscowości, w mocmisji oraz pięćdziesięciu odznak FBI.

Dyrektor wyluskał go z tłumu kandydatów, i Blake nas uratował.

Pierwszą zmianą, jakiej dokonał u nas Blake, było przywrócenie nam szacunku.

Nowy dowódca oznajmił, że drzwi do jego gabinetu stoją otworem i że nie ma nic przeciwko skargom, a lenajpierw trzeba z nimi przyjść do niego.

Początkowo nikt mu nie wierzył, ale stopniowo korytaryk prowadzący do jego biura zappełnił się.

Najpierw otrzymaliśmy kilka zadań do wykonania; początkowo były to bardzo ryzykowne akcje w Portoryko wymierzone w handlarzy narkotyków. Leżałem za "Prawdą", moim karabinem, z celownikiem znów wymierzonym w prawdziwych, żywych ludzi, i zaczynałem od dychać. Zastanawiałem się, jak i to zdumiewające, że takie coś jak.

354

Zimny strzał

zaufanie może przywrócić sens.

Może i był to tylko mały kroczyk do przodu, ale pierwszy.

Następnie Blake przeprowadził wewnętrzne przeseregowanie.

Snajperzy od dawna byli traktowani jak bękart, toteż Blake podwoił naszą liczebność, utworzył dwie nowe brygady i nadał każdej z nich nazwę: Whiskey, X-Ray, Yankee i Zulu.

Teraz każda brygada liczyła siedem osób.

Ten manewr zrównał naszą szansę z brygadami szturmowymi i natchnął nas zupełnie nową dynamiką.

Ja wyciągnąłem przydział do brygady X-Ray i miałem pracować nowym kolegą, z dziesiątego naboru do HRT.

Przedstawił się jako Buck, pochodził z biura terenowego w San Diego i szybko wyróżnił się jako świetny strzelec.

Co prawda był biegłym księgowym z Connecticut, ale strzelał tak, że świat niemal drżał w posadach.

Quinny, cicho mówiący absolwent Akademii Marynarki Wojennej, został dowódcą naszej jednostki i natychmiast wybrał spośród nas sześć osób, jego zdaniem najbardziej utalentowanych, w które warto inwestować.

Spowijający nas mrok zaczął się rozpraszać, tak jak chmury przeganiane przez letni wiatr.

Powierzano nam również więcej zadań.

Najpierw ochrona ważnych osób, w tym całszereg zagranicznych sędziów, jak Giovanni Falcone, pejcz wymierzony wewłoską mafię, czy też świadek koronny w procesie mafii amerykańskiej, Sammy "Byk" Gravano.

Wszystkooczyło się płynnie, niepojawialiśmy się w nagłówkach gazet, nie było kłopotów.

Poprawiło się.

Zaczęliśmy brać udział w całkiem nowych akcjach, jak na przykład ściganiem międzynarodowych przestępców figurujących na amerykańskiej liście najbardziej poszukiwanych osób.

Coprawdą większość szczegółów pozostawała ściśle tajna, ale my działaliśmy w małych, szybko przemieszczających się grupach, tak by terroryści wiedzieli, że dopadniemy ich wszędzie, gdzie tylko spróbują się ukryć.

Wyraz twarzy byłego porywacza samolotu, gdy wpadasz do jego pokoju w trzygwiazdkowym hotelu, zatrzasujesz mu na rękach kajdanki, zarzucasz worek na głowę i wyciągasz go na zewnątrz, na światotwierający się w amerykańskim więzieniu, to widok, który podniesie na duchu każdego.

"Wydanie zbiegów" - tak właśnie kwatery główna nazywała te nasze działania - czyli łapanie niebezpiecznych międzynarodowych przestępców na piętach

355

stępców, uciekających przed wymiarem sprawiedliwości.

To była nowa inicjatywa dyrektora FBI, rozszerzająca nasze działania na arenę międzynarodową.

Mnazywaliśmy to "łapanką", ale jak zwał, tak zwał, a chodziło o to, że mordercy i podkładający bomby terroryści, baron narkotykowi oraz porywacze od Turcji aż do Peru mieli coraz mniej miejsc, w których mogliby się ukryć.

Nasze konto zaczęły zapełniać trofea.

I właśnie wtedy, gdy HRT zaczęło wciągać się w normalny tok pracy, grupka zupełnie niepotrafiących funkcjonować w społecznych ramach ekstremistów, która nazwała się Wolnymi Ludźmi, zagroziła zabiciem sędziego w miejscowości Jordan, w stanie Montana.

HRT natychmiast ułożył plan, zgodnie z którym pięciu z nas przeniknęło

środkategougrupowania, zaczeka, aż wyrobi tam sobie poważanie, a wtedy dokonamy aresztowania na zasadzie "łap, co wpadnie w ręce".

Pewnego popołudnia Jednostkad.

Bezpieczeństwa przeprowadziła testypsychologiczne, aby ocenić, kto z nas najlepiej nadaje się do wypełnienia tego zadania.

W klasie zebrało się dwunastuoperatorówi rozpoczęły się testy.

Oczywiście zaraz doszła do głosu nasza grupowa mentalność i zaczęliśmy dyskutować między sobą na temat właściwych odpowiedzi, aby być pewnym, że wszyscy dobrze rozwiążemy test.

Po kilku minutach jeden ze szturmowców z brygady Hotel zauważył, że operator z brygady Echo przepisuje jego odpowiedzi.

Wobec tego przykrył ręką swoją kartkę i spytał:

- Co jest z tobą, do cholery?

Nie jesteście w brygadzie, więc macz już własną tożsamość.

Humor znowu zaczynał gościć wśród nas.

Ci spośród nas, którzy zostali wybrani do wypełnienia zadań w Montanie, nigdy go nie realizowali, ale to nawet dobrze.

Kwatera główna zdecydowała w końcu o dokonaniu frontального szturmu, a takie rozwiązanie bez wątplenia doprowadziłoby do likwidacji naszej jednostki i tylko przeprowadzona w ostatniej chwili przez naszego dowódcę wojna na zdrowy rozsądek zapobiegła kolejnemu Waco.

W końcu nawet najbardziej zatwardziali jastrzębie z Kwatery Głównej FBI rozumieli, że lepiej jest poczekać osiemdziesiąt jeden dni, aby zmusić idiotów do wyjścia.

Nie było żadnych ofiar, żadnych strzałów, żadnych pozwów sądowych, zeznań przed komisją Izby Reprezentantów lub Senatu.

Widać było, że żyjemy w winnych czasach.

Powoli, ale już na pewno nasza wytężona praca zaczęła przynosić sukcesy, które zapadały w pamięć.

W domu również zaczęło się lepiej układać.

Brak jakichkolwiek

zajęć przez rok po Waco dał mi czas poznać na nowo moich dwóch malców, którzy potrzebowali pełnoetatowej obecności taty.

I choć odnalezienie się w tej roli, a równocześnie toczenie walki z moimi demonami, zajęło mi nieco czasu, to w końcu nauczyłem się, jak panować nad wściekłością.

Nie przeszkodziło też zrobienie przez Rosie magisterium z psychologii i rok pracy jako psycholog rodzinny.

Duma i strach przed utratą moich źródeł bezpieczeństwa powstrzymywał mnie przed skorzystaniem z jej profesjonalnej pomocy, co przecież mogłem zrobić, ale Rosie wiedziała, jak szlifować ostre krawędzie.

Odkryłem na nowo wartość czytania malcom do snu.

Jeździliśmy na kempingi, ot, tak sobie, chłopcy znów wyciągali mnie na ryby i na wspinaczki naskalki, i w góry.

Zgłosiłem się na ochotnika na trenera ich drużyny piłki nożnej, baseballowej i hokejowej.

Nawet wziąłem kilkadni urlopu, żeby pójść z nimi do szkoły i wszystko zobaczyć, tak abym wiedział, o czym do mnie mówią.

Życie zaczęło wracać do normy.

Pewnego wieczoru w 1995 roku, tuż przed pierwszą wyprawą HRT do Portoryko, kładłem chłopców do łóżek.

Mickey nazywał te moje wieczorne serenady "śpiewanymi historyjkami" i zażądał, abym zaśpiewał jedną.

Kiedy skończyłem, pocałowałem każdego w policzek i wyjaśniłem, że muszę wyjechać na kilka dni "w sprawach służbowych".

Mickey natychmiast zaczął płakać.

- No, spokojnie, chłopie- powiedziałem.

- Tylko na kilka dni.

Obiecuję.

Będę w domu, zanim się o tym dowiesz.

- Taksamo mówiłeś ostatnim razem, tato.

Jake wcale się nie odzywał, bo zazwyczaj pozwalał młodszemu bratu na toczenie bojów zakrapianych łzami.

- Nie, Mick, teraz to co innego - obiecywałem.

- Tymrazem tylko kilka dni.

I zapewniam, że tymrazem nie zapomnę o prezencie.

- Nie chcę żadnego prezentu - oświadczył, łzy toczyły mu się po policzkach, a głos stał się piskliwy i drżał.

-No, chłopie, to nie Waco.

Będę.

- Tatusiu!

Tęsknię za tobą.

Proszę, nie jedź.

- I łzy płynęły ^

ciągłym strumieniem.

Nachyliłem się nad nim i mówiłem miękko, dobierając takie słowa?

które dzieciak mógł zrozumieć.

Stanie na piętach

357

- Mick, słuchaj, co mówię, przecież możesz nawet wyczytać mojej twarzy, że mówię prawdę.

Trzy lub cztery dni.

Czekałem na odpowiedź, a wnikłym światłem widziałem, jak patrzynamnie poprzez łzy.

- Ależ tato- powiedział, a usta zaczęły mu drżeć.

- Przecież wiesz, że nie umiem czytać.

Rosę, którą wszystko słyszała, choć była w drugim pokoju, wybuchnęła śmiechem.

Ja też.

Jake dołączył się do nas, a Mickey, połykając łzy, próbował zrozumieć, o co chodzi.

I właśnie wtedy zrozumiałem, że wszystko możesz lepiej ułożyć.

Możemy zaleczyć rany.



## Księża piąta

Sposób, w jaki ciało nie waży w wodzie Wspomina brzeg, sposób, w jaki płaci

Za zdolność utrzymywania się na powierzchni, gdy zaczerpniechu.

Jest błędny,

Mówią pielęgniarce, ale gdy chłodne fale obmywają Postrzępiony brzegi kiedy zmacone

błoto unosi się Tuż pod pomarszczoną taflą wody, To nawet księżyc niecierpliwie

zdejmuje odzienie.

Przerywa na chwilę, aby się ochłodzić.

TOMHAWKS.

21

Wyczuć puls

Na początku 1995 roku nastąpiły dla nas lepsze czasy.

Wkrótce po wycofaniu się Williama Sessionsa ze służby publicznej Waszyngton został zdobyty szturmem przez nowojorskiego sędziego, Louisa J.

Freeha.

Był on kiedyś agentem - a więc po raz pierwszy od czasów Edgara Hoovera agent znowu zasiadł na fotelu dyrektora FBI - izdawał sobie doskonale sprawę, że ta firma potrzebuje przede wszystkim nowej tożsamości.

Rozpoczął od całej serii pomysłów tak szeroko zakrojonych i tak śmiałych, że nikt nie miał czasu na dąsy.

Najpierw przystąpił do oczyszczania FBI.

Wprowadził dwuetapowy plan, który oferował każdemu, kto chciał, zatrudnionemu w kwaterze głównej, przeniesienie do dowolnie wybranego biura terenowego.

Było mnóstwo chętnych.

Ponad trzystu agentów kierowniczego szczebla zwolniło swoje biurka i podążyła na różne zyskowne posady w terenie.

Już sam fakt, że w FBI było tyle osób na stanowiskach kierowniczych, mówi o

rozmiarach, do jakich rozrosły się struktury biura.

Niemal każdy agent, który chciał wspinać się po szczeblach kariery, musiał jakiś czas przepracować w kwaterze głównej.

Kiedy Louis Freeh został dyrektorem, zastał ponad tysiąc takich osób, które tylko zabierały miejsce, a wszystkie one były na stanowiskach kierowniczych lub wyższych. I wszyscy musieli się wynosić.

Następnie dostosował priorytety śledczej działalności biura, tak by lepiej odzwierciedlały dane zawarte w raportach

na temat przestępczości, przygotowywane przez służby zajmujące się jej ściganiem.

Zmasowana inicjatywa białych kołnierzyków, która narodziła się podczas kryzysu na giełdzie, zaczęła nabierać tempa.

Zbrodnicza działalność przestępcza i handel narkotykami wymagały pilnego zajęcia się nimi, tak samo zresztą jak całkiem nowe zjawisko noszące nazwę wewnę.

362

Zimny strzał

terroryzmu.

Zamach bombowy w Oklahoma City udowodnił, że FBI musi przenieść swoje zainteresowania ze spraw międzynarodowego chuligaństwa na domorosły Armagedon.

Nagle okazało się, że niepowinniśmy się interesować jakimś libijskim zelotą z głową omotaną chustą, ale Billym Bobem w czapeczce z daszkiem.

Ameryce zaczął zagrażać każdy, kto tylko miał ciężarówkę wyładowaną nawozami i kilka

galonów paliwa w baku.

Po oczyszczeniu kwatery głównej i dostosowaniu priorytetów jeśli chodzi o śledztwa Freeh pomaszerował na Kapitol i przypuścił atak na polityków, którzy urządzili sobie z pałowania FBI prywatny biznes.

Poprzednik Freeha nie pozostawił mi zbyt wiele gruntu pod nogami, ale dla nowego dyrektora nie miało to znaczenia.

Jego brak zdolności politycznych zasiadający w Izbie Reprezentantów i w

Senacie uważał nawet za ożywczy powiew.

Widzieli w nim uczciwego, prawdomównego przywódcę agencji, która przez pewien czas miała kłopoty z tożsamością.

Podczas gdy zarówno demokraci, jak i republikanie rzucili się na Clintona, Gingricha i skandale od Travelgate poczynając, a na Filegate kończąc, Freeh prezentował przed całym Kongresem swoje podobne do Jaya Leno oblicze i wypowiadał tezę oczywistą: "W FBI pracują porządni faceci".

A chodziło o czas.

Nie wszystko toczyło się gładko.

Proces rekonstrukcji przeprowadzany za pomocą tak olbrzymiego młota, jaki zastosował Louie, może wywołać pewne pomruki.

Jednak na szczęście nowy dyrektor przyszedł przekonany, że wciąż jest jednym z nas, a jego przeszłość prezentowała się dobrze.

Dawni koledzy chwalili jego działania jako agenta w biurze w Nowym Jorku oraz jako prokuratora federalnego.

Ludzie, którzy go znali, przysięgali, że postępował fair, był uczciwy i skoncentrowany na tym, co robił.

Na dodatek miał inne zmartwienia, a nie noszenie odznaki FBI przypiętej do kieszeni koszuli na piersi.

Dziewiętnastego kwietnia 1995 roku, a więc dokładnie rok po Waco, był sierżant piechoty morskiej Timothy McVeigh podłożył ładunek wybuchowy pod budynek w Oklahoma City.

Eksplozja rozwalila cały kilkupiętrowy gmach.

Zginęło 186 osób.

McVeigh zrobił to, ponieważ nie mógł darować państwu rozprawy z sektą Koresha.

Był w Waco i widział, jak wozy opancerzone burzyły budynki i jak wybuchł pożar.

McVeigh został stracony w 2001 roku (przyp.

tłum.

)-

Wyczuć puls

363

Nie powierzał też agentom zadań takich jak noszenie torb z zakupami jego żony.

Jego pomysły były oryginalne i sensowne.

A przede wszystkim - umiał słuchać.

Dla większości agentów Louie Freeh był pierwszym od dłuższego czasu przywódcą z prawdziwego zdarzenia.

Budżet się zwiększył, nasze zaopatrzenie poprawiło, dostawaliśmy coraz większe sprawy.

Nowy dyrektor przywrócił nam poczucie dumy.

Niemal czuło się, jak rozpraszają się ciemności.

HRT też miało pewną przerwę w działaniach, a zbiegła się ona z przejęciem dowodzenia przez Rogera Blake'a.

W związku z tym odbyła się uroczystość warta odnotowania.

BR-1, chcąc zademonstrować pewność siebie, zwołał całą jednostkę wraz z rodzinami: żonami, dziećmi, dozorcami domów, w których ci mieszkali, oraz wszystkich, kogo tylko udało mu się znaleźć, do audytorium naszej Akademii.

Na oczach wszystkich formalnie przekazał kontrolę nad HRT i wręczył Rogerowi "rewolwer dowódcy".

Ten gest mógłby należeć do rozsądnej tradycji zakładania jakiejś jednostki wojskowej, ale przecież HRT to organizacja strzegąca porządku prawnego, a nie wojskowa.

Blake natychmiast wrzucił rewolwer do szuflady i nikt go więcej nie widział.

Po tej ceremonii BR-1 wtoczył ogromny tort i pokroił go chromowaną szablą kawaleryjską.

To już jednak była zbyt wielka dawka pompatyczności, aby operatorzy HRT, zawsze wykazujący rezerwę, mogli ją znieść.

Wszyscy zaoferowali BR-1 uścisk dłoni i na tym się skończyło.

Jedną z pierwszych inicjatyw nowego dyrektora FBI było usunięcie istniejących wątpliwości co do umiejętności FBI poradzenia sobie z rozległym kryzysem.

Kiedy nastał Freeh, HRT wciąż podlegało administracyjnie waszyngtońskiemu biurowemu terenowemu.

Negocjatorzy i eksperci do spraw zachowań z Jednostki Nauk Behawioralnych pracowali w jednej z jednostek szkoleniowych Akademii w Quantico.

Kwatera główna sprawowała pieczę nad niewielkimi i bardzo specjalistycznymi

komórkami, jak jednostka ds.

materiałów wybuchowych i jednostki zbierające dowody trafiające następnie do laboratoriów oraz zajmujące się transportem i logistyką.

Nikt do tej pory nie wpadł na pomysł dorzucenia integracji do całego biznesu zarządzania sytuacją kryzysową.

Gdy coś się działo (a bynajmniej nie zdarzało się to często), zajmowały się tym odpowiednie jednostki przy oddziałach terenowych, gromadząc ludzi i sprzęt, a gdy

364

Zimny strzał

sprawa zaczynała wymykać się z rąk, wówczas za pośrednictwem kwatery głównej zwracano się do poszczególnych jednostek, na przykład do HRT.

Każdy przywoził własne zabawki, a fakt, że nieistniało żadnego porozumienia, współdziałania czy zrozumienia, nikogo nie interesował.

Louis Freeh zmienił i to.

W kwietniu 1994 roku, dotknięty dożywotnio bardzo krytycznym raportem Kongresu, sformował kompletnie nowy oddział, który nazwał Grupą Reagowania Kryzysowego (CIRG).

Coś takiego nie zdarzało się zbyt często w FBI, toteż wzbudziło duże zainteresowanie.

Biura terenowe rozpracowywały sprawy zgodnie z podziałem geograficznym, a eksperci z kwatery głównej zgodnie z klasyfikacją przestępstw.

Wszystko było przyporządkowane bardzo starannie wytyczonym sferom odpowiedzialności oraz danemu obszarowi.

Koncepcja CIRG wprowadziła całkowicie nowe spojrzenie na zarządzanie sytuacją kryzysową.

Nikt dotychczas nie pomyślał, aby utworzyć swobodnie przerzucaną z miejsca na miejsce błyskawicznie działającą grupę uderzeniową złożoną ze świetnie wyszkolonych fachowców, którzy zwalczaliby dużą przestępczość, bez względu

namiejsce jej występowania.

Chociaż dziś brzmi to rozsądnie, wtedy było przewrót.

Grupa Reagowania Kryzysowego stanowiła swego rodzaju precedens w obywatelskiej walce o przestrzeganie porządku prawnego.

Aby przeprowadzić ten rewolucyjny pomysł przez sceptyczne i dobrze ufortyfikowane dowództwo, Freeh potrzebował kogoś o silnej osobowości.

I znalazł.

Frank Gleason, były żołnierz piechoty morskiej, był twardy, surowy i zawsze musiał dopiąć swego.

Ostatnio był naczelnikiem biura terenowego w Portland.

Gleason przyjechał do Quantico 19 kwietnia 1994 roku, dokładnie w rocznicę pożaru w Waco, i zaczął

budowę nowego oddziału od zera.

Połączył negocjatorów i specjalistów od taktyki i wprowadził nowe zasady.

Stanie na straży porządku prawnego bardzo się zmieniło od chwili spłonięcia Góry Karmel, oświadczył.

HRT nadal będzie wzywane, kiedy zacznie się zbliżać koniec świata, ale nowa linia frontu ataku ze strony FBI będzie biec bezpośrednio przez łącza telefoniczne negocjatorów, negocjacje bowiem prawie nigdy nie wszczynają pożarów ani też nie powodują postrzelenia tej osoby, co trzeba.

Ter

stawia się na negocjacje.

Wyczuć puls

365

Ku zdziwieniu wszystkich ten pomysł chwycił.

Grupa Reagowania Kryzysowego wynajęła od Akademii powierzchnię i przeniosła negocjatorów i psychologów z pomieszczeń w piwnicy pod składem broni na górę, wyciągnęła HRT z jego otoczonego murem terytorium i sprawiła, że wszyscy się zbratali.

Pamiętam, jaki to był gigantyczny krok naprzód.

Chociaż już minął rok od Waco, tona widok negocjatora odwracałem się i

przechodziłem na drugą stronę ulicy, bo bałem się, że po prostu skopię mu tyłek. Takie myślenie było śmieszne, ale brak wszelkiego kontaktu utrwalał ten podział wśród nas.

Nikt nigdy nie usiadł, aby porozmawiać o Waco albo o przepaści, którą po powrocie spod Góry Karmel wytworzyła się między negocjatorami a taktykami.

Wspólne ćwiczenia pomogły zniwelować te bariery.

Wraz z większością operatorów uczestniczyłem w zajęciach z negocjatorami. Przed dwa tygodnie siedziałem w klasie, czekając, aż ktoś rozpocznie zwadę i zacznie śpiewać Kumbaję.

Ale nic podobnego się nie wydarzyło.

Wszystko, co widziałem i co ćwiczyłem, było bardzo sensowne.

Negocjatorzy tak samo jak my chcieli wpakować przestępców do pudła, z tą tylko różnicą, że potrafili zrobić to bez sięgania po ładunki wybuchowe, helikoptery i strzelania na dużą odległość.

Takie podejście przynosi organizacjom takiej jak FBI kilka korzyści:

oszczędzają pieniądze, zmniejszają ryzyko śmierci któregoś z agentów podczas pełnienia służbowych obowiązków, a także idzie w parze z oczekiwaniami współczesnego amerykańskiego społeczeństwa.

Jednakże wszystko w tym modelu wywoływało u mnie dreszcz emocji.

W czasie zajęć wysłuchałem prezentacji o wzięciu zakładników na Hawajach.

Olbrzymiej postury Samoaniec wziął jako zakładnika bardzo małego i drobnego mężczyznę.

Trzymał go na muszce i groził, że zabije.

Zadzwoił do swojej dziewczyny i właśnie tak jej powiedział.

To samo powtórzył policjantom, a następnie zadzwonił do stacji radiowej i oświadczył wszystkim słuchaczom, że zabije tego człowieka.

Począł odliczanie do tyłu.

Zaczął od stu.

Kiedy

doszedł do pojedynczych liczb, rzeczywiście gotów był spełnić swoją groźbę.

Policjanci oraz jednostki taktyczne okrążyli budynek.

Snajperzy<sup>^</sup>jęli stanowiska.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

I wtedy Samończyk pojawił się na parkingu, trzymając broń przy szyi tego biedaka.

Zaczął odliczanie, a wszyscy, którzy mieli broń, wycelowali.

366

Zimny strzał

ją w niego.

Snajperzy namierzyli go przez celowniki i mieli pewność czyściutkiego strzału, prosto w mózg.

Natychmiastowa śmierć, odcięcie wszystkich połączeń neurologicznych.

Facet nawet by nie mrugnął.

Łatwy strzał.

A negocjatorzy rozmawiali, krzyczeli, błagali.

Odliczanie trwało

już ze dwieminuty.

- ...

dziewięć.

osiem.

siedem.

sześć.

Nagle zakładnik odwrócił głowę w bok i chwycił oburącz lufę.

Broń wypaliła, rozwalając mu czaszkę, tak że nawet nie byłoby konieczne dobiec go z litości.

Wobec takiego obrotu spraw policjanci i agenci nadbiegli i zastrzelili Samończyka, pakując w niego grad kul.

Światło się zapaliło, film wideo się skończył.

Każdy odetchnął, a ja

podniosłem rękę.

- Kiedy mieliśmy go zastrzelić?



Instruktor popatrzył na mnie dziwnie.

- Zastrzelić?

Wszyscy pozostali siedzieli cicho.

- Tak jest.

Jak długo mieliście zamiar pozwolić temu facetowi odliczać, zanim snajperzy by go położyli?

To znaczy rozumiem, że wiedzieliście, iż ten facet nie żartuje.

Instruktor popatrzył na mnie, jakbym zwariował.

- Zastrzelić go?

Nie mieliśmy zamiaru go zastrzelić.

A co, jeśli broń wypaliłaby przypadkowo?

Przecież jesteśmy odpowiedzialni.

Wtedy zrozumiałem, że nie chcę być zakładnikiem w tej nowej epoce, która nastąpiła po Waco.

Czasy się zmieniły, to pewne.

Kiedy przepychanki zaczynają się przeradzać w niebezpieczne siłowanie się, to w tym kraju nadal potrzebna jest grupa bohaterów, gotowa stawić temu czoła.

Możemy sobie serwować te delikatne gadki, ale od czasu do czasu dobrze jest wyciągnąć wielką lufę.

W marcu 1997 roku nadeszły kwatery głównej wieści, że dyrektor planuje historyczną podróż na Bliski Wschód i potrzebuje ochrony.

Byłem już w czternastu krajach, ale myśl o całkowitej darmowej podróży do Ziemi Świętej wydała mi się ucztą, wartą potem opowiedzenia dzieciom.

Stosunki międzynarodowe zawsze były mocną stroną FBI. Kiedy zostałem agentem, wciąż wierzyłem, że FBI działa na terenie Stanów Zjednoczonych, a CIA - poza nimi.

Nic podobnego.

Oproc2

Wyczuć puls

367

pięćdziesięciu sześciu biur terenowych chroniących pocąym kraju, FBI utrzymuje także biura satelickie albo ataszaty prawne (na których czele stoilegat) od Islamabadu po Seul.

Agenci FBI współpracują bliskoz Departamentem Stanu i sprawują jurysdykcję niemal w każdej dziedzinie, w której obywatel amerykański ponosi straty na skutek działalności przestępczej.

A teraz, w dobie kurczącego się globu i rozprzestrzeniających się interesów, Amerykanie ponoszą straty coraz większej liczbie miejsc.

Niestety program "Legat" niespełnia oczekiwań konsumentów.

Dyrektor Freeh wcześniej zdał sobie sprawę z tego problemu i postanowił rozszerzyć go i utworzyć nowe biura w dziesiątkach krajów rozwijających się.

Utworzenie takiego biura w Tel Awiwie byłoby najbardziej logiczne, a to z powodu zagrożenia terroryzmem oraz strategicznego znaczenia wzajemnych stosunków amerykańsko-izraelskich.

Co budziło zdziwienie, to nalegania Freeha, aby wyciągnąć gałązkę oliwną do Jasera Arafata i jego nowo utworzonej Autonomii Palestyńskiej.

Na mapie podróży dyrektora FBI figurowała też kurtuazyjna wizyta w kwaterze głównej Organizacji Wyzwolenia Palestyny, w Strefie Gazy.

I jakoś wagi wszystkich umknął fakt, że zaledwie kilka lat upłynęło, kiedy to Arafat był uważany za terrorystę na równi z Osamą ibn Ladenem.

A wtedy proces pokojowy na tamtych ziemiach spotykały niemal codzienne porażki i wysyłanie tam naszpikowane samochodami pułapkami tereny człowieka numer jeden do spraw zwalczania przestępczości w Stanach Zjednoczonych nie miało za grosz sensu.

Louie Freeh nie zwracała to uwagi, bo jak już sobie coś wbiło głowy, to zwykle musiało zostać zrealizowane.

HRT otrzymało wszystkie szczegóły dotyczące zorganizowania ochrony jego osoby i natychmiast przystąpiło do planowania zupełnie nowej misji.

Dotychczas jedyne wizyty na szczeblu państwowym, w których brał udział, polegały na pokazywaniu strzelnicy głównodowodzącemu policji filipińskiej, który był gościem BR-1.

Podróżowanie za granicę jako agent FBI jest niebezpieczne.

Ponieważ jest to podróż służbowa, trzeba mieć czerwony paszport, który natychmiast zdradza służbom celnym danego państwa, jak i terrorystom, kim jesteśmy.

Na domiar złego nie możemy posiadać broń.

Podczas podróży samolotem na terenie kraju agenci FBI mogą mieć przy

sobierewolwer,ale na pokład samolotulecącego za granicę nie wolno nam.

368

Zimny strzał

wnieść żadnej broni poza scyzorykiem.

Pod tym względem otrzymałem

twardą lekcję.

Sześć miesięcy wcześniej leciałem do Rzymu jako część sześciuosobowej drużyny, uczestniczącej w treningu i w zawodach.

Włoskie służby specjalne obchodziły właśnie dwudziestolecie istnienia i zaprosiły jednostki antyterrorystyczne z całego świata.

Przyjechały francuskie GIGN, niemieckie GSG-9, a także Hiszpanie, Izraelczycy, Brytyjczycy.

Postanowiliśmy skorzystać z okazji i zademonstrować nasz arsenał.

Nasza szóstka udała się, tak jak już setki razy przedtem, na lotnisko i wsiedliśmy do lecącego w kierunku wschodnim boeinga 747 linii Northwest.

Wyglądaliśmy tak jak wszyscy, z wyjątkiem tego, że w naszych kieszeniach tkwiły czerwone paszporty i mieliśmy czarną walizkę firmy Haliburton, którą schowaliśmy w szatni na pokładzie.

W jej wnętrzu spoczywało sześć samopowtarzalnych karabinów MP-5, sześć rewolwerów kalibru .

45, granaty oślepiająco-ogłuszające i tyle amunicji, że starczyłoby, aby podbić pół Europy.

Nikt niczego nie podejrzewał.

Na lotnisku w Rzymie czekali na nas członkowie włoskiego NOX, którzy przeprowadzili nas przez komorę celną, a następnie zaferowali dwatygodnie najznakomitszej rzymskiej gościnności.

Wszystko funkcjonowało jak w zegarku, poczynając od lotu, poprzez zawody, aż po nasze własne współzawodnictwo, do którego stanęliśmy z najwyborniejszymi europejskimi piwoszami.

Tak dla porządku trzeba dodać, że nikt nie może równać się z Niemcami.

Z wyjątkiem małej drzemki w autobusie w drodze na trening, w ciągu trzynastu dni nie zwolnili ani nasekundę.

A strzelalijak roboty.

Pozakończeniu zawodów wszyscy ich uczestnicy wzięli udział w uroczystej kolacji i ostrym picciu; czegoś takiego nie widziałem od bibek w czasach studenckich.

Kontakty międzynarodowe to bardzo delikatny proces, na który składają się takti dyplomacja, toteż nie chcieliśmy, aby FBI źle wypadło.

Przez pięć godzin trzaskaliśmy, sapaliśmy i pożeraliśmy wszystko, czym tylko raczyli nas koledzy z danego kraju.

Nie pamiętam już, kto wygrał ostatnie zawody, ale wiem bardzo dobrze, kto wygrał przyjęcie.

Autor posługuje się nazwą NOX, podczas gdy brzmiona NOCS (Nucleo Operativo di Sicurezza) (przyp.

tłum.

).

Wyczuć puls

369

Skończyliśmy akurat w porę, aby konwój karabinierów zdążył odtransportować nas na lotnisko i przeprowadzić przez kontrolę celną.

Nieśmiały, introwertyczny operator NOX imieniem Primo przeprowadził nas przez bramkę i towarzyszył nam aż do wnętrza samolotu, gdzie usadowiliśmy się na naszych miejscach.

Walizka z bronią znów powędrowała do szatni.

Nie trzeba było załatwiać żadnych papierów ani nic wyjaśniać pilotowi bądź stewardesom.

Nikt na pokładzie nie miał zielonego pojęcia, co wieziemy, ale jak na razie nas to kompletnie nieobchodziło.

To były Włochy i wydawało się, że wszystko gra.

W Rzymie trzeba się zachowywać tak jak Rzymianie, nieprawdaż?

Otóż nie.

Półgodziny po starcie samolot zaczął przygotowywać się do lądowania w Genewie, w Szwajcarii.

Stewardesa poinformowała nas, że nie wsiedliśmy do samolotu, który leci bezpośrednio do Waszyngtonu, i w związku z tym mamy przesiadkę.

O cholera.

Nasze pole manewru zdawało się dość ograniczone.

Jedynie, co mogliśmy zrobić, to poczekać, aż wszyscy pasażerowie wyjdą, a wtedy wyciągnąć naszą feralną walizkę i udać się do drugiego samolotu.

Niestety bagaże wszystkich pasażerów trafiły na płytę lotniska, wobec tego aby dostać się do drugiego samolotu, musieliśmy ciągnąć nasze pudła bronią przez halę lotniska i przez wykrywacze metali.

I właśnie tutaj sprawy zaczęły wyglądać niewesoło.

Żaden z nas nie mówił po szwajcarsku ani po francusku, ani też w żadnym języku, w którym donasgadali.

Nie mieliśmy żadnych dokumentów, które tłumaczyłyby nasz status lub nasz bagaż, pudło nawet dla niewprawnego oka wyglądało jak ekwipunek porywacza, a na dodatek wszyscy byliśmy na porządnym kacu.

Mniej więcej po dwudziestu minutach podszedł do nas jeden z kierowników służby ochrony lotniska i zaczął coś mówić o obowiązujących na lotnisku protokołach.

A przynajmniej tak mi się wydawało.

Jedno co

wiem, to że wyglądał na dość przestraszonego, gdy żaden z nas nawet nie drgnął.

Próbowaliśmy wytłumaczyć wszystko za pomocą gestykulacji, tak aby nie wzbudzać paniki, ale ten Szwajcar nie grzeszył cierpliwością.

Chciał, żebyśmy natychmiast przeszli przez wykrywacz metali.

I bez dyskusji.

Tak woryginał (przyp.

tłum.

)..

Zimny strzał

Wreszcie zrobiliśmy to, co w takiej sytuacji powinien zrobić każdyszczający się agent FBI.

Pokazaliśmy mu nasze odznaki.

Spojrzał nanasjak naidiotów.

FBI nie znaczy zbyt wiele dla strażnika lotniskaw Genewie.

Jakwidać, pomysły Louisa Freeha i jego inicjatywamiędzynarodowej ekspansjijeszcze tutaj nie dotarły.

Nieco ponad dwie godziny późniejprzetaszczyliśmy naszą walizkęprzez szwajcarską kontrolęcelną i wsiedliśmy do samolotu lecącego nalotnisko Ronalda Reagana.

Krzyki i konwersacja w łamanej angielszczyźnie zakończyły się uściskami dłoni i wymianą numerów telefonów.

Policjanci umieją załatwiać sprawy.

To znaczywszyscyż wyjątkiemPrima, to pewne.

Nie mam cienia wątpliwości, że biedny palant wkrótce wydeptywał ścieżki, próbując znaleźć pracęjako taksówkarz.

Mądrzejsze o opisane powyżejdoświadczenie HRTwyczarterowałosamolot, którymiał przewieźć błękitnych snajperów i całe ich wyposażenie z Quantico do Tel Awiwu.

Czterech snajperów z brygady X-Rayi kilku z brygady Hotel poleciało prywatnym odrzutowcem GulfstreamG-4, z międzylądowaniami w celu uzupełnieniapaliwa w Ganderze naNowej Funlandii i w Shannon w Irlandii.

Siedmiu z nas leciało pierwsząklasąwyczarterowanym samolotem i bardzo nam siępodały skórzaneobicia foteli, maciupieńkie kanapki i świetnie zaopatrzony bar.

- A to elegancja-Francja - mruknął Antman.

Jako były rangers byłprzyzwyczajony do płóciennychsiedzeń w C-141.

Teraz HRTnie tylkodostawało już lepszeżadania, ale poprawieuległy warunki, w jakichdocieraliśmy na miejsce przeznaczenia.

BliskiWschód mnie poraził.

To kompletnie inny świat aniżeli ten,z którym dotychczas się zetknąłem.

Jazda samochodem zTel Awiwudo Jerozolimy dostarczyła namfascynującego

obrazukraju, w którymwszystko jest podporządkowane walce.

Spalone czołgi zczasów wojnydziesięciodniowej nadal stały po obu stronach drogi, abyprzypominaćzagrożenie, z którym ten kraj stykasię na codzien.

Wszędzie widaćbyło pojazdy wojskowe i żołnierzy - stanowili część krajobrazu.

Każdymiał broń, odszesnastoletnich przewodnikówprzy ŚcianiePłaczupowojskowych strażników na przystankach autobusowych.

Po dwóch dniach HRT znalazło hotel nieopodal starej części J"rozolimy i rozpoczęło przygotowania na przybycie szefa FBI.

Wynajęliśmy całe piętro, ustawiliśmy wartowników przy każdym wejściu,nanieśliśmy na mapę wszystkiedrogi ewakuacyjne w razie koniecznościostania się doszpitala, ustaliliśmy protokółz naszą ambasadą,

Wyczuć puls

371

sprawdziliśmy wszystkie miejsca, w których Freeh miał się zatrzymać,oraz spotkaliśmysię zizraelskimi służbami bezpieczeństwa.

Zanimnasz szef przyjechał, gotowybył planuwzględniający wszystkie ewentualności, łącznie z tym, jakzachowywać się w czasie szabasu i gdzie można najtaniej zamówić bukiet róż.

Jednak niewzięliśmy pod uwagę jednej sprawy - nieznanącej żadnego kompromisu samodyscyplinyFreeha.

Uwielbiał biegać inie chciałopuścićporannej porcji joggingu, a więc zaledwie trzy godziny po jegoprzylocie, opiątejrano, pospiesznieopracowaliśmy czteromilową trasę,po czym nałożyliśmy buty do biegania i jazda po ulicach Jerozolimy.

Dwadzieścia jedengodzin później, po dniu wypełnionym spotkaniami, biznesowymilunchami, eleganckimi kolacjami, uprzejmymi rozmowami telefonicznymi izwiedzaniem świętych miejsc, zawieźliśmy naszego szefa do hotelu.

Wszystko odbywało się w tłoku ulicznym,pilnowaniu, staniu na straży i pokonywaniu barier językowych.

Zdumiewało mnie, jak świetnie Freeh znosił zmianę czasu i klimatu,braksnu i w ogóle frenetyczny nastrój oficjalnej wizyty.

Nam pozostawałotyłko wypatrywanie niebezpieczeństw i prowadzenie samochodu.

Natomiast on musiał omawiać sprawy wagi państwowej z oficjelnymi wysokimi szczeblami, przekonywać do swojego pomysłu ustanowienia legata FBI w Tel Awiwie i starać się sprawiać wrażenie zainteresowanego.

Jednak największe wrażenie wywarło na nas zakończenie tej podróży, kiedy to Freeh zamówił dla nas wszystkich jedzenie i piwo Heinekena.

Wielu szefów pisze listy pochwalne i rozdaje premie, ale niewielu z nich pamięta o tym, czegoś zimnego dla chłopaków o drugiej nad ranem, po całym dniu ściskania rąk premierom.

Nie wiem, jakie wrażenie wywarł on na Izraelczykach, ale jestem cholernie pewien, że nas wywarł dobre.

- Może filiżankę herbaty?

- Wysoki, chudy Arab, ubrany w spodnie jeszcze z czasów wojny wietnamskiej, plastikowe, zapinane na zamek błyskawiczny buty i z pasem z reklamą Marlboro oczekiwał na moją odpowiedź.

Miał też czerwony beret, dwudniowy zarost i kropnię śmierdział.

Radziecki AK-47 ze składaną kolbą zwisał mu z prawego

ramienia i chociaż znajdowaliśmy się w pomieszczeniu, to palec Araba spoczywał na spuście.

- Tak - odparłem będzie mi miło.

372

Zimny strzał

Po trzech dniach przebywania w Jerozolimie pojechaliśmy na wschód, w kierunku Strefy Gazy.

Do kwatery głównej Organizacji Wyzwolenia Palestyny.

Wszystkie szczegóły dotyczące bezpieczeństwa wyglądały identycznie jak w Jerozolimie, ale nikt nie miał pojęcia, czego można się spodziewać, gdy opuściliśmy terytorium Izraela i wjechaliśmy do Strefy Gazy.

Na niedoświadczonym obserwatorze być może wywarlibyśmy wrażenie, ale samochody pułapki i terroryści są w tej części świata przedmiotem o wiele większym



obaw, aniżeli w naszej, adwunastu mężczyzn uzbrojonych w karabiny MP-5 i pistolety kalibru.

45 nie kojarzy się z niczym więcej, jak tylko ze sponsorowanym przez państwo terroryzmem.

Na szczęście wszystko przebiegało płynnie.

Gdy przenosił się z jednego spotkania na drugie, snajperzyz brygady X-Ray jeździli z przodu w czarnym chevrolecie suburban, Freeh oraz jeden lub dwóch jego gości jechali za nimi, a na końcu, w trzecim samochodzie jechało jeszcze czterech uzbrojonych po zęby operatorów.

Na dodatek wcześniej wszędzie wysłaliśmy naszych ludzi na zwiady i na temat naszej trasy uzyskaliśmy informacje od izraelskich ekspertów, którzy dostarczyli nam wszystko, od raportów wywiadu poczynając, a na eskorcie policyjnej kończąc. Każdy specjalista do spraw bezpieczeństwa wie, że ciemne okulary i mikrofony w klapach są raczej na pokaz.

Jeśli terrorysta zbliży się na tyle, że sprawimy przybrać brutalny obrót, ktoś inny przejmuje wszystko w swoje ręce.

Na wycieczce takiej jak ta kwestie dotyczące bezpieczeństwa rozgrywają się na dalszym planie, tam, gdzie przeciętnemu widzowi nawet nie przyjdzie do głowy spojrzeć.

Czwartego dnia zabraliśmy dyrektora, zapaliliśmy silniki samochodów i udaliśmy się do Jasera Arafata na małą pogawędkę.

Chociaż samochodem nie jest to daleko, to jednak Gazę oddziela od współczesnej Jerozolimy cały świat.

Aby się tam dostać, trzeba przejechać przez ziemię niczyją - strefę buforową, oddzielającą od siebie dwa narody, które od tysięcy lat zabijały się wzajemnie.

Nasza izraelska eskorta zostawiła nas przy zachodnim wjeździe doprojeżdżania granicznego, a Palestyńczycy czekali już na nas po drugiej stronie, w jeepach z karabinami maszynowymi na dachach.

Kierował Johnny, Eddie usiadł z przodu.

Buck, Antman i ja usiedliśmy z karabinami z tyłu.

Wyczuć puls

Chociaż Gazę oddziela od Izraela odległość rzutu granatem, torównie dobrze można by ją uznać za inny, choć istniejący współcześnie świat.

Czułem się, jakbyśmy nagle znaleźli się w jakiejś grze komputerowej, której akcja rozgrywa się w zamierzonych czasach.

Poprzez jechaniu pół kilometra nagle zamieniliśmy europejski luksus nawózki ciągnięte przez osiołki i na wielbłądy.

Mężczyźni o brunatnych twarzach w tradycyjnych strojach pilnowali ognisk, na których palili się, roznieconych wzdłuż czegoś, co można by nazwać drogami.

Brudne, małe dzieci bawiły się wstertach błota i rzucały kamieniami w wałęsające się psy, podczas gdy nasza kawalkada złożona z czarnych chwoletów peugeotów gnała z szybkością osiemdziesięciu mil na godzinę w kierunku morza.

Przewodnicy Arafata pokazali nam każdą uliczkę miasteczka, a wszystko przy dźwięku wyjących syren i klaksonów, aby obwieścić, że tym razem to Ameryka musiała przybyć do niego i uznać jego władzę.

Nie jestem pewien, jak przedstawiały się moje oczekiwania co do wyglądu głównej kwatery OWP, ale nawet bujny wyobraźnia nie byłaby w stanie wymyślić tego, co zobaczyłem.

Nowa siedziba rządu Jasera Arafata bynajmniej nie przypominała Białego Domu, Downing Street 10 czy placu Czerwonego.

Kwatera główna OWP wyglądała raczej jak modna, dwupiętrowa nadmorska rezydencja z widokiem na morze.

Ścianę zachodnią stanowiło Morze Śródziemne, napełniając zasuwane szklane drzwi wspaniałym widokiem błękitnych chmur i małych łódek rybackich dryfujących w południowej bryzie.

Sąsiednie budynki ciągnęły się dalej, przechodząc w kompletne rumowisko.

Mój szok spowodowany tą architekturą zbladł w porównaniu z zaskoczeniem, jakim była nadzwyczajna gościnność okazywana nam przez palestyńską służbę bezpieczeństwa.

Nasi izraelscy gospodarze, choć świetnie mówili po angielsku, ledwie się do nas odzywali.

Przed wylotem Departament Stanu ostrzegaliśmy, że Izraelczycy przewrócą nasze

szuflady do góry nogami, jak tylko wyjdziemy z pokoi, że będą śledzić każdy nasz ruch, gdy będziemy mieć wolną chwilę, oraz że gdzie tylko będzie to możliwe, to zainstalują mikrofony i kamery.

Początkowo nie bardzo wierzyłem w te ostrzeżenia, ale pewnego wieczoru miałem wartę na korytarzu, podczas gdy w sali odbywało się dyplomatyczne przyjęcie, i wtedy zmieniłem zdanie.

Stałem tam przez trzy godziny, a obok mnie, na wyciągnięcie ręki wartę pełnił izraelski żołnierz, doskonale mówiący po angielsku.

Mieliśmy identyczne zadanie,.

374

Zimny strzał

ochranialiśmy szefów, którzy próbowali się dogadać.

Nasze kraje to bliscy sojusznicy.

Przez trzy godziny ten żołnierz patrzył na mnie uporczywie i nie odezwał się nawet słowem.

Z kolei Palestyńczycy prześcigali się w uprzejmościach, proponując herbatę, ciasteczka i przyjacielskie ostrzeżenie, że znajdujące się na zewnątrz boisko do siatkówki to nie najlepsze miejsce dla rozprostowania nóg.

Aczkolwiek wyglądało zachęcająco, dochodząc aż do brzegu starożytnego morza, to tak naprawdę było polem minowym.

Jaser Arafat nie spędził tych wszystkich lat, opalając się, podczas gdy jego ludzie grali na plaży w piłkę.

I chociaż ten nadmorski bungalow wyglądałby całkiem przyjemnie na plaży w Malibu, obok wartych miliony dolarów rezydencji, to tak naprawdę był tylko

jeszcze jednym miejscem, w którym Arafat nie odważył się przebywać zbyt długo.

Snajperzy z brygady X-Ray czekali cierpliwie, gdy ich szefowie odbywali spotkanie.

Eddie, Buck, Antman i ja siedzieliśmy naprzeciw siebie na dwóch obitych brokatem kanapach, stojących pośrodku pokoju.

Po lewej ręce miałem stolik przystawiony do ściany.

Poprzeciwnej stronie znajdował się wazon z plastikowymi kwiatami i to wszystko.

Nie było tam więcej żadnych mebli.

Po kilkunastu minutach przyjechał czarnym mercedesie serii 600 Arafat, prezentując AMG package, złote kołpaki na kołach i spoilerz tyłu.

Jedynym elementem odróżniającym ten samochód od limuzyn, jakimi jeżdżą alfonsi we wschodniej części St Louis, były małe palestyńskie flagi powiewające z lewej i z prawej strony maski.

Ludzie z jego osobistej ochrony byli ubrani we wszystko, co tylko dołali na siebie włożyć.

Ich mundury składały się z najrozmaitszych rzeczy, tyle tylko że w oliwkowym kolorze, oraz z niegolonych bród.

- Czy dajesz wiarę?

- spytał mnie Buck.

- Jesteśmy w kwaterze OWP i pijemy sobie herbatkę z Arafatem.

A jeszcze pięć lat temu otrzymalibyśmy medal za zgładzenie tych dupków.

Nasz gospodarz bawiący się bronią maszynową wrócił akurat w chwili, gdy Buck przestał się dziwić.

Podał mi małą szklaneczkę napełnioną do połowy gęstym płynem i ruchem głowy zachęcił do wypicia.

- To chyba dość dobre, nie?

- spytał Antman.

- Zawstydziliby nawet sieć Starbucks.

Z hallu znajdującego się na tyłach budynku przyszedł Johnny i usiadł obok nas.

Wyczuć puls

375

- Nie uwierzycie - powiedział.

Wyraz jego twarzy zaciekawił mnie.

- Nie uwierzymy w co?

- Widzisz tego tam faceta?

- Wskazał na jednego z żołnierzy OWP, ciągnącego po podłodze czarną plastikową

torbę, taką jak na śmieci.

- Wiecie, co tam jest?

Wyglądała ciężka, ale nie miałem pojęcia, co mogło się w niej znajdować.

- Pieniądze.

Jest pełna forsy.

Amerykańskiej.

- Tak?

- zdumiałem się.

Coś tu, w tym miejscu, pachniało absurdem, od zaminowanego boiska do siatkówki począwszy, aż po Alfonso; w tym Mercedesie i na strażniku z pasem Marlboro skończywszy.

A teraz jeszcze jakiś facet ciągnął po podłodze torbę wypchaną dolarami, tak jakby po prostu miał zamiar wyrzucić śmieci.

- Co on, do cholery, z tym robi?

- Powiedzieli mi, że Arafat po zakończeniu rozmów z nami jedzie do Moskwy - szepnął Johnny.

- Myślę, że start nowego kraju jest trudny.

Palestyńczycy nie mają własnej waluty i nie cieszą się zaufaniem.

- Nie pieprz - prychnął Antman.

- Tękość w rodzaju posiadania biletu, którego nie możesz wykorzystać, co?

I wtedy właśnie przypomniało mi się inne zdarzenie z pewnym Palestyńczykiem.

Sięgnąłem pamięcią dwadzieścia lat wstecz, gdy byłem zagranicą.

Zatłoczony pociąg.

Kiedy telepaliliśmy się w kierunku Kraju Basków, usiadł koło mnie jakiś wścibski Palestyńczyk i starał się przekazać mi pewną dotyczącą przyszłości prawdę, taką, o której szczęśliwcy dowiadują się tylko raz w życiu.

Skąd on mógł wiedzieć, że wyląduję tutaj, zagubiony po tym, co wydarzyło się w Waco, i bezklucza, gdzie należy szukać odpowiedzi?

Jak mógł przewidzieć coś tak kompletnie absurdalnego?

Opadłem na kanapę i aż potrząsnąłem głową nad ironią tego wszystkiego.

Minęły niemal dwadzieścia lat odchwili, gdy jechałem tamtym pociągiem, ale powróciły do mnie wokamgnieniu.

- Skąd jesteś?

- spytał mnie stary mężczyzna.

Niemal skończyłem Fausta - doszedłem do miejsca, w którym Mefistofeles powraca po niewykazującąskruchy duszę Fausta- i chwilawydawała mi się nieodpowiednia na konwersację.

376

Zimny strzał

- Wyglądasz na Amerykanina.

Amerykanina?

Nie zjadłem ani okruszyny od ponad dwóch dni,a moje ubranie przypominało raczej łachy wyciągnięte naprędce z worka w punkcie dobroczynnym.

Włosy zwisały mi niemal do ramion,a nadodatek śmierdziałem jak mieszanina mokrej skóry i zepsutego sera.

Nie wyglądałemna Amerykanina, a tak naprawdę to nawet nie wyglądałem zbytnio na istotę ludzką.

- Tak, jestem Amerykaninem - powiedziałem.

Gdyby nie to,że ponad sześć godzin czekałem,abydostaćto miejsce, to uciekłbym gdzieś, żeby mieć spokój.

- Ja jestem Palestyńczykiem- oznajmił ten człowiek, a wjegogłosie brzmiała duma.

Kiedy mówił, patrzył wprostprzed siebie.

Słowo "Palestyńczyk" nic dla mnienie znaczyło.

Jakorobiący licencjat zdramatów epoki elżbietańskiejstaralem sięunikać tak przyziemnych spraw jak politykamiędzynarodowa.

Jeśli chodziło o mnie,to jedynapolityka warta dyskusji umarła wraz z dynastią Tudoróww 1603 roku.

I o ile ten człowiek niechciał porozmawiać o alegorii snuw Burzy Szekspira, to nie miałem czasu zawracać sobie nim głowy.

- Przykro mi, ale niewiem, co to znaczy - wyznałem.

Aon wciążpatrząc wprost i ściskając czamo-białą torbę firmyAdidasmiędzy kolanami,

odparł:

- To oznacza, że wsiadasz do tego pociągu wieczorem i budzisz się rano, inie masz dokąd iść.

Nie ma dokąd iść?

Byłem dwudziestoletnim szczeniakiem z college'u, wracającym do domu, do Londynu, po pięcioletnią wycieczkę po Europie.

I w moim przypadku "nie ma dokąd iść" oznaczało, że wszystkie bary są już zamknięte.

Przyjrzałem mu się teraz, kiedy już i tak przerwał mi lekturę.

Biały zarost na podbródku tworzył wyraźny kontrast z jego mocno opaloną skórą, połyskującą w wieczornym słońcu.

- Czy możemy porozmawiać o tym później?

- Podniosłem książkę, aby pokazać, że prawie skończyłem.

Skinął głową zniechęcony i zaczął patrzeć przez okno, a ogromne płaszczyzny pomiędzy Barceloną a Baskonią migają zanami.

- Amerykanin- burczał.

Przeczytałem następny kawałek trzy razy, zanim poczucie dumy narodowej wypchnęło Mefistofelesa przez okno i zmusiło mnie do podjęcia rozmowy.

Wyczuć puls

377- Czy to stanowi dla pana jakiś problem?

Nie chciałem wszczynać kłótni z tym starszym człowiekiem, ale pomijając mój wygląd, czułem się w jakiś sposób zobligowany do stanięcia w obronie mego kraju.

- Nie ma problemu.

Czytaj swojego Marlowe'a, a kiedy skończysz, powiedz mi, czego się dowiedziałeś.

Czeka nas spędzenie tu razem długiej nocy.

Doskonała angielszczyzna.

Dość odczytany.

Otwarty na wyzwania.

OK, skaptował mnie.

- Co pan przez to rozumie?

- spytałem.

Wzruszył ramionami i nadal spoglądał na migający za oknem idylliczny krajobraz.

Ten stary człowiek wywarł na mnie wrażenie osoby samotnej, znudzonej i pozbawionej wszelkich złudzeń - i kolejnośc tych przymiotników powinna być właśnie taka.

Niestety potrafił także absorbować czyjąś uwagę, w tym wypadku moją.

- Naprawdę chcę wiedzieć - nalegałem.

- Powiedział pan, że jest Palestyńczykiem.

Nie wiem, co to znaczy.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się, żeby budząc się, nie miał dokąd iść.

Dlaczego mi pan tego niewytłumaczy?

Wyrzuciłem w jego kierunku potok słów.

Teraz była jego kolej.

- To oznacza siedzenie obok przemądrzałego nastolatka, który myśli, że już widział świat, i zdawanie sobie sprawy, że obojętne, co powiem, zrobię, będę chciał zrobić lub w co uwierzę, to i tak nigdy nie będę mieć tych szans, które ty masz dziś.

Nigdy do końca życia.

O cholera.

Odetchnąłem głęboko i przegrupowałem swoje myśli.

Nie byłem bogaty, ale też i nigdy niczego nie chciałem.

Aczkolwiek wyobrażałem sobie, że jestem przymierającym głodem poetą, to większość swoich problemów mogłem rozwiązać, dzwoniąc do domu.

Możliwe, że właśnie to dawało mi taką odwagę, która pozwalała mi stać napiętych podczas kolejnych głupich przygód.

Wiosenne wakacje, które przypadły mniej więcej w połowie mojego studenckiego pobytu za granicą, rozpoczęły się od żartu.

Większość moich przyjaciół polecała spędzić Wielkanoc w Grecji i zabawić się nad Morzem Egejskim.

Jednak ja oparłem się ich namowom, wiedząc, że mam tylko dwieście dolarów i że muszą mi one wystarczyć na pięć tygodni, i zrobiłem jedną, jedyną logiczną rzecz, którą można było zrobić.

Mianowicie sto dziesięć dolarów wydałem na bilet, uprawniający mnie do nieograniczonych podróży po Europie, a dziewięćdziesiąt.



## Zimny strzał

wetknąłem do przedniej kieszeni wytartych dżinsów i wyruszyłem w drogę.

Bilet zapewniał mi miejsce w wagonie i przejazd, ale w jego cenę były wliczone przejazdy taksówkami, wstępy do muzeów, browarów ani żadne gorące posiłki.

Tak więc jeśli chciałem zwiedzić Europę, musiałem to robić o pustym żołądku.

Nie ma problemu.

Opracowałem sobie trasę przez północną Europę przez Niemcy, aż nad Morze Śródziemne.

Do Monako przybyłem, mając w kieszeni równowartość około stu pięćdziesięciu dolarów i przepełniony poczuciem przedsiębiorczości, że udało mi się zebrać pieniądze za pomocą gitary na Mañenplatz w Monachium, w metrze w Zurychu i w licznych innych niewielkich miejscowościach po drodze.

Podróż, choć odbywałem ją samotnie, była jedną wielką przygodą.

Niemal utonąłem wraz z innymi turystami w Hofbrau Haus, spałem w towarzystwie pełnych nacuchniętych materacach i brałem prysznic razem z dziewczynami ze Skandynawii, które zapamiętałem, bo miały owłosione nogi, zostałem wyrzucony z pociągu we Włoszech, rzucony ościanę zбитy przez strażników Luwru w Paryżu oraz odpędzony od wieży Eiffla, zanim zdążyłem się na nią wdrapać i zaliczyć najznamienitszą iglicę Europy.

Wraz z Andym Tabbottem nigdy nawet nie wyobrażaliśmy sobie, że ktoś może wokół takich budowli rozciągnąć siatkę, aby powstrzymać wańców od skoku.

Pamiętam, jak spoglądałem na Notre Dame i na Łuk Triumfalny, ubolewając nad tym, że nigdy nienadarzy się okazja, abym mógł stanąć na piętach na samej krawędzi tych wspaniałych budowli.

Pod koniec trzeciego tygodnia wynająłem mały, skromnie urządzonej pokój w Torremolinos, a z jego okien bez szyb przysłoniętych tylko żaluzjami rozciągał

się widok na Morze Śródziemne.

Stare miasto biegło krętymi, wąskimi uliczkami wyłożonymi białym kamieniami czerwonymi kafelkami aż na sam dół, do Costa del Sol.

Turyści z północnej Europy włóczyli się po sklepach z pamiątkami, a Cyganiecałymi rodzinami okupowali ulice, sprzedając błyskotki, grając w muszelki i zebrząc.

Z miejscowych kuchni dochodziły do mnie wspaniałe zapachy, nęcąc mnie smakołykami, na które nie mogłem sobie pozwolić.

Włóczyłem się po zatłoczonych ulicach, żyjąc niemal na krawędzi poetyckich bachanali, żerując na posiadanej energii.

Dni spędzałem, pływając i wylegując się na słońcu, a noce - pisząc krótkie opowiadania ołówkiem na papierze zabranym z recepcji.

Z klubów na wzgórzu dobiegała muzyka KC i Sunshine Band, drażniąc zdziczałe koty, które toczyły

Wyczuć puls

379

walki na stertach śmieci w alejce za domem, w którym mieszkałem.

Czasem udało im się na tak długo przerwać moje marzenia, że otwierałem żaluzje i zacerpywałem głęboki wdech tego samego morskiego wiatru, który popychał barki Kleopatry i bojowe okręty Odysusza.

To był najwspanialsze miejsce, w jakim kiedykolwiek byłem.

Gdybym mógł spędzić tu całe życie, to nigdy nic by się nie zmieniło.

Ale oczywiście zmiany nastąpiła - skończyłymi się pieniądze.

Naprawdę kompletnie się z nich wyprztykałem.

Usiłując jakoś je zarobić, zerwałem dwie struny w mojej gitarze i nawet nie miałem na kupienie nowych.

Znajomi, których tu poznałem, przenieśli się do innych słonecznych miejsc.

Czas było wyjeżdżać.

Wobec tego wrzuciłem ostatnie kilka pesos do brudnego szala jednej z cygańskich żebraczek, wiedząc, że okruchy, jakie mógłbym zaniekupić, nie starczą na długo.

A potem poszedłem na stację i wsiadłem do pociągu jadącego na północ, w kierunku Londynu.

Pierwszą noc podróży spędziłem na stojąco, patrząc na plantacje winogron i stare wiejskie domostwa, które przesuwały się w otwartym oknie w nieposłusznym odrętwieniu.

Hiszpańscy wojskowi podróżują zwykłymi pasażerskimi pociągami i zdaje się, że każdy, kto tylko nosił mundur, chciał znaleźć się tego samego dnia w domu.

Żołnierze całymi rodzinami, młodzi turyści i zadowoleni z siebie ludzie, którzy dojeżdżali do pracy - wszyscy tłoczyli się w wagonach obliczonych na pomieszczenie połowy tej liczby pasażerów.

Stałem oparty o ścianę wąskim przejściu, aż ktoś się przecisnął, a potem zabierałem z przejścia swój plecak i gitarę.

Wreszcie hipnotyczny rytm stalowych kół stukających odremniane podkłady wprowadził mnie znowu w trans.

Pociąg przeczołgał się przez Barcelonę, minął zakręt w kierunku Katalonii, gdzie Orwell pisał w czasie hiszpańskiej wojny domowej, marząco filizance kawy. Czułem tę jego tęsknotę, niczym będącą torturą dla głodnego zapach sutych posiłków przygotowywanych przez matki dla swoich rodzin.

I tak oto o trzeciej nad ranem siedziałem obok tego Palestyńczyka cała zagłębiony w rozmyślaniu nad życiem, które nas zetknęło.

- Cóż, przepraszam - odezwałem się - zacznijmy jeszcze raz.

Przerwał mi pan w rzeczywiście ważnym fragmencie mojej książki i ja.

- Czytając książkę, nigdy nie traci się tej rzeczywiście ważnej chwili - powiedział niewyraźnie - a tymczasem rozmowa jest, a zachwilę jej nie ma, i przepadło.

380

Zimny strzał

Świetnie, filozof.

Przekręcił torbę, którą trzymał na kolanach, i odwrócił się do mnie twarzą.

- Lubisz swoje książki.

A może chcesz zostać pisarzem, co?

No, zadam ci jedno pytanie i już więcej nie będę cię niepokoić.

Skinąłem głową.

Chociaż najpierw tego nie zauważyłem, mój współpasażer był jak gdyby pokryty nieco wytartą klasą, tak jak piękny żakiet, w którym balowało się na zbyt wielu przyjęciach.

Coś w jego sposobie bycia sugerowało, że o życiu tego człowieka warto by wiedzieć więcej.

- Strzelaj.

- Dżalal ad-Din Rumi był trzynastowiecznym mistycznym poetą.

Persem.

Znasz go?

Pokręciłem głową.

- Pięknie pisał o wielu rzeczach, ale jedna z jego postaci jest trochę zła, ma na imię Nezradene.

Nezradene chce wyruszyć w wielką podróż, ale nie może znaleźć biletu.

Szuka wszędzie: pod łóżkiem, w szufladach, między listami - na próżno.

- Ależ Nezradene - wtrąca się jeden z jego przyjaciół - dlaczego nie sprawdzisz w kieszeniach płaszcza?

Przecież zazwyczaj tam trzymasz najważniejsze rzeczy.

A Nezradene potrząsa głową i pociera oczy.

- Wiecie - powiada - jeśli zajrzę tam nie znajdę biletu, to będę załamany.

Stary człowiek uśmiechał się.

Ja również.

Dobra historyjka.

- A jak brzmi pytanie?

- zapytałem.

- Jesteś młodym człowiekiem pochłoniętym przez sprawy zajmujące młodych ludzi.

Ale pewnego dnia dojrzejesz i nagle zobaczysz, że szukasz czegoś, co straciłeś.

Ale gdzie tego szukasz?

Czy szukasz wszędzie dokoła tam, gdzie możesz to znaleźć?

Czy też wyzywasz tę nieodwracalną stratę i udajesz się prosto na to miejsce,

gdzie ona może być?

Pierwsze wyjście jest łatwe, drugie trudne.

A wszystko z powodu konsekwencji.

Jeśli pokładasz całe zaufanie, jakie masz, tylko w jednym rozwiązaniu i onocie zawiedzie, nie pozostajeci nic innego, jak rozpacz.

Wzruszył ramionami i popatrzył mi prosto w oczy.

- Jak bardzo wierzysz we własne przeznaczenie?

- zapytał.

-Gdzie

patrzysz?

To pytanie utkwiło w moim umyśle, otępieiałem na skutek braku snu oraz doświadczenia życiowego, koniecznego do udzielenia odpowiedzi

Wyczuć puls

381

na to pytanie.

Inagle wieczne potępienie Fausta uplasowało się na drugim planie w stosunku do mojego własnego losu.

- Nie próbuj odpowiedzieć mi teraz - powiedział Palestyńczyk.

-W życiu są różne perspektywy, a one się zmieniają.

Pewnego dnia obudzisz się, nie mając żadnego punktu odniesienia i z uczuciem zagubienia.

I wtedy przypomnisz sobie omnie- wyszeptał doskonałą angielszczyzną i uśmiechnął się, ukazując zepsute zęby.

-Wtedy przypomnisz sobie o mnie.

- Wszystko z tobą w porządku?

- spytał Antman.

-Zdaje się, że herbata ci zaszkodziła.

Patrzyłem przez długość pokoju, w którym siedziałem, na ludzi, którzy poświęcili całe swoje życie jakiejś organizacji, ale nawet teraz musieli płacić za podróże dyplomatyczne walutą innego kraju.

Przypomniałem sobie pociąg z Torremolinos i to, co ten stary człowiek powiedział mi o stawieniu czoła konsekwencjom porażki.

Lata, które minęły od czasu Waco, przemknęły przede mną w krótszym czasie, niż zajmujęmi napisanie tego zdania.

I pamiętałem, cobyłowodem, że wstąpiłem do FBI.

Sprawiedliwość.

Sprawa.

I jeżeli ta sprawa nie jest na tyle ważna, aby wytrzymać próbę kilku upadków, to nie ma co inwestować w nią życia.

Przecież nie można poddać się umrzeć, gdy ktoś po raz pierwszy nas powali.

I właśnie w tamtym momencie zrozumiałem, że się zgubiłem.

Tak naprawdę miałem niewiele wspólnego z Waco albo z Ruby Ridge czy z tą podróżą na Bliski Wschód.

Musiałem odnaleźć siebie.

Zbyt długo byłem w HRT i pielęgnowałem jego wizerunek bycia niezwyciężonym.

Wyhodowała go selekcja, a NOTS utrwalił.

Lata spędzone w HRT uczyniły z tego wizerunku część mnie samego.

Ale bycie niezwyciężonym to tylko mit.

Czasem nawet najsilniejsi ludzie zawodzą i to wiedzeni najlepszymi intencjami.

Bóg dałmi wiele przymiotów, jednym z nich jest słabość.

A jeszcze innym umiejętność pogodzenia się z tym.

- Nic mi nie jest - odpowiedziałem Antmanowi.

- Właśnie znalazłem coś, czego od dawna szukałem.

- Co, jeszcze jedną krzyżówkę?

- I zaczął się śmiać.

Niewiedziałem powodu, aby to wyjaśniać.

Trudno jest się dzielić najgłębszymi odkryciami, jakie niesie ze sobą życie.

22

Powrót do źródeł

W maju 1997 roku, po prawie sześciu latach spędzonych w HRT, wszedłem do gabinetu Rogera, usiadłem w wyściełanym czerwonym skórą krześle i powiedziałem, że odchodzę.

Nie miałem już nic do udowodnienia za pomocą karabinu.

Każdy operator ma jakiś powód, aby odejść.

Mój wydawał się dość prosty.

Przetrwiałem już wszystkich, z wyjątkiem jednego kolegi, z mojego rocznika NOTS.

Moja rodzina wycierpiała więcej, niż myślałem.

Skończyłem właśnie trzydzieści osiem lat, a świat, w którym żyłem, był przeznaczony dla młodszych organizmów, na dodatek chroniczne problemy z kręgosłupem oraz z ramieniem sprawiły, że to fizyczne poświęcenie przychodziło mi z każdym dniem trudniej.

Jednak co ważniejsze, nadal czułem tę palącą chęć, która owładnęła mną po raz pierwszy, gdy ponad dziesięć lat temu spoglądałem w dół galerii dla widzów w Izbie Reprezentantów.

Chciałem jakoś zmienić społeczeństwo, obudzić się rano z poczuciem, że zrobię coś namacalnie dobrego.

Rozpracowywanie różnych przestępstw nigdy tak naprawdę było spełnieniem tej chęci, ponieważ pozwoliłem, aby przytłoczył mnie niemal nieograniczone rozmiary zbrodni.

Praca w HRT również powodowała, że tkwiłowe mnie to uczucie braku spełnienia, gdyż coraz wyraźniej zaczynałem zdawać sobie sprawę, że ratowanie życia jest sprawą o wiele bardziej skomplikowaną, aniżeli wtargnięcie przez wyłamane drzwi, mając dzielne serce i dużo nęcących zabawek.

A poza tym polityka stała się błyskawicznie pięćdziesiątym pierwszym członkiem HRT.

Wiedziałem, że mam jeszcze coś do zaoferowania i że następny krok kryje się już poza dziedziną złożoną z ładunków wysadzających drzwi i ceramicznych plaketek chroniących ciało przed urazami.

Musiało istnieć poza tym jeszcze coś.

Powrót do źródeł

383

Decyzję powziąłem pewnego ranka, gdy strzelałem do ruchomego celu z odległości dwustu jardów na terenie doćwiczeń Korpusu Marynarki Wojennej.

Po prostu pociągnąłem za spustu zdałem sobie sprawę, że już po wszystkim.

Tak po prostu.

Żadnego bicia w dzwony ani gwizdów, ani też dusznych rozterek.

Było totalnie naturalne, jakbym właśnie postanowił skosić trawnik.

Już w dostatecznie wielu celach narobiłem dziur.

Po sześciu latach wszystkie te gadki o wkroczeniu z kijem baseballowym, aby skopać tyłki, wydawały się głupie.

Nadszedł czas, aby się ruszyć.

Powzięcie decyzji, a nazwanie jej łatwą, to dwie zupełnie różne rzeczy.

Wiedziałem, jak moi koledzy stawiali się na swoje ostatnie poranne spotkanie, aby się pożegnać.

Wielcy, silni mężczyźni łkali wzruszenie, towarzyszące wyrzeczeniu się największego osiągnięcia ich życia.

Operatorzy HRT tworzą jedność, jak frędzle u serwety, i żyją w świecie oddalonym o dwa lub trzy kroki od codzienności.

Większość przychodzi do jednostki w szczytowym okresie swoich możliwości fizycznych.

Odejście to coś więcej niż pożegnanie się z pracą - to pożegnanie z pewnym etapem życia.

To przyznanie się do wieku.

Nierozumiałem w pełni wszystkich tych rozterek, gdy poszedłem do Rogera, aby z nim porozmawiać o mojej decyzji.

Wiedziałem tylko, że już czas.

- Dobrze, adokąd teraz chcesz pójść?

- spytał.

Roger Blake należy do tych niewielu przywódców, którzy uważają, że wyzwanie to nadarzająca się sposobność.

Pomógł już kilku nastolatkom i więcej kolegom z jednostki, znajdując im intratne prace.

Teraz przyszła kolej na mnie.

Niestety, podjąłem decyzję o opuszczeniu jednostki tak szybko, że nie zastanawiałem się, gdzie chciałbym potem pracować.

Jedną z najmocniejszych stron FBI jest różnorodność zadań, jakie można wykonywać, ale ja naprawdę nie wiedziałem, gdzie mam teraz skierować swoją energię.

A zdawało się, że możliwości jest nieskończenie wiele.



I choć każdy specjalny agent rozpoczyna karierę od rozwiązywania spraw, to ścieżka kariery może zaprowadzić weterana z trzyletnim stażem w jakimś biurze terenowym wszędzie, od pracy w jednostce SWAT po badania nad DNA w laboratorium FBI. Agenci mogą zyskiwać doświadczenie w ponad trzystu kategoriach, które zawiera rejestr przestępstw.

384

Zimny strzał

federalnych, albo też zostać koordynatorem programów dotyczących behawioryzmu, spraw prawnych, prowadzenia negocjacji, rekrutacji, mediów, równej liczby zatrudnienia osób tak białych, jak i o innym kolorze skóry, doradztwa itp.

Ci, którzy chcą wspinać się po drabinie kariery, mogą ubiegać się o pracę inspektora odpowiedzialnego za działanie biur terenowych, wysłania placówkę zagranicę albo o pracę w kwaterze głównej.

Jeśli ktoś niepotrafi znaleźć w tej ofercie nic, co by go interesowało, to po prostu nie szuka zbyt intensywnie.

Miałem mnóstwo możliwości.

W różnych miejscach czekało kilka etatów dowódcy jednostek SWAT i dostanie któregośkolwiek z nich nie byłoby trudne.

Jeśli chciałbym robić karierę, to znalazłbym coś w kwaterze głównej; Raz, Matty i Scarhead przetarli już tam dla nas szlaki.

Trudny byłby codzienny dojazd, ale za to taka praca oznaczała więcej pieniędzy.

Jeśli zaś sprawy ułożyłyby się źle, to zawsze mogłem zrezygnować z transferu w wybrane przez mnie miejsce i zacząć ubiegać się o emeryturę.

FBI zawsze próbuje zaproponować starszym stażem agentom zajęcia w pobliżu ich miejsca zamieszkania, a ja ze swoim dziesięcioletnim doświadczeniem kwalifikowałem się do tego.

Żadna z tych możliwości nie przyszła mi do głowy, toteż gdy nie powiedziałem, Roger zaproponował mi pracę po drugiej stronie ulicy - wykłady w Akademii.

Wiedział, że uczyłem angielskiego w szkole średniej z internatem w Massachusetts, a także o moim doświadczeniu dziennikarskim na Kapitolu.

A na dodatek znał szefa Jednostki Szkoleniowej Zasad Przestrzegania Prawa i nie miał nic przeciwko temu, aby do niego zadzwonić i poprosić o przysługę.

Bez względu na to, jaką linię polityczną starają się forsować biurokraci, FBI to klub weteranów i cała sztuka polega tylko na tym, aby wiedzieć, jak się nim stać.

- Akademia?

- spytałem.

Tomu nie przyszło do głowy.

W HRT uczyłem agentów FBI wszystkiego od taktyk SWAT i sztuki walki po fotografii i snajperstwo, ale zaden z tych kursów nie figurował w spisie zajęć Akademii.

Zmiana kombinazonu lotniczego Nomex i strzelnicyna garnitur w prążkii salę wykładową wydawała się dość wyzywającym przeskokiem.

- Spróbuj - powiedział Roger.

- Ty i Akademia doskonale do siebie pasujecie.

Jeszcze nie zdajesz sobie sprawy.

Powrót do źródeł

385

Wieczorem mówiliśmy to z Rosę.

Żadnych więcej wyjazdów.

Stałe godziny pracy.

Awans na stanowisko kierownicze (GS-14 w tabeli szeregowania) i trzytysiąc dolarów rocznie więcej.

Traciłem służbowy samochód i musiałem odnowić garderobę, której nie wyciągałem z szafy od ponad pięciu lat, ale korzyści zdawały się oczywiste.

A poza tym uczenie zawsze sprawiało mi przyjemność.

Właśnie mój dobry przyjaciel z Delta Force, wyszedłszy cało ze słynnej walki ulicznej w Mogadiszu w Somalii, przeniósł się do działu szkoleniowego.

Jeśli jest muto pasowało, to dlaczego mnie nie?

Sześć miesięcy później stałem w klasie numer 211 - tej samej, w której dziesięć

lat temurozpoczęła się moja własna kariera agenta -i wykładałem techniki przeprowadzania wywiadu i interwiew nowoprzybyłym do Akademii agentom. Ich entuzjazm obudził mnie.

Chociaż faktu tego zbyt nie nagłaśniano, to na początku lat dziewięćdziesiątych FBI wstrzymało nabór nowych agentów na dwa lata, a kiedy znów otworzyło swe podwoje, tuż przed sprawą Waco, zmieniły się zasady rekrutacji.

Nowy dyrektor Louis Freeh nadal wymagał, aby kandydaci zdawali egzamin pisemny i przechodzili przez standardowe interwiew, ale ogólne zasady znacznie się zmieniły.

Kandydaci musieli teraz przechodzić badania z wykrywaczem kłamstw.

To dodatkowe badanie miało zrównoważyć złagodzenie restrykcji dotyczących narkotyków, ponieważ wiele z proponowanych przez prezydenta Clintona osób nie mogło zakwalifikować się do pracy w FBI ze względu na surowość obowiązujących przepisów.

Dlatego też kierownictwo biura złagodziło je, zezwalając na zażywanie wszelkich nielegalnych substancji, byle tylko fakt ten miał miejsce ponad siedem lat przed staraniem się o przyjęcie do FBI.

Toteż w 1994 roku zgłosiło się mnóstwo bardzo zdolnych osób.

W skład pierwszego rocznika, który uczyłem, wchodził adwokaci, księgowi, lingwiści, osoby po akademii wojskowej, piloci, wykładowcy wyższych uczelni, biznesmeni, a nawet psychiatra sądowy.

Każdy z nich porzucił karierę pełną osiągnięć, aby przyodziać się w ten sam altruizm, który kiedyś odczuwałem.

Każdy z nich patrzył szeroko otwartymi oczami na życie, które miało go zmienić tak bardzo, jak i mnie.

- Pewnego dnia przychodzi facet do biura terenowego w poszukiwaniu pracy - powiedziałem, przedstawiając się klasie.

- No, więc pytam go, jakie ma kwalifikacje - no, wiecie: prawnik, dyplomowany.

księgowy, należy do mniejszości narodowych.

A on potrząsa głową i mówi: - Nie, właściwie to jestem kaleką.

Wątpię, czy moje wprowadzenie dowcipów krążących w FBI wywarło takie samo wrażenie, jakie na mnie wywarł Ray Venable w toalecie w Kansas City, ale przecież jest tylko jeden Ray Venable.

Od tej chwili czterdziestu siedmiu neofitów i ja zagłębiliśmy się w siedemdziesięciopięciogodzinny kurs sztuki przeprowadzania wywiadu i śledztwa oraz wykrywania kłamstw.

Postronnemu obserwatorowi szkolenie to mogło niewydawać się bardzo podniecające w porównaniu z opanowywaniem statku za pomocą szturmowej pomocy z helikoptera.

Ale znowu jedna sprawa - większość ludzi nie ma zbyt wielkiego pojęcia o emocjach wiążących się z możliwością manipulowania ludzkim zachowaniem.

FBI oraz kilka innych agencji wywiadowczych wyspecjalizowały się na przestrzeni ostatnich lat w naukach behawioralnych.

Badały postęp badań we wszystkich dziedzinach, od proksemizmu poczynając (manipulowanie kontaktami interpersonalnymi), a na neurolingwistyce kończąc (studiowanie ruchów oczu), i włączyły elementy tych badań do bardzo skutecznych sposobów wpływania na ludzkie zachowanie.

Znajdując wspólne cechy w ich zachowaniu, możemy przekonać ludzi, aby zrobili to, czego innym przypadkiem nie chcieliby zrobić, na przykład aby powiedzieli prawdę.

To nie jest jakiś ślepy proces dokonywania zmian w ludzkim umyśle, o czym marzą naukowcy w laboratoriach wojskowych.

To synteza psychologii, skuteczności i starej, dobrej intuicji.

Jeśli dobrze się tego nauczy i należy się skoncentrować, można wykryć kłamstwo i wydobyć z ludzi wszystkie informacje o tym, co kiedykolwiek robili.

Wiedzą tym iluzjoniści, hipnotyzerzy, sprzedawcy samochodów i pracownicy agencji nieruchomości.

Wiedzą, że ludzka istota podświadomie wysyła najrozmaitsze sygnały.

Zdają też sobie sprawę, że wydobyć od ludzi informacji, na których im zależy, może przynieść bardzo

duże korzyści.

Rozpocząłem swoje zajęcia od mego ulubionego przykładu.

Zaprosiłem do Akademii kolegę z drugiego roku w college'u, znanego iluzjonistę imedium.

Miał przeprowadzić show.

Moim zadaniem, jako przewodniczącego komitetu programowego, było zapłacenie mu za pokaz.

Siedziałem na sali z otwartymi ustami, podczas gdy on czytał wmyślach, wyginał palcem i robił inne zadziwiające

Powrót do źródeł

387

sztuczki.

Kiedy skończył, podszedł do brzegu sceny i oznajmił, że ostatnia sztuczka będzie najtrudniejsza.

Możemy schować czek, którym dostać za występ, gdzie nam się podoba, byle tylko gdzieś na sali.

Jeśli nie uda mu się go znaleźć, to mu nie zapłacimy.

- Muszę to zobaczyć - wymamrotałem.

Ten czek, opiewający nadtość pokaźną kwotę, miałem w kieszeni i musiałby o tym wiedzieć.

Dwóch z moich kolegów poszło z nim do zielonego pokoju znajdującego się w podziemiach, a ja dałem czek innemu zaufanemu koledze, który siedział na podium.

Wsunął go pod swoją czapkę baseballówkę.

Dwa tysiące znajdujących się na sali ludzi wiedziało, gdzie jest czek, a koledzy na dole stanowili gwarancję, że magik nic nie widział ani niczego nie słyszał.

Przyszedł.

- Najpierw potrzebny mi pomagier - oznajmił.

Wybrał jedną osobę z sali, powiedział jej (a znałem tego studenta), aby szła tam, gdzie jej powie.

I tak chodzili przez kilka minut po auli, wreszcie zbliżywszy się do tego kolegi, który miał czek pod czapką.

Podczas gdy wszyscy patrzyli w milczeniu, magik pomachał ręką nadosłupiałym posiadaczem czeku i stanął przy nim.

- Chybamaszcoś, co należy domnie - powiedział.

Mówiąc to, zdjął mu czapkę i wziął swój czek.

Wiele lat później FBI nauczyło mnie, jak to się robi.

- Czybawiłeś się kiedyś w zabawę ciepło-zimno, gdy byleśmy?

- spytał mnie jeden z kolegów.

- Tu chodzi o to samo, tyle tylko, że wykorzystujemy to sprzężenie zwrotne w nieco subtelniejszy sposób.

Zrozumiałem.

W dziecinnej zabawie bawiący się wołają "ciepło", gdy się zbliżasz.

Natomiast w grze dorosłych rozwiązania są jakby owinięte w warstwy podstęp.

Czasem przestępca chce się przyznać, ale po prostu nie ma odwagi.

Jednak podświadomie unaocznia tę winę i totalnie dalece, że podsuwa rozwiązania prowadzące do przyznania się.

Wydobycie prawdy z warstw kłamstwa nieróżni się niczym od znalezienia czeku w zatłoczonej sali.

Trzeba tylko wiedzieć, jak i gdzie patrzeć.

Wersja FBI tej sztuczki rozpoczyna się w klasie, w której znajdujesz instruktora i grupka sceptycznych studentów.

- To, czego chcę tu ci nauczyć, już znacie - powiedziałem im.

- Większość was potrafi poznać, gdy ktoś mówi nieprawdę.

W waszym dorosłym życiu może to prowadzić do kłótni lub dyskusji.

Ale w tym.

388

Zimny strzał

tu biznes musi to prowadzić do skazania.

Naszym celem jest praca

wiodąca przez podejrzenie do skazania.

Zacząłem od wyjaśniania, że większość ludzi nie bardzo umie kłamać.

Bez względu na to, jak bardzo staramy się ukryć kłamstwo, to i tak dajemy pewne przesłanki dla narodzin z wątplenia, strachu lub stresu, co przy odpowiednim szkoleniu można wykryć.

I z tego właśnie żyją prestidigitatorzy.

Najpierw nasz magik ustalił bazę, tak aby wiedzieć, czego, pod względem zachowania, może się spodziewać od swojego audytorium.

Postawił sobie pytania: jak zgromadzeni ludzie się zachowują, kiedy są spokojni i nic im nie zagraża?

Dwugodzinny występ dał mu mnóstwo czasu, potrzebnego, aby podzielić ludzi na kręgi.

Podczas sztuczki, każdy siedzi cicho na brzegu krzesła.

Pokaż rozwiązania - i widzisz, jak odprężają się, bijąc brawo i zdumiewając się.

Jak siedzą?

Kiedy się poruszają?

Jaki mają wyraz twarzy?

Ze sceny widzi to wszystko

doskonale.

Następnie wytworzył poczucie konsekwencji, stymulując anomalie zachowań.

Ustanawiając konkurs międzysobą a widownią, tym bardziej że chodziło o znaczną sumę pieniędzy, dał każdemu z widzów powód do zaangażowania.

Wreszcie potrzebny był mu czynnik ludzki spełniający rolę różdżki:

ktoś, kto wie, gdzie schowany jest czek.

Ktoś, kto sztywnieje, gdy zbliżasz się do tego schowka, i odpręża, kiedy się od niego oddala.

Resztę magik robił już sam, wykorzystując swoje zdolności udoskonalone do takiego stopnia, że dostawał dziesięć tysięcy dolarów za ich prezentację.

Im bardziej publiczność starała się, aby nie zbliżyć się do miejsca, w którym był ukryty czek, tym bardziej wskazywała mu drogę.

Panował nad nimi od chwili przekroczenia drzwi sali.

- Jeśli chcecie odnosić sukcesy na tym polu, musicie nauczyć się zrozumieć interpersonalną dynamikę - powiedziałem mojej klasie.

-Niemartwcie się, dostaniecie broń i amunicję.

I będziecie strzelać.

Ale wytrzymajcie ze mną trochę i może dojdziemy do punktu, w którym okażecie, że będziecie mogli uniknąć użycia broni.

Rozpoczęliśmy od słuchania.

Większość ludzi przetwarza codziennie tysiące bajtów informacji, niezwracając na nie najmniejszej uwagi.

Koncentrujemy się na rzeczach, które nas interesują, i na tym, z czego czerpiemy bezpośrednią korzyść.

Całą resztę odkładamy lub odrzucamy za pomocą subtelnych gestów jak potrząśnięcie głową,

Powrót do źródeł

389

pocieranie oczu, albo mówiąc wprost: -Słuchaj, nie mam teraz na to czasu.

Efekt netto tego jest kultura słyszenia i tolerowania, a nie naprawdę nigdy nie słuchania.

A agenci FBI muszą znać tę różnicę.

A wszystko rozpoczyna się od otwartego pytania, takiego, na które nie można odpowiedzieć tylko "tak" lub "nie".

Pozwólmy ludziom mówić.

Odbierajmy ich zachowanie bez narzucania się, przytakujmy ich słowom kiwnięciem głowy albo delikatnym uśmiechem.

- Pokażcie im, że obchodzi was to, czego się dowiadujecie, a w końcu powiedzą wam wszystko, co chcecie wiedzieć.

Opowiedziałem im historię o studencie uniwersytetu stanowego Southwest Missouri, który twierdził, że widział, jak z budynku wybiegał jakiś człowiek, krzycząc, że właśnie podłożył bombę.

Ewakuowaliśmy cały kampus i wezwaliśmy jednostkę do rozbrajania ładunków wybuchowych z Fortu imienia Leonarda Wooda.



Po co najmniej godzinnej rozmowie z tym studentem zdałem sobie sprawę, że jego odpowiedzi nie są spójne.

Coś tu nie pasowało.

Kiedy już niemal do znudzenia nasłuchiwałem się, naprzytakiwałem i pocieszałem go, chłopak nagle wziął głęboki oddech i powiedział:

- No, dobra, masz mnie.

Nie ma żadnej bomby.

Po prostu nie chciałem pisać testu.

Podczas całej naszej rozmowy nie zadałem mu ani jednego pytania, tylko pozwoliłem mówić.

- Interwiew to rozmowa, którą przeprowadzasz w pewnym celu - powiedziałem swoim uczniom - a naszym celem, jako agencji prowadzącej śledztwo, jest zebranie informacji.

Zadasz odpowiednie pytanie i nawet sam diabeł się na nie złapie.

Natomiast spieprzysz rządy, a możesz co najwyżej koordynować proces naboru kandydatów do FBI.

Od tego punktu zazwyczaj zaczyna się opowiadanie historii, które nam się przytrafiły.

Przypomniałem sprawę Karen, ofiary pozaziemskich orgazmów.

Reda Rydera 749, Jamesa i Billy'ego Jenksów, Bobby'ego Matthewsai kilkanaście innych, które równie mocno wryły się w pamięć.

Opowiedziałem im o rzeczach, których nikt nie przeczyta, na przykład jak przekonałem napadającego na banki, aby się przyznał, mówiąc mu, że nasze laboratorium może na podstawie zdjęcia wykonać dokładną kopię jego twarzy.

- Nie potraficie tego zrobić - on na to.

390

Zimny strzał

- Oczywiście, że potrafimy - ja mu na to.

- A jak myślisz, co zrobiliśmy z Alem Capone?

Cóż, Konstytucja władz szczególnie sposób nie chroni kretynów.

W przeciwieństwie do naszych przedstawianych Kongresowi propozycji budżetowych, minimalna część z największych osiągnięć FBI to efekt zastosowania kosztownych urządzeń technicznych lub taktyki błyskawicznego działania.

Do najważniejszych skazań doprowadza zazwyczaj jeden lub dwóch wybitnych agentów, którzy wiedzą, w jaki sposób wykorzystywać kilka podstawowych technik wpływających na zachowanie innych oraz dobrze zaplanowane aresztowanie.

Aby w czasie rozmowy wydobyć wszystko to, co nas interesuje, należy dobrze się przygotować.

Przejrzeć inne, podobne historie, informacje uzyskane od informatorów, akta FBI, nakazy aresztowań w Krajowym Kryminalistycznym Centrum Informacyjnym i inne podstawowe dane - to wszystko razem może zadecydować o wygranej lubo porażce.

Dla zilustrowania przypomniałem pewne proste, podstawowe śledztwo, które kiedyś prowadziłem podczas stażu.

Sprawy tego typu są zbyt nudne, aby spędzać nad nimi wiele czasu, toteż pominąłem tam przygotowań i poszedłem na lunch.

Trzydzieści minut później wpatrywałem się, wzdłuż lufy .

3006 boltguń, w oczy odurzonej amfetaminą kobiety.

- Spierdalaj, Frank, spierdalaj!

- wrzeszczała.

A tymczasem małe przygotowanie się do tej sprawy wykazałoby, że kobieta, której szukałem, wyprowadziła się, a nowalokatorka - ta z karabinem - właśnie świętowała swoje wyjście z centrum pomagającego osobom z problemami psychicznymi dostosować się do rzeczywistości po opuszczeniu szpitala psychiatrycznego.

Cała uroczystość odbywała się przy udziale mieszanki narkotyków i butelki muskatela.

Zapewne to wywołało jej paranoję na temat faceta o imieniu Frank, za którego mnie wzięła.

Na szczęście ten Frank przeszedł przeszkolenie na kursie obrony Grubego Ala.

Tak więc rozmowa nie zawsze jest pomocna w rozwiązaniu każdego kryzysu.

Krok numer dwa przy przeprowadzaniu interwiew to mocny uścisk dłoni, nawiązanie kontaktu wzrokowego i nieco ludzkich uczuć.

Benny uczył mnie tego na przykładzie skradzionej ciężarówki, a działa się tonieopodal Neosho, w Missouri.

Dwóch braci znalazło sobie sposób na życie, kradnąc ciężarówki-chłodnie, następnie rozbierając je na kawałki

Powróć do źródeł

391

i sprzedając aluminiowe części na złom.

Kiedy ich złapaliśmy, był chyba najgorętszy dzień lata, a Benny wkroczył do akcji.

Coś było w jego niebieskim ubraniu i w akcencie z Arkansas,

co paraliżowało miejscowych.

- Zagorąco, aby łowić, co, chłopcy?

- powiedział.

Oni wiedzieli, że Benny jest z FBI, poznali to choćby po jego ramionach.

- Za cholere nie wiem, dlaczego tak się bardzo trudzicie nad kradzieżą, skoro można zarobić dobre pieniądze, pracując uczciwie.

Sądzę, że oni przyznali się tylko dlatego, aby wreszcie znaleźć się w cieniu.

Krok numer trzy: nawiązanie kontaktu.

Sztuki niewinnej rozmowy nauczyłem się od Truły'ego Ashtona, legendarnego detektywa z departamentu policji w Springfield.

Mając na imię Truły, człowiek albo jest stale niedowartościowany, albo też poświęca się karierze przygotowywania dekoracji kwiatowych w miejscowej restauracji Food Lion.

- Cześć, mam na imię Truły - zwykł mawiać Truły Ashton, przedstawiając się najgorszemu złoczyńcy.

- Wiem, co sobie myślisz, ale nikt nie umniejsza mojej miłości do matki.

Jeszcze nigdy nie widziałem, aby jakiś łotr nie uśmiechnął się, słysząc te słowa.

I od tej chwili Truły już ich miał.

Walka z przestępczością nie zawsze musi być poważna.

Zadawanie pytań to podstawa w naszej pracy, ale to dopiero etap numer cztery w całym procesie dochodzenia do sedna.

Chcesz skoncentrować się na faktach, następnie badasz teren na obrzeżach, patrząc, jakby tu się dobrać do tego, co najważniejsze.

Nikt nie umiał tak zadawać pytań, jak Gruby Al.

Od czasu do czasu uciekał się do fizycznej perswazji, ale na ogół polegał na wymyślnych zdaniach i dobrym, staromodnym szyderstwie.

Pewnego ranka zdybaliśmy w miejscowym pięciogwiazdkowym motelu Pod Srebrnym Siodłem trójkę rabusiów, którzy obrabowali bank: dwóch braci i żonę jednego z nich.

A szczegóły.

no, były dość pokazne.

Zabraliśmy kobietę na komisariat, bo były tam lepsze warunki doprowadzenia interwiew, i podsunęliśmy jej krzesło.

Al pozwolił jej przejść czy dwie minuty ochłonąć, a potem przekazał ją mnie, spodziewając się, że zdobędę swoje pierwsze, prawdziwe przyznanie się do winy.

Gdy wszedłem do pokoju, zastałem liczącą 155 centymetrów wzrostu Cruellę siedzącą w pozycji lotosu na obracanym krześle typu morris.

Włosy zwisały jej z przodu, zasłaniając twarz niemal całą postacią.

392

Zimny strzał

- Cześć, jestem Chris Whitcomb z FBI - powiedziałem.

- Chciałbym porozmawiać z tobą na temat napadu na bank, jaki miał miejsce dziś rano.

- To zdanie właściwie wyczerpało skalę mojego doświadczenia związanego z przeprowadzaniem interwiew.

Akcent wciąż zbyt zdradzał moje pochodzenie z Nowej Anglii, aby był tutaj tolerowany.

Cisza.

Ani słowa odpowiedzi.

Nawet mi nie powiedziała, jak ma na imię.

Conajmniej pogodzinie trwania takiej sytuacji poddałem się i przekazałem pałeczkę.

Gruby Al klepnął mnie po plecach i zamknął za sobą drzwi.

Po dwudziestu minutach wyszedł, bopotrzebował pióra i papieru, aby spisać jej zeznanie.

- Jak, do cholery, żeś to zrobił?

- spytałem.

- Nie wiedziałem, jak

do niej dotrzeć.

- To nieskomplikowane maleństwo - powiedział, walcząc nieustannie wymykającymi się ze spodni połami koszuli.

- Wystarczyło jedno pytanie.

- Jakie?

- Cóż, to jasne, że pierdoli sięz obydwoma.

Więcy tylko spytałem, który włązi na nią pierwszy, ten, co nosi broń, czy ten, który prowadzi

samochód w czasie ucieczki.

Cóż, walka z przestępczością nie zawsze jest subtelna.

Niestety, stanie na straży prawanie zawsze też wiąże sięz prawdowością.

Jeśli osoba, którą przepytujesz, zaczyna udzielać bezsensownych odpowiedzi, albo też przyprawiają cię one o niestrawność, możesz uciec się do najulubiejszej metody - przesłuchania.

Jest to bardzo wdzięczna, ale bardzo trudna do doprowadzenia do perfekcji technika.

O ile interwiew manewruje dokoła umiejętności interpersonalnych, taktownych i dowcipnych odpowiedzi, przesłuchanie prowadzi się do wykazania, kto jest większym dupkiem.

Aby rozpocząć przesłuchanie, musisz wiedzieć (tak precyzuje to FBI), że zeznający kłamie albo też jest bez dwóch zdań winny.

Przesłuchanie to propozycja, od której nie ma odwrotu, a ty wcale nie chcesz stawiać bezpodstawnych stwierdzeń oraz spędzić następnych czterech godzin, wrzeszcząc na faceta, jeśli nie jesteś cholernie pewny, że on się przyzna.

Powrót do źródeł

393

I dlatego kluczym elementem staje się stwierdzenie, czy ten facet kłamie, czy nie.

Niemal zawsze powiedzą, czy kłamią, czy też nie, ale ty musisz bardzo zwracać na to uwagę.

Ludzie kłamią w dwojaki sposób.

Albo na zamówienie, myśląc, że błyskawicznie wyjdą, albo pomijają wiele rzeczy, czyli tańczą dokoła prawdy.

Oba te sposoby oszustwa zawierają w sobie pewne przesłanki, które dobry śledczy może wykorzystać.

Przesłanki głosowe są oczywiste, takie jak jękanie się, udzielanie wymijających odpowiedzi albo udawanie emocji (co było widoczne w procesach O.

J. Simpsona, Susan Smith, Billa Clintona).

Mogą się wydawać dość niewinne.

Zawsze byłem pod wrażeniem przysięgi na Boga, bo uważałem, że bez względu na to, jak ciężkie jest przestępstwo, to nikt nie będzie kłamać, przysięgając na Boga.

I znowu 'byłem w błędzie.

Każdy aresztowany przeze mnie ptaszek przysięgał na Boga w którymś momencie swego procesu, im bardziej był winny, tym bardziej się zarzekał, przywołując Boga na świadka swej niewinności.

Benny nauczył mnie, jak należy to tłumaczyć.

- Przysięgam na Boga i na oczy mojej biednej matki!

- oznacza "Masz mnie, ty skurwysynie .

""-powiedział.

Po pewnym czasie nauczyłem się, że słysząc te słowa, trzeba sięgać pokłuczyki samochodu, bo za pół godziny aresztuje się tego ptaszka.

Niektórzy ludzie kłamią bardzo wymownie, ale zdradzają ich ruchy.

Pozawerbalne wskaźniki kłamstwa są o wiele ciekawsze dorozpracowywania niż słowa.

Większość nas uczy się oceniać te behawioralne wskazówki intuicyjnie, przez lata wzajemnych związków, wychowując dzieci lub obcując z szefami bez kręgosłupa.

Ludzie po prostu "wiedzą", kiedy ktoś ich okłamuje, nawet jeśli nie wiedzą,

dłaczego.

Instynktowne odczucia niebudzą szacunku na sali sądowej, toteż uczynnych agentów, aby szukali specyficznych oznak kłamstwa.

Przed wszystkim ważniejsze jest to, co dana osoba pokazuje, aniżeli to, co mówi.

Zawsze.

Miałem pewnego informatora imieniem Chubb.

Niespecjalnie lubił mówić prawdę i ilekroć zadawałem mu decydujące pytanie, odpowiadał "tak", ale kręcił przecząco głową.

Czasem nawet prowokowałem sytuacje odwrotne, tak dla śmiechu.

Sam kilkakrotnie próbowałem, czy potrafię tak zrobić.

Trudno jest mówić "tak" i równocześnie kręcić głową, gdyż ciało w sposób.

394

Zimny strzał

naturalny chce zgrać ze sobą te dwie odpowiedzi.

A jeśli nie może tego zrobić, to patrz na ruch głowy.

Podrugie, ludzie są ssakami, a ssaki tak samo reagują na stres odchwili, gdy Pan Bóg pokazał Adamowi, że jest nagi.

W klasycznym scenariuszu "walcz albo uciekaj" ciało przygotowuje się do prowadzenia wojny lub uciekania od niej.

Obojętne czy to w pierwszym, czy drugim przypadku, przez żyły zaczynają płynąć krew i adrenalina, zmieniając chemię ciała.

Krew odpływa z kluczowych organów, odcina dopływ tlenu do mózgu, sprawiając, że skóra staje się chłodna i blada.

Z kolei adrenalina przyspiesza bicie serca, oddychanie, przemianę materii.

Gruczoły zaczynają wydzielać śluz, aby powstrzymać inne ssaki od schwytania cię.

Możesz stwierdzić, kiedy ten proces zachodzi, bo osoba, z którą rozmawiasz, blednie, zaczyna jej burczeć w brzuchu, robi się jej sucho w ustach, co utrudnia mówienie.

A jeśli masz dobry węch, to możesz nawet poczuć zapach śluzu.

Ma on woń inną niż pot.

Pachnie tak, jak strach.

(Praca w Ozarks utrudniała mi udoskonalenie tych możliwości.

Stykałem się tam tyloma najróżniejszymi zapachami, że trudno byłoby wyłowić ten właściwy).

A wreszcie trzeba ustalić pozycję wyjściową (bazową).

Wszystcy mamy manieryzmy i idiosynkrazje, które określają nas jako indywidualne jednostki.

Aby ocenić zachowanie, należy patrzeć na bitkę różnorodnych zachowań z różnicowością, co jest normalne, a co nie jest.

Trzeba obserwować daną osobę w czasie rozmowy.

Naprawdę należy to robić.

Co robi z rękami?

Z gestami?

Z koniuszkiem języka?

A teraz zarzuć jej pętlę na szyję i zobacz, co się stanie.

-Hej, chłopie, słyszałem, że przyłapano cię kiedyś z szefem w garderobie.

Nigdy nie przypuszczałem, że jesteś taki.

Co się wtedy zdarzy?

Jak zachowuje się człowiek pod wpływem stresu?

Jak jego zachowanie różni się od tego, kiedy jest spokojny?

Polowanie na kłamstwo to jak wypróbowywanie oręża przeciwnika, szukanie dziur.

Wiesz, że ugodziłeś we właściwe miejsce, gdy widzisz jakiś nerwowy ruch.

Kiedy u osoby, z którą przeprowadzasz interwiew, widzisz symptomy świadczące o tym, że kłamie, a twoim zdaniem nadszedł czas ostatecznego ataku, muszą się zdarzyć pewne rzeczy, i to natychmiast.

Najpierw ma miejsce interludium "sprzedawcy w salonie samochodowym".

Powrót do źródła

395

Każdy, kto kupował samochód, dobrze to zna.

Przychodzisz do salonu, wiedząc, że jesteś gotów zapłacić pewną sumę za określony



model posiadający takie to a takie cechy.

Sprzedawca dopada cię, serwując doskonale wystudiowany uścisk dłoni, pokazuje twój wymarzony samochód, a następnie zaprasza do spokojnego miejsca na rozmowę.

Pisz coś na kartce papieru, gdy ty tymczasem utwierdzasz się w swoim żelaznym postanowieniu: "nie odstąpię od swojej ceny, choćbyś nie wiem co zrobił" i przedstawiasz swoją ofertę.

- Nooo, chłopie, ja tu chcę z tobą współpracować, a ty od razu tak mnie zażywasz - mówi sprzedawca.

Teraz odchyła się na krzesło, szacuje twoją reakcję, dokładnie tak, jak go uczone na kursach sprzedaży, a następnie stosuje najstarszy trików.

- Wiesz co, przedstawię twój a propozycję szefowi.

Sam po prostu nie mogę decydować o takich upustach.

I wychodzi, aby napić się kawy albo pójść do łazienki lub zadzwonić do kolegów i pośmiać się z siebie.

A tymczasem szefa wcaleniama, bo gdzieś załatwia większe interesy aniżeli ten twój.

Cała ta sztuka polega na tym, aby zostawiając cię samego, dać ci czas na to, czego on nie potrafi zrobić: złamanie cię.

Siedzisz tam i przetrzymasz, ile jesteś gotów zapłacić za samochód, w którym on właśnie pozwolił ci usiąść za kierownicą, poczuć go, powąchać, pokochać.

Nikt nie pożąda tego samochodu bardziej od ciebie.

Nikt bardziej na niego nie zasługuje.

Zanim sprzedawca wróci, ty jesteś gotów zaoferować mu nieco więcej.

A dobrzy sprzedawcy wiedzą, jak przykręcać śrubę.

Przecież tak właśnie zarabiają na te swoje śliczne krawaty z poliestru.

Przesłuchanie niemal niczym się tu nie różni.

Wystarczająco długo pracowałem z Grubym Alem i z Bennym, aby wiedzieć, kiedy osoba przesłuchiwaną zaczyna się łamać.

Czasem przestępca od razu przyznawał się, mówiąc, że to on popełnił zbrodnię, a czasem musiałem wyczytać to z jego zachowania.

Nie miało to znaczenia.

Gdy wietrzyłem oszustwo i decydowałem się rozpocząć grę, posługiwałem się technikami,

od wieków wypróbowanymi przez sprzedawców.

Jedyna różnica polega na tym, że agent FBI musi zaoferować i sprzedać liczbę lat spędzonych w więzieniu.

A to niełatwe.

- Przepraszam na chwilę - mówiłem, kiedy nadchodził moment, aby przerwać już miłą, kordialną pogawędkę i przejść do silnego uderzenia.

- Muszę wykonać szybki telefon.

Może chcesz coli?

396

Zimny strzał

Wychodziłem w miłej i przyjaznej atmosferze i patrzyłem, jaka jest pogoda, albo sprawdzałem notowania na giełdzie, bądź też dzwoniłem do domu, żeby dowiedzieć się, co będzie na kolację.

A przeszukiwałem siedział tam i usiłowałem zgadnąć, czy też kupiłem tę jegostertę bzdur.

Kiedy już zdecydowałem, że miałość czasu, aby nad sobą popracować, wracałem jako zupełnie ktoś inny.

Gdy wchodziłem, zdejmowałem rękawiczki.

Żadnej coli, żadnego nawiązywania kontaktu, żadnych pytań.

Zaczynasz od formalnego oskarżenia, uczynasz zaprzeczenia i sprawiasz, aby wierzył, że dokładnie jest ci wiadomo, w jaki sposób popełnił on przestępstwo.

Proponujesz mu, aby się przyznał.

Racjonalizujesz jego rolę w tym przestępstwie, zarzucasz winę innym, zawężasz mu obszar dla przyznania się.

Przeprowadzałem kiedyś interwiew w Republic w stanie Missouri z facetem, który pierwszy raz trafił do więzienia.

Przyznał się innemu więźniowi, że obrabował bank na podlegającym mi terenie.

Pojechałem do tego więzienia, przeczytałem facetowi jego prawa i uruchomiłem cały swój arsenał trików, mających na celu wypracowanie dobrego kontaktu.

Chociaż wiedział on, po co przyjechałem, to przecież wciąż byliśmy dwojgiem ludzi prowadzących rozmowę.

On wiedział, czego chce, i ja też wiedziałem, czego chcę.

Gdzieś pomiędzy nami leżało nasze wspólne terytorium, na którym mogliśmy współdziałać.

Kiedy już zdecydowałem, że dość tego, przeprosiłem pod pretekstem, że muszę iść do łazienki, i zostawiłem go na wystarczająco długo, aby przetrwał swoje kłamstwa.

To poezja całego procesu.

Mogą ci mówić co chcą prosto w twarz, ale kiedy zostajaszami, to jest z nimi tylko Pan Bóg, którego ukrzyżowali przysięgali.

W większości przypadków głosy w ich mózgu okazują się o wiele bardziej przekonujące niż twoje.

Gdy wróciłem, przedstawiłem oskarżenia, uciąłem jego kłamstwa i zapewniłem, że mam mnóstwo dowodów, które pozwolą mi wsadzić go do federalnego więzienia na dostatecznie długo, aby jego umięśniony towarzysz w celi zmienił mu imię na Suzy.

Poprosił o papierosa, a ja wiedziałem, że go mam.

Wielkie westchnienie to pierwsza oznaka rezygnacji, ale zapalenie Marlboro płasuje się zaraz na drugim miejscu.

Kiedy facet zapala papierosa i odchyli się do tyłu na krześle, jestem gotów zadzwonić do szefa i wypełnić formularz FD-515, świadczący o kolejnej rozwiązanej sprawie.

- OK - powiedział.

- Masz mnie.

Ja to zrobiłem.

Powrót do źródeł

397

Jednak problem polegał na tym, że mówiąc "tak", kręcił głowę lewo i w prawo.

To było coś nowego.

Dwa tygodnie później przekopując się przez wszystkie dowody, odkryłem, że się przyznał, bo myślał, że w więzieniu federalnym może dostać wyrok trzech lat, co przekreśli jego pięcioletnią karę odsiadki w więzieniu stanowym w Jefferson City.

Czasem ludzie usiłują przechrzyć samych siebie i robią to na własną zgubę. Uczenie dało mi zupełnie nowe spojrzenie na FBI oraz na moją rolę. Od momentu, w którym ja byłem nowym agentem, w Akademii zaszły zmiany. Administracja wydłużyła okres wstępny z trzynastu do szesnastu tygodni. Dodała tygodniowy kurs nauki jazdy samochodem w stylu Jamesa Bonda, a wszystko po to, aby nauczyć nowych agentów, jak stosować zasadę numer 3 praw obywatelskich w przypadku winnych napadów na banki. Uległa również zmianie wyposażenie w broń: starsze rewolwery bębnowe Smith and Wesson kalibru .357 zastąpiono Glockami kalibru .40 z czterdziestostrzałowymi magazynkami. Nowi agenci rzadko musieli wciskać się w garnitury i mogli nosić dzinsy, kiedy tylko chcieli. Biedny Edgar Hoover przewracał się w grobie. Jednak prawdziwa zmiana dokonała się wraz z powstaniem całkiem nowego modelu szkolenia. Zastępca dyrektora FBI odpowiedzialny za Akademię wpadł na pomysł, aby wszystkie szesnaście tygodni szkolenia nowych agentów przeprowadzać według jednego, rozbudowanego scenariusza. Polegał on na przyuczaniu nowych agentów do pracy, dając im równocześnie poczucie, że pracują nad prawdziwymi śledztwami to od początku, aż do dochodzenia. Chwalebny pomysł. Z jakichś powodów Akademia wróciła się do mnie z propozycją opracowania takiego scenariusza, a ja zapaliłem się do tego. Sześć wypełnionych gorączkową pracą miesięcy później przedstawiliśmy Zintegrowany Scenariusz (ICS). Ten scenariusz opatrzony literami NACBOMB (większość śledztw, które prowadzi FBI, ma swoje oznaczenia kodowe) rozpoczynał się w trzecim tygodniu nauki telefonem od zatroskanego obywatela. Czternaście tygodni później sprawa miała swoje zakończenie w postaci serii aresztowań i inscenizacji sprawy sądowej. Tymczasem nowi agenci uczyli się na moich zajęciach, jak przeprowadzać interwiew,

wobec tego mogli wykorzystać zdobyte informacje do napisania złożonego pod.

398

Zimny strzał

przysięgą oświadczenia uzyskanego podczas rewizji.

Było to przydatne na pierwszym kursie prawa.

W Hogan's Alley uczyli się, jak usunąć ludzi z pomieszczeń, nie tracąc przy tym przewagi taktycznej, a także jak nałożyć kajdanki, posługując się techniką opanowaną podczas zajęć taktyki obronnej.

Podczas śledzenia celu mogłi nawet korzystać ze specjalnie przygotowanych danych, zupełnie tak, jak gdyby wertowali akta FBI.

Przez cały czas zbierali informacje na temat fikcyjnych przestępców i zmyślnego spiskującego na celu obalenie władzy w Waszyngtonie.

Każdy z nowych agentów pracował nad sprawą tak, jakby musiało robić w którymś zbiur terenowych.

Ilekcio śledztwo wymagało zdobycia jakichś nowych umiejętności, agencja zdobywali je w trakcie akademickich oraz praktycznych zajęć.

I choć skomplikowany i czasochłonny do ułożenia, Zintegrowany Scenariusz działań niczym trzymiesięczna produkcja serialu partyzanckiego, w którym aktorzy miesza się z widownią.

Zawodowi aktorzy byli wynajmowani do odgrywania różnych ról, a nowi agenci sadzali ich za kratki.

W efekcie agenci kończyli Akademię w Quantico wyposażeni w umiejętności niezbędne w pracy.

Opuszczali tę uczelnię, wiedząc, jak to jest, gdy pracuje się nad prawdziwymi sprawami w terenie, i sami nazywali się profesjonalistami.

Nowi agenci nie byli jedynymi, którzy przeszli zmiany w 1998 roku.

Moje życie wystartowało.

Po pierwsze, znaleźliśmy z Rosie stuletni, wiktoriański dom wymagający solidnego

remontu.

I zamiast spędzać większość czasu w podróżach, instalowałem kable, malowałem, kładłem dach, tynki i zakładałem instalację wodno-kanalizacyjną - a wszystko przy pomocy Rosie i chłopców.

Czas spędzony w domu musiał wywrzeć na mnie jakieś mistyczne działanie, bo pięć lat po poddaniu się sterylizacji Rosę nagle stwierdziła, że jest w ciąży.

Nie było to dokładnie to, co planowaliśmy na tym etapie naszego życia, ale okazało się błogosławieństwem, które Pan Bóg zsyła przy wyjątkowych okazjach.

Osiem miesięcy później położyliśmy małą córeczkę, którą nazwaliśmy Chelsea Marie, poraz pierwszy w jej łóżeczku.

Wyglądała tak ślicznie, że postanowiliśmy mieć jeszcze jedno dziecko.

Collin urodził się we wrześniu.

I jakby czwórka dzieci i podatek za liczącą 5000 stóp kwadratowych działkę nie dostarczały mi dość zając, poszedłem nauczelną, aby

Powrót do źródeł

399

zrobić magisterium na zajęciach dla dorosłych.

Program rozpoczęła kohorta licząca siedemdziesiąt dwie osoby personelu Akademii.

Ukończyło go siedemnaście.

A ja przy tej okazji dowiedziałem się o sobie więcej, aniżeli byłoby to możliwe podczas tysiąca godzin spędzonych w gabinecie psychoanalityka.

Doświadczenie ożywiło intelektualną ciekawość, którą zaniedbywałem przez tyle lat.

Czułem, że to pewnego rodzaju dar od Boga.

Moja praca wpływała na poszerzenie horyzontów.

Przyszło mi współdziałać z wieloma innymi agencjami, w tym także z ekipą wojskowych negocjatorów z ramienia ONZ, którzy potrzebowali niewielkiej pomocy, jeśli chodzi o przeprowadzanie interwiew.

Niedługo mieli wyjechać do Iraku.

Uczyłem też efektywnego komunikowania się kierowniczą kadrę FBI - było to w ramach naszego Instytutu Rozwoju Kadr.

Miałem wykłady na temat wewnętrznych służb policyjnych, uczyłem doradców w sprawach równego zatrudnienia białych i kolorowych, a czasem nawet przychodzili gościnnie

na zajęcia studenci z college'ów.

Czytałem, uczyłem i znów poświęcałem siebie na rzeczowego FBI, które zmieniało się niemal z godziny na godzinę.

I oto pewnego dnia, gdy upłynęło już półtora roku, odkąd uczyłem w Akademii, w drodze do biblioteki spotkałem Rogera.

Awansował nakierownika Grupy Reagowania Kryzysowego i wystąpił z propozycją. Grupa miała wszelkie dane ku temu, aby pomagać w kierowaniu i rozwiązywaniu najcięższych spraw kryminalnych.

W ramach jednej organizacji gromadziła talenty, zapasy oraz doświadczenie wystarczające, by udzielić pomocy każdemu biurze terenowemu, jeśli zdarzył się tam kryzys.

Ale brakowało jej sposobu zarządzania strategiczną informacją napływającą do jej organizmu i wychodzącą z niego.

- Chcę, abyś zainicjował zupełnie nowy program - powiedział Roger.  
- Możesz zbudować go tak, jak chcesz, a ja dam ci wszystko, czego będziesz potrzebować.

Ale czas, abyś znów wrócił do pracy po przeciwnej stronie ulicy.

Poczułem się jak wracający do domu syn marnotrawny.

23

Nowa misja

Dwa tygodnie po tym, jak Roger wezwał mnie z powrotem do Grupy Reagowania Kryzysowego, odebrałem wiadomość na biurowej sekretarce.

- Mam nadzieję, że nie zaplanowałaś nic na to lato - powiedział.

-

Pakujsprzęt.

Jedziemy do Kosowa.

Kosowo?

Myslałem, że serce wyskoczy mi z klatki piersiowej.

Odprawie dwóch latnie odebrałem telefonu z wezwaniem.

Już myślo dołączeniu do dawnej ekipy na międzynarodową akcję ratunkową wydawała mi się manną z nieba.

Fakt, że ONZ nadal utrzymuje strefę, nad którą sprawuje kontrolę, w regionie, do którego miałem jechać, czyniła informację od Rogera jeszcze bardziej podniecającą. Nauka techniki przesłuchiwania i postępowania w czasie przesłuchań dawała poczucie spełnienia, ale w momencie, kiedy już zapominałem jak wygląda praca w terenie i moje baterie były całkowicie rozładowane, nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie wskoczę w kombinezon.

Sam dźwięk słowa Kosowo powodował gęsią skórę latem 1999.

Wojna pomiędzy Slobodanem Miloszewiciem i Albańczykami niedawno się zakończyła, agencje prasowe i media na całym świecie co i rusz publikowały kolejne zdjęcia zniszczeń, jakich Zachód nie widział od lat.

Organizacja Narodów Zjednoczonych dopiero co schwyciła Miloszewicia i kilku z jego współpracowników, utworzony właśnie Międzynarodowy Trybunał ds.

Zbrodni Wojennych w byłej Jugosławii (ICTY) zaczął zbierać dowody niewyobrażalnych przypadków ludobójstwa.

I tam właśnie pcha się FBI.

Mimo że wielu Amerykanów z chęcią wszczęłoby publiczną debatę nad sensem i zasadnością ślania amerykańskich agentów za granicę tylko po to, by badali cudze zbrodnie, amerykański rząd niewiele sobie z tego robił.

Louis Freeh skutecznie realizował swoją wizję zagranicznej ekspansji FBI- siatka współpracy Nowa misja

401

cewników obejmowała już ponad sześćdziesiąt państw.

Prawie co tydzień nasze wewnętrzne komunikaty donosiły o wakatach w krajach, o których większość agentów nawet nie słyszała.

Plan odpowiedzi na kryzys, jaki obowiązywał w firmie, zawierał między innymi wytyczne na wypadek konieczności błyskawicznego przemieszczenia jednostek praktycznie w dowolne miejsce na ziemi.

Zmiany wprowadzono kilka miesięcy po tym, jak setki agentów z kwatery głównej.

Grupy Reagowania Kryzysowego i operujących w różnych zakątkach



świata uczestniczyły w misjach związanych z bombardowaniami w tanzańskim Dar es-Salaam i kenijskim Nairobi.

Po tych zdarzeniach praktycznie nikt nie wracał do kwestii wykorzystywania FBI przez ONZ i udziału jego agentów poruszających się czarnymi helikopterami w nie do końca legalnych aresztowaniach osób, które były 'nie dostępne dla błękitnych hełmów.

Chociaż kwatera główna zmusiła HRT do przemalowania helikopterów z czarnego na kolory, które będą lepiej wyglądały w telewizji i przestanę się źle kojarzyć, nie przeszkadzało to oficjelom i agentom z kwatery głównej w przyłączaniu się do misji Trybunału ds.

Zbrodni Wojennych w byłej Jugosławii, by po jego sukcesie ich nazwiska widniały w podziękowaniach.

Dwudziestego drugiego czerwca 1999 roku ponad sześćdziesięciu wybranych ludzi wylądowało w Skopje.

W skład naszej grupy wchodziłi najwyższej klasy fachowcy tacy jak technicy specjalizujący się w znajdowaniu dowodów rekrutowani z pięciu dywizji, grupa agentów z HRT, dwóch pracowników międzynarodowej organizacji Lekarzy narzeczc Praw Człowieka oraz dwóch patologów, kryminolog i antropolog sądowy z Instytutu Patologii Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie.

Namiejsce przylecieliśmy samolotami transportowymi C-5A Galaxy, do których poza nami zmieścił się cały osprzęt niezbędny do miesięcznego przetrwania na obcym terenie.

Nasz ważący ponad sto tysięcy funtów bagaż obejmował wszystko, co niezbędne, od samochodów z napędem czterokołowym (hummer) będące na wyposażeniu HRT oraz chevrolety pickup) po sprzęt do komunikacji satelitarnej, namioty, jedzenie, generatory prądu i przenośną kostnicę.

Przywieźliśmy z sobą koparki, łopaty, oskardy, środki do usuwania i dezaktywacji substancji toksycznych, zapasy medyczne, stroje zabezpieczające przed substancjami toksycznymi oraz amunicję.

Dwaj wyjątkowo kreatywni agenci HRT zbudowali nawet prysznic z kompresora powietrza, węża.

402

Zimny strzał

ogrodniczego i wielkiej płachty niebieskiej plandeki.

Jednym słowem-prawie jak w dobrze wyposażonym domu.

Dzień po tym, jak cała ekipa rozlokowała się w obozie Bond Steelna południe od granicy Kosowa, większość grupy poleciała wojskowymi helikopterami na północ, w okolice dużego albańskiego miasta Gjakove.

Operatorzy HRT transportowali wszystkie pojazdy i sprzęt wąskimi, wyboistymi drogami, które nierzadko zablokowane były uszkodzonymi w czasie bombardowań samochodami.

Drogę zagradzali także uchodźcy, masowo opuszczający swoje zrujnowane domy.

Nieraz już myślałem, że widziałem tragedię, ale się myliłem.

Ten kraj był całkowicie zniszczony.

Całe miasta zostały zrównane z ziemią.

Całe społeczności zniknęły.

Każdy dom był nadpalony.

Truchła krów, świń i ciała ludzkie leżały, gdzie upadły, wzdłuż drogi, puchnąc w słońcu.

Nieważne, jak daleko i jak szybkojechałeś - nie sposób było uciec od zapachu śmierci.

Dopadał cię wszędzie.

To zabawne, jak pojedynczy obraz uderza jak symbol nieopisanego wydarzenia.

Mnie utkwił w pamięci wizerunek zmęczonego, starego mężczyzny.

Szedł na północ z obozu dla uchodźców.

Poruszał się powoli, powłócząc nogami, w zabrudzonych łachmanach, niósł białą plastikową reklamówkę w jednej ręce i zardzewiałą zderzak od jakiegoś samochodu w drugiej.

Życie jest rozpaczliwe, jeśli jedynym towarem, jaki warto mieć przy sobie, jest zdezelowana część do samochodu.

Jeśli polityka FBI zakładająca angażowanie się misje na świecie wydaje się skomplikowana, to przynajmniej ta operacja sprawiała wrażenie prostej. Naszym zadaniem było znaleźć i ekshumować zwłoki oraz ustalić przyczynę śmierci osób, których ciała wydobyliśmy, a które zostały zidentyfikowane przez inspektorów Trybunału ds. Zbrodni Wojennych w byłej Jugosławii w miejscach masowych egzekucji. Wówczas nie wiedział ani nawet nie przypuszczał, ile osób zginęło. Ci, którzy ocaleli, opowiadali o masowych egzekucjach i zbiorowych mogiłach, ale nie istniały żadne dokumenty, zdjęcia, mogące uwiarygodnić przekazywane treści. To właśnie było naszym zadaniem.

Dzień trzeci, miejsce czwarte.

Niski, grubymężczyzna w spodniach wielena niego za dużych prowadzi nas w dość wąską ścieżką.

Na północy i wschodzie błyszczą jasno żółte i szaroniebieskie góry. Łagodny wiatr delikatnie porusza trawę i krzakami cedru.

Nowa misja

403

Przewodnik zaprowadził nas na cmentarz znajdujący się na skraj miasta. Większość grobów była nowa - małe kupki czerwonego ilu oznaczone drewnianymi deseczkami.

Na niektórych znich wryto imiona.

Większość była pusta.

Stały w ciszy, bez żalu czy wyrzutu, nie przywołując na myśl przemocy, która przyczyniła się do ich powstania.

Ludzie w mieście wołają na niego "Schindler" ze względu na to co zrobił, kiedy przyszli Serbowie.

Po zamordowaniu przez nich setek mężczyzn z miasta żołnierze kazali mu dowodzić grupą usuwającą ciała.

Spalili tyle ciał, ile mogli, ale niektóre zwłoki - przede wszystkim te leżące w polu lub alejach - musiały być wywiezione i zakopane, by zapobiec zarazie.

Schindler zasłużył na swoje miano nieprawdopodobnym aktem heroizmu.

Zamiast zwieźć ciała swoich przyjaciół i rodziny do wielkiej dziury i tam

beziemiennie zakopać, w tajemnicy przewoził zwłoki nacmentarzy prowadziłdokładny rejestr,kogo gdziepochował.

Takie zachowanie nie wydaje się niczymszczególnym, jednak w czasiewojnyryzykował własnym życiem tylko po to, by ci, którzy powrócą do miasta, mogli usypać w odpowiednim miejscu grób zkamieni dla swoichprzodków.

Schindler zapadłmi wpamięć jakoidealny symbol tego, jakdalece ta wojna zmieniła i zasmuciła ludzi: zamiast szukać bohaterówwśród tych, którzypomogli ocalić życie innych, definiowaliich spośródtych, którzy pomogli innym godnie umrzeć lub zostać pochowanymi.

Tam - tłumacz wskazał łąkę na wzgórzu zaledwiedwieście metrówod najbardziej na wschód wysuniętej dzielnicy Gjakove.

Schindler wyciągnął pogniecioną kartkę z kieszeni i sprawdziłkilka pospiesznieskreślonych słów, jak gdyby zbierał wskazówki namapie do skarbu piratów.

Twierdził, że na tym jednym polu pochowałkilkaset osób.

Świeżo wzruszonaziemia potwierdzała jego słowa: groby pokrywały pole po horyzont, od drogi aż po wierzchołek wzgórzawznoszącego się woddali.

Ziemia zdawała się naznaczona resztkami nieopanowanej rzezi.

Wyobraziłem sobie,że tak właśnie wyglądają miasta po wielkich bitwach: Megiddo, Gettysburg, Verdun.

Dźwięki wojny osłabły na wietrze, pozostawiając jedynie ciszę, ponure, bezgranicznie opuszczonepołacie ziemi.

- Popatrz na to - powiedział Jimmy.

Wskazał przy tymna góry,pomiędzy którymi jasnoszary wojskowy helikopter nurkował w prawo,niemal wymykając się spod kontroli pilota.

404

Zimny strzał

- Prawie go drasnął, widzisz?

To musiał być pocisk ziemia-powietrze.

To był CH-53, jeden z większych helikopterów transportowych, który przewoził połowę naszej grupy z obozu Able Sentry w Skopje.

Helikoptery te, jak pokraczne szare ptaki, stały tam wzdłuż ubitej żwirowej drogi po powrocie z kolejnej wyprawy, podczas której kolejne oddziały i zapasy zostały przetransportowane na północ.

Wyglądało to co najmniej dziwnie, grupa ubranych w kombinizony, objuczonych plecakami facetów wspinających się po siatkowej drabinie na swoje miejsce tuż obok młodego żołnierza z piechoty, który z M-60 wymierzonym w ziemię pilnował drzwi, czekając, aż wzbijemy się w powietrze.

Jimmy wyglądał naśladując uniki pilota z rozłożonymi rękoma jak ptak.

On wiedziałby, co robić.

Zanim wstąpił do FBI i HRT, pilotował blackhawki w 160.

Specjalnej Jednostce Lotniczej.

Za loty podczas zamieszek w Mogadyszew w ramach operacji Delta dostał nawet Srebrną Gwiazdę.

Niesłychane, jak różni ludzie wstępują do HRT.

Czekaliśmy chwilę, kiedy samolot spadnie, śledząc ślady na niebie pozostawione przez rosyjskiego SAM-a.

Nic.

Helikopter obniżył lot i zniknął na południu, najwyraźniej nie przejmując się tym, co wystraszyło pilota.

- Nie samowite miejsce, co nie?

- zapytał Johnny.

Przeszedł obok

w kamuflażu i pełnym uzbrojeniu.

Karabin szturmowy CAR-16 wisiał mu na prawym ramieniu jak zimna, stalowa proteza.

- Pieprzony

smród.

Zarówno stojąc na cmentarzu, jak i przechodząc przez rynek miejski, wszędzie czuło się słodki, podobny do wyziewów skunksa zapach rozkładających się szczątków.

Wczoraj przejeżdżaliśmy przez inny cmentarz na wschód od miasteczka, by

rozminować okolice miasta.

Ponad dziesięć kilometrów jechaliśmy międzypolami i przez całą drogę mieliśmy okazję, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Zapach śmierci jakby wżarł się w ziemię, tak jak zapach papierosów wżera się w ubranie po nocy spędzonej w zadymionym barze.

Po prostu nie można się go pozbyć.

Johnny i Jim, a także reszta moich dawnych kompanów z jednostki snajperskiej, została przemieszczona, by zabezpieczać obwód miasta.

Większość strzelców wyeliminowano od razu, ale od czasu do czasu zdarzały się alarmy przekazywane przez wywiad, wskazujące nowe pozycje

Nowa misja

405

miejscowych snajperów.

Nocami obóz wypełniały dźwięki strzelaniny i wybuchów dochodzących z okolicznych pól.

Blask bijący od płonących domów był jedynym światłem, odkąd przed miesiącami elektryczność przestała działać.

Poza obozem - w mieście i na polach - Kosowo wydawało się bardzo prymitywne.

Gdyby nie szczęk czołgowych gaśnic, okolicę można by określić jako wyjętą z książki o średniowieczu.

- W porządku, pora brać się do pracy.

- Art, dyrektor laboratorium FBI, zebrał ekipę w pobliżu czarnego Chevroleta 3500 wypełnionego łopatami, oskardami i workami naciąłymi.

Wysoki, łysiejący agent z gęstą bródką sięgnął dopudła po biały strój ochronny.

Założył gona dzinsy.

Na biodrze wybrzuszał mu się pistolet kalibru .

40. Kilkunastu innych techników zajmujących się znajdowaniem dowodów naco dzień pracujących w biurach w Pittsburghu, Newark, Filadelfii, Waszyngtonie i Bostonie, również przywdziało skafandry, przygotowując się do kolejnego dnia koszmarnej służby.

Tak jak w piosence: "Praca jest prosta, ale niełatwa".

Przyjechaliśmy, by zebrać dowody zbrodni wojennych, ale w rzeczywistości

odkrywaliśmy ciała i ich części z ogromnej liczby mogił.

Naciągnąłem sobie T-shirt na twarz w nadziei, że choć trochę uda mi się przefiltrować powietrze, ale to nic nie pomagało.

Podsuwałem sobie pod nos papierosy, cygara kubańskie, mentolową maść Vick, próbowałem z innych sztuczek, jednak nic nie było w stanie zagłuszyć tego okropnego smrodu.

Wszystkie cukierki, odświeżacze powietrza, maści zostawiały jedynie posmak tytoniu i eukaliptusa.

To było wręcz nonszalanckie - marnować dobre dominikańskie robustow miejscu, gdzie nie można pędzić się od much jedzących gnijące ciała.

Czasem muchy były tak natręcyjne, że musieliśmy używać białych masek na twarze, by niewchodziły nam do ust.

Kiedy HRT zostało przeniesione na granicę miasta, towarzyszyłem grupie Cyganów, których Schindler wynajął do pomocy przy rozkopywaniu mogił.

Jeden z tych mężczyzn był w stanie za jednym zamachem odkopać grób aż ponad wysokość własnych kolan.

Kopał automatycznie, jakby nie widział koszmarnych obrazów ukazujących się oczom nas wszystkich z każdym ruchem łopaty.

Nagle rzucił łopatę, podszedł do drzewa i wymiotował.

Za nim poszedł kolejny z grupy,

Robusto - gatunek doskonałych cygar (przyp.

tłum.

)..

406

Zimny strzał

potem następny i kolejny.

W ciągu dziesięciu minut cała załoga oddała swoją dzienną rację i zrezygnowała z pracy.

Cyganie w tym rejonie świata mają opinię ludzi, którzy podejmą się pracy,

jakiejnikt nie chcemykonywać, ale to było za wiele nawet dla nich.

Technik -specjalistka do zabezpieczaniadowodówz biuraterenowego wWaszyngtonie - podniosła jedną z łopat porzuconych przezCyganów i wbiła jej końcówkę w miękką ziemię.

Ciemnobrązowy kucyk wystawał spod jej czapki baseballówki z napisem FBI.

Zapach prawiejej nie przeszkadzał.

Wykopała dziurę głębokości dwóch-trzech stóp,kiedy na czubkuszpadła pojawił sięczerwonawykawalek mięsa,który pod wpływemtemperatury i warunków, w jakich zwłoki przebywały, miał teraz konsystencję mąki zmieszanej z wodą.

- Potrzebuję tuworek - powiedziała.

Jej słowa dobiegałyjakbyz dużej odległości i byłyzniekształcone przez maskę, którą miała zasłonięte usta.

Jeden z Cyganów przyglądałsię całej scenie,starając się zebraćw sobie,by dołączyć do kopiającej kobiety.

Właśnie wtedy wiatr zawiął wjego kierunku, omiatając go zapachem świeżoodkopanejmogiły.

Odgłosyjego torsji wydały mi sięśmieszne, nie wiem dlaczego.

Może czułem się silniejszyod niego, bo przeżyłem niejedną takąscenę?

Może było to po prostu przeniesienie emocji.

Podczas szkoleniapsycholodzy zwracali uwagę, że takie zachowania zdarzają się niezwykle często, szczególniew takich miejscach jak to.

Dwa dni później towarzyszyłemjednemu zpsychologów działających worganizacji

Lekarze na rzecz Praw Człowieka podczas wizytyu kobiety o imieniu Ilya.

To, cozostało z jej małego białego domu, stało na końcu długiej brudnej alei w najstarszej dzielnicy Gjakove.

Zaledwie przed kilkoma dniami ekshumowaliśmy zwłoki pięciu mężczyzn- wszyscybyli jej krewnymi.

- Przyszli późno w nocy- szeptała, a mój wzrok przykuły jejopuchnięteod płaczu oczy.

- Pięciu,może sześciu mężczyzn.

Wyciągnęli nas z łózek i zabrali doogrodu.

Uklękła w skromnie umeblowanym salonie.



Na dębowym regalenaprzeciwległej ścianie stały sobie telewizor, srebrne  
świeczniki iKoran.

Kolorowy dywan isfahan leżał na podłodze.

Długa, wymoszczona poduszkami kanapa zajmowała trzy ściany.

Nowa misja

407

- Dzieci płakały nasam widok ich broni - mówiła - ja starałam się nie okazywać  
strachu.

- Jej angielski był bardzo dobry, mówiłaniemal ześrodkowo-zachodnimakcentem.  
Trzejsynowie Ilyi w wiekuodczterech do jedenastu lat siedzieli na podłodze,  
podpierając się dłońmi.

Średni chłopczyk, może ośmioletni, uśmiechał się do mnie nerwowo,kiedy jego  
matka kontynuowała opowieść.

- Mężczyźni krzyczelinanas i popychali lufami karabinów, jakbyśmy byli  
przestępcami, aleprzecież nie zrobiliśmy nic złego.

Przez pięć dni, kiedy odwiedzałem dom Ilyi, ani razu nie widziałemjej płaczącej.  
Pewnego razu powiedziała mi, że nie ma odwagi zacząćpłakać, bo jak już zacznie,  
nie będzie w stanie przestać.

Ta kobieta straciła męża, ojca,dwóch braci i wuja.

Ich zdjęcia wisiałyna ścianie zakanapą, tworząc prowizoryczny,cienki jak  
papiergrobowiec rodzinny.

Ciał nie było.

Zabraliśmy je trzy dni temu do naszego obozu, by przeprowadzić autopsję.

Przyglądałem się kolorowym fotografiom,starając się dopasowaćwidniejące na nich  
twarze dozwołk, które leżały na stołach ze sklejki wypełniających naszą kostnicę.

Technicy zabezpieczający dowody zbrodni przywieźlizwołki zawinięte w czarne  
plastikowe kawałkiplandeki - grube, szeleszczące ubrania ułożone w  
warstwywypełniałypomieszczenie dusznymodorem.

Jeden z mężczyzn na portrecie zdawał się przyglądać mi zfotografii.

Pod wpływem tegowrażenia przypomniałem sobie, jak patolog zrobił nacięcie na  
karku jednego z ciałw miejscu, gdzie skóra sżyłaczy się z linią włosów, i  
ściągnął skóręz twarzy, odsłaniając kości czaszki.

Bezwyjaśnień lekarz oddał skalpel jednemu z agentów operacyjnych HRT, którzy byli odpowiedzialni za przewożenie zwłok do kostnicy.

Dr Frank - antropolog sądowy - chodził pomiędzy pięcioma ciałami, przy których pracowali patolodzy.

Jego intencje były jasne.

Było jeszcze mnóstwo zwłok, a praca przynich nie należała do najprzyjemniejszych.

Piły, których używają patolodzy, wydają cię kłódzwięki.

Kiedy lekarz rozcina kości czaszki, słycać delikatne buczenie.

Kryminolodzy, antropolodzy sądowi i patolodzy delikatnie wkładają pęsetę w rzadką breję mózgu, by wydobyć kulę.

To po to tu jesteśmy.

Żeby zbierać pociski.

Mężczyźni wyglądali inaczej w chwili odpoczynku.

Na fotografiach i wśród członków rodziny, którzy ocaleli, widać kolory, nastroje, wymiary.

W kostnicy widziałem tylko rozkładające się mięso, szereg zwłok wyjałowionych z życia - bez krwi, która szaleńczo pędzi.

408

Zimny strzał

w żyłach, bez mięśni, które pracują - próżność i radość, że nam udało się przeżyć i możemy ich pochować.

Czułem ulgę, bo wiedziałem, że synowie Ilyi nie zobaczą ciał leżących w kostnicy.

Śmierć odbieracielowi nie tylko życie, ale przede wszystkim godność, ci młodzieńcy nie muszą tego jeszcze oglądać.

Salon Ilyi powoli ogarniała żaloba.

Pół tuzina krewnych, wśród nich matka Ilyi i rodzinnej brata, piło kawę po turecku i paliło skręty ciemnego tytoniu.

Mocny, słodki posmak powoli rozpląwał się na języku, a między zębami zostawały msy z kawy.

- Zabrali naszych chłopców.

- Ilya westchnęła, walcząc ze sobą obawie, że się rozplacze.

Jej słowa pełne były rezygnacji, tak jakby opisywała deszcz, który zniszczył ogród.

- Mój mąż, teść, szwagier.

Wywlekli ich na podwórze.

I zastrzelili.

Synowie patrzyli, jak ich matka łapiesz się za głowę, walcząc ze łzami.

Teściowa Ilyi otoczyła ją ramieniem przykrytym szalem i zaczęła ją kołysać do przodu i do tyłu, jak matką kołysze dziecko, kiedy chce je uspić.

Staruszka wskazała na fotografie zmarłych członków rodziny i wyszeptwała coś do ucha synowej w ich ojczystym języku.

Jedna z czterech obecnych w pokoju wdów przetłumaczyła:

- Kazali patrzeć chłopcom jak zabijają ich ojca, dziadka i wuja.

- Dzieci patrzyły na całą scenę z dystansem, jakby szloch i atmosfera żałoby do nich nie docierała.

- Kazali im patrzeć, żeby potem opowiedzieli wszystkim, co nas spotka, jak się stąd nie wyniesiemy.

Siedziałem tam z nimi przez chwilę, może kilkanaście minut.

Moje oczy zawsze potrafiły zachować ostrość widzenia w takich momentach, kiedy powietrze robiło się ciężkie.

Przez dwanaście lat pracy jako śledczy widziałem wiele miejsc zbrodni, tragedii ludzkich, słyszałem wiele wyznań.

Przesłuchiwałem ofiary tak wstrząśnięte przeżyciami, że nie potrafiły poprawnie wymówić własnego nazwiska.

Zawsze starałem się zachować kliniczny dystans, schowałem się przed ich emocjami, nie pozwolić, by ich przeżycia wpłynęły na moje życie, nie pozwalałem wykiełkować myśli: To mogłem być ja, to mogła być moja matka.

Musiałem tylko powtarzać sobie co chwila, że to spotkał kogoś innego, że nie mam z tym nic wspólnego, że to cudzy ból, inie dopuścić, by najmniejsze ziarno wątpliwości zostało zasiane pod skórą.

Mój mechanizm obronny działał niezwykle prosto: wybierałem jakąś plamę na

podłodze czy ścianie, gdziekolwiek, oby przyciągała mój wzrok.

W ten sposób mogłem słuchać bez patrzenia im w oczy.

Nowa misja

409

Mimo ogromnych wysiłków, nie potrafiłem znaleźć nawet najmniejszej plamki w tym pokoju.

Jeden z chłopców patrzył na mnie, uśmiechając się.

Miał namiętność.

Kilka tygodni wcześniej uzbrojeni mężczyźni obudzili go z dziecięcego snu, wyciągnęli z łóżka i kazali patrzeć, jak zabijają mu ojca.

Dlaczego, do cholery, on się śmieje?

Wstał, powodowany ciekawością.

Zdrętwiałe nogi nie pozwalały mi iść normalnie i mijając siedzących na podłodze ludzi, wyglądał jakby szedł ślepiec.

Latsiva podszedł do kanapy, na której siedziałem.

Jego ruchy zdawały się niezwykle szybkie w porównaniu z powolnymi, żalobnymi ruchami jego rodziny.

Skinąłem, zachęcając go, by usiadł.

- Ef, byj, aj - powiedział.

Mimo że nie idealne, były to pierwsze angielskie słowa, jakie wymówił.

Wszyscy patrzyli, jak małe testuje mnie, doszukując się czegoś pogodnego w mojej osobie.

Nie byłem członkiem rodziny.

Nie byłem Kosowarem ani Albańczykiem.

Reprezentowałem odległy świat, którego on tak bardzo pragnął.

Wskazał na kieszeń moich spodni, w której schowałem dokumenty.

- Ef, byj, aj.

- Starszy brat Latsivy podszedł do nas.

Najmłodszy nadal mi nie ufał.

- Tak, FBI - powiedziałem.

Wyciągnąłem dokumenty z kieszeni i podałem Latsivie.

Zniszczona plastikowa okładka okrywała zdjęcie młodego mężczyzny.

Powinienem je wymienić dawno temu, ale stanowiło swoistą pamiątkę i zawsze przypominało mi optymizm i radość, jakie czułem, kiedy zostałem przyjęty do FBI.

Obracał dokument w dłoni, ważył go, jakby na jego podstawie chciał ocenić wagę naszego spotkania.

Musiałem się uśmiechnąć.

Niewiem jak nazwać ten język, którym nagle zaczęliśmy się porozumiewać, ale wiedziałem, że się dziwi.

Pamiętam toz czasów, kiedy sam patrzyłem na świat oczami dziecka i kiedy nagle odkryłem, że jest coś ważniejszego niż pieniądze w kieszeni.

Pamiętam, jaką władzę poczułem, kiedy odebrałem identyfikatory i inne dokumenty od asystentki dyrektora po trzynastu tygodniach morderczych treningów w Akademii FBI.

Ten mały kawałek papieru to symbol czegoś dobrego, nawet tu, w kraju ogarniętym śmiercią i przemocą, w którym zapach śmierci wypełnia powietrze i towarzyszy wszystkim czynnościom jak wiatr.

Uśmiechnąłem się do Latsivy i jego brata, podczas gdy oni oglądali moje dokumenty, rozbawiając swoim zachowaniem cały pokój.

Jeden z chłopców stworzył mój zniszczony, czarny portfel, w którym.

410

Zimny strzał

od 1987 roku nosiłem legitymację.

Wiele razy przystawiałem portfel z legitymacją do twarzy podejrzanych lub dzięki niemu dostawałem się do banków, w których przed chwilą doszło do napadu.

Od czasu do czasu sam przyglądałem się swoim dokumentom, wymieniając w myślach wszystko, co dzięki nim zyskałem bądź straciłem.

Toni samowite, siedząc w pokoju pogrążonym w żalobie, uświadomiłem sobie, że nadal bardzo często czuję to samopodniecenie, które czuje teraz Latsiva, ostrożnie bawiąc się moimi dokumentami.

- FBI - powtórzył, starając się tym razem wymówić skrót poprawnie.  
Zrobiłto najlepiej, jak potrafił, ale w jego oczach widziałem, że chciałby  
powiedzieć znaczniewięcej.

Chciałbyopowiedziećmi oswoim życiu w Gjakove.

Staruszek kuśtykający ulicami, wyścigi powozami i samochodzikami między górami  
śmieciami, zalegającymi na ulicach, wszystko, co przypominało o dawnym życiu.

Dzieci stojące przy drodze, krzyczące "NATO!

NATO!

", kiedy przejeżdżaliśmy obok.

Rozpoznawały naszesamochody, które oznaczone były jako auta KFOR-u.

Coś w ich niewytłumaczalnym optymizmie sprawiało, że czułem się upokorzony.

Większość z tych dzieci nigdy nie słyszała o FBI, nie mówiąc o Grupie Reagowania  
Kryzysowego czy jednostce antyterrorystycznej, ale wiedziały, że jesteśmy  
pierwszymi ludźmi w kamuflażu, którzy nie przyszli, by zabić ich rodziny i ich  
samyh.

- Pierwszy raz od bardzo długiego czasu widzę jego zęby - powiedziała cicho Ilya.

Jej głos był miękki, jakby jego dźwięk mógł obudzić jej syna z jakiegoś  
przyjemnego snu.

Łzy kręciły się jej w oczach.

Też miałem dzieci i modliłem się, żeby nigdy ich śmiech nie wywołał moich łez.

Chłopiec pokazywał mój portfel wszystkim zebranym.

Udawał, że

w dłoni ma broń, i kciukiem co i rusz naciskał wymyślony spust.

Nagle opuścił zmyśloną lufę i wskazała mój pasek, gdzie, według niego, miałem  
przypięty pistolet.

Cienki T-shirt ledwo zakrywał kolbę.

Żałosny kamuflaż.

Nikt się nie zdenerwował, jak się spodziewałem.

To, że malec chciał zobaczyć na własne oczy jakąkolwiek broń, zaskoczyło mnie.

Z bronizabito przecież mężczyzn, których kochał.

Broń niemal zniszczyła ich kulturę.

Co zaintrygowało to dziecko, że tak bardzo chciało zobaczyć tę niebieską, stalową

rzecz przypiętą do mojego lewego biodra?

- Pistolet?

- zapytał.

-Pistolet FBI!

Nowa misja

411

Tymi słowami wyraziłdwie rzeczy:jedną z nich było życie, drugą-śmierć.

- Pistolet -powiedziałemi skinąłem głową.

Wskazał na moją brońw nadziei, żeją wyciągnę i mu pokażę, ale nic takiego się nie stało.

Widziałjużwystarczająco dużo broni.

A ja żałowałem, że nie zostawiłempistoletu wsamochodzie.

Rozsiadłem się znowu nakanapie i podniosłemręce w międzynarodowym geście poddania.

- Poddaję się,facecie z FBI!

- powiedziałem.

Ilya przetłumaczyła, a jej synwspiął się na palcei zamachał mimoimi dokumentami przed nosem.

Wypowiedział zbitekłów, które nie miałynajmniejszego sensu, ale jego intencje były jasne.

W czasie,który innym dzieciom potrzebny był do poprawnego wymówienia"Łaskocz mnie Elmo" (Tickle Me Elmó), ten malec zmienił się zmałego,nieśmiałego chłopca w żołnierza sił międzynarodowych strzegącegopokoju.

Coś w tym kawałku papieru, który trzymał w lewej dłoni, dałomu poczucie, że może zmienić życie,jeśli nie całej rodziny, to przynajmniej swoje.

FBIprzybyło do Kosowajako reprezentant sprawiedliwości i nawetmali chłopcy widzieli w naszej misji nadzieję.

Amen.

Następnego dniabyliśmy w drodze do Pec,alpejskiej wioski niedaleko granicy z Albanią.

Nasz włoski przewodnik prowadził nas dosektora brytyjskiego, mierząc z karabinu kalibru .

50 we wszystko, coś się poruszyło podrodze.

Jechałem z tym dużego chevroleta, kiedyś konwój złożony z dziesięciu aut powoli mijają wraki samochodów pojazdów opancerzonych zniszczonych w bombardowaniach.

Wśród pojazdów były m.

in. osobowe mercedesy, półciężarówki i szkolny autobus.

Co kilometr lub dwa przejeżdżaliśmy przez obszary, na których armia jugosłowiańska pozostawiała takie pamiątki ze swojej wizyty.

Żółte wstążki i czerwone tablice wyznaczały miejsca, których saperzy KFOR-u jeszcze nie rozminowali.

Od czasu do czasu samochód z uchodźcami wypadał z wyboistej, wąskiej drogi i wjeżdżał na pole minowe.

Najczęściej najeżdżał na minę przeciwpancerną.

Wybuch takiej miny łatwo odróżnić od wybuchu przeciwpiechotnej.

Kiedy wybuchała przeciwpancerna, kawałkami obijały się o podwozie albo silnik.

I ten zapach.

Miny przeciwpancerne tną, miażdżą i zabijają.

Nie warto nawet szukać ciał.

412

Zimny strzał

Im dalej na północ, tym większe były zniszczenia.

Leje popiołów powietrze-ziemia, odłamki rakiet, spalone miasta.

Na przedmieściach miast i na wsiach, gdziekolwiek spojrzeliśmy, widok był ten sam.

Piękne, porośnięte lasami góry dumnie wznoszące się nad miastami i miasteczkami, w których dominowała niska zabudowa.

Dwu-, trzy-, piętrowe opuszczone budynki.

Brązowe ceglane mury kruszyły się.

Czerwone dachy usiane były dziurami po pożarach.

Rok temu to miejsce mogłoby być turystycznym kurortem w stylu tradycyjnej Europy.

Teraz wyglądało jak przedsionek piekła.



Sypialnie usytuowane na południowej stronie domów, tak by poranne światłobudziło właścicieli, teraz nie miały ścian zniszczonych w bombardowaniach i pożarach.

Bez mebli, drzwi, szyb.

Armia jugosłowiańska zostawiła po sobie zgliszcza, nic więcej.

Bydłoleżało martwe na poboczach dróg, gnijące, zmieniające się w błoto.

Kilka prosiaków próbującychssać rozkładającą się lochę.

Robiłem zdjęcia tego wszystkiego do czasu, kiedy zdałem sobie sprawę, że marnuję kliszę.

Wystarczyło, żebym zrobił jedno udane zdjęcie - reszta wyglądała podobnie.

W Pec byliśmy tuż przed dziewiątą rano.

Zaparkowaliśmy wokół fontanny na miejskim rynku, niedaleko dawnego hotelu nad rzeką, w którym Brytyjczycy urządzili posterunek.

W lepszych czasach to miejsce musiało przyciągać turystów, jednak teraz rzeka pełna byłaciemnych, gnijących ubrań, starych materacy dziecięcych wózków.

Droga okazała się niezwykle wyboista i prowadzenie po niej samochodem było nie lada sztuką.

Kolejny czołgów zniszczył nawet chodniki.

Wszyscy, którzy zatrzymywali się w hotelu, nosili kamuflaż, a w dłoniach mieli karabiny.

Druty kolczaste i przenośne barykady odgradzające hotel od reszty miasteczka wyglądały jak biało-czarny obraz z czasów drugiej wojny światowej.

Art robił odprawę za pojazdem opancerzonym Włochowi opowiedział o porannej misji.

Śledczy z Trybunału ds.

Zbrodni Wojennych w Jugosławii skierowali nas do gospodarstw w górach, niedaleko Studenicy, gdzie armia Miloszewicia zamordowała dziewięciu członków jednej z tamtejszych rodzin.

W skład zespołu wchodził teraz: moja drużyna snajperów z HRT, która stanowiąła zabezpieczenie, kilkunastu agentów FBI, dwóch patologów, dziennikarz z "Yanitty Fair", dwóch niemieckich fotografów i ekipa programu 60 Minut.

Cała scena, zbieranie się do odjazdu, dla postronnego obserwatora musiała przybierać

Nowa misja

wymiar od wyrafinowanego do komicznego przedstawienia, co do tego nie miał wątpliwości.

Po dwudziestu minutach byliśmy gotowi do wyjazdu - sprzęt podzieliśmy między siebie, samochody zapakowaliśmy do granic wytrzymałości i wyjechaliśmy drogą do Studenicy.

Mieliśmy niezłe tempo, zatrzymał nas tylko wybuch samochodu pułapki.

Przez godzinę straciliśmy, stojąc na wąskiej drodze, czekając na uprzątnięcie wraku.

Kiedy odpowiednie służby oczyściły drogę, jechaliśmy nie dłużej niż czterdzieści pięć minut, wspinając się między górami zwirową drogą, do czasu aż wokół nas zaczęły rozciągać się zapierające dech w piersiach, bezkresne pastwiska niczym z obrazka przedstawiającego Tyrol.

Jak obdarty z zieleni przez naturę na wprost nas wyrastał szczyt góry.

Wyglądał jak Mittersill, osada pełna drewnianych domków niecałe trzy mile od mojego domu we Franconii.

Usiadłem i podziwiałem krajobraz, porównując to, co teraz widziałem, do poprzednich scen, jakie przyszło mi oglądać w tym kraju, i usiłując znaleźć racjonalne wytłumaczenie dla tych różnic.

Chociaż to zupełnie inne miejsce, było jakby wyjęte z mojej młodości.

Trawa była taka sama.

Domy wyglądały identycznie.

Nawet powietrze smakowało podobnie na tej wysokości, ponad usianymi śmiercią obszarami.

Takie rzeczy w naszej pracy zawsze mnie dziwią: to co najgorsze, dzieje się w najpiękniejszych miejscach świata.

Staruszek spotkał Arta przed zniszczonym dwupiętrowym budynkiem.

Stali niedaleko nas, omawiając warunki współpracy.

Mimo mandatu ONZ nie jest łatwo zapukać do drzwi człowieka i prosić o zgodę na ekshumację jego zamordowanych krewnych.

Tak jak teraz, negocjacje z rodzinami ofiar zajmują najczęściej dużo czasu.

Szczególnie, kiedy bohaterowie ciągną za sobą ekipy dziennikarzy.

Wyciągnęliśmy się, czekając na rezultat rozmów, tuż obok samochodów.  
Oczywiście cały czas pozostawaliśmy czujni, nie tracąc oczuokolicznych pól.  
Okolica była mocno zaminowana, nikt nie wypuszczał się naspacery, żeby przypadkiem nie wrócić do domu z protezą nogi.  
- Wstawajcie, możemy działać - krzyknął jeden z moich znajomych z HRT po dziesięciu minutach tego leżakowania.  
I znowu wszystko się zaczęło.  
Najpierw fotografowie robili zdjęcia miejsca zbrodni.  
W tym przypadku był to duży dom podziurawiony przez rakiety igranaty.  
Budynki gospodarcze także spalono.  
Kilka innych domów w miasteczku poniżej również było okopconych.  
Ostatnie.

414

Zimny strzał

plomień wygasającej wojny wzbijały w krystalicznie czyste niebo  
czarne chmury dymu.

Następnie technicy zabezpieczający dowody zbierali fizyczne ślady rzezi.

Dwa miesiące po morderstwie podwórce nadal wyglądało jak składowisko ubrań, butów,  
zabawek - rzeczy, które definiują nas w życiu.

Jeden z agentów podniósł brązową kurtkę ze sztruksu i wskazał w niej kilka dziur  
pokulach, wkładając w nie długopis.

Inny podniósł z ziemi łuski po pociskach 7,62 milimetra.

Kolejny przeszukiwał wrak małego auta zaparkowanego na podjeździe do gospodarstwa.

Towszystko kojarzyło mi się z ogromnym kadłubem wraku zablokowanym sterem i  
nie działającymi wskaźnikami.

Ta scena przypominała jeden z obrazów Salvadora Dali.

Trochę niżej, na końcu pola ziemi, która niegdyś była zapewne trawnikiem, Art i  
doktorzy oczyszczali zwłoki mężczyzny leżące w płytkim grobie.

Miał siedemdziesiąt sześć lat, kiedy został zastrzelony - wyjaśnił ocalały

staruszek.

Staruszek był bratem zamordowanego  
mężczyzny.

Wyciągnęli zwłoki z dziury, owinęli je w plastik i położyli na plecach na  
błękitnej plandecie.

Znaleźliśmy dziewięć ciał, dokładnie jak powiedzieli żołnierze ONZ.

Żołnierze jugosłowiańscy podjechali pod dom i zabili wszystkich jego mieszkańców od  
dwuletniego chłopczyka do jego pradziadka.

Wepchnęli ciała do studni szerokości dwie na dwiestopy, wypełnionej wodą, tak  
aby ci, którzy wrócą do miejscowości, nie mogli z niej korzystać.

Cztery pokolenia zmarły od tego samego gradukołu.

Jedynie ten staruszek przeżył i teraz został sam na straży rodzinnej ziemi.

Innych zabrała dalsza rodzina z miasteczka ustóp wzgórza.

Ponad dwadzieścia osób przyglądało się pracy patologów.

Autopsję przeprowadzali na miejscu, narozłożonej na ziemi plandecie.

Lekarze ciągnęli nadgniłe ubrania z ciał, podobnie jak w przypadku rodziny Ilyi.

Jeden z patologów nacinał skórę na krawędzi szyi każdej ofiary następnie  
zdejmował twarz oraz kawałki mięsa z kości czaszki.

Obserwowałem, jak ubrana w rękawiczkę dłoń zanurza się w czaszce w poszukiwaniu  
pocisku.

Ten jeden był łatwy do znalezienia, bo kula zrobiła straszne spustoszenia w mózgu  
mężczyzny.

Kiedy patolog skończył, lekarz kierujący grupą skinął na Artę, który otoczył  
ramieniem staruszka.

Ten mężczyzna był jedynym ocalałym członkiem rodziny.

Nie było go na miejscu, kiedy doszło do morderstwa, po  
powrocie zastał jedynie opuszczony, zniszczony dom.

Dopiero kiedy posprzątał zostawiony

Nowa misja

415

bałagan, zorientował się, co stało się z ciałami.

Musiał sam spuszczać się do zimnej wody i pojedynczo wyciągać wszystkie zwłoki.

Nikt się nie odzywał.

Nie było ścian, na których można by skupić wzrok, niebył żadnego sposobu, by umknąć emocjom.

Wszyscy przyzwyczailiśmy się do śmierci i do tragedii, ale to przerosło nas wszystkich.

Kiedy patolog skończył, naciągnął twarz mężczyzny z powrotem na czaszkę, przywracając mu minimum człowieczeństwa.

Ta scena wydała mi się niemal wrzeszcząca.

Odbiór świata zmienia się w takim miejscu jak to.

Emocje, których na codzień nawet nie dopuszczasz do głosu, nagle zaczynają z ciebie wychodzić i owijają się wokół ciebie, wypychając racjonalizm i zdrowo rozsądne podejście do życia.

Próbujemy pomóc tym ludziom.

Żyjemy w ich świecie przez kilka tygodni, a potem wynosimy się do znacznie przyjemniejszego miejsca.

Ale ci, co ocaleli, nie mogą odejść.

Muszą zmagać się z ciężarem niewyobrażalnej straty.

W większości przypadków mają niewiele jedzenia, pozostali bez dachu nad głową, bez podstawowych wygód jak filiżanka gorącej kawy albo zasuwane drzwi.

Niedługo przyjdzie zima.

Wtedy naprawdę poczują, co ich spotkało.

Kiedy spadnie śnieg, a im nie pozostanie nic innego, jak tylko rozmyślać, dlaczego coś tak okropnego przytrafiło się właśnie im.

Właśnie zacząłem pakować nasze rzeczy do samochodu, kiedy podszedł do mnie starszy mężczyzna.

Wskazał na mnie i schylił głowę.

Oczy wypełniły mu się łzami.

Jego policzki miały kolor dojrzałego żyta.

Biały zarostokrywał mu twarz.

Objął mnie.

Czułem kość jego ramion, jak wbijały się w moje ciało przez wełniany sweter, który miałem na sobie.

Może to właśnie to.

Przez te wszystkie lata szukałem sensu w prawości, a on przyszedł w takim momencie.

Tu, w tym zniszczonym, opustoszałym miejscu, tysiące milod wszystkiego, co znałem uważałem za prawdziwe.

Tu znalazłem ludzi, którzy rozumieją, dlaczego narażamy swoje życie.

Pokój.

Bezpieczeństwo.

Nadzieja na sprawiedliwość.

Trzymałem go w objęciach wystarczająco długo, by zapamiętać jego zapach.

Był zyciem naziemi pełnej śmierci.

On był powodem, dla którego tu przyjechaliśmy.

24

Znowu w akcji

Byłem w domu zaledwie kilka miesięcy, kiedy mój pager zasygnalizował kolejną misję.

Pewnej piątkowej nocy wracałem z pracy, jadąc na południe autostradą 1-95, kiedy znajomy dźwięk skłonił mnie do sięgnięcia do paska.

- Kurwa - wymamrotałem, kiedy odczytałem kod.

Kolejny telefon, na który muszę odpowiedzieć, kiedy tylko dojadę do domu.

Miesiące po powrocie z Kosowa wypełniała mi praca biurowa, spotkania, podróże służbowe i sesje szkoleniowe.

Wyglądało na to, że nigdy nie odejdę od telefonu.

Kiedy zobaczyłem numer, oczy mi zabłyśły.

Na małym wyświetlaczu LCD widniały trzy magiczne cyfry.

888.

Nie widziałem ich od ponad dwóch lat.

Praca.

Robota.

Misja.

Czas działania.

Coś, czego nigdy

nie masz dość.

Nacisnąłem hamulce, zaparkowałem mojego starego chevroleta caprice na poboczu i oddzwoniłem do biura, aby się zameldować.

Więźniowie z Luizjany przejęli siedzibę placówki zamieszkałej.

Groźnie zranili szeryfa, wzięli czterech strażników za zakładników i grożą ich zabiciem, jeśli ich żądania nie zostaną spełnione w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin.

Roger szukał siedmiu osób, mających doświadczenie w negocjacjach, które będą w stanie w ciągu dwóch godzin dotrzeć na miejsce.

Miejsce w samolocie już nam nie czekało.

Działłem intuicyjnie.

Sposób zarządzania kryzysowego zmienił się 180 stopni, odkąd ostatnio brałem udział w akcji, ale sposób odpowiadania na wezwanie praktycznie pozostał ten sam.

Grupa Reagowania Kryzysowego stanowiła oś obracającej się spirali, która poruszała się coraz szybciej.

Zanim grupa otrzymała informację o zaostrzeniu konfliktu, zawsze działo się kilka rzeczy.

Najpierw był telefon przedstawiciela lokalnej grupy reagowania kryzysowego z prośbą o pomoc.

Najczęściej trafiała

Znowu w akcji

417

ona do kolejnej instytucji w hierarchii - w tym przypadku była to policja stanowa. Jeśli władze stanowe nie miały środków, ludzi bądź uprawnień, by interweniować, dzwoniło się do FBI lub innej federalnej organizacji.

Teraz gubernator stanu zadzwonił do SAC w oddziale biura w Nowym Orleanie.

SAC działa w wymiarze, na jaki starczy muśrodków, najczęściej informuje kwaterę główną oraz wszystkie lokalne biura działające w okolicy (Houston, Dallas, Little Rock).

Jak tylko ludzie w Waszyngtonie zapoznają się ze szczegółami sprawy, na nogi stawiane jest Centrum Strategicznych Informacji

Operacyjnych (SIOC) oraz zbierany zespół Grupy Reagowania Kryzysowego.

Tymczasem dzwonią setki pagerów, a ich właściciele gotowi są do drogi w krótkim czasie.

Za telefonowałem do Rose i powiedziałem, że spóźnię się na obiad około dwóch tygodni, zawróciłem i pojechałem na północ drogą prowadzącą na lotnisko.

Godzinę i czterdzieści osiem minut później siedmiu członków załogi grupy, dwóch pilotów i kontroler ruchu wystartowali należącym do CIRG de Haylandem dash 8 z małego lotniska w Północnej Wirginii.

Siedziałem w drugim rzędzie, przedemną Roger Blake i ASAC układali plan działania z reprezentantami Jednostki ds.

Negocjacji Kryzysowych, Centrum Analizy Przestępstw Brutalnych, HRT i Jednostki Zarządzania Kryzysowego.

Wspólne doświadczenie zebrane na pokładzie tego małego samolotu pokrywało się z doświadczeniem zebranych przez każdego amerykańskiego śledczego w ciągu minionych dwudziestu lat.

Od seryjnych morderców jak Ted Bundy i John Wayne Gacy po negocjacje z porywaczami w kolumbijskiej dżungli czy odbicie zakładników z więzienia w Talladega w stanie Alabama - członkowie Grupy Reagowania Kryzysowego zjedli zęby na najtrudniejszych i największych akcjach.

Niewyobrażam sobie innego miejsca na świecie, gdzie znalazłby się tak duży ładunek doświadczenia.

Wyjrzałem przez okno i patrzyłem, jak wznosimy się coraz wyżej ponad góry Blue Ridge, w tej chwili mogłem myśleć jedynie o wielkiej ciężarówce, która zaczyna rozwalać ten cały burdel na dole.

W ciągu ostatnich kilku lat Grupa Reagowania Kryzysowego rozrosła się tak, że obecnie złożona była z jedenastu, w dużym stopniu niezależnych, zespołów.

Oprócz tych, które miały swoich reprezentantów na



pokładziesamolotu,były:Jednostka ds.

Relokacji Specjalnej/Logistyki,Jednostkads.

Lotnictwai Operacji Specjalnych, Jednostka ds.

InformacjiSpecjalnych (ochrona informacji Prokuratury Generalnej), Centrum  
Informacji.

418

Zimny strzał

o Śledztwach w sprawie Porwań Dzieci i Seryjnych Morderstw, Jednostka Oceny  
Zachowań, Jednostka ds.

Szkoleń i Operacji (narodowyprogramSWAT) oraz Program Zapobiegania Przemocy  
Kryminalnej.

Każda z tych wysokowyspecjalizowanych grup wносиła do każdej akcji inną  
percepcję i pozwalała szerzej spojrzeć na daną sytuację kryzysową.

Każdy z dwustu osiemdziesięciu agentów i członkówzespółpracujący w CIRG  
sprawdził się w innych jednostkach FBI.

Nie byłowśród nas nowicjuszy.

Niebyło pieprzonych żółtodziobów.

Moje obowiązki różniły się zasadniczo od działań, jakie większośćludzi  
przypisałaby osobieodpowiedzialnej za reagowanie w sytuacjikryzysowej.

Odkąd Kain zabił Abła, przemoc, jej skutki i sposoby zapobiegania fascynowały  
ludzi.

Fascynacjata w czasachinformatyzacjiurośladorozmiarów gigantycznego  
zainteresowania prawdziwym dramatem życia.

Amerykanie definiuj ą wszystko na podstawie tego, co widzą w telewizji lub w  
Intemecie.

Oczekują obrazów w wiadomościachjak ciastekdo popołudniowej herbaty.

Wydarzenia dzieją się w telewizjiilub znajduj ą swój finał w nagłówkach "US News  
and World Report".

To jest dobre dla widzówprzed telewizorami, ale tym, którzy próbuj ąuwolnić

zakładników, utrudnia życie.

Osoby podejmujące decyzje zdają sobie sprawę, że każdy telefon, który wykonują, zostanie naniesiony na wykres w CNN w najbliższym wydaniu wiadomości.

To jest problem nie tylko dla karierowiczów.

To problem dla ludzi, którzy na pierwszej linii próbują ratować życie zakładników.

Aby zapobiec takim uchybieniom w rządowym planie reagowania kryzysowego, Roger poprosił mnie, żebym przygotował strategię zarządzania krytycznymi, niedotyczącymi śledztwa informacjami, które pojawiają się w trakcie akcji.

FBI, dysponując ogromnymi środkami, nigdy tak naprawdę nie uregulowało kwestii takich jak komunikacja z tłumem, potwierdzanie ewakuacji, system informowania się w nagłych przypadkach oraz strategii komunikacji z mediami.

Konsekwencje tego zaniedbania mogą być ogromne.

Nieważne, jak dobra praca śledcza zostanie wykonana, nieważne, jak wiele czasu i energii poświęcimy na przygotowywanie gruntu do uwolnienia zakładników, jedenniemprzemyślany komunikat potrafi zniszczyć wszystkie nasze wysiłki.

Negocjatorzy nie mogą stosować swoich sztuczek, jeśli porywacz ogląda wiadomości w kablówce.

Personel taktyczny nie może podkraść się blisko celu, jeśli tuż za nim będzie jakiś facet z kamerą, nadającą obraz na żywo.

Problem nie ogranicza się jedynie do medialnego opisu

Znowu w akcji

419

sytuacji.

Każdy kryzys, uwaga opinii publicznej mogą bezpośrednio wpływać na działania FBI.

Alarm bombowy na Times Square może na przykład spowodować odwołanie meczu

Rangersów

w Madison Square Garden.

Wtedy problem staje się dwutorowy - jak powiedzieć trzydziestu tysiącom nowojorczyków, że ich bilety straciły ważność, bez informowania o zagrożeniu terrorystycznym?

I jak zapobiec informacjom w mediach o alarmie, które mogłyby spowodować panikę?

Nawet jeśli alarm okaże się fałszywy, wybuch paniki na Manhattanie może być

śmiertelny dlatysięcy osób.

Zarządzanie sytuacji kryzysowej wymaga współdziałania wielu różnych instytucji.

Zwykle zabarykadowanie się szaleńca w banku w Los Angeles stawia na nogi

kilkanaście organizacji: policji miasta i stanu, straży pożarnej,

okoliczne służby ratownicze (wraz z specjalnym oddziałem zwalczania skażeń

biochemicznych) czy służby miejskie.

Kiedy do akcji włączają się służby stanowe i federalne, sytuacja może stać się

naprawdę skomplikowana.

Wszystkie te instytucje muszą ze sobą współpracować, aby przygotować oddziały

najbardziej potrzebne w danej sytuacji.

Rozważany jest każdy scenariusz, ale jak zawsze chodziło to, aby uniknąć reagowania

- najlepiej dla wszystkich, kiedy sprawa kończy się po negocjacjach.

Pod uwagę bierze się inne skutki, starając się wymyślić wszystkie możliwe sytuacje.

Czy obok miejsca ewentualnego wybuchu nie będzie przypadkiem przejeżdżał autobus

szkolny wypełniony dziećmi?

Jakie wydarzenia mające miejsce w okolicy (np.

wyprzedaż w centrum handlowym w wolny dzień) mogą spowodować, że w

wyniku akcji ucierpi więcej niewinnych osób?

A korki, tereny zielone, punkty, w których zbierają się cywile, i tysiące innych

okoliczności, które wpływają na strategię działania?

Każda z takich sytuacji może mieć dramatyczny wpływ na ostateczny plan.

Czasy, kiedy do akcji wkraczało HRT z kilkoma negocjatorami, dawno minęły.

Obecnie FBI rozważa każde działanie pod kątem możliwych konsekwencji, jakby

akcja była grą w szachy na ogromnej szachownicy, gdzie z jednej strony jesteś mym, z

drugiej ci źli.

Moja rola w Grupie Reagowania Kryzysowego była ściśle określona i wychodząc

samolotu miałem do zrobienia trzy rzeczy.

Popierwsze, byłem odpowiedzialny za organizację informacji, czyli musiałem zebrać,

przyswoić i rozprowadzić do odpowiednich jednostek wszystkie strategiczne dane na

temat sytuacji.

To pomagało zarządzać.

420 Zimny strzał

na najniższym szczeblu, i pozwalało uniknąć tunelowego spojrzenia na sprawę, co często zdarza się w przypadku akcji, które wymagają błyskawicznej reakcji.

Po drugie, musiałem ustalić komórkę do zarządzania informacjami w nagłych przypadkach.

Informacje w nagłych przypadkach to zupełna nowość w działaniach CIRG.

Ten aspekt został rozwinięty przez wojsko do identyfikacji i zapobiegania wpływowi kryzysu na duże grupy postronnych osób.

Badacze odkryli, że średnio osiem różnych osób będzie informowało szpitalo wypadku i ofiarach z użyciem chemikaliów.

Takie informacje mogą okazać się zabójcze dla systemu działania służb, które muszą zareagować na każde wezwanie, i często kilkanaście jednostek spotyka się w miejscu, gdzie spokojnie wystarczy jedna ekipa.

Moim zadaniem była kontrola nad informacjami napływającymi do różnych służb, ich weryfikacja i zaproponowanie sposobu działania, planu dowodzenia, tak aby pomóc jak najszybciej rozwiązać problem.

Ostatnim z moich obowiązków był kontakt z mediami i kontrola nad informacjami, jakie im przekazywano.

W kraju istnieje instytucja nadzorująca czy ogólna procedura dotycząca sposobu kontaktowania się z mediami w sytuacjach kryzysowych.

Teoretycznie każda instytucja większa od budynku psama oficerado spraw informacji publicznej czy zespół do spraw public relation, ale ich działania ograniczają się do codziennego kontaktu z dziennikarzami - informowania o przemówieniach, przecięciach wstęp, ogłoszeń o aresztowanych i wydarzeniach publicznych.

Nawet na szczeblu federalnym żadna instytucja poza armią nie posiada regulacji odnośnie do informowania mediów o sytuacji kryzysowej.

W przypadku tej akcji bez wątpienia działaliśmy pod jurysdykcją prawa Luizjany.

Kilkunastu więźniów sterroryzowało współosadzonych i straż za pomocą noży i kijów.

Mieli pod kontrolą ponad setkę innych więźniów i czterech przestraszonych

strażników.

Szeryf dostał krzesłem wtwarz, kiedy próbował interweniować, i w obecnej chwili nikt nie miał pojęcia, co robić.

Jakby tego było mało, Kanał 10 wysłał do więzienia ekipę z kamerą, która na żywo przekazywała relacje z zamieszek.

Ciężarówkizę sprzętem do satelitarnej emisji kilkudziesięciu stacji telewizyjnych i radiowych stały tak blisko murów więzienia, że wozy straży pożarnej nie miały szans, by podjechać pod nie bliżej niż na kilkanaście metrów.

Przestępcy zabezpieczyli się na wiele sposobów.

Znowu w akcji

421

W ciągu kilku godzin od naszego przybycia grupy reprezentujące kilkanaście lokalnych, stanowych i federalnych instytucji były namiejsu gotowe do pomocy w rozwiązaniu kryzysu.

Agenci FBI z biuraw Nowym Orleanie spotkali się z szeryfem stanowym, by określić obowiązki poszczególnych oddziałów.

Każdy, kto spędził choć chwilę w Luizjanie, wie, że żaden z szeryfów miejskich, a co dopiero stanowy, nie czuje odpowiedzialności przed nikim poza Bogiem i że rozmowa z przedstawicielami innych organów ma charakter czysto kurtuazyjny.

Nawet jeśli lokalny dowódca prosił o pomoc, nie możesz stać bez jego aprobaty.

Specjalni agenci kontaktowi czasem mają podobne podejście.

W tym przypadku szeryfowi okręgu St Martin i SAC z biuraw Nowym Orleanie zależało na szczęście, by rozwiązać problem, i nie wdawali się w zbędne kłótnie i utarczki.

To zaczęło szybko przynosić efekty w pracy innych osób zaangażowanych do rozwiązania sprawy, ponieważ brak jednego stanowiska i jasnych poleceń w pierwszych godzinach akcji może wywołać zamieszanie i nieufność wobec dowódców.

Każdy chce pomóc, ale nikt dokładnie nie wie, co zrobić.

Zintegrowanie pracy różnych instytucji jest niezwykle istotne, a sprawnie przeprowadzone przynosi niemal natychmiastowe efekty.

Tym właśnie zajmuje się Grupa Zarządzania Kryzysowego.

Docierana miejsce akcji wcześniej z całym sprzętem niezbędnym do zarządzania

akcją-Zjednoczonym Centrum Operacyjnym (ZCO).

Teoretycznie ZCO ma ułatwić wszystkim jednostkom biorącym udział w akcji rozpoznanie w centralnym zarządzaniu, usystematyzować, kto jest kim, komu podlega, powinno znajdować się w nim wszystko, co może okazać się potrzebne.

W rzeczywistości jest to szkielet budowli, który transportowany jest samolotami i może działać w każdym środowisku.

Luiszjański zestaw przyleciał na miejsce z samego rana z Quanticoi zawierał laptopy, oprogramowanie i całe wyposażenie biurowe niezbędne do wsparcia pracy setek śledczych w przypadku scenariusza końca świata.

Na szczęście wszystko, czego potrzebowaliśmy w przypadku zamieszek w więzieniu, to kilka komputerów i faks.

Epicentrum wydarzeń znajdowało się w więziennym budynku C.

Rozstawiliśmy się na drugim piętrze sądu, naprzeciwko trawnika więzienia, wystarczająco blisko miejsca akcji, by móc błyskawicznie zareagować, i na tyle daleko, że na wypadek eksplozji czy strzałów zapewniało bezpieczeństwo.

Pozostały sprzęt dojechał w ciągu godziny.

HRT rozlokowało dwie jednostki szturmowe i dwie drużyny snajperów.

422

Zimny strzał

Natychmiast rozłożyli plany więzienia i zaczęli budować makietę kompleksu więziennego, na bieżąco opracowując strategię działania i możliwe scenariusze.

Wydostanie się z więzienia było niemal niewykonalne, ale dostanie się do niego było jeszcze trudniejsze.

Porywaczek kontrolowali cały obiekt, w związku z czym akcja ratownicza musiała być szczegółowo zaplanowana i wymagała wyjątkowo wyrafinowanej taktyki.

Dowódcy prawdopodobnie nieprzewidywali włączenia HRT do akcji, chyba że w wypadku najgorszego scenariusza, jeśli Kubańczycy zaczną zabijać zakładników, wszystko może się zdarzyć.

Jednostka ds.

Negocjacji Kryzysowych przysłała trzech negocjatorów i zorganizowała Negocjacyjne Centrum Operacyjne, poprzez które nadzorowała lokalnych negocjatorów. Wstępne raporty pokazały, że porywacze mieli kilka żądań.

Chcieli, by o sprawie informowały media w specjalnych wydaniach programów informacyjnych, chcieli dostać papierosy i bezpieczny transport do jednego z trzech krajów - Libii, Syrii lub na Hawaje (tak, tak, wiem).

Ich pierwotne wzburzenie minęło.

Wyglądało na to, że przyszedł najlepszy moment, by wysłuchać ich narzekań, powtórzyć pozytywne strony sytuacji i zmusić ich do wyłonienia spośród siebie lidera.

Rozmowa z jednym wściekłym koleśkiem jest lepsza i bardziej konstruktywna od przepychanek z całą ich bandą.

Analitycy zachowań ludzkich z naszego Narodowego Centrum Analiz Kryminalnych zaczęli już pracować nad portretami psychologicznymi każdego z przestępców.

Przeglądali ich akta, poprzednie przypadki wybuchu agresji, zachowania interpersonalne i inne czynniki, które determinowały ich niezwykle poważne i desperackie działania wobec zakładników.

Jeśli nie dowiedzielibyśmy się w porę, jak serio traktują całą sytuację, według analityków, bardzo prawdopodobne było, że któryś z zakładników mógł zginąć.

Skoncentrowałem się na budowaniu strategii przekazywania informacji, tak by w jak największym stopniu pomóc negocjatorom w ich magicznych sztuczkach.

Wiedzieliśmy, że każda informacja, jaka zostanie przekazana mediom, od razu trafi do zamkniętych w więzieniu osób.

Wiedza ta była nad wyraz cenna.

Porywacze najczęściej przyjmują słowa jakiegoś lokalnego dziennikarza o wiele chętniej od słów agenta FBI, więc przekazywanie informacji przez konferencje prasowe i wywiady okazuje się niezwykle efektywne.

Dzięki naszym technikom mogliśmy modyfikować zachowanie porywacza poza jego świadomością.

Znowu wakacji

423

Kiedy porywacze krzyczą w odniesieniu do czegoś, co przed sekundą zobaczyli

wtelewizji, robią to, ponieważ chcieliśmy, żeby wyładowali swoją złość krzykiem, nie strzałami.

Kiedy widzą, że robimy coś w kierunku spełnienia ich żądań czy danych im obietnic, dzieje się tak dlatego, że chcemy zasiać w nich ziarno zaufania i spokoju.

Mimo że nigdy nie klamiemy w czasie rozmów z porwaczami, przedłużamy jak się da przekazywanie istotnych informacji.

Powiedzenie im czegoś o naszym działaniu za pośrednictwem mediów wpływa na zachowanie porwaczy znacznie bardziej niż przekazanie informacji twarzą w twarz.

W różny sposób stosujemy po prostu techniki manipulacyjne, których użyliśmy się w Akademii.

Kiedy część z nas przygotowywała plan działania, ja nakazałem władzom lokalnym umieszczenie ekip telewizyjnych z dala od niektórych punktów, by móc ustawić tam punkty obserwacyjne.

Nowe miejsca dawały mediom pełen widok na określone części więzienia, a leniam dawały możliwość podejścia pod mury więzienia trzema drogami, które po przestawieniu kamer stały się dla nich niewidoczne.

Dziennikarze wydawali się wyjątkowo zadowoleni z nowego ustawienia, a lenie mieli zielone pojęcie, co tak naprawdę się dzieje.

Trzeciego dnia sprawy przybrały obrót zdecydowanie dla nas korzystny.

HRT miało już idealnie opracowane plany szturmowe.

Negocjatorom udało się ustalić, kto jest kim w ekipie porwaczy, i mieli całkiem przyzwoite porozumienie z przywódcą.

Analitycy zachowania zdołali przygotować pełne profile osobowości porwaczy.

Nawet szczęście zaczęło się do nas uśmiechać.

Kiedy dwóch z porwaczy opuściło jedną z sal, gdzie przetrzymywani byli zakładnicy, by wziąć prysznic (w końcu spędzili razem w więzieniu już sporo czasu), część zakładników udało się uciec.

Po prostu wybiegli.

Właściwie to zamienili jedną celę na drugą.

Nadal mieli przecież wyroki do odsiedzenia.

Siedemdziesięciodwugodzinny okres wyznaczony przez Kubańczyków minął.

Jedynym momentem, w którym coś się działo, były chwile, kiedy porwacze



przenieśli pięć kobiet i strażników do pokoju naczelnika więzienia i tam ich zostawili, blokując drzwi łańcuchem.

Ludzie ze SWAT i HRT zajmowali już większość więzienia i założyli bazę za ledwie kilka stop od kuloodpornego okna pokoju naczelnika.

Żeby zrozumieć, jak dramatyczny przebieg może przyjąć nawet relatywnie nieznaczący kryzys jak ten, powinniście wiedzieć, jak działa agresja.

Ludzie są o wiele bardziej podatni na zranienie innych pod.

424

Zimny strzał

wpływem stresu, a taka sytuacja zawsze jest niezwykle stresująca.

Chłodny jesienny dzień spędzony na kanapie przed telewizorem z kilkoma piwami na oglądaniu relacji z rozgrywek golfa nie skończy się wrzeniem krwi w żyłach.

Dwa dni spędzone w zamkniętym pomieszczeniu dziesięć na dziesięć stóp z piętnastoma innymi osobami, bez toalety i w towarzystwie kilku facetów, którzy mierzą do ciebie z karabinu, jak najbardziej.

Kiedy wiesz, że porywacze zostali skazani za zamordowanie, gwałty lub akty agresji, sytuacja robi się jeszcze bardziej nerwowa.

Na dodatek porywacze są nielegalnymi imigrantami, zgłoszonymi przez służby imigracyjne jako osoby ze statusem "wykluczonego obcego".

Mimo że odbyli kary za przestępstwa popełnione na terenie Stanów Zjednoczonych, nie zostali wypuszczeni z więzienia, ponieważ Kuba ich nie przyjmie, a służby imigracyjne nie mają co z nimi zrobić, dopóki ich sprawa się nie rozwiąże, a nie rozwiąże się, dopóki nie dostaną obywatelstwa, a tego nie dostaną, ponieważ siedzą w więzieniu.

Wniosek: ci faceci nie mieli absolutnie nic do stracenia.

Był to największy problem.

Jak tylko negocjatorzy zwalniali lub faceci od taktyki wykonywali ruch, który niepokoił porywaczy, ci ostatni wybuchali.

Kilkakrotnie staliśmy już, przyglądając się, jak przyciągał do okna któregoś z

zakładników z nożem tak blisko gardła, że wystarczyłoby, aby tamtenczknął, abyłoby po nim.

Żeby było trudniej: ośmiu porywaczy - facetów przetrzymywało sześć kobiet.

Za każdym razem, kiedy sprawy przybierały zły obrót, liczyliśmy się z najgorszym.

Kiedy tylko sytuacja się normalizowała, zaczynaliśmy bać się o to, że porywacze nie wytrzymają i dojdzie do gwarni.

Poruszaliśmy się po bardzo cienkiej linii.

W odróżnieniu od Waco, gdzie tygodniami nic się nie działo, St Martynville aż drżało od aktywności.

SAC z Little Rock i Houston przyjechali pomóc i pełnili dwunastogodzinne zmiany.

Agenci SWAT i oficerowie zjeżdżali przed więzienie hordami.

Karetki, wozy strażackie i samochody stacji telewizyjnych i radiowych blokowały ulice w mieście.

Nawet gubernator zrobił przerwę w podróży na polowanie, tylko po to, by się z nami przywitać w świetle reflektorów.

Technicy od elektroniki instalowali mikrofony i inne urządzenia do podsłuchu.

Negocjatorzy przygotowywali najlepsze porozumienie, biorąc pod uwagę także opcje nietypowe oraz przewidujące wybuch agresji.

Operatorzy HRT rozlokowali się na terenie więzienia na wypadek wybuchu agresji i kłopotów.

Grupa agentów i personel zbiuraszeryfa powoli kończyli akcję ewakuacji pozostałych więźniów, jaka

Znowu w akcji

425

niemal od początku trwała na tyłach budynku.

Pod koniec czwartego dnia proporcje wobec dzikich i agresywnych zamieszek zmieniły się: obecnie był to jeden pokój kłopotów i cała armia policji.

Wszystko pozostało w spokoju do dnia szóstego, kiedy porywacze zaczęli robić się bardziej agresywni.

Powodem tego wybuchu były zapewne warunki, w jakich przyszło im spędzać czas.

Piętnaście osób używało wiader zamiast toalet.

Nie mieli jedzenia i zostało im niewiele wody.

Nikt nie spał od kilkunastu dni.

Szansa na darmową wycieczkę do Libii czy na Hawaje stała się coraz mniej realna.

Agresywny charakter porywaczy powoli zaczynał dochodzić do głosu.

HRT było w gotowości do szturmu cały czas, wystarczył jeden znak.

Negocjatorzy szukali rozwiązania.

Większość kryzysów nakręca się, kiedy nikt nie przygotowuje strategii, nie dąży do rozwiązania.

Danny'ego Raya Hominga złapaliśmy, ponieważ jakaś cierpiąca na bezsenność kobieta wyjrzała przez okno i zobaczyła przemykającego pod jej domem dziwnego mężczyznę.

Bo Gritz popchnął Randy'ego Weavera do śmierci.

Waco.

Może Waco nie jest najlepszym przykładem tego, co może się zdarzyć, gdy sprężyna agresji za mocno się nakręci.

W tym przypadku decydujący czynnik przyjechał taksówką w porze lunchu.

Wracając z pobliskiej restauracji, na tyłach budynku sądu zobaczyłem kilka ekip telewizyjnych tłoczących się wokół dwóch kobiet.

Kiedy przepchałem się do przodu, żeby dowiedzieć się, co się dzieje, zobaczyłem parę przerażonych, roztrzęsionych nieznanymi kobietami, które próbowały znaleźć kogoś znającego hiszpański.

Jeden z dziennikarzy powiedział mi, że przyjechały, by zobaczyć się z synem starszej z nich.

Był w więzieniu, a ona chciała z nim porozmawiać.

Bingo - pomyślałem.

To był cudowny zbieg okoliczności, którego potrzebowaliśmy.

Negocjatorzy lubią, kiedy do akcji wkracza trzecia strona, która może przekazać informacje od nas bez bagażu podejrzeń.

Jeśli tylko kobiecie udało się przekonać jednego z przywódców rebelii, żeby wyszedł, z resztą nie mielibyśmy problemu.

Nasz plan zaczynał się od mediów.

Kiedy porywacze zamknęli się w pokoju naczelnika, stracili dostęp do telewizji.

Negocjatorzy nabiężąc informowali ich, co podają media, a przy okazji że Amerykanie kubańskiego pochodzenia w całym kraju reagowali w ich sprawie.

Pokazaliśmy im zdjęcia dwóch kobiet, które przyjechały do miasta, by zakończyć kryzys.

Zaoferowaliśmy także, że ekipa telewizyjna, która.

426

Zimny strzał

cały czas przebywa w więzieniu, będzie relacjonowała na żywo ich pokojową kapitulację.

Ten ruch zneutralizował napięcie, ale nie przyniósł rozwiązania.

To przyszło tuż po obiedzie szóstego dnia, kiedy Kubanki w towarzystwie trzeciej kobiety - kapelana więziennego weszły do więzienia, bytwarzą w twarz spotkać się z przywódcą porywaczy.

Do tej pory niewierzyłem, że matczyne gniew może działać więcej niż pięćdziesięciu uzbrojonych facetów.

Myliłem się, i to ogromnie.

- Jeśli nie przerwiesz tego błazeństwa w tej chwili nie wyjdiesz, przestaniesz być dla mnie mężczyzną - krzychała mała kobieta.

- Nie

jesteś już moim synem.

Mniej więcej tak to wyglądało.

To ilist odprokuratora generalnego gwarantujący bezpieczną podróż porywaczom na Kubę zdecydowały o kapitulacji.

Czterdzieści minut później HRT w towarzystwie dziennikarki i fotoreportera wyprowadzało porywaczy z więzienia.

Wszyscy posłusznie wychodzili z pokoju naczelnika z rękoma w górze, bez protestów oddając się w ręce oficerów służb imigracyjnych.

Nikt nie został ranny.

Naczelnik wyszedł ostatni.

Zabezpieczył to, co zostało z jego więzienia, poczym karetką został odwieziony do pobliskiego szpitala

na oględziny.

Obeszło się bez strzałów.

Nie było pożarów.

Nie było procesów.

Nawet współpraca z mediami przebiegła idealnie.

Przebyliśmy długą drogę odczasu, kiedy ostatni raz brałem udział w takiej akcji.

Gdy większość osób opuściła St Martinville, byzdążyć z bożonarodzeniowymi

zakupami, Grupa Reagowania Kryzysowego zaczęła przygotowania do

antyterrorystycznej inicjatywy związanej z problemem roku 2000 Y2K.

Im bardziej apokaliptyczne wizje obiegały świat, tym większą uwagę rząd Stanów

Zjednoczonych przywiązywał do rozwiązania problemu roku 2000 i angażował coraz

więcej ekspertów, którzy mieli nadzorować współpracę między różnymi agencjami.

Jako główna instytucja w zwalczaniu przestępczości, FBI miała przygotować główny

plan działania.

Wszyscy w grupie spędzali sylwestra z pagórami w kieszeni, czekając na wiadomość zawierającą trzy ósemki.

Podstawowa część załogi, służby lokalne i inni, którzy mogli okazać się niezbędni w

przypadku pluskwy milenijnej, świętowali przed monitorami w kwaterze głównej.

Znowu w akcji

427

Dodatkowo Grupa Reagowania Kryzysowego wysłała do Niemiec specjalistów, jako

wsparcie dla międzynarodowych sił przygotowanych do działania na

wypadek jakiegokolwiek kryzysu w Europie Zachodniej.

Na mocy ustawy FBI miało przejąć dowodzenie nad wszystkimi instytucjami w

sytuacji, kiedy zagrożeniem mogła okazać się broń masowej zagłady lub

ogólnonarodowy atak terrorystów.

To czyniło FBI odpowiedzialnym za zarządzanie wszystkimi aspektami kryzysu,

odorganizowania akcji przez planowanie infrastruktury, negocjacje, rozwiązania

taktyczne i przepływ informacji.

Oznaczało to, że wszystkie lokalne, stanowe i federalne służby zaangażowane w

ewentualną akcję będą działały pod rozkazami dowódców FBI.

W związku z tym FBI wyznaczyło Grupę Reagowania Kryzysowego jako

jednostką odpowiedzialną za asystowanie zarówno na miejscu akcji, jak i w kwaterze głównej.

Do nas należało planowanie, wprowadzanie w życie i zarządzanie wspólną akcją obejmującą misje zbierania dowodów (taka jak w Kosowie czy po bombardowaniach ambasad w Afryce Wschodniej) po duże śledztwa kryminalne, przeciwdziałanie atakom terrorystycznym, pościg za zbiegłymi więźniami i aresztowanie wysokiego ryzyka. Takie zorganizowanie pozwala na integrację bardzo różnych lokalnych i stanowych agencji, które niekiedy się dublują, oraz instytucji szczebla federalnego, jak Grupa Reagowania w Nagłych Przypadkach i/lub Grupa Reagowania w Nagłych Przypadkach za Granicą.

Kiedy przyszedł 1 stycznia 2000 roku i nic się nie stało, wszystkie się zwróciły się ku uzyskaniu poparcia Kongresu dla zakrojonych na ogromną skalę ćwiczeń antyterrorystycznych, o kryptonimie TOPOFF.

Tego typu działania nie są niczym nowym.

Grupa Zarządzania Kryzysowego przeprowadza różnego rodzaju symulacje co dwa miesiące, aby na bieżąco dostosowywać procedury do zmieniającej się sytuacji oraz dać dowódcom doświadczenie w realnej akcji.

Scenarzyści przygotowują pełne ataków terrorystycznych, zamieszki ucieczek z więzień scenariusze, a każdy musi sprawnie i idealnie odegrać swoją rolę.

Aby rozszerzyć plan objęcia przez Biuro Zarządzania Informacją Strategiczną (SIMO) większości instytucji operujących w sytuacjach kryzysowych, zacząłem pracę w Narodowym Biurze Prasowym FBI.

Miałem nadzieję, że to doświadczenie pomoże mi skoordynować rozmaite wytyczne obowiązujące w różnych agencjach.

To, czego dowiedziałem się na pierwszym spotkaniu TOP OFF, było dla mnie totalnym.

428 Zimny strzał

zaskoczeniem.

Przedstawiciele ponad trzydziestu instytucji zasiedli za ogromnym okrągłym stołem

konferencyjnym i na wstępie przyznali, że Stany Zjednoczone i władze federalne nie mają jednolitego, solidnego planu zarządzania kryzysowego do spraw informacji publicznej kontaktu z mediami.

Wszystkie inne rzeczy były dopracowane, ale nikt nigdy nie przyjrzał się kwestiom takim jak masowe ewakuacje i informacje o nich, informowanie opinii publicznej o nagłych wypadkach czy oświadczenia o rozwoju sytuacji w trakcie kryzysu.

Idealnie - pomyślałam.

Mamy szansę.

Przez następne dwa miesiące przy pomocy Federalnej Agencji ds.

Zarządzania w Sytuacjach Kryzysowych (FEMA), Departamentu Sprawiedliwości, Departamentu Obrony, Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej, Agencji Ochrony Środowiska (EPA) i kilkunastu innych pomniejszych instytucji próbowałam wypracować zintegrowany plan zarządzania informacją w sytuacji kryzysowej.

Plan SIMO sprawdził się idealnie w Luizjanie, ale operacje na dużą skalę charakteryzowały się dywersyfikacją interesów w wysoko stresogennej sytuacji.

Wykonanie jednego złego telefonu w przypadku ataku terrorystycznego może spowodować panikę na nieprzewidzianą skalę.

Tak jak okrzyk "Pożar!

" powoduje paniczną ucieczkę ludzi z klubu nocnego, jeden przemysłowy komentarz może rzucić całe miasto na kolana.

Autorzy planu TOP OFF przewidzieli fikcyjny nuklearny, biologiczny i chemiczny kryzys w trzech amerykańskich miastach: Portsmouth i New Hampshire miały być skażone gazem musztardowym jako pierwsze w wyniku ataku na odbywającym się na jednej z większych dróg wysigul OK.

Denver zostałoby zaatakowane niedługo później zarazkami wywołującymi zapalenie płuc - w mieście szybko rozprzestrzeniłyby się plagachoroby.

Waszyngton dzień później miało dosięgnąć ostateczne uderzenie - detonacja małego ładunku nuklearnego.

Każda instytucja powinna brać udział w ćwiczeniach.

Wśród decydentów byli prokurator generalny, sekretarz obrony i konsul ds. bezpieczeństwa narodowego w Białym Domu.

Moja rola w TOPOFF rosła z każdym tygodniem, ponieważ plan FBI

dotyczący zintegrowanej strategii informacyjnej był czymś nowym dla innych graczy. Nagle uczestniczyłem w spotkaniach na wysokim szczeblu w Pentagonie i w strategicznych sesjach w Departamencie Sprawiedliwości, gdzie tworzyliśmy lub zmienialiśmy politykę całego rządu.

Większość spraw, o których rozmawialiśmy, nigdy wcześniej nie

Znowu w akcji

429

była poruszana.

W czasie misji, w których ostatnio uczestniczyłem, byłem po prostu najperem.

Teraz miałem władzę do podejmowania decyzji, które skutkowały całym spektrum nowych przepisów i standardów.

Rozwój przebiega czasem zaskakująco dramatycznie.

Dwa miesiące później siedziałem w śmigłowcu CH-53 należącym do marines, martwiąc się o coś nieco bardziej dramatycznego niż władza: o moje życie.

Pilot właśnie po raz drugi bez powodzenia podchodził do lądowania i po godzinach spędzonych w powietrzu wiedziałem jedno - sprawy niewyglądały dobrze z dużej wysokości.

Nigdy nie miałem zaufania do helikopterów.

Mimo że uwielbiam nimi latać, uważam, że pomysł, by dwa lub trzy stalowe śmigła utrzymały w powietrzu taki ciężar, po prostu nie ma sensu.

Pierwszy raz, kiedy leciałem helikopterem, na wysokości tysiąca stóp rozbłysły światła awaryjne i musieliśmy lądować.

Teraz lecieliśmy w nocy, z wygaszonymi światłami, a piloci używali gogli noktowizyjnych.

Bez poczucia odległości, z niewieloma wytycznymi co do miejsca lądowania, które miało nastąpić na małej, zarośniętej dzungli wysepce, gdzieś pośrodku

Oceanu Atlantyckiego.

Takie sytuacje bywają nieco nerwowe.

Siedziałem pomiędzy kilkunastoma w pełni uzbrojonymi agentami SWAT w kabinie pełnej śmieci i wymiocin.

Jeden z członków jednostki nurków leżał na podłodze z głową wywieszoną na zewnątrz, usiłując dojrzeć jakikolwiek punkt orientacyjny, który mógłby



naprowadzić pilotów na lądowisko.

Ogromny śmigłowiec obijał się w powietrzu w górę i w dół, kiedy piloci tracili kontrolę nad maszyną.

Naciągnąłem T-shirt na usta, żeby nie czuć zapachu wymiocin.

Trzydzieści osiem tysięcy ludzkich zawieszonych pod czarnym, karaibskim niebem.

- Chyba cał czas nic - powiedziałem, a koleś obok mnie potrząsnął głową.

Zaraz po tym pilot znowu podszedł do lądowania.

Lot był cholernie dobrą metaforą dla całej tej misji, która nie miała rąk ani nóg.

W maju 2000 roku FBI zajęło małą wyspę na wschód od Portoryko - Vieques.

Marynarka twierdziła, że wyspa jest jej niezbędna do przeprowadzania morskich przerzutów, ale ludność miejscowa chciała wrócić do domów.

Sprawa wydawała się prosta.

Wszystko, co należało zrobić, to przerzucić kilka oddziałów HRT na wyspę pod osłoną nocy, zająć pozycję, kiedy rebelianci będą spać, i zadać decydujący cios.

Cała operacja powinna zamknąć się w dwunastu nocnych lotach, najeżdżona wyspę kilkoma lokalnymi gliniarzami, którzy mieli nam dostarczyć.

430

Zimny strzał

odpowiednie papiery.

To byli przede wszystkim drobni przestępcy, którzy pierwotnie zarządzili wyspą, ale którzy byli gotowi sprzedać ją za odpowiednią sumę.

Jeśli nie życzyli sobie marynarki na ich wyspie - ich sprawa.

Ale Waszyngton zupełnie inaczej patrzył na taką sytuację.

Po sześciu miesiącach przygotowań, spotkaniach w Gabinetach Ovalnym i Białym domem rząd Stanów Zjednoczonych podjął decyzję o zbrojnym przejęciu wyspy.

Taka akcja nie miała miejsca od 1989 roku, od inwazji panamskiej.

Marynarka czekała w odwodzie z dwoma helikopterami pełnymi żołnierzami piechoty.

Straż Przybrzeżna otoczyła wyspę, łamiąc Akt Magnusona, dając władzom lokalnym prawo do samostanowienia.

Szeryfowie federalni stalina czele Specjalnych Grup Operacyjnych, które miały przetransportować więźniów z miejsc aresztowaniado obozu przejściowego, a następnie z powrotem na wyspę, gdzie zostaliby uwolnieni.

Lokalna policja promem przetransportowała kilkunastu oficerów, którzy mieli sprawować kontrolęnad tłumem.

A to były zaledwie siływsparcia.

Prokurator generalny desygnowałFBI jako agencję kierującą, więc przyjechaliśmy na miejsce z całym sprzętem, jaki mieliśmy.

Właściwie tylko HRT zostało w domu, pozakilkomadoradcami, ponieważ siódme piętro zdecydowało, że osprzętHRT jest zbyt ciężki jak na tę akcję.

Zamiast HRT leciałyz nami drużyny SWAT z sześciu amerykańskich miast.

CIRG przyleciał swoimtransporterem C-17 z całym sprzętem i mnóstwem ludzi.

Kwateragłówna przysłała wicedyrektora agencji (ADIC), bynadzorował całośćoperacji.

Mieliśmy nawet swoje helikoptery.

Setki agentów federalnych rozłożyło swoje łóżka polowew kompleksie wojskowym Roosevelt Road.

Dowódcy bazyzamknęli bramymi potroili straże.

Nastrójbył posępny.

Godzina H się zbliżała.

Zaraz, zaraz.

Zapomniałem owielkim helikopterze, który z lewejstronywyspy po raz czwarty,mam nadzieję, tym razem ostatni,próbował wylądować.

Raporty wywiadu donosiły, że większość mieszkańców wyspy stanowią babcie, księża katoliccy, dzieci i garstka starszymężczyzn.

Jedynymzagrożeniem, teoretycznie, mógłbyć stary rybak,który oplułytoniemjakiegoś żołnierza z marynarki.

Co my, do cholery, robimy?

Odpowiedźbyła oczywista.

Jeden element mógł sprawić, że sprawaVieques okaże się wcale nie taka prosta.

Media.

Ci, którzy protestowali przeciwko obecności amerykańskich żołnierzy, wiedzieli

to,co każdy protestujący w erze informacji wie doskonale:

Znowu w akcji

431

^

obrazkiwzbudzają emocje.

Mogli opalać się na plaży, nie zawracając sobie dupy niczym ważnym, dopóki nieprzyjechałbydo nich GeorgeHamilton.

Jak tylko FBI i marynarka pojawiły się w swoich czarnychmundurach i z karabinami, wszelkie ustalenia poszły na mamę.

Obrazy, jak ci spokojni, pokojowo nastawieni protestujący wyciągnisązaręce i zakuwani w kajdany, pokazałaby każda telewizjawa Portoryko,wywołując uliczne demonstracje, marszepod siedzibę rządu i wzrostnastrojów nacjonalistycznych, co spowodowałoby jedynie wykopanienaszej marynarki z powrotem do zatoki Guantanamo.

Mądrzy ludzie wiedzą, jakwykorzystać media doswoich celów.

Atu mieliśmy do czynienia z samymi mądrymiludźmi.

Niestety ci mądrzy prawiewygrali.

Kiedy leciałem doPortorykopo raz pierwszy z reprezentantem Narodowego BiuraPrasowego, nasze rozkazy były jasne.

Zgodnie z wytycznymi kwaterygłówniej niezamierzaliśmy kontaktować się z mediami.

W tajemnicy mieliśmyzachować plan aresztowań.

Nie powinniśmy w ogóle ujawniać, że jesteśmy w Portoryko.

Naszym zadaniem było bieżące raportowanie doWaszyngtonu, a następniekontrola nad tym,co wódarze kraju ocałęjsytuacji, po jejrozwiązaniu, mówią prasie.

Nie wiedziałem zbyt wiele o kwaterze głównej, ale wiedziałem, żebyli w błędzie.

Zanim do struktur zarządzania dołączono Grupę Reagowania Kryzysowego,nie miałem zbyt wiele czasu, by zastanawiać się,co dzieje się w kwaterze.

Po prostu robiłemswoje, a telefony zostawiałem tym postawionym wyżej.

Wszystko to się zmieniło,kiedy TOPOFF wepchnąłmniew ten młyn.

Pierwszyrazw całej karierze miałemokazję przyglądaćsię zza kulis, jak naprawdę wygląda polityka.

Od gabinetu dyrektora, chronionego jak Fort Knox, przez krąg doradcówpoNarodowe Biuro Prasowe i Biuro Prokuratora Generalnego siódmepiętro mogło nosić nazwę

Krainy Oz.

Każde ustalenie, ogłoszenie i ustawa wpływały na rzeczy, na pierwszy rzut oka niemające nic wspólnego z sprawą, której decyzja dotyczy.

Każdą decyzję ktoś starał się zablokować, a ktoś inny robił wszystko, by ją przeforsować.

Piętnaście minut po rozpoczęciu operacji wiedziałem, że ktoś w Oz chciał wypchnąć Toto i przybić z nim piątkę.

Raporty wywiadu dawały niemal identyczne informacje jak przedstawiciele mediów na wyspie, którzy przekazywali informacje bieżące z wiadomościami od protestujących.

Ktoś przekazywał CNN relacje z każdej minuty operacji.

Protestujący dokładnie wiedzieli, kiedy przylecimy.

Ponadto, grupy.

432

Zimny strzał

Odpowiedzialne za aresztowania otrzymały rozkazy, by chronić akcję przed mediami i aresztować dziennikarzy razem z protestującymi.

Kamery i inny sprzęt miały być oddawane po zakończeniu akcji.

Zły pomysł.

Vieques było wydarzeniem medialnym.

Lekcją.

Rzucanie dziennikarzowi piasku w oczy nie pomoże marynarce.

Żeby było śmieszniej, ostatni atak Janet Reno na społeczność hiszpańskojęzyczną w Stanach Zjednoczonych zakończył się na pierwszych stronach gazet wielkim zdjęciem małego Eliana Gonzalesa z pistoletem MP-5 przyskroni.

Zdjęcie wkurzyło kongresmanów, zdominowało przesłuchania Kapitulu, rozczarowało opinię publiczną i o mało nie doprowadziło do zamieszek w San Juan, Nowym Jorku i Miami.

Wszystko to przy dźwiękach muzyki Jimmy'ego Buffetta?

Ktoś tu nieźle namieszał, a ja tkwię w tym gównie po szyję.

Rozwój kariery nigdy nie był dla mnie priorytetem, więc zaryzykowałem i postanowiłem wykonać swoją część zadania jak należy.

Danny Milar, przedstawiciel Narodowego Biura Prasowego, poszedł ze mną do dowódców ze zmodyfikowanym planem.

Jeśli protestujący chcą przedstawienia w wiadomościach, dlaczego takowego im niedać?

To był praktycznie jedyny sposób na odwrócenie sytuacji na naszą korzyść.

Dajmy im czas antenowy, miejsc do spotkań z mediami.

Pozwólmy dziennikarzom kręcić tak długo, jak długo nie będą wchodzić nam w drogę.

Dobra robota FBI powinna być pokazana w pełnym świetle.

Nikt nie zarzuca agresji, marnego planowania czy próby ukrycia naszych działań przez rząd.

Pokazanie wszystkiego w telewizji udowodni, że w biurze zaszło wiele zmian.

- To ma sens - powiedział ADIC.

Również przedstawiciel Departamentu Sprawiedliwości zgodził się na naszą propozycję.

Narodowe Biuro Prasowe dało nam wsparcie.

Każdy przyznał nam rację, więc Roger i ADIC zwołali konferencję dla OZ, by wyjaśnić nasz plan.

- Chyba robisz sobie jaja!

- To była pierwsza reakcja, jaką usłyszałem.

Przez następne dwadzieścia minut dyrektor biura powtarzał te same powody, dla których media powinny być odizolowywane od akcji FBI i dlaczego nie należy z nimi współpracować.

- Ci ludzie działają wbrew prawu!

Te protesty są nielegalne - wrzeszczeli.

Nie będziemy ich traktować specjalnie tylko dlatego, że mają kamery.

- Ale to z ich powodu tam jesteśmy - argumentowałem.

- Ton więzienia.

To możliwość poprawienia naszego obrazu w mediach.

Znowu w akcji

Na szczęście żadna z osób obecnych na spotkaniu nigdy wcześniej nie widziała i chyba nawet nie słyszała mojego nazwiska, więc nie obawiałem się natychmiastowych kar.

- Zrobimy totak, jak należy - kontynuowałem - dlaczego nie pozwolić Amerykanom, żeby wszystko widzieli?

Wkońcu mieliśmy zgodę.

Rogeri ADIC przekonali dyrekcję, że całość będzie przypominała raczej Wyspę Gilligana niż atak na Normandię.

Grupa Reagowania Kryzysowego przystosowała swój plan do udziału w akcji jednostki SWAT, które agenci, w przeciwieństwie do członków FBI, zamiast w czarnych uniformach chodzili w spodniach khaki i T-shirtach.

Wyzaczyliśmy kilku rzeczników prasowych spośród osób delegowanych do wsparcia akcji i wsadziliśmy ich do helikopterów, razem z ekspertami od taktyki i zespołem negocjatorów.

Zamiast wprowadzać grupy SWAT z odbezpieczonymi karabinami w pełnym uzbrojeniu, nowy plan dla tej grupy zakładał, że otoczy ona obóz protestujących, a do akcji wkroczą szef misji, negocjator i ekipa telewizyjna.

Wtedy dostrzegłem, że FBI się rozwinęło.

Możesz niewiele dla osoby obserwującej całą sytuację z zewnątrz, ale dla osób będących w samym sercu akcji postęp był niesamowicie duży.

Szczególnie od 1993 roku, kiedy w Teksasie dwa CEV wypełnione butlami z obojętnym gazem CS wjechały na pewną drogę prowadzącą do farmy.

Rozwiązania kryzysowe przestały być pełnymi, prowadzącymi do przemocy reguły.

FBI idzie naprzód z całym workiem najnowocześniejszych sztuczek.

Niektóre zahaczają o najbardziej zaawansowaną technologię.

Dla niektórych podstawą są techniki manipulacji behawioralnej, które dopiero poznajemy.

Inne zakładają działania taktyczne i większy nacisk kładą na negocjacje.

A jeszcze inne sprowadzają się do tego, czego piętnaście lat temu, w małym miasteczku na środkowym Zachodzie nauczył mnie Eugene Brodie.

Traktuj ludzi szczerze, a zrobią wszystko, o co ich poprosisz.

Pilotom udało się wylądować tuż przed północą.

Agenci SWAT z całego kraju szybko wyskoczyli z maszyny, pobiegli pół mili do obozowiska i zakwaterowali się na noc.

Krzyż Południa rozświetlał niebo, kiedy kończyliśmy przygotowywać ostateczny plan działania.

O świcie razem z Bobbym Metzem, moim dawnym kompanem (obecnie szefem jednostki SWAT z Jacksonville), i negocjatorem Dennisem.

434

Zimny strzał

Connertonem udaliśmy się do jednego z obozów protestujących i zmieniliśmy historię.

Takich rzeczy nie znajdziesz w podręcznikach.

Gdybyśmy nie napisali tego tutaj, nasze działania prawdopodobnie nigdy nie ujrzałyby światła dziennego.

Jednak to, co stało się 19 maja 2000 roku, stanowi fundamentalną zmianę w podejściu FBI do rozwiązywania kryzysów.

Dni, w których najlepszym rozwiązaniem było mocne zagranie, najlepiej dłonią z brzoń onaw karabin, odeszły w przeszłość.

Dla wyjaśnienia - usunęliśmy z wyspy ponad dwustu protestujących i zapakowaliśmy ich naciężarówki, które zawiozły ich do przedstawicieli służb więziennych.

Ci, którzy chcieli, żeby ich zakuć w kajdanki, w wiadomościach szóstej rano pojawili się z białymi, elastycznymi kajdankami na nadgarstkach, zapiętymi tak luźno, że sam skuci musieli je trzymać, by nie spadły.

Jeden z mężczyzn nie chciał się ruszyć, dopóki nie pozwoliliśmy mu wytarzać się w ciepłym piasku plaży.

Cała akcja wyglądała bardziej jak harcerska zabawa niż jak pokojowo zażegnany konflikt.

I nie ma w tym nic złego.

Kiedy żołnierze piechoty morskiej czekali po akcji na statki, helikoptery latały

nam nad głowami, a decydenci wychodzili dziury w dywanach w Krainie Oz, wróciłem do mojego dawnego partnera z drużyny snajperskiej HRT i się uśmiechnąłem.

- To już nie to samo gówno, co nie, koleś?

- zapytałem.

- Kto by uwierzył pięć lat temu, że zakończymy sprawę taki sposób.

- Taaa - odpowiedział.

- Ciekawe, kto to wymyślił?

- Bobby nigdy za bardzo nie emocjonował się takimi duperelami.

25

Przyszłość

Biuro terenowe FBI w Nowym Jorku otrzymało małą zapieczętowaną kopertę z wiadomością o ataku biotoksycznym na ONZ.

W normalnych okolicznościach nie wywołujecie specjalnej paniki, takie listy zdarzają się kilka razy w miesiącu.

Ale coś w tej kopercie, małym naczyniu zawierającym ciemną ciecz i przypominającym cyrylicę charakterze pisma zwróciła naszą uwagę.

O 16.

28 wicedyrektor agencji w Nowym Jorku popędził do swojego biura znajdującego się na dwudziestym ósmym piętrze budynku Federal Plaza 27.

Pierwsze, co zrobił, to wykonał telefon do techników z Zespołu Zabezpieczenia Dowodów, by zabezpieczyli naczynie i przetransportowali je najszybszym samolotem należącym do biura dowodów do laboratorium w Quantico w Wirginii.

Następnie ściągnął z urlopu swojego specjalnego agenta kontaktowego i zaangażował dwudziestu agentów do wspólnego śledztwa, a na koniec zadzwonił do kwatery głównej, by porozmawiać z doradcą ds. obrony masowego rażenia. Być może jego działania były po prostu jak na małe naczynie z cieczą i kawałek papieru.

Z drugiej strony, na Manhattanie mieszka i pracuje prawie osiem milionów osób, dla których właśnie kończy się dzień pracy.

Jeśli list byłby prawdziwy, panika, jaka wybuchłaby po ogłoszeniu informacji o zagrożeniu, spowodowałaby śmierć jednej osoby na dziesięć.



Dwieście trzydzieści mil napółdniestąd, w szarobrązowym budynku gdzieś między Pennsylvania Avenue a Pierwszą Północnozachodnią, asystent dyrektora do sprawnowo utworzonej jednostki antyterrorystycznej odłożył jedną słuchawkę telefonu i chwycił dwie inne.

Jeden telefon wystarczył, by postawić na nogi Grupę Reagowania Kryzysowego.

Grupa z miejsca zajęła się organizowaniem akcji, w której miało brać udział kilkakrotnie instytucji.

Kolejne telefony zaalarmowały Krajowy Zespół Wsparcia w Nagłych Wypadkach.

w

436

Zimny strzał

oraz interinstytucyjną grupę, w której skład weszli przedstawiciele Departamentu Obrony, FEMA, Centrum Kontroli Chorób, Departament Energii i EPA.

W ciągu kilku minut w wyniku jego trzech telefonów powstała międzynarodowa siatka ekspertów do spraw rozwiązywania kryzysów.

Każdy możliwy specjalista, od biologów molekularnych po ekspertów w dziedzinie badania zachowań ludzkich, brał udział w całonocnej naradzie.

Stany Zjednoczone doszły do perfekcji w rozwiązywaniu kryzysów.

Dziedzina ta stała się tu prawdziwą sztuką.

To bardzo dobry objaw w czasach, kiedy terroryści nie śpią.

Dziś nie potrzeba armii czy ogromnego konta bankowego, by zagrozić krajowi.

Wystarczy mieć ją, warte kilkaset dolarów chemikalia i dostęp do internetu.

Ach, i media.

Kilkadziesiąt ciał i wielka eksplozja są nic niewarte, jeśli nie zostaną pokazane w głównym wydaniu wiadomości.

Wielu politycznych i religijnych fanatyków zrozumiało już ten proces.

Nie mogą liczyć na miejsce w ONZ, ale mogą przedstawić się światu w najlepszym paśmie telewizyjnym za pomocą wartej pięć dolarów bomby rurowej i zatłoczonego miejsca.

Atak bombowy na World Trade Center w 1993 roku zapadł w masową pamięć dzięki nagraniom, które CNN nadawało niemal nonstop.

Pamiętacie zdjęcia przedstawiające turystów panicznie uciekających z parku Olimpijskiego po ogłoszeniu, że w parku jest bomba, w czasie igrzysk olimpijskich w Atlancie w 1996 roku?

Pamiętaliście o tych wydarzeniach, gdyby nie obrazujące je relacje w telewizji?

Takie obrazy na stałe wżarły się w pamięć wszystkich, także tych, którzy na co dzień pracują w tajnych budynkach, sześć mil na południe od budynków Akademii FBI w Quantico.

Wewnątrz nich przy jednym z stanowisk w ogromnym open-space znajdował się m. in. Roger Blake, były dowódca HRT, obecny specjalny agent kontaktowy w Grupie Reagowania Kryzysowego, który poprosił sekretarkę, by dała znać całej jednostce o potencjalnym zagrożeniu.

Na wyświetlaczach dwustu trzydziestu pagerów pojawiły się trzy cyfry.

888.

Dni nauki o misjach, słuchanie plotek i spekulacji zakończyły się.

Informacja przepłynęła przez CIRG niczym impuls wysokiego napięcia.

Grupę Reagowania Kryzysowego utworzono, by odpowiadać na nagłe wezwania.

Odpowiedź grupy jest równie błyskawiczna.

Przyszłość

437

Trzech kontrolerów Jednostki Zarządzania Kryzysowego wybiegło ze spotkania poświęconych zapewnieniu bezpieczeństwa lokalnego Pentagonie i zanurkowało w zatłoczone korkami miasto.

Pięćdziesięciu siedmiu członków HRT przerwało trening w Key West i Tucson.

Ośmiu negocjatorów porzuciło misje terenowe i pospieszyło po swoje wyposażenie.

Narodowe Centrum ds.

Analiz Kryminalnych zapędzono prac swoich analityków i specjalistów od tworzenia profili psychologicznych przestępców.

Program Zapobiegania Przestępczości udostępnił bazy danych recydywistów.

Piloci Szóstej Taktycznej Jednostki Śmigłowcowej z włączonymi silnikami, gotowi do odlotu czekają w trzech helikopterach 412 - dwusilnikowych helikopterach - stojących przy wschodniej ścianie budynku HRT.

Technicy przygotowują sprzęt komunikacyjny, logistycy organizują ruch maszyn wojskowych w bazie lotniczej Andrews.

Jednostka ds.

Szkoleń przygotowuj edziwięć swoich najlepszych zespołów SWAT.

W ostatecznym rozrachunku ponad 175 z 280 członków Grupy Reagowania Kryzysowego odpowiedziała na wezwanie.

W ciągu jednej godziny.

Pozostałe 105 osób dzwoni do domów, by powiedzieć swoim żonom, mężom i dzieciom, że będą pracować trochę dłużej.

Chociaż w akcji w Nowym Jorku może być zaangażowanych nawet dwatysiąc osób, niektórzy zostaną w biurze, by wypełniać inne obowiązki, jakie ma grupa.

Tuż przedsiadają Blake i siedmiu członków Zarządu Jednostki

Zarządzania Kryzysowego weszli na pokład nowego, wartego 42 miliony dolarów odrzutowca Gulfstream G-5.

Blake zajął miejsce w pierwszym rzędzie, zakładając słuchawki do szyfrowanej komunikacji satelitarnej, i zadzwonił do Centrum Operacyjnego

Informacji Strategicznych w kwaterze głównej, by być na bieżąco z przebiegiem wydarzeń.

SIOC, kręgosłup zarządzania kryzysowego w FBI, zajmował ogromną przestrzeń na piątym piętrze budynku J.

Edgara Hoovera.

Podczas najgorętszych kryzysów, do jakich należało zaliczyć i ten, SIOC stawał się świątynią FBI.

Działo się tak ze względu na najlepszy sprzęt komunikacyjny, najwyższej klasy zabezpieczenia, najnowocześniejsze komputery i niezawodny ekspres do espresso.

Agenci wlewali się do poczekalni biura na zewnątrz pokoju zabezpieczonego pod każdym względem przeciw podsłuchowi i atakowi, gdzie oficerowie służby bezpieczeństwa sprawdzali ich legitymacje.

Dokumenty.

438

Zimny strzał

FBI i przepustki używane w kwaterze głównej nie gwarantowały wstępu do SIOC. Tylko ci ze specjalnymi dokumentami uwierzytelniającymi ich udział w misji mogli wejść do tego pokoju, jedyne na świecie.

Kilkadziesiąt osób czekało w kolejce pod baczym wzrokiem George'a W. Busha, spoglądającego na nich z zawieszanej na ścianie fotografii.

Zielone szkło i fluorescencyjne światło sprawiały, że poczekalnia bardziej przypominała barszki, niż posterunek operacyjny.

Wewnątrz biurowódca zmiany właśnie wysłuchiwał informacji z Denver, że Departament Energii prawdopodobnie odkrył anormalne promieniowanie w jednym z magazynów na przedmieściach miasta.

Znaleziono nieznane wcześniej powiązanie z sytuacją w Nowym Jorku, a na razie to jedynie podejrzenia.

Przeszukanie baz danych systemu wsparcia FBI, informacji o przestępcach i różnego rodzaju informacji o podobnych zagrożeniach i akcjach pozwoliło ustalić grupę organizacji terrorystycznych operujących w każdym mieście Stanów Zjednoczonych - potencjalnych autorów ataku.

Kryminolodzy zaczęli przekopywać się przez dane, starając się wytypować najbardziej adekwatną grupę.

A w samolocie Blake nie przestaje rozmawiać przez telefon.

Dwaj piloci Grupy Reagowania Kryzysowego poprzekonaniu wieży kontrolnej o uprzywilejowaniu ich lotu wreszcie startują, kierując G-5 na północ, w stronę lotniska La Guardia.

Dziesięcioosobowy zespół najbliższych współpracowników Blake'a z komórkami przy uszach, z laptopami na kolanach i protokołami wskazującymi, kto odpowiadał nawezwanie, przygotowywał się do długiego pobytu w Wielkim Jabłku.

- Może ich szybko rozwałą - powiedział jeden z nadzieją w głosie.

Koleś reprezentował tych, którzy pamiętali stare czasy biura.

Pewnie będzie pierwszy, który padnie na ziemię, kiedy dojdzie do strzelaniny.

O 18.

27 czarno-czerwony odrzutowiec dowodzącymi akcją wylądował na małym prywatnym lotnisku dla samolotów cywilnych.

Trzyfordy excursion z przyciemnionymi szybami czekały z włączonymi silnikami, aż jedenaście osób wyjdzie z samolotu i w pośpiechu, moknąc w śniegu, wsiądzie do aut, by te mogły szybko odjechać.

Do zespołu Blake'a należał szef Jednostki ds.

Negocjacji z Porywaczami, który spotkał się w Nowym Jorku z grupą negocjatorów, by przedyskutować najlepszą strategię.

Był tam też specjalista w rysowaniu profilu psychologicznych przestępców, który miał przeanalizować treść listu i porównać go z wszelkimi możliwymi informacjami dotyczącymi wszystkich

Przyszłość

439

podobnych sytuacji z ostatnich dwudziestu lat oraz przedstawić potencjalnego (tak, zakładaliśmy, że 99,9% za całym tym zamieszaniem stał mężczyzna) autora listu.

Nadzorujący HRT miał zabezpieczyć miejsce i przygotować przestrzeń operacyjną dla reszty zespołu, której spodziewano się na miejscu 21.

00.

Specjalista informatyk, koordynator do spraw zarządzania kryzysowego, koordynator logistyk z Rapid Star mieli zacząć tworzenie punktu dowodzenia.

Dwie osiemnastokółowe ciężarówki pełne sprzętu opuściły bazę Quantico niemal w tym samym momencie, kiedy Roger odebrał telefon.

Powinny przyjechać na Manhattan w ciągu godziny.

Manhattan jest jednym z najbardziej zakorkowanych miejsc kraju, o ile nie świata.

Jednostki ruchu drogowego policji nowojorskiej pomogły częściowo udroźnić ruch na moście Brooklyńskim, żeby nasz zespół mógł spokojnie przejechać przez East River do Center Street.

Taksówkarze trąbili, a inni kierowcy klęli trochę bardziej niż zwykle.

Czego nie wiedzieli, tego, że te pięć samochodów mogło zdecydować, czy jeszcze

kiedykolwiek będą mieli okazję powiedzieć "kurwa".

W tym samym czasie reszta ekipy Grupy Reagowania Kryzysowego dotarła do centrum. Biuro w Nowym Jorku już robiło swoje.

Potwierdzili doniesienia dotyczące mało znanej organizacji ze Spokane w stanie Waszyngton.

Nikt w Nowym Jorku nie słyszał o nich przedtem, ale stary agent specjalny (GS-13), Indianin z rezerwatu Coeur d'Alene w Idaho, owszem.

Była to grupa szaleńców, którzy pod wodzą byłego hodowcy bydła, Evana Payette'a, utworzyli miłą oddział paramilitarny.

Według naszego agenta ich atak na Nowy Jork to wielka pomyłka grupy.

Możliwe.

Ale zagrożenie było duże, dlatego sam dyrektor, razem z oddziałem kilkudziesięciu osób, pojechał na zachód, nad Missisipi, tylko po to, żeby sprawdzić, czy się mylił.

Agenci z Salt Lake City i Portland byli gotowi do akcji i czekali na rozkaz, by aresztować Payette'a.

Na razie zebrali wszelkie możliwe informacje na temat jego i jego organizacji.

Centrum Kontroli Chorób sprawdziło laboratoria, kliniki związane z Narodowym Instytutem Zdrowia i uniwersytety.

Śledztwo przyniosło informację, że dwanaście różnych ośrodków przechowuje aktywne wirusy Marburg (pochodzące od Eboli).

Tylko do jednego ośrodka - Laboratorium Badawczego w Raleigh-Burham.

440

Zimny strzał

w Północnej Karolinie, w ostatnim półroczu zgłosiła się pozarządowa instytucja z prośbą o dostarczenie wirusa.

Dwa tygodnie temu wysłali żywe kultury Marburga do epidemiologa pracującego na Uniwersytecie Stanowym Boise.

Jak dotąd nie było żadnego powiązania.

021.30 ADIC z biura w Nowym Jorku wyciągnął z domów stu kolejnych agentów i odwołał wszelkie urlopy i zwolnienia.

Jeden z agentów, analityk śledczy z Hoboken, w czasie monitorowania strony internetowej FBI znalazł e-mail od osoby, która twierdziła, że wysłał wirusa.

Miał uzmysłowić nam dwie dramatyczne sprawy: jedna to ta, że ci źli kołesie mają środki i możliwości, by znakować oficjalną stronę FBI, druga, że stawiają nowe żądania.

Od tej pory cała komunikacja z terrorystami odbywała się w cyberprzestrzeni w jakimś beznadziejnym chatroomie umieszczonym na serwerze niewymagającym logowania.

Autor e-maila nazwał się Lukę.

Na początku nikt nie wiedział, dlaczego terroryści wybrali tę drogę kontaktowania się z nami.

To szybko się wyjaśniło.

Analitycy systemów informatycznych z Narodowego Centrum Ochrony Infrastruktury oznajmili, że obecnie dzięki internetowi można pisać z dowolnego miejsca na świecie.

Specjaliści w dziedzinie technologii internetowych mogą ukryć zakodowaną informację w zdjęciu na stronie z treściami pornograficznymi.

Mogą kierować komunikacją przez różne, anonimowe serwery rozmieszczone na całym świecie.

Rozmowy przez internet są chlebem powszednim dla milionów ludzi i stały się ekwiwalentem spotkań w ciemnej ulicy.

Są jedynie bardziej komfortowe.

Już na początku śledztwa jedna sprawa była jasna.

Terroryści dobrze znali Nowy Jork i plan działania FBI.

To nie powinno zaskoczyć nikogo.

Mnóstwo informacji o FBI, agencjach rządowych, ich technologiach, technikach działania jest opisane w książkach, programach dokumentalnych i relacjach z różnych akcji.

Wolne społeczeństwo zawsze porusza się na cienkiej linii pomiędzy edukowaniem ludzi dla ich ochrony a dawaniem kija w rękę popaprańców, którzy chcą je zniszczyć.

W porządku, w końcu FBI ma jeszcze kilka asów w rękawie.

Bez względu na pochodzenie, e-mail pokazał nam poważny problem.

Gdzieś na Manhattanie terroryści ukryli dwanaście urządzeń, które mogły rozpylić ilości toksyn wystarczające do zatrucia wszystkich mieszkańców miasta.

Żądanie jest jedno: wszyscy dyplomaci ONZ mają opuścić kraj do końca jutrzejszego dnia pracy.

Jeśli nie, urządzenia ruszą Nowy Jork umrze.

Przyszłość

441

W obawie, że terroryści mogą zaatakować nasze biura, ADIC postanowił przenieść Blake'a i jego zespół do jednego z magazynów w dzielnicy pełnej rzeźni pomiędzy Greenwich Street a rzeką Hudson.

Wliczając 30 000 stóp budynku agencji z grupy C-12, nowojorski zespół ds.

terroryzmu, w kilkunastu autach ruszyli w kierunku magazynu.

Otworzyli dwuskrzydłowe drzwi, tak żeby samochody mogły bez problemu i sprawnie wjechać, a następnie je zaryglowali.

Kolejny magazyn, ot, co.

W ciągu piętnastu minut nowojorskie biuro FBI zmienia się z terenowego wew pełni technologizowane centrum operacyjne.

Ogromne pomieszczenie pod prawą ścianą zostanie Biurem

Zarządzania Informacją Strategiczną, skąd kontrolowana będzie cała komunikacja przychodząca i wychodząca Centrum Operacyjnego.

Przed biurem stoją trzy główne zadania: ocena zagrożenia, zarządzanie informacją oraz strategia medialna.

W tym punkcie operacji stanowią one kluczowe działania.

Bezpieczeństwo operacji teraz było najważniejsze.

Gdyby ktoś choć pisnął o kryzysie, rozpętałoby się prawdziwe piekło.

Terroryści, którym wydaje się, że negocjują z FBI w największej tajemnicy, usłyszawszy swojej akcji w wiadomościach, na pewno się wkurzą i bez słowa spełnią swoje groźby.

ONZ zamieni tragedię międzynarodowe wydarzenie o nieobliczalnych konsekwencjach.

Opinia publiczna zacznie szturmować tunele i mosty, próbując uciec, co doprowadzi



do paraliżu komunikacyjnego i ogólnego chaosu.

Modele zarządzania w przypadku takiego rozwoju akcji przewidują, że ponad 60 procent pracowników służb ratunkowych dołączy do ewakuacji, pozostawiając cały sprzęt ratowniczy w szpitalach.

Jesteśmy tylko ludźmi.

Nikt nie chce umrzeć.

W ciągu dwóch godzin magazyn, w którym byliśmy, stał się dla nas domem z dala od domów.

Negocjatorzy nigdy wcześniej nie prowadzili negocjacji w cyberprzestrzeni, a gdyby nie potrafili nauczyć się tego szybko, Stany Zjednoczone doświadczą pierwszego ataku bronią masowego rażenia.

Ok. 10.

30 zespoły obecne na miejscu zrobiły, co miały zrobić, a ekipa Grupy Reagowania Kryzysowego dojeżdżała do nas autobusami.

Wszystko było gotowe na jej przyjazd.

Systemowi Szybkiego Zarządzania Informacją Kryzysową (CMIS) udało się stworzyć aplikację do zarządzania danymi w Centrum Operacyjnym.

Setka agentów badała tysiące tropów, zebranie informacji jest.

442

Zimny strzał

niezwykle łatwe.

Poznanie informacji jest o wiele łatwiejsze od zdania sobie sprawy, że informację się zna.

Analitycy i osoby odpowiedzialne za uzupełnianie danych z CMIS odgrywają zasadniczą rolę w tym elemencie, dzięki narzędziom, jakie posiadają, mogą zdobyć nawet najpilniej strzeżoną informację.

W innym pomieszczeniu magazynu znalazło się miejsce dla Połączonego Elementu Wsparcia Wywiadowczego, który koordynował działania agentów wywiadu z pracą członków innych instytucji.

Mimo że baza danych FBI jest ogromna, zdajemy sobie sprawę, że nie posiadamy wszystkich informacji.

Dopuszczenie do gry innych agencji jest czymś więcej niż uprzejmością - to konieczność.

FBI zajmuje się koordynacją śledztwa, FEMA rozważa wszelkie możliwe rozwiązania, straty i zyski w przypadku poszczególnych scenariuszy.

Wysłannicy nowojorskiego Departamentu Zdrowia, Centrum ds.

Chorób, Służb Medycznych i Ratownictwa i kilkunastu przedstawicieli innych instytucji starają się przewidzieć przebieg wydarzeń w każdej sytuacji.

Eksperti do spraw materiałów radioaktywnych zlatują do magazynu z całego kraju z całym sprzętem, jaki posiadają od skafandrów ochronnych i sprzętu do zwalczania skażenia po leki i wszelkie możliwe antidota z rezerw krajowych.

Nie ma szczepionki przeciw wirusowi Marburg, ale na pewno nie będziemy ułatwiać terrorystom zabicia kilku milionów mieszkańców Nowego Jorku.

Bardzo prawdopodobne, że mają niewielką próbkę Marburga i kilka innych, mniej zabójczych wirusów, na które, być może, mamy lek.

Kiedy śledczy i osoby odpowiedzialne za zarządzanie akcją pracowali w terenie, załoga HRT rozładowywała swój sprzęt w magazynie w Queens.

Trzy helikoptery Bell 412 i MD-530 czekały na lądowisku.

Ludzie mieszkający lub pracujący w sąsiedztwie magazynu myśleli, że budynek służy jako skład nowojorskiej policji.

Helikoptery i faceci w czarnych mundurach nie będą wzbudzać niepotrzebnych emocji, przynajmniej do następnego ranka.

To jest cecha Nowego Jorku.

Ludzie nie wtrącają się w nie swój interes.

W Centrum Operacyjnym kilkanaście lokalnych, stanowych i federalnych instytucji zebrało się w kilku pomieszczeniach, próbując dojsć do ładu z tym, co już udało się ustalić.

Ogólne przepisy FBI dotyczą rozwiązywania problemów wskazywały na trzy etapy działania.

Rozwiązywanie wypadków takich jak ten zaczyna się w lokalnej instytucji, następnie, w miarę wzrostu znaczenia sprawy dla bezpieczeństwa jest

Przyszłość

443

ona przekazywana wyżej.

Większość akcyjnych się odlokalnej policji - to doniej trafia paczka, "z którą coś jest nie tak".

Komendant posterunku dzwoni więc do saperów, o ile taki oddział ma na miejscu. Saperzy dzwonią do swoich przełożonych stanowych.

Władze stanowe zawiadamiają Kwaterę Główną FBI.

Następnie dzwonią telefony Grupy Reagowania Kryzysowego.

Pod koniec dnia każdy z tego łańcuszka zastanawia się, co ci pieprzeni schizole jeszcze wymyślą.

Ogólna opinia osób zarządzających przebiegiem tej akcji niejsamej jest mniej więcej taka, że ten kryzys rozwija się za szybko i że zaraz wszystko wyleci w powietrze.

Każdy, od nowojorskich strażaków władze odpowiedzialne za ruch w mieście po Departament Bezpieczeństwa Publicznego, bierze udział w akcji.

Strażacy rozdzielają kombinony i sprzęt ochronny, jakiego nie widzieli nigdy wcześniej.

Kiedy ich szefowie debatują z FEMA nad planami ewakuacji miasta, szeregowi strażacy przygotowują się do Dnia Zagłady.

Stany jeszcze nigdy nie były tak dobrze przygotowane do podobnego zagrożenia, ale po rozważeniu wszystkich możliwych scenariuszy dowództwo musiało zmierzyć się z przerażającą prawdą - najlepszym rozwiązaniem, by uratować jak najwięcej istnień ludzkich, było zarządzenie ewakuacji.

Tuż przed północą stałem na balkonie naszego posterunku i patrzyłem, jak najbardziej zaawansowana i najlepiej przygotowana grupa do zwalczania terroryzmu ściga się z czasem, by zapobiec katastrofie.

Każdy możliwy element całego kryzysu od kwestii prawnych po decyzję, gdzie urządzić pierwszą konferencję prasową, był właśnie omawiany przez jakiegoś eksperta FBI, jeśli nie w tym mieście, to gdzieś w kosmosie na pewno.

Wyciągnęliśmy łóżka prokuratora generalnego.

Sztab kryzysowy w Białym Domu pracuje.

Rada Bezpieczeństwa Narodowego właśnie rozpoczęła telekonferencję.

CIA i Interpol szukają potencjalnych autorów zamachu.

HRT, moi dawni kompani, czeka na zgodę, by zaatakować dwa potencjalne cele w Bronksie.

Grupa Wsparcia monitoruje prace ekspertów z Centrum Chorób Zakaźnych w Atlancie, na bieżąco informując szefa nowojorskiej Straży Pożarnej.

FEMA kończy opracowywanie planu ewakuacji Manhattanu.

Bojaźliwa prasa pisze o wkurzonych taksówkarzach, klnących na nocne korki, wiedząc, że coś siękroi, ale czekając na oficjalne oświadczenie.

444

Zimny strzał

Właśnie zacząłem schodzić z piętra, kiedy dowódca jednostki wybiegł z pokoju, w którym odbywała się telekonferencja z dyrektorem FBI i prokuratorem generalnym.

Przyciągnął mnie do siebie powiedział, że wstępne wyniki śledztwa zapowiadają niczego dobrego.

Podejrzana grupa z Idaho jest w stanie zrobić to, czym grozi, jeśli niespełnimy ich żądań.

Waszyngton żąda odpowiedzi.

Nowy Jork żąda odpowiedzi.

Za dwie godziny cały kraj będzie chciał odpowiedzi.

- Potrzebuję planu, Chris - powiedział.

- Co my im powiemy?

Nabrałem powietrza w płucai starałem się zebrać myśli.

Nawet

w FBI takie momentynie zdarzają się często.

Szukałem w myślach rozwiązania.

Piętnaście lat śledztwa, akcji,

misji taktycznych, szukania zbiegów i przygód przewijały się przez moją głowę, jak cegły w wielkim murze, obok którego przejeżdża się samochodem.

Pędziły z lewej strony w prawo przelata doświadczeń, nawołując, bym spośród nich wybrał odpowiednią scenę.

Scenę, która  
może coś zmienić.

Widzę małego chłopca w New Hampshire, który próbuje zgadnąć,  
jaki jest świat, testuje swoją odwagę na torach kolejowych w nadziei, że przygoda  
pozwoli mu się stamtąd wyrwać.

Duma w oczach mojego ojca w dniu, kiedy składałem przysięgę, że będę bronił  
kraju i jego Konstytucji.

Wracam do słonecznego popołudnia w Kansas.

Miasta, w którym po raz pierwszy sięgnąłem po broń.

Ta kobieta w chuście zmiotłą.

Wayne nadzorujący akcję, James Jenks, snajper wyborowy,  
kolor butów Bobby'ego Matthews'a.

Lata minęły, odkąd w płomieniach zginęli David Koresh i siedemdziesięciu ośmiu  
jego wyznawców na wietrznej teksańskiej równinie, ale nadal czuję zapach palonych  
ciał, słyszę strzały, czuję żar bijący od płonących zabudowań.

Widzę ich twarze w oknach Góry Carmel.

Wspomnienia wracają w chwili, kiedy najmniej się ich spodziewam, wisząc gdzieś na  
skraju świadomości jak starzy koledzy, którzy męczyli mnie w szkole, ucieczki  
przed nimi i bójki.

Widzę Randy'ego Weavera i Kevina Harrisa biegnących w zimnym deszczu Idaho.

Krzyż mojej lunety tańczy przed nimi, kiedy zakładając czarne kaptury i chowają się  
w swojej chacie.

Mgła wydobywająca się z ust przy każdym oddechu przelatuje mi przed oczami, przez  
co wydaje mi się, że patrzę przez szron na oknie.

Namierzam ich, jak mnie nauczono, ale nie mogę ich złapać i nie strzelam.

Ciągnę zaspust, ale  
kula nie wylatuje.

Przyszłość

445

Widzę siebie leżącego w dżungli nad Villa Pilar, jak próbuję zrozumieć, co się

wokół dzieje.

Przez celownik widzę młodego strażnika dając sobie sprawę, jak wielką odpowiedzialność ciąży na nas, kiedy decydujemy o życiu i śmierci.

Bawi się rugerem, kiedy moi koledzy podkradają się do jego stanowiska.

Jego oczy rozszerzają się, kiedy coś próbuje wyrwać mu broń z ręki, a w nim budzi się pierwotny instynkt, który pozwala przeżyć wszystkim ludziom.

Mój palec dotyka spustu, czekając, aż zrobi choćby jeden ruch.

Wstrzymuję oddech, kiedy kieruje lufę w stronę ludzi z mojej drużyny.

Celuję.

Jedno pociągnięcie i nie żyje.

Serce wali mi rytmicznie, zamrożone przez lata treningu, teraz pompuję krew, żebym mógł się skoncentrować i uspokoić drżące ramię i nerwy.

Cały świat schował się za horyzontem, z dala od mojej broni.

Dziecięce głosy.

Szczekanie psa.

Krzyk kobiety.

Wszystko stapiasie z dżunglą, w którą już dawno wrosłem.

Jestem tylko ja i on.

Tachwila.

Wszystkie wybory, jakich dokonasz, sumują się przez całe życie, wywołując niewyobrażalne następstwa.

Składam się do strzału.

Ciągnę.

ciągnę.

ciągnę.

dopóki nie opuszcza rugera i nie odrzuca od siebie.

Szybko, po sprawie.

Znów oddycham.

Czasami najważniejszym strzałem jest ten, którego nie wykonasz.

Moje myśli biegną do Bobby'ego Metzai Scarheada i Spudsa, Grubego Ala i Benny'ego - bohaterów na swój własny sposób.

Jest wśród nich i Eugene Brodie, który uczy pieprzonych żółtodziobów, jak działać w

jego stylu, w tym zupełnym życiu i nie dać się zabić.

Jest tam Buck, Antman, Johnny i wciągają mnie do życia, które ma sens.

W każdym takim miejscu coś przyciąga moją uwagę - wielka prawda wciąga mnie w obraz.

Widzę Rosie z czworgiem ciepłych dzieci czekających na mnie w domu.

Ich uśmiechy uspokajają mnie, nieważne, jak straszne rzeczy przeżyłem, czy jak bolesna jest rekonwalescencja.

Spadam.

Obrazy błyszczą przed oczami mojej wyobraźni, są czerwone i cudowne, jak noc nad Waszyngtonem, kiedy przed laty pierwszy raz zrozumiałem, że mogę zmieniać świat.

I wtedy mnie olśniło.

FBI nie jest bezimienną organizacją pozbawioną ludzkich twarzy, jedynie przemyskającą w cieniu amerykańskiej sprawiedliwości.

To mężczyźni i kobiety ze swoimi mocnymi i słabymi stronami, którzy codziennie rano wstają i idą do pracy, ponieważ wierzą, że jest coś lepszego od nich samych na tym świecie.

Ci ludzie to.

446

Zimny strzał

nie brutalni żołnierze, palący dzieci, których jedynym celem jest skucie wszystkich innych w celu znalezienia prawdziwej wolności danej od Boga.

To zwykli ludzie jak ja, z niezwykłym pociąganiem do uczynienia życia, w które wierzą, bezpiecznym.

- I? - zapytał szef.

Andy Tabbott i Gary Braunwezwali mnie znów na tory niedaleko Ammonoosuc.

- Stań na piętach, Whit - mówią.

- Taka jest zasada.

Musisz mieć obie stopy na samym skraju.

Wyciągałem palce mocno, dopóki nie poczułem czubków moich trampek.

Ogromna chmura życia wyleciała mi z ust, wypełniając ogromny pokój każdym moim

marzeniem, aspiracją przekonaniem, jakie kiedykolwiek miałem.

To jestżycie, o jakim marzyłem.

Dlatego to jesttakie ważne.

- Co im powiemy?

- nalegał.

A j a wiedziałem.

-Jesteśmy Federalnym Biurem Śledczym, szefie - powiedziałem - niech im pan powie, że wszystko będzie w porządku.

Podziękowania

Nie byłbym w stanie napisaćtej książki bez pomocy wielu przyjaznychdusz.

Dziękuję memu przyjacielowi Peterowi Bergowi za przekonanie mnie, że mam co opowiedzieć, i za zachęcenie do znalezieniaajciekawszych historii.

Dziękujęteż braciom Stone, Webowi i Robowi, za dogłębne spojrzenie oraz za tchnięcie życia w garść luźno powiązanych wspomnień.

Dziękuję również mojej agentce, Suzanne Gluck, za jej optymizm, wytrwałość i przyjaźń.

Doprawdytrudno olepszegowspólnika w interesach.

Jestem niezmiernie wdzięczny Michaelowi Pietschowi i wszystkimwLimę Brown za umożliwienie mi zrealizowania marzenia mojego życia.

Edytorska wiedza Michaela i niewyczerpana cierpliwość zmieniły me

beładnewspomnienia w książkę, z której jestem dumny, a PeggyFreudenthal,

Heather Kilpatrick i Annę Montague nauczyły mnie sztukiponownego przeglądania tekstu.

Mario Pulice i Scott Levine wykonaliwspaniałą pracę graficzną, Ryan Harbage i

Lauren Acampora zaś nadaliwszystkiemu kształt.

Dziękuję wam zato.

Chcę także podziękować FBI, że pozwoliło opowiedziećo tychwspaniałych ludziach, zarówno mężczyznach jak i kobietach,którzyzapełniająjego szeregi.

PatSolleyoraz inne osoby, które przeglądały tęksiążkę, zanim jeszczeukazała się drukiem, udzieliływażnych wskazówek i jestem im za to wdzięczny.

Oczywiście rozumie się samo przez się, że najgłębsze podziękowania należą się wszystkim przyjaciółom i kolegom z HRT.



Tych kilkadziesiąt nigdy nie odda wdzięczności, jaką żywię za ich przyjaźń i niezłomne trwanie przy doskonałości.

Operatorzy z HRT cenią sobie brak wylewności, wobec tego powiem tylko "dziękuję".

Nie mogę też nie wspomnieć przyjaciół oraz członków rodziny, dzięki którym żyją wspomnienia.

Oczywiście mam tu na myśli mamę.

448

Zimny strzał

i tatę, mojego brata i siostrę, wujka Mike'a i ciocię Sheilę.

Dziękuję Rose, Jake'owi, Mickey'owi, Chelsea oraz Collinowi za ich nieustanne wsparcie.

A także Benowi Cagle'owi, Alowi Stifflerowi, Billowi Dealowi i Tomowi Den Oudenowi za wskazanie mi ścieżek w tym fachu.

Dziękuję Fritzowi Goodmanowi i Chrisowi Gillooly'emu, że nauczyli mnie, jak ważne są marzenia.

Ericowi Hjelmowi, Gary'emu Braunowi i Andy'emu Tabbottowi, iż pomogli mi znaleźć właściwą drogę w życiu, a Marie Yenable, że sprawiła, iż wszystko to miało znaczenie.

I wreszcie dziękuję dwóm nadzwyczajnym przyjaciołom: Joemu Blake'owi i Rickowi Crabbowi.

Joe pokazał mi znaczenie podróżowania, a Rick - wagę stawianych pytań oraz gdzie należy szukać na nie odpowiedzi.

Zwykle podziękowania to niewiele, chłopaki, ale myślę, że to rozumiecie.

Spis ważniejszych skrótów i nazw

ATF (Bureau of Alcohol, Tobacco and Firearms) - Biuro ds.

Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej.

CIA (Central Intelligence Agency) - Centralna Agencja Wywiadowcza -

zbiera wyłącznie informacje dotyczące innych państw oraz ich obywateli i

nie wolno jej interesować się obywatelami Stanów Zjednoczonych ani obywatelami

mającymi tzw.

zieloną kartę, czyli uprawniającą do stałego pobytu na terenie Stanów Zjednoczonych.

CIGN (Groupe d'Intervention de la Gendarmerie Nationale) - Grupa Interwencyjna Żandarmerii utworzona we Francji w 1973 roku, po akcji terrorystów na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium.

DEA (Drug Enforcement Administration) - Agencja ds. Zwalczania Przestępczości Narkotykowej.

FBI (Federal Bureau of Investigation) - Federalne Biuro Śledcze, agencja Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych, któremu podlega. Powstało w 1908 roku.

Spełnia rolę federalnej (czyli międzystanowej) policji kryminalnej i kontrwywiadu Stanów Zjednoczonych; w sumie zajmuje się około 270 kategoriami przestępstw federalnych.

FBI kieruje dyrektor mianowany przez prezydenta na maksymalnie 10 lat.

Hogans Alley - nazwa imitacji małego miasteczka, zbudowanego na terenie Akademii FBI w Quantico specjalnie do ćwiczeń.

HRT (Hostage Rescue Team) - specjalna jednostka antyterrorystyczna utworzona w 1983 roku przed Igrzyskami Olimpijskimi w Los Angeles, ponieważ obawiano się zamachu terrorystycznego.

HRT podlega FBI i jest szkolona przede wszystkim do odbijania zakładników.

Początkowo liczyło tylko 50 operatorów, teraz jest ich około 4000.

HRT brało m.

in. udział w akcjach w Afganistanie, w Zatoce Perskiej, w Somalii, w Iraku.

W ciągu ostatnich trzech lat 156 razy otrzymywała zlecenia na wykonanie rozmaitych zadań.

Treningi wraz z Seal Team 6.

450 Zimny strzał

Navy SEAL - pełna nazwa: United States Navy Sea, Air and Land (dosł.

tłum.

Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych, Morze, Powietrze i Ziemia)- elitarne siły specjalne amerykańskiej marynarki.

NOCS (Nucleo Operativo Centrale di Sicurezza) jednostka antyterrorystyczna podlegająca policji włoskiej.

Utworzona w 1974 roku.

OPR (Office of Professional Responsibility) -Biuro Odpowiedzialności Zawodowej .

Quantico - miejscowość w stanie Wirginia, w której znajduje się baza morskamarines.

Na terenie Quantico ma też swoją siedzibę Akademia FBI.

Seal Team 6(ST 6) - KomandoFoki.

Nazwa Seal (ang.

foka)to skrót od stówsea, air, land (morze, powietrze, ziemia).

ST 6 jest specjalną jednostką antyterrorystyczną utworzoną w 1980 roku w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych.

SWAT (Special Weapons and Tactics) - specjalna jednostka działająca przy wielu departamentach policji w Stanach Zjednoczonych, używana do opanowywania niebezpiecznych sytuacji.

W KSIĘGARNIACH

W KSIĘGARNIACH.